

# Turms Nieśmiertelny

Waltari Mika



calibre 0.9.27

*Mika Waltari*

TURMS NIEŚMIERTELNY

Przełożył z języka szwedzkiego

ZYGMUNT ŁANOWSKI

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE • POZNAŃ 1986

**KSIĘGA PIERWSZA**

# Delfy

## 1

Ja, Lars, Turms nieśmiertelny, zbudziłem się na wiosnę i zobaczyłem, że ziemia już się zazieleniła.

Rozejrzałem się po moim pięknym domu. Patrzyłem na moje złoto i srebro. Patrzyłem na moje brązy. Patrzyłem na wazy z czerwonymi figurami. Patrzyłem na malowidła ściennie. Ale nie czułem żadnej dumy posiadania. Czyżby nieśmiertelny mógł coś posiadać?

Spośród moich kosztowności wybrałem najprostszą glinianą czarękę. Po raz pierwszy od wielu lat wysypałem jej zawartość na otwartą dłoń i policzyłem kamienie. Były to kamienie mego żywota.

Postawiłem czarękę z kamieniami z powrotem u stóp bogini. Potem uderzyłem w miedzianą misę. Słudzy weszli w milczeniu. Pomalowali mi twarz, dłonie i ramiona na czerwono i odziali mnie w święty płaszcz.

To, co uczyniłem, uczyniłem dla siebie, a nie dla mego miasta i ludu. Dlatego nie kazałem się nieść w uroczystej lektyce boga. Dlatego przeszedłem przez miasto i doszedłem do jego murów.

Ludzie, którzy widzieli czerwoną barwę na mojej twarzy i rękach, odwracali się ode mnie, dzieci przestawały się bawić, a dziewczyna u bramy miejskiej odłożyła swój podwójny flet.

Pieszko wyszedłem przez bramę i poszedłem dalej w głąb doliny tą samą drogą, którą kiedyś przyszedłem. Niebo było lśniaco-błękitne, uszy wypełniało mi ćwierkanie ptaków, gołębie bogini gruchały. Ludzie pracujący na polach zatrzymywali się na mój widok. Widziałem brązowe oblicza mężczyzn, białolice twarze kobiet. Potem odwracali się do mnie plecami i pracowali dalej.

Podążając na szczyt świętej góry, nie wybrałem lekkiej drogi, której zwykli używać kamieniarze. Obrąłem święte schody między malowanymi drewnianymi kolumnami.

Schody były strome. Wchodziłem po nich tyłem ze wzrokiem zwróconym na moje miasto.

Nie oglądałem się za siebie. Wyżej i wyżej wchodziłem, szukając oparcia dla stopy przy każdym kroku. Wiele razy zachwiałem się, ale nie upadłem. Odprawiłem tych, którzy chcieli mi towarzyszyć i nie pozwoliłem im podpieierać mnie. Bali się, bo w taki sposób nikt jeszcze nie wchodził na świętą górę.

Słońce stało w zenicie, kiedy doszedłem do świętej drogi. Ale minąłem bramy grobowe i brzuchate kamienne stożki po obu ich stronach. Minąłem także grób mego ojca i wstąpiłem na szczyt góry.

Szeroko rozpościerał się mój kraj wokół mnie na wszystkie strony świata, z żyznymi dolinami i pokrytymi lasem wzgórzami. Na północy błyszczało w dali moje ciemnoszafirowe jezioro. Na zachodzie wznosiła się góra bogini, uroczysty stożek naprzeciwko mieszkań umarłych we wnętrzu góry. Wszystko to znalazłem, wszystko to rozpoznałem.

Rozejrzałem się wokoło szukając znaku. Na ziemi leżało delikatne miękkie piórko gołębie, dopiero co spadłe, podniosłem je. Obok niego znalazłem mieniący się czerwono kamyk. To był ostatni kamień.

Tupnąłem lekko nogą i powiedziałem: — Tu będzie moja mogiła. Wykopcie mi grób w skale i ozdóbcie go tak, jak się ozdabia groby lukumonów.

Kiedy spojrzałem w niebo, olśniła mnie jego przenikliwa bezkształtna świetlistość, którą dane mi było oglądać tylko w niezwykłych chwilach mego żywota. Wyciągnąłem przed siebie oba ramiona z dłońmi zwróconymi ku ziemi. I niemal w tejże samej chwili rozległ się na niebie dono-

śny dźwięk od jednego krańca horyzontu po drugi, ten dźwięk, który człowiek słyszy tylko jeden raz w życiu. Był to jakby huk tysiąca trąb, który sprawił, że ziemia i powietrze zadrżały. Paraliżował wszystkie członki, ale serce przyprawiał o drżenie. Nie dało się go porównać z niczym innym i słyszy się go tylko jeden jedyny raz. Mimo to poznaje się go, gdyż dźwięk ten nie przypomina żadnego ziemskiego odgłosu.

Członkowie mojej świty padli na ziemię i zakryli twarze usłyszawszy ten dźwięk. Dotknąłem czoła, wyciągnąłem drugą dłoń w pustkę i pozdrowiwszy bogów, powiedziałem:

— Żegnaj, mój czasie. Wielki rok bogów dobiegł końca i nowy się zaczyna. Z nowymi czy-nami, nowymi obyczajami, nowymi myślami.

A do mojego orszaku powiedziałem:

— Wstańcie i bądźcie szczęśliwi, iż dane wam było słyszeć boski dźwięk, gdy czasy się zmieniają. Oznacza on, że wszyscy na ziemi, którzy go kiedyś słyszeli, umarli. A pośród tych, którzy teraz żyją, nikomu nie będzie dane usłyszeć go ponownie. Dopiero jeszcze nie narodzeni będą mogli go usłyszeć.

Wciąż drżeli, a ja także drżałem, bo tego drżenia nie może nikt doznać dwa razy. Z ostatnim kamieniem mego żywota w dłoni tupnąłem jeszcze raz w miejscu przeznaczonym na mój grób.

W tej samej chwili owionął mnie potężny powiew wiatru.

I nie wątpiłem już, lecz wiedziałem, że kiedyś powrócę. Powstanę kiedyś z grobu w nowym ciele przy wicherze pod bezchmurnym niebem. Z żywicznym zapachem pinii w nozdrzach. Z

niebieskim stożkiem bogini przed oczyma. I jeśli będę to wtedy pamiętał, wybiorę najskromniejszą glinianą czarkę spośród skarbów w komorze grobowej. Wysypię kamienie na dłoń, będę ich dotykał palcami i wspominał mój miniony żywot.

Z pomalowaną na czerwono twarzą, z pomalowanymi na czerwono rękami wróciłem do mego miasta i domu tą samą drogą, którą przyszedłem. Mały kamyczek rzuciłem do czarnej glinianej czarki u stóp

bogini. Potem zakryłem oblicze i zapłakałem. Ja, Turms, nieśmiertelny, płakałem ostatnimi łzami mego śmiertelnego ciała i pragnąłem, by wróciło moje minione życie.

2

Była pełnia księżyca i zaczęło się święto wiosny. Ale kiedy ludzie z mojej świty chcieli zmyć świętą farbę z mojej twarzy i rąk, namaścić mnie i zawiesić mi wieniec kwiatów na szyi, poprosiłem, żeby odeszli.

— Weźcie ode mnie mąkę i upieczcie chleb bogów — powiedziałem.— Wybierzcie zwierzę ofiarne z mej trzody. Rozdzielcie dary także między najuboższych. Tańczcie tańce ofiarne i odprawcie boskie igrzyska, tak jak to było w zwyczaju. Sam będę szukał samotności, tak jak odtąd sam będę robić wszystko, co czynię.

Nakazałem też obu augurom, obu wróżącym z piorunów i obu kapłanom ofiarnym dopilnować, żeby wszystko odbyło się tak, jak każe obyczaj. Sam zapaliłem w mojej komnacie kadzidło, 3

aż powietrze stało się ciężkie od mgły bogów. Położyłem się na potrójnej poduszce mego łoża i skrzyżowałem ręce mocno na piersi, a światło księżyca padało mi na twarz.

Zapadłem w sen, który nie był snem, aż wreszcie nie mogłem już dłużej poruszać członkami.

Potem we śnie ukazał mi się czarny pies bogini. Nie przyszedł jak przedtem z ujadaniem i żarzącymi się ślepiami. Był łagodny, skoczył mi na ramiona i lizał mnie po twarzy. A ja mówiłem do niego we śnie:

— Nie chcę, byś przychodziła w swojej podziemnej postaci, bogini. Dałaś mi bogactwa, o które cię nie prosiłem. Dałaś mi władzę, której nie pragnąłem. Nie ma nic dobrego na ziemi, czym mogłabyś mnie przekupić, abym się zadowolił.

Jej czarny pies znikł z mego ramienia. Mój lęk przeminął. Jak cień, przezroczyście w świetle księżyca, wyciągnęły się ku górze ramiona mojej księżycowej zjawy.

Ale powiedziałem:

— Także i w twojej niebiańskiej postaci nie chcę ciebie czcić, bogini.

Moja księżycowa zjawy nie zwodziła mnie już na manowce. Zamiast tego wyrosła przed moim wzrokiem uskrzydłona, świetlista postać mego geniusza, piękniejsza niż najpiękniejszy człowiek. Zbliżyła się bardziej żywa niż jakiś śmiertelnik, usiadła na brzegu mego łoża i uśmiechnęła się smutno do mnie.

Odezwałem się:

— Dotknij mnie ręką, ażebym wreszcie mógł poznać ciebie. Ty jesteś jedyna, której pragnę, kiedy znużyłem się już pożądaniem wszystkiego, co ziemskie.

— Nie, nie — odparła. — Jeszcze mnie nie znasz, ale kiedyś mnie poznasz. Kogokolwiek kochałeś na ziemi, tylko mnie w niej kochałeś. My dwoje, ty i ja, jesteśmy nierozłączni, ale stale jesteśmy rozłączeni, aż wreszcie będę mogła zamknąć cię w objęciach i unieść cię w dal na mocnych skrzydłach.

— Nie tęsknię do twoich mocnych skrzydeł — odrzekłem.

— Ciebie samej pragnę. Do twego dotknięcia tęsknię. Ciebie chcę zamknąć w uścisku. Jeżeli nie w tym żywocie, to w którymś z przyszłych zmuszę cię, abyś przybrała ziemską postać, tak abym mógł cię znaleźć ludzkimi oczyma. Tylko dlatego chcę kiedyś wrócić.

Musnęła wąskimi palcami moją szyję i powiedziała:

— Jakim okropnym kłamczuchem jesteś, Turms!

Patrzyłem na jej piękność bez skazy. Podobna była do człowieka i ognia. Zdrętwiałem patrząc na nią.

— Powiedz mi wreszcie swoje imię, żebym mógł cię poznać — prosiłem.

— Jaka żądza władzy mieszka w tobie — zarzuciła mi z uśmiechem. — Ale nawet gdybyś znał imię, nie panowałbyś nade mną. Nie bój się. Szepnę ci moje imię, kiedy wreszcie zamknę cię w moich objęciach. Ale obawiam się, że znowu je zapomnisz, kiedy zbudzisz się na nowo z szumem nieśmiertelności w uszach.

— Nie chcę zapomnieć — odparłem.

Odrzekła:

— Zapomniałeś już poprzednio.

Nie mogłem jej się dłużej opierać. Wyciągnąłem moje zdrętwiałe ramiona, aby ją uchwycić, ale chwyciły pustkę, choć wciąż jeszcze widziałem ją żywą przede mną. Z wolna zacząłem rozróżniać przedmioty w komnacie poprzez jej świetlistą zjawę. Usiadłem gwałtownie, wyciągając ręce po światło księżyca.

4

Niepocieszony wstałem i chodziłem po komnacie, dotykając różnych przedmiotów. Ale moje ręce nie miały siły, by podnieść choćby jeden z nich. Lęk ogarnął mnie znowu i zacząłem tłuc za-ciśniętą pięścią w brązową misę, by przywołać moją świtę, jakiegokolwiek żywego człowieka.

Ale misa była niema. Nie wydawała z siebie żadnego dźwięku.

Z uczuciem przenikliwego strachu obudziłem się jeszcze raz. Leżałem na wznak na łożu z rę-

kami mocno skrzyżowanymi na piersi. Ocknąłem się i mogłem znowu ruszać członkami. Siadłem na skraju łoża i ukryłem twarz w dłoniach.

Przez opary kadzidła i przeraźliwe światło księżycy czułem na języku metalowy posmak nieśmiertelności. W nozdrzach czułem lodowaty zapach nieśmiertelności. Przed moimi oczyma migotały zimne ognie nieśmiertelności. Wicher nieśmiertelności szumiał w moich uszach.

Nieulekłe zerwałem się i rozpostarłem ramiona.

— Nie boję się ciebie, Chimero — zawołałem w samotność mojej komnaty. — Jeszcze żyję ludzkim życiem, ja, Turms, i nie jestem nieśmiertelny, lecz jestem człowiekiem pośród moich bliźnich.

Wziąłem glinianą czarkę stojącą przed boginią, wyjmowałem z niej jeden kamień po drugim i wspominałem. A wszystko, co pamiętałem, spisałem.

3

Z tego, co wiemy, życie ludzkie jest podzielone na okresy, każdy o określonej długości. Po każdym okresie człowiek odnawia się i myśli jego się zmieniają. Mówi się, że taki okres obejmuje pięćdziesiąt pięć miesięcy. Inni twierdzą, że każdy okres trwa pięć lat i siedem miesięcy.

Ale taka jest wiara ludzka, która szuka pewności o wszystkim, choć nie ma żadnej pewności na tym świecie.

W wiedzy szuka człowiek pewności, która nie istnieje. Dlatego też kapłani ofiarni porównują wątroby zwierząt ofiarnych z wątrobą z gliny, gdzie wyrysowali strefy bogów i wypisali ich imiona. Ale brak im boskiego rozumienia. Dlatego mogą się mylić.

W taki sam sposób ci, co wróżą z ptaków, uczą się od starych wielu reguł o locie ptaków i ich stadach. Ale gdy natrafią na znak, o którym nigdy jeszcze nie słyszeli, zbijają ich to z tropu i wypowiadają wróżbę na ślepo, tak jakby mieli worek założony na głowę.

I ja, Turms, nie chcę już nawet mówić o wróżących z piorunów, którzy wchodzą na święte miejsca w górach, kiedy zbliża się burza. Podzielili oni strony świata i niebo między bogów i rozmawiają o barwach i kształtach piorunów, ustanawiają reguły i nauki o tym wszystkim i przekazują je dalej swoim następcom, dumni ze swej wiedzy. Dlatego myślą się i błędnie tłumaczą wyraźną mowę piorunów i nie zadowolają się boskim rozumieniem we własnych sercach.

Ale dość o tym, gdyż tak już musi być. Wszystko drętwieje, wszystko kostnieje, wszystko starzeje się. Nie ma nic żałośniejszego niż wiedza, która starzeje się i usycha. Niepewna wiedza ludzka w miejsce boskiego rozumienia.

Wiele człowiek może się nauczyć, ale uczoność nie jest prawdziwą wiedzą. Jedyne źródła prawdziwej wiedzy są wrodzona pewność i boski rozum.



Człowiek, który polega tylko na własnych zmysłach, oszukuje tylko siebie samego przez całe życie.

Ale kiedy tak piszę, wiem, że czynię to tylko dlatego, iż postarzałem się i doszedłem do spokoju, bo życie ma dla mnie smak gorzki i nie ma już niczego na ziemi, do czego chciałbym wyci-

ągnąć ramiona w pragnieniu. Kiedy byłem młodszy, nie napisałbym tak. A jednak byłoby to równie prawdziwe, jak to, co piszę teraz.

5

Dlaczego więc piszę mimo to?

Piszę, aby pokonać czas i poznać siebie samego.

Kiedy biorę pierwszy kamień do ręki, gładki i czarny kamień, pamiętam, jak pierwszy raz doszedłem do tego, jaki jestem w rzeczywistości, a nie tylko za jakiego siebie uważałem.

4

Zdarzyło się to w drodze do Delf między ponurymi górami. Kiedy wyruszyliśmy z wybrzeża, widzieliśmy błyskawice rozpalające się na szczytach górskich daleko na zachodzie. Kiedy dotarliśmy do wioski, mieszkańcy ostrzegali pielgrzymów przed dalszą drogą. Jest jesień, mówili, i zanoszą się na burzę. Może ona obruszać kawałki skał i strącać je w dół na drogę. Rwąca woda może unieść ze sobą wędrowca.

Ale ja, Turms, zdążyłem do Delf, aby dostać mój wyrok od wyroczni. Ateńscy wojownicy uratowali mnie i dali mi schronienie na pokładzie okrętu, gdy lud w Efezie już po raz drugi w moim życiu groził ukamienowaniem mnie na śmierć.

Dlatego nie zatrzymałem się w zaciszu przed burzą w drodze do Delf. Mieszkańcy wioski żyli z pielgrzymów i zwykli byli przetrzymywać ich u siebie pod wieloma pozorami. Przygotowywali dobre potrawy i mieli do zaoferowania wygodne łóżka, i sprzedawali drobne przedmioty pamiątkowe z drewna, kości i kamienia. Nie zważałem na ich ostrzeżenia. Nie bałem się burzy i piorunów.

Niosąc piekący ból mojej winy, ruszyłem dalej samotnie między skały. Niebo ściemniało w środku dnia. Chmury staczały się z gór. Wokoło zaczęły się zapalać błyskawice. Nieustanny grzmot toczył się przez odzywające się echem doliny. Nie sądziłem, że ludzkie uszy mogą wytrzymać takie grzmoty.

Pioruny kruszyły skały wokół mnie. Deszcz i grad chłostały moje ciało. Podmuchy wiatru usi-

łowały strącić mnie do przepaści. Kolana i łokcie miałem podrapane do krwi.

Ale nie czułem żadnego bólu. Po raz pierwszy w życiu ogarnęło mnie uniesienie. Nie wiedząc, co czynię, zacząłem tańczyć na drodze do Delf. W blasku piorunów, w wietrze i burzy na drodze do Delf zaczęły moje stopy tańczyć, ramiona poruszać się, i taniec mój nie naśladował jakiegoś innego, lecz mieszkał i żył we mnie, i wszystkie członki, całe moje ciało tańczyło porwane niewypowiedzianą radością.



Powiniennem był obawiać się gniewu bogów z powodu mojej winy. Zamiast tego ogarnęła mnie promienna pewność, że stoję ponad wszelką winą. Pioruny witały mnie jak syna, krzyżując się i rozgałęziając nad moją głową. Orkan pozdrawiał mnie jak swoje dziecko. W dolinie grzmot niósł nieustanne pozdrowienie. Po stokach, odbijając się, spadały bloki skalne na moją cześć.

Wtedy poznałem siebie po raz pierwszy. Nic złego nie mogło mi się zdarzyć. Nic nie mogło mi uczynić szkody.

Gdy tak tańczyłem na drodze do Delf, z mego wnętrza wrywały się obce słowa. Nie rozumiałem ich. Ale śpiewałem je, powtarzałem raz po raz, podobnie jak w noc pełni księżyca budziłem się na własne okrzyki i powtarzałem słowa, których nie rozumiałem. Rytm mego śpiewu był obcym rytmem. Moje taneczne kroki były obcymi krokami. Ale w największym uniesieniu wrywało się to wszystko ze mnie i było częścią mnie, choć nie wiedziałem, dlaczego tak jest.

Za ostatnią skalną ścianą ujrzałem przed sobą okrągłą delficką równinę zaciemnioną chmurami i mglistą od deszczu. W tejże chwili, ustała burza, chmury potoczyły się dalej i słońce weszło nad budowlami, pomnikami i świętościami Delf.

6

Jesienna ziemia lśniła srebrzyście od kropli deszczu, grad topniał i nigdy jeszcze nie widziałem tak głęboko zielonego i błyszczącego wawrzynu jak święte wawrzyny Delf wokół świątyni.

Nie pytając nikogo o drogę, znalazłem święte źródło, odłożyłem skórzaną sakwę, zdjąłem przemoczoną odzież i zanurzyłem się w oczyszczającej wodzie. Deszcz zmaścił okrągłą sadzawkę, ale wodą, która wypływała z lwiej paszczy, obmyłem ramiona, twarz, kolana, włosy. Nagi wyszedłem na słońce, i uniesienie trwało jeszcze we mnie, tak że moje członki płonęły i nie mogłem zmarznąć.

Kiedy zobaczyłem, że sługi świątyni zbliżają się w powłóczystych szatach i z przepaskami boga na skroniach, podniosłem wzrok i ujrzałem powyżej wszystko inne, potężniejsze niż sama świątynia, czarne urwisko i czarne ptaki, które po burzy krążyły wokół przepaści. Nie pytając, wiedziałem, że jest to miejsce sądu, gdzie strącano ze skały tych, których zbrodnie nie mogły być odkupione. Zacząłem biec w górę po tarasach ku świątyni, między statuami i pomnikami, nie troszcząc się o świętą drogę.

Przed świątynią położyłem dłoń na potężnym ołtarzu i zawołałem:

— Ja, Turms z Efezu, oddaję się pod opiekę bogów i sąd wyroczeni.

Podniosłem oczy i ujrzałem na frontonie świątyni Artemidę biegnącą ze swymi psami i Dionizosa przystrojonego na święto. Wtedy wiedziałem, że to jeszcze nie wystarcza. Słudzy usiłowali mi przeszkodzić odpędzając okrzykami. Wyrwałem się z ich rąk i wbiegłem do świątyni.

Biegłem prosto przez przedsionek, obok olbrzymich urn ze srebra, obok drogocennych posągów i darów ofiarnych. Wbiegłem do najgłębszej izby świątynnej i zobaczyłem wieczysty ogień na małym ołtarzu, a obok pępek ziemi, osmolony ogniem od setek lat. Na tym świętym kamieniu położyłem dłoń

i oddałem się pod opiekę bogów.

Niewypowiedziane uczucie spokoju spłynęło przez dłonie i całą moją istotę ze świętego kamienia. Bez lęku rozejrzałem się dokoła siebie. Zobaczyłem wydeptane schody kamienne prowadzące w głąb rozpadliny. Zobaczyłem święty grób Dionizosa, Zobaczyłem orły najwyższego boga nad sobą w mroku wewnętrznego sanktuarium. Byłem bezpieczny. Tu nie mogli przyjść słudzy świątyni. Tu mogłem spotkać tylko delfickich kapłanów, wtajemniczonych, posłańców bogów.

Wezwani przez sługi przybyli pospiesznie czterej starcy, święci mężowie. Po drodze poprawiali przepaski na czołach i otulali się płaszczami. Ich twarze były chmurne, a oczy podpuchnięte od snu. Żyli już na progu zimy i nie spodziewali się żadnego ważnego pielgrzyma. W tym dniu z powodu burzy nie oczekiwali w ogóle nikogo. Dlatego moje przybycie zakłóciło ich spokój.

Ale gdy tak leżałem nagi na ziemi w najświętszym przytułku, obiema rękami obejmując pępek ziemi, nie mogli użyć przeciw mnie siły. Ani też nie miał żaden z nich ochoty dotknąć mnie, dopóki nie wiedzieli, kim jestem.

Rozmawiali ze sobą cichymi i gniewnymi głosami. Potem zapytali:

— Czy masz krew na swoich rękach?

Odparłem pospiesznie, że wcale nie mam krwi na rękach. Nie byłem winien przelewu krwi.

To ich uspokoiło. Inaczej byliby zmuszeni oczyścić świątynię.

— Czyś zgrzeszył przeciwko bogom?

Zastanowiłem się przez chwilę i odparłem:

— Przeciw bogom helleńskim nie zgrzeszyłem. Przeciwnie, stoję pod opieką świętej dziewicy, siostry waszego boga.

— Kim więc jesteś i czego chcesz? — zapytali gniewnie. — Czemu przychodzisz tu z burzy, tańcząc, i zanurzasz się bez pozwolenia w najświętszej wodzie? Jak ośmielasz się wykraczać przeciw porządkowi i zwyczajom świątyni?

7

Na szczęście nie potrzebowałem im odpowiedzieć, gdyż weszła właśnie do świątyni Pytia, wsparta na swoich dwóch służebnych. Była to jeszcze młoda kobieta. Twarz jej, nie osłonięta, była przeraźliwa, oczy miała szeroko otwarte, a chód chwiejny. Spojrzała na mnie tak, jakby zna-

ła mnie przez całe życie, jej oblicze nabrało żaru i zawołała bełkotliwym głosem:

— Nareszcie przyszedłeś ty, na którego czekałam. Przyszedłeś nagi na tańczących stopach, oczyszczony w źródle. Synu księżycy, synu skorupy muszli, synu morskiego konia. Poznaję cię.

Przybywasz z zachodu.

Miałem ochotę odpowiedzieć, że się myli, ponieważ przychodzę ze wschodu, z Jonii, i to tak szybko, jak tylko wiosła i żagle wojennego okrętu mogły mnie przewieźć przez morze. Mimo to słowa jej wzburzyły mnie.

— Święta kobieto, znasz mnie rzeczywiście? — zapytałem.

Wybuchnęła szaleńczym śmiechem, podeszła jeszcze bliżej, choć służebne usiłowały ją powstrzymać, i rzekła:

— Miałabym cię nie znać? Wstań i spójrz mi w twarz.

Zmuszony przez to straszliwe nagie oblicze, wypuściłem z rąk święty pępek ziemi i spojrza-

łem na nią. Jej twarz zmieniała się i przekształcała przed moimi oczami. W jej twarzy dostrzegłem rozpalone rysy Dione, tej Dione, która rzuciła mi jabłko ze swym imieniem wyrytym na skórcie. Ale potem twarz Dione przemieniła się w czarne oblicze Artemidy efeskiej, takie, jakie było na podobiznie bogini, która niegdyś spadła z nieba. I jeszcze raz zmieniło się jej oblicze i stało się jasne, ale z tego oblicza zobaczyłem tylko przebłysk niczym we śnie, zanim otuliło się jakby mgłą albo welonem. A potem znów ujrzałem jej szalone oczy.

— I ja ciebie znam, Pytio — powiedziałem.

Gdyby służebne nie trzymały jej, podbiegłaby do mnie i objęła mnie ramionami. Ale udało jej się uwolnić tylko lewą rękę i dotknęła nią mojej piersi. Czułem siłę wychodzącą z niej i przeni-kającą moje ciało.

— Ten młodzieniec jest mój — rzekła. — Obojętne, czy wtajemniczony, czy niewtajemniczony. Nie tykajcie go. Cokolwiek zrobił, uczynił to dla spełnienia woli bogów, a nie dla siebie.

Jest bez winy.

Kapłani pomruczeli coś między sobą, a potem powiedzieli:

— To nie są słowa boga. Ona nie mówi ze świętego trójnogu. To natchnienie jest fałszywym natchnieniem. Zabierzcie ją stąd.

Ale ona była teraz silniejsza od swoich służebien. W upartym szale wołała:

— Widzę dymy wielkich pożarów za morzem. Ten mężczyzna przybył z sadzą na rękach.

Przyszedł tu z poczernioną sadzami twarzą, z oparzoną bokiem. Oczyszczę go. Dlatego jest on czysty i wolny. Wolno mu chodzić, jak sam zechce. Nie wy mu rozkazujecie.

Tyle wypowiedziała jasno i zrozumiale. Potem wpadła w konwulsje, piana zaczęła jej się toczyć z ust, krzyczała przenikliwie i osunęła się w ramiona służebnych. Wyniosły ją stamtąd, a kapłani

zebrali się wokół mnie, drżący i przestraszeni.

— Musimy naradzić się ze sobą — oświadczyli. — Ale nie obawiaj się. Wyroczenia cię oczy-

ściła i nie jesteś byle kim bo inaczej nie wpadłaby w święty szal na sam twój widok. Ale jej słów nie możemy zapisać, ponieważ nie są wypowiedziane na świętym trójnogu. Mimo to zachowamy je w pamięci.

Przyjaźnie natarli mi dłonie i stopy popiołem z drzewa wawrzynu z ołtarza, wyprowadzili mnie z świątyni i przekazali sługom świątyni, by dali mi jeść i pić. Słudzy przynieśli moje prze-moczone szaty i skórzaną sakwę, które pozostawiłem przy świętej sadzawce. Kiedy kapłani dotknęli pięknej wełny mego płaszcza, zdali sobie sprawę, że nie jestem jakimś mało znaczącym

człowiekiem. Jeszcze bardziej się uspokoili, gdy rozwiązałem sakwę i wręczyłem im woreczek lwiołowych złotych monet z Miletu i srebra cechowanego efeską pszczołą.

Na koniec wręczyłem im obie zamknięte pieczęcią woskowe tabliczki, które miały być dla mnie rekomendacją. Obiecali je przeczytać, a potem wezwać mnie na przesłuchanie. Słudzy zamknęli mnie w skromnej izbie. Następnego dnia dali mi rady, jak mam pościć i oczyszczać się, aby mój język stał się czysty i moje serce było czyste, kiedy znowu stanę przed kapłanami.

5

Kiedy wszedłem na bieżnię w Delfach, zobaczyłem oszczep migocący w powietrzu, choć stadion leżał pogrążony w cieniu góry. Oszczep zamigotał i znów wpadł w cień, a ten błysk trafił

mnie w serce jako znak i ostrzeżenie. Potem zobaczyłem młodzieńca w moim wieku, ale z bardziej zahartowanym ciałem, który lekkim krokiem biegł po oszczep tkwiący w ziemi.

Obserwowałem go, biegnąc jedno okrążenie wokół stadionu. Twarz jego była kwaśna i ponura, na piersi miał szpecącą go bliznę, członki węzłaste od mięśni. Jednakże wszystko w nim wypełnione było pięknem ufności w siebie i siły, tak że w moich oczach był piękniejszy niż jakikolwiek inny młodzieniec, którego widziałem.

— Chodź i pobiegaj ze mną — zawołałem do niego. — Już mi się sprzykrzyło współzawodniczyć tylko z sobą.

Wbił oszczep w ziemię i podszedł do mnie na koniec bieżni.

Obaj byliśmy zdyszani i oddychaliśmy szybko, choć usiłowaliśmy ukryć to przed sobą.

— Dobrze — powiedział i puściliśmy się biegiem. Ponieważ byłem lżejszy od niego, zdawało mi się, że zdołam go lekko pokonać, ale on biegł bez wysiłku i musiałem bardzo się wyteńczyć, że-by wygrać o pierś.

— Dobrze biegasz — stwierdził. — Chodźmy porzucić oszczepem, żeby lepiej zmierzyć nasze siły.

Miał oszczep spartański. Zważyłem go w dłoni, ale nie chciałem się przyznać, że nie przywykłem do tak ciężkich oszczepów. Wziąłem mocny rozbieg i rzuciłem oszczep i zdaje mi się, że nigdy jeszcze nie udało mi się tak dobrze skoncentrować siły. Oszczep poleciał dalej, niż śmiałem przypuszczać. Nie mogłem sobie darować, by się nie uśmiechnąć, kiedy biegłem, by go przynieść i oznaczyć mój rzut. Uśmiechałem się jeszcze wręczając mu oszczep. Ale on rzucił bez trudu o wiele długości oszczepu dalej niż mój znak.

— Wspaniały rzut — powiedziałem z podziwem. — Ale do skoku w dal jesteś z pewnością zbyt ciężko zbudowany. Chcesz spróbować?

Ale i w skoku w dal pobiłem go ledwie o włos. Nie mówiąc słowa wskazał na dysk. Rzuciłem pierwszy, ale jego rzut przeleciał z szumem jak sokół, mijając mój znak. Wtedy uśmiechnął się i rzekł.

— Niech zapasy rozstrzygną.

Patrząc na niego czułem silną niechęć do wdawania się z nim w zapasy. Nie dlatego, iż wiedziałem, że łatwo mnie pokona. Ale nie chciałem, żeby mnie dotykał i opasywał ramionami.

W jego ponurym spojrzeniu była iskra, która ostrzegała mnie, mimo że się uśmiechał.

— Jesteś wprawniejszy ode mnie — powiedziałem — uznaję cię za zwycięzcę.

Po czym nie wymienialiśmy już więcej słów, tylko ćwiczyliśmy aż do potu, każdy po swojej stronie opustoszałego boiska. Gdy powędrowałem w dół do wezbranego od deszczów jesiennych strumyka, poszedł z wahaniem za mną. Kiedy się obmywałem i tarłem ciało czystym piaskiem, on robił to samo. Nie patrząc na mnie, poprosił:

9

— Czy nie zechciałbyś natrzeć mi pleców piaskiem?

Wytarłem jego grzbiet piaskiem do czysta, a on tarł mnie tak mocno, że zdawało mi się, że podrze mi skórę na strzępy. Wyrwałem się z krzykiem z jego rąk i plusnąłem na niego wodą.

Uśmiechnął się, ale nie wdawał się w takie dziecinne igraszki. Pokazałem bliznę na jego piersi i zapytałem:

— Jesteś wojownikiem?

Odparł dumnie: — Przybywam ze Sparty.

Patrzyłem na niego z odnowioną ciekawością, gdyż był pierwszym Lacedemończykiem, któ-

rego oglądałem. Ale ani nie był brutalny ani nieczuły, jak mówiono o obywatelach Sparty i ich wychowaniu. Wiedziałem, że w jego mieście rodzinnym nie było murów, gdyż Spartanie dumni byli z tego, że sami są swoim murem. Ale wiedziałem też, że nie wolno im opuszczać swego kraju inaczej,

jak tylko w grupach, albo by wyruszyć na wojnę. Wyczytał mi z oczu moje myśli i wyjaśnił nie pytany przeze mnie:

— Jestem więźniem wyroczni, tak jak ty. Nasz król Kleomenes, który jest moim wujem, śnił o mnie niedobre sny i wysłał mnie z kraju. Jestem potomkiem Heraklesa.

Miałem ochotę odpowiedzieć mu, że biorąc pod uwagę usposobienie Heraklesa i jego węd-rówki wszędzie po całym świecie, musiał on mieć z pewnością tysiące potomków we wszystkich krajach. Ale spojrzawszy na niego poniechałem mojej jońskiej drwiny. Wyglądał pięknie i miał dumniejszą postawę niż jakikolwiek inny znany mi młodzieniec.

Nie proszony wyliczył wszystkie stopnie pokrewieństwa w swoim pochodzeniu i dodał:

— Moim ojcem był Dorieus, uznany za najpiękniejszego męża pośród wszystkich współ-

czesnych. Dorieus był moim rzeczywistym ojcem. Dlatego mam prawo używać imienia Dorieus poza granicami Sparty, jeśli zechcę. Matka opowiedziała mi o nim jeszcze zanim ukończyłem siedem lat i musiała mnie oddać na wychowanie państwa. Mój prawny ojciec nie mógł płodzić dzieci. Dlatego posłał potajemnie Dorieusa do mojej matki, jako że małżonkowie w Sparcie mogą spotykać się ze swymi żonami tylko po kryjomu i ukradkiem. Wszystko to jest prawdą i nikt nie wygnałby mnie ze Sparty, gdyby Dorieus nie był moim prawdziwym ojcem.

Mogłem być mu na to odpowiedzieć, że od czasów wojny trojańskiej Spartanie mają aż nazbyt dobre powody, by nie ufać zbyt pięknym mężczyznom i zbyt pięknym kobietom. Ale zdawałem sobie sprawę, że to dla niego sprawa delikatna. Rozumiałem to dobrze, ponieważ moje własne pochodzenie było jeszcze bardziej szczególne. Ubraliśmy się w milczeniu nad wezbrany potokiem. Okrągła dolina Delf mroczyła u naszych stóp. Góry żarzyły się niebiesko i czerwono.

Czułem w członkach znużenie po zabawie. Byłem czysty, byłem żywy, byłem silny. W sercu moim płonęła przyjaźń do tego obcego, który wdał się w zawody ze mną, nie pytając, kim jestem i skąd przychodzę.

Kiedy schodziliśmy górską ścieżką ku budynkom, które otaczały świątynię, zerknął na mnie kilkakrotnie i odezwał się w końcu:

— Podobasz mi się, choć my, Lacedemończycy, raczej trzymamy się z dala od obcych. Ale jestem samotny, a trudno jest być samotnym, kiedy przez całą młodość wzrastało się wśród innych młodzieńców. Oddzieliwszy się od mego ludu nie jestem związany jego obyczajami. Mimo to krępują mnie one równie mocno jak kajdany. Toteż wolałbym raczej paść na wojnie i żeby moje imię było wypisane na grobowym kamieniu, niż być tutaj.

— Ja też jestem samotny — rzekłem. — Z własnej woli przybyłem do Delf, żeby albo zostać oczyszczonym, albo umrzeć. Nie ma sensu, żebym żył, jeślibym miał ściągnąć przekleństwo na moje miasto i na całą Jonię.

Patrzył na mnie nieufnie spod grzywki, która ułożyła się w loki od wilgoci. Wyciągnąłem do niego rękę błagalnie i prosiłem:

10

— Nie potępiaj mnie, nie wysłuchawszy. Pytia już ogłosiła w świętym odurzeniu, że jestem bez winy. Nie miała żadnych liści wawrzynu do żucia, ani swego trójnoga, ani też odurzających par z rozpadliny. Na sam tylko mój widok wpadła w ekstazę.

Joński sceptycyzm i moje jońskie wychowanie sprawiło, że uśmiechnąłem się i ostrożnie obejrzałem dokoła.

— Zdaje mi się, że ona nie ma nic przeciw mężczyznom — powiedziałem. — Bez wątpienia jest to święta kobieta, ale zdaje mi się, że kapłanom może być czasem trudno wykładać jej szalone słowa wedle własnej głowy.

Dorieus wyciągnął w przerażeniu rękę przed siebie, jak gdyby chciał odepchnąć moje słowa:

— Czyżbyś nie wierzył w wyrocznię? — zapytał. — Chyba nie bluźnisz bogom. Bo wówczas nie chciałbym mieć z tobą nic wspólnego.

— Nie obawiaj się — odparłem. — Wszystkie sprawy mają dwie strony, jedną, którą widzimy, i drugą, której nie widzimy. My, Jończycy, bluźnimy chętnie bogom i opowiadamy o nich bezwstydne historyjki. Ale to nam nie przeszkadza pobożnie im służyć i składać ofiary. Wątpię w ziemską stronę wyroczni, ale to nie przeszkadza mi uznawać wyroczni i poddać się jej wyrokowi, nawet gdyby mnie to kosztowało życie. W coś musi przecież człowiek wierzyć.

— Nie rozumiem cię — rzekł zdumiony.

Tak rozstaliśmy się tego wieczoru, ale na drugi dzień odszukał mnie z własnego popędu i zapytał:

— Czy to ty jesteś tym Efezejczykiem, który w Sardes podpalił świątynię bogini matki i w ten sposób wzniecił pożogę w całym Sardes?

— To moja zbrodnia — przyznałem. — Ja i tylko ja, Turms z Efezu, ponoszę winę za pożar Sardes.

Ku memu zdumieniu żar zapłonął w migdałowych oczach Dorieusa, który uderzył mnie obu rękami po ramionach i wychwalał, mówiąc:

— Miałbyś być zbrodniarzem? Przecież ty jesteś bohaterem Hellenów. Czy nie wiesz, że pożar Sardes niczym stos zwycięski rozpalił powstanie w całej Jonii od Hellespontu po Cypr?

Jego słowa przejęły mnie zgrozą, bo czegoś bardziej szalonego nie słyshałem.

— W takim razie całą Jonię ogarnęło szaleństwo — odrzekłem. — Kiedy przybyły okręty ateńskie, dobiegliśmy wprawdzie do Sardes w trzy dni, tak jak stado owiec z baranem na przedzie.



Ale otoczonego murem miasta i twierdzy nie mogliśmy zdobyć. Nie próbowaliśmy nawet, lecz pobiegliśmy z powrotem jeszcze szybciej, niż przyszliśmy. Perskie oddziały pomocnicze zabiły wielu z nas. W ciemności i w zamieszaniu zabijaliśmy się nawet nawzajem.

— Nie, nie — ciągnąłem — nasza wyprawa wojenna do Sardes nie była wcale bohaterskim wyczynem. Na samym końcu doszło także i do tego, że wpadliśmy przypadkiem między kobiety, które święciły nocne święto pod murami Efezu. Mężczyźni z Efezu wypadli z miasta, aby stanąć w obronie swoich żon i córek i zabili wielu z nas, więcej, niż zabili Persowie w drodze do Efezu.

Tak zaślepiona była nasza wyprawa i tak nędzna była nasza ucieczka.

Dorieus potrząsnął głową zdumiony i powiedział:

— Nie mówisz jak prawdziwy Grek. Wojna jest wojną i wszystko, co dzieje się na wojnie, musi być obrócone na chwałę ojczyzny i na chlubę poległych, bez względu na to, w jaki sposób padli. Doprawdy nie rozumiem ciebie.

— Ale ja wcale nie jestem Hellenem — odparłem. — Jestem obcym. Przed wielu laty odnalazłem się pod dębem, który rozłupał piorun, koło miasta Efezu, a wokół mnie leżały nieżywe owce. Baran tryknął mnie rogami, gdy tak leżałem, aż poturlałem się i zbudziłem do życia. Na-11

wet odzież piorun zerwał ze mnie i pozostawił mi na ciele czarną smugę. Ale Zeus nie zdołał mi odebrać życia piorunem, choć chyba próbował.

6

Po nastaniu zimy wezwano mnie, abym stanął przed czterema kapłanami z Delf. Byłem wó-

wczas wychudzony postami, lekki od ćwiczeń cielesnych i na wszelkie sposoby tak oczyszczony, że marzłem. Tak, jak to czynią starcy, zaczęli od początku i kazali mi opowiedzieć wszystko, co wiedziałem o buncie miast jońskich i zabitych lub wygananych perskich tyranach.

— Sam widziałem tylko, jak przepędzono Hermadorosa z Efezu — rzekłem. — Nawet nie wyrzuciliśmy go za mur, tylko grzecznie wyprowadziliśmy przez bramę miejską na drogę do Sardes. Odańczyliśmy taniec wolności, ale nie podnieśliśmy ręki na Hermadorosa, choć w domu Persa rozbiliśmy to i owo. W rzeczy samej przegnaliśmy Hermadorosa tylko dlatego, że był najlepszym i najsprawiedliwszym mężem w Efezie, a wcale nie dlatego, że został wyznaczony przez Persa, by czuwać nad sprawami miasta. Oświadczyliśmy mu to też i powiedzieliśmy, że nie mogliśmy znieść pośród nas nikogo, kto byłby lepszy od innych, i jeśli ktoś się takim okazał, wolelibyśmy najchętniej, żeby był gdzie indziej, a nie w Efezie. Kapłani delficy kiwali potakująco głowami i odrzekli:

— O tym wszystkim wiemy lepiej od ciebie, ale opowiadaj dalej, żebyśmy mogli porównać twoje świadectwo z innymi.

Opowiedziałem wszystko, co wiedziałem o naszym niecnym napadzie na miasto satrapy, Sardes. A potem dodałem:

— Artemida efeska jest czcigodną boginią i właśnie jej zawdzięczam życie, ponieważ wzięła mnie pod opiekę, kiedy przybyłem jako porażony piorunem obcy do Efezu. Ale w ostatnich latach o władzę nade mną współzawodniczyła z helleńską Artemidą czarna bogini Kybele. Jończycy są lekkomyślni i ciekawi wszystkiego, co nowe. Dlatego wielu Hellenów za czasów perskich jeździ-

ło do Sardes z darami dla Kybele i brało tam udział w jej haniebnych misteriach. Kiedy wyrusza-

łem z mężami z Aten, mówiono mi i miałem pełne podstawy temu wierzyć, że powstanie i wojna z Persami były równocześnie wojną świętej dziewicy z czarną boginią.

— I zdawało mi się, że dokonuję chwalebego czynu — ciągnąłem — podpalając świątynię Kybele. A nie było moją winą, że właśnie wtedy dał silny wiatr. Ten wiatr przerzucił ogień na całą tę część miasta, która miała dachy kryte trzcina, i za bramą miejską spłonęło całe Sardes na popiół. Niesione z wiatrem płonące trzciny poparzyły mi bok, a wielu naszych i wielu Lidyczyków spaliło się w mieście. Ogień szerzył się tak szybko, że nie wszyscy zdążyli schronić się do rzeki.

Opowiadałem dalej o naszej ucieczce i utarczkach z Persami w drodze powrotnej. A kiedy już znużyłem się mówieniem, rzekłem:

— Macie przecież zapieczętowane tabliczki woskowe, które wam oddałem. Jeśli mi nie wierzycie, możecie uwierzyć temu, co one mówią.

Odrzekli:

— Złamaliśmy pieczęcie i przeczytaliśmy tabliczki. Także o wydarzeniach w Jonii i o wyprawie na Sardes otrzymaliśmy prawdziwe wiadomości. Mówisz na swoją korzyść, nie wychwalając łupieżczej wyprawy, lecz żałując tego, coś zrobił. Istnieją głupcy, którzy chwalą tę wyprawę jako najślawniejszą z czynów Hellenów. Ale pożar świątyni to sprawa poważna, bez względu na to, jak bardzo brzydzimy się azjatycką Kybele i nie pochwalamy służby jej świątyni. Gdy zaczyna się palić świątynie, także i bogowie Hellenów nie będą już dłużej bezpieczni. Jakiego jesteś pochodzenia?

12

— Zostałem rażony piorunem pod Efezem — odparłem. — To wszystko, co wiem o sobie.

Leżałem. potem chory przez długie miesiące.

Przypomnieli mi:

— Czy język twój jest czysty? Czy serce twoje jest czyste?

Słowa ich zawstydziły mnie. Jakież znaczenie miałoby moje życie, gdybym mógł je zachować, tylko kłamiąc? Dlatego też wyznałem:

— Traciłem pamięć na długie okresy czasu. Kiedy znów ją odzyskiwałem, wspomnienia były mi wstrętne i nie chciałem niczego pamiętać. W nocie pełni księżyca miałem też dziwne sny, ży-

łem w obcych miastach i spotykałem ludzi, których znałem lepiej niż tych, z którymi stykałem się za dnia. Takie sny miewam nadal. Dlatego nie wiem, co w mojej rzeczywistości jest snem, a co rzeczywistością.

Ważylem dokładnie swoje słowa:

— Jestem jednym z italskich uchodźców z Sybaris. Należę do tych, których wysłano do Miletu przed zniszczeniem miasta. Miałem dziesięć lat, kiedy tam przybyłem. Wiem to na pewno, gdyż mój wychowawca Heraklejos kazał zbadać w Milecie moje pochodzenie. Gdy mieszkańcy Miletu dowiedzieli się, że Krotończycy zrównali Sybaris z ziemią i nawet skierowali wody rzeki w ruiny, wpadli w taką żalobę, że obcięli sobie włosy. Ale kiedy ich włosy odrosły, zapomnieli o swojej gościnności i o wszystkim dobrym, czego doznali od Sybaris. Bito mnie. Potem oddano mnie na naukę do piekarza. Później musiałem pasać owce. Zdaje mi się, że uciekłem z Miletu, żeby dostać się dokądkolwiek inąd, a następnie zaskoczony zostałem piorunem koło dębu pod Efezem.

Delficcy kapłani podnieśli dłonie, zadając sobie nawzajem pytania:

— Jak mamy rozstrzygnąć tę przykrą sprawę? Turms nie jest imieniem greckim i nie znaczy nic. Ale nie może on być synem niewolnika. Wówczas bowiem nie wysłano by go w świat z Sybaris. Czterysta rodzin tamtejszych wiedziało, co robią. Wielu barbarzyńców przebywało w Sybaris, by uzyskać greckie wykształcenie. Ale gdyby był barbarzyńcą, dlaczego wysłano by go do Miletu a nie do domu.

Podrażniło to moją miłość własną, kiedy stałem tak oko w oko z tymi czterema zatroskanymi starcami, którzy nosili na skroniach przepaski boga.

— Spójrzcie na mnie uważnie — powiedziałem. — Czy moja twarz jest twarzą barbarzyńcy?

Przyjrżeli mi się i odrzekli:

— Skąd możemy wiedzieć? Twoje szaty są jońskie. Otrzymałeś greckie wykształcenie. Twarzy jest tyle, ilu jest ludzi. Obcego nie poznaje się po twarzy, lecz po odzieży, włosach, brodzie i mowie.

Patrząc na mnie, zaczęli nagle mrugać, i odwrócili się, zerkając na siebie.

Po oczyszczeniu i marznięciu nagle przeniknął moją istotę żar boga i światło boga zaczęło tańczyć mi przed oczyma. Przejrzałem na wylot tych czterech starców. Wiedziałem, że są tak zmęczeni swoją wiedzą i znajomością człowieka, iż nie wierzą już w samych siebie. Coś we mnie było silniejsze od nich. Coś we mnie wiedziało więcej niż oni.

Zima stała przed drzwiami, wnet bóg miał udać się na najdalszą północ, do kraju jezior i łabę-

dzi, i Delfy miały znaleźć się pod władaniem Dionizosa. Sztormy omiatały morza, statki szukały schronienia w portach, do Delf nie przybywali już pielgrzymi. Ci starcy pragnęli odpoczynku, unikali wszelkich decyzji, czekali tylko na ciepło miski z żarem i ciężki jak czad zimowy sen.

— Starcy — błagałem — dajcie mi spokój. Dajcie spokój samym sobie. Wyjdźmy pod niebo i

czekajmy na znak.

13

Wyszliśmy pod zachmurzone niebo. Patrzyli w nie, otulając zmarznięte członki płaszcami.

Z pustego powietrza spadło nagle tańcząc mieniące się niebieskawe puszyste piórko. Schwyciłem je.

— Oto mój znak — powiedziałem pełen radości.

Dopiero później zrozumiałem, że wysoko poza zasięgiem naszego wzroku przelatywało stado gołębi. Błękitne piórko nie spadło znikąd. Mimo to stanowiło ono znak.

Kapłani stłoczyli się wokół mnie.

— Piórko gołębie! — wykrzyknęli zdumieni. — Gołębica należy do tej z Kytery. On jest synem miłości. Patrzcie Afrodyta zarzuciła na niego swój złoty welon. Jego oblicze promienieje.

Gwałtowny podmuch wiatru załopotał naszymi szatami, aż musieliśmy pochylić się pod wiatr.

Na zachodzie nad ciemnym wierzchołkiem górskim zapaliła się słaba błyskawica. W długą chwilę potem grzmot dziewięciokrotnym echem dotarł do naszych uszu z doliny Delf.

Czekaliśmy jeszcze chwilę, ale nic więcej się nie zdarzyło, Kapłani weszli do świątyni i kazali mi czekać w przedsionku. Czytałem sentencje siedmiu mędrców na ścianach przedsionka.

Oglądałem srebrną misę Krezusa. Oglądałem podobiznę Homera. Pachnący dym z wawrzynu docierał do moich nozdrzy z wiecznego ognia na ołtarzu.

Po długiej naradzie kapłani wrócili i ogłosili swój wyrok:

— Turmsie z Efezu, jesteś wolny i możesz iść, dokąd ci się podoba. Bogowie dali znaki. Pytia przemówiła. Bogowie urzeczywistniają w tobie swoje zamiary, nie ty sam. Powinieneś służyć Artemidzie jak dotychczas i składać ofiary Afrodycie, która uratowała cię od śmierci. Ale delficki bóg nie ma z tobą nic wspólnego. Nie potępia cię, ale nie bierze twojej winy na siebie. Niech ją dźwiga efeska Artemida, która wystąpiła przeciw bogini Azji.

— Dokąd mam się udać? — zapytałem.

Odparli:

— Idź na zachód, skąd niegdyś przybyłeś, tak mówi Pytia i tak mówimy my.

— Czy to rozkaz bogów? — pytałam zawiedziony.

— Oczywiście, że to nie jest żaden rozkaz! — wykrzyknęli. — Czyż nie słyszałeś, że delficki bóg nie chce mieć z tobą nic wspólnego i niczego ci nie nakazuje ani nie zabrania? To tylko dobra rada dla

twojej własnej korzyści.

Ale dwanaście miast jońskich podniosło się do buntu przeciw Persom. Na wschodzie szalała burza wolności. To tylko kwestia czasu, kiedy Efez znów zmuszony będzie otworzyć bramy powstaniu. Tak wierzyłem. Nie powiedziałem jednak nic, aby nie drażnić ich jeszcze bardziej.

— Nie jestem wtajemniczony w misteria Artemidy — rzekłem. — Ale przy pełni księżyca Artemida objawiła mi się w snach wraz ze swym czarnym psem. Jako Hekate w swej podziemnej postaci pojawiła mi się, gdy spałem w noc pełni księżyca w jej świątyni, na rozkaz kapłanki. Dlatego wiem, że czeka mnie bogactwo. Kiedy je otrzymam, pošlę dar ofiarny tu, do świątyni.

Oni jednak odparli:

— Nie, nie przysyłaj nigdy żadnego daru delfickiemu bogu. Nie chcemy tego.

Nakazali nawet skarbnikowi, by oddał mi pieniądze, potrącając tylko za utrzymanie i ceremonię oczyszczenia przez ten czas, który spędziłem jako więzień świątyni. Tak byli podejrzliwi wobec mnie i wobec wszystkiego, co w owym czasie przychodziło ze wschodu. Odmówili również przyjęcia cyzelowanej złotem perskiej tarczy, którą Ateńczycy zdobyli jako łup wojenny w drodze do Sardes i chcieli przesłać do świątyni jako dar ofiarny.

14

7

Byłem wolny, ale Dorieus nie dostał jeszcze odpowiedzi, o którą prosił delfickich kapłanów.

Z czystej przekory usunęliśmy się z obrębu świątyni i razem spędzaliśmy czas pod murem, wycinając nasze imiona na miękkim kamieniu. Na ziemi leżały tam nagie prastare święte głazy, przy których czczono bogów podziemnych już tysiąc lat wcześniej, niż Apollon przybył do Delf.

Dorieus chlostał te wryte w ziemię głazy gałązką wierzby, mówiąc:

— Jestem niecierpliwy i aż mnie ponosi. Wychowano mnie do wojny i czynów bohaterskich.

Wychowano mnie do jedzenia i spania pośród moich towarzyszy. Samotność i bezczynność snują w mojej głowie mnóstwo szalonych myśli. Zaczynam wątpić w wyrocznię i jej zgrzybiałych kapłanów. Moja sprawa jest polityczna, a nie boska. Można ją rozstrzygnąć mieczem. A nie żuciem liści wawrzynu.

— Pozwól mi być twoją wyrocznią — rzekłem. — Żyjemy w okresie przemian. Wypraw się ze mną na wschód, przez morze do Jonii. Tam zaczęto tańczyć taniec wolności. Persowie grożą buntowniczym miastom zemstą. Tam wyćwiczony wojownik jest mile widziany, może zdobyć łup i zostać dowódcą.

Opowiadałem dalej:

— Oczekiwaliśmy pomocy od wszystkich miast Hellady, ale tylko Ateny przysłały dwadzieścia okrętów, a i te odwołano po naszej ucieczce z Sardes.

Odrzekł niechętnie:

— My w Sparcie nie kochamy morza i nie mieszamy się do tego, co dzieje się po jego drugiej stronie. Wasz Aristagoras z Miletu przybył przecież zeszłej zimy do Sparty, by nas przekupić, abyśmy w tym wzięli udział. Pokazywał nam miedzianą tablicę, na której wyrył kraje i miasta.

Ale wszyscy śmiali się z niego, kiedy usłyszeli, że najpierw trzeba przepłynąć przez niebezpieczne morze, a potem odbyć trzydzieści trzy marsze dzienne, by dojść do Suzy i pokonać wielkiego króla. Przecież tymczasem zbuntowałiby się heloci. Wrodzy sąsiedzi napadliby na Spartę. Nie, Sparta nie miesza się do spraw po drugiej stronie morza.

— Jesteś wolnym człowiekiem — rzekłem — i przesady twoich ziomków już cię nie wiążą.

Morze jest wspaniałe, nawet jeśli sięga daleko. Miasta jońskie to wspaniałe miasta. Nie jest tam zbyt chłodno zimą ani zbyt gorąco latem. Zostań moim towarzyszem i chodź ze mną na wschód.

Odparł:

— Rzucajmy kości owcze dla nas obu, zobaczymy, w którą stronę mamy się udać.

Obok ponurych głazów z podziemia rzucaliśmy kości. Nie daliśmy wiary pierwszemu rzutowi, lecz rzucaliśmy trzykrotnie, raz po raz każdy. Za każdym razem kości wskazywały wyraźnie na zachód.

Dorieus rzekł kwaśno:

— To jakieś kiepskie kości. Nie są odpowiednie do wróżenia.

Zrozumiałem z tego, że w głębi ducha pragnął już móc towarzyszyć mi na wojnę z Persami.

Toteż powiedziałem z udanym wahaniem:

— Na własne oczy widziałem podobiznę mapy świata sporządzonej niegdyś przez Hekatajosa.

Bez wątpienia wielki król jest straszliwym wrogiem. Panuje on nad tysiącem ludów od Egiptu aż po Indie. Tylko Scytów nie udało mu się ujarzmić.

Dorieus wtrącił gniewnie:

— Im potężniejszy wróg, tym zaszczytniejsza walka.

15

— O mnie nie musisz się bać — zaznaczyłem. — Jak mogłaby broń ludzka zranić mnie, z którym

piorun sobie nie poradził. Wierzę, że jestem w walce nie do zranienia. Inna sprawa z tobą.

Nie będę cię więcej kusił na niepewną przygodę. Kości wskazują na zachód. Musisz im wierzyć.

— Dlaczego ty sam nie ruszysz ze mną na zachód? — zapytał. — Jestem wolny, jak mówisz, ale moja wolność jest zimną wolnością i nie mam żadnego towarzysza ani przyjaciela, by ją ze mną dzielił.

Odparłem:

— Mnie kości pokazują drogę na zachód i kapłani w Delfach także wskazywali na zachód.

Właśnie dlatego pójdę na wschód i udowodnię sobie samemu, że znaki i ostrzeżenia bogów nie mogą mi przeszkodzić zrobić tak, jak sam zechcę.

Dorieus zaśmiał się i powiedział:

— Przeczysz sobie samemu.

— To ty nic nie rozumiesz — odrzekłem. — Chcę sobie udowodnić, że nie mogę uniknąć losu.

Dlatego postępuję tak, jak sam chcę, nie zważając na znaki i ostrzeżenia.

Właśnie wtedy przyszli słudzy świątyni po Dorieusa. Podniósł się gwałtownie z głazu podziemnego boga, a twarz jego rozjaśniła się. Udał się biegiem do świątyni, a ja zostałem przy du-

żym ołtarzu ofiarnym, by na niego czekać. Wrócił z opuszczoną głową i powiedział:

.— Pytia przemówiła. Kapłani wytłumaczyli jej słowa. Sparcie grozi przekleństwo, jeśli kiedykolwiek wrócę do mego kraju. Dlatego muszę udać się za morze. Radzą mi, żebym pożegłował

na zachód. W którymś z bogatych miast na zachodzie każdy z tyranów chętnie weźmie mnie na swój żołąd. Na zachodzie leży mój grób, powiadają. Na zachodzie czeka mnie nieśmiertelne imię, mówią także.

— A więc płyniemy na wschód — wtrąciłem z uśmiechem. — Jesteś jeszcze młody. Dlaczegoż miałbyś niepotrzebnie spieszyć się do grobu?!

Jeszcze tego samego dnia rozpoczęliśmy naszą wędrówkę ku morzu. Ale morze było wzburzone i statki zaniechały już na ten rok żeglugi. Dlatego szliśmy dalej lądem, nocując w pasterskich szałasach. Owce spędzono już na dół, w doliny, i psy nie pilnowały już szałasów w górach.

We wioskach nie spotykaliśmy się z gościnnością, choć przychodziliśmy z Delf.

Kiedy mineliśmy już Megarę, musieliśmy zatrzymać się, by się zastanowić, jaką obrać drogę do Jonii. W Atenach miałem przyjaciół wśród tych, którzy wrócili z wyprawy do Sardes. Ale przy władzy była teraz w Atenach partia umiarkowanych, którzy obawiali się mieszać do sprawy powstania jońskiego. Toteż podejrzewałem, że moi przyjaciele niechętnie będą wspominać swoją



wojenną wyprawę.

Korynt natomiast był najgościnniejszym z wszystkich miast Grecji. Z obu jego portów wypływały statki na wschód i na zachód. Także statki fenickie mogły tam swobodnie zawijać, i ludność przywykła do obcych. Tak słyszałem.

— Chodźmy do Koryntu — powiedziałem. — Tam dowiemy się najnowszych wiadomości z Jonii. I tam znajdziemy najpóźniej na wiosnę statek, który nas przewiezie.

Dorieus spochmurniał i rzekł:

— Jesteśmy przyjaciółmi i jako Jończyk wiesz o podróżach i obcych miastach więcej niż ja.

Ale nie zgadza się to z moją naturą Spartanina słuchać bez zastrzeżeń cudzych rad.

— Rzucajmy więc kości jeszcze raz — zaproponowałem.

Tak jak umiałem, wyrysowałem na piasku strony świata według słońca oraz kierunki do Aten i Koryntu. Dorieus rzucił kości. Pokazywały niezachwianie na zachód. Kwaśno powiedział do mnie:

— Chodźmy więc do Koryntu. Ale nie jest to ani moja, ani twoja decyzja.

16

Bez wątpienia miał wolę silniejszą niż moja. Toteż ustąpiłem.

— Jestem zepsuty jońskimi zwyczajami. Zepsuł mnie mędrzec gardzący ludźmi. Ten, kto poszerza swą wiedzę, zużywa też swą siłę woli. Pójdźmy więc za twoją wolą i udajmy się do Koryntu.

Ulżyło mu na duchu, zaczął się uśmiechać, rozpędził się i rzucił oszczep jak mógł najdalej w kierunku Koryntu. Pobiegliśmy za oszczepem ramię przy ramieniu. Ale kiedy do niego dobiegli-

śmy, ujrzeliśmy, że wbił się w zmurszałą deskę nadbrzeżnego wraku. W sercu poczuliśmy obaj, że był to zły znak, ale nie powiedzieliśmy ani słowa, i nawet nie spojrzeliśmy na siebie. Dorieus wyrwał oszczep i biegiem udaliśmy się w dalszą drogę do Koryntu, nie oglądając się za siebie.

Następnej wiosny popłynęliśmy na jednym z pierwszych statków do Jonii.

Pisząc te słowa, ja, Turms, przeżulem liść wawrzynu i przywiódłem sobie znowu na pamięć Delfy. Ulałem na dłoń kroplę wody różanej i oddycham powietrzem Koryntu. Wtarłem między palce suche morszczyzny, żeby lepiej pamiętać, jak oszczep Dorieusa wbił się w zmurszałą burtę wraku. Kładę na języku ziarnko soli, by poczuć smak żelaza klingi miecza.

Nasze trzy lata wędrówki po Jonii były dymem pożarów i zgiełkiem walki, atakami i ucieczkami, zaduchem trupów i smrodem naszych ropiejących ran, czczymi zwycięstwami i bezowocnymi porażkami, podczas gdy Persowie spychali siły zbrojne Jonii w morze i zaczęli oblegać zbuntowane miasta.



# Dionizjos z Fokai

## I

W czasie wojny z Persami zdobyłem rozgłos dzięki memu śmiechowi, ponieważ nie bałem się śmierci. Dorieus zyskał sławę, gdyż bezpiecznie było walczyć pod jego dowództwem. Ale gdy Persowie okrążyli Milet od strony lądu, Dorieus powiedział:

— Milet nadal chroni za swymi plecami miasta jońskie. Ale na lądzie Persowie mają przewagę. Każdy Jończyk troszczy się tylko o swoje własne miasto. Dlatego wszystko wokół nas rozla-tuje się i panuje tu wielkie zamieszanie. Ale flota stoi jeszcze koło wyspy Lade.

Dorieus był brodaty. Miał pióropusz na hełmie i srebrne figury na tarczy. Rozejrzał się dokoła i ciągnął:

— To miasto jest bogate i ma niedostępne mury. Uważam, że jest ono pułapką. Nie przywykłem do bronienia murów. Moim jedynym murem jest tarcza. Turms, mój przyjacielu, opuśćmy Milet. To miasto śmierdzi już trupem.

Zapytałem:

— Mamy więc opuścić stały grunt i wybrać do walki kołyszący się pokład okrętu? Ty, któryś nie przywykł do morza i bledniesz od ruchu fal?

Dorieus odparł:

17

— Teraz jest lato i morze ściele się spokojnie. Ponadto jestem hoplitą i muszę bić się na pokładzie i oddychać świeżym powietrzem. Okręt jest ruchomy. Mury są nieruchome. Jedźmy rozejrzeć się do Lade.

Kazaliśmy się zawieźć tam łodzią. Było to łatwe, bo między miastem i wyspą roiło się od łodzi. Z miasta dowożono żywność, owoce i wino dla floty, a z floty przyplływał strumień męż-

czyn, by obejrzyć złoty Milet.

W Lade zobaczyliśmy niezliczone okręty wojenne z wszystkich miast Jonii, wielkie i małe, lecz największe były potężne okręty z Miletu. Sznury okrętów wpływały na otwarte morze przez wąską cieśninę. Na morzu ustawiały się w szyku szeregami, błyskając piórami wiosel i wzbijając pianę pędziły na falach, by ćwiczyć się w taranowaniu wrogów.

Większa część okrętów jednak leżała wyciągnięta na ląd wzdłuż całej wyspy. Ich załogi rozci-

ągnęły żagle, robiąc z nich daszki od słońca. Na brzegu rozlegały się krzyki kramarzy, zgiełk pijących wino, sprzeczki dowódców i zwykła grecka gadanina. Wielu ludzi leżało zmęczonych i spało, nie

zważając na hałas.

Dorieus spytał kilku żeglarzy:

— Dlaczego tak tu leżycie i leniuchujecie, pijąc wino, choć flota perska nadciąga? Mówią, że mają oni trzysta lub czterysta okrętów.

Odrzekli:

— Miejmy nadzieję, że Persowie mają tysiąc okrętów, tak że szybko się skończy ta nieznośna wojna. Jesteśmy wolnymi jońskimi mężczyznami, doświadczonymi na lądzie i jeszcze bardziej doświadczonymi na morzu. Na morzu Persowie nigdy nas jeszcze nie pokonali.

Ale po tych przechwałkach ludzie zaczęli narzekać, mówiąc:

— Jedno, co nas martwi, to nasi żądni sławy i opętani wojną dowódcy, którzy zmuszają nas do wiosłowania tam i z powrotem w słonecznym upale i niewolą nas bardziej, niż mogliby to zrobić Persowie. Nasze dłonie są pokryte pęcherzami, a z twarzy złazi nam skóra.

Pokazali nam dłonie, rzeczywiście obdarte ze skóry, gdyż ci ludzie byli mieszkańcami miast i żyli bezpiecznym życiem, uprawiając zawód. Toteż uważali, że nie ma sensu wiosłować i męczyć się do utraty tchu.

— Nie — mówili. — Wybraliśmy sobie teraz nowych i mądrzejszych dowódców i postanowiliśmy odpocząć i zebrać siły, abyśmy byli mocni jak lwy, gdy nadejdą Persowie.

Wędrowaliśmy po brzegu między obozami i oglądaliśmy okręty wojenne. Wszędzie słyszeliśmy takie same sarkania. Słyszeliśmy też, jak dowódcy kłócą się ze sobą o to, kto ma służyć drugiego. Dowiedzieliśmy się też, że flota potrzebuje stu wiosłarzy na każdym dziesięciu hoplitów.

Dorieus potrząsnął głową i powiedział:

— Nie liczba rozstrzyga, lecz jakość. Ale jeśli musi się użyć ludzi niewycwiczonych, pierwszą regułą sztuki wojennej jest wówczas kazać im maszerować tam i na powrót z miejsca na miejsce, dopóki nie będą tak zmęczeni, wygłodniali i zrozpaczeni, że raczej wyteżą ostatnie siły w atakowaniu wroga, niż pomyślą o ucieczce. Dlatego uważam za najmądrzejszych dowódców, którzy kążą swoim wiosłarzom bez przerwy wiosłować tam i z powrotem.

Gdy wieczór przyniósł ochłodzenie i spokojne morze przybrało barwę czerwonego wina, pięć ostatnich okrętów zawinęło do swoich stanowisk na wyspie. Były to tylko pięćdziesięciowios-

łowce, ale ich wiosła unosiły się i opadały, wiosłowały niestrudzenie na komendę i sygnały tak równo i w takt, jak gdyby wszystkie obsługiwał jeden jedyny człowiek.

Na te okręty Dorieus popatrzył z zadowoleniem i zaproponował:

— Chodźmy zapytać, z jakiego miasta przybywają i kto jest ich dowódcą.

18

Gdy wioślarze wciągnęli wiosła i wyskoczyli do wody, by wyciągnąć okręty rufą na ląd, wrzucili też do morza kilku zemdlonych ludzi. Woda otrzeźwiła ich na tyle, że zdołali wyczołgać się na ląd, gdzie padli jak dłudzy na piasek, nie mając siły ruszyć palcem. Niektórzy utonęliby, gdyby nie wynieśli ich na brzeg towarzysze. Okręty nie miały ani ozdób, ani posągów bogów, ale były mocne, wąskie i żeglowne, i już z daleka pachniały smołą.

Czekaliśmy, aż rozpalą ogniska kuchenne. Jedzenie składało się z kaszy i jarzyn, chleba i oliwy. Kiedy ci, którzy nadal leżeli na brzegu, poczuli zapach jedzenia, podczołgali się do kotłów, choć nogi nie chciały ich jeszcze nosić. Podeszliśmy do jedzących i zapytaliśmy:

— Kim jesteście i skąd przybywacie? I kto jest waszym dowódcą?

Odparli:

— Jesteśmy z Fokai, biedni ludzie o nikłym rozgłosie, a nasz dowódca nazywa się Dionizjos.

To okrutny i bezlitosny człowiek, którego byśmy zabili, gdybyśmy tylko mogli się na to odważyć.

Ale mówiąc to śmiali się i stroili zabawne grymasy, a jedzenie bardzo im smakowało, choć nie była to tłusta strawa, którą podawano na okrętach z Miletu. Pokazali nam swego dowódcę.

Nie wyglądał lepiej od nich, był po prostu całkiem zwykłym, roslym, brodatym i brudnym mężczyzną. Dorieus podszedł do niego, brzęcząc nagolennicami, potrząsając pióropuszem i poruszając srebrną tarczą, tak, aby błyszczała.

— Dionizjosie z Fokai — powiedział. — Proponuję ci, żebyś wziął mnie i mego przyjaciela na swój żołd jako hoplitów na okrętach.

Dionizjos zaśmiał się chrapliwie i odparł:

— Gdybym miał pieniądze, wynająłbym cię jako figurę dziobową, a wtedy z pewnością już sam twój bohaterski wygląd zmusiłby Persów do ucieczki. Sam mam przecież tylko skórzany hełm i skórzany pancerz, i nie biję się dla pieniędzy, lecz dla mego miasta i własnej chwały. Choć oprócz chwały mam przecież także nadzieję, że zdobędę kilka perskich okrętów, by zyskać trochę łupu dla siebie i dla moich ludzi. Inaczej zabiją mnie i wrzucą do morza, jak to obiecują i jak się codziennie zaklinają straszliwymi zaklęciami.

Wmieszałem się do rozmowy i rzekłem:

— Nie gniewaj się na mego towarzysza. On rzadko się śmieje. Ale za pokładowego hoplitę płaci się

dziś pięć, ba, dziesięć drachm dziennie.

Dionizjos odparł:

— Także i ja śmieję się rzadko, może nie częściej niż twój towarzysz. Ale ostatnio nauczyłem się śmiać lepiej niż dawniej. Jest tu w obozie więcej złota z perską cechą, niż można by pomy-

śleć, żebym je zdobył jako łup. Piją tu i używają życia, śpiewają i skaczą, chełpią się i kłóca, tak że nawet ja, z natury ociężały, nauczyłem się śmiać i nawet bawić moich ludzi. Ale największą bzdurą, jaką słyszałem, jest to, że wy obaj, wyglądający na ludzi otrzaskanych z wojną, przychodzicie do mnie i ofiarujecie mi swoje usługi, choć ani nie mam żagla w pasy, ani złotej przepaski na ramieniu.

— To zwykły wojenny rozsądek — odezwał się Dorieus. — Z żołem czy bez niego biję się lepiej na okręcie, gdzie wiosła poruszają się w takt na rozkaz, aniżeli na takim, gdzie załoga wybiera i zrzuca swoich dowódców jak sama chce. Nie znam sztuki wojowania na morzu, ale sądząc z tego, co widziałem dziś na Lade, jesteś jedynym żeglarzem w moim guście.

Dionizjos wysłuchał nas i polubił. Obaj mieliśmy jeszcze pieniądze pozostałe z żołu i wojennego łupu. Poszliśmy w końcu i kupiliśmy sporo mięsa ofiarnego koło ołtarza Posejdona. Kupili-

śmy też wina i podzieliliśmy to wszystko między zmęczonych wiosłarzy Dionizjosa. Ten zdziwił się bardzo i rzekł:

19

— Jesteśmy mężami z Fokai i żyjemy i umieramy na morzu. Nasi przodkowie założyli Massilię, najdalej z kolonii greckich po drugiej stronie zachodniego morza. Nasi ojcowie uczyli się sztuki wojowania na morzu, walcząc z Tyrrenami na zachodzie, ale nie wrócili nigdy do domu, by nas tej sztuki wyuczyć. Dlatego musimy próbować nauczyć jej się sami i nie polegać na innych.

Aby pokazać, o co mu chodzi, kazał dać w konchy pośrodku nocy i kopniakami budził swoich zmęczonych ludzi. Potem posłał ich biegiem na okręty. W ciemności podnieśli maszty i umocowali je, i wciągnęli żagle w krótszym czasie, niż zajęło mi wdrapanie się na pokład. Ale mimo tego Dionizjos nie był zadowolony, tylko ryczał i przeklinał, i bił okrutnie swoich ludzi końcem liny, wyzywając ich od ślimaków.

Od wrzawy zbudziła się cała wyspa, wszędzie trąbiono na alarm i rozeszły się szybko pogłoski, że nadciągają Persowie. Wielu płakało i biadało, usiłując ukryć się w nadbrzeżnych zaroślach.

Daremnie dowódcy wykrzykiwali rozkazy, zamieszanie w obozie było jeszcze większe niż za dnia. Kiedy okazało się, że Dionizjos chciał tylko ćwiczyć swoich ludzi w wiosłowaniu i stawianiu i składaniu w ciemności masztu, i dlatego kazał dać w konchy w środku nocy, wielu dowódców przybiegło do nas z wyciągniętymi mieczami, grożąc, że nas pozabijają, jeśli nie damy im i ich załogom wypoczynku nocnego.

Ale ludzie Dionizjosa wybiegli naprzeciw, wlokąc między sobą liny, tak że tamci potykali się o nie i

wielu pogubiło w ciemności miecze i tarcze. Niewiele brakowało, a mogłoby nawet dojść do walk na wyspie między samymi Jończykami, gdyby wszyscy nie byli zanadto śpiący. Prawdę mówiąc wielu z tych, którzy nadbiegli z mieczami i oszczepami, było tak pijanych, że rano nie mogli sobie przypomnieć, gdzie pogubili broń.

2

Wojna na morzu jest bezlitosna i żadna wojna na lądzie nie może się z nią równać. Zakosztowawszy tego sam, nie chcę powiedzieć zbyt wiele złego o okrętach Miletu i jego sprzymierzeń-

cach, gdyż bez wątpienia były to okręty znakomite, a ludzie nieustraszeni. Posarkawszy trochę, wypłynęli na ćwiczenia i harowali przy wiosłach aż do wyczerpania. Nie ma straszliwszego narzędzia niż wiosło dla nieprzyzwyczajonego. Wali go ono po głowie i łamie mu żebra. Sam wiem to najlepiej, ponieważ Dionizjos dał także i mnie wiosło, i już pierwszego dnia odarło mi ono skórę z dłoni.

Ale niebawem przyszła noc, kiedy niebo nad lądem zapaliło się czerwienią i w obozie rozeszła się wieść, że Persowie zdobyli i splądrowali świątynię Apollona jońskiego i podpalili ją na znak dla swojej floty.

Gdy tak stałem, patrząc na ciemnoczerwone nocne niebo, czułem z przygnębiającą pewno-

ścią, że jest to zemsta Persów za pożar świątyni Kybele w Sardes. Toteż szczęściem dla mnie było, że żyłem nieznany i nie zauważany w małym obozie Dionizjosa. Gdybym był pozostał

w Milecie i został rozpoznany, rozjątrzony lud zabiłby mnie.

W Lade panował strach i zamieszanie. Ale w ciągu nocy nastąpiło uspokojenie. Wielu mówi-

ło, że Persowie ściągnęli na siebie przekleństwo, niszcząc wyrocznię. Inni twierdzili, że nic już nie może uratować Jonii, skoro sam bóg nie zdołał uchronić swojej największej świętości. Ale wszyscy oczyszczali się, splatali włosy, namaszczeni twarze i wdzielali najlepsze szaty, żeby być gotowymi do boju.

Gdy zaświtał poranek, na lądzie stałym wciąż jeszcze wznosiły się grube słupy dymu jako sygnał dla floty perskiej, której setki okrętów wypłynęły w nocy na morze szukać boju. Z rykiem rogów i konch wypłynęliśmy im na spotkanie w szyku bojowym ustalonym przez Radę, z najwię-

20

kszymi okrętami pośrodku, a lżejszymi na obu skrzydłach. Złoty Milet zniknął z tyłu za nami. Ale wszystko szło opieszale. Okręty wchodziły sobie w drogę i wiele wiosł łamało się. Im bardziej zbliżaliśmy się do Persów, tym bardziej skupiały się nasze okręty, jak gdyby w obawie.

Mogliśmy rozróżnić okręty fenickie lśniące od brązu i srebra, z ich straszliwymi podobiznami bogów. Ale w nieprzyjacielskim szyku widzieliśmy też greckie okręty z Cypru i inne jońskie okrę-



ty. Na okrętach fenickich składano w ofierze jońskich jeńców i wylewano ich krew do morza przed dziobami.

Na morzu pełno było perskich okrętów. Ale wypełniała je też flota związku miast. Uderzenia pałką w brązowe misy zaczęły przyspieszać takt. Zaśpiew wiosłarzy stawał się coraz dzikszy. Szeregi okrętów pędziły ku sobie z pianą wokół stewa. Wiem, że w gardle zrobiło mi się sucho. Wiem, że ze strachu dostałem skurczu żołądka. Potem pamiętam już tylko zgiełk i szcęk, zamieszanie, tryskającą wodę i przeraźliwe krzyki umierających.

W pierwszym natarciu odnieśliśmy sukces. Nasze okręty poszły za znakiem Dionizjosa i po-płynęły ukosem ku wrogowi, podstawiając mu długie boki do staranowania. Ale skręciliśmy w porę z wielką szybkością i nasz taran wbił się z trzaskiem w wysoki okręt, który przechylił się, grożąc nam zmiżdżeniem. Ludzie spadali z niego do morza i na nasz pokład. W powietrzu świszczą strzały. Na przemian wiosłowaliśmy i manewrowaliśmy, żeby oswobodzić się i zmusić okręt wroga do zatonięcia, ale przy tym uderzyliśmy rufą o inny okręt. Stamtąd zeskoczyli wojownicy na nasz okręt i deski pokładu zahuczały od walki wręcz. Wszystkie nasze pięć okrętów stłoczyło się w splątany kłęb pośród okrętów wroga. Nasi wiosłarze wybiegli na pokład z bronią w ręku, ale wielu padło od perskich strzał. W tym zamęcie Dorieus i ja znaleźliśmy się na pokładzie fenickiego okrętu. I nim się zorientowaliśmy, jak to się stało, zdobyliśmy go i straciliśmy do morza posąg bożka na dziobie wraz z tymi, którzy nie mieli odwagi, by walczyć i paść na zalanym krwią pokładzie.

Było nas niewiele, musieliśmy więc opuścić znowu okręt i pozwolić mu dryfować z poła-manymi wiosłami. Kiedy walka osłabła i Dionizjos wezwał swoje okręty, odpowiedziało mu wszystkie pięć i ujrzeliśmy, że dokonaliśmy wyłomu w nieprzyjacielskim szyku. Gęsto zwarci, na uginających się wiosłach ruszyliśmy przeciw nowym wrogom, ku środkowi, gdzie potężne okręty Miletu wgrzyły się mocno w nieprzyjaciela. Około południa nasz pięćdziesięciowiosłowiec zaczął pod nami tonąć i aby się ratować, musieliśmy zdobyć fenicką birenę. Gdy Dionizjos wciągnął na niej swój proporzec dowódcy, rozglądał się dokoła i wykrzyknął:

— A to co ma znaczyć?!

Ujrzeliśmy tonące i dryfujące okręty, pływających rozbitków i płynące trupy, ludzi czepiających się wioseł i szczątków okrętów. Flota jońska pozostawiona dla ochrony wlotu do Lade płynęła teraz z wielką szybkością, by uderzyć nam w plecy. Dionizjos powiedział:

— Zwlekali, by zobaczyć, na czyją stronę przechyla się zwycięstwo. Teraz kupują dla swego miasta łaskę u Persów. Bogini zwycięstwa opuściła Jonię.

Mimo to walczyliśmy dalej pod dowództwem Dionizjosa i straciliśmy dwa z naszych okrę-

tów, ale uratowaliśmy z nich tych, którzy przeżyli, tak że mieliśmy pełne załogi na trzech pozostałych. Dionizjos kazał fenickim wiosłarzom wyskoczyć do morza, ponieważ im nie ufał. Po czym oderwał się od przeciwnika i wypłynął na pełne morze. Mnóstwo jońskich okrętów uciekało na północ, a Persowie ścigali je. Jońskim wiosłarzom przydały się teraz siły, które zbierali przez wiele tygodni, wylegając się na brzegu pod daszkami od słońca.

Brałem udział w bitwie pod Lade, powinienem więc mieć dużo więcej do opowiedzenia. Nie miałem jednak na morzu doświadczenia i nie przywykłem odróżniać z bliska jednego statku od drugiego. Ale na naszym okręcie omawiano potem przebieg bitwy przez wiele tygodni przy każdej wolnej chwili, i każdy z nas miał inny pogląd i wiedział wszystko lepiej, niż pozostali.

21

Mego braku doświadczenia w wojnie na morzu dowiódł najlepiej fakt, iż zdziwiłem się ogromnie zobaczywszy na naszym pokładzie stos skrzyń z pieniędzmi, drogocennej broni, pucharów i mis ofiarnych, złotych pierścieni i naszyjników. Podczas gdy ja walczyłem o życie nie zdążywszy nawet rozejrzeć się wokół siebie, Dionizjos i jego wyćwiczeni żeglarze znaleźli czas, aby ratować wszelkie kosztowności na okrętach, które zdobywaliśmy, i odcinać ramiona i kciuki, ażeby szybko zabrać bransolety i pierścienie.

Dionizjos był zachwycony okrętem fenickim. Opukiwał deski cedrowe, oglądał wszystkie pomieszczenia i ławy wiosłarzy i orzekł:

— Co za okręt! Gdybym miał sto takich z załogą z ludzi z Fokai, panowałbym nad wszystkimi morzami.

Nie rozbił posągu bożka okrętowego, lecz złożył mu ofiarę i błagał:

— Przejdź na moją stronę, fenicki bogu, jakkolwiek się nazywasz, i walcz za nas.

Nie zmienił niczego na okręcie. Przeciwnie, rozdzielił fenickie tarcze i znaki okrętowe także między nasze oba pięćdziesięciowiosłowce. A po obu stronach dziobu kazał wymalować parę dużych oczu, aby okręt znalazł drogę także na nieznanym wodach.

Wieczorem ścieliło się wokół nas puste morze. Dionizjos nie zbliżał się w nocy do lądu, lecz kazał okrętom wiosłować w zasięgu słuchu, często zmieniając ludzi u wiosła. Okręt pełen był

jęków i narzekań rannych, a cała sztuka lekarska Dionizjosa polegała na okładach wodą morską i smarowaniu ran smołą. Sam Dionizjos miał dużo ran tłuczonych, a ktoś uderzył go wiosłem w głowę tak, że gdy usiłował zdjąć hełm, wraz z nim oderwał kawałek skóry z głowy. Toteż mówił, że potrzebuje raczej kowala niż lekarza.

Widząc całą tę niedolę wokoło siebie, ciemną nocą, na przeraźliwie pustym morzu, wstydzi-

łem się, że sam nie jestem ranny, i łzy zrosiły mi policzki. Płakałem po raz pierwszy od czasu, kiedy Heraklejtos wygnał mnie z domu i nazwał niewdzięcznikiem. Tańczyłem taniec wolności i pomogłem ludowi w Efezie przepędzić Hermodorosa, i tego Heraklejtos nie mógł mi wybaczyć.

Dionizjos zaskoczył mnie, gdy płakałem, dotknął w ciemności dłonią moich policzków i zapytał zdziwiony:

— Czemu płaczesz, Turmsie, jedyny, którego widziałem śmiejącego się w boju? Śmiałeś się przecież

całą gębą, kiedy śmierć szalała wokół ciebie?

— Wybacz mi moje łzy — prosiłem. — Pewnie jestem bardziej chwiejny, niż sądziłem. Nie wiem nawet, dlaczego płaczę. Nie zdaje mi się, że z powodu klęski Jonii. Ani też nie płaczę nad samym sobą. Płaczę, kiedy pomyślę o przesyconym dymem powietrzu, o ryłcu pisarskim i tabliczce woskowej, o ironii i mądrości w domu mego nauczyciela. Powiedział mi, że najdłuższa wędrówka człowieka odbywa się w nim samym. Nikt nie może dotrzeć do swoich własnych granic. Całkiem na pewno właśnie z tego powodu płaczę.

Przycisnąłem jego dużą dłoń do mego policzka, płakałem głośno i skarżyłem się:

— Raz Dione rzuciła do mnie jabłko ze swym imieniem wyrytym na skórce. Jabłko to było mi droższe niż cała mądrość mego nauczyciela. Z powodu tego jabłka tańczyłem taniec wolności.

Z powodu tego jabłka rzuciłem płonąca pochodnię do świątyni Kybele w Sardes. Teraz płaczę dlatego, że nie mogę sobie nawet przypomnieć oblicza Dione.

Przeciwieństwo rodzi się z przeciwieństwa w wiecznej walce — ciągnąłem. — Nie ma nic trwałego, lecz wszystko w każdej chwili się zmienia i ja sam też się zmieniam. Wszystko jest promieniowaniem tego samego ognia, także ziemia i woda. Z ognia wyszło wszystko i w ogień się wszystko obróci, Bóg jest nocą i dniem, zimą i latem, głodem i sytością. Dlatego jest on zmienny jak płonące kadziło. Z każdym nowym zapachem otrzymuje nowe imię.

Dionizjos miał strokaną minę, dotknął mego czoła i powiedział: 22

— Czyżby ugodzono cię w głowę?

Odwrócił się pod wiatr, poślinił palec wskazujący i podniósł go w powietrze, posłuchał szumu wody za rufą i sprawdził pozycje gwiazd. Po czym rzekł:

— Nie jestem wprawdzie uczonym człowiekiem, ale na prądach morskich i wiatrach znam się, i wiem, jak jest zbudowany okręt. Gdybyś był zwykłym członkiem załogi, wnet bym wyleczył twój płacz kilkoma uderzeniami liną. Ale ty jesteś moim przyjacielem. Dlatego możesz sobie wybrać najpiękniejszy naszyjnik, jaki znajdziesz w łupie, jeśli tylko przestaniesz płakać. Twój płacz przyprawia mnie o ciarki na grzbiecie bardziej niż ryki wojenne Persów.

Odpowiedziałem mu przekleństwem i słowami:

— Możesz wrzucić do morza twój naszyjnik. Zabijałem dziś ludzi, moich bliźnich, mieczem i oszczepem. Ich cienie prześladują mnie. Widzę ich twarze i rozcięte mieczem szczęki. Ich zimny oddech owiewa mi czoło.

Dionizjos wybuchnął śmiechem, obiecał złożyć następnego dnia potrzebne ofiary pojednania i posłał mnie spać na pachnącym mirrą łożu fenickiego dowódcy. Zapach mirry usunął smak krwi z moich ust. Zapadłem w sen ciężki jak śmierć i przysłała do mnie we śnie uskrzydłona zjawa o nagich członkach, uśmiechając się cudownie. Ale kiedy chciałem zamknąć ją w ramionach, rozpląnęła się, wymknęła mi się z rąk jak cień i znikła.

Kiedy się zbudziłem, słońce stało wysoko na niebie, woda za rufą szumiała, wioślarze śpiewali w takt uderzeń o brązową misę, i ku memu zdumieniu zobaczyłem po słońcu, że płyniemy na południe, a nie na północ ku Fokai.

Dorieus siedział na dziobie i robił sobie ze zwilżonej szmatki okładę na głowę. Zakląłem na wszystkich morskich bogów i zapytałem:

— Dokąd płyniemy?

Na lewo widziałem brązowe pagórki nadbrzeżne, a na prawo wyspy jak niebieskie cienie.

Dorieus odparł:

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Mam w głowie cały ul pszczoł i mdli mnie od samego pa-trzenia na morze.

Wiatr przybrał na sile, fale przyskały pianą, a naszym śladem za rufą płynęły oba inne okręty w przepisanej odległości. Od czasu do czasu fala wpadała przez luki wiosłowe. Ale Dionizjos śmiejąc się wesoło, stał obok sternika i spierał się z nim o góry i znaki na lądzie.

— Dokąd płyniemy? — zapytałem, — Prowadzisz nas przecież na wody perskie.

Dionizjos zaśmiał się:

— Okręty jońskie uciekają na północ do swoich miast, z wyjątkiem okrętów z Miletu, które szukały schronienia w porcie. My jesteśmy daleko za perską flotą i nikt nie myśli o ściganiu nas tutaj.

Przed dziobem przewalał się na falach delfin, odsłaniając swój błyszczący bok. Dionizjos pokazał mi go i rzekł:

— Czyż nie widzisz, że nimfy morskie pokazują nam kurs i wabią nas krągłymi biodrami?

Dobry jest każdy znak, który prowadzi nas dalej od Persów i utraconej Jonii.

Ale z błysku w jego oku widziałem, że tylko żartuje i że podjął już decyzję, choć ją ukrywał pod pozorami żartobliwości.

Odparłem:

— Masz słusność, Jonię utraciliśmy. Mądrzejsi od nas byli ci którzy uciekli z miast Jonii już wiele lat temu!

Dionizjos zmarszczył krzaczaste brwi i syknął:

— Nie mów o ucieczce. Zrobiliśmy, cośmy mogli. I jeszcze możemy przyczynić Persom kłopotów, zanim pożegnamy się na zawsze z naszymi domami.

— Co zamierzasz uczynić? — zapytałem znowu.

Ale Dionizjos poprzestał na wskazaniu niebieskawego cienia wyspy przed nami, dał znak sternikowi i powiedział:

— Przed nami leży Kos, wyspa cudotwórcy. Nie stój tu i nie gadaj, tylko idź raczej zobaczyć, ilu z nas potrzebuje obola na język, żeby zapłacić przewoźnika.

Zapomniałem o sobie, zostawiłem lśniący grzbiet delfina, wspaniały morski wiatr i zdyszany śpiew wiosłarzy. Zeszedłem na dno okrętu, do rannych, w odór krwi i wypróżnień. Ciemność rozjaśniało tam tylko słabe światło z luk wiosłowych, a jęki rannych już ucichły. Deski dna okrętu śliskie były od skrzepłej krwi. Zaczęło mi się mienić przed oczyma, przypomniał mi się nagle or-ficki kapłan, i mogłem rozróżnić martwych po ciemności wokół nich. Wokół żywych świecił

jeszcze słaby blask promieniowania.

— Jedni są martwi, inni leżą bladzi jak wosk, nie mogąc podnieść dłoni, inni starają się usiąść i wołają o wodę i pożywienie.

Dionizjos nakazał:

— Oddaj martwych Posejdonowi i jego nimfom. Zabiorę z sobą tylko tych, którzy sami mają siłę wyjść, albo wyczołgać się na pokład. Innych pozostawimy na Kos, by śnili w świątyni cudotwórcy.

Ten sam rozkaz krzyknął także do obu pozostałych okrętów, które szły naszym śladem. Ludzie z Fokai przydziali swych martwych towarzyszy, włożyli każdemu monetę do gardła i wyrzucili ich za burtę. Natomiast większość rannych, współzawodnicząc ze sobą, klnąc i stękając modlitwy do bogów o pomoc, wywlokła się na słońce i wiatr, gdyż nikt nie chciał zostać na Kos. Odkąd Persowie podpalili Didymajon, nie ufaliśmy im już, że oszczędzą świątynię syna Apollona, albo uznają ją jako azyl dla rannych.

U kilku przy wysiłku rany otwarły się na nowo, ich dłonie nie mogły utrzymać uchwytu, krew trysnęła na deski, i spadli z powrotem w ciemność na dno okrętu. Widząc to, powiedziałem z wyrzutem:

— Dionizjosie, jesteś bezlitosny.

Potrząsnął kudłatą głową i odparł:

— Nie, Turmsie, przeciwnie, jestem miłosierny dla tych, którzy pójdą ze mną.

Ale nadal nie chciał wyjawić swoich zamiarów. Ze świątynią Asklepiosa jako znakiem na lądzie zawinęliśmy do portu w Kos. W porcie nie było ani jednego większego okrętu, tylko łodzie rybaków

i nurków. Okręty zabrali ze sobą Persowie. Ale miasto oszczędzili.

Kapłani i lekarze zeszli na brzeg i przywitali nas, a Dionizjos kazał znieść na ląd najciężej rannych z wszystkich trzech okrętów. Wielu było nieprzytomnych, inni majaczyli i wydawało im się, że mają święte zwidy. Kapłani byli gotowi dać im schronienie w świątyni, gdzie mogliby za-pać w dobroczynny leczniczy sen. Powiedzieli:

— Nie obawiamy się gniewu Persów. Uzdrowiciel nie patrzy na oszczep lub mowę rannego, na jego brodę czy krój jego szat. Także Persowie zostawili chorych i rannych w naszej świątyni.

Dionizjos zaśmiał się:

— Szanuję waszą świątynię i na szczęście moi ludzie majaczą w gorączce i są bez zmysłów.

Inaczej czołgaliby się i dławili gołymi rękami Persów leżących na podłodze świątyni. A jeśli 24

Uzdrowiciel nie patrzy na pochodzenie lub mowę, to zawsze sądziłem, że ma przynajmniej na oku sakiewki chorych.

Kapłani odrzekli, patrząc mu śmiało w oczy:

— Wielu jest takich, którzy złożyli dary ofiarne świątyni, zakosztowawszy leczącego snu na progu śmierci. Ale gliniane wotum biedaka jest tyle samo warte, co srebrny posążek albo trójnóg bogacza. Nie leczymy za pieniądze, lecz aby wykonywać boski dar, który Asklepios podarował

nam, swoim potomkom. Klniemy się na oko, rękę, i nos, ogień, igłę i nóż.

Dionizjos chciał zajrzeć do przedsionka świątyni, ale kapłani nie pozwolili mu. Już przedtem machali groźnie swymi wężowymi laskami, gdy zobaczyli brodate twarze fokajskich mężów i ich dzikie oczy. Mieszkańcy miasta zebrali pospiesznie żywność na ucztę i uraczyli nas nawet winem, mieszając je jednak z pięcioma częściami wody. Mieli swoje doświadczenia z pijanymi żeglarzami. Słońce zaszło, wierzchołki gór żarzyły się, purpurowe plamy biegały po powierzchni morza, ale Dionizjos wciąż jeszcze zwlekał z wyruszeniem.

Kapłani zaczęli na niego koso patrzeć i dali do zrozumienia, że wcale nie mieli zamiaru chronić okrętów wojennych, nawet jeśli to są okręty jońskie, tylko udzielić schronienia chorym i rannym ludziom.

— Rozumiem was — podparł Dionizjos. — Wolność jońska jest złamana na morzu i na lądzie, nie przeczę. Odtąd musicie rozumieć Persów lepiej niż własnych rodaków. Wyjdę na morze, gdy tylko otrzymam pomyślny znak.

Gdy siny zmierzch zapadł nad wyspą i w chłodnym powietrzu unosił się z ogrodów świątyni zapach korzeni, Dionizjos odciągnął mnie na bok i drapiąc się w brodę, prosił:

— Daj mi radę, Turmsie, ty, który jesteś taki uczony, bo jestem w opałach. Nie chcę w żaden sposób obrazić tych starców i ich boga, ale niebawem znajdziemy się na niebezpiecznych wodach, a nie

mogę sobie pozwolić, by stracić niepotrzebnie choćby jednego tylko zdatnego członka załogi. Dlatego zamierzam po woli czy po niewoli zabrać stąd z sobą któregoś z krewniaków Asklepiosa. Nie może być za stary, by znosić morskie tarapaty. Musi umieć leczyć rany i morskie gorączki i dolegliwości żołądkowe. Poza tym byłoby dobrze, gdyby mówił językiem fenickim, którym włada wielu z tutejszych kapłanów.

— Co zamierzasz uczynić? — zapytałem.

Zerknął na mnie tocząc wolimi oczyma tak, jakby miał wyrzuty sumienia, i wyznał:

— Czyż nie pojmujesz, Turmsie, że Persowie zwerbowali do swojej floty wszystkie cypryj-skie i fenickie okręty wojenne aż z Egiptu? Morze stoi otworem nie strzeżone jak krowi kałdun.

Na Kajrosa. Chcę służyć bogu sprzyjającej chwili.

— Na nieśmiertelnych — zakląłem przerażony. — Uczciwa wojna za wolność, to coś innego niż piractwo na otwartym morzu. Życie pirata bywa krótkie, jego śmierć ponura, a pamięć po nim splamiona niesławą. Ścigają go niemiłosiernie z jednego krańca morza na drugi, nie ma dla niego schronienia, samo jego imię jest obelgą dla uczciwych ludzi.

— Nie pleć na wiatr, Turmsie — ostrzegł mnie Dionizjos. — Miałżebyś obrażać mnie ty, podpalacz świątyń?

— Dorieus i ja nie pójdziemy z tobą w każdym razie — odrzekłem stanowczo.

— W takim razie zostanieie tutaj — powiedział Dionizjos zgodliwie. — Tak, zostańcie tu u tych życzliwych kapłanów. Możesz później starać się tłumaczyć Persom kim jesteś i skąd przybywasz. Zobaczymy się pewnego dnia na łąkach stygijskich, ale mogę przysiąc, że będziesz tam musiał przez czas jakiś poczekać na mnie.

Ostrzegawcze słowa Dionizjosa sprawiły, że się zawahałem. Przynaglił mnie: 25

— Niebawem się ściemni. Daj mi więc radę, jak najlepiej porwać stąd lekarza. Będziemy potrzebowali tęgiego lekarza może już w najbliższych dniach.

— Uczni lekarze dbają o swoją skórę — odrzekłem. — Można to zrozumieć, bo jeśli jakiś miecz ją przedziurawi, ich mozolnie nabyta wiedza wycieknie z niej wraz z życiem. Nawet uczeni lekarze z Miletu nie chcieli przyjść na okręty, choć chętnie godzili się opiekować wszystkimi rannymi bezpłatnie w mieście po zwycięstwie. Nie, dobrowolnie nikt nie zostanie lekarzem na pirackim okręcie.

— Nie jesteśmy przecież piratami, jeśli wzbraniamy się poddać i walczymy dalej na wodach nieprzyjaciela — stwierdził Dionizjos. — Wzbogacę tego lekarza, tak jak każdego, kto pójdzie ze mną.

— Nawet gdyby przeżył — bąknąłem — jakąż pociechę mieć będzie z bogactwa, jeśli pewnego dnia go rozpoznają i jego przeszłość wyjdzie na światło dzienne? Nie ochroni go wtedy żaden lud ani



żadne miasto.

— Turmsie — rzekł Dionizjos — obawiam się, że zostawię cię tutaj czy chcesz, czy nie chcesz, jeśli nie przestaniesz płać i nie weźmiesz się do rzeczy.

Wzdychając nad moim zadaniem, opuściłem go. Po chwili rozejrzawszy się wokół siebie, spostrzegłem niskiego mężczyznę stojącego nieco na uboczu, którego postać wydała mi się tak dobrze znana, że pozdrowiłem go zawołaniem, sądząc, iż widziałem go już gdzieś poprzednio.

Dopiero wtedy zauważyłem, że dzierży on w ręku laskę z węzami. Twarz miał zaokrągloną, oczy niespokojne i zmarszczki na czole.

— Kim jesteś? — zapytałem. — W świetle zmierzchu zdawało mi się, że cię znam.

— Nazywam się Mikon — odparł. — Jestem wtajemniczony, ale nie znam cię, jeśli nie możesz mi dać znaku.

— Mikon? — powtórzyłem. — Kiedy szliśmy na Sardes, poznałem pewnego attyckiego garncarza imieniem Mikon. Poszedł na wojnę, żeby móc sobie kupić za łup wojenny mały piec do wypalania. Wrócił wprawdzie do Aten równie ubogi jak wtedy, kiedy wyruszał, ale był to chłop silny, mięśnie jego ramion były twarde jak guzowate korzenie drzew, a u jego boku wydawało się bezpiecznie uchodzić przed Persami. Mimo to nie stał się dla mnie nigdy równie dobrym znajomym, jak zdajesz mi się ty, w tej chwili, kiedy patrzę na twoją twarz o zmierzchu.

— Przychodzisz w korzystnej chwili, przybyszu — odparł. — Mój umysł jest niespokojny i pełga jak żar na wietrze. Czego chcesz ode mnie?

Żeby się trochę rozeznać w sytuacji, wychwalałem Asklepiosa z Kos, wygląd świątyni i jej mądrych kapłanów. Na co on:

— Siwa broda nie zawsze jest oznaką mądrości. Odziedziczone praktyki mogą przynieść zarówno szkodę, jak i pożytek. Prawdziwy lekarz zakreśla święty krąg wokół siebie laską, jeśli potrzebuje. A w cieniu odziedziczonego szacunku może krzewić się nawet głupota.

— Naturalnie Kos nie jest jedynym przybytkiem lecznictwa — przyznałem. — Lekarze w italskiej Krotonie są podobno najlepsi na świecie. Jeden z nich uleczył samego wielkiego króla i został jego lekarzem przybocznym.

— Jest wielu Greków, którzy pełnią służbę z bronią wśród nieśmiertelnych wielkiego króla.

Nie są to najgorsi Grecy — rzekł Mikon.

— Nie wiem, czy masz słusność — odrzekłem. — Sądzę, że Grek, który jest niewolnikiem, zawsze jest złym Grekiem, choćby nawet nosił złoto na szyi.

— Czemu ganisz innych za to, że są niewolnikami? — zrobił mi wyrzut. — Czyż sam nie jesteś

niewolnikiem? Czyż nie wleciesz swego ciała jak kajdany? Niewolnikami jesteśmy zawsze wszyscy dopóty, dopóki jesteśmy związani z naszą ziemską powłoką.

26

— Nie jesteś chyba orfikiem? — zapytałem.

Potrząsnął głową i powiedział:

— Wiem tylko, że nic, co się dzieje, nie jest bez znaczenia. My sami nie znamy właściwego sensu. Tylko czasem możemy go wyczuwać jak przez zasłonę, jeśli jesteśmy jasnowidzami. Jest jakiś sens także i w tym, że podszedłeś do mnie właśnie dziś wieczorem. Widzisz, nów świeci jak złota nitka na morzu. Czy jesteś może, sam o tym nie wiedząc, posłańcem Artemidy?

Słowa jego sprawiły, że się wzdrygnąłem.

— Mikonie — powiedziałem — świat jest rozległy i wiedza nie rośnie tylko wyłącznie na jednym miejscu. Nie jesteś jeszcze stary. Dlaczego zostajesz tu pod władaniem Persów?

Dotknął mnie ciepłą dłonią i odparł:

— Oczywiście, że nie wzrosłem tylko na Kos. Wędrowałem po wielu krajach, aż po Egipt.

Znam wiele języków i znam też choroby, które są tutaj nieznanne. Powiedz, czego ode mnie chcesz?

Jego dotknięcie wydało mi się dobrze znane, tak jakbym znał go od dawna. Wzburzony powiedziałem:

— Mikon, może jesteśmy wszyscy niewolnikami naszego losu. Jesteś takim człowiekiem, jakiego potrzebuje mój dowódca okrętu. Mam za zadanie wskazać cię, żeby jego ludzie mogli ogłuszyć cię i zabrać siłą na pokład.

Nie wzdrygnął się, tylko przyjrzał mi się badawczo i zapytał:

— Dlaczego więc mnie ostrzegasz? Kim jesteś? Twoja twarz nie jest twarzą Greka.

Gdy patrzył na mnie, poczułem, że wypływa ze mnie jakaś nieposkromiona siła. Podniosła ona moje ramiona prosto w górę, z dłońmi zwróconymi do dołu, ku złotemu pasemku księżyca.

— Nie wiem, czemu cię ostrzegam — wyznałem — nie wiem, kim jestem. Wiem tylko, że chwila wyruszenia nadeszła zarówno dla ciebie jak i dla mnie.

— Ruszajmy więc — powiedział ze śmiechem, wziął mnie pod rękę i poprowadził do Dionizjosa. Byłem oszołomiony i nie rozumiałem, jak to się stało.

— Nie chcesz się z nikim pożegnać? — zapytałem zdumiony. — Nie zabierzesz swoich rzeczy i szat?

— Kiedy wyruszą, robię to z miejsca — odrzekł. — Inaczej, wyjazd nie ma większego znaczenia. Naturalnie byłoby z pożytkiem, gdybym mógł zabrać moją skrzynkę lekarską, ale mogłoby się zdarzyć, że chcieliby mi przeszkodzić, choć jeszcze nie złożyłem przysięgi.

Dionizjos wtrącił nieufnie:

— Nie staraj się zabrać skrzynki. Jeśli pójdziesz ze mną dobrowolnie, dostaniesz nagrodę, na jaką zasłużysz.

Mikon potrząsnął głową z uśmiechem i odrzekł:

— Dobrowolnie czy pod przymusem, to tylko puste słowa. Dzieje się ze mną to, co musi się stać i nie mogę temu przeszkodzić.

Wraz z nami wszedł na pokład okrętu. Dionizjos kazał dać w konchy i zebrać ludzi. Nasze trzy okręty wyszły na wiosłach na ciche purpurowe morze. Księżyc bezlitosnej dziewiczej bogini świecił jak wstęga na niebie, kiedy wypływaliśmy z portu na Kos.

4

Wypłynęliśmy daleko na otwarte morze, aż oderwaliśmy się całkowicie od wysp i lądu. Wio-

ślarze zaczęli dyszeć i stękać, a niektórzy wymiotowali, zwracając wszelkie dobre jadło, które 27

spożyli na Kos. Klęli na Dionizjosa, mówiąc, że to wiosłowanie jest szaleństwem, gdyż pierwszym przykazaniem wszelkiej bieglej żeglugi jest utrzymywanie kontaktu z lądem i świadomość, dokąd się zdąża. Ponadto walczyli i wiosłowali, i znów walczyli, i znów wiosłowali dłużej, niż chcą to pamiętać. Ich garści są pocięte do krwi, a grzbiety omdlałe mimo trzciniowych mat na fenickich ławach dla wiosłarzy. Rozsądny dowódca na noc wyciąga swoje okręty na ląd, aby je zabezpieczyć i dać się wypaść ludziom.

Dionizjos słuchał z uśmiechem ich gniewnych słów i chłostał najgadatliwszych po plecach końcem liny raczej dobrodusznie niż gniewnie. Obrzucali go obelgami, ale nikt nie przestał

wiosłować, dopóki on nie dał rozkazu, że okręty mają płynąć razem połączone ze sobą w oczekiwaniu na brzask.

— Nie dlatego, żebym żałował was czy miał litość nad waszymi członkami — powiedział. —

Ale domyślałem się, że opar walki wyparował wam już z głowy i czujecie się jeszcze marniej na duchu niż na ciele. Zbierzcie się więc koło mnie, bo mam wam dużo do powiedzenia.

W świetle gwiazd ludzie wzdychając skupili się wokół niego. Noc była tak cicha, że wszyscy mogli słyszeć jego ochryply głos, choć niemal go nie podnosił. Tylko morze wzdychało od czasu do czasu i okręty tarły o siebie skrzypiąc. Jego sternik i dowódcy oraz wybijający takt z innych okrętów stłoczyli się zazdrośnie koło niego, ale mimo swego bólu głowy Dorieus odsunął ich na bok i zajął miejsce po prawej stronie Dionizjosa, pociągając za sobą także mnie i Mikona i usta-wiając nas

obok siebie, żeby pokazać wszystkim swoją własną i naszą rangę.

Dionizjos zaczął mówić i wcale nie przypominał swoim ludziom ich wyczynów pod Lade.

Przeciwnie, porównywał ich z niezdarnym kmiotkiem, który udał się do miasta ze swym niewielkim dobytkiem, by kupić osła, ale przetrwonął pieniądze na wino i wmieszał się w bójkę, i budzi się rano oszołomiony na pustkowiu, nie wiedząc, gdzie się znajduje, w porwanym płaszczu, okrwawiony i bez sandałów na stopach. Dookoła siebie widzi kosztowności i skrzynie pieniędzy, i przypuszcza w oszołomieniu i zamieszaniu, że włamał się do domu jakiegoś potężnego pana.

I wtedy skarby te nie przysparzają mu żadnej radości, lecz oblatuje go tylko coraz większy strach, gdyż zdaje sobie sprawę, że ruszył już za nim pościg i nie może już wrócić do domu.

— Tak, tak, właśnie takie jest wasze położenie, biedacy — mówił. — Ale możecie dziękować nieśmiertelnym za to, że wybraliście sobie na dowódcę takiego jak ja, który wie, czego chce. Ja, Dionizjos z Fokai, nie opuszczę was. I nie żądam, byście za mną szli tylko dlatego, że jestem silniejszy od was i bieglejszy jako żeglarz niż ktokolwiek z was i mądrzejszy niż każdy z was, by nie wspomnieć już o wielu moich innych zaletach. Nie, tylko z tej przyczyny nie musicie za mną iść, bo są tu oczywiście inni silni mężowie, jak na przykład Dorieus ze Sparty, którego imię wy-mieniam w pierwszym rzędzie jedynie dlatego, że jest on próżny z powodu swego pochodzenia.

Niemal równie zręcznymi żeglarzami są moi dzielni dowódcy i moi zacni żeglarze, a mądrzejszy ode mnie jest może Turms z Efezu, który śmieje się walcząc, a płacze po walce. Mamy z sobą również Mikona, zdolnego lekarza z Kos, którego wprawdzie jeszcze nie znam, ale który wydaje mi się mężem ze wszech miar zacnym. Tylko z tego powodu nie chciałbym jednak wam doradzać, byście go wybrali na dowódcę.

— Nie, nie — ciągnął dalej Dionizjos z westchnieniem. — Zastanówcie się sami nad sobą, każdy z was, i pomyślcie uważnie, czy któryś byłby zdatniejszy do objęcia dowództwa niż ja.

I jeśli tak jest, wystąpcie śmiało i powiedzcie mi to w twarz. Zobaczycie wtedy, jak z tym będzie.

Rozejrzał się wokoło, ale nikt nie wystąpił, by zakwestionować jego dowództwo.

— Sami widzicie — podjął Dionizjos z triumfem — jestem waszym dowódcą dlatego, że nadaję się do tego najlepiej z was, nawet jeśli ktoś inny mógłby nadawać się lepiej do czegoś innego. Jak na przykład Likymnios, który ma tak wielki członek, że nawet najdzielniejsza kobieta ucieka, gdy go zobaczy. Pod tym względem nie będę nawet próbował z nim współzawodniczyć.

28

Ludzie wybuchnęli śmiechem, wytykając palcami Likymniosą, który był mocnym i mało-mównym mężczyzną, a teraz wyglądał na bardzo zakłopotanego uwagą, którą wzbudził. Dorieus zapytał spieszenie, czy Likymnios uważa się za pochodzącego z rodu Heraklesa, mimo że jego wygląd wcale nie jest wyglądem bohatera, lecz raczej człowieka niskiego rodu, mimo imienia i znaku, które nosi.

Likymnios odparł jękając się, że jest tylko świniopasem z gór koło Fokai. Jego ojciec, podobnie jak

jego dziadek, a o ile wie, również i pradziadek, także byli świniopasami. Wszyscy oni nosili imię Likymnios, ponieważ świniopas ma co innego do roboty, jak wynajdować nowe imiona dla swoich synów.

Dorieus stwierdził na to gniewnie, że pierwotny Likymnios był stryjem Heraklesa, jak wszyscy o tym wiedzą. Nadać to imię świniopasowi było nadużyciem.

Głos jego krzykliwy od bólu głowy zmieszał całkiem Dionizjosa, który chciał dalej przemawiać. Mikon przyłożył swoje miękkie dłonie do skroni Dorieusa, by go uspokoić, a Dionizjos kazał gniewnie dać mu wina, żeby zamilkł. Tocząc groźnym spojrzeniem wokoło po ludziach, Dionizjos ciągnął potem dalej:

— Bez wątpienia moja sztuka mówienia jest niedoskonała i pod tym względem również nie chcę rywalizować z tymi pośród was, którzy mnie w niej przewyższają. Chcę tylko wyjaśnić, dlaczego macie wszelkie powody, by pójść za mną. Moje zalety już tu wyliczyłem, ale nie jestem chępliwym i to nie dla mojej wrodzonej wyższości żądam, byście poszli za mną. Nie, Fokajczycy i wy inni, którzy w ten czy inny sposób przyłączyliście się do nas, nie wymagam, byście szli za mną tylko dlatego, że dopisuje mi szczęście, jak to wszyscy możecie zaświadczyć. Bez względu na to jak biegły jest dowódca, musi on mieć szczęście po swojej stronie, inaczej bowiem poprowadzi tylko siebie i swoich ludzi do zagłady. Ale tak, jak tu stoję przed wami, klnę się, że miałem szczęście przez całe moje życie, do tego stopnia, że nawet pozorne niepowodzenie w końcu obracało się w sukces. Nie mówię tego, by się chęplić i wzbudzać zawiść bogów, lecz wspominam o tym jako o prostej prawdzie, którą sami znacie i możecie zaświadczyć jeśli tylko pomyślicie nad tym przez chwilę. Dopóki idziecie za mną, szczęście jest z wami, ale jeśli mnie opuścicie, będzie z wami bardzo źle.

Niektórzy ze słuchaczy, myśląc o swoich towarzyszach, mruzcili, że powodzenie Dionizjosa dopomogło już wielu sławnym mężom w tym, by stać się pokarmem dla krabów na morzu. Ale szeptali to tylko między sobą i Dionizjos ciągnął z pewnością zwycięstwa:

— Do Fokai nie możemy powrócić, bo Jonia jest stracona. Ale flota perska spoczywa teraz i leczy swoje rany, i jest też zmuszona blokować Milet i inne miasta związkowe od strony morza.

Do bitwy pod Lade ściągnęli Persowie wszystkie okręty wojenne Cypru, z Cylicji, z miast fenickich, ba, aż z Egiptu. Dlatego morze leży otwarte, a moim zamiarem jest złożyć ofiarę Posejdonowi i błagać go o świeży zachodni wiatr jutro rano.

Wykrzyknęli ze zdumienia, ale Dionizjos podniósł głos i ryknął triumfująco:

— Właśnie, zachodni wiatr, tak abyście mogli dać odpoczynek swoim nędznym członkom, podczas gdy wiatr zaprowadzi nas na wody nieprzyjacielskie bez tego, byśmy musieli podnieść wiosło, aż do Cypru i do fenickiego wybrzeża. Tam żeglują powolne i brzuchate statki towarowe bez osłony, z wszelkimi skarbami Wschodu i Zachodu w kadłubach. Jesteśmy w środku sezonu żeglugi i handel musi trwać, czy jest wojna, czy też jej nie ma. Przejdziemy wprost przez wody nieprzyjaciela szybko wiosłując i pewnie taranując, i przysięgam wam, że w miesiąc będziemy wszyscy bogaci, ba, bogatsi, niż to mogliśmy sobie wyobrazić u siebie w domu, w naszych za-kopconych drewnianych budach w murach Fokai.

Ale ludzie nie okazywali większego entuzjazmu i wcale nie wykrzyknęli z uznaniem na myśl o nieprzyjacielskich wodach, gdzie każdy wierzchołek masztu i każdy spieniony ślad wiosła oznaczał śmiertelne niebezpieczeństwo. Dionizjos przyjrzał się im i zaapelował przekonująco: 29

— W miesiąc, powiedziałem, i nie żądam od was więcej. I nie bójcie się ran ani morskich gorączek i dolegliwości żołądkowych, bo mamy ze sobą wybitnego lekarza. Następnie poproszę bogów o wschodni wiatr, najlepszy jaki może być, i pożeglujemy prosto na zachód przez całe morze aż do Massilii. Zdażymy to uczynić, a jesienne sztormy zwiódą na manowce tych, którzy nas będą ścigać. W Massilii zostaniemy przyjęci przez naszych rodaków z otwartymi rękami.

Nad wielkimi rzekami leży tam bogaty kraj i nic nie przeszkodzi nam w założeniu własnej kolonii i ujarzmieniu ludów barbarzyńskich, jeśli tylko zachowamy odwagę i jeśli zaufacie mojemu szczęściu.

Część z jego ludzi napomknęła spokojnie, że zdobyliśmy dość obfite łupy już pod Lade. Droga do Massilii prowadzi przez obce wody i jest straszliwie długa, tak że nie zawsze wystarczy na nią rok żeglugi. Za Sycylią i Italią Tyrreńczycy i Kartagińczycy strzegą zazdrośnie swoich brzegów.

Gdybyśmy mieli udać się aż do Massilii, powinniśmy raczej natychmiast skierować okręty na zachód i błagać o pomyślny wiatr. Ale najrozsądniej byłoby szukać schronienia w którymś z miast greckich na Sycylii lub w Italii, hen, na dalekim zachodzie, który słynie w świecie z bogactw i bujnego życia. Natomiast odległa Massilia na granicy krajów barbarzyńskich jest schronieniem niepewnym.

Dionizjos ugiął kark jak byk, zmarszczył czoło i zapytał w końcu z udaną łagodnością, czy jest jeszcze ktoś, kto chciałby udzielić rady dowódcy.

W takim razie najlepiej, żeby od razu z tym wystąpił, gdyż po tej naradzie on, Dionizjos, nie chce słyszeć i nie ścierpi żadnego szemrania za plecami.

— Mówcie otwarcie — powiedział. — Będziemy wtedy wiedzieli, co o sobie myślimy. Każdy ma prawo wypowiedzieć się i głosować, i wyrazić swój pogląd. Właśnie o demokrację i wolność walczyliśmy pod Lade z perską tyranią. Mówcie swobodnie, obywatele i rodacy. I powiedzcie mi przede wszystkim, którzy z was chcą uciekać prostą drogą do Sycylii lub Italii, gdzie greckie miasta strzegą niezycziwie każde swego terenu i gdzie cała ziemia jest już podzielona od setek lat.

Znalazła się cała gromada mężczyzn, którzy po krótkiej naradzie między sobą orzekli, że lepszy jeden wróbel w garści niż dziesięć w lesie. Prosilili pokornie, by mogli otrzymać swoją część łupu i jeden z okrętów w celu dopłynięcia do Sycylii i rozpoczęcia tam nowego życia.

Dionizjos odparł:

— Otwarcie i po męsku mówcie i nie obawiajcie się wypowiedzieć swego zdania. Dostaniecie część łupu, i to obfitą, ale okrętu wam dać nie mogę. Okręty są moje i nawet za cały swój udział nie możecie kupić jednego. Najlepiej jednak, żeby nasze drogi się rozeszły i to możliwie jak najprędzej, tak aby stała się wasza wola. Weźcie więc swoją część łupu i powieście sobie zło-to na szyi, i płyńcie ku Sycylii. Jeśli się wahacie, chętnie dobędę miecza i pomogę wam wyskoczyć za burtę.

Woda jest ciepła, a kurs obierzecie według gwiazd.

Po czym zrobił groźnie krok w stronę wahających się, a pozostali zaczęli ze śmiechem i wrzawą przyciskać ich do burty, udając, że chcą ich zepchnąć do morza, tak że gorzko pożałowali swoich niewczesnych słów i głośno krzycząc, błagali Dionizjosa, żeby im pozwolił pozostać.

Dionizjos ustąpił w końcu przed prośbami i powiedział z wyrzutem:

— Cóż to za zagadkowi ludzie, którzy w jednej chwili chcą tego, a w drugiej czego innego.

Ale niech będzie, stańmy się znowu jedną dużą rodziną, w której każdy ma prawo swobodnie wyrażać swoje myśli i głosować tak, jak chce. Głosujmy więc, i niech każdy podniesie rękę, kto z własnej i nie przymuszonej woli chce mi towarzyszyć na wody fenickie, by szkodzić Persom, a potem do Massilii.

30

Wszyscy podnieśli ochoczo ręce, także Dorieus i ja, ponieważ nie mogliśmy zrobić inaczej, żeby nie rozgniewać Dionizjosa. Tylko Mikon z cichym uśmiechem na okrągłej twarzy nie podniósł ręki.

Dionizjos podchodził kolejno do swoich ludzi, klepał ich po ramieniu i nazywał chwatami, mówiąc: „Słusznie uczyniłeś” albo „Właśnie tak trzeba”, albo „To była mądra decyzja”. Ale przed Mikonem przystanął chmurny i zapytał:

— A ty, lekarzu, czy zamierzasz wrócić do domu na delfinie?

Mikon spojrzał mu nieustraszenie w oczy i zapewnił:

— Pójdę z tobą chętnie, Dionizjosie. Doprawdy będę ci towarzyszył tak długo, jak trzeba, ale gdzie znajdziemy się po fenickich wodach, to sprawa losu i my nic o tym nie wiemy. Toteż nie będę wyzywał nieśmiertelnych, podnosząc rękę w sprawie równie niepewnej i niezbadanej, jak wszystkie inne ziemskie sprawy.

— Nie ufasz zatem mojemu szczęściu? — zapytał Dionizjos zdziwiony.

— Dlaczegoż bym miał nie ufać? — odparł Mikon uprzejmie. — Chcę tylko poradzić ci, byś pamiętał, że wiele się może zdarzyć między ustami a brzegiem pucharu.

Mówił tak łagodnie, że słowa utkwily Dionizjosowi w gardle. Nie nagabując go dalej, zwrócił się znowu do swoich ludzi i zawołał:

— Obyśmy więc złapali świeży zachodni wiatr jutro rano. Fenickiemu bogu na dziobie okrętu złożyłem już ofiary i pomazałem jego oblicze, ręce i stopy krwią ludzką, ponieważ wiem, że lubią ją feniccy bogowie. A Posejdonowi i bogom morskim składam w ofierze ten złoty naszyjnik, któ-

ry jest wart wiele domów i winnic, ażeby pokazać wam, że ufam swemu szczęściu. I składam tę

ofiarę wesóło i chętnie, nie żądając, byście dali w ofierze coś z waszego udziału, ponieważ wiem, że niebawem zdobęde znowu równie drogocenny, a może i jeszcze cenniejszy, naszyjnik.

Z tym zawołaniem Dionizjos pobiegł na dziób okrętu i rzucił swój ciężki naszyjnik do morza, aż woda plusnęła. Mimowolnie ludzie jęknęli, widząc, jak znika ten niezrównany klejnot. Ale równocześnie zrozumieli, że Dionizjos rzeczywiście wierzy w swoje szczęście, obsypali go pochwałami i drapali pokład paznokciami, żeby od siebie potwierdzić czyn ofiarny i zbudzić wiatr, o który prosił Dionizjos.

Ten posłał wszystkich na spoczynek i obiecał sam czuwać aż do świtania. Wychwalali go za to jeszcze bardziej i wnet słychać było tylko ciężki pomruk chrapania, który zagłuszał wzdychanie morza i trzeszczenie okrętów. Ktoś krzychał przez sen, ktoś inny jęczał, ale zmęczenie zrobiło swoje i wszyscy spali z wyjątkiem Dionizjosa i mnie.

Myślałem o niepewnej przyszłości i nie mogłem usnąć. Kości owcze pokazywały na zachód, i każdy znak, jakiego próbowaliśmy Dorieus i ja, też pokazywał na zachód. Samowolnie udali-

śmy się na wschód, do Jonii, ale uskrzydłony los miał i tak zaprowadzić nas daleko na zachód, aż do najdalszych granic morza.

Na myśl o tym, że opuściłem teraz Jonię na zawsze, ścisnęło mi się zeschnięte gardło tak, że musiałem po omacku pójść szukać bukłaku z wodą, wymijając śpiących. Kiedy już się napiłem, wyszedłem na pokład, patrzyłem na srebrzyste niebo i czarne falujące morze, słuchałem przyboju fal i czułem pod stopami łagodne kołysanie się okrętu.

Zbudziło mnie z moich myśli lekkie szcęknięcie o burtę okrętu. Boso i bezgłośnie podszedłem aż do Dionizjosa, który stał schylony nad dziobem i wyciągał coś z morza. A kiedy zobaczyłem, że nawija łokieć po łokciu czarną linkę, zapytałem zdziwiony:

— Łowisz ryby?

Dionizjos wzdrygnął się tak, że mało nie wypadł za burtę i nie wypuścił szcękającego przedmiotu, który właśnie wydobył z morza. — Ach, to tylko ty, Turms! — powiedział starając się 31

ukryć ten przedmiot za plecami. Niepotrzebnie to jednak czynił. Nawet w nocnej ciemności zdo-

łałem zobaczyć, że był to naszyjnik, który tak wielkodusznie rzucił do morza na oczach swoich ludzi.

Kiedy spostrzegł, że zobaczyłem, co wyciąga z morza, zaśmiał się bezwstydnie i powiedział:

— Ty, który umiesz czytać, z pewnością nie jesteś zabobonny, jeśli chodzi o ofiary i różne takie sprawy. Moja ofiara dla Posejdona była, by się tak wyrazić tylko alegorią, tak samo jak mędrcy w Jonii mówią, że podania o bogach są alegoriami i tłumaczą je na rozmaity sposób. Jako człowiek oszczędny przywiązałem sznurek do naszyjnika, drugi zaś koniec sznurka umocowałem na dziobie, zanim rzuciłem ten mój klejnot do morza.

— A wiatr, o który błagałeś, wiatr zachodni? — zapytałem zdumiony.



— Wiatr zachodni wyczułem już wczoraj wieczorem po kolorze morza i wzdychaniu ciemno-

ści — przyznał Dionizjos spokojnie. — Wspomnisz moje słowa, z naszymi czy bez naszymi? Będziemy mieli świeży zachodni wiatr. Zobaczysz, że słońce wzejdzie w chmurach i że wiatr przyniesie nam siekącą ulewę.

Jego brutalna, szczerota przeraziła mnie, gdyż nawet najlżejszy człowiek żywi w jakimś zakątku serca szacunek dla czegoś.

— Wcale więc nie wierzysz w bogów? — zapytałem.

Dionizjos odpowiedział wymijająco:

— W co wierzę, w to wierzę, ale jedno wiem, że nigdy nie dostalibyśmy zachodniego wiatru, choćbym nawet rzucił sto naszych do morza, gdyby już przedtem znaki na morzu na to nie wskazywały.

Wytarł starannie naszynnik połą płaszcz i zszedłszy na dół, zamknął go w swojej skrzyni. Potem szeroko ziewnął, przeciągnął się całym ciałem, aż członki zatrzeszczały, i kazał mi iść spać i nie zajmować się bezpłodnymi myślami. Na morzu on będzie za mnie myślał, stwierdził.

5

Tak jak zapewniał Dionizjos, wczesnym rankiem spadł na nas siekący, ulewny deszcz. Na spienionych falach wzięliśmy kurs na wschód, aż maszty się gięły. Falowanie było tak gwałtowne, że Dorieus poczuł się niedobrze i musiał bezustannie wymiotować, zwłaszcza że dręczyła go jeszcze rozbita głowa. Ale i wśród ludzi Dionizjosa wielu leżało na pokładzie, nie mogąc wziąć nic do ust i czepiając się tylko mocno olinowania.

Zachodni wiatr zmusił statki zdążające na zachód do szukania schronienia w portach. Dionizjos żeglował bez obawy na otwartym morzu, ale utrzymywał kontakt z wyspami i brzegami.

Jego szczęście towarzyszyło mu, bo gdy weszliśmy do cieśniny między Rodos a lądem stałym, wiatr osłabł. Gdy wczesnym rankiem zaczęła wiać bryza od lądu, spotkaliśmy cały konwój statków, załadowanych aż po brzegi zbożem i oliwą dla floty perskiej w Milecie. Załogi statków witały nas wesoło, gdyż okręt nasz był fenicki, a Dionizjos kazał wciągnąć na maszt perskie znaki.

Zdaje mi się, że Dionizjosowi nie zależało zbytnio na tym łupie, ale chciał tylko udowodnić swoim ludziom i sobie samemu, że wciąż jeszcze toczy wojnę po stronie jońskiej. Zdobyliśmy pierwszy statek tak szybko, że jego załoga niemal nie zorientowała się, co się stało. Gdy Dionizjos dowiedział się, że statki były greckie z Salaminy na Cyprze i służyły Persom, kazał natychmiast obu pięćdziesięciowiosłowcom staranować mniejsze statki i zatopić je. Zboża i oliwy nie potrzebowaliśmy i nie mogliśmy też zabrać ze sobą.

32

Załogi ich umiały pływać, gdyż byli to Jończycy. Toteż Dionizjos kazał bić uciekających w pław

wiosłami i zakłuwać ich oszczepami, tak że morze wokół nas pokryło się czerwoną pianą.

Nie pozwolił nikomu ujść, bo jeden człowiek, który dotarłby do brzegu, mógłby wyjawić przedwcześnie, że na wodach perskich działają trzy okręty pirackie z fenickimi znakami.

Kiedy ludzie na największym statku zobaczyli, jak statki toną wokoło, a ich towarzysze farbują morze swoją krwią, niektórzy z nich zaczęli błagać o litość, ale większość pogodziła się z losem i nie myślała chyba w ogóle o niczym. Dowódca, któremu podlegała cała ta załoga, przemówił do Dionizjosa bez trwogi, zapewniając, że jest mu obojętne, czy umrze dziś, czy jutro. Tak czy owak Persowie każą go wbić na pal, ponieważ utracił swoje statki, a zresztą nie jest on wcale przyjacielem Persów, choć z konieczności im służył.

Dionizjos uznał, że tamten mówi roztropnie, gdyż rzeczywiście nie ma już nic do stracenia, wziął więc go i jego sternika na pilotów. Znali oni wszelkie znaki na Cyprze, wiatry i prądy, i często żeglowali między Salaminą i wielkimi miastami Fenicji.

— Ale — powiedział Dionizjos — twoi ludzie widzieli, jak odstąpiłeś Persów. Wybierz więc spośród nich dwóch, trzech najlepszych żeglarzy, a potem wspólnie zabijcie wszystkich pozostałych, żeby wykazać wasze uczciwe zamiary.

Dowódca i jego sternik wzdragali się zrazu, ale jako ludzie szybko myślący, zrozumieli, że skoro uczynili pierwszy krok, muszą także zrobić i następne. Wybrali więc ludzi, których chcieli zachować, a potem zabili wszystkich innych, prosząc jednak wpieryw każdego o wybaczenie i tłumacząc konieczność swego postępowania. Na rozkaz Dionizjosa wybili następnie dziurę w dnie swego statku i weszli na nasz pokład złani krwią od stóp do głów.

O żaglach i wiosłach wzięliśmy teraz Kurs na Cypr i napotkaliśmy po drodze bogaty statek handlowy, duży i pięknie zdobiony, który oprócz bogatego ładunku wiozł podróżnych. Załoga na próżno usiłowała się bronić, gdyż otoczyliśmy statek i wdarliśmy się na pokład po jego stromych bokach. Gdy pasażerowie jako tako oprzytomnieli z przerażenia, wyszli nie uzbrojeni na zalany krwią pokład z podniesionymi rękoma, obiecując nam jeden przez drugiego wielkie sumy okupu za siebie, swoje żony i córki. Ale Dionizjos był człowiekiem ostrożnym i nie chciał zostawiać przy życiu nikogo, kto mógłby rozpoznać jego i jego ludzi choćby po wielu latach. Toteż wziął

własnoręcznie topór i pozabijał szybko pasażerów, oddając jednak kobiety swojej załodze na czas potrzebny do splądrowania statku.

— Spieszcie się, drodzy ziomkowie — powiedział. — Nie mogę wam odmówić przyjemności z kobiet w waszym monotonnym i niebezpiecznym życiu. Ale nie zapomnijcie, że własnoręcznie zabiję pałką każdego, kto by usiłował ukryć jakąś kobietę u nas na okręcie. Coś takiego prowadzi tylko do sporów i kłopotów.

Jego ludzie rwali zapalczywie brody, wpatrując się błyszczącymi oczyma w kobiety, które z płaczem czepiały się siebie nawzajem. Ale Dionizjos roześmiał się i powiedział:

— Pamiętajcie też, moi dzielni wojacy, że każda przyjemność ma swoją cenę. Kto zużyje ten krótki czas na zaspokojenie swoich śmiesznych żądz, zamiast jak rozsądny człowiek dopomóc w zbieraniu łupu, straci swój udział. Możecie wybierać swobodnie jak Herakles, kiedy bogini pokazała mu wąską ścieżkę cnoty i szeroką drogę występku.

Tak wielka była chciwość i żądza rabunku Fokajczyków, że tylko garstka ich rzuciła się na kobiety. Pozostali rozbiegli się po statku i zebraliśmy tam mnóstwo złota i srebra, tłoczonego i nie tłoczonego, pięknych rzeźb, ozdób kobiecych i farbowanych materiałów, w tym dwie całe bele purpury. Zabraliśmy też zapasy korzeni i wina, a plądrowanie to nie zajęło nam dużo czasu, gdyż ludzie z Fokai wiedzieli, gdzie mają szukać i co zabierać.

Najłatwiej byłoby podpalić statek, gdyż nasze tarany nie mogły dać rady mocnemu cedro-wemu kadłubowi. Ale Dionizjos nie chciał dawać żadnych znaków na morzu dymem lub ogniem.

33

Toteż musieliśmy z wielkim trudem otworzyć dostatecznie duże luki na dnie statku, by szybko zatonał. Gdy zaczął się już wypełniać wodą i nie kołysał się więcej, Dionizjos kopniakami spędził

mężczyzn, którzy wybrali kobiety ponad łup, i nakazał swoim ludziom poderżnąć gardła kobietom, aby dać im lekką śmierć w odpłatę za zhańbienie, którego doznały. Ale jednego z mężczyzn nie mógł postawić na nogi, gdyż najsilniejsza z kobiet wykłuła mu oczy dużą szpilką do włosów, po czym zabiła się sama. Dionizjos i inni wychwalali bardzo tę kobietę za jej dzielność i z szacunku przykryli jej twarz, zanim statek poszedł na dno.

Tylko Dorieus nie brał udziału ani w plądrowaniu, ani w gwałcie, lecz wrócił na nasz okręt, gdy tylko statek został zdobyty. Mikon nie uczestniczył w walce, ale przeszukał statek i zabrał

skrzynkę lekarską z kości słoniowej z wieloma narzędziami.

Gdy Dionizjos ganił Dorieusa za jego lenistwo, ten odparł, że walczy tylko z uzbrojonymi mężczyznami. Im bardziej wprawny we władaniu bronią przeciwnik, tym lepiej. Ale zabijać i plądrować bezbronych to niżej jego stanowiska i godności. Dionizjos zadowolił się tym i obiecał mu udział w łupie, mimo że Dorieus nie brał udziału w jego zbieraniu. Ten ucieszył się z tego tak, że przyznał:

— Naturalnie mogę zabić także bezbronnego, jeśli chodzi o konieczną ofiarę albo w ciężkiej potrzebie. Ale wtedy należy go wpięrcz opryskać wodą, ozdobić wieńcem i wetrzeć mu popiół

w czoło. Mogę sobie też wyobrazić wzięcie kobiety gwałtem, jeśli pochodzi ona z dobrej rodziny, a i poza tym godna jest, bym się z nią wdawał.

Tym opowiadaniem mógłbym właściwie opisać całą naszą podróż, bo wszystko zawsze odbywało się w taki sam sposób. Różnice polegały tylko na wielkości i liczbie statków, godzinie walki i oporze załóg, na łupie i innych okolicznościach mniejszej wagi. Okrążyliśmy Cypr od strony morza i zatopiliśmy wiele statków z Kurium i Amatis. Ale nie mogliśmy przeszkodzić temu, że wiele łodzi rybackich widziało, co się dzieje, i umknęło nam. Toteż musieliśmy się spieszyć i Dionizjos tupął w

pokład i wzywał pomyślny wiatr, który zaprowadziłby nas prosto do fenickich wybrzeży, do wielkich szlaków żeglarskich, gdzie nikt nie mógłby przypuścić, że odważymy się tam udać. Minęło już przecież wiele generacji, odkąd jakiś rozbójnik morski ośmielił się wdrzeć na te najbezpieczniejsze na świecie wody świata.

Ale lekki wiatr wiał tylko w stronę Cypru i pchał nasz okręt w stronę lądu, a uciążliwy prąd morski, przed którym ostrzegali nas ludzie z Salaminy, obezwładnił nasze wiosła, gdy staraliśmy się posuwać naprzód w kierunku pożądanym przez Dionizjosa.

Toteż tupał on o pokład, kazał bić w misy wybijające takt i wołał o pomyślny wiatr. Mikon podszedł do nas, przyjrzał mi się z uśmiechem i ze swoją dobrze znaną zmarszczką między brwiami zaproponował:

— Wołaj o wiatr i ty, Turmsie, choćby tylko dla zabawy.

I nie umiem wytłumaczyć, dlaczego wzniosłem wtedy ramiona ku niebu i zawołałem o wiatr, trzykrotnie, siedmiokrotnie, a wreszcie dwunastokrotnie, coraz silniejszym głosem, aż tak byłem oszołomiony własnym wołaniem, że nie wiedziałem już, co się wokół mnie dzieje.

Gdy wróciłem do przytomności, Mikon trzymał moją głowę opartą na swoim ramieniu i dawał

mi wino do picia, a Dorieus wpatrywał się we mnie ze zdumieniem, także Dionizjos wyglądał na przestraszonego, choć on nie wierzył w nic. Niebo, dopiero co czyste, lśniąco i bezchmurne, zmieniło kolor i na zachodzie pojawiła się czarnogranatowa chmura, która zbliżała się szybko jak stado tysięcy czarnych olbrzymich koni o rozwianych grzywach. Dionizjos krzyknął o żagle i w tejże chwili usłyszeliśmy już grzmot galopujących kopyt, morze poczerniało i zaczęło się pienić, a błyskawice zapalały się nad nami. Okręty przechyliły się i oba pięćdziesięciowiosłowce nabrały wody. Potem pomknęliśmy z wiatrem, z hukiem żagli, oślepieni gradem i pianą, otoczeni falami wysokimi jak domy.

34

Kiedy pioruny syczały, a okręt wokół nas trzeszczał w spojeniach, leżeliśmy na pokładzie, czepiając się mocno, czego się dało. Ale wino, którym napił mnie Mikon, uderzyło mi do głowy, uchwyciłem się wanty i stanąłem na nogi, ogarnęło mnie uniesienie i usiłowałem tańczyć na rozkołysanym pokładzie. Taniec owładnął moimi członkami, a z gardła wyrzywały mi się słowa, któ-

rych sam nie rozumiałem. Dopiero gdy burza zaczęła cichnąć, padłem wyczerpany na pokład.

Mikon podszedł do mnie, objął mnie ramieniem za szyję i powiedział:

— Turmsie, kimkolwiek jesteś, przeczuwałem od razu, że znam cię, tak jak ty mnie poznałeś.

Ale wystarczyłoby, żebyś zawołał o wiatr trzy razy. Teraz nie wiemy, dokąd pędzą nas fale.

— Nie wiesz, co, mówisz — odparłem patrząc w jego cierpliwe, lecz niespokojne oczy. Ich smolisty kolor był mi bliższy niż oczy jakiegokolwiek innego człowieka, które oglądałem.

Zdaje mi się, że także Dorieusa poznałem od pierwszego wejrzenia, ale z nim nic mnie nie łączyło, choć nauczyłem się lubić go jako człowieka. Także Dorieusa poznałem i związałem się z nim dobrowolnie, ponieważ było postanowione z góry, że mamy związać się ze sobą. Ale jego natura i cele i wszystko inne w nim było tak niepodobne do mnie samego, że raczej wiązała mnie z nim wrogość niż przyjaźń, choć naturalnie nie nienawidziłem go, lecz był moim przyjacielem.

Ale czułem, że Mikon jest mi bliski, i wszystko w nim przyciągało mnie ku niemu.

— Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć — odezwałem się i dotknąłem jego czoła. — Kim ty właściwie jesteś?

Mikon zapytał:

— Dlaczego dotykasz mego czoła, choć powiadasz, że nic nie rozumiesz? Błogosławisz mnie, czy odpowiadasz na mój znak?

Przyglądał mi się ciekawie i splótnął dłonie, szybko uczynił trzy szczególne znaki palcami.

Ale ja go nie rozumiałem, tylko potrząsnąłem głową.

Nie wierzył własnym oczom i rzekł zdumiony:

— Czy rzeczywiście nie znasz samego siebie, Turmsie, skoro nie wiesz, kim jesteś? Więc to pierwszy raz próbowałeś swoich sił?

Rozzłościłem się na jego tajemniczy ton:

— Nie mieszkają we mnie żadne siły — odparłem z irytacją. — Tylko dla zabawy wołałem o wiatr. O sobie samym wiem tylko tyle, że zostałem porażony piorunem pod dębem koło Efezu.

Kiedy odzyskałem przytomność, byłem nagi jak nowo narodzone dziecko i nie wiedziałem nic o mojej przeszłości.

— Mimo to nosisz swoją przeszłość ze sobą — powiedział Mikon. — Czemuż byś inaczej podnosił ramiona i wołał w języku, którego nie, rozumiałem? A twoje członki przebiegały drgawki, jak gdybyś tańczył święty taniec. Wiesz więc, niż sam przypuszczasz, Turmsie.

Mogliśmy rozmawiać spokojnie, gdyż załoga przestraszona odsunęła się od nas, Dionizjos zajęty był czuwaniem przy sterze, a Dorieus przeniósł się pod pokład.

— Wszyscy nosimy w sobie naszą przeszłość, my, którzy znamy się nawzajem — powtórzył

Mikon. — Nosimy wiele różnych minionych żywotów, choć nie wiemy o nich nic i nie pamięta-my ich wszystkich. A także przyszłe żywoty. Czemu nie przyłączasz się do nieśmiertelnych i ich igraszek, Turmsie? Dorosteś już przecież do grona duchów powietrznych.

Prosiłem, żeby skończył z tą okropną paplaniną:

— Znam cię i jesteś moim przyjacielem, Mikonie — mówiłem. — Ale to całkiem naturalna rzecz, bo wszyscy odczuwamy zaraz pociąg do pewnych ludzi, podczas gdy przed innymi wzdragama się od pierwszej chwili.

35

— A dlaczego tak jest? — odparł Mikon. — Tego nie potrafisz wytłumaczyć. W głębi ducha wiesz to, ale wzbranasz się i nie chcesz tego wiedzieć, gdyż zostałeś wychowany przez niedowiarka z Efezu.

Jego słowa rozdrażniły mnie bardziej, niż chciałem to przyznać. Dotknąłem twardej desek pokładu, dotknąłem swego gorącego czoła. Żyłem, istniałem, ja, Turms.

— Nie jesteś wcale przyjacielem mądrości — rzekłem. — Jesteś tylko wtajemniczony. Ale ja nie wierzę we wtajemniczonych. W Eleusis wtajemnicza się nawet niewolników i kobiety. Taka wiedza niewiele jest warta.

— O niewolnictwie mówiliśmy, kiedyśmy się spotkali — odparł Mikon. — Kajdany i pańszczyzna nie zniewolą nikogo, tylko własna ślepota człowieka, jego własna głuchota, jego własne zaprzaństwo. Jak mógłby ktoś zrodzony na nurka wykonywać swoją sztukę, gdyby nie było wody do nurkowania? Czyż nie rozumiesz, Turmsie, że ty sam jesteś jasnowidzącym i nurkiem, ale że wzbranasz się widzieć i nurkować? Czy zamierzasz całe życie przeżyć we mgle na suchym lądzie?

— Jeśli uważasz, że burza wybuchła dlatego, iż zawołałem o wiatr — opierałem się — jest to niemożliwe i sprzeczne z naturą. Wybuchłaby w każdym wypadku, czy chciałbym tego, czy nie.

To szalona myśl, że ktoś mógłby wywołać burzę tylko podnosząc dłonie i wołając o wiatr.

— Kto dożyje, przekona się — powiedział Mikon łagodnie.

— I przeciwnie — powiedziałem, by zakończyć nasz spór. Ale pamiętałem moje niespokojne sny w nocie pełni księżyca i obce miasta, po których wędrowałem we śnie wśród znanych mi ulic i domów. Przypomniałem sobie też osłoniętą welonem kobietę, która przysła do mnie we śnie w Efezie, ale nigdy nie odsłoniła oblicza. Na przekór moim własnym słowom i świadectwu własnego rozumu ogarnęła mnie nierealna pewność, że być może noszę w sobie moją przeszłość, nic o tym nie wiedząc. Być może byłem czymś więcej, niż sądziłem, ale nie chciałem tego przyznać przed Mikonem.

6

Aż do późnego wieczora żeglowaliśmy wzdłuż siniejącego brzegu Cypru i na próżno starali-

śmy się wypłynąć na morze. Stały i rzeński wiatr pchał nas na północny wschód i nic nie pomagało, że odwracaliśmy żagle, wszystko było tak, jak gdyby jakaś nieustępliwa wola pędziła nas przed siebie. Przy silnym wietrze bezużyteczne było trwonienie sił na wiosłowanie, gdyż mogły one okazać się potrzebne, gdyby wiatr zmienił kierunek i zaczął nas znosić ku lądowi. Kiedy noc zapadła, Dionizjos kazał zrefować żagle do połowy i związać okręty linami ze sobą, żebyśmy nie zdryfowali na różne

strony w ciągu nocy. Poleciał wielu ludziom czuwać, podczas gdy inni spali, nasłuchiwać i wypatrywać kipieli, i sam też czuwał pełen niepokoju.

Ale dane nam było spać spokojnie i o świtaniu zbudziły nas zdziwione okrzyki wypatrujących.

Kiedy wyszliśmy na pokład, zobaczyliśmy, że morze ściele się spokojnie w świetle brzasku i że kołyszemy się koło najdalej na wschód położonego przylądka Cypru. Słońce wstało z morza czerwone i złote, a na najwyższej górze przylądka wznosiła się całkiem blisko nas świątynia Afrodyty z tarasami i kolumnami, tak że w płomiennym świetle wschodu słońca rozróżnialiśmy każdy jej kamień i słyszeliśmy, jak czarne koguty tej słynnej Afrodyty pieją do nas przez wodę.

Salamińczycy wykrzyknęli, że jest znak i ostrzeżenie. Potężna Afrodyta z Akrai zesłała sztorm, żeby przyprowadzić nas tutaj. Była ona Afrodytą wszystkich żeglarzy i najpotężniejszą Afrodytą na całym wschodnim morzu, a Fenicjanie czcili ją jako Astarte, tak że łączyła w tej samej postaci boginię wschodu i zachodu. W dodatku Cypr był domem Afrodyty i właśnie tutaj wyszła ona z muszli na ląd z białym jak piana morska ciałem otulonym tylko w jej złote włosy. Z powodu tego wszystkiego konieczne było, żebyśmy tu wylądowali i złożyli ofiary Afrodycie akrajskiej. Inaczej 36

ściągnęlibyśmy na siebie jej nienawiść, a Afrodyta jest znana jako bogini najbardziej pomysłowa i najkapryśniejsza w swej nienawiści.

Ale Dionizjos grzmiącym głosem przywołał ludzi do wiosła i nakazał im wiosłować na morze, ponieważ tylko cud uratował nas od wpadnięcia na mieliznę między małymi wysepkami. Wypatrywacz stał dalej wpatrzony w świątynię. Wszyscy byli niezadowoleni, gdyż dzioby naszych okrętów skierowały się w stronę morza, na południowy wschód, a ludzie z Salaminy wołali głośno, że cud ten był cudem Afrodyty i że przynajmniej oni nie chcą brać na siebie odpowiedzialności za to, że popłynęliśmy dalej w swoją drogę, nie złożywszy ofiary Afrodycie.

Dionizjos oświadczył:

— Uznaję chętnie wielką moc złotowłosej i ślubuję złożyć jej ofiarę przy pierwszej odpowiedniej okazji. Ale sami widzicie, że tam w porcie stoją dość duże okręty. Byłoby wsadzeniem głowy w mrowisko, gdybyśmy teraz zawinęli do portu, żeby pobożnie złożyć naszą ofiarę. Nie, chłopcy, na wszystko jest czas. Raczej wyzwę Afrodytę niż bogów wojny.

Nakazał wybijającym takt zwiększyć tempo do szybkiego wiosłowania, tak jak przy ataku na nieprzyjacielski okręt, i dodał groźnie:

— Już ja dopilnuję, żebyście wypocili z siebie wszelką ochotę do składania ofiar Afrodycie.

Bardzo rychło ludzie zaczęli dyszeć i mieli dostatecznie wiele pracy przy wiosłach, by móc jeszcze coś mówić. Ale sternicy zauważyli, że pomimo wszelkich wysiłków nasza szybkość nie była taka, jaka być powinna, a wiosłarze narzekali, że jeszcze nigdy przedtem nie było im tak ciężko wiosłować.

Jednak gdy świątynia znikła nam z oczu, szybkość okrętu zwiększyła się w końcu i dyszenie

wioślarzy zelżało, tak jakby pozbyli się jakiejś zmory. Niebo uśmiechało się do nas jasne i bezchmurne, morze falowało lekko i równo, i wszystko wokół nas jak gdyby promieniało.

W południe ludzie na oku wykrzyknęli zgodnie, że widzą wierzchołek masztu i kolorowy żagiel. Statek płynął prosto naprzeciw nas i niebawem mogliśmy go wszyscy widzieć. Zobaczyli-

śmy jego rzezany w drewnie i malowany reling, błyszczącą srebrem i kością słoniową podobiznę boga i odbłyśki słońca na miedzianych okuciach wiosł. Był to smukły i szybkiebnny statek piękny jak sen, gdy tak sunął przed nami po migotliwym morzu.

Kiedy podszedł dostatecznie blisko, wciągnął proporce i pokazał znak. Salamińcycy rzekli:

— To statek z Tyru, Dionizjosie, nie zamierzasz chyba uczynić władczyni morza swoim wrogiem.

Ale Dionizjos pokazał bez wahania znak perski, dał obcemu statkowi znak, by się zatrzymał, i rozkazał, wojownikom wziąć broń i zdobyć statek. Wdarliśmy się abordażem na statek, ale tam nikt nie zamierzał stawiać oporu. Fenicjanie wołali tylko coś ochryplymi głosami, podnosząc przeciw nam dłonie gestem obronnym. Wśród nich stało wielu kapłanów w płaszczach obramowanych purpurą, w usianych perłami przepaskach na czołach, ze srebrnymi grzechotkami i dzwo-neczkami uwieszonymi na szyi.

— Co oni krzyczą? — zapytał Dionizjos opuszczając miecz.

Ludzie z Salaminy wyjaśnili przerażeni:

— To święty statek. Oni wiozą kadzidło i ofiary dla żeglarskiej Afrodyty w Akrai.

Dionizjos toczył wokoło wzrokiem i zmieszany szarpał brodę. Kapłani zaczęli wymachiwać grzechotkami, wykrzykiwać przekleństwa i robić groźne gesty. Dionizjos ryknął na nich, by zamilkli, ale oni usłuchali go dopiero, gdy podniósł groźnie topór.

W towarzystwie swoich dowódców i sterników obszedł i przeszukał statek. Jego ładunek był

niewątpliwie cenny, ale bez żadnego pożytku dla nas, pomijając kilka płaszczy ofiarnych, wyszywanych drogimi kamieniami i perłami. Kiedy chciał wejść do nadbudówki na rufie, kapłani 37

uczepili się jej zasłony, tak że zmuszony był ją zerwać. Wszedł do środka, ale szybko wyszedł

czerwony na twarzy i powiedział:

— Tam nie ma nic. Tylko cztery córki Astarte.

Zaciekawiło to nas. Ludzie z Salaminy rozmawiali z kapłanami i dowiedzieli się, że cztery dziewczęta są darem od tyryjskiej Astarte dla jej siostry Afrodyty w Akrai, ponieważ Tyr jako królowa morza panuje nad wszystkimi czterema stronami świata.

— To znak — mówili ludzie i zaczęli wołać na wyścigi jeden przez drugiego, że chcą zobaczyć te



dziewczęta. Widziałem, że Dionizjos przez chwilę rozważał, czy ma splądrować i zatopić statek. Ale potem spojrzął dokoła na złoty blask nieba, na uśmiechnięte słońce i ciemnoniebieskie morze, zaśmiał się i kazał dziewczętom wyjść na pokład.

Wyszły z nadbudówki bez obawy, pięknym krokiem, odziane tylko w swoje przybrania włosów, naszyjniki i przepaski bogini. Pierwsza była biała jak śnieg, druga żółta jak gorczyca, trzecia czerwona jak miedź, a czwarta czarna jak smoła. Wykrzyknęliśmy wszyscy ze zdumienia, gdyż nikt z nas nie widział jeszcze nigdy żółtoskórego człowieka. Niektórzy byli nieufni i twierdzili, że dziewczyna jest pomalowana. Dionizjos splunął w garść i potarł jej nagie ramię, ale okazało się, że kolor nie puszcza. Dziewczyna pozwalała na to, spokojnie patrząc na nas skośnymi, czarnymi oczyma. Dionizjos powiedział:

— Nie przeczę, że jest to znak i ostrzeżenie. Bogini zrozumiała, że nie mogliśmy wyjść na ląd, by złożyć ofiary. Toteż zesłała na naszą drogę te ofiary, którym równych własnymi siłami nigdy nie zdołalibyśmy jej ofiarować. Zdobyliśmy ten statek. Jest nasz, i na znak tego wbijam teraz mój topór w pokład i poświęcam ten statek bogini w Akrai.

Ludzie zadowolili się tą decyzją i zapewnili, że zaiste nie prowadzą wojny z bogami i poświęconymi im dziewczętami, jakkolwiek są ubogimi żeglarzami, którzy chcą się wzbogacić na morzu.

Całkiem przyjaźnie zabrali tylko kapłanom na pamiątkę ozdoby i grzechotki, ale nikt nie wziął nic od dziewcząt.

Kiedy spostrzegły, że zamierzamy opuścić statek, zaczęły żywo rozmawiać z sobą i pokazywać na nas. Murzynka złapała Dionizjosa za brodę, żółtoskóra musnęła prosząco palcem kącik moich ust. Dionizjos zmarszczył czoło i zapytał:

— Czego one chcą?

Tyryjscy kapłani wyjaśnili opornie, że dziewczęta uważają, iż powinniśmy złożyć ofiarę Afrodycie. A że wszyscy nie mogliśmy tego uczynić, chciały same wybrać tych, od których pragnęły przyjąć ofiarę. Ale kapłani nie godzili się na to, ponieważ ich zdaniem nie mieliśmy żadnego prawa do statku. Naszą jedyną ofiarą był topór, wbity przez Dionizjosa w pokład, i obiecali, że zabiorą go z sobą do Akrai.

Dionizjos wyplątał palce Murzynki ze swej brody, stoczył ciężką wewnętrzną walkę i rzekł:

— Kto zrobił pierwszy krok, nie może uniknąć i następnych. Musimy i tak spożyć gotowany posiłek, dopóki morze jest spokojne. Nie chcę jednak wykorzystywać mego stanowiska dowódcy.

Ciągnijcie losy między sobą, by wybrać czterech mężów, którzy będą reprezentować nas wszystkich. Jeśli chodzi o mnie, chętnie wezmę też udział w losowaniu, choć los rzadko zwykł mi sprzyjać.

Wszyscy uznali, że postąpił słusznie i szlachetnie.

Bogini podzieliła swoją łaskę bez stronniczości, na każdy z okrętów przypadł jeden wygrywa-jący kamień, czerwony, czarny i żółty. Lecz choćby brzmiało to niewiarygodnie, ja sam wycią-

gnąłem biały kamień. Przeraziłem się ujrzawszy go w mojej dłoni i zdawało mi się, że jeszcze raz poczułem lekkie dotknięcie wąskiego koniuszka palca w kąciku wargi. Zdawało mi się, że nie mogło mnie spotkać nic rozkoszniejszego. Toteż wsunąłem biały kamień w dłoń Mikona, gdyż był on bystro myślący, a Dorieus zacząłby się tylko jąkać i pytać, o co mi chodzi.

38

— Zaczynam rozumieć. Czyż nie opowiadałeś, że kiedy zbudziłeś się do przytomności po uderzeniu pioruna, zasłoniłeś swą nagość wełnianymi przepaskami, które jakieś dziewczyny zawiesiły na krzakach. Sądziłem, że to księżyc panuje nad tobą. Dopiero teraz pojmuję, dlaczego burza zaprowadziła nas do świątyni w Akrai.

Prosiłem, by skończył pleść bzdury i podniósł rękę z kamieniem pokazując go wszystkim.

Wioślarze umyli teraz, wyszorowali i namaścili tych, którzy wygrali, domagając się, by Dionizjos dał ze wspólnego łupu naszyjniki i pierścienie dla ozdoby.

Podczas gdy my wszyscy ustawiliśmy się rzędem przed kotłami, ci czterej szczęśliwcy, z Mikonem jako najstarszym rangą na czele, weszli do nadbudówki tyryjskiego statku. Kapłani zawiesili zasłonę, zerwaną przez Dionizjosa, i zaintonowali swoje ochryple hymny. Nam, pozostałym, ciepła strawa zastąpiła to, co utraciliśmy w losowaniu, a Dionizjos kazał mieszać dla nas wina i wypić na uczczenie uroczystej okazji.

Mimo to wielu zapomniało o piciu i siedziało dalej na pokładzie, wpatrując się w nadbudówkę tyryjskiego statku.

Kiedy się najedliśmy i napili, słońce zbliżało się już do horyzontu na zachodzie i Dionizjos zaczął się niecierpliwić. W końcu powiedział:

— Wejdźcie tam i zabierzcie składających ofiarę. Jeśli komuś przerwiecie jego akt ofiarny, niech sam siebie wini.

I nie mogliśmy powstrzymać się od przyłożenia ręki do ust ze zdumienia, gdy ujrzeliśmy, jak wioślarze wloką swoich trzech kolegów zza zasłony nadbudówki. Przewracali oni oczyma i ledwie trzymali się na nogach, usta mieli szeroko rozwarte i języki wywieszono. Mikon zataczał się za nimi podtrzymywany przez dwóch wioślarzy, których obejmował rękami za szyję, a gdy usiłował o własnych siłach przeskoczyć na nasz okręt, padł jak długi na pokład.

Dionizjos kazał nam chwycić za wiosła i skierować nasz okręt na północny wschód, tak jakby-

śmy mieli zamiar opłynąć Cypr od strony lądu i wrócić na wody jońskie. Domyślał się, że kapłani tyryjscy zawiadomią Persów o pirackim okręcie i wyślą wszystkie okręty z Akrai, by nas ścigały.

Ale niesłychana śmiałość planu Dionizjosa była naszą najlepszą obroną. Nie mogło przecież nikomu

wpaść do głowy, że zamierzamy żeglować prostopaszcę śmierci na wody fenickie. Gdy statek ofiarny znalazł się już poza zasięgiem wzroku, Dionizjos kazał sternikowi znowu wziąć kurs na południowy wschód. Podczas gdy nasze okręty skręcały, przebiegł po morzu uśmiechnięty powiew wiatru, tak jakby Afrodyta akrajska sama chciała okazać nam swą kapryśną łaskę.

Dionizjos powiedział:

— Mąż taki jak ja nie ufa bogom i to nie bez powodu. Ale widać całkiem wyraźnie, że Afrodyta z Akrai upodobała nas sobie i woli przyjąć tyryjski statek ofiarny od nas, Jończyków, niż od Fenicjan. Toteż uczyniliśmy słusznie, pozwalając drogocennemu statkowi popłynąć i podać na Cyprze fałszywe wiadomości o drodze, którą obraliśmy.

Mikon wyczołgał się na pokład drżąc na całym ciele i wyrzygał się na deski nie zdolawszy doczołgać się do relingu. Wtedy znowu spojrział na mnie rozsądnie i usiłował uśmiechnąć się do mnie.

— Jeszcze nigdy czegoś takiego nie przeżyłem przez moich czterdzieści lat — odezwał się zgaszonym głosem. — Zdawało mi się, że wiem dużo, ale nic nie wiedziałem, i teraz wierzę, że niewidzialna złota sieć Afrodyty bez trudu może spętać najsilniejszego mężczyznę.

Gdy słońce zaszło i morze odziało się w purpurę, wręczył mi z powrotem biały gładki kamień i dodał:

— Zachowaj go ty, Turmsie, bo tobie, był przeznaczony, a nie mnie, ty ulubieńcze bogini.

39

Przyjąłem kamień i schowałem go, tak jak schowałem czarny kamień z klepiska w świątyni Kybele w Sardes. Także i ten, który przypadł mi w losowaniu, oznaczał, że jakiś okres w moim życiu się skończył, choć wtedy jeszcze tego nie wiedziałem.

Ale Mikon ostrzegł mnie, mówiąc:

— Bogate dary dają bogowie swoim wybrańcom, ale jeszcze więcej mogą wziąć w zamian.

Twoją boginią jest Artemida, wszystko na to wyraźnie wskazuje. W postaci księżyca włada ona tobą i czyni cię przygnębionym przy nowiu, ale wzmacnia, gdy księżyc przybiera, tak że twoja istota rozkwita przy pełni księżyca. Z tej jednak czy innej przyczyny także Afrodyta wybrała cię i ten wybór grozi ci niebezpieczeństwem. Obie te boginie, najpotężniejsze z wszystkich, są o siebie zazdrosne. Strzeż się więc, byś nie złożył w ofierze żadnej zbyt dużo. Staraj się zachować łaski obu podczas gdy one będą o ciebie współzawodniczyć.

Odparłem:

— Rozumiem twoje słowa jako porównanie, Mikonie. Księżyc i gwiazdy zawsze współzawodniczyły ze sobą.

— Nie, nie — sprzeciwił się Mikon. — W takim razie źle zrozumiałeś moje słowa. Raczej księżyc i

gwiazdy są tu porównaniami z zewnętrznymi oznakami mocy, które żyją w nas i poza nami. Ale tej prawdy dowiaduje się tylko ten, kto jest wtajemniczony, i nie da się tego wytłumaczyć słowami innym.

Podniósł nagle rękę i zalawszy się łzami, wykrzyknął:

— Zazdroszczę ci, Turmsie. W strasliwym uniesieniu mego ciała poznałem twoją boginię, i dałbym nie wiem co, byle bym tylko mógł oddać się jej aż do dnia śmierci. Rozkoszna i strasliwa jest jej moc. Sprawia ona, że człowiek zapomina o innych bogach, i nie zawahałbym się ani chwili obrazić któregokolwiek z nich, gdybym mógł przez to zyskać przychyłność Cypryjki.

I dodał:

— Wiedziałem już przedtem, że można poznać bogów i zobaczyć niewidzialnych, gdy się pości, umartwia ciało i czuwa, jak to czynią wtajemniczeni. Ale nie wiedziałem, że nawet w najzupełniejszym uniesieniu zmysłów można zobaczyć to, co ukryte, przeszłość jak i przyszłość.

Afrodyta jest mądrzejszą boginią niż sądziłem, mimo całej swej rozwiązłości. Może to jej kapryśność i lekkomyślność są najwyższą mądrością.

Ale ja uśmiechnąłem się z wyższością na jego słowa. W moim mniemaniu Mikon był słabym człowiekiem. Sam uważałem siebie za twardszego.

Wszystko to zostało szybko zapomniane podczas ciężkiego wiosłowania na fenickich wodach.

Księżyc wszedł w pełnię i mknęliśmy po morzu rozjuszeni jak psy Artemidy, mordując, plądrując i zatapiając. Topiliśmy także statki egipskie, aż wreszcie nasze okręty poruszały się ciężko, obciążone

całym tym ładunkiem i łupem. Na wybrzeżu fenickim palono ogniska sygnałowe i w twardej walce udało nam się naszymi ciężkimi kadłubami staranować i zatopić dwa lekkie fenickie okręty wojenne, które zaskoczyły nas na otwartym morzu. Straciliśmy wielu ludzi, a inni musieli leczyć rany. Któryś zmarł z charkotem i nawet Mikon nie mógł mu dopomóc, inny zaś wyzionął

ducha, obluzgując pokład spienioną krwią. Mnie jednak osłaniały niewidzialne tarcze i nie odniosłem żadnej rany.

Wielu spośród ludzi Dionizjosa zaczęło się skarżyć, że widzą cienie umarłych poruszające się w ciemności na naszych okrętach i że czują, jak zimne palce szczypią ich skórę, gdy zapadają w sen. Towarzyszył nam orszak żądnych pomsty umarłych, bo morze i powietrze ciemniały często wokół naszych okrętów bez wyraźnej przyczyny.

Dionizjos składał wiele ofiar, by ułagodzić umarłych. Spluwał do morza i drapał paznokciami bukszpryt, żeby pozyskać sprzyjający wiatr. Jego szczęście zaczynało wyglądać przerażająco nawet dla niego samego, bo wciąż jeszcze nie ucierpieliśmy żadnej szkody od morza i fal. Dopiero 40

po spotkaniu z okrętami wojennymi nasze okręty zaczęły przeciekać tak, że musieliśmy uszczelnić

spojenia.

Gdy nów księżyc pojawił się na horyzoncie jako cienki srebrny sierp, Dionizjos powiedział:

— Dostyc już próbowaliśmy szczęścia i nie mamy miejsca na więcej ładunku. Tak chciwy nie jestem, by poświęcić żeglowność moich okrętów, dla łupu. Nasza wyprawa skończyła się i teraz pozostało nam tylko uratować życie i mienie. Zwróćmy więc dzioby ku zachodowi i niech Posejdon pomoże nam przemierzyć niezmierzone morze.

Z załogi statków, które zdobyliśmy, oszczędził kilku pilotów, którzy znali odległe szlaki wodne, jakkolwiek zbytnio im nie dowierzał. Gdyż największą zbrodnią, jaką może popełnić fenicki żeglarz, jest wyjawienie obcemu szlaków morskich, znaków na lądzie i wiatrów, które zna. Także pływających żeglarzy z okrętów wojennych wziął Dionizjos na pokład. Podczas gdy ludzie z Fokai krzyczeli z radości, widząc, jak stewy zwracają się na zachód, Dionizjos pomodlił się do fenickich i jońskich bogów, namaścił posążek boga na bukszprycie krwią na obliczu, dłoniach i stopach, i kazał na każdym okręcie złożyć w ofierze kilku jeńców i rozlać ich krew do morza. Na morzu dozwolone jest składanie licznych ofiar, czego nie można czynić na lądzie, toteż nikt nie sprzeciwił się tym barbarzyńskim ofiarom. Tylko Mikon powiedział, że uważa je za niepotrzebne.

## **KSIĘGA TRZECIA**

# Himera

## 1

Większa niż wyczyny Dionizjosa w bitwie pod Lade, o wiele bardziej godna szacunku niż jego umiejętność grasowania na wodach fenickich, była jego żeglarska sprawność na otwartym morzu. Przez jesienne wiatry, w okresie, kiedy inne okręty chroniły się już do zimowych portów, udało mu się w trzy tygodnie dotrzeć do wybrzeża sycylijskiego. Doprowadził do celu wszystkie trzy nasze okręty, ani razu nie przybijając po drodze do brzegu i mając góry na Krecie jako jedyny znak orientacyjny w czasie całego rejsu. Ten jego niewiarygodny wyczyn wart był wszelkiej nagrody.

Ale byliśmy schorowani i cuchnęliśmy, przeżarci do ran słoną wodą, sparaliżowani i chromi od ruchu fal i tak oszołomieni, że widzieliśmy wokół siebie trytony i rogate potwory morskie.

Kiedy wreszcie dostrzeżliśmy niebieskie pasemko lądu na zachodzie i zobaczyliśmy, że jest ono prawdziwe, wybuchnęliśmy płaczem i ludzie zaczęli chrapliwie wołać, że Dionizjos musi przybić do najbliższego brzegu bez względu na to, czy jest to ziemia afrykańska, czy też italska, zamieszkała przez Kartagińczyków czy przez Greków.

Nasze okręty przeciekały tak mocno, a jesień była tak późna, że nawet Dionizjos nie wyobrażał sobie już, iż będzie mógł żeglować przez równie daleką drogę na nieznanymi wodach do Massilii. Toteż wezwał dowódców i sterników na naradę i powiedział:

— Przed sobą widzicie potężną górę, z kapeluszem dymu na ciemieniu. Z tego wiemy, że jest to wybrzeże Sycylii. Sumienie mamy czyste i wiemy, że prowadziliśmy legalną wojnę z Persami.

Ale zbyt jesteśmy bogaci, by nie wzbudzać podejrzeń, choćbyśmy nie wiem jak zapewniali, że *41*

zdobyliśmy nasze łupy pod Lade, a potem żeglowaliśmy prostą drogą, by szukać schronienia u naszych greckich braci na zachodzie. Upojony winem już niejeden przed nami wygadał wszystko, co miał w głowie. Nie, na zimę musimy sobie poszukać miasta leżącego możliwie najbardziej na uboczu i kupić przyjaźń tyrana. Trzy okręty wojenne i oddział taki jak nasz, to wcale nie do pogardzenia podpora dla małego tyrana, który usiłuje zachować swoją niezależność wśród wielkich miast Sycylii. Takie miasta znajdują się na północnym wybrzeżu Sycylii przed Panormos i krę-

giem wpływów Kartagińczyków. Toteż wymagam od was jeszcze jednego ostatniego wysiłku, moi dzielni towarzysze broni. Przepłynijmy dzielnie przez tę cieśninę, która stała się już zagładą wielu okrętów. Inaczej stracimy wszystko, co z tak wielkimi trudami zdobyliśmy.

Nawet mężni sternicy zbledli na myśl o wirach, prądach i zdradzieckich wiatrach w owianej legendą cieśninie. Dionizjos dał im wszystkim wygadać się, tak że każdy ulżył sobie na sercu, po czym uspokoili się. Zrobił się wieczór, usłyszeliśmy głuchy grzmot i ujrzeliśmy słup ogniisty za-barwiający niebo nad spowitą dymem górą. Płatki popiołu zaczęły spadać na nasze okręty i nikt z wiosłarzy nie chciał już wychodzić na ląd.

Dorieus odezwał się:

— Kraj śmierci mego ojca wita mnie ogniem i hukiem. To wystarczający znak dla mnie.

Wiem już, dlaczego kości owcze wskazywały na zachód.

Mikon zaś powiedział:

— Dionizjos doprowadził nas aż tutaj dzięki swemu szczęściu. Niech prowadzi nas dalej.

Także i ja uważałem, że bogowie nie po to ochronili nas przed morskimi drapieżnikami, aże-by nędznie zatopić nasze okręty w osławionej cieśninie. Na tym skończyła się narada i Dionizjos przeprowadził swoją wolę. W ciszy nocnej złożył bezlitosnym bogom cieśniny ofiarę z fenickich pilotów. Kiedy rankiem zauważyłem, że piloci znikli, żałowałem ich, ponieważ zwykłem był rozmawiać z nimi, aby nauczyć się ich języka, i stwierdziłem, że choć byli obcymi, nie różnili się zbytnio od nas.

Mimo okrutnej ofiary cieśnina okazała się godna swojej sławy i musieliśmy ciężko wysilać się przez wiele dni, żeby przejść przez nią i uchronić nasze okręty od wpadnięcia na skały i mie-lizny. Z miasta Zankle podszedł do nas szybkowiosłowiec z poleceniem, żebyśmy zawinęli do tamtejszego portu i opłacili cło za przeprawę. Ale Dionizjos porozmawiał pojednawczo z celni-kiem, tłumacząc, że jesteśmy okrętami wojennymi wracającymi z wojny z Persami do nowych siedzib. Okręty wojenne nie płacą przecież żadnego cła, tylko statki handlowe. Potem umilkł

skromnie i pozwolił sternikom opowiadać celnikowi z Zankle o naszych wyczynach pod Lade, a sternicy nie pomniejszali jego zasług, tak że celnik słuchał z otwartymi ustami i zapomniał

o całej sprawie.

Bardziej martwi niż żywi, z hukiem kipieli wciąż jeszcze w uszach dotarliśmy w końcu na jesiennosine morze Tyrreńskie i dostaliśmy pomyślny wiatr do żeglugi wzdłuż niebieskawego i górzystego północnego wybrzeża Sycylii. Dionizjos złożył ofiary dziękczynne, ulał wina do morza i odciał nogi fenickiemu bożkowi oraz zwałił go jako największą ofiarę za burtę ze słowami:

— Ciebie nie potrzebuję już więcej, bożku, kimkolwiek jesteś, bo tych tutaj wód nie znasz.

Przeciekające okręty żeglowały ciężko, jeszcze bardziej uszkodzone po przeprawie przez cieśninę, i każdy z nas tęsknił do lądu, by wreszcie raz napić się nie zepsutej wody i najeść winogron i jabłek. Ale Dionizjos żeglował dalej wzdłuż wybrzeża, wciągając w rozwarte nozdrza wiatr od lądu, rozmawiając z rybakami i kupując od nich świeżą rybę na prowiant. Kiedy zebrał

już dostatecznie dużo wiadomości, powiedział:

— Jeśli dobrze zrozumiałem, między miastami Sycylii panuje teraz niezgoda i prowadzą one od czasu do czasu wojnę. Po przepłynięciu tej cieśniny stałem się człowiekiem spokojnym i nie 42

szukam kłótni z nikim. Prośmy więc bogów o znak dotyczący naszego osiedlenia. W kości owcze nie

wierzę, ale zwracajmy wszyscy uwagę na nasze sny dziś w nocy, a potem pójdziemy za znakami, jakie otrzymamy.

Zdaje mi się, że Dionizjos mówił tak tylko po to, by zyskać jeszcze jedną noc. Sam on nie wierzył chyba w sny, ale chciał w oczach swoich ludzi otrzymać potwierdzenie bogów dla decyzji, którą już powziął.

Nazajutrz rano udał bowiem nader zdziwionego, gdy tylko się zbudził, podbiegł do burty, aby załatwić potrzebę, wypatrując równocześnie w stronę lądu. W ciągu nocy zniosło nas niemal aż za blisko ku wybrzeżu, i przyjrząwszy się dokładnie, Dionizjos zawołał:

— Zaiste, bogowie są życzliwi. Śniłem właśnie o tym przyładku i o górze, która przypomina starego, łęgowatego osła. Okrążmy go szybko i płynmy potem do lądu. Po drugiej stronie leży piękny brzeg, który widziałem we śnie, ze strumykami i źródłami, polami i drzewami owocowymi.

Ludzie pobiegli do wiosła, nie tracąc nawet czasu na jedzenie, tak żarliwie pragnęli poczuć pod stopami stały ląd. Już poprzedniego wieczoru umyliśmy się, namaścili i włożyliśmy czystą odzież. Większość z nas splotła włosy i ogoliła się świetnymi brzytwami, które znaleźliśmy na statkach fenickich. Nasze stare szmaty rzuciliśmy do morza, a potem zapaliliśmy kadzidło na okręcie, żeby przepędzić zły odór i ułatwić przystęp do nas boskim widzeniom sennym.

Podczas gdy wioślarze harowali przy wiosłach, by przeprowadzić nas wokół pokrytego lasem przyładka, Dorieus zmarszczył gorzko czoło i powiedział groźnie:

— Dionizjosie z Fokai, nie wiem, czy twoje sny są w jakiś sposób świętsze niż moje, ale mój sen był bardziej żywy niż rzeczywistość i pokazał mi mego przodka Heraklesa, stojącego przede mną i większego niż wszyscy ziemscy mężowie. Na prawym ramieniu miał pałkę wielką jak pień dębu, a na jego lewym ramieniu stał na jednej nodze kogut i piał. I tylko tego snu zamierzam słuchać, a nie twojego.

Dionizjos zaśmiał się i zapytał:

— A jak go tłumaczysz?

Dorieus chwycił za miecz, który miał u boku i odparł:

— Nie umiem go wytłumaczyć, ale my, mężowie ze Sparty, śnimy rzadko i słuchamy wtedy naszych snów. Dlatego też zmuszony jestem bić się o mój sen przeciw twojemu snowi, Dionizjosie, jeśli dobrowolnie weń nie uwierzysz.

Dionizjos spostrzegł, że Dorieus mówi poważnie. Podczas gdy wioślarze wiosłowali dalej, zwrócił się do nas, pytając, co widzieliśmy w snach. Mikon opowiedział:

— Widziałem miasto o niebotycznych murach, a wewnątrz niego szalał straszliwy pożar. Widziałem uciekających mężczyzn, którzy, dźwigali skrzynie ze skarbami i bogów domowych, oraz kobiety, które wlokły z sobą płaczące dzieci na pokład okrętu, by ujść z płonącego miasta.



Dorieus uśmiechnął się z radości i rzekł:

— Twój sen tłumaczy mój sen. Widziałeś pożar Troi. Ci, co uratowali się z zagłady Troi, po-  
żeglowali aż do Sycylii, założyli Eryks i Segestę i pobili tubylczych Sikanów, dopóki mój przodek  
Herakles nie przybył tu w swoich podróżach i nie pokonał ich. Od tej pory zachodnia Sycylia była  
dziedzicznym krajem heraklejskim. Mój ojciec Dorieus płynął tu, żeby go podbić, ale padł  
w boju, ponieważ już nigdy o nim nie słyszałem. Dlatego bogowie przywiedli mnie na zachód wbrew  
mojej woli, ażebym dalej prowadził dzieło mojego ojca. To kogut zwycięstwa piał na lewym  
ramieniu Heraklesa w moim śnie. Płynmy więc do Eryksu i podbijmy ten kraj.

Dionizjos zaczął wrywać sobie włosy z głowy i wykrzyknął: 43

— Zabierzcie z moich oczu tego spartańskiego szaleńca. Jeśli nawet nasze okręty wytrzyma-  
łyby żeglugę aż do Eryksu, byłoby to wtykaniem głowy prosto w paszczę kartagińskich Fenicjan.  
Oslaniają oni kraj Eryks, a afrykańska Kartagina naprzeciw Eryksu jest najokrutniejszym miastem,  
jakie kiedykolwiek panowało na morzach.

Mikon wtrącił uspokajająco:

— Sny są wieloznaczne, Dorieusie. Być może twój długi post na morzu sprawił, że przypomniałeś  
sobie we śnie piejące koguty Afrodyty z Akrai. W męskości swej poczułeś się równy swemu  
przodkowi, czego znakiem owa pałka. Ale obojętnie jak było, nie stracimy nic, jeśli najpierw  
pójdziemy za snem Dionizjosa i znajdziemy sobie schronienie na pięknym brzegu.

W tejsze chwili sternicy i wioślarze wzniesli radosne okrzyki. Po drugiej stronie przylądka otworzył  
się osłonięty port o miękkich brzegach, z zielonymi łąkami, drzewami owocowymi i ciemnymi  
lasami. Wokół nadbrzeżnego wzgórza biegł wał z pali i ziemi, a wewnątrz można było rozróżnić  
świątynię i wiele nowo zbudowanych domów. Nad wodą rozbrzmiewał wesóły dźwięk pasterskich  
fletów, beczących owiec i ryczącego bydła.

Ale Dorieus zgrzytnął zębami, podniecił się do szaleństwa, wyciągnął miecz i uderzywszy Mikona  
płazem w głowę, zwrócił ostrze przeciw Dionizjosowi.

— Płyn dalej — nakazał. — Głos Heraklesa we mnie mówi, że jeszcze nie dotarliśmy dostatecznie  
daleko na zachód. Poszukamy lądu dopiero wtedy, kiedy okręt zatonie pod nami. To będzie  
dostateczny znak dla nas, Dionizjosie z Fokai.

Przeraziłem się jego szaleństwa, ale ze względu na naszą przyjaźń musiałem stanąć u jego boku.  
Dionizjos na próżno usiłował go ugłaskać, w końcu jednak sam wpadł w furję. Zaczął

toczyć z ust pianę i nagle rzucił topór tak, że ten rozciął tarczę Dorieusa i skaleczył go w dłoń.

— Masz tu twego koguta w lewej dłoni! — ryknął i porwał włócznię z pokładu, by przebić nią

Dorieusa. Ale w tejże chwili ogarnął nas powiew wiatru i sprawił, że ciężko ładowne okręty przechyliły się tak mocno, iż woda wdarła się przez luki wiosłowe i wiosłarze wykrzyknęli, że toniemy.

Dionizjos musiał spiesznie odwrócić okręt za wiatrem i wciągnąć żagle, żebyśmy dryfując nie stali się łupem dla spienionych fal. Wiatr pchał nas obok pięknego wybrzeża, choć tylko kilka długości okrętu dzieliło nas od spokojnej wody w zatoce. Zimny jesienny deszcz spadł na nas, za-słaniając brzeg. Dorieus potarł zdrętwiałą dłoń, osuszył krew palcami i powiedział:

— Powinieneś być uwierzyć w mój sen, Dionizjosie, nie spierając się. Gdybyś wyteżył wzrok, zobaczyłbyś, że to sam Herakles wstąpił na nasz okręt i zaczął dmuchać w żagiel, by udowodnić, że to mój sen był właściwy.

Ludzie z Fokai krzyczeli i biadali, sądząc, że toną. Także Mikon i ja zdjęliśmy część odzieży, przygotowując się, by płynąć wpław do lądu. Lecz Mikon rzekł:

— Nie bój się, nie utoniemy, przynajmniej ty i ja. Niebawem zobaczymy, co to wszystko znaczy.

Wiatr był silny i pędził nas przed siebie, tak że byłoby niecelowe próbować wiosłować do brzegu. Ale gdy ulewa przeminęła, wiatr pocieplał i złagodniał i już nie wywierał nacisku na okręty. Z sykiem przelatowały obok nas spienione rumaki fal, i jeszcze raz odnieśliśmy wrażenie, jakby to niewidzialna moc ostrożnie i zręcznie niosła nas dalej. Nawet Dionizjos ustąpił i powiedział:

— Sny są snami i rodzą tylko kłótnie. Zapomnijmy o nich i idźmy za mądrością morza i wiatru. Znam je i nie opieram się im.

O zmierzchu wiatr osłabł i zakołysał nas do brzegu. Ujrzelśmy ujście rzeki i zatokę portową oraz miasto otoczone potężnymi murami. Wokół niego unosiły się w powietrze słupy pary z gorą-

cych źródeł, a w dali siniały wysokie góry. Ludzie przestali wyczerpywać wodę i chwycili za wio-  
44

śla, i woda na okręcie podniosła się aż do ław wiosłarzy. Chcąc nie chcąc musieliśmy wiosłować do brzegu, bo okręt pod nami tonął. Kiedy wiosłarze w końcu uciekli na pokład i woda z szumem wirowała w pomieszczeniach, poczuliśmy zgrzyt i uderzenie, gdy okręt dotknął dna tuż blisko brzegu. Byliśmy uratowani, choć fale przelewały się przez pokład i okręt położył się na boku z ciężkim westchnieniem. Oba pięćdziesięciowiosłowce dotarły aż do brzegu i wyskoczyliśmy wszyscy za burtę, i wywlekliśmy je na ląd. Dopiero potem porwaliśmy za broń gotowiac się do obrony, choć ziemia huśtała się pod nami i zataczaliśmy się jak pijani, usiłując ustać na szeroko rozstawionych nogach.

2

Po obu brzegach ujścia rzeki leżało wciągniętych na brzeg wiele okrętów, podpartych i przykrytych na zimę. Z ciekawością i bez żadnej obawy zbliżała się do nas cała masa ludzi w barwnych szatach. Wołali żywo do siebie w różnych językach. Gdy zobaczyli naszą broń, zatrzymali się w bezpiecznym

oddaleniu, ale niektórzy ułamali zielone gałązki z drzew i machali nimi na znak przyjaźni.

Odrzuciliśmy tarcze i broń. Wnet zbliżyła się gromada ludzi, mówili do nas, patrzyli na nas i szarpali nas za odzież, tak jak to mają ciekawi ludzie za zwyczaj we wszystkich krajach. Większość mówiła po grecku, choć z dziwnym akcentem. Przekupnie nadeszli z kosztami winogron i innych owoców. Jako zapłatę przyjmowali chętnie perskie złote monety, wydając jako resztę srebrne pieniądze. Mówili, że miasto nazywa się Himer. Było ono założone dawno temu przez mieszkańców Zankle i mieszkali tam Syrakuzanie, którym uprzykrzyły się wojny domowe w ich mieście rodzinnym. Ale większość mieszkańców stanowili Sikulowie z prastarej ludności tego kraju, i Grecy zmieszali z nimi swoją krew.

Krótko po zachodzie słońca zamknięto bramy miejskie. I nie pragnęliśmy też więcej tego wieczora towarzystwa mieszkańców, lecz zapadliśmy w sen na gołej ziemi, gdzie kto stał. Zapach ziemi i trawy i samo zetknięcie z nimi było rozkoszą dla naszych ciał po smrodzie i twardym drewnie okrętu.

Następnego dnia panowała w naszym obozie beztroska radość i nigdy chyba ziemia nie była nam tak przyjazna jak po tej długiej podróży morskiej. Pobrzękiwaliśmy na fenickich instrumentach, dźwięczały flety i wielu zaczęło tańczyć rozpasany taniec kozła już przed południem. Zgiełk w naszym obozie zwabił ludzi z miasta, także kobiety, które wstydliwie ukrywały twarz połą płaszcz, lecz mimo to pożądliwie błyszczącymi oczyma przyglądały się śmiałym skokom tań-

czących taniec kozła. Dionizjos zakazał jednak surowo swoim ludziom dotykać przedwcześnie kobiet i wystawił strażników na okrętach, ponieważ mieszkańcy miasta wydawali się ciekawi ładunków, które nie nadawały się przecież do pokazywania obcym.

W końcu przyszedł tyran Himery, Krinippos, w otoczeniu uzbrojonej straży przybocznej i wielu jeźdźców, by nas przywitać i spytać o nasze zamiary. Był to mąż zgarbiony o rzadkiej bródce, który szedł pieszo pośród świty, skromnie odziany w samodziałowy płaszcz. Dionizjos wyszedł

mu na spotkanie wraz ze swymi najbliższymi ludźmi, opowiedział o bitwie pod Lade i łupach zdobytych na Persach, i prosił o schronienie na zimę, dopóki nie będziemy mogli popłynąć dalej do Massilii na przyszłą wiosnę. Prosił też o liny i woły, wielokrażki i cieśłów, by móc wyciągnąć nasz zatopiony okręt na ląd i podeprzeć inne, obiecując zapłacić za wszystko po obiegowych cenach.

Podczas gdy mówił, Krinippos przyglądał mu się bacznie i widać było po jego spojrzeniu, że mimo skromnej odzieży nie był jakimś mało ważnym mężem. Kiedy Dionizjos skończył, powiedział:

45

— Jestem tyranem w Himerze na życzenie moich współobywateli, choć rządzenie jest dla mnie wstrętne. Dlatego też nie mogę podjąć żadnej decyzji, nie zapytawszy wpierw o zdanie moich współobywateli. Ale są problemy nie nadające się do tego, by omawiać je w zgromadzeniu ludowym. Proszę cię więc, przyjdź do mego domu w mieście, gdzie będziemy mogli pomówić o ziemskich i boskich sprawach w czterech ścianach. Albo jeśli mi nie ufasz, ponieważ mnie nie znasz, usuńmy się na bok we dwóch, na widoku, ale poza zasięgiem słuchu twoich załóg. Jestem samotnikiem z usposobienia, unikam ludzi i mój dar wymowy jest nikły. Dlatego nie lubię zbyt wielu

słuchaczy

Dionizjos zgodził się chętnie na jego propozycję i siwowłosy tyran poszedł bez trwogi obok niego daleko na łąkę, choć Dionizjos był o dwie głowy wyższy i mógłby skrócić mu chudy kark gołymi rękami. Widzieliśmy, jak usiedli na ziemi i zagłębili się w poważnej rozmowie. Towarzysze Krinipposa uśmiechali się dumnie na tańczących koniach i mówili:

— Nasz tyran Krinippos jest wspaniałym człowiekiem i obwołaliśmy go królem, lecz on nie chce o tym słyszeć. W pałacu ma on mnóstwo podziemnych świętych czarów, tak że nie potrzebuje się obawiać żadnego współzawodnika. I nikt nie wie, jak on je kiedyś zdobył, ale odkąd nastraszył nas nimi, udało mu się położyć kres wszystkim walkom w naszym mieście i rządzić tak mądrze, że i Kartagińczycy i Tyrreńczycy są naszymi przyjaciółmi, i nawet Syrakuzy nie wazą się naruszać naszej wolności.

Opowiadali dalej, że Krinippos ożenił się z wysokiego rodu kobietą z Kartaginy, i że bez-stronnie chronił prawa wszystkich mieszkańców miasta bez względu na ich pochodzenie. O własne bogactwo nie troszczy się zbyt, lecz przykładą większą wagę do swoich czarów. Jego podatki są rozsądne, a pieniądze używa na umacnianie murów, rozbudowę portu i wznoszenie świątyń.

Z kasy miejskiej wypłaca też odszkodowania za zaginione okręty. Jednym słowem Himera jest szczęśliwym miastem, gdzie nie ma strachu i nie popełnia się bezprawia.

Dopiero po dłuższej chwili zobaczyliśmy, że Krinippos i Dionizjos wstają i grzecznie otrzepują się nawzajem ze ździebeł trawy. Razem wrócili do nas i Dionizjos był zaczerwieniony na twarzy z zadowolenia i kazał ludziom uderzyć w tarcze, podnieść w górę oszczepy i wznieść okrzyk na cześć Krinipposa. Krinippos i jego świata zawrócili do miasta, a Dionizjos powiedział do nas:

— Zawarłem przymierze z tym wybitnym władcą. Od tej pory możemy przychodzić i wychodzić z miasta, jak nam się spodoba, z bronią lub bez broni. Możemy prowadzić handel, jeśli ze-chcemy, czcić bogów miejskich albo naszych własnych, zenić się z tutejszymi kobietami albo w inny sposób zjednywać sobie ich łaski, całkiem tak jak my albo te kobiety będziemy chcieli, bo obyczaje są tutaj swobodne. Ale nie wolno nam dopuszczać się gwałtu ani obrażać nikogo z mieszkańców miasta, i zobowiązujemy się bronić murów miejskich, dopóki tu mieszkamy, tak jakby to było nasze własne miasto.

Jego ludzie mieli miny nieufne i mówili:

— Wszystko to jest aż nazbyt dobre i ładne, żeby było prawdziwe. Krinippos jest chytrzejszy, niż myślisz. Gdy już zwabi nas do miasta, każe swoim ludziom napaść i zamordować nas, aby zdobyć nasze skarby, albo też zaczaruje nas swoimi czarami, lub skusi do udziału w grze, gdzie stracimy wszystko, co z takim trudem i móżołem zebraliśmy na zabezpieczenie naszej starości.

Dionizjos kazał im zamknąć gęby i polegać na nim. W toku rozmowy z Krinipposem otrzymał

obietnice i zobowiązania tego rodzaju, że nie może w nie wątpić. Ale przede wszystkim przekonany był, że Krinipposa wiążą z nim wspólne korzyści, co znaczy więcej niż najświętsze przysięgi.

Dlatego też postanowił przechować nasze skarby w zamkniętych skrzyniach i zapieczętowanych workach w skarbcu Krinipposa, jako zastaw naszego dobrego zachowania i przyrzekł, że na razie rozdzieli między swoich ludzi tylko tyle z łupu, by mogli beczynn timerze zimować. Krinippos nie chciał, żeby zbyt wiele pieniędzy krążyło po mieście na raz, gdyż spowodowałoby to zwyżkę cen i utrudniło utrzymanie mieszkańcom miasta.

46

Ludzie Dionizjosa pytali ponuro, czy Krinippos zdążył już wypróbować swoje czary na jego rozsądku. Ale tak powabne było miasto i jego rozkosze, że niebawem weszliśmy przez otwarte bramy, po wyznaczeniu przez Dionizjosa najstarszych spośród nas na strażników do pilnowania okrętów.

Strażnicy przy bramach wpuścili istotnie naszą gromadę do miasta, nie pytając nas o broń.

Wędrowaliśmy ulicami i oglądaliśmy sklepy i warsztaty, farbiarzy i tkaczy, plac i jego portyki zaludnione nauczycielami, skrybami i kupcami, pałac Krinipposa i piękną świątynię Posejdona z żłobkowanymi kolumnami. Obejrzeliśmy też świątynię Demeter i inną, zbudowaną przez Kartagińczyków dla ich Baala. Dokądkolwiek przyszliśmy, mieszkańcy miasta witali nas, dzieci biegly za nami, a mężczyźni i kobiety targały nas za płaszcze, prosząc, byśmy zostali ich gośćmi. Himera była zaiste miłym i gościnnym miastem, a liczne języki, które słyszało się na jej ulicach, stwarza-

ły swobodny i beztroski nastrój.

Nasi ludzie, tak długo udręczeni na morzu, dawali się łatwo skusić i znikali po dwóch lub trzech w domach, aby nacieszyć się gościnnością chętnych gospodarzy. W ten sposób gromada nasza szybko stopniała. Na drzwiach domów kolejno zawieszano wieńce, wnoszono do domów bukłaki z winem, zapach smacznych potraw rozchodził się drażniąco przez otwory drzwi, i niebawem z ulic i zaułków słyhać było śpiew, grę na flecie i głośny śmiech kobiet. Nim się opamięta-liśmy, zostaliśmy sami na ulicy, Dorieus, Mikon i ja.

Prawda była taka, że mieszkańcy miasta unikali nas trzech z powodu czarnej grzywy końskiej powiewającej nad hełmem Dorieusa, i chętniej zapraszali do siebie zwykłych żeglarzy i wioślarzy. Poczuliśmy się głodni i spragnieni, a nie mieliśmy najmniejszej ochoty kupić bukłaka wina u przekupnia i wrócić do obozu, by urządzić tam ucztę dla siebie samych. Mikon zaproponował

z udaną powagą:

— Daj nam radę, Dorieusie heraklido! Dokąd mamy skierować kroki i jaki dom zaszczyścić naszą wizytą? Jeśli to twój sen przy zastosowaniu gwałtu przyprowadził nas tu, do Himery, to z pewnością wiesz, w którą stronę powinniśmy pójść tymi ulicami.

Dorieus odparł:

— Nic łatwiejszego. Chodźmy na zachód, jak daleko sięga miasto, a dojdziemy w poblize mego

dziejstwa.

Poszliśmy więc do zachodniej części miasta, gdzie domy były duże i nie miały okien od ulicy, a ogrody otoczone były murami. Ale ulica była cicha i nie zamieciona, a glina na ścianach domów spękana. Mimo to kroki moje były lekkie, głowa pusta, a powietrze mieniło mi się przed oczyma, i wykrzyknąłem:

— Tą ulicą szedłem we śnie. Poznaję te domy. Ale w moim śnie ulicą toczył się rydwan na huczących kołach, ślepy poeta brzdąkał na lirze, a kolorowe daszki od słońca rozpięte były nad drzwiami i bramami. Tak, to ulica z mego snu. A może nie?

Zatrzymałem się z wahaniem i rozejrzałem się wokoło, gdyż obraz ten zamajaczył mi tylko przez chwilę w pamięci i zaraz potem jak gdyby wyrosły mi łuski na oczach. Widziałem tylko kupy śmieci przy bramach i pustkę ulicy. Mikon rzekł:

— Niezamieszkała ta ulica nie jest, była to niegdyś ulica bogaczy i możnych. Widać to po murach i obiciach bram żelazem i brązem. Ale czas możnych rodów przeminął, odkąd lud wziął

władzę w swoje ręce, a tyran wystąpił w obronie ludu.

Nie słuchałem go, bo w tejże chwili zobaczyłem mieniące się białe piórko gołębie, które wła-

śnie spadło na ziemię przed nami. Schyliłem się i podniosłem je, rozglądając się wokoło. W dużej bramie obok mnie wpuszczone były małe drzwi. Kołatka z brązu przedstawiała satyrę obejmują-

cego uciekającą nimfę. Ale nie musiałem kołatać do drzwi, bo otwarły się skrzypiąc, gdy pchnąłem

je do środka. Weszliśmy na dziedziniec i ujrzeliśmy sad, ciemne cyprysy i kamienny basen kąpielowy.

Ku nam kuśtykał stary niewolnik, którego niegdyś przypieczono pod kolanem rozżarzoną żelazem, by usztywnić mu nogę na sposób barbarzyński. Podniósł ręce, odwracając dłonie w naszą stronę i przywitał nas nieufnie. Nie rozumieliśmy jego mowy, ale widać było, że pyta nas, czego chcemy. Nie zwracając na niego uwagi, rozejrzeliśmy się po ogrodzie. Mikon opłukał ręce w złoto mieniającej się wodzie w basenie kąpielowym i wykrzyknął, że woda jest całkiem ciepła.

Dorieus i ja spróbowaliśmy także i stwierdziliśmy, że istotnie była kusząco ciepła. Zdaliśmy sobie sprawę, że jest to woda ze źródeł, wypływających z gorących wnętrzości ziemi i parujących wszędzie wokół miasta w chłodne wieczory.

Stary niewolnik poszedł szukać pomocy i po chwili wyszła do nas rośła kobieta spowita od stóp do głów w pasiasty wełniany płaszcz, w towarzystwie dwóch służebnych. Przemówiła do nas greckim językiem używanym w Himerze, pytając, czy jesteśmy rabusiami, skoro wtargnęli-

śmy z bronią w ręku do dworu bezbronnej wdowy.

Całkiem bezbronna jednak nie była, gdyż stary niewolnik uzbroił się w pałkę, a na schodach domu stał mocny mężczyzna z brzydkim fenickim łukiem w rękach. Kobieta przyglądała się nam smolistymi oczami i widać było, że była kiedyś piękna, choć miała teraz zmarszczki wokół oczu, zakrzywiony nos i szydercze wzgardliwe usta.

Mikon odpowiedział jej pokornie:

— Jesteśmy tylko zbiegami z morza Jońskiego i przybywamy z wojny z Persami. Bogowie morza doprowadzili nas na ląd pod Himerą, a wasz władca Krinippos obiecał nam bezdomnym schronienie na zimę. Ale Dorieus wziął mu za złe pokorę i wykrzyknął:

— Zbiegiem i bezdomnym możesz być ty sam! Ja jestem ze Sparty i przybyłem tu, by szukać sobie nowej ziemi, i nie aby o nią żebrać, lecz by ją odziedziczyć. Weszliśmy do twego ogrodu, ponieważ mieszkańcy miasta rywalizowali ze sobą w okazywaniu przyjaźni i gościnności nisko urodzonym członkom załogi. My jednak nie znaleźliśmy żadnego domu godnego nas i wygląda na to, żeśmy zblądzili. Nie chcemy żebrać u bezbronnej wdowy o gościnność.

Wciąż jeszcze trzymałem w ręku piórko gołębia. Kobieta podeszła do nas, wzięła z roztargnieniem piórko z mojej dłoni i rzekła:

— Wybaczcie moją nieuprzejmość, ale może zrozumiecie, że jako słaba kobieta przeraziłam się na widok waszej znakomitej broni i wspaniałych tarcz. Ktokolwiek z niewidzialnych doprowadził was do mojej bramy, błogosławię go. Jesteście dobrze widziani i każę zaraz moim sługom przyrządzić ucztę odpowiednią do waszej godności. Widzę po was, że nie jesteście jakimiś mało-znacznymi mężami, ale i ja też nie jestem kobietą całkiem bez znaczenia. Nazywam się Tanakwil.

Jeśli to imię nic wam nie mówi, zapewniam was, że jest znane wielu innym i to nie tylko w Himerze.

Zaprowadziła nas do domu, prosiła, żebyśmy zostawili broń w przedsionku i wprowadziła nas do sali biesiadnej, gdzie łoża miały potrójne poduszki i ozdobione frędzlami poduszczyki jako oparcia dla łokci. Była tam także skrzynka ze wschodnimi posążkami i fenicki bóg domowy o uszmińkowanej twarzy, w drogocennym stroju. Duży koryncki krater do mieszania wina stał

pośrodku sali, a pod ścianami znajdowały się attyckie wazy i urny, zarówno stare z czarnymi figurami na powierzchni, jak te nowszego rodzaju z czerwonymi.

Tanakwil odezwała się skromnie:

— Widzicie własnymi oczyma, że moja sala jest ponura i że pająki usnuły swoje siatki po kątach. Tym większa jest moja radość, że mogę podejmować znakomitych gości, którzy nie gardzą moim skromnym domem. Jeśli zdobędziecie się na cierpliwość, każę kucharzom wziąć się do 48

roboty i postawić dzbany z winem dla ochłody, i pošlę niewolnika, by kupił kruche mięso ofiarne i najął muzykantów, którzy potrafią grać na flecie i syryndze.

Uśmiechnęła się do nas i jej smoliste oczy zabłyśły, gdy dodała:

— Sama jestem brzydką, starą kobietą, ale nie niepokójcie się, mam życiowe doświadczenie i mało się troszczę o ludzkie przesady. Wiem bardzo dobrze, czego pragną mężczyźni po długiej morskiej podróży i sądzę, że nie doznacie zawodu.

Podczas gdy czekaliśmy na ucztę, nakłoniła nas, żebyśmy się wykąпали w zawierającej siarkę wodzie w kamiennym basenie w ogrodzie. Rozebraliśmy się na jego cembrowanym kamieniem brzegu i ciepła woda rozluźniła rozkosznie nasze członki. Przyszli niewolnicy z witkami i tarkami łaźniebnymi, umyli nam włosy i namaścili nas. Kiedy tak leżeliśmy pod ich doświadczonymi dłońmi, Tanakwil podeszła bez wstydu ku nam i chętnie się nam przyglądała.

Gdy byliśmy już gotowi, poczuliśmy się jak nowo narodzeni i rozkoszą stało się dla nas samo istnienie. Naszą odzież niewolnicy zabrali do prania, a my odzialiśmy się teraz w cienkie chitony z najdelikatniejszej wełny i nałożyliśmy na to fałdowane płaszcze. Potem weszliśmy do sali biesiadnej i położyliśmy się na łóżach. Podeszli słudzy, podając na srebrnych tacach różnorodne smaczne małe dania, jak oliwki faszerowane słońną rybą, białe i czarne dzwonka ryb, i cieniuteń-

kie zrolowane płatki wędzonego mięsa, zawierające farsz z oliwy, jaj, słodkiej mąki i korzeni.

Te smakołyki wzmogły jeszcze nasz głód i pragnienie do ostatecznych granic, tak że z trudem znajdowaliśmy cierpliwość, by słuchać ślepego flecisty i trzech pięknych dziewcząt, które jasnymi głosami śpiewały dla nas stare pieśni Stesichorosa z Himery. W końcu przysłała Tanakwil.

Przebrała się w drogocenną szatę i kazała uczesać sobie włosy w wieżę na ciemieniu. Ramiona i szyję miała tym razem nagie i włożyła złoty naszyjnik z żółtymi drogimi kamieniami oraz spory majątek w srebrnych i złotych bransoletach. Twarz uszmińkowała tak, że usta i policzki płonęły czerwienią, a oczy iskrzyły się żywo pod czarnymi brwiami.

Pachnąc różaną wodą uśmiechała się szelmowsko, wlewając do krateru bukłak ciemnego wina i dodając przyzwoitą miarę lodowato zimnej wody. Śpiewające dziewczęta spieszenie napełniły płaskie puchary i ukłękły przed nami, podając je nam, tak że ich piękne członki przyjemnie obnażyły się spod krótkich szatek.

Tanakwil rzekła:

— Domyślam się, że jesteście spragnieni. Ugaście wpierw pragnienie tym winem stołowym i wodą, nie upijając się. Z pewnością słyszeliście już obyczajną piosenkę o pasterce, która zginęła z miłości. Podczas jedzenia usłyszycie o Dafnisie i Chloe. Jest to w miarę nudne, żeby nie zepsuć wam apetytu, ale powinniście szanować stare obyczaje Himery. W swoim czasie będziecie mogli wypróbować, jak i dlaczego czcimy koguta jako symbol naszego miasta.

Kiedy ugasiliśmy największe pragnienie, wniesiono przykryte półmiski z mięsem jagniąt, cielęcina i pieczonym na różnie ptactwem, z którego wyjęto kosteczki. Do tego przyprawione korzeniami jarzyny, sos gorczyczny i najsmaczniejszą kaszę. Za każdym razem, kiedy sądziliśmy, że najedliśmy się już do syta, wnoszono coraz to nowe dania, a kiedy chcieliśmy pić, dziewczęta podawały nam wciąż nowe puchary z nowymi kunsztownymi obrazami na dnie. By móc nas podjąć taką ucztą, Tanakwil musiała mając dużą rzeszę pomocników w kuchni.



Kiedy wreszcie sapiąc z przejedzenia prosiliśmy ją o zmiłowanie, kazała wnieść owoce, czerwieniejące winogrona, tłuste ciasta i inne słodczyce. Własnoręcznie złamała pieczęć na dzbanie z winem i naląła nam wina zaprawionego miętą, które ochłodziło nasze usta i szybko uderzyło nam do głowy, tak że mimo przesytu zdawało nam się, że bujamy w obłokach, a nie leżymy na łożach biesiadnych. Po opróżnieniu tych pucharów odkryliśmy na ich dnie tak zabawne obrazy, że śmieliśmy się głośno i zamieniali pucharami, żeby zobaczyć je wszystkie. Zdradliwe wino z miętą 49

rozgrzało nam członki do żaru, tak że zaczęliśmy patrzeć na skromnie śpiewające dziewczęta innymi oczami niż przedtem.

Tanakwil zobaczyła nasze spojrzenia i poprawiła swe szaty, tak że dostrzegliśmy białą skórę na jej szyi i ramionach między bransoletami i złotymi łańcuchami. W ciemnej sali nie była wcale brzydką kobietą i nie było widać, ile ma lat, gdy podniosła brodę. Powiedziała:

— Dziewczęta, które śpiewały dla was i posługiwały wam, znają tylko niewinne tańce pasterskie. Władca Himery cierpi na żołądek, jak może wiecie, i dlatego nie pozwala tancerkom zawodowym na pobyt w mieście.

Zawołała coś do flecisty i dała dziewczętom znak. W takt tonów podwójnego fletu dziewczęta zaczęły biegać wkoło jak żrebaki, rozbierając się w trakcie tańca i trzepocąc swymi szatkami wysoko nad głową. Nie był to wcale artystyczny taniec, i nie nazwałbym go też całkiem niewinnym, gdyż jego jedynym celem było obnażyć się dla naszych oczu. Kiedy zatrzymały się przed nami, gwałtownie dysząc, opierając się ramionami jedna na barkach drugiej, przeraziłem się i rzekłem:

— Tanakwil, Tanakwil, nierozsądna gospodyni. Twoja uczta była wspaniała, ale wino z miętą jest niebezpieczne, a jeszcze bardziej kuszące niż obrazy na dnie twoich pucharów są te nagie dziewczęta drażniące nasze zmysły. Nie wódź nas na pokuszenie, bo przyrzekliśmy, że nie bę-

dziemy gwałcić ani naruszać nikogo w tym mieście.

Tanakwil spojrzała zazdrośnie na trzy młode dziewczęta, westchnęła głęboko i odrzekła:

— Nie będzie to ani gwałt, ani naruszenie, jeśli ich dotkniecie. To przyzwoite dziewczyny, ale ponieważ są niskiego rodu, mają zezwolenie, by zbierać sobie dary od mężczyzn, którzy znajdą w nich upodobanie, byleby tylko nie stało się to zwyczajem. W taki sposób mogą zaoszczędzić sobie lepszy posag, aniżeli by zarabiały w inny sposób, i wyjść potem za mąż za jakiegoś żeglarza, rzemieślnika, albo rolnika, i nikt nie upatruje w tym nic złego.

Mikon wtrącił:

— Każdy kraj ma swoje obyczaje. W Lidii panuje taki sam zwyczaj, a w Babilonie każda dziewczyna, która zamierza wyjść za mąż, musi wprawdzie ofiarować swoje dziewictwo za pieniądze w świątyni. Największym zaś dowodem szacunku, jaki Scyta może okazać gościowi, jest przyprowadzenie własnej żony do jego łoża. Dlaczego więc mielibyśmy ganić obyczaje w Himerze, skoro to zacne miasto dało nam schronienie w swoich murach.

Dziewczęta podbiegły do nas, otoczyły nas ramionami i pocałowały. Ale Dorieus otrząsnął się gwałtownie z uścisku dziewczyny, usiadł na brzegu łoża i burknął:

— Na koguta na barku Heraklesa, zbyt wysoko szanuję swoje pożądanie, by dotknąć nisko urodzonej dziewczyny. Nie licuje to z moją godnością, ale naturalnie dam dziewczynie dar, które-go pragnie.

Mikon prysnął winem na podłogę, objął żywo dziewczynę, która mu podała puchar i rzekł:

— To ciężkie przestępstwo naruszać prawa gościnności. Czas ucieka ode mnie szybkimi krokami. Kiedy służyłem akrajskiej Afrodycie, sądziłem, że już nigdy więcej nie zechcę spojrzeć na śmiertelną kobietę. Ale pomyliłem się w tym gruntownie, bo właśnie teraz Afrodyta czaruje mój wzrok i sprawia, że moje członki musują z rozkoszy.

Podniósł dziewczynę i zaniósł ją w zmiersch ogrodu. Tanakwil westchnęła i kazała zapalić lampy w ciemniejszej sali. Ale Dorieus powstrzymał ją, mówiąc:

— Nie, nie, nie zapalaj lamp, Tanakwil. To oświetlenie lepiej odpowiada twojej twarzy i łagodzi twoje dumne rysy. Błyszczące oczy i orli nos dowodzą twego pochodzenia. Tanakwil, powiedz, że nie jesteś niskiego rodu.

Spostrzegłem, że Dorieus był bardziej pijany, niż sądziłem, i usiłowałem go powstrzymać, mówiąc:

50

— Strzeż się, żebyś nie uraził naszej gospodyni.

Tanakwil tak się zdziwiła, że rozwarła usta ze zdumienia. Ale natychmiast przyłożyła do nich dłoń, żeby zasłonić luki w swoim uzębieniu, i rzekła:

— Słusznie mniemasz, Spartaninie. Kimkolwiek jesteś, zdaje mi się, że mogę z tobą współzawodniczyć, jeśli chodzi o pochodzenie. Jestem córką Kartaginy i moi przodkowie wywodzą się od królowej, która założyła to miasto, ona zaś była pochodzenia boskiego.

Tak się zapaliła, że przyniosła z głębi domu tabliczkę rodową. Była ona pokryta znakami fenickimi i nie umiałem ich odczytać, ale Tanakwil sama przeczytała z niej co najmniej trzydzieści imion, jedno bardziej barbarzyńskie niż drugie, dodając:

— Wierzysz mi już? I mogę tylko narzekać na swój wiek i zmarszczki, bo chętnie okazałabym ci gościnność, której potrzebujesz.

Wyciągnęła rękę, by pogłaskać Dorieusa po karku, przyciskając równocześnie pierś do jego ramienia i biodro do jego biodra. Dorieus zachwycił się jeszcze bardziej i powiedział z nagłym ożywieniem:

— Zaiste jesteś rosłą kobietą i dobrą dla mężczyzny, a twoje winogrona, zdaje mi się, wcale nie wyschły. Ród i dojrzałe doświadczenie ważą więcej niż wiek.

Tanakwil podniosła się bez wahania, zaczerwieniona od wina, pomogła Dorieusowi wstać i

zaprowadziła go ze sobą do wewnętrznej komnaty. Ciężką tabliczkę rodową niosła pod drugim ramieniem, Tak więc pozostało tylko nas troje, dwie młode dziewczyny i ja, oraz ślepiec, który w kącie wygrywał melancholijne melodie na swoim podwójnym flecie.

3

Zbudziłem się o brzasku na nieziemskie pianie setek kogutów Himery. Szumiało mi w uszach i huczało w skroniach, i nie wiedziałem, gdzie jestem ani kim jestem. Gdy wzrok mi się przejaś-

nił, ujrzałem, że leżę na łożu w sali biesiadnej u Kartaginki Tanakwil w zwiędłym wieńcu na głowie, okryty tylko kolorowym wełnianym płaszczem, splamionym winem i brzydko pachnącym.

Delikatny chiton skopałem w stopy łoża, i on też był poplamiony śladami szminki do ust. Pamięć zupełnie mi się zatarła i nie wiedziałem, co się ze mną stało, ale zobaczyłem, że Mikon, lekarz z Kos, rozwała się na innym łożu, chrapiąc ciężko przez otwarte usta. Przypomniało mi to, że pili-

śmy wino razem aż do późnej nocy i rozmawialiśmy o sprawach nadprzyrodzonych, ale tajemnic, z których mi się zwierzył, nie mogłem sobie za nic przypomnieć.

Tancerki i flecista gdzieś znikli. Przetarłem oczy i przypomniałem sobie jak przez sen dotknię-

cia gładkich członków dziewcząt. W ustach miałem okropny posmak, a jeszcze okropniejszy był

stan, w jakim znajdowała się sala. Na podłodze pełno było skorup z drogocennych czar i pucharów, fenickiego bożka przewróciliśmy w czasie nocnych wędrówek, i ktoś z nas wyrzygał się w kącie. Nieustanne pianie kogutów przyprawiało mnie o ból w uszach i postanowiłem już nigdy więcej nie pić wina z domieszką mięty.

— Mikonie, zbudź się — prosiłem. — Zbudź się i zobacz, jak zapłaciliśmy najszlachetniej-szej damie Himery za jej gościnność. To zaczarowany dom i czary nas tu przywiodły i nauczyły mnie otwierać okute żelazem drzwi piórkiem gołębia.

Trząsałem Mikonem, dopóki się nie obudził, usiadł i wziął się za głowę. Znalazłem zwierciadło z brązu z powrotem Odyseusza, odtworzonym delikatnymi kreskami na odwrotnej stronie. Rzuci-

łem okiem na swoją twarz w nim i podałem je Mikonowi. Przyjrzał się pilnie swemu odbiciu i zapytał chrapliwym głosem:

— Kim jest ten wstrętny typ, który przygląda mi się z nabrzmiałą twarzą?

51

Westchnął ciężko, nagle się przeraził i zawołał:

— Turmsie, mój przyjacielu, obaj jesteśmy zgubieni, a przynajmniej ja ściągnąłem na siebie przekleństwo. Jeśli dobrze pamiętam, rozmawialiśmy długo w noc i nieproszony odsłoniłem przed tobą wszelkie tajniki wtajemniczonych. Przypominam sobie, że zabroniłeś mi mówić, ale ja

uczepiłem się twego ramienia i zmusiłem cię do wysłuchiwania mojej gadaniny.

— Nie niepokój się — uspokoiłem go. — Nie sędzę, byś popełnił jakieś przestępstwo, ponieważ mimo najlepszej woli nie mogę sobie przypomnieć ani jednego słowa z tego, coś mi powiedział.

Ale jeśli nasze przebudzenie jest okropne, to jeszcze coś okropniejszego czeka naszego przyjaciela Dorieusa. Obawiam się, że w upojeniu ściągnął niezatartą hańbę nie tylko na naszą gospodynię Tanakwil i na siebie samego, ale i na nas wszystkich trzech, ba, a nawet na Dionizjosa z Fokai, który w końcu odpowiada przecież za nasze zachowanie.

— Gdzie on jest? — zapytał Mikon rozglądając się przekrwionymi oczami wokoło.

— Nie wiem — odrzekłem — i nie chcę też wiedzieć, w każdym razie nie ja pójdę do wewnętrznych komnat, by go odszukać. Tak bardzo obawiam się widoku, na który mógłbym się tam natknąć. Najlepsze i jedyne, co możemy zrobić, Mikonie, to wymknąć się stąd po cichu, i byłoby to także prawdziwą przysługą wobec Dorieusa. Nie wierzę, by dziś spojrzął chętnie w oczy które-muś z przyjaciół.

Wymknęliśmy się ostrożnie, potykając się na progu o pijanego w sztok odźwiernego. Słońce weszło rzucając złote promienie, koguty piały we wszystkich domach Himery, a jesienne powietrze było świeże i lekkie. Wykąpaliśmy się i umyli w ciepłym basenie, a w przedsionku obok broni znaleźliśmy naszą odzież wypraną i ułożoną w fałdy. Odziawszy się, powzięliśmy wspólną decyzję i wróciliśmy jeszcze raz do sali biesiadnej, by wypić wino, które pozostało w mieszalnym kraterze. Następnie wyszliśmy przez bramę i powędrowaliśmy przez miasto. Mieszkańcy miasta rozpalali ogniska kuchenne. Po drodze spotkaliśmy wielu nieszczęśliwych i jęczących ludzi z załogi, którzy trzymali się za głowę i przyłączali się do nas, tak że gdy wyszliśmy przez bramę miejską, była nas już duża gromada, licząca ponad stu żeglarzy i wioślarzy, i nikt z nas nie czuł się lepiej od drugiego.

Dionizjos pracował już przy okrętach z mnóstwem jucznych osłów i wołów, oraz wołów pociągowych z wozami. Klął i przeklinał nas głośno, bo u Krinipposa on i jego sternik dostali tylko wodę do picia i grochówkę. Dlatego też od czasu do czasu z jego dużego brzucha rozlegało się głucho burczenie. A to irytowało go jeszcze bardziej. Toteż obficie wychłostał liną swoich chorych żeglarzy i postawił wszystkich do roboty przy napełnianiu worków, pustych beczek i skrzyń łupami, które mieliśmy na okrętach. Z czystej pokory ja i Mikon wzięliśmy też udział w tej cięż-

kiej pracy, choć w innym razie coś takiego nie należałoby do naszych obowiązków.

Najtrudniejszy do opróżnienia był największy okręt, gdyż obciążony ładunkiem tkwił tak głęboko w mulach u ujścia rzeki, że nie udało nam się wyciągnąć go na ląd, choć zaprzęgliśmy woły do lin i takielunku. Technicy Krinipposa ustawili wielokrążek z mocnego drewna, by wyci-

ągnąć okręt z grząskiej gliny, ale nasz łup był tak ciężki, że im też się nie powiodło. Jedyne, co można było zrobić, to uczynić okręt lżejszym, zabierając z niego część ładunku z pomocą nurków. Himeryjscy nurkowie wyławiający koral zaoferowali swoje usługi przy tej niebezpiecznej robocie, ale Dionizjos nie chciał wyjawiać naszego bogactwa. Powiedział im, że aż nadto słuszne będzie, gdy jego dziwkarze i pijacy ochłodzą sobie trochę głowę w zimnym morzu.

Podczas gdy dzieliliśmy i przeliczaliśmy łupy znajdujące się na obu pięćdziesięciowiosłowcach i pakowaliśmy je do worków i skrzyń, nasze łodzie wypłynęły i zakotwiczyły nad lukami pokładowymi zatopionego okrętu. Potem opuszczono na obciążonych ołowiem linach kosze do pomieszczeń okrętu i najlepsi nurkowie spośród nas musieli nurkować wzdłuż lin i napełniać kosze na dole w ciemności okrętu. Gdy oddech im się kończył, wynurzali się sini z zimna i strachu, i odpoczywali przez chwilę w łodziach, dopóki Dionizjos nie rozgrzał ich uderzeniami końcem 52

liny i nie posłał z powrotem na dół. Wielu nieszczęśliwców przeklinało tego dnia swoją jonską umiejętność nurkowania, którą nabyli jako chłopcy.

Dionizjos postanowił sporządzić listy zawartości skórzanych worków, skrzyń i beczek, i ponumerować je wszystkie. Ale wśród łupu było wiele przedmiotów, których nazwy ani zastosowania nie znaleźliśmy. Łatwo było wymówić, zważyć i zapisać: Fenicka twarz ze srebra, czarne kamienie zamiast oczu, waży dwanaście min, albo: posążek boga, brąz, pusty wewnątrz, ręce i twarz pozłoczone, waży jeden talent i pięć min, albo: naszyjnik, mieszanina srebra i złota, piętnaście różno-barwnych kamieni, waży pięć min. Ale trudniej było z bólem głowy i zgagą w ustach znaleźć prawidłowe nazwy na okute złotem kły słoniowe albo pierścienie do nosa i napierśniki dla kobiet, albo różnego rodzaju tkaniny i koronki lub hafty.

Mikon i ja jako piśmienni dostaliśmy w udziale tę najcięższą pracę, a Dionizjos sam wypisywał cyfry na beczkach, dopóki go to nie zmęczyło. Potem zadowolił się już tylko pieczętowaniem worków dużym jak dłoń, perskim złotym sygnetem, i nie zważał już tak dokładnie na to, co piszemy.

— Na Hermesa — powiedział — przykra to dla mnie myśl, że ktoś może ukradnie coś ode mnie, ale mimo to wolę zachować jasność w głowie niż otumanić się tymi wszystkimi listami i cyframi.

Wyładowywanie, pakowanie i porządkowanie tak ogromnego łupu wojennego było przemożną pokusą dla wszystkich ludzi Dionizjosa, prócz nurków, którzy nie mieli odzieży, by coś w niej ukryć. O zmierzchu opróżniliśmy oba pięćdziesięciowiosłowce i została nam tylko birema.

Uśmiechaliśmy się wszyscy wesoło, gdy Dionizjos dał wreszcie rozkaz do zakończenia pracy na ten dzień i pozwolił nam powrócić do gościnnych domostw Himery.

Ale nasza radość zmieniła się szybko w gorzki zawód, kiedy Dionizjos nakazał, by każdy po kolei rozebrał się do naga, i sam sprawdził odzież wszystkich, wyjmując z niej dość dużo klejnotów, złotych monet i wartościowych przedmiotów. Niektórym kazał też rozpuścić włosy, z któ-

rych wypadały złote monety i szlachetne kamienie. Jeden z ludzi, mówiący niewyraźnie, musiał

otworzyć usta i tam znalazł Dionizjos złotą rybkę. Sprawdzał także pod pachami i w pachwinach, ba, ba, zniżył się aż do tego, że wetknął palce jednemu nieszczęśnikowi do odbytnicy, i wydobył

stamtąd pięknie wykonaną srebrną gwizdawkę, tak że wszyscy jego ludzie gorszyli się bardzo swoją wzajemną okrutną nieuczciwością.

Mnie odebrał Dionizjos naszyjnik, ważący dziesięć min, który oddałem mu dobrowolnie, widząc, na

co się zanosi, a Mikon wręczył mu małego skrzydlatego złotego lwa. Głęboko zawiedzeni chciwością Dionizjosa i wzajemną naszą nieuczciwością, zaczęliśmy w końcu wołać, że chcemy zbadać także i jego odzież, gdyż w ciągu dnia zaczął poruszać się ciężko, a kiedy chodził, brzękało i szcząkało.

Dionizjos zaczerwienił się gwałtownie i zapytał drżącym od gniewu głosem:

— Kto tu jest dowódcą i kto wam pomógł zdobyć nieśmiertelną sławę pod Lade, i kto was uczynił bogatymi, i kto ocalił was z paszczy morza i przywiódł do nowego kraju? Komu więc macie ufać na tym świecie jak nie mnie?

Tocząc oczyma wpatrywał się gwałtownie w każdego po kolei, sam wzruszony swoimi słowami tak, że broda zaczęła mu latać, a łzy polały się obficie, gdy biadał:

— O jaka złość i czarna niewdzięczność mieszka w ludziach, i każdy z was osądza innych, nawet mnie, według własnego zepsucia!

My jednak wołaliśmy gorzko:

— Stul pysk Dionizjosie! Jako nasz dowódca wcale nie jesteś najlepszy z nas, tylko najgorszy, i właśnie dlatego jesteś naszym dowódcą. I nawet nie szanowalibyśmy ciebie, gdybyś nie próbował wzbogacić się naszym kosztem, tylko przeciwnie, byłbyś głupim człowiekiem.

53

Rycząc ze śmiechu rzuciliśmy się na niego i obalili naszym zbiorowym ciężarem na ziemię.

Zdarliśmy z niego odzież, tak że w końcu leżał nagi, dysząc, z bogatym runem włosów, którym obdarzyli go bogowie jako jedyną osłoną. I wtedy zobaczyliśmy, że nagromadził woreczki z pieniędzmi na brzuchu i pod ramionami i między udami, i kiedy opróżniliśmy je, posypał się z nich błyszczący i dźwięczny strumień monet, klejnotów, sygnetów, łańcuchów i pierścieni, tak że kupka jego własnych skradzionych przedmiotów była w końcu równie duża jak nasze razem wzięte.

Widząc to ryknęliśmy ze śmiechu, a niektórzy śmieli się tak, że musieli przysiąść skuleni we dwoje i walić się po kolanach pięściami, a wielu ocierało z oczu łzy, wywołane śmiechem. Podnieśliśmy Dionizjosa na nogi i klepaliśmy go po szerokich barach, wychwalając:

— Tak, zaiste, jesteś naszym prawym dowódcą i pierwszym wśród nas, i nigdy cię nie opuścimy.

Potem postanowiliśmy po długich sporach, że każdemu wolno będzie zachować jako zaliczkę to, co ukradł, ponieważ każdy przywiązał się właśnie do tego, co zabrał. Także Dionizjosowi przyznaliśmy z całego serca ten udział dowódcy, który sobie odłożył. Tylko zmęczeni nurkowie narzekali głośno, wyciągali ręce ku niebu i wołali:

— Czy to ma znaczyć, że zostaniemy bez niczego, my, którzy wykonaliśmy dziś najcięższą pracę?!

Ale Dionizjos zaklął i powiedział:

— Nikt z was nie jest lepszy od innych, wszyscy jesteście chciwcami. Nie róbcie mi tutaj ha-

łasu, tylko idźcie raczej wyłowić to, co ukryliście na dnie morza albo pod płaskimi kamieniami na brzegu, i zadowolcie się tym. A jeśli ktoś zostanie bez niczego, niech sam siebie wini. Takich głupców nie chcę widzieć pośród moich ludzi.

Nurkowie łypnęli na siebie i wrócili na brzeg, by zacząć nurkować na nowo i przewracać kamienie w wodzie. I jeden znalazł woreczek złota, inny złoty łuk albo trójnóg ze srebra, albo całą skrzynkę, tak że wnet stało się oczywiste, że zabrali większe i wartościowsze przedmioty niż kto inny, z wyjątkiem Dionizjosa, tylko dlatego, że nie mieli odzieży na ciele, by ukrywać drobiazgi.

Ale my przyznaliśmy im to chętnie za ich niebezpieczną pracę i wcale nie chcielibyśmy zamienić się udziałami w zamian za zanurzanie się do ciemnych pomieszczeń okrętu między mątwy, kraby i parzące meduzy.

Dionizjos rzekł:

— Złożmy teraz odpowiednią część łupu w ofierze bogom Himery w podzięcie za to, że z taką zgodą i wesołością rozpoczęliśmy podział łupu, nie raniąc się nawzajem.

Uznaliśmy to za słuszne i właściwe. Wybraliśmy kilka trójnogów z brązu, miedzianych kotłów i taran z brązu, zabrany na pamiątkę z fenickiego okrętu wojennego, gdzie nie znaleźliśmy nic więcej do zabrania. Przedmioty te podarowaliśmy różnym świątyniom w Himerze, a świątynię kartagińskich kupców uczciliśmy ofiarą z perskiej tarczy.

4

Przez cały dzień nie widzieliśmy Dorieusa. Gdy zapadła ciemność i na obcym niebie nad Himerą zapaliły się gwiazdy, nie mogłem już opanować niepokoju. Powiedziałem do Mikona:

— Musimy wrócić do domu Tanakwil, choć jest to takie odpychające po spustoszeniu, które-gośmy tam dokonali. Dorieusowi coś się stało i nie dziwiłoby mnie wcale, gdyby dumna dama przekłuta mu we śnie gardło szpilką do włosów, żeby zemścić się za naruszenie jej cnoty.

Na szczęście przed domem Tanakwil dymiła i kopciała smolna pochodnia. Inaczej bowiem nie znaleźlibyśmy chyba jej domu, ale teraz domyśliliśmy się, że nas oczekuje. Rozwarliśmy skrzypią-

54

ce wrota, weszliśmy do środka, powiesiliśmy broń na ścianie w przedsionku i weszliśmy do sali biesiadnej, oświetlonej lampami. Leżał tam Dorieus rozciągnięty na łożu biesiadnym, opierając się łokciem na poduszce. Był niewątpliwie przy życiu, ale wyglądał ponuro i odziany był w tak wspaniałe fenickie szaty, że zrazu nie poznaliśmy go. Na innym łożu naprzeciw niego leżała Tanakwil i także ona nie wyglądała na wesołą, lecz jakby się skurczyła w ciągu jednej nocy. Policzki miała zapadnięte i ciemne sińce pod oczyma, choć próbowała poprawić swój wygląd szminką.

Między łóżami stał stół na brązowych nogach, z jedzeniem, a na podłodze krater z mieniącym się

złotawo winem. Ale sala była posprzątana, mozaikowa posadzka wyszorowana, skorupy urn wymiecione, a domowy bóg ustawiony na nowo na swoim miejscu.

— O, Tanakwil — rzekłem — wybacz tę hańbę i szkody, jakie wyrządziliśmy ci tej nocy.

Twoja uczta była obfita, a my, biedni mężowie z morza, nie wytrzymałiśmy twego wina z miętą.

Ale Tanakwil zasłoniła dłonią usta i patrząc na Mikona, zapytała:

— Czy nie jesteś greckim lekarzem? Powiedz mi, czy można zrobić człowiekowi nowe zęby w miejsce tych, które utracił?

Mikon odparł:

— To nie jest zajęcie dla lekarza, lecz raczej dla zręcznego rzemieślnika. Błagaj o to Hefaj-stosa, jeśli chcesz.

Przerażony wykrzyknąłem:

— Droga gospodyni! Czy nasz przyjaciel Dorieus był taki zamroczony, że wybił ci zęby?

Dorieus zaklął się ospale na swego dziadka i rzekł:

— Nie pleć głupstw, Turmsie.

Drżącą ręką nalał sobie wina z krateru do pucharu i wypił, rozlewając wino na podbródek.

Tanakwil odezwała się:

— Dorieus nie zrobił mi nic złego. Przestańcie zatem obrażać go złośliwymi podejrzeniami, gdyż we wszelki sposób zachował się wobec mnie jak mąż szlachetnego rodu.

Z niewypowiedzianą ulgą przyjąłem te słowa i chciałem to właśnie wyrazić, ale Dorieus przerwał mi klnąc:

— Niedobrzy towarzysze, czyście siedzieli w Hadesie? Powiedzcie mi, po co wlokę ze sobą przyjaciół i osłaniam ich w walce moją tarczą, by potem opuścili mnie, właśnie gdy najbardziej ich potrzebuję.

Także Tanakwil dorzuciła:

— Tak, gdzieście się schowali? Cierpię bardzo z powodu tego, że brakuje mi kilku zębów w ustach. Nie pamiętałam o tym, dopóki Dorieus nie stwierdził, że poza tym nic mi nie brakuje jako kobiecie. Wiem, że tyrreńscy lekarze potrafią robić zęby z kości słoniowej i umocowywać je złotym drucikiem. Także w Kartaginie wielu mężczyzn każe obramowywać sobie zęby złotem albo wstawiać w nie błyszczące drogie kamienie. Ale dzieje się to bardziej z próżności niż z rzeczy-wistej potrzeby. O zęby trzonowe nie troszczę się zbytnio, ponieważ życie zużywa je u wszystkich i to tym bardziej, im



lepiej się jada, tak że kiepskie zęby są właściwie tylko oznaką dobrego rodu.

Ale mała to dla mnie pociecha, gdyż brakuje mi także kilku zębów przednich. Dlatego też nie mam odwagi już mówić inaczej, jak zasłaniając dłonią usta, kiedy Dorieus patrzy na mnie.

Dorieus wyrznął swoim pięknym pucharem o stół, aż pękło szkło i ryknął:

— Ukochana, przestań pleść o twoich zębach. Jesteś jak gdyby opętana, przez złe moce, gdyż nie potrafisz już mówić o niczym innym. Nie dbam doprawdy o twoje zęby. Tylko przypadkiem wspomniałem o nich, gdy zbudziwszy się w południe, zobaczyłem, jak leżysz z szeroko otwartymi ustami. W rzeczy samej miałem najlepsze intencje, mówiąc, że poza tym nie brakuje ci nic innego jako kobiecie. I wiele innych kobiet w twoim wieku ma z pewnością jeszcze mniej zębów.

55

Tanakwil wybuchnęła płaczem, aż szminka ściekała jej po zapadniętych policzkach i skarżyła się:

— Właśnie, lżysz mnie już teraz z powodu mego wieku, choć w nocy nie pytałeś o to. Na boga wojennych toporów, gorzko żałuję, że cię spotkałam, skoro nazywasz mnie staruszką i nieustannie robisz mi przycinki z powodu paru marnych zębów.

Dorieus poderwał się i ryknął, aż żyły wystąpiły mu na skroniach:

— Milcz, kobieto! Nie wytrzymam już dłużej! Jeśli nie przestaniesz, wezmę pancierz i miecz, i wybiegnę stąd. Będzie wtedy twoją winą, jeśli w mej uzasadnionej wściekłości zabiję każdego mieszkańca Himery, który stanie mi na drodze. Doprowadzasz mnie do szaleństwa tym gada-niem.

Złapał się za głowę i jęczał:

— Moi przyjaciele, ach, moi przyjaciele, dlaczego mnie opuściliście? Jestem ciężko chory.

Piecze mnie w głowie jak ogniem, w żołądku mam kurcze, jakby mnie ktoś szczypał obcęgami, a moje wszystkie członki są obolałe jak potłuczone kijem. Przez cały dzień rzygam i nie mogłem zatrzymać w żołądku żadnego pokarmu, i dopiero teraz pod noc zdołałem przełknąć jakiś kęs jedzenia i łyk wina przez moje piekące gardło.

Mikon zatroskał się i pomacał mu czoło, wywrócił powieki kciukiem i zbadał oczy, zajrzał

mu do gardła i nacisnął dłonią żołądek, pytając, czy to boli.

Kiedy Dorieus biadał, Tanakwil zapomniiała o swoich troskach. Aby odwrócić od nich jej my-

śli, wręczyłem jej drogocenny naszyjnik w podzięcie za gościnność, wyrażając nadzieję, że zdoła on wynagrodzić szkody wyrządzone jej przez nas.

Tanakwil chętnie przyjęła naszyjnik i zawiesiła go na szyi, ale rzekła z wyrozumiałym uśmiechem:

— Nie jestem kobietą małostkową. Jakąż radość ma człowiek z bogactwa, jeśli nie może wydać uczty dla przyjaciół. Puchary, które potłukliście, były wprawdzie pięknie wyrobione i ateńscy rzemieślnicy, którzy je wykonali, sami wypisali swoje imiona pod obrazami. Ale wszystkie dzbany kiedyś pękają i zdaje mi się, że nawet mój bóg domowy się nie obraził, gdyż dzisiaj rano dałam mu nowe szaty i spaliłam przed nim drogocenne kadzidło. Było to zresztą konieczne, zważywszy na to, jak tu wyglądało, ale tacy są wszyscy mężczyźni i byłam na to przygotowana. Żadnej szkody więc nie doznałam, a wasz piękny dar przyjmuję tylko dlatego, że chcę spełnić waszą wolę.

Jedyną, która doznała szkody, jest jedna z dziewcząt, które was zabawiały, bo oniemiała i nie może wypowiedzieć słowa. Czyście ją w jakiś sposób przestraszyli, bo tak była wyczerpana, że obie jej przyjaciółki musiały ją zanieść do domu o świcie?

Mikon i ja spojrzeliśmy na siebie z poczuciem winy, gdyż żaden z nas nie pamiętał zbyt dokładnie, co się stało. Mikon wyraził przypuszczenie, że może dziewczyna przestraszyła się moim pokazem tańca kozła, ale okazało się, że chodzi tu o dziewczynę, którą Mikon zaraz na początku wyniósł do ogrodu. O ile pamiętaliśmy, nie wróciła ona wcale do sali biesiadnej, lecz została w ogrodzie z obiema innymi i zabawiała się z nimi w szukanie monet w zupełnej zgodzie, gdy Mikon wrócił i usilnie chciał rozmawiać o sprawach nadprzyrodzonych, tak że całkiem zapomnieliśmy o wszystkich ziemskich uciechach.

Mikon wyraził teraz przypuszczenie, że dziewczyna spała z pewnością na mokrej od rosy trawie i spuchło jej od tego gardło. Nie mógł sobie w każdym razie przypomnieć, by zrobił jej coś, co mogłoby przyprawić ją o niemotę, raczej wprost przeciwnie.

Tanakwil posłała gońca po dziewczynę, abyśmy na własne oczy mogli zobaczyć jej stan.

Czekaliśmy, przybici na duchu. Po chwili przyszła, prowadzona przez swoich rodziców, i trudno mi było znieść pełne wyrzutu spojrzenia tych prostych ludzi i patrzeć, jak dziewczyna na próżno otwiera usta, aby nas przywitać.

56

Mikon usiłował schować się za naszymi plecami, ale kiedy dziewczyna go zobaczyła, wyrwała się rodzicom, podbiegła do, niego wyrażając wielką radość każdym gestem, przyklękła i ucałowała jego rękę, przyciskając czule jego dłoń do swego policzka. Mikon zerknął z zakłopotaniem na jej rodziców, ale podniósł dziewczynę, wziął ją przyjaźnie w ramiona i pocałował w usta. I więcej nie było trzeba. Dziewczyna wciągnęła głęboko oddech i wybuchnęła potokiem słów, wołając, płacząc, śmiejąc się i paplając bez ustanku. Jej rodzice zaczęli klaskać w dłonie z radości i powiedzieli swoją sikulską mową, że nie stała się żadna szkoda, i że to zaczarowanie z pewnością było tylko chwilowe.

Dziewczyna trzymała Mikona za rękę i paplała tak, że rodzice wstydzili się za nią i kazali jej zamilknąć. Mikon podarował im garść srebrnych monet, tak że odeszli rozradowani z powodu swego szczęścia, zabierając dziewczynę ze sobą. Kiedy ta przykra sprawa została załatwiona tak pomyślnie, podziękowałem Tanakwil jeszcze raz za jej życzliwość i powiedziałem, że powinniśmy iść poszukać sobie stałego mieszkania w mieście. Tanakwil przeraziła się i rzekła spieszenie:

— Oczywiście, mój dom jest skromny i w bogatej Jonii przyzwyczailiście się do czegoś więcej, niż mogę wam zaproponować. Ale jeśli nie gardzicie moim domostwem, proszę was, zostańcie tu jako moi goście, jak długo chcecie. Im dłużej zostanieie, tym większa będzie moja radość, jeśli tylko ścierpicie widok brzydkich szczerb w moim uzębieniu.

Zezowała z wyrzutem na Dorieusa, który zdołał tylko jęknąć coś w odpowiedzi. Dla upewnienia się i żeby pokazać nam, że wcale nie zaprasza nas w nadziei na nowe dary, pospieszyła do wewnętrznych pomieszczeń i przyniosła dla każdego z nas dary od siebie w zamian za otrzymany naszyjnik. Dorieusowi wsunęła na palec złoty pierścień, Mikonowi podarowała tabliczkę woskową w ramce z kości słoniowej, a mnie dała selenit, który chroni noszącego go od szaleństwa.

Te cenne dary pomogły w rozproszeniu naszego przygnębienia. Żywo i przymilnie Tanakwil kazała przygotować dla nas trzy łóża zasłane miękkimi poduszkami. Miały nogi z kości słoniowej i przeplatane żelazne dna i były tyrreńskiej roboty. Położyliśmy się i z pewnością wkrótce usnęlibyśmy, gdyby Dorieus nie stękał i nie przewracał się w łóżu tak, że żelazne dna skrzypiały.

W końcu odrzucił kołdrę i syknął, że jako wojownik nie przywykł do miękkich łóżek i woli raczej spać na gołej ziemi z tarczą zamiast kołdry. W nocnej ciemności wyszedł po omacku z komnaty i słyszeliśmy, jak obija się o skrzynie i przewraca różne przedmioty, dopóki nie rozległ

się skądś przenikliwy głos Tanakwil i nie skrzesała ognia, by zapalić lampę. Dorieus kazał jej zaraz zgasić, gdyż Spartanin musi sobie znaleźć drogą w ciemności tak, aby nikt go nie widział.

Potem nie słyszeliśmy już nic i Dorieus nie przeszkadzał nam aż do rana, i spaliśmy spokojnie.

5

Zaaklimatyzowaliśmy się szybko jako goście i przyjaciele Tanakwil. Odkąd nasze łupy wojenne znalazły się już za żelaznymi drzwiami w skarbcu Krinipposa, życie biegło spokojnie i dni nie różniły się od siebie.

Ale po upływie jakiegoś czasu mieszkańcy Himery zaczęli jednak gorzko się użalać, że wszystko dobre ma swój czas, ale też swój koniec. I Krinippos musi teraz położyć kres pobytowi Fokajczyków w mieście.

— Fokajczycy zakłócają nasz codzienny tryb życia — narzekali. — Dawniej wstawaliśmy do naszych zajęć, gdy zapały koguty. Teraz słyhać z wszystkich domów chrapanie, nieraz aż do południa, i nie mamy odwagi przeszkadzać naszym gościom, bo wpadają w furję, gdy ich budzimy. Nie jesteśmy małostkowi jeśli chodzi o obyczaje naszych żon i córek, ale mimo to napawa 57

nas goryczą, gdy widzimy, jak nasze żony lub córki od rana do wieczora wiszą na szyi żeglarzy albo ich czule iskają. A co się dzieje po nocach, o tym nie chcemy nawet mówić.

Krinippos poderwał się ze swego prostego drewnianego krzesła, którego siedzenie było uplecione ze skóry z grzbietu jego usuniętego poprzednika. Rwał rzadką bródkę, toczył oczyma dziko wokół siebie i przemówił do ludu:

— Obywatele, przyszlście do mnie w odpowiednim czasie, bo właśnie przed chwilą trzyma-

łem w ręku podziemne amulety, których pochodzenia nie śmiem przed nikim odsłonić. Dały mi one wiadomość, że straszliwe niebezpieczeństwo zagraża Himerze i moi szpiedzy w Syrakuzach potwierdzili to. Dlatego nakazuję obecnie, by Dionizjos i jego żeglarze w zamian za gościnność podwyższyli nasze mury miejskie o trzy łokcie. Myślę, że Syrakuzanie raczej zwrócą się przeciw komuś innemu, gdy się dowiedzą, że mury Himery przez zimę urosły o trzy łokcie.

Dionizjos nie wierzył zbyt w amulety Krinipposa, ale dobrze zdawał sobie sprawę, że żeglarze utracą wszelką dyscyplinę jeśli nic nie zostanie zrobione. Już teraz byli niespokojni i kłóci-li się z sobą, tworząc partie, załoga przeciw załodze, wioślarz z lewej burty przeciw wioślarzom z prawej burty, albo w ogóle z jakiegokolwiek powodu.

Dlatego też Dionizjos zaraz odpowiedział:

— Twój plan jest wspaniały, Krinipposie. Przyrzekam, że ludzie, przywykli do posłuchu, chętnie będą pracować na murach w tym przyjaznym mieście. Powiedz nam tylko, czy chodzi ci o trzy łokcie greckie, czy też o trzy łokcie fenickie.

Krinippos był dostatecznie chytry, by zrozumieć półsłówka, spojrzał na Dionizjosa z uznaniem i rzekł:

— Podobasz mi się, Dionizjosie, naturalnie mam na myśli łokcie fenickie, a nie greckie. Już choćby z szacunku, jaki żywię dla moich kartagińskich sprzymierzeńców muszę stosować tu miarę w łokciach fenickich.

Dionizjos poszarpał na sobie koszulę, rwał brodę i krzyknął do swoich ludzi:

— Słyszeliście, a także i wy wszyscy, czyście słyszeli, jak ten nędzny tyran obraża nasz joński honor! Naturalnie, podwyższymy mury Himery o trzy greckie łokcie, to słuszne i sprawiedliwe, ale ani o palec więcej. Nie, Krinipposie, nigdy my, którzy walczyliśmy o wolność Jonii i z czystego umiłowania wolności opuściliśmy naszą ojczyznę, nie ustąpimy w tej sprawie. Ani perski łokieć, ani egipski łokieć, ani fenicki łokieć, tylko grecki łokieć będzie dla nas miarą. Nieprawdaż, moi drodzy ziomkowie i wierni towarzysze walk?

Jego ludzie zaczęli teraz wrzeszczeć, a najgwałtowniejsi spośród nich pobiegli po broń do domów, gdzie mieszkali. — Grecki łokieć, grecki łokieć! — ryczeli, dobrze wiedząc, że grecki łokieć jest o trzy grubości palca krótszy od fenickiego. Pokryci bliznami strażnicy porządkowi Krinipposa na próżno usiłowali powstrzymać ich swymi krótkimi pałkami, oni jednak przedarł-

szy się przed Krinipposa, omal nie przewrócili jego osławionego tronu.

Krinippos zadowolony schowawszy się za tronem zaczął targować się z Dionizjosem, ale musiał ustąpić i przyjąć grecki łokieć. Wtedy ludzie Dionizjosa zaczęli krzyczeć z radości i obejmować się nawzajem, i zapomnieli o wszystkich wewnętrznych sporach. W taki sposób Dionizjos sprawił, że dobrowolnie podjęli się pracy niewolniczej przez całą zimę, by podwyższyć mury Himery o trzy

łokcie, byleby tylko mogli mierzyć swoje dzieło w greckich łokciach.

Przeprowadziwszy swoje postanowienie, Krinippos nakazał, by wszyscy w Himerze, zarówno mieszkańcy miasta, jak i przybysze, pozostawali w domach po zapadnięciu ciemności i wstawali rano o pierwszym kurze. Ten, kogo by napotkano na ulicy w nocnej porze, miał zapłacić do kasy państwowej grzywnę, albo też zamykano go w dyby na placu, chyba że chodziło o zawiadomienie akuszerki, wypadek choroby, pożar, albo pewne boskie obrzędy w określonych kwadrach księżyca.

Ten zaś, kogo znaleziono śpiącego po pianiu koguta, za pierwszym razem płacił tylko grzywnę, 58 za drugim razem szedł w dyby, a za trzecim zostawał wygnany z Himery. I zdaje mi się, że żaden inny tyran nigdy nie wydał bardziej bezlitosnego prawa.

Dorieus, Mikon i ja nie musieliśmy budować muru, gdyż nie zakłóciliśmy spokoju w mieście.

Dionizjos pozwolił nam żyć tak, jak chcieliśmy, u Tanakwil, a jeśli chodzi o mnie, dostałem zezwolenie od Krinipposa na chodzenie nocą po ulicach, zwłaszcza gdy była pełnia księżyca i pędził

mnie mój zwykły niepokój. Nie mieszkaliśmy jednak długo u Tanakwil, gdyż oboje Sykulowie, mąż i żona, odwiedzili nas znowu i przyprowadzili z sobą córkę. Dziewczyna wyglądała na wychudzoną, a wzrok jej stał się błędny. Ci zacni ludzie powiedzieli:

— Wstyd nam znów niepokoić was, znakomitych gości. Ale naszą córkę dotknęło zaiste przekleństwo. Gdy tylko ostatnim razem wróciliśmy do domu, na nowo zaniemówiła i od tej pory nie zdołała wymówić ani słowa. Gdy zobaczyliśmy, jak łatwo odzyskała tu mowę, sądziliśmy, że to był tylko jej kaprys. Ale na próżnośmy ją bili i ciągnęli za włosy. Nie mówi nic.

Nie chcemy absolutnie obwiniać was o czary — ciągnęli — ale jest to oczywiście dziwne, że ten grecki lekarz tak łatwo i tylko jednym pocałunkiem obudził do życia jej język. Niech więc spróbuje jeszcze raz, a zobaczymy, jak to z tym jest.

Mikon bronił się gwałtownie, mówiąc, że na wszystko jest odpowiednia pora i że nie wypada, by całował kobiety, myśląc o boskich sprawach, gdyż rozprasza to tylko jego myśli.

Ale Dorieus i Tanakwil zaczęli podejrzewać, że Mikon istotnie, celowo czy w sposób niezamierzony związał zakłęciami dziewczynę, i zażądali, żeby przycisnął wargi do jej ust. Zrazu nie stało się nic, ale gdy Mikon przez chwilę pottrzymał dziewczynę w objęciach, poczerwieniał i zaczął całować ją z widocznym zapalem. A kiedy ją wypuścił, dziewczyna wybuchnęła płaczem i śmiechem, i zaczęła mówić, całując go po rękach i żywo tłumacząc, że była zupełnie bezsilna, dopóki trwał czar. Kiedy jest w domu i z daleka od Mikona, puchnie jej gardło i język sztywnieje.

Toteż prosi, by mogła zostać u Mikona.

Ten skłął ją i oświadczył, że nie ma o tym mowy. Także rodzice sprzeciwiali się temu stanowczo, mówiąc, że dziewczyna musi wrócić do domu zdolna do mówienia i pomagać im w gospodarstwie. Nic nie stoi na przeszkodzie, by od czasu do czasu śpiewała i tańczyła dla obcych, i w ten sposób zarabiała sobie posag, ale nie ma mowy o tym, aby przeprowadziła się do jakiegoś przybysza, żeby z

nim zamieszkać. Coś takiego psuje tylko opinię porządnej dziewczynie i żaden uczciwy mężczyzna nie zechce się później z nią ożenić.

Dziewczyna odchodziła od zmysłów i wołała, że nie może żyć bez Mikona. Dostała ataku konwulsji i padła nieprzytomna na podłogę, i nie można jej było ocucić, mimo że ojciec bił ją po twarzy. Tanakwil wylała jej na twarz dzban wody, a matka dziewczyny wbiła jej w udo szpilkę do włosów. Ale nie wyciekła ani kropla krwi i sądziliśmy już wszyscy, że dziewczyna nie żyje.

Ale kiedy Mikon schylił się i pogłaskał jej członki, zaczęła dawać znaki życia, krew napłynęła jej znów do twarzy. Usiadła i rozejrzawszy się dokoła, zapytała zdumiona:

— Gdzie jestem i co się stało?

Mikon rzekł:

— To poważna sprawa. Gdyby dziewczyna dostała odpowiednie wykształcenie od dzieciń-

stwa, mogłaby zostać pytią i wróżką. Jestem zdumiony, że nie zauważyłem tego wcześniej, choć przywykłem widzieć znaki.

Zwróciłem uwagę, że kiedy Mikon spotkał dziewczynę po raz pierwszy, był zbyt pijany, by zauważyć jakiegokolwiek znaki. Także rodzice dziewczyny zapewniali, że dotychczas była ona taka jak zwykle dziewczyny, może tylko nieco bardziej pobudliwa od innych. Mimo woli cała sprawa zaczęła Mikona interesować jako lekarza, prosił więc rodziców, by odeszli z dziewczyną i obserwowali, czy jeszcze raz straci mowę. Wrócili zdążywszy zaledwie wyjść na ulicę i oświadczyli, że gdy tylko dziewczyna wyszła za bramę, nie mogła wypowiedzieć jednego rozsądnego słowa.

59

Mikon spoważniał, wziął Dorieusa i mnie na bok, i powiedział:

— Od dawna już przeczuwałem, że to niewidzialni kierują naszymi krokami. Powinienem był

nie ufać temu piórku gołębiemu, które sprowadziło nas do tego domu. Jesteśmy oplatani w sieci Afrodyty. To, że ta dziewczyna stanęła przypadkiem na mojej drodze, nie jest niczym innym jak pułapką, zastawioną na mnie przez Afrodytę. Po wszystkich naszych wędrówkach nareszcie zyskałem sposobność do medytowania bez przeszkód i stanąłem na progu świętego przecucia, a złotowłosa nie chce, bym myślał o czymś innym, co nie jest z nią związane. Jeśli teraz odeślemy dziewczynę z niczym i zostanie niema, popadniemy w trudności w mieście i znajdziemy się przed obliczem Krinipposa. Co robić?

Nie znaleźliśmy dla niego żadnej rady i nie uważaliśmy też, byśmy mieli z tym coś wspólnego.

Kiedy powróciliśmy do tamtych, dziewczyna upierała się. jeszcze bardziej niż przedtem i zaklinała, że pewnego poranka znajdziemy ją wiszącą bez życia na haku na pochodni koło bramy do-mu. Będziemy potem musieli — jeśli potrafimy — wytłumaczyć ludowi i Krinipposowi, dlaczego to się stało.

Jej pogrożki utrudniły nasze położenie. Mikonowi uprzykrzył się w końcu bezpłodny spór, zaproponował więc:

— Załatwimy to więc jakoś. Wezmę dziewczynę do siebie i kupię ją jako niewolnicę, jeśli zadowolicie się rozsądną ceną.

Nie mogę zapłacić wielkich sum, bo jestem tylko wędrownym lekarzem bez majątku. Musicie też wziąć pod uwagę, że dzieje się to na życzenie dziewczyny, a nie moje.

Rodzice dziewczyny spojrzeli na siebie ze zgrozą, rzucili się na Mikona i zaczęli go okładać pięściami, i tylko z trudem mogliśmy go wyrwać z ich rąk.

— Mamy sprzedać własne dziecko?! — krzyczeli. — My, wolni Sikulowie, tak samo dawno uprawiający te ziemie, jak Sikanowie z Eryksu!

— Czegóż więc chcecie? — zapytał zakłopotany Mikon.

Rodzice dziewczyny nie wiedzieli tego zapewne sami, kiedy przyszli, ale słowa i zachowanie dziewczyny nasunęły im nowe myśli. Zawołali:

— Musisz się z nią ożenić, przybyszu, choć niechętnie wydajemy nasze córki za cudzoziemców. Ale ty ją zaczarowałeś i sam jesteś sobie winien. Damy naszej córce zwyczajowy posag, może większy, niż przypuszczasz, bo sporo uciułała sama, a i my nie jesteśmy tacy goli, jak wy-gładamy.

Mikon darł włosy z głowy i krzychał:

— To wprost nie do zniesienia, to niesłuszne, to czysty kaprys bogini, żeby przeszkodzić mi w myśleniu o rzeczach nadprzyrodzonych! Któryż mężczyzna, kiedy będzie miał kobietę na karku, potrafi jeszcze myśleć rozsądnie o czymś innym niż tylko o codziennych życiowych kłopotach?

Dziewczyna załamywała ręce i wołała, że woli umrzeć, niż przysporzyć Mikonowi tyle zmartwienia. Rodzice ujęli jej rękę i włożyli ją w dłoń Mikona, mówiąc:

— Jej imię jest Ahura.

Gdy wymówili to imię w swoim dziwnym języku, Mikon palnął się w czoło i wykrzyknął:

— Aura, jeśli ona ma na imię Aura, nie możemy nic poradzić. Wszystko to są sztuczki bogini.

Aura była przecież szybką jak wiatr dziewczicą i towarzyszką łowów Artemidy. Dionizos zapłonął pożądaniami do niej, ale dziewczyna była szybsza w nogach niż on, i udawało jej się zawsze uciec, dopóki Artemida nie poraziła ją szaleństwem, tak że wtedy oddała się Dionizosowi. Dionizos maczał palce w grze także i tu, gdy upiliśmy się na umór, i ta wrażliwa dziewczyna z pewnością nie oddałaby mi się całkowicie, gdyby Afrodyta nie poraziła jej ślepotą. To imię jest wróżebne.

Siedzę w pułapce i nic na to nie mogę poradzić.

Nie mogę powiedzieć, byśmy byli zachwyceni tym rozwiązaniem sprawy, ale nie umieliśmy znaleźć innego, by nie zrazić mieszkańców miasta. Wyznaczono wesele i odbyło je w domu Sikulów, wśród krów i kóz, ze śpiewem i tańcami. Rodzice dziewczyny wystawili jej posag, aby go mogli obejrzeć goście, napiekli, nagotowali i nasmażyli tyle, że wszyscy mogli się najeść do syta i weselić. Kiedy w końcu zgodnie ze swymi zwyczajami złożyli w ofierze gołębicę i skropili jej krwią odzież oblubienicy i oblubieńca, zagrały instrumenty i poczęstowano wszystkich obficie winem, tak że nawet ja, w otoczeniu ryczących wołów i gdaczących kur, odtańczyłem taniec kozła i zdobyłem gromkie oklaski tych prostych rolników. Ale gdy słońce zaszło, musieliśmy zastosować się do nowego prawa Krinipposa i wróciliśmy do siebie do domu, a Aura poszła z nami.

Przed weselem Mikon był bardzo przygnębiony i mówił, że musi chyba postarać się o własny dom, wywiesić przy bramie laskę oplecioną węzami i osiedlić się w Himerze jako zawodowy lekarz. Ale Tanakwil nie chciała o tym słyszeć. Na swoim weselu Mikon otrząsnął się i ożywił, do czego może przyczyniło się wino, gdyż to on pierwszy przypomniał nam, że musimy zdążyć z powrotem do domu Tanakwil, zanim słońce zajdzie. Rano mieliśmy mnóstwo roboty, by zbudzić go o pierwszym kurze. I Mikon nie napraszał się już u mnie więcej, by rozmawiać z nim o boskich sprawach.

6

Choć Mikonowi się nie powiodło, dla mnie wynikała z tego ta korzyść, że nauczyłem się języka Sikulów. Tanakwil znów nauczyła mnie chętnie czystej fenickiej mowy Kartagińczyków. Miała w tym swoje cele, ale też jej zasługą było, że tyle się dowiedziałem o zwyczajach i prawach, handlu, podróżach odkrywczych i bogach Kartagińczyków.

W gruncie rzeczy dość łatwo nauczyłem się rozmawiać z Fenicjanami, Tyrreńczykami i Sikułami, dlatego że prowadząc handel ze sobą używali prostego mieszanego języka z różnymi założeńiami, tak że połowa była grecka, a połowa fenicka. Grek nie może jednak nauczyć się wymawiać dziwnych gardłowych dźwięków fenickich. W Jonii nauczyłem się pogardliwie mówić, że Fenicjanie kraczą jak kruki. W Himerze ku memu zdumieniu dowiedziałem się, że Kartagiń-

czyzy zwykli mówić, iż to Grecy kraczą jak kruki.

Aura prędko nauczyła się po grecku, a Mikon potrafił już po miesiącu rozmawiać płynnie po sikulsku ze swymi teściami, ponieważ nie ma dla siebie lepszych nauczycieli języków jak męż-

czyzna i kobieta, jeśli żyją razem. Nawet jeśli są małżeństwem, bo wtedy muszą umieć klócić się ze sobą.

Ale Dorieus gardził nauką jakiegoś obcego języka i mówił tylko swoim własnym:

— Zabieram swój język ze sobą, dokądkolwiek się udam — mawiał. — A jeśli ktoś go nie rozumie, tym gorzej dla niego.

Kiedy Aura oswoiła się z nami, brała nas na wycieczki w okolice miasta, do lasów i w góry, i



pokazywała nam święte źródła, drzewa i kamienie Sikulów, którym oni wciąż jeszcze składali małe ofiary, ażeby nie obrażać ziemnych duchów własnego kraju, choć w mieście czcili bogów greckich. Pokazując nam te święte miejsca, których obcy przybysz nie umiałby odróżnić od ich otoczenia, mówiła:

— Gdy dotykam tego świętego kamienia, przechodzi mnie dreszcz. Gdy kładę dłoń na tym sękatym pniu, drętwieje mi ręka. Gdy widzę swoje odbicie w tym źródle, jest mi tak, jakbym usnęła i nie istniała.

Kiedy tak wędrowaliśmy razem, zacząłem ku memu zdumieniu i ja odczuwać we własnych członkach, gdy zbliżaliśmy się do któregoś z miejsc, uważanych przez Sikulów od niepamiętnych czasów za święte. I trzymając wtedy Aurę za rękę, mówiłem: *61*

— To jest tutaj. Oto drzewo. Oto źródło.

Skąd to wiedziałem, nie umiem powiedzieć. Czasem Aura usiłowała mnie oszukać, mówiąc, że się mylę, że to jest dalej. Ale ja nie chciałem pójść za nią, tak że musiała zawracać i przyznać, że odgadłem prawidłowo.

W Himerze znalazłem tyrreńską faktorię, gdzie sprzedawano narzędzia żelazne i bajkowo piękne ozdoby ze złota. Dionizjos kazał mi nawiązać stosunki z Tyrreńczykami z tej faktorii, ażeby dowiedzieć się od nich coś o morzu, po którym musieliśmy żeglować, by dostać się do Massilii.

Ale coś we mnie sprawiało, że wzdrygałem się przed tymi cichymi mężami o dziwnym wyglądzie, którzy nie lubili się targować i paplać jak Grecy, lecz raczej rywalizowali dzięki znakomitej jakości swoich towarów. Gdy słyszałem, jak rozmawiają ze sobą we własnym języku, było mi tak, jakbym słyszał to już kiedyś we śnie i mógł to zrozumieć, gdybym tylko mógł przekroczyć jakiś tajemny próg.

Kiedy pytałem mieszkańców Himery o Tyrreńczyków i ich zwyczaje i obyczaje, wszyscy jednogłośnie twierdzili, że jest to lud okrutny i żądny rozkoszy. Tak byli rozpasani i zepsuci, że na ich ucztach nawet szlachetne kobiety leżały obok mężczyzn i piły z nimi. Na morzu byli straszliwymi przeciwnikami, a jako kowale przewyższali wszystkich innych. Mówiono, że to oni pierwsi wynaleźli kotwicę i taran. Sami nazywali siebie ludem Rasennów, ale inne ludy na lądzie italskim nazywały ich Etruskami.

Nie umiając sam sobie wytłumaczyć oporów, jakie odczuwałem, wszedłem pewnego dnia zdecydowanie do ich faktorii. Ale już na dziedzińcu doznałem wrażenia, że znalazłem się pod władzą obcych bogów. Zdawało mi się, że niebo ciemnieje przed moim wzrokiem, a ziemia trzę-

sie mi się pod stopami. Usiadłem jednak na krześle, które podsunęli mi kupcy i zacząłem dobijać kupna pięknie wykutej kadzielnicy na wysokich nóżkach. Kiedy obejrzałem także kilka innych wyrobów, przyszedł zarządca, którego migdałowe oczy, prosty nos i podłużna twarz wydawały mi się znane. Nakazując skinał na innych, by opuścili komnatę, uśmiechnął się do mnie i powiedział kilka słów we własnym języku. Potrząsnąłem głową i wyjaśniłem mieszanym językiem używanym w Himerze, że nie rozumiem. Odparł mi biegłą greczyzną:

— Rzeczywiście nie rozumiesz, czy też tylko udajesz? Jeśli musisz występować jako Grek z przyczyn, których nie znam i o których jako zwykły kupiec nie chcę też wiedzieć, wiesz chyba mimo to sam doskonale, że gdybyś ułożył włosy na nasz sposób, zgolił kędzierzawą brodę i ubrał

się tak jak my, nikt nie wątpiłby, że jesteś Etruskim.

Nagle zdałem sobie sprawę, dlaczego twarz jego była mi tak dobrze znana. Ten sam kształt oczu i taka sama zmarszczka w ich kącikach, taki sam prosty nos i szerokie usta mogłem widzieć przeglądając się w lustrze. Ale odpowiedziałem mu, że jestem tylko jońskim zbiegiem z Efezu i dodałem żartobliwie:

— Moją wiarą jest, że to fryzura i strój czynią człowieka. Nawet bogów u różnych ludów rozróżnić można łatwiej po szatach niż po obliczach. Nie mam żadnego powodu wątpić w moje jońskie pochodzenie, ale zapiszę sobie twoje słowa w pamięci. Opowiedz mi więc, jakim ludem jesteście wy, Etruskowie. Słyszałem o was dużo złego.

— Mamy związek dwunastu miast — odparł — ale każde ma własne zwyczaje, prawa i wład-ców, i nie zobowiązaliśmy się w żaden sposób, by stosować się wzajemnie do swoich zwyczajów i obyczajów. Mamy też dwunastu uśmiechniętych bogów i dwanaście stron świata, w których ba-damy przyszłość. Dwanaście ptaków i dwanaście stref w wątrobie, które decydują o naszym życiu.

Dwanaście linii na dłoni i dwanaście okresów w naszym żywocie. Chcesz wiedzieć jeszcze coś więcej?

Odrzekłem sarkastycznie:

62

— Także w Jonii mamy dwanaście miast związkowych, które walczyły przeciw dwunastu perskim satrapom. W dwunastu bitwach pokonaliśmy Persów, i dwunastu niebiańskich i dwunastu podziemnych bogów jest naszymi greckimi bogami. Ale ja nie jestem żadnym pitagorejczykiem i nie chcę spierać się o liczby. Opowiedz mi raczej coś o waszym życiu i zwyczajach.

Odparł:

— My, Etruskowie, wiemy więcej niż wielu sądzi, ale potrafimy milczeć. I tak na przykład wiem więcej o waszej wojnie morskiej i podróży tutaj, niż byłoby to zdrowe dla ciebie i twego dowódcy Dionizjosa, lecz nie obawiaj się, przynajmniej na razie nie naruszyliście naszego władania na morzu. Zachodnie morze podzieliliśmy z Fenicjanami i Kartaginą, Kartagińczycy są naszymi sprzymierzeńcami, tak że statek etruski żegluje równie bezpiecznie na wodach kartagińskich, jak statek kartagiński na naszych. Znosimy także Greków i pozwoliliśmy im założyć ich Posejdonię i Kyme w Italii, na brzegu naszego morza. W naszych miastach nadbrzeżnych mieszkają greccy kupcy i rzemieślnicy, a w naszych grobach poświęcamy zmarłym greckie wazy. Nabywamy chętnie najlepsze wyroby wytwarzane przez inne ludy i sprzedajemy innym to, co sami wytwa-rzamy najlepiej. Ale naszych wiadomości nie sprzedajemy innym. Skoro już mowa o sprzedawaniu, czy ugodziłeś się już co do ceny kadzielnicy, którą chcesz nabyć?

Powiedziałem, że nie zdążyłem jeszcze dostatecznie się wytargować, ale dodałem:

— Nie chodzi o to, bym chciał się targować ze względu na siebie, kiedy jednak miałem do czynienia z Grekami i Fenicjanami, zauważyłem, że targowanie przysparza im więcej przyjemności niż sama sprzedaż, że uraża się ciężko prawdziwego kupca, przyjmując natychmiast cenę, którą na początku postawił. Takiego nabywcę uważają za durnia, albo też mniemają, że chełpi się majątkiem, którego sam nie zdobył.

Etrusk rzekł na to:

— Dostaniesz ode mnie tę kadzielnicę bez pieniędzy i bez ceny. Dostaniesz ją w darze.

Zapytałem nieufnie:

— Jaki masz powód, by mi dawać dary? Nie wiem też, czy mam pod ręką jakiś odpowiedni dar w odpłacie dla ciebie.

Nagle spowaźniał, schylił głowę, zasłonił jedno oko lewą ręką, podniósł prawą w górę i powiedział:

— Dam ci ten dar dla twego oblicza i nie żądam za to nic. Ale sprawiłoby mi radość, gdybyś zechciał wypić kielich wina w moim towarzystwie i spocząć chwilę na moim łożu.

Źle zrozumiałem jego słowa i dałem mu ostrą odprawę:

— Coś takiego nie jest w moim guście, choć jestem Jończykiem.

Gdy zdał sobie sprawę, co pomyślałem, poczuł się głęboko urażony i powiedział:

— Nie, nie, pod tym względem my, Etruskowie, nie przyjęliśmy wcale waszych greckich obyczajów. Nie obawiaj się. Nie ważyłbym się tknąć ciebie choćby czubkiem palca. Ty jesteś przecież tym, który jest.

Powiedział to tak znacząco, że nagle ogarnęło mnie silne przygnębienie. Nie czułem już niechęci, lecz przeciwnie, pragnienie zwierzenia się temu nieznanemu.

— Kim i czym w takim razie jestem? — zapytałem. — Jak człowiek może wiedzieć, kim i czym jest? Czyż nie nosimy wszyscy w sobie innego i obcego „ja”, które nagle nas zaskakuje i sprawia, że robimy to, czego nie chcemy?

Przyglądał mi się badawczo swymi podłużnymi oczyma i uśmiechnął się, mówiąc:

— Nie wszyscy. Wcale nie wszyscy. Duża większość ludzi to jednak tylko bydło, które spędza się do rzeki, do wodopoju, i znów z powrotem na pastwisko.

Ogarnięty straszliwym smutkiem odparłem:

— Najbardziej godny pozazdrosczenia i najlepszy jest los człowieka, kiedy godzi on się ze swoją dolą. Godny zazdrości jest także człowiek, który nie zadowala się swoją dolą, dąży jednakże tylko do tego, co jest dla człowieka osiągalne. Gdybym pragnął władzy, mógłbym zdobyć władzę. Gdybym pragnął bogactwa, mógłbym zgromadzić bogactwo. Gdybym pragnął rozkoszy, mógłbym dążyć do niej wszelkimi możliwymi środkami. Wprawdzie nadal pozostałbym nieza-spokojony, ale moje cele byłyby jednak osiągalne. Ale zdaje mi się, że ja dążę do czegoś, czego nie osiągnął żaden człowiek. I nie wiem, co to jest.

Przesłonił znowu oko lewą ręką, schylił głowę i podniósł prawą rękę jak do przywitania. Ale nie powiedział nic, a ja już pożałowałem, że tak bardzo się odśloniłem przed obcym człowiekiem.

Zaprosił mnie do małej sali biesiadnej, przyniósł dzban wina, nalał do czarnego krateru i zmieszał wino ze świeżą wodą. Silny zapach fiołków wypełnił komnatę.

Strąciwszy na podłogę kilka kropli ze swego pucharu, powiedział:

— Wznoszę ten puchar za boginię. Nosi ona koronę muru na głowie. Jej znakiem jest liść bluszczu. To bogini murów, ale mury ciała walą się przed nią.

Wychylił uroczyście puchar do dna. Zapytałem:

— O jakiej bogini mówisz?

Odparł:

— Mówię o Turan.

— Nie znam takiej bogini — odparłem. On jednak nic mi nie odpowiedział, przyglądał mi się tylko z ukrywanym uśmiechem, jak gdyby mi nie wierzył. Z grzeczności wychyliłem i ja puchar, ale dodałem:

— Nie wiem, czy postępuję rozsądnie, pijąc z tobą. Zapach fiołków w twoim winie może za-wrócić mi w głowie. Także i poza tym zauważyłem, że nie umiem już pić z umiarem jak światli ludzie. Tu w mieście już dwa razy piłem w nadmiarze i upiłem się całkowicie, i tańczyłem bez-wstydny taniec kozła, a w końcu straciłem pamięć.

— Wychwalaj więc wino — powiedział. — Jesteś szczęśliwym człowiekiem, jeśli potrafisz utopić w nim swój strach. Nazywam się Lars Alsir. Czego chcesz ode mnie?

Pozwoliłem mu napęłnić czarny puchar na nowo, wino nastroiło mnie wesoło i wyznałem:

— Wiem dobrze, czego chciałem, kiedy tu przyszedłem. Najlepszą przysługą, jaką mógłbyś mi wyrządzić, jest dostarczenie periplusu o waszych morzach, ich wybrzeżach, znakach lądowych, wiatrach, prądach i portach, tak aby nasze okręty mogły bezpiecznie żeglować do Massilii, gdy tylko nadejdzie wiosna.

Lars Alsir odpowiedział:

— Wydać opis żeglugi komuś obcemu byłoby zbrodnią. Nie jesteśmy w przyjaźni z Fokajczykami. Kilka pokoleń temu prowadziliśmy z nimi wojnę morską, gdy usiłowali osiedlić się na Sardynii i Korsyce, dwóch dużych wyspach, gdzie, mamy kopalnie do upilnowania. Zatopiliśmy ich okręty i pozostawiliśmy kości kolonistów, by blakły na Alalii. Nawet gdybym ci wydał periplus o naszym morzu — dodał — nie miałbyś z niego żadnego pożytku. I tak nie mógłbyś dotrzeć do Massilii. Twój dowódca Dionizjos byłby zmuszony postarać się o zezwolenie od Kartaginy i od Etrusków, żeby móc przepłynąć nasze morze. I gdyby nawet zaofiarował wszystkie swoje zrabowane skarby, nie mógłby takiego zezwolenia kupić.

— Grozisz? — zapytałem.

— Skądże — odparł. — Jakżeż mógłbym grozić tobie, skoro rzeczywiście jesteś synem pioruna, jak powiedziałeś.

— Larsie Alsir — powtórzyłem poważnie jego imię, ale on przerwał mi i zapytał z taką samą udaną powagą: — Czego chcesz, Larsie Turms?

64

— Co to ma znaczyć? — zapytałem nieufnie. — Mam wprowadzić na imię Turms, ale nie Lars Turms.

— Okazuję ci tylko szacunek — odparł. — Mówimy tak, gdy szanujemy wzajemnie swoje pochodzenie. Nie, nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo, ponieważ jesteś jednym z Larsów.

Nie mogłem z nim dojść do ładu, ale oświadczyłem, że jestem przywiązany do Dionizjosa i Fokajczyków. Jeśli więc nie może sprzedać mi ukradkiem periplusu zdatnego dla Dionizjosa, to może mógłby wskazać mi pilota, który zna morze i jego zasadzki i który zechciałby doprowadzić nas bez przeszkód do Massilii.

Lars Alsir rysował palcem figury na podłodze, nie patrząc na mnie i rzekł:

— Kupcy kartagińscy utrzymują szlaki wodne do swoich faktorii w takiej tajemnicy, że każdy z ich szyprów, który spostrzeże, że jest szpiegowany przez okręt grecki, raczej wprowadziłby swój statek na mieliznę, wciągając wraz z sobą obcego na zagładę, niż zdradzi właściwą drogę.

My, Etruskowie, nie jesteśmy tacy tajemniczy, ale mamy też nasze odziedziczone, zwyczaje.

Sądzę, że etruski pilot, nawet gdyby to miało oznaczać dla niego śmierć, naprowadziłby okręty Dionizjosa prosto na tarany naszych okrętów wojennych.

— Staraj się mnie zrozumieć, Larsie Turms — ciągnął z rozdrażnieniem i podniósł znowu głowę, by spojrzeć mi w oczy. — Co by mi przeszkadzało sprzedać ci za wysoką cenę sfałszowany periplus albo postarać ci się o pilota, który zaprowadziłby wasze okręty na mieliznę. Ale z tobą nie mogę tak postąpić, ponieważ jesteś Larsem. Niech Dionizjos sam zbiera to, co zasiał.

Porzućmy już ten odstręczający temat rozmowy i pomówmy raczej o sprawach boskich.

Odrzekłem gorzko, że nie rozumiem, dlaczego wszyscy, gdy tylko napiją się wina, zasypują mnie boskimi tematami:

— Nie żebym obawiał się ciebie, Larsie Alsir, albo twoich uśmiechniętych bogów. Przeciwnie, właśnie teraz czuję się tak, jakbym siedział na wysokości pułapu i spoglądał na ciebie z góry, całkiem małego w moich oczach.

Jego głos brzmiał jakby z oddalenia i był słaby jak szept, kiedy odparł:

— Właśnie tak jest, Larsie Turms, siedzisz na okrągłym stołku, opierasz się o okrągłe oparcie, ale co ty trzymasz w rękach?

Wyciągnąłem ręce przed siebie, odwracając dłonie ku górze i przyciskając łokcie ciasno do boków, spojrzałem na nie i rzekłem zdumiony:

— Mam jabłko granatu w jednej dłoni, a stożek w drugiej. Głęboko pode mną w mroku klęczał na podłodze Lars Alsir, podnosił ku mnie twarz z pokorą i mówił:

— Właśnie tak, Larsie Turms, tak, tak to jest. W jednej dłoni niesiesz ziemię, w drugiej niesiesz niebo i nie musisz się bać nikogo śmiertelnego. Ale uśmiechniętych bogów jeszcze nie znasz.

Słowa jego były jakby wyzwaniem. Coś we mnie wybiegło w niepojętą przestrzeń, ziemską przesłona pękła przed moimi oczami i ujrzałem boginię jako postać w kształcie cienia. Nosiła na głowie koronę muru, w ręku miała liść bluszczu, ale oblicza jej nie mogłem zobaczyć.

Z nieskończonej odległości dosłyszałem pytanie Larsa Alsira:

— Co widzisz, synu pioruna?

Wykrzyknąłem:

— Widzę ją, po raz pierwszy widzę ją tak, jak dotychczas widziałem ją tylko w snach. Ale welon kryje jej twarz, tak że nie wiem, kim ona jest.

W tejże chwili spadłem z wysokości, świat, który rozproszył się i stał się cienki jak dym, zgęstniał znowu wokół mnie i stał się twardy i nieprzenikliwy, poczułem swoje ciało i Lars Alsir trząsał mnie za ramiona, leżącego na łożu w jego sali biesiadnej, pytając: 65

— Co się z tobą dzieje, człowieku? Dostałeś nagłego zawrotu głowy i omdlałeś.

Trzymałem się obiema rękami za głowę, wychyliłem czarny puchar z winem, który mi podał do warg, ale odsunąłem go na bok i zapytałem ostro:

— Co to za truciznę mi podajesz? Tak szybko jednak nie zwykłem się upijać. Zdawało mi się, że widzę kobietę w welonie, wyższą wzrostem od ziemskich kobiet, a ja sam byłem równie wysoki jak ona i podobny do chmury. Jeśli jesteś czarownikiem lub zaklinaczem, nie postąpiłeś wobec mnie uczciwie, Larsie Alsir.

On jednak zaprzeczył gwałtownie:

— Nie jestem żadnym czarownikiem ani zaklinaczem. Moje wino to niewinne wino fiołkowe.

Ale może kształt tego czarnego pucharu wzbudził pamięć w twoich dłoniach. Podałem ci ten święty puchar na próbę. Gdyż tak już jest, że etruscy bogowie idą za Etruskim, dokądkolwiek on podąży i gdziekolwiek się zrodzi na nowo. Jeśli kiedyś sam ją widziałeś, Larsie Turms, nie zdradzę żadnej tajemnicy, gdy ci powiem, że mamy dwunastu bogów, tak jak inne ludy, ale nad nimi stoi bogini w welonie, której imienia i liczby nikt nie zna.

I dodał:

— Twoje dłonie poznały kształt świętego pucharu, choć ty sam nie umiałeś go odróżnić od zwykłego pucharu do picia. U nas nie kamieniuje się człowieka rażonego przez piorun. Przeciwnie, uważamy, że jest to dowód jego boskiego pochodzenia. Przez uderzenie piorunu niebo uznaje go za swego syna. Jesteśmy jedynym ludem obytym z piorunem, a nasi uczeni kapłani tłumaczą mowę piorunów równie jasno, jak inni umieją czytać pismo.

— Twierdzisz rzeczywiście, że jestem urodzony jako Etrusk, a nie jako Grek? — zapytałem.

Odparł z przekonaniem:

— Gdybyś nawet był synem niewolnicy czy ladacznicy, to i tak byłbyś wybrany piorunem boga. Ale chcę ci dać radę. Nie zdradzaj się przed byle kim i nie chełp się twoim pochodzeniem, jeśli przybędziesz kiedyś do naszego kraju, co jak sądzę pewnego dnia uczynisz. Zostaniesz rozpoznany w swoim czasie. Sam musisz chodzić jakby z zawiązanymi oczyma. Nie wybieraj drogi własną głową. Bogowie prowadzą cię wedle swojej woli. Więcej nie mogę ci powiedzieć, bo więcej nie wiem sam.

Było mi trudno mu uwierzyć teraz, kiedy znowu poczułem się więźniem we własnym ciele, jakby zamkniętym między murami. Czułem odór mojego potu i zgagę po winie w gardle. Zabo-bonni Etruskowie czcili może człowieka rażonego piorunem wbrew temu, co robili Grecy. Ja jednak uważałem się w każdym razie za człowieka pochodzenia greckiego, gdyż mówiono, że należałem do uchodźców z Sybaris. Może rzeczywiście byłem tylko synem ladacznicy, i ojciec mój, jakiś Etrusk, odwiedził kiedyś Sybaris. To mogło tłumaczyć moje obce rysy twarzy, ale nie czyniło jeszcze ze mnie Etruska. Czułem się Jończykiem, gdyż otrzymałem jońskie wychowanie.

Lars Alsir nie wydawał się ani okrutny, ani żądny rozkoszy. Był rozsądnym kupcem i doglą-

dał spraw etruskich miast portowych w Himerze. Szukałem znajomości z nim, by nauczyć się także języka Etrusków. Nauczyłem się tak szybko, że musiałem pewnie słyszeć go jako dziecko.

Wyglądało, że istotnie noszę w sobie jakąś przeszłość, choć piorun zatarł ją w mojej pamięci, tak że byłem jak niezapisana tabliczka woskowa, gdy przybyłem do domu Heraklejtosa i zostałem jego uczniem w Efezie.

Ale Lars Alsir nie mówił nigdy więcej o moim pochodzeniu. Tak jakbym zawarłszy z nim znajomość, znalazł się w większej odległości od niego. Przyjmował mnie jak szanowanego obco-krajowca, i wymienialiśmy ze sobą zwykłe dary przyjaźni, ale zostawiał zawsze wszystko, co robił, gdy przychodziłem w odwiedziny. Powiedziałem Dionizjosowi, że trudno jest zawrzeć znajomość z Tyrreńczykami i że nikt obcy nawet przekupstwem nie może zyskać ich zaufania, jeśli chodzi o żeglugę. Tak jak przypuszczałem, Dionizjos wpadł w furję usłyszawszy to i krzyczał: 66

— Także na ich wybrzeżach spoczywają kości Fokajczyków! Kości naszych przodków uświę-

cają drogę, którą wybieramy. Jeśli Tyrreńczycy wolą raczej sięgnąć po żelazo, niż pozwolić mi spokojnie pożeglować do Massilii, to niech sami siebie winią, jeśli się skaleczą.

Zaczął budować nowy okręt wojenny i nadzorował równocześnie, by mury Himery urosły o trzy greckie łokcie. Nie wyteżał jednak zbyt ciężko swych ludzi, wymagał tylko, by zachowali dyscyplinę i posłuch. Wielu było Fokajczyków, którzy podobnie jak Mikon, zawarli małżeństwo w Himerze i zamierzali zabrać z sobą żony do Massilii na przyszłą wiosnę.

Zima sycylijska była łagodna i lekka. Przemysliwałem nad sobą i czułem się dobrze w Himerze, dopóki nie spotkałem Kydippe, wnuczki tyrana Krinipposa.

7

Jak już wspominałem, Krinippos chorował na żołądek i jadał tylko jarzyny, choć nie był pitagorejczykiem. Przeciwnie, wygnał wszystkich pitagorejczyków, ponieważ pysznili się oni w swoich białych płaszczach, zapewniając, że ich sztuka liczenia czyni ich lepszymi od innych i wątpili w wartość czarów Krinipposa. Ale tak samo nie ufano pitagorejczykom w innych miastach, gdzie próbowali założyć swoje tajne stowarzyszenia. Pitagorejczycy nie znali się bowiem na polityce i głosili, że wyżej stawiają rządy niewielu najmądrzejszych i najbardziej nienagannych obyczajowo niż rządy nielicznych oparte na pochodzeniu i majątku. Krinippos wydalil ich zatem z Himery, mówiąc:

— Mądrość i nienaganność obyczajów nie mają nic wspólnego z zadaniem władcy. Gdybym był mądry, nie wziąłbym na siebie trudnego chwilami do wytrzymania brzemienia tyranii, które przyprawia mnie tylko o bóle żołądka. Gdybym był nienagannych obyczajów, nie poślubiłbym fenickiej kobiety z Kartaginy dla dobra mojego ludu. Jedynie moje szczęście pozwoliło mi pochować ją, zanim ona zdążyła mnie pochować. Nie, w życiu politycznym mądrość i nienaganność obyczajów wywołują tylko kłótnie między obywatelami, przeszkadzają w pożytecznych przymierzach i wzbudzają gniew u sąsiednich ludów.

Kiedy nieznośne bóle żołądka dręczyły Krinipposa, wygłaszał często takie gorzkie myśli; miały one być nauką dla jego syna, Terillosa, który stracił już włosy na głowie, nadaremnie czekając na śmierć ojca i przejęcie jego czarów. Miałem możność wysłuchać kilka takich wykładów Krinipposa, gdyż kazał on wzywać Mikona, a ja szedłem tam z nim z ciekawości. Leki Mikona sprawiły ulgę



Krinipposowi, lecz Mikon mówił do niego:

— Nie mogę cię uleczyć, Krinipposie, chwilowa ulga nie jest wyleczeniem. Władza, którą połknąłeś, stanęła ci w żołądku i zżera cię od środka niczym rak.

Krinippos wzdychał:

— Ach, jak chętnie bym już umarł. Ale nie mogę myśleć tylko o sobie. Serce moje przepęł-

nione jest troską o Himerę i nie wyobrażam sobie, jak będę mógł przekazać władzę niedoświadczonemu chłopcu. Przez czterdzieści lat prowadziłem go za rączkę i starałem się nauczyć go sztuki rządzenia, ale od kogoś, kto niewiele ma w głowie, nie można dużo wymagać.

Terillos dłubał przy wieńcu ze złotych liści, który zwykł był nosić na głowie, by ukryć łysinę, drapał się w brodę tak samo jak ojciec i narzekał:

— Drogi ojcze, nauczyłeś mnie, że niezawisłość Himery i pokój zależą od przyjaźni z Kartaginą. Bogini z Eryksu dała mi małżonkę z Segesty. Znosiłem ją przez wszystkie te lata i zadowalałem się poza tym konkubinami, tylko po to, aby zabezpieczyć nasz sojusz z Segestą na wypadek, gdyby Syrakuzy chciały nas połknąć. Ale jedynym dzieckiem, które mi urodziła, jest Kydippe.

Dzięki twojej polityce nie mam więc nawet syna, bym kiedyś mógł mu przekazać amulety, które po tobie odziedziczę.

67

Mikon pomacał puls Krinipposa, który jęcząc leżał na drewnianej pryczy z brudną owczą skórą, i ostrzegł go:

— Władco, opanuj się, złość i gniew pogarszają tylko twoje cierpienie.

Krinippos powiedział gorzko:

— Całe moje życie było jednym pasmem przykrości i gniewu, tak że raczej byłoby to dziwne uczucie, gdybym nie miał zawsze jakiegoś zmartwienia. Ale ty, Terillosie, nie powinienes się martwić o to, komu przekażesz kiedyś władzę, gdyż obawiam się mocno, że nie będziesz miał

zbyt wiele do przekazywania. Wydaj w porę za mąż Kydippe do jakiegoś miasta, za władcę, na którym będziesz mógł polegać, tak abyś znalazł kąt gdzie będziesz, miał łaskawy chleb, gdy stracisz Himerę.

Terillos był człowiekiem wrażliwym i wybuchnął płaczem na złośliwe słowa swego ojca. Krinippos złagodniał, poklepał go po kolanie pokrytą żyłami dłonią i powiedział:

— Nie, nie, mój synu, nie ganię ciebie. Sam cię spłodziłem na ten świat i muszę odpowiadać za następstwa. Jesteś zrodzony do czasów gorszych niż moje i nie wiem naprawdę, czy nawet ja sam zdołałbym nakłonić obecną Himerę do wybrania mnie na tyrana, choćby z pomocą czarów.

Ludzie nie są już dzisiaj tak łatwowierni jak za dawnych dobrych czasów. Ale jestem tylko rad z tego, mój synu Terillosie, gdyż przypuszczalnie nikt nie zabije cię z powodu twojej kapłańskiej rangi, albo dlatego, że masz amulety. Unikniesz tylko brzemienia władzy i żyć będziesz bez trosk, utrzymywany przez Kydippe.

Nakazał:

— Przeprowadźcie Kydippe! Niech przyjdzie i da dziadkowi całusa. Chcę ją pokazać tym mężom. Nie zaszkodzi, jeśli słuch o jej piękności rozejdzie się poza murami naszego miasta.

Nie spodziewałem się zbyt dużo, jeśli chodzi o tę Kydippe, wiedziałem bowiem, że czułość dziadków dla wnuków zamąca ich zdrową ocenę. Ale kiedy Terillos wprowadził Kydippe, jakby słońce rozjaśniło ponurą salę. Nie miała jeszcze więcej jak piętnaście lat, ale jej brązowe oczy promieniały, biała cera była jak mleko, a gdy się uśmiechała, małe ząbki błyszczały jak jasne perełki.

Pozdrowiwszy nas skromnie, Kydippe pobiegła, by ucałować dziadka, gładziła jego rzadką bródkę i znosiła cierpliwie jego cuchnący oddech. Krinippos odwracał ją i oglądał jak przypro-wadzoną na jarmark jałówkę, podnosił jej brodę, pokazywał jej twarz także z profilu i zapytał

dumnie:

— Czyście kiedyś widzieli bardziej godną pożądaną dziewicę? Nie sadzicie, że jej piękność może zawrócić w głowie nawet mądrym politykowi?

Mikon oświadczył stanowczo, że nie jest zdrowo czynić taką młodą dziewczynę zbyt świadomą swej piękności. Krinippos wybuchnął na to gdaczącym śmiechem:

— Gdyby chodziło o głupszą dziewczynę, miałbyś słuszność, Mikonie. Ale Kydippe jest nie tylko piękna, jest ona także mądra, i ja sam ją wychowałem. Nie wiercie w łagodność jej spojrzenia i skromność uśmiechu. W swoim umyśle już was zważyła i obliczyła, jaką może mieć z was korzyść. Czy nie tak, Kydippe?

Kydippe zamknęła mu bezzębne usta różową dłonią, zganiła go i powiedziała, rumieniąc się:

— Ależ dziadku, dlaczego zawsze musisz być taki złośliwy. Nie umiałabym być wyrachowana, nawet gdybym chciała. I na pewno nie jestem piękna w ich guście. Przyprawiasz mnie o wstyd.

Mikon i ja wykrzyknęliśmy jednogłośnie, że jest najpiękniejszą z dziewic, jakie widzieliśmy, a Mikon wychwalał swoje szczęście, że jest już żonaty i dlatego nie może na swoją własną zgubę pragnąć księżycy ze sklepienia niebieskiego. Na co ja zakrzyknąłem: 68

— Nie, nie, ona nie jest księżycem, lecz najjaśniejszym ze wschodów słońca, oślepiającym oczy. Kiedy patrzę na ciebie, Kydippe, pragnąłbym być królem, żeby móc cię zdobyć.

Przekrzywiła głowę, spojrzała na mnie złotobrazowym spojrzeniem spod długich rzęs i rzekła:

— Nie jestem jeszcze w tym wieku, bym myślała o mężu. A jeśli myślę o jakimś, to tylko o okazałym

mężczyźnie, którego ogniska bym strzegła i dla którego tkałabym materiał na płaszcz z wełny z własnych owiec. Ale z pewnością drwisz tylko ze mnie i przypuszczalnie fałdy moich szat ułożone są na staromodny sposób, a moje sandały niezgrabne i źle zawiązane.

Miała czerwone sandały z miękkiej skórki. Były związane purpurową wstążką aż pod kolana, tak że musiała obnażyć kolano, by nam je pokazać. Krinippos powiedział dumnie:

— Sam chodziłem boso przez pół życia i wciąż jeszcze zdarza się, że zdejmuję buciki, by nie zdzierać ich niepotrzebnie. Ta próżna dziewczyna doprowadza mnie do ruiny swoimi wymaganiami. Kiedy gładzi moją brodę, szepce mi czule do ucha: — Dziadku, kupisz mi parę etruskich buciczków. Kiedy całuje mnie w czoło, mamroce: Dziadku, dziś widziałam fenicki grzebień, który nadawałby się do moich włosów. A jeśli rwę włosy z głowy z powodu jej próżności, mówi: Naturalnie nie dla siebie tak się stroję, dziaduniu, ale z powodu twego stopnia i godności. Czyż-

byś znowu zmarł, że tak drżysz, i czy mam wleźć do ciebie pod skórę, by cię ogrzać? Wtedy jestem zgubiony i prócz grzebienia kupuję jej jeszcze parę kolczyków.

Kydippe zganiła go:

— Dziadku, dlaczego chcesz mnie zawstydzić wobec twoich gości. Wiesz sam najlepiej, że nie jestem próżna ani wymagająca. Nie wszyscy są tacy jak ty. Bosy i w podartym płaszczu jesteś mimo to władcą Himery, ale mój ojciec musi chodzić w złotym wieńcu, by się odróżnić od tłumu, ja sama zaś muszę ubierać się wytwornie na święta ofiarne i procesje, bo inaczej byle jaki poganiacz osłów lub żeglarz mógłby wpaść na pomysł, by mnie uszczypnąć w biodro.

Oświadczyłem żartobliwie, że nawet bez najmniejszej ozdoby, bez wszelkiej odzieży i cał-

kciem naga błyszczałaby wśród innych kobiet jak opal wśród żwiru. Ale Krinippos zmarszczył

czoło i rzekł ostrzegawczo:

— Masz nazbyt śmiałe myśli, Jończyku. Same w sobie są one słuszne i wiem to najlepiej, ja, który własnoręcznie obmywałem ją od niemowlęctwa i z radością przyglądałem się, gdy szła się kąpać w rzece ze swymi służebnymi. Ale teraz nie mam już nawet tej przyjemności, bo muszę biegać po brzegu i kłuć oszczepem w trzcinach i strzelać z łuku w krzaki, żeby uchronić jej niewinność od nieprzyzwoitych spojrzeń.

Zapytałem, czy nie brakuje wody w rzece i czy nie jest za zimno w zimie. Krinippos zapewnił

żywo, że Kydippe nie boi się zimnej wody. Poza tym korzysta z ciepłego źródła pod miastem.

Kiedy opuściliśmy dom Krinipposa, Mikon ostrzegł mnie:

— Kydippe to dziewczyna bez serca i w tym wieku, że chce wypróbować swoją moc na jakimkolwiek mężczyźnie. Tylko nie próbuj jej zdobyć. Przede wszystkim nie uda ci się to, bo jej żądza sławy jest nieskończona. Ale jeszcze gorzej byłoby, gdyby ci się udało, bo przysporzyłoby ci to tylko cierpienie i bólu, i w końcu Krinippos kazałby cię zgładzić tak, jak się zabija natrętą muchę.

Ale o tak przepięknej dziewczynie nie mogłem myśleć źle i jej niewinna próżność była w moich oczach tylko dzieciennym pragnieniem podobania się. Gdy pomyślałem o niej, było mi tak, jakby słońce zaświeciło mi w oczy, i nie mogłem już myśleć o niczym innym prócz niej.

Zacząłem waleśać się na placu wokół domu Krinipposa, by czasem móc zobaczyć przelotnie Kydippe, wziąłem też pod uwagę wzmiankę o ciepłym źródle. Pewnego ranka zobaczyłem ją z daleka, jak w towarzystwie służebnych udawała się do kąpieli. Krinippos towarzyszył im, bosy z bucikami w rękę, i rzeczywiście biegał wokoło parującego źródła, żgając oszczepem w krzaki.

69

Jedyna okazja, by ją spotkać, nadarzała się, gdy wychodziła do miasta na zakupy, w towarzystwie służebnych, strzeżona przez dwóch pokrytych bliznami strażników. Szła skromnie ze wzrokiem wbitym w ziemię, ale na głowie miała wieniec, w uszach kolczyki, na ramionach bransolety, a na stopach miękkie sandały sznurowane w kostkach. Delektowała się ogromnie, słysząc, jak mężczyźni żartobliwie wołają ach i och, kiedy przechodziła obok. Gdy spodobała jej się jakaś rzecz czy ozdoba, patrzyła szeroko rozwarłszy oczy na kupca, i usłyszawszy cenę przygnębiona zaczynała poufale narzekać na straszliwe skąpstwo swego dziadka. Na zatwardziały kupcach jej duże oczy nie robiły żadnego wrażenia. Przeciwnie, podnosili ceny, widząc, jak nadchodzi, gdyż była córką Terillosa. Ale od czasu do czasu natrafiała na jakiegoś niedoświadczonego pomocnika, który sprzedawał jej towar z własną stratą.

Nie znalazłszy żadnej innej rady, poprosiłem o pomoc Larsa Alsira. Zgodził się chętnie, ale gardził mną równocześnie i rzekł:

— Zadowolasz się rzeczywiście tak niskimi igraszkami, Turmsie, choć stoją przed tobą otworem cudowne igraszki bogów. Jeśli czujesz pożądanie do tej dziewczyny o twardym sercu, czemu nie użyjesz mocy, którą posiadasz? Podarunkami nie możesz jej zdobyć.

Zapewniłem go, że wszelka moc uchodzi ze mnie, gdy tylko spojrzę na Kydippe.

Gdy zatem Kydippe przyszła raz, by popatrzeć na etruskie klejnoty i Lars wyłożył je na czarne sukno, błyszczące w świetle padającym z otworu w pułapie, spodobał jej się naszyjnik kuty z cienkich złotych listków, i zapytała, ile kosztuje. Lars potrząsnął odmownie głową i powiedział:

— Ten jest już sprzedany. — Kydippe zapytała naturalnie, kto jest kupcem, a Lars Alsir wymienił mnie, tak jak się umówiliśmy z góry. Kydippe wyglądała na zdziwioną:

— Turms z Efezu, przecież ja go znam. Dla kogo potrzebny mu taki klejnot? Czyż nie żyje samotnie?

Lars Alsir odpowiedział, że przypuszczalnie mam jakąś przyjaciółkę, ale posłał po mnie, a ja naturalnie byłem niedaleko. Kydippe obdarzyła mnie najczarowniejszym uśmiechem, przywitała się skromnie i rzekła:

— O, Turmsie, tak się zachwyciłam tym ślicznym naszyjnikiem. Jest pięknie wyrobiony i z pewnością niedrogi, bo te złote listki są takie cienkie. Czy nie mógłbyś mi go odstąpić?

Udałem zakłopotanie i powiedziałem, że już go komuś obiecałem w prezencie. Kydippe tak się zapaliła, że położyła mi rękę na ramieniu, dysząc mi w twarz, i zaczęła dopytywać, komu zamierzam go dać.

— Nie sądziłam o tobie, że jesteś lekkomyślny — mówiła. — I to właśnie tak mi się u ciebie podobało, że nie mogłam zapomnieć ciebie i twoich podłużnych oczu. Sprawileś mi rzeczywiście zawód.

Znaczącym szeptem dałem jej do zrozumienia, że o takich sprawach nie możemy rozmawiać w towarzystwie ciekawie nasłuchujących służebnych. Odesłała je na dziedziniec i zostaliśmy sami, ona, Lars i ja. Kydippe patrzyła mi niewinnie w oczy i prosiła:

— Sprzedaj mi ten klejnot, abym mogła zachować szacunek, jaki żywię dla ciebie. Inaczej musiałabym przecież sądzić, że jesteś mężczyzną płochym, który biega za kobietami o zły sławie. Tylko zepsuta kobieta może przyjąć taki drogi dar od obcego mężczyzny.

Udałem wahanie i zapytałem:

— No dobrze, a co mi za niego zapłacisz?

Lars Alsir odwrócił się dyskretnie plecami. Zauważywszy to Kydippe ścisnęła swoją miękką sakiewkę w palcach, narzekała na swego pecha i powiedziała: 70

— O, zostało mi jeszcze tylko dziesięć srebrnych monet, a dziadek gani mnie zawsze za moją rozrzutność. Czy nie mógłbyś sprzedać tego naszyjnika tanio, by ustrzec się przed pokusami jakiejś chciwej kobiety? Miłość, którą trzeba kupować za klejnoty, niewiele jest warta.

Przyznałem, że w jej słowach kryje się prawda.

— Kydippe — zaproponowałem — sprzedam ci ten naszyjnik, za, powiedzmy, jedną srebrną monetę z kogutem, jeśli na dodatek będę mógł cię pocałować w usta.

Udała ogromne zmieszanie, podniosła dłoń do ust i rzekła:

— Nie wiesz, czego wymagasz. Moich ust nie całował jeszcze żaden mężczyzna prócz ojca i dziadka. Dziadek ostrzegał mnie, że dziewczyna, która pozwoli pocałować się w usta, jest zgu-biona ponieważ żaden mężczyzna nie zadowoli się tym, tylko potem chce dotykać jej piersi, a od tego ona robi się słaba i nie może już odmówić innym, jeszcze bardziej niebezpiecznych pieszczot. Nie wiem wprawdzie, co dziadek miał na myśli, i nie rozumiem, dlaczego dziewczyna miałaby robić się szczególnie słaba, nawet jeśli mężczyzna dotknie przypadkiem jej piersi. Ale pod żadnym warunkiem nie mogę pozwolić, byś pocałował mnie w usta. Nie, Turmsie, czegoś takiego nie powinienes mi nawet proponować, choć przecież zdaję sobie sprawę, że nie miałeś żadnych złych zamiarów.

Ale mówiąc trzęsła pytająco głową, włożyła dłoń pod suknię i dotykała piersi, tak że zacząłem przypuszczać, iż zechce zaoszczędzić nawet tę jedną drachmę, której zażądałem. Pospieszenie powiedziałem:

— Zrozumiałaś mnie dobrze i wstydę się rzeczywiście, że zamierzałem dać ten naszyjnik płochy kobiecie, by zdobyć jej względy. Ale zapomniałbym o niej łatwiej, gdybym mógł pocałować twoje niewinne usta.

Kydippe zawahała się i zapytała:

— Obiecuj mi święcie, że nie powiesz o tym nikomu. Rzeczywiście bardzo mi się podobają te małe pięknie wykute złote listeczki, ale jeszcze bardziej chciałabym cię uratować od złych pokus, jeśli tylko mogła uwierzyć, że potem będziesz pamiętał jedynie o mnie.

Była tak powabna, że serce mi stopniało i już miałem wykrzyknąć, że odkąd ją ujrzałem, nie mogłem patrzeć na inne kobiety. Ale opanowałem się i przysięgłem sobie milczeć. Kydippe sprawdziła, czy Lars Alsir wciąż jeszcze stoi odwrócony do nas tyłem, a potem wspięła się na palce, rozwarła wargi do pocałunku i pozwoliła także swojej szacie zsunąć się z ramienia. Ale gdy mnie już podnieciła, odsunęła się szybko, poprawiła szatę, wyjęła z sakiewki srebrną monetę, wzięła naszyjnik i powiedziała:

— Masz tu swoją drachmę. Uważam, że zrobiłam dobry zakup. Dziadek miał rację, mówiąc o żądzy mężczyzny, by wtykać wszędzie ręce, ale mylił się co do mnie. Nie poczułam się wcale słaba i szczerze mówiąc uważam, że było to tak, jakbym pocałowała niechlujny pysk cielęcia.

Nie weźmiesz mi chyba za złe, że mówię ci to szczerze.

Była chytrzejsza ode mnie i nic zaiste nie zyskałem przez ten pocałunek, prócz czczego ognia, który zapłonął w moim ciele, i poważnego długu u Larsa Alsira. Powinienem był wyciągnąć z tego nauczkę, ale ja tylko schowałem monetę z kogutem na pamiątkę i drżałem za każdym razem, gdy wziąłem ją do ręki.

Na próżno błagałem Afrodytę o pomoc i obiecywałem jej ofiary. Podejrzewałem już, że Afrodyta, w swej kapryśności opuściła mnie, albo że słowa Mikona na morzu były wytworem imaginacji. Ale w gruncie rzeczy bogini zastawiła na mnie pułapkę w całkiem inny sposób, tak że Kydippe była tylko przynętą rzuconą na mojej drodze po to, by mnie zaprowadzić tam, dokąd chciała bogini.

71

Ale skąd mogłem o tym wiedzieć! Toteż wychudłem i spędzałem noce bezsennie z powodu mojej miłości, dopóki Dorieus, gdy zaczęły już wiać wiatry wiosenne, nie wziął mnie na stronę i nie powiedział:

— Turmsie, dużo myślałem w ciągu tych miesięcy i moja decyzja dojrzała. Zamierzam udać się do Eryksu i odbyć tę podróż lądem, by móc zobaczyć cały kraj zachodni. Tanakwil będzie mi towarzyszyć, bo w Eryksie złotnicy znają sztukę sporządzania zębów ze złota i kości słoniowej.

Uwierzą też jej, gdy powie, że chce odbyć podróż do Eryksu i złożyć tam ofiary Afrodycie ze względu na swoje wdowieństwo. Także Mikon i Aura będą nam towarzyszyć i z pewnych powodów chciałbym, żebyś i ty zobaczył miasto zboża Segestę i kraj Eryksu.

Nie zwróciłem uwagi na ponurą powagę w jego twarzy, lecz pomyślałem tylko o Kydippe i zawołałem z zachwytem:

— To wspaniała myśl i nie mogę zrozumieć, że sam na nią nie wpadłem! I ja też mam sprawę do Afrodyty w Eryksie. Jest ona przecież najbardziej znaną Afrodytą morza zachodniego, podobnie jak Afrodyta Z Akrai panuje na morzu wschodnim. Jedźmy więc czym prędzej, i to raczej jeszcze dziś niż jutro.

Nazajutrz udaliśmy się w drogę do Eryksu, z końmi, osłami i lektykami. Tarcze zostawiliśmy w domu Tanakwil i zabraliśmy z sobą tylko nieodzowną w podróży broń dla obrony przed rabusiami i dziką zwierzyną. Do tego wyjazdu dojrzałem, gdy Kydippe rozpałała moje zmysły i pomy-

ślałem, że przeprowadzę swoją wolę z pomocą Afrodyty w Eryksie. Ale bogini była chytrzejsza ode mnie.

## **KSIĘGA CZWARTA**

# Bogini w Eryksie

## I

Ja, Turms, który podróżowałem z Himery do Eryksu, byłem innym człowiekiem niż ten, który niegdyś tańczył w burzy na drodze do Delf. W każdym okresie swego życia człowiek wzrasta powoli i stopniowo, aż zaskoczony spostrzega, że trudno mu pamiętać i czuć swoje dawne ja. W ten sposób życie ze swoimi okresami jest stałym rodzeniem się na nowo, i początek każdego okresu podobny jest do nagłego skoku przez przepaść, która potem zaraz rozszerza się i staje nie do przekroczenia, tak że nie ma już odwrotu.

Mgielka miękkich chmurek wiosennych otaczała strome sycylijskie góry, łagodne wiosenne słońce świeciło na bujne sycylijskie lasy i sprawiało, że rzeki wzbierały, kiedy wędrowaliśmy z Himery do zachodniej części wyspy i Eryksu. W ciągu miesięcy zimowych zdążyliśmy rozleniwzić się w wygodnych łóżkach Tanakwil i przy gościnnych stołach podczas uczt w mieście. Toteż Dorieus i ja, a także Mikon, rozkoszowaliśmy się możliwością wędrowania, aż do bólu wszystkich członków, i cieszyliśmy się, iż znowu czujemy, jak nasze mięśnie nabrzmiewają siłą.

Trzymaliśmy się drogi pielgrzymów i Sykanowie zamieszkujący góry i kryjący się w potęż-

nych lasach nie atakowali nas. Czcili boginię, ale zachowali swoje prastare obyczaje i uważali się za najstarszych mieszkańców kraju. Dobrobyt w elymijskich miastach we wnętrzu kraju nie opie-

rał się na wymianie handlowej, lecz na rolnictwie. Dlatego też miasta te nie były tak bogate jak te, które założyła na wybrzeżu Kartagina, z wyjątkiem Segesty, bo ta za swoje zboże mogła sobie kupić wszelki grecki i kartagiński dobrobyt.

Po trudnych do przejścia górach i bezkresnych lasach zbliżyliśmy się do uśmiechniętych dolin Segesty i ujrzelśmy, jak umięśnione psy gonią dziką zwierzynę. Szlachetni myśliwi odziani byli po grecku i twierdzili, że ich psy pochodzą w prostej linii od boga psów, Krimisosa, który poślubił nimfę Segestę. Bez ceremonii rozsunęli zasłony lektyki, poznali Tanakwil i rzekli:

— Czegóż chcesz w Eryksie, słynna wdowo? Dostałaś już dużo, aż nazbyt dużo w darze od bogini. Zostań lepiej w Segeście, abyśmy mogli współzawodniczyć, kogo wybierzesz, by cię odziedziczył.

Kiedy odeszli w swoją stronę, Mikon powiedział:

— Pola są tu żyzne od krwi wielu ludów. Także koloniści z Fokai leżą tu pogrzebani. Pójdź-

my więc za wezwaniem Dionizjosa i złożmy im ofiarę grobową.

I wcale nie musieliśmy czynić tego w tajemnicy, gdyż mieszkańcy Segesty sami wzniesli ołtarze dla mężów, którzy chcieli wtargnąć do kraju i podbić go. Dumnie pokazywali pamiątkowe głazy stojące na skraju pola i mówili:

— Wielu tu przybywało, ale niewielu stąd uszło.



Ich ojcowie i dziadkowie zwykli byli chować pokonanych wrogów na polach, oni jednak uspokajali nas teraz, mówiąc:

— Żyjemy w oświeconych czasach i nie musimy już prowadzić wojen, by chronić krainę Eryksu. Gdyby ktoś napadł na nas, Kartagina uznałaby to za powód do wojny, a nie ma podobno nikogo, kto byłby tak dzielny, by świadomie i z własnej woli szukał sporu z Kartaginą.

Kiedy złożyliśmy już ofiary przy ołtarzu Fokajczyków, Dorieus rozejrzał się badawczo wokoło i zapytał:

— Jeśli oni przywykli wznosić ołtarze obcym bohaterom, gdzież jest ołtarz mego ojca, Spartanina Dorieusa. W imię sprawiedliwości powinien to być najokazalszy z tych pomników. Był on przecież Heraklidą i przybył tu, by objąć ten kraj w posiadanie jako dziedzictwo Heraklesa.

Na szczęście mieszkańcy Segesty nie zrozumieli jego doryckiego języka. Zapytałem ich o pomnik Spartanina Dorieusa, ale potrząsali tylko głowami i nie wiedzieli o niczym takim. W końcu powiedzieli:

— Pokonaliśmy wprawdzie raz całą gromadę spartańskich kolonistów, ale nie było tu co wspominać i nie zapamiętaliśmy ich imion. Ale w ich towarzystwie znajdował się Filippus z Krotony.

Był on wielokrotnym zwycięzcą w igrzyskach zawodniczych w Olimpii i najpiękniejszym ze współczesnych. Zwłoki jego były tak piękne, że zbudowaliśmy świątynię ku jego pamięci. Co czwarty rok urządzamy ku jego czci zawody.

Pokazali nam ten wielki pomnik i boisko do zawodów, urządzone przed nim. Dorieus nie mógł zrazu wymówić słowa. Potem ogarnęła go taka wściekłość, że twarz mu poczerniała i pękł

mu naramiennik:

— To zwariowane bzdury! — krzyknął. — Właśnie mój ojciec, Dorieus, zdobył wieńce lau-rowe w Olimpii i był najpiękniejszym ze współczesnych. Jak mógłby jakiś Krotończyk z nim współzawodniczyć. Z czystej zawiści do mego ojca obcy bogowie z Segesty omamili ludzi, by pochowali go pod fałszywym imieniem i przeszkodzili mu w ten sposób znaleźć się pośród nieśmiertelnych.

Mieszkańcy Segesty rozpierzchli się przed jego wściekłością. Tylko z trudem udało się Mikonowi i mnie uspokoić jego wzburzenie. Gdy znów był w stanie porządnie zaczerpnąć tchu, powiedział:

73

— Rozumiem teraz, dlaczego duch mego ojca nie dawał mi spokoju i dlaczego owcze kości pokazywały niezachwianie na zachód, ilekroć je rzuciłem. Ziemia trzęsie mi się pod nogami. Te wzgórza, doliny i pola to heraklejska spuścizna, a przez to ziemia mego ojca i moja. Ale teraz nie pragnę już więcej żadnej ziemi. Od tej pory moim naczelnym dążeniem będzie naprawienie tej straszliwej pomyłki, aby przywrócić spokój duchowi mego ojca.

Zacząłem się obawiać, że Dorieus doprowadzi dosporów w Segeście i opóźni naszą wędrówkę. Toteż rzekłem:

— Im ciszej mówisz w tym mieście o twoim ojcu i spuściźnie po Heraklesie, tym lepiej dla nas wszystkich. Pamiętaj, że jesteśmy w drodze do Eryksu, a nie aby znaleźć sobie grób na polach Segesty.

Także Tanakwil powiedziała:

— Twoje myśli są królewskie, Dorieusie. Ale pozwól mi dać ci radę, tak jak się umówiliśmy.

Pochowałam już trzech małżonków i mam doświadczenie w tych sprawach. W Eryksie dostaniesz odpowiedź na wszystko, co cię nurtuje, obiecuję ci to.

Również i Mikon wystąpił z ostrzeżeniem:

— Niebezpieczniejszy dla siebie od gniewu mieszkańców jesteś ty sam, Dorieusie. Jeśli wpadać będziesz we wściekłość w taki sposób, nie dożyjesz starości, bo żyły ci pękną, zanim się opamiętasz. Może doznałeś większych, niż sądziliśmy, uszkodzeń od uderzenia wiosłem w bitwie pod Lade. Także i twój praszczur Herakles zwykł był dostawać napadów wściekłości, gdy się uderzył w głowę, i wyobrażał sobie, że słyszy płacz dziecka.

Dorieus twierdził gniewnie, że nie było to uderzenie wiosła, lecz uczciwy cios mieczem, który wcale nie zranił go w głowę, tylko wgiął hełm. W ten sposób mogliśmy zacząć dyskutować z nim rozsądnie i przestał straszyć mieszkańców Segesty.

Segesta ze swymi świątyniami, placami i łaźniami była miastem oświeconym i przyjemnym, i jeśli chodzi o obyczaje, bardziej greckim niż Himera, choć mieszkańcy miasta byli Elymijczykami. Sami twierdzili, że są pochodzenia trojańskiego, gdyż ich pramatka była podobno Trojanką, którą upodobał sobie bóg psów Krimisos, mieszkający w rzece.

Cieszyliśmy się gościnnością w domu u synów Tanakwil z innych małżeństw. Ich dom był

zamożny, a przy nim wznosiło się wiele budynków, szafarni i wielkich spichrzy na zboże. Zostaliśmy przyjęci z oznakami wielkiej czci, ale Tanakwil zabroniła synom pokazywać się jej, dopóki nie zgolą bród i nie zmienią uczesania włosów. Zdaje mi się, że jej żądanie wzbudziło w nich gorycz, ponieważ obaj byli już posunięci w latach, czego nie potrafi ukryć gładko ogolona broda i utrefione wodą młodzieńcze loki. Ale z szacunku dla matki usłuchali jej i odesłali z domu dorosłe dzieci, aby ich obecność nie przypominała Tanakwil o jej wieku.

Pozwolono nam bez przeszkód oglądać miasto i jego osobliwości. W przegrodzie w świątyni boga rzeki Krimisosa widzieliśmy świętego psa, któremu co roku według odziedziczonych tajemnych rytuałów poślubiano najpiękniejszą dziewczycę w mieście. Ale Dorieus wolał wędrować wzdłuż murów, którym mieszkańcy Segesty pozwolili podupaść, i oglądać zawody, walki na pięści i zapasy, wykonywane przez płatnych atletów dla rozrywki ludzi wyższego stanu. Potrafił jednak milczeć i wstrzymywał się od głośnego ganienia barbarzyńskich obyczajów miasta.

Ostatniego ranka przed naszym wyjazdem Dorieus wstał z westchnieniem z łoża, potrząsnął głową i narzekał:

— Co noc czekałem na to, że objawi mi się w snach na znak duch mego ojca. Ale nie miałem żadnych snów. Toteż jestem zbity z tropu i nie wiem, co mam myśleć o moim ojcu.

Po przybyciu do Segesty dostaliśmy nową odzież i oddaliśmy tę, w której podróżowaliśmy, sługom do uprania. Kiedy teraz przygotowywaliśmy się do wyjazdu, brakowało grubego wełnianego płaszcza Dorieusa. Szukaliśmy go wszyscy i Tanakwil ganiła już synów, gdy spostrzegliśmy, <sup>74</sup> że płaszcz wisi nadal i suszy się na belce u pułapu. Był grubszy niż inne sztuki odzieży i nie sechł tak szybko. Dlatego słudzy o nim zapomnieli.

Tanakwil rzekła do swoich synów uszczypliwie, że coś takiego nie mogłoby się nigdy zdarzyć u niej w domu. Dorieus dodał gorzko, że jako zbieg w obcym kraju przywykł już do obelg i upokorzeń. I nie mógł oczekiwać czegoś innego także i w Segeście.

Tak w zamian za gościnę, której doznaliśmy, pozostawiliśmy po sobie niemal otwartą kłótnię.

Dorieus nie pozwolił zaniepokojonym sługom dopomóc sobie, tylko zerwał płaszcz z belki.

W tejże chwili z fałd płaszcza wyleciał mały ptaszek i zaczął niespokojnie fruwać wokół głowy Dorieusa. Niebawem pojawił się także drugi ptaszek i oba trzepotały wokół niego z gniewnym popiskiwaniami.

Zdumiony strząsnął płaszcz. Z jego fałd wypadło gniazdo ptasie, a z gniazda wytoczyły się dwa małe jajeczka, które stłukły się na kamiennej posadzce. Przez krótki okres trwania naszego pobytu ptaki zdążyły zbudować gniazdko i złożyć jajka w płaszczu Dorieusa.

Ale Dorieus nie wpadł w gniew. Uśmiechnął się i zawołał:

— Patrzcie, oto znak, na który czekałem. Mój płaszcz chce zostać tu w mieście, choć ja zamierzam stąd wyruszyć. Ptaki zbudowały w nim gniazdo. Lepszego znaku nie mogłem dostać.

Ptaki trzepotały wystraszone wokół swego zniszczonego gniazda. Mikon i ja spojrzeliśmy na siebie i uznaliśmy to za zły znak, że Dorieus przypadkiem zmiążdżył gniazdo z jajami. Ale Tanakwil uśmiechnęła się jak słońce, przesłoniła wstydliwie dłonią usta i rzekła:

— O Dorieusie, pamiętaj o tym znaku. W Eryksie przypomnę ci o nim.

Następnego dnia ujrzeliśmy wznoszący się w dali wysoki stożek świętej góry w Eryksie.

Szczyt otulony był w miękkie chmury, ale chmury rozpięchły się, słońce rozgrzało nasze członki i dostrzegliśmy na wierzchołku góry prastarą świątynię Afrodyty erycyńskiej.

Wiosna już przyszła do krainy Eryksu, łąki mieniły się kwiatami, a gołębie gruchały w gajach.

Tylko morze było nadal burzliwe. Nie czekaliśmy długo, natychmiast zaczęliśmy wspinać się pustą drogą pielgrzymów, która wiała się wokoło surowej góry. Gdy zachód słońca zabarwił

czerwienią ciemne morze i cały Eryks z lasami i łąkami, dotarliśmy do małego miasteczka na szczycie. Strażnicy widzieli, że nadchodzimy i czekali z zamknięciem bramy, abyśmy zdążyli wejść do miasta przed zapadnięciem nocy.

Przy bramie spotkała nas zaraz rzesza hałaśliwych mężczyzn, którzy na wyścigi szarpali nas za płaszcze i ofiarowywali we wielu językach gościnę. Ale Tanakwil знаła miasto i jego zwyczaje, przepędziła natrętów ostrymi słowami i pokazała nam drogę przez miasto aż do granicy obszaru świątynnego. W otoczonym ogrodem domu zostaliśmy przyjęci z szacunkiem, nasze konie i osły wprowadzono do stajni, a dla nas zapalono na kominku buzujący ogień z żywicznego drewna, ponieważ na świętej górze tak wczesną wiosną robiło się po zachodzie słońca dojmująco chłodno.

Nasz śniady gospodarz mówił dobrą greczyzną, przywitał nas i rzekł:

— Daleko jeszcze do wiosennego święta, fale są wzburzone, a bogini nie przybyła jeszcze zza morza. Dlatego dom mój jest wciąż jeszcze w stanie zimowym i nie wiem, czy mogę przygotować taką ucztę, jakiej wymaga wasz stan. Ale jeśli zadowolicie się zimnymi i wilgotnymi izbami, niewygodnymi łóżkami i kiepskim jedzeniem, jakie mam, uważajcie mój dom za swój, dopóki chcecie zostać w Eryksie.

Oddalił się godnymi krokami, nie okazując zaciekawienia naszymi sprawami i przysłał słu-

żących i niewolników, by nam usługiwali. Jego zachowanie wywarło na mnie głębokie wrażenie i zapytałem Tanakwil, czy jest to bardzo znamienity mąż. Tanakwil zaśmiała się i powiedziała:

— To najchciwszy i najbezwzględniejszy sknera w całym mieście, który odważa każdy kęs na wadze złotniczej. Ale jego dom to jedyny dom godny nas, i mieszkając tu jesteśmy chronieni 75

przed wszystkimi nieproszonymi gośćmi w tym świętym mieście. W gruncie rzeczy Eryks budzi się do życia dopiero przy święcie wiosennym i kwitnie aż do jesieni, kiedy to bogini znowu od-pływa na swym złotym statku. Ale przez ten czas nie ma zaiste ani jednego mieszkańca w mieś-

cie, który nie miałby ochoty zarobić, okłamać, oszukać obcego przybysza i wyciągnąć ostatni grosz z jego sakiewki. Bogaci napastują bogatych, a biedacy biedaków. Nie ma takiego bogacza, który by nie mógł znaleźć tutaj godnej go pamiątki, i nie ma takiego biedaka, któremu nie można by wkręcić bezwartościowych glinianych posążków albo miłosnych lubczyków. Wszyscy tu żyją z świątyni. Gdyby bogini nie przybyła na święto wiosenne, wnet wszyscy staliby się zupełnymi golcami. Frywolna bogini pozwala im chętnie na oszukiwanie przybyszów, ile tylko zdołają, ale sprawa jest tego warta. Nawet ten, kto już raz został oskubany, wraca do bogini, mądrzejszy co prawda niż za pierwszym razem. I ja zapłaciłam drogo za nauczkę w tym mieście jako młoda wdowa. Teraz, jako dojrzała kobieta, potrafię lepiej dawać sobie rade.

Zawiedziony zapytałem:

— Musimy więc czekać przed pustą świątynią aż do święta wiosennego? Nie mamy na to czasu.

Tanakwil uśmiechnęła się chytrze:

— Erycyńska Afrodyta ma swoje misteria jak wszyscy inni bogowie. Gdy zaczyna się rok żeglugi, przybywa ze swoim orszakiem z Afryki na statku z purpurowym żaglem. Ale z tego powodu świątynia nie stoi zimą pusta. Przeciwnie, najważniejsze wizyty polityczne i najcenniejsze ofiary odbywają się właśnie w tym cichym okresie, kiedy hałaśliwe tłumy, żeglarze i przekupnie nie zakłócają misteriów. Prastare źródło bogini znajduje się na swoim miejscu i latem, i zimą.

Bogini może objawić się w świątyni, choć dopiero podczas święta wiosennego zstępuje i kąpie się w swym źródle.

Słowa jej wywołały we mnie wątpliwości i patrząc na jej uszmińkowane na czerwono policzki i chytre oczy zapytałem:

— Tanakwil, wierzysz poważnie w boginię?

Przystanęła, wpatrzyła się we mnie i rzekła z silnym przekonaniem:

— Turmsie z Efezu, nie wiesz, co mówisz. Źródło bogini na erycyńskiej górze jest prastare.

Jest starsze niż Grecy, starsze niż Tyrreńczycy, ba, starsze od Fenicjan. Było ono świętym źród-

łem, już zanim bogini objawiła się Fenicjanom jako Astarte i Grekom jako Afrodyta. W cóż miałabym wierzyć, gdybym nie wierzyła w boginię.

Z ciepła przy żarze kominka wyszedłem na dwór, by odetchnąć lodowato zimnym górskim powietrzem. Drobne wiosenne gwiazdy lśniły na niebie, a rzadkie powietrze przepelnione było zapachem ziemi i pinii. Potężna świątynia wznosiła się na tle nocnego nieba. Ogarnęło mnie przeczucie, że bogini w swej tajemniczości jest bardziej przerażającą zagadką, niż sądziłem.

2

Kiedy zbudziłem się o nowym poranku, wszystko było inaczej. Gdy się przybywa do obcego miasta o zmierzchu, wydaje się ono większe i bardziej zagadkowe niż w trzeźwym świetle dnia.

Rozglądałem się dokoła wypoczętym wzrokiem i święte miasto Eryks wydało mi się bardzo niepozorne ze swymi kamiennymi chatami i drewnianymi domkami. Znałem przecież Delfy, mieszkałem w Efezie, a w Milecie oglądałem wielkie miasto nie mające sobie równego. Cóż spodziewałem się znaleźć w tej świątyni o barbarzyńskich pękających kolumnach? Poczułem się nagle straszliwie samotny na świecie i pełen zwątpienia w bogów.

Tanakwil postarała się dla nas o wstęp do świątyni. Wykąpaliśmy się i odziali w nieskazitelne szaty, ścięliśmy kosmyki włosów z głowy i spaliliśmy. Potem wzięliśmy dary ofiarne i udaliśmy 76

się do świątyni. Stała za miastem jak twierdza, otoczona górkami stromiznami i chroniona murami ze skalnych bloków.

Wewnętrzny podwórzec był dość ciasny. Zbyt duże rzesze ludzkie nie mogły towarzyszyć bogini w procesji święta wiosennego, kiedy to wnoszono ją do świątyni. Mieszkania kapłanów i sług świątynnych wyglądały skromnie, a sama świątynia z wyszczerbionymi przez wiatry kolumnami była zbudowana przez kartagińskich budowniczych. Ale wokół świętego źródła stały smukłe kolumny, a posadzka przy źródle wyłożona była mozaiką z marmurowych kostek wielkości czubka palca.

Pozwolono nam swobodnie wejść do świątyni i obejrzeć dary ofiarne w przedsionku i pusty cokół w alkowie bogini. Dwóch kapłanów o kwaśnych minach oprowadziło nas po świątyni i przyjęło nasze ofiary bez słowa podziękowania. Jakichś szczególnie cennych darów nie mogliś-

my dostrzec, z wyjątkiem paru dużych srebrnych kotłów, ale kapłani oświadczyli, że stroje i klejnoty bogini przechowuje się w specjalnym skarbcu, w oczekiwaniu na jej przybycie.

W gruncie rzeczy było to jak zwiedzanie jakiegokolwiek publicznego budynku. Dopiero gdy doszliśmy do źródła i gołębice bogini wzleciały przed nami, poczułem bliskość boskiej mocy.

Źródło było duże i głębokie, i jego wydrążone ściany zwężały się ku górze. Było ono do połowy wypełnione wodą, a ciemna nieruchoma powierzchnia odzwierciedlała nasze twarze. Wewnątrz nowo wzniesionego kręgu kolumn otoczone było prastarymi stożkowatymi głazami. Kapłani zapewniali, że mężczyzna, który utracił siłę męską, gdy tylko dotknie jednego z tych głazów, natychmiast odzyskuje moc.

Stałych dziewcząt świątynnych nie zobaczyliśmy. Kapłani oświadczyli, że zwykły one towarzyszyć bogini na wiosnę, by wykonywać określone obrządki i obsługiwać bardziej wymagających gości. A w jesieni odjeżdżają znowu wraz z boginią. Zresztą erycyńska Afrodyta nie pochwałała tego rodzaju ofiar w swoich murach. Mogło to się odbywać w mieście. Dla żeglarzy i ludu la-dacznice, które przybywały w lecie do Eryksu z wszystkich stron, kleciły specjalne chatki z liści pod murem miejskim i na górskich zboczach.

Jeszcze tego samego wieczoru Dorieus i Tanakwil udali się ponownie razem do świątyni, by spędzić noc przy pustym cokole bogini i oczekiwać na jej objawienie się. Powrócili następnego dnia rano ciasno spleceni w uścisku, patrząc tylko na siebie nawzajem i nie odpowiadając na nasze pytania. Poszli zaraz spać i spali ze sobą aż do wieczora. Wieczorem z kolei Mikon i Aura udali się do świątyni. Dorieus wstał ze snu i kazał podać wieczerzę, nazywał Tanakwil gołębicą Afrodyty i zwierzył mi się, że zamierza się z nią ożenić.

— Po pierwsze — mówił — Tanakwil jest najpiękniejszą kobietą na ziemi. Już poprzednio wysoko ją ceniłem. Ale w świątyni Afrodyta obrała sobie w niej swój przybytek, jej twarz zaczęła lśnić jak słońce, ciało stało się wszystkopochłaniające jak stos i zdałem sobie sprawę, że od tej chwili będzie ona dla mnie jedyną kobietą na świecie. Po drugie, jest ona niezmiernie bogata. Po trzecie, z powodu swoich poprzednich małżeństw i własnego swego pochodzenia ma ona najliczniejsze i najkorzystniejsze stosunki w całym kraju Eryksu. Dotychczas nie umiała wykorzystywać ich politycznie, bo jest tylko kobietą. Ale udało mi się wzbudzić w niej żądzę sławy.

Otwarłem usta, by mu się przeciwstawić, ale on bronił się spieszenie:

— Wiem, co chcesz powiedzieć, ale poczekaj tylko, aż ona dostanie nowe zęby. Jako Spartanin powinienem zresztą zadowolić się nią, nawet gdyby była bezzębna. Ale jeśli mi nie wierzysz, musisz przynajmniej wierzyć w znaki wróżebne. Dwa małe ptaszki, które zbudowały sobie gniazdo w moim płaszczu w Segeście, odnosiły się naturalnie do Tanakwil i do mnie. Nasze gniazdo zbudujemy sobie w Segeście i będzie to nie jakieś małe ptasie gniazdko, lecz gniazdo orle. Wszystko to zostało mi wytłumaczone tak przekonywająco, że nie pojmuję wprost, jak sam na to nie wpadłem.

77

— Na imię bogini! — wykrzyknąłem. — Rzeczywiście zamierzasz, związać się z fenicką staruszką, która mogłaby być twoją babką? Musisz być zupełnie szalony.

Lecz Dorieus nawet się nie rozgniewał, potrząsnął tylko głową ze współczuciem i rzekł:

— To ty jesteś szalony, a nie ja. Z pewnością jakaś zła siła zamąciła ci wzrok, jeśli nie widzisz, jak piękne są rysy Tanakwil, jak promienne jej oczy i jak bujna jej postać.

Oczy zaczęły mu płonąć jak u byka, wstał, obmacał ramiona i powiedział:

— Czemu tracę tu czas na paplanie z tobą. Moja gołębica, moja Afrodyta czeka już na mnie z pewnością niecierpliwie, wypróbowałeś swoje nowe zęby.

Z powodu jego zapału byłem niespokojny o Tanakwil, ale gospodarz domu pogrążył się we wspomnieniach i opowiedział, że odkąd pamięta, w jego domu tylko jeden mężczyzna zginął od szczęścia w miłości. I był to nadmiernie otyły grecki kupiec, którego konkurenci w Zankle na-mówili, by pojechał do Eryksu. Kupcy ci posłali potem wspólnie srebrny wieniec mirtowy dla erycyńskiej Afrodyty.

Nie pozostało mi nic innego, jak siedzieć samemu i ostrożnie popijać wino, a później wieczorem, kiedy wszystko w domu się uciszyło, Tanakwil wymknęła się z alkowy z palcem na ustach, podeszła do mnie, poklepała mnie po policzkach obiema rękami i zapytała, promieniejąc z rado-

ści:

— Czy Dorieus zwierzył ci się już z naszej wielkiej nowiny? Może zauważyłeś już w Himerze, mimo całej twej subtelności, że nadużył on mego wdowieństwa. Ale dzięki interwencji bogini obiecał uczynić mnie znowu uczciwą kobietą i zawrzeć ze mną małżeństwo, ważne według praw doryckich, jak i fenickich.

Odparłem gwałtownie, że Dorieus jako Spartanin jest niedoświadczony w miłości. Ona, Tanakwil, powinna natomiast być bardziej doświadczona jako trzykrotna wdowa, i zaniechać uwiedzenia łatwego do skuszenia mężczyzny. Ale Tanakwil odparła z wyrzutem:

— To on, Dorieus, był uwodzicielem od pierwszej chwili, wcale nie ja. Kiedy przyszlście do mego domu, nawet nie wpadłoby mi do głowy kusić go. W porównaniu z nim jestem przecież starą kobietą.

I jeszcze dziś w nocy odrzuciłam trzykrotnie jego zaloty, ale trzy razy wykorzystał moją słabość.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że musiałem jej uwierzyć.

— Ależ jesteśmy związani obietnicą daną naszemu dowódcy, Dionizjosowi — nadmienilem.

— Kiedy rozpocznie się rok żeglugi, musimy udać się z nim do Massilii.

W duszy majaczyła mi tuż szaleńcza myśl, że z pomocą Afrodyty będę może mógł porwać Kydippe i zabrać ją na okręt. Tanakwil potrząsnęła jednak stanowczo głową i rzekła:

— Dorieus zostanie grzecznie w domu i nigdy już nie wyruszy na niebezpieczne morze. Jest on przecież wychowany do wojny na lądzie. Dlaczegoż miałby się udawać do jakiegoś nieznane-go kraju barbarzyńców, skoro musi tu pilnować swego dziedzictwa. Mężczyzna musi mieć swoje polityczne zajęcia, bo inaczej nigdy nie jest zadowolony.

— Czyżbyś istotnie zamierzała podsycać szalone marzenia Dorieusa? — wykrzyknąłem. —

Czyż nie są dla ciebie dostateczną przestrogą ołtarze grobowe i pomniki, które widzieliśmy?

Sama pochowałaś już trzech mężów. Czemu chcesz pozwolić mieszkańcom Segesty pochować czwartego?

Tanakwil siedziała zadumana podpierając brodę ręką.

— Mężczyźni muszą postawić na swoim — rzekła w końcu. — Szczerze mówiąc, nie wiem jeszcze, co mam zrobić. Z powierzchowności Dorieus jest bez wątpienia królewską postacią.

Czemu psi hełm Segesty nie miałby nadawać się dla niego. Zdaje mi się jednak że jest on zbyt głupi, by nadawać się na króla w trudnych stosunkach politycznych na Sycylii. Grzmocenie po 78

tarczach i rozłupywanie łbów nie jest jeszcze polityką. Ale jeśli koniecznie chce mnie uczynić nie tylko uczciwą kobietą, lecz także królową, muszę chyba dostosować się do jego woli.

Weszła do swojej alkowy i zamknęła za sobą drewniane drzwi. Położyłem się na łożu. nacią-

gnąłem na głowę owczą skórę i zasnąłem natychmiast, tak jakbym wpadł do studni.

3

Mikon i Aura powrócili następnego dnia rano z świątyni, podpierając się nawzajem, bladzi oboje jak trupy i z czarnymi sińcami wokół oczu od nocnego czuwania. Mikon położył Aurę do łoża, przykrył ją i pocałował w czoło. Potem podszedł do mnie na uginających się kolanach i ocierając czoło z potu powiedział:



— Obiecałem ci opowiedzieć o objawieniu, abyś mógł się do niego przygotować. Ale to objawienie jest tak zadziwiające, że nie mam słów, żeby je opisać. Osobiście wierzę, że bogini pokazuje się na różne sposoby różnym ludziom i każdemu tak, jak on tego najbardziej potrzebuje.

Ponadto musiałem przyrzec, że nigdy nie wyjawię, w jaki sposób bogini objawiła się mnie. Ale zwróciłeś z pewnością uwagę, że Aura milczała, jak zaklęta, kiedy wróciliśmy. Może wszystko to jest takie samo, jak w świątyni Asklepiosa, gdy chorzy zostają uśpieni. Jednakże wiem już teraz, że wystarczy, bym dotknął tylko Aury choćby jednym palcem, żeby natychmiast zamilkła i żebym znów mógł zagłębić się w rozważaniu spraw nadprzyrodzonych.

Późnym popołudniem Aura zbudziła się i zawołała zaraz Mikona. Mrugnął na mnie, poszedł do niej, usiadł na brzegu łoża, odsunął skórę i musnął czubkiem palca jej łono. Głębokie westchnienie wydarło się z piersi Aury, jej twarz pobladła jeszcze bardziej, oczy rozszerzyły się i wpatrywały w puste powietrze, ciało zadrżało, a potem legła nieruchomo wyprostowana.

— Widzisz, Turmsie — rzekł Mikon dumnie — jaką moc dała mi Afrodyta. Zachowuje się teraz cicho. Ale człowiek, któremu bogini daje takie szczodre dary, umiera młodo. Nie myślę tu o sobie, lecz o Aurze. Sam nie odczuwam żadnej rozkoszy w palcu, lecz moja przyjemność jest całkowicie duchowa, gdy czuję, że panuję nad jej ciałem tak, jak chcę.

— Jednakże — wtrąciłem — skąd możesz wiedzieć, że to ty i tylko ty masz takie oddziaływanie na nią. Może jakikolwiek inny mężczyzna może zrobić z nią to samo. W takim razie nie zazdroszczę ci.

Mikon uśmiechnął się z wyższością:

— Ach, Turmsie, nie wiesz, co mówisz. Jesteś młodszy ode mnie i są to sprawy, na których się znam. Ale spróbuj sam, jeśli cię to bawi, i zobaczymy.

Zapewniłem go, że wcale nie myślałem o sobie, i zaproponowałem, żebyśmy pozwolili spróbować naszemu gospodarzowi. Mikon oświadczył jednak, że jako lekarz niechętnie myśli o tym, by całkiem obca dłoń dotykała piersi jego żony.

— Natomiast ty jesteś moim przyjacielem, Turmsie, i na tobie polegam — ciągnął. — Chcę ci tylko udowodnić, że nie masz racji, i wiem, że nie jesteś tym, który zacząłby ją obmacywać z rozpustnej żądzy, lecz tylko ze zrozumiałej żądzy wiedzy. Żądza wiedzy jest matką zarówno ludzkich, jak i boskich nauk. Zróbmy więc próbę i osiągniemy przez to całkowitą pewność, mimo że już z góry wiem, że ci się nie powiedzie.

Im bardziej się wzbraniałem, tym gorliwiej namawiał mnie, żebym spróbował i nadymał się jak żaba od pewności siebie. I kiedy powieki Aury znowu zaczęły drżeć i usiadłszy w łożu zapytała słabym głosem, co jej się stało, Mikon popchnął mnie ku niej. Wyciągnąłem palec wskazujący i dotknąłem z ciekawością czubka jednej z jej sutek.

Następstwa tej nieszczęsnej próby przewyższyły wszystko, co mogliśmy sobie wyobrazić.

Z mego palca trysnęła iskra, a ramię zapiekło mnie jakby od niewidzialnego uderzenia bicia.

Ciało Aury przebiegł spazm, jej usta otwarły się, twarz poczerniała od krwi nabiegłej do mózgu, i Aura opadła na łożę z powykreczanymi członkami. Charczenie wyszło z jej ust, gdy powietrze wyparte zostało z płuc. Wzrok jej stężał i zmartwiał, a potem przemożna rozkosz rozsadziła, prawdopodobnie jej serce, już i tak osłabione, gdyż wyzionęła ducha na naszych oczach, zanim jeszcze zdaliśmy pojąć, co się stało.

Na nasze wołania nadbiegli Tanakwil i Dorieus, a za nimi właściciel gospody i jego służdy.

Zaczął najpierw załamywać ręce i wołać głośno, że to zły znak, iż poprzedniego wieczora skusiłem go, by opowiedział o kupcu z Zankle. Ale potem oprzytomniał, wskazał na twarz Aury i przyznał:

— Szczęśliwszej śmierci nikt nie mógłby sobie życzyć. Widać w jej rysach, od czego umarła.

Mikon biadał, mówiąc że powinien był myśleć o słabości Aury. Trudy podróży, napięcie oczekiwania, czuwanie nocą i gwałtowne objawienie w świątyni osłabiły ją tak, że nie wytrzymała więcej. Właściciel gospody ze swej strony powiedział, że bogowie odmierzili każdemu długość jego życia, i że nikt nie może ująć śmierci, choćby uciekł na koniec świata.

— I to jest pewnie jedyne, co wiemy z pewnością i w co możemy wierzyć, jeśli chodzi o bogów — ciągnął z przekonaniem. — Zanieśmy ją do świątyni i wychwalajmy szczęśliwy los tej młodej kobiety, ponieważ jej stos śmiertelny będzie wzniesiony ze srebrnych topoli na marmurowej posadzce obok źródła bogini, a jej popioły przechowywane będą w urnie ofiarnej w świątyni, tak jak się robi z popiołami wszystkich, którzy umarli z miłości.

Kiedy Mikon zaczął głośno biadać zarówno z powodu swojej żałoby, jak i dlatego, że wymagały tego dobre obyczaje, Tanakwil uspokoiła go, mówiąc:

— W gruncie rzeczy bogini spełniła twoje życzenie lepiej, niż mogłeś wymagać, Mikonie.

Czy nie pragnąłeś, by Aura umilkła w tym swoim gadaniu? Teraz zamilkła raz na zawsze. Poza tym całe to małżeństwo było dla ciebie odstręczające od samego początku. Jako głęboki myśliciel, samotnik, nie nadajesz się wcale do małżeństwa. Rodzice dziewczyny uważać będą za najwyższy zaszczyt, że ich córka umarła w Eryksie. Tu pielgrzymują przecież od czasu do czasu ludzie którzy cierpią z powodu nieuleczalnej miłości, i wypijają napój z maku, albo też otwierają sobie żyły przy źródle, ażeby ich popioły przechowane były w świątyni.

Podczas gdy Mikon siedział zgarbiony z głową wspartą na rękach, złamany żalobą, Tanakwil i właściciel gospody zaczęli szybko się krzątać, by umyć zwłoki i zanieść je do świątyni. Dorieus był tak wstrząśnięty tym wydarzeniem, że odciął sobie jeszcze jeden kosmyk włosów i spalił go.

Poklepał Mikona po ramieniu i usiłował go pocieszyć, mówiąc:

— Łatwo przyszło, łatwo odeszło. Zdobyłeś Aurę nazbyt łatwo, ba, wpadła ci, mówiąc bez ogródek,

w ramiona bez najmniejszego wstydu. Inaczej jest ze mną, który całą zimę musiałem walczyć zajadłe, żeby namówić upartą kobietę, by została moją żoną. Takie małżeństwo będzie trwałe, o twoim natomiast zapomnisz równie szybko, jak rozprószy się dym z jej stosu pogrzebowego.

Także i ja pocieszałem Mikona:

— Wierz mi, ta nieszczęsna próba nie była moją winą, tylko twoją. Ty sam tego chciałeś i z pewnością. najlepiej stało się tak, jak się stało. Twoje życie byłoby nie do zniesienia, gdybyś wiedział, że jakikolwiek mężczyzna może dotknięciem wprawić twoją żonę w uniesienie.

Mikon otarł pięściami łzy z puciołowatych policzków, ożywił się trochę i rzekł:

— Masz rację, Turmsie, i z pewnością bogini chciała tego, byśmy zrobili próbę. Jakżeż inaczej mogłaby nam wpaść do głowy taka myśl. A jej kruche ciało na pewno nie wytrzymałoby długo tak częstych rozkoszy.

80

I pograżony w myślach ciągnął:

— Aura miała do tego naturalne skłonności, jeszcze zanim ją spotkałem i w najlepszym zamiarze wtajemniczyłem ją w różne możliwości, jakie posiadała. Stała się potem tak wrażliwa, że wystarczyło już samo tylko dotknięcie. Wkrótce wystarczyłby sam tylko widok mężczyzny. A potem nie potrzebowałaby nawet widzieć mężczyzny, lecz wystarczający byłby jakiś podobny do mężczyzny przedmiot. Jest bowiem tak, że niektóre kobiety są szczególnie zagadkowe w takich sprawach. I tak na przykład słyszałem o kobiecie z Rodos, która od wczesnej młodości wpadała w uniesienie, gdy tylko zobaczyła zwykły dzbanek do picia. W swoim małżeństwie nie znajdowała żadnego zadowolenia, gardziła mężem i unikała go, dopóki ten nie wpadł na pomysł, by zabierać dzbanek z sobą do ich łoża. Od tej pory żyli szczęśliwie do późnego wieku i kobieta urodziła ogółem osiemnaścioro dzieci, z których czternaścioro osiągnęło wiek dorosły i nie było w nich niczego niezwykłego, jeśli pominąć zbiór rozmaitych dzbanów do picia, które odziedziczyły po swoich rodzicach.

Mikon znalazł pociechę w swych myślach i żaloba go nie złamała. Jeszcze tego samego wieczora zebraliśmy się na podwórku świątynnym, gdzie ciało Aury w pięknych szatach, z umalowanymi policzkami i wargami, i z włosami przyozdobionymi grzebieniami z perłowej macicy spoczywało na stosie ze srebrnej topoli, piękniejsze niż kiedykolwiek za życia. Świątynia ofiarowała na stos kadzidło i pachnidła. Mikon podpalił stos ze słowami: — Ku chwale bogini! — Na życzenie kapłanów nie wynajęliśmy żadnych płaczków, lecz przeciwnie, młode dziewczęta, które przybrane we wieńce wykonały tańce bogini wokół stosu i śpiewały elymijskie hymny na jej cześć. Wzruszający był widok, gdy płomienie strzelały wysoko w górę pod jasne niebo wieczorne i woń palących się zwłok tonęła w zapachu kadzidła. Płakaliśmy na wyścigi z radości z powodu Aury i życzyliśmy sobie nawzajem równie pięknej i równie szybkiej śmierci w równie świętym miejscu. Ale cały czas dręczyło mnie mimo wszystko nierozstrzygnięte pytanie, czy Aura rzeczywiście umarłaby także od dotknięcia jakiegoś innego mężczyzny, czy też to ja i tylko ja bezwiednie byłem winny jej śmierci.

Gdy słońce zaszło, stos przygasł i niebo zabarwiło się purpurą. Kiedy Mikon zapraszał gości na ucztę pogrzebową, podszedł do mnie kapłan i rzekł:

— Czas, żebyś przygotował się na spotkanie z boginią.

Sądziłem, że nieoczekiwany wypadek śmierci odsunie na jakiś czas moje czuwanie w świątyni.

Ale kapłan mnie dotknął, poczułem nagle, że właśnie teraz była odpowiednia chwila. Czułem żar z palącego się stosu i zapach kadzidła w moich nozdrzach, widziałem morze ciemniejące w anemonową czerwień i pierwszą gwiazdę wyłaniającą się na niebie, i ośwładnęło mną niewiarygodnie dojmujące uczucie, że już kiedyś przeżywałem taką chwilę. Idąc za kapłanem do jego mieszkania, czułem się taki lekki, iż zdawało mi się, że tylko muskam ziemię stopami.

Kazał mi się rozebrać, zbadał mnie, podniósł czubkami palców moje powieki i przyjrzał się białkom oczu, dmuchnął mi do ust i zapytał, co oznaczają białe plamy na moich ramionach.

Odparłem uczciwie, że są to blizny po oparzelinach, ale nie uważałem za konieczne wyjaśnić, że dostałem je wtedy, gdy pożar rzucił na mnie płonące trzciny z dachów w Sardes. Po zbadaniu wysmarował mi pachy, pierś i pachwiny piekącą maścią i wręczył mi pachnące zioła, bym natarł

sobie nimi dłonie i podeszwy stóp. Gdy mnie dotykał, czułem się coraz lżejszy i zdawało mi się, że moje ciało jest samym powietrzem. Radość perliła się we mnie tak, że w każdej chwili mogłem wybuchnąć śmiechem.

W końcu kapłan dopomógł mi włożyć płaszcz wełniany wyszywany w ptaki i liście mirtu, ażebym nie zmarzł w czasie czuwania w świątyni. A potem zaprowadził mnie obojętnie do schodów świątyni i rzekł:

— Wejdz!

— Co mam tam robić? — zapytałem.

81

— To twoja sprawa — odparł. — Rób, co chcesz, ale po chwili poczujesz się zmęczony, a potem coraz bardziej zmęczony i jeszcze bardziej zmęczony. Zmęczenie przeniknie wszystkie twoje członki, powieki zamkną ci się same, tak, zamkną się całkowicie, tak że nie będziesz mógł ich otworzyć, będziesz spoczywał, spoczywał bardziej głęboko, niż kiedykolwiek spoczywałeś, ale będziesz trzeźwy. Potem stanie się coś, otworzysz oczy i spotkasz boginię.

Popchnął mnie w głąb świątyni, zawrócił i odszedł. Wstąpiłem w milczącą ciemność i stałem tam, dopóki moje oczy nie przywykły do słabego światła nocy, które wpadało przez otwór w pu-

łapie, i nie dostrzegłem pustego cokołu bogini. Przed nim stało łóże na lwich nogach i gdy tylko je ujrzałem, poczułem zmęczenie w członkach. Ledwie zdążyłem wyciągnąć się na łóżu, jak już poczułem się taki ciężki, że zastanawiałem się, jak to lekkie łóże może unieść mój ciężar i jak to się stało, że nie zapadłem się w głąb ziemi przez kamienną posadzkę. Oczy zamknęły mi się i nie

mógłbym ich otworzyć, nawet gdybym chciał. Wiedziałem, że nie śpię, ale zacząłem się zapadać coraz głębiej i zapadałem się w nieskończoność. Nie było to przerażające. I nagle otworzyłem oczy w promiennym słońcu i stwierdziłem, że siedzę na kamiennej ławie na placu i przyglądam się wytartym czworokątnym płytom kamiennym, którymi jest wyłożony, i przesuwającym się obok cieniom przechodniów.

Rozejrzałem się dokoła zaskoczony. Miasta i placu nie znałem, ale niebo było promiennie błękitne, ludzie gwarliwie zajęci swymi zwykłymi czynnościami i handlem, nikt nie zwracał na mnie uwagi, wieśniacy prowadzili osły objuczone koszami z jarzynami, a tuż obok mnie pomarszczona stara kobieta rozłożyła kilka serów na sprzedaż. Wstałem i poszedłem, i w tejże chwili zdałem sobie sprawę, że chodziłem już kiedyś po tym mieście. Domy ozdobione były malowanymi płytkami z gliny, w bruku znajdowały się wyjeżdżone koleiny wozów, a gdy skręciłem za róg, ujrzałem przed sobą świątynię z kolumnami i fryzem. Wszedłem do chłodnego mroku świątyni i senny odźwierny opryskał mnie gałązką kilkoma kroplami święconej wody. W tejże chwili usłyszałem ciche szczęknięcie.

Otworzyłem znowu oczy, ujrzałem, że leżę na łożu w mrocznej świątyni erycyńskiej Afrodyty i wiedziałem, że moja wizja była tylko snem, choć nie spałem i choć mogłem przysiąc, że to rzeczywistość i że lada chwila mógłbym znowu rozpoznać plac i ulicę, i fryz na świątyni, i ludzi.

Nowe szczęknięcie sprawiło, że usiadłem. Tak wypoczęty, tak trzeźwy i rześki nie czułem się jeszcze nigdy. W świetle z otworu w pułapie zobaczyłem, że na brzegu pustego cokołu bogini usiadła zawoalowana kobieta. Od szyi do stóp otulona była w mieniącą się szatę, ciężką od haftów. Błyszczący wieniec na jej głowie przytrzymał welon, który zakrywał jej oblicze. Poruszyła się i usłyszałem znów to samo szczęknięcie, gdy jej bransolety uderzyły o siebie. Poruszyła się, żyła i była rzeczywista.

— Jeśli jesteś boginią — odezwałem się drżąc cały — pokaż mi swoje oblicze.

Usłyszałem cichy śmiech zza welonu. Kobieta w welonie rozsiadła się wygodniej i powiedziała obcym akcentem, ale zrozumiałe po grecku:

— Bogini nie ma żadnego własnego oblicza. Czyje oblicze chcesz zobaczyć, Turmsie, pod-palaczu świątyń?

Ogarnęła mnie nieufność, bo jej śmiech był śmiechem człowieka, jej głos głosem człowieka i nikt w Eryksie nie mógł wiedzieć, że niegdyś w Sardes zażegłem pożar w świątyni Kybele. Tylko Dorieus albo Mikon mogli plotkować o tym do niej. Poczułem się rozgniewany i rzekłem kwaśno:

— Obojętne, jakie masz oblicze, jest tu i tak za ciemno, by je zobaczyć.

— Nieufny — powiedziała i roześmiała się dźwięcznie — myślisz, że bogini boi się światła.

Znów czymś szczęknęła i skrzesła ognia tak, że trysnęły iskry i zapaliły lampę, którą miała u boku. Przed moimi przywykłymi do ciemności oczami zabłysła ta lampa olśniewająco jasno.

Dostrzegłem haftowane perłami figury na jej szacie, sztywnej od ozdób, i poczułem bijący od niej wspaniały zapach ambry.

— Jesteś człowiekiem tak jak ja — rzekłem zawiedziony. — Jesteś kobietą, tak jak inne kobiety. A ja sądziłem, że spotkam boginię.

— Czyż więc bogini nie jest kobietą? — zapytała. — Właśnie kobietą i bardziej kobietą niż jakakolwiek ziemską kobietą? Czego chcesz ode mnie?

— Pokaż mi twoje oblicze — prosiłem robiąc krok w jej stronę. Zesztywniała. Oczy jej zmieniły się całkowicie:

— Nie dotykaj mnie, to niedozwolone.

— Spłonę na popiół — zapytałem drwiąco — padnę bez życia na ziemię, jeśli cię dotknę?

Rzekła ostrzegawczo:

— Nie żartuj sobie z tego. Raczej przypomnij sobie, co ci się stało dzisiaj, kiedy składałeś ofiarę ludzką dla bogini.

Przypomniałem sobie Aurę i straciłem ochotę do żartów. Coś w głosie kobiety w welonie ostrzegało mnie.

— Pokaż mi swoje oblicze, żebym mógł cię rozpoznać — poprosiłem jeszcze raz.

— Jak chcesz — odparła. — Ale pamiętaj, że bogini nie ma żadnego własnego oblicza.

Zdjęła błyszczący wieniec i opuściła welon, odwróciła twarz do światła i zawołała nagle:

— Turmsie, Turmsie, czy mnie nie poznajesz?

Przejęty drżeniem aż do głębi serca poznałem ten wesoły głos, śmiejące się oczy i krągłą twarz dziewczęcą. — Dione! — wykrzyknąłem. — Dione, jak się tu dostałaś? — Przez chwilę przemknęła mi rzeczywiście myśl, że Dione udało się uciec na zachód z zagrożonej Jonii i jakimś dziwnym zrządzeniem losu znalazła się w świątyni erycyńskiej Afrodyty. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że niepowrotne lata minęły od dnia, kiedy Dione rzuciła do mnie jabłkiem. Nie mogła już być tą samą młodą dziewczyną, co wtedy, i ja sam też już nie byłem tym samym zaślepionym młodzieńcem.

Kobieta znowu ukryła twarz w welonie i zapytała:

— Poznałeś mnie więc, Turmsie?

Gniewnie odrzekłem:

— Wzrok zamąciły mi cienie i migotliwe światło twojej lampy. Zdawało mi się, że widziałem

dziewczynę, którą spotkałem był kiedyś w młodości w Efezie. Ale ty nie jesteś nią. Nie jesteś młodą dziewczyną.

Odparła:

— Bogini nie ma wieku. Bogini jest poza wiekiem i poza czasem. Jej twarz zmienia się stosownie do życzenia patrzącego. Czego chcesz ode mnie?

— Gdybyś była boginią, wiedziałabyś bez pytania — odrzekłem zawiedziony.

Machnęła błyszczącym wieńcem trzymanym w jednej ręce, tak że zmuszony byłem pójść za nim wzrokiem. Drugą ręką zasłoniła welonem twarz i nakazała:

— Połóż się znowu. Wyciągnij się. Spoczywaj!

Lekko zstąpiła z brzegu łoża, unikając szczękania pierścieniami, które miała na stopach. Mój wzrok szedł za wieńcem kołyszącym się w jej dłoni. Nagle wyprostowała się, odsłoniła oblicze i zapytała rozkazująco:

— Gdzie jesteś, Turmsie?

83

Jej twarz poczerniała przed moimi oczami, błyszczała od maści, jej płaszcz zdobiły złożone w ofierze przez Amazonki piersi kobiece, księżyc był ozdobą jej głowy, u jej stóp spoczywał lew.

Poczułem święte wełniane przepaski bogini na moich członkach jak wtedy, gdy uciekłem do świą-

tyni Artemidy przed kamieniami wzburzonego tłumu. Artemida sama stała przede mną, ale nie była już tylko spadłym z nieba czarnym bożkiem z drewna. Była żywa i groźna, i jej czarna twarz uśmiechała się bezlitośnie. Czulem, jak przepaski pętają mnie i usiłowałem się z nich wyrwać, ale moja dłoń dotykała tylko nagiej skóry, choć wyraźnie czulem, jak napinają się święte przepaski.

Głos powtórzył:

— Gdzie jesteś, Turmsie?

Z ogromnym wysiłkiem udało mi się ruszyć językiem i zawołać:

— Artemis, Artemis!

Wtedy poczułem, jak niewypowiedzianie miłosierna ręka kładzie się na moich oczach, całe moje ciało głęboko odetchnęło i obawa opuściła mnie. Księżyc nie miał już nade mną mocy.

Głos powiedział:

— Uwalniam cię spod panowania obcej bogini, jeśli sam tego chcesz i przyrzekasz służyć tylko mnie.

Poniechaj ponurości księżycy, a dam ci wolność słońca i radości.

Szepnąłem, albo zdawało mi się, że szepnąłem w odpowiedzi:

— Ty zrodzona z morskiej piany, sama zaprowadziłaś mnie wtedy do swego źródła i pozwoli-

łaś mi zakryć nagość twymi barwnymi przepaskami. Byłem ci poświęcony, jeszcze zanim Artemis dostała mnie w swoją moc. Nie opuszczaj mnie już nigdy.

Głuchy huk rozległ się w moich uszach, łoże zakołysało się pode mną, a głos powtórzył jeszcze raz:

— Gdzie jesteś, Turmsie? Zbudź się. Otwórz oczy!

Ale spoczynek i zawrót głowy były dla mnie tak miłe, że nie chciałem otwierać oczu. Huk wzmógł się do nadziemskiej siły, poczułem na języku metaliczny posmak i musiałem oprzeć się na łokciu i wypluć z ust obola. Usłyszałem, jak zadźwięczał o kamienie, otwarłem oczy i ujrzałem znów słońce i olśniewająco błękitne niebo nad moją głową. Przepelniony spokojem, przepelniony nasyceniem odsunąłem się od kobiety, którą trzymałem w ramionach. Była naga w ciepłych promieniach słońca, i ja też byłem nagi. Tylko wieniec kwiatów wisiał na mojej szyi.

Skądś zapytał nakazujący głos: — Gdzie jesteś, Turmsie?

Rozejrzałem się dokoła i odparłem:

— Jestem we wspaniałym ogrodzie. Ma kształt czworoboku. Jest otoczony z jednej strony wysokimi cyprysami, z drugiej zaś marmurową balustradą. Widzę kwiaty i źródło. Spoczywam w świetle słońca pośrodku ogrodu na szerokim marmurowym tarasie. Spoczywam na miękkich poduszkach z kobietą w ramionach. Uśmiecha się do mnie i skubie wieniec kwiatów na mojej szyi. Nie sądzę, bym widział ją już kiedyś przedtem. W dali opaleni na brąz żniwiarze zdążają do pracy i patrzą ciekawie w naszą stronę. Ale nie przychodzi mi nawet na myśl, by się ich wstydzić.

Żyję całkiem innym życiem niż oni. Stoję tak nieporównanie wyżej od nich. Gdybym wyteżył

pamięć, wiedziałbym z pewnością, kim jestem i kim jest kobieta w moim objęciu. Ale ja nie dbam o to, by się wyteżać. Właśnie teraz jestem szczęśliwy. Słońce świeci na ciemne cyprysy. Jej skóra jest biała. Mam tak żywego pięknego człowieka w mojej bliskości.

Głos powiedział: — Zamknij oczy znowu.

Zamknąłem oczy. Huk w uszach wezbrał do siły huczącej burzy. Była to burza beczasowości, która mnie ogarnęła.

Ale głos nakazał mi znowu:



— Turmsie, Turmsie, rozejrzyj się dokoła. Gdzie jesteś?

Rozejrzałem się wokoło i odparłem zdumiony:

— Widzę cudowną dolinę wśród pokrytych śniegiem gór, które wznoszą się aż pod niebo.

Czuję zapach ziół. Zboże, na którym spoczywam, jest ciepłe. Piękniejszej doliny jeszcze nigdy nie widziałem. Ale jestem sam. Nie widzę żadnych domów. Żadnej ścieżki. Żadnego człowieka.

Gdzieś niesłychanie daleko usłyszałem szept:

— Wróć, Turmsie, wróć. Zbudź się w końcu. Gdzie jesteś?

Jeszcze raz otwarłem oczy. Była noc. Stałem w obcej komnacie. Wstrzymując oddech widzia-

łem Kydippe spoczywającą w łożu. Śniła z na wpół otwartymi ustami i zamkniętymi oczyma, i wzdychała we śnie. Nagle drgnęła, zbudziła się, przeraziła na mój widok i naciągnęła kołdrę, by przykryć swą nagość. Ale poznała mnie, uśmiechnęła się i zatrzymała ręce w pół drogi. Podbieg-

łem do niej. Wziąłem ją w ramiona. Chciała krzyknąć, ale zmiękła w moim objęciu. I nie stawiała oporu, tylko pozwoliła mi robić, co chciałem. Ale jej dziewczęce usta były chłodne pod moimi.

Jej serce nie biło w takt z moim. Gdy ją puściłem i zawstydzona zasłoniła ręką oczy, wiedziałem, że nie mam z nią nic wspólnego. Czuję się jej obcy i nie miałem już chęci jej dotknąć. Przeciwnie, jej chłodna nieosiągalność wydała mi się odstręczająca.

Rozpaczliwy krzyk zawodu wydarł się z mojej piersi. Odsunąłem się, znikłem, a kiedy znowu otworzyłem oczy, leżałem z ramionami sztywno wyciągniętymi w górę na łożu w świątyni erycyńskiej Afrodyty. Obok mnie na skraju łoża siedziała obca kobieta, która mówiła coś do mnie i usiłowała ugiąć i ułożyć moje ramiona.

— Co ci się stało, Turmsie? — zapytała chyląc głowę, by móc mi spojrzeć w twarz w świetle lampy.

Zobaczyłem, że zdjęła swój sztywny od haftów uroczysty strój. Leżał na posadzce, a na nim welon i wieniec. Zdjęła także naszyjnik i bransolety. Odziana była tylko w cienką koszulę i włosy miała szczesane wysoko na głowie. Gdy schyliła się nade mną, zdałem sobie sprawę, że jeszcze nigdy jej nie widziałem. Jej wąskie brwi osadzone były bardzo wysoko i miały taki kształt, że wyglądała na skośnooką. Była obca, a jednak zdawało mi się, że ją znam. Moje ramiona rozprę-

żyły się i opadły. Poczulem zmęczenie we wszystkich członkach, jak po ciężkiej pracy. Musnęła czubkami palców moje brwi, potem dotknęła moich oczu i ust, i zaczęła jakby od niechcienia rysować palcem koła na mojej piersi. Kiedy spojrzałem na nią, zbladła i nagle zauważyłem, że płacze.

— Co ci jest? — zapytałem niespokojnie.

— Nic — syknęła i szybkim szarpnięciem cofnęła dłoń z mojej piersi.

— Czemu płaczesz? — zapytałem.

Podniosła dumnie głowę, tak że parę łez spadło mi na pierś, i rzekła:

— Wcale nie płaczę...

Po czym nagle wymierzyła mi siarczysty policzek i zapytała z gniewem:

— Kim jest ta Kydippe, której imię raz po raz powtarzałeś z takim zachwytem?

— Kydippe? — powiedziałem. — To z jej powodu tu przybyłem. Jest wnuczką tyrana Himery. Ale nie czuję już do niej żadnego pożądania. Dostałem to, czego szukałem, i bogini uwolniła mnie od niej.

Rzekła z rozdrażnieniem:

— To dobrze. To znakomicie. Dlaczego więc nie odchodzisz, skoro uzyskałeś to, czego chciałeś?

Podniosła rękę, jak gdyby chciała mnie uderzyć jeszcze raz. Schwyciłem ją szybko za przegub.

Wąski i delikatny spoczywał w mojej dłoni.

85

— Czemu mnie bijesz? — zapytałem. — Nie zrobiłem ci nic złego.

— Ach tak, nie zrobiłeś mi nic złego — przedrzeźniała mnie. — Żaden mężczyzna nie zrobił mi tyle złego, co ty. Możesz, sobie iść. Tak, odejdz stąd. I już nigdy nie wracaj do Eryksu.

— Nie mogę przecież odejść, dopóki siedzisz na mnie — odparłem. — Poza tym trzymasz mnie za płaszcz.

Otuliła kolana połą mego płaszcz, jakby marzła.

— Kim właściwie jesteś? — zapytałem i dotknąłem jej białej szyi. Wzdrygnęła się i wykrzyknęła: — Nie dotykaj mnie! Brr, twoje dotknięcie jest wstrętne. Nie cierpię twoich rąk.

Kiedy próbowałem wstać, złapała mnie za ramiona i przycisnęła z powrotem, schyliła się i pocałowała mnie mocno w usta. Było to tak zaskakujące, że prawie nie połapałem się, co się stało, jak już siedziała znowu wyprostowana na skraju łoża z dumnie uniesioną głową.

Wziąłem ją za rękę i powiedziałem:

— Pomówmy z sobą rozsądnie jak dwoje ludzi. Jesteś przecież człowiekiem, tak jak ja. Co się stało? Czemu płaczesz i bijesz mnie?

Trzymała dłoń mocno zaciśniętą, ale pozwoliła mi ująć ją w moje dłonie.

— Niepotrzebnie przybyłeś tu, by szukać pomocy w Eryksie — powiedziała kwaśno. —

Wiesz o bogini więcej niż ja. Jestem tylko ciałem, w którym objawia się bogini, teraz twoja siła weszła we mnie i nie posiadam już żadnej mocy nad tobą.

Położyłem rękę na jej ramionach i przyciągnąłem ją do siebie. Czulem jej miękkość przez cienką koszulę. Przeszedł przeze mnie dreszcz jakby z zimna. Ogarnęło mnie straszliwe uczucie, jak gdybym stał, wahając się na progu, po drugiej stronie którego nie było już powrotu.

— Powiedz mi, jak się nazywasz — prosiłem — tak, abym mógł poznać cię i mówić do ciebie.

Potrząsnęła gwałtownie głową. Włosy rozpuściły jej się i spadły w lokach na moją nagą pierś.

Przyciskając twarz do mojej szyi objęła mnie obu ramionami.

— Gdybyś znał moje imię, uzyskałbyś władzę nade mną — powiedziała. — Czyż nie rozumiesz, że jestem własnością bogini? Żaden mężczyzna nie może panować nade mną.

— Nie unikniesz tego — powiedziałem. — Gdy człowiek zaczyna nowe życie, obiera sobie nowe imię. Nadaję ci teraz nowe imię. Nazywasz się Arsinoe i imię to daje mi władzę nad tobą.

— Arsinoe? — powtórzyła pytająco. — Gdzie to słyszałeś? Miałeś już jakąś Arsinoe?

— Skądże — odrzekłem — wpadło mi to tylko do głowy. Tak miało być, bo nie wierzę, by człowiek znalazł jakieś imię tak całkiem z siebie samego. Skądś to imię przychodzi.

— Arsinoe — powtórzyła jeszcze raz, jak gdyby smakując to imię. — A jeśli nie chcę tak się nazywać? Jaką władzę masz, by nadawać mi nowe imię?

— Arsinoe — powiedziałem — kiedy ogrzewam cię w moich objęciach, tak jak teraz, kiedy tak jak teraz, otulam cię płaszczem wełnianym z gołębiami bogini, stajesz się dla mnie najbliższą z wszystkich ludzi istotą, choć wcale ciebie nie znam.

Zastanowiłem się przez chwilę.

— Nie jesteś Greczynką — ciągnąłem — słyszę to po twojej mowie. Ale nie możesz też być Fenicjanką, ponieważ twoja płeć nie jest czerwono-brązowa. Jesteś biała w moich objęciach jak morska piana. Czyżbyś była potomkiem uciekinierów spod Troi?

— A jeśli tak — odparła. — Bogini nie czyni różnicy między ludźmi albo szczepami, językami albo kolorem skóry. Wybiera ludzi, jak jej się podoba, i ładnych czyni, jeszcze ładniejszymi, a brzydkich czyni ładnymi. Ale powiedz mi, Turmsie, czy widzisz teraz moją twarz taką, jaka jest w istocie?

Odwróciła twarz do mnie, ale nadal opierała kark o moje ramię. Przyjrzałem się jej i powiedziałem zdumiony:

— Nigdy nie widziałem tak żywej i zmiennej twarzy jak twoja, Arsinoe. Widać na niej każde drgnięcie twojej duszy. Rozumiem teraz, dlaczego bogini przemiana twoją twarz w niezliczone pozorne oblicza. I kiedy mężczyzna śni jej sen w świątyni, zdaje mu się, że widzi w twojej twarzy tę, której pragnie, albo którą kiedyś kochał. Teraz jednak zdaje mi się, że widzę twoją prawdziwą twarz, kiedy siedzisz tak koło mnie jak człowiek obok drugiego człowieka.

Odsunęła się i spojrzała na mnie badawczo, dotknęła kącików moich oczu i warg.

— Turmsie — rzekła — przysięgnij, że jesteś tylko człowiekiem.

— Przysięgam na boginię, że odczuwam głód i pragnienie, zmęczenie i senność, pożądanie i nudę, tak jak człowiek — odparłem. — Ale nie mogę ci przysiąc, czym jestem, bo nie wiem tego sam. Przysięgnij, że nie znikniesz nagle z moich ramion i że nie zmienisz już więcej twarzy.

To dla mnie najpiękniejsza twarz, jaką widziałem.

Złożyła przysięgę i rzekła:

— Czasem bogini objawia się we mnie, tak że nie poznaję samej siebie. Ale kiedy indziej zadanie moje jest powszednie i wiem, że tylko oszukuję ludzi, którzy we śnie świątynnym wierzą, iż widzą boginię pod moją postacią. Turmsie, zdaje mi się czasem, że wcale nie wierzę w boginię, lecz chciałabym być wolna i żyć jak inni ludzie. Ale moim jedynym światem jest ta góra. w Eryksie. Źródło bogini stanie się kiedyś moim grobem, kiedy już się zużyję i inna wstąpi na moje miejsce, by służyć celom bogini.

Dotknęła stopą swoich szat leżących na posadzce, potrząsnęła głową i ciągnęła:

— Nie, nie, Turmsie, to straszne, że ci to mówię. Powinnam zebrać swoje szaty i klejnoty bogini. Powinnam zniknąć, abyś mógł wierzyć, że byłam postacią bogini. Powiedz, masz jakąś moc nad ludźmi, skoro nie mogłam opuścić ciebie w porę?

A mną owładnęła dziwna myśl. Dotknąłem jej ramion, jej boku i kolan.

— W moim śnie, jeśli to jest tylko sen — powiedziałem — znajdowałem się w alkowie Kydippe w Himerze. Obejmowałem ją tak, jak się obejmuje kobietę, a ona pozwalała mi na to.

Nasyciłem się nią. A potem stała się dla mnie obca i wiedziałem, że to tylko moje pragnienie zaślepiło mnie i że w gruncie rzeczy nie mam z nią nic wspólnego. Ale to, co się stało, było rzeczywistością. Czuję to w sobie i w swoim ciele. Kogóż to więc obejmowałem, jeśli moje ciało przebywało tutaj, a nie w Himerze?

Nie odpowiedziała na pytanie i rzekła gwałtownie:

— Dajmy już spokój tej Kydippe. Dość się nasłuchałam o niej, aż nazbyt dużo. Ale — ciągnęła ze

złośliwą radością — tobie nie jest ona przeznaczona, w każdym razie. Jej ojciec otrzymał już wróżbę od bogini. Zawiezie ją na wesele zaprząg mułów, a przed nią będzie biegł zając. Zając to znak Region, a Region panuje nad cieśniną po stronie italskiej, tak jak Zankle po stronie sycylijskiej. To korzystne dla Kartaginy związać Region z kręgiem swoich przyjaciół, tak aby przyjaźń panowała na wodach cieśniny i Grecy nie mogli jej zamknąć dla innych okrętów. Bogini w Eryksie uprawia także cele polityczne swoimi objawieniami i wróżbami. Dlatego nie zawsze mogę w nią wierzyć.

— W gruncie rzeczy — mówiła dalej — świątynia w Eryksie jest pośrednictwem małżeństw na całym morzu zachodnim. Mędrzy wierzą bogini tylko w połowie i naradzają się raczej z kapłanami, i w kwestii kojarzenia małżeństw kierują się nakazami rozsądku. Niejeden mężczyzna i niejedna kobieta, nie domyślając się niczego, otrzymali znak wzywający ich do Eryksu, a potem w świątyni ujrzeli swego przyszłego małżonka lub małżonkę we śnie, nie słysząc o nich nigdy przedtem: A opornych bogini może ugiąć tak, jak zechce.

— No a ja? — zapytałem. — Czy i ja jestem ofiarą czyichś rachub i planów?

87

Strasliwie spoważniała i rzekła:

— Nie zrozum źle tego, co chcę powiedzieć. Bogini jest potężniejsza, niż myślimy. Dlaczegóż bym inaczej czuła przymus zostania przy tobie i odsłonięcia się przed tobą?

— Nie, Turmsie — ciągnęła, przesuwając bojaźliwie palec po ustach. — Na przemian ogarnia mnie żar i zimno, gdy patrzę na twoje podłużne oczy i szerokie usta. Moc silniejsza ode mnie wiązuje mnie z tobą, tak że drżą mi kolana i nie mogę nawet schylić się, by podnieść moje szaty i klejnoty bogini z posadzki. Czeka mnie coś strasznego i myślę, że wolałabym umrzeć.

— Dopiero co byłem martwy, Arsinoe — odparłem. — Jeszcze czuję w ustach smak metalu.

Wyplułem obola, którego ktoś włożył mi do ust, bym miał czym zapłacić Przewoźnika. Tak sądzę, że coś nieoczekiwanego zdarzy się nam obojgu.

Spojrzała niespokojnie na otwór w pułapie.

— Niebo się przejaśnia! — wykrzyknęła. — Jak strasliwie krótka była ta noc. Muszę już iść.

I nie spotkamy się nigdy więcej.

Trzymałem ją mocno. — Arsinoe, nie odejdziesz jeszcze — prosiłem. — Musimy jeszcze spotkać się ze sobą. Powiedz, jak to się stanie? Co mam uczynić?

— Nie wiesz, co mówisz — odrzekła. — Czy nie dość, że jedna kobieta umarła od twego dotknięcia? Dużo mówiono o tej sprawie w świątyni. Chcesz, żebym i ja też umarła?

W tejże chwili usłyszeliśmy trzepotanie i szum skrzydeł. Ktoś się poruszył na podwórku świą-

tylnym i spłoszył stado gołębi. Coś przeleciało przez otwór w pułapie i wirując spadło do naszych stóp w kręgu światła lampy. Schyliłem się i podniosłem małe piórko gołębia.

— Bogini dała nam znak! — wykrzyknąłem. — Jest po naszej stronie. Gdybym nie wierzył w nią przedtem, uwierzyłbym teraz. To cud i zapowiedź.

W tejże chwili przeszedł mnie dreszcz od stóp do głowy i w niewypowiedzianym uniesieniu poczułem, że coś we mnie jest lepsze ode mnie samego i że nie ma niczego, czego nie mógłbym przewartościować.

— Arsinoe — powiedziałem — jesteś zrodzona dla mnie, a nie dla bogini, a ja jestem zrodzony dla ciebie. Dlatego, musiałem przybyć do Eryksu, chcąc czy nie chcąc, by cię spotkać. Jestem tu, jestem wolny, jestem silny. Idź więc i nie obawiaj się niczego. Jeśli nie spotkamy się w ciągu dnia, spotkamy się w nocy, obojętnie jak, ale wiem, że spotkamy się znowu i że żadna siła na świecie nie może temu przeszkodzić.

Pomogłem jej pozbierać szaty i klejnoty. Zgasiła lampę, zabrała ją ze sobą i odeszła przez wąskie drzwi za pustym cokołem bogini. Wyciągnąłem się na łożu, naciągnąłem na siebie pachnący mirrą wełniany płaszcz, przesunąłem dłonią po haftowanych gołębiach jego wzoru i wpatrywałem się w przejaśniające się niebo. Słońce stało wysoko, gdy zbudziło mnie dotknięcie dłoni kapłana świątyni na moim ramieniu.

4

Powróciłem, a na podwórku świątyni gołębie fruwały wokół mojej głowy. W gospodzie dostrzegłem ślady po uczcie, kałuże rozlanego wina i szczątki pucharów i dzbanów. Mikon spał

wciąż jeszcze tak głęboko, odsypiając żalobę, że nie mogłem się go dobudzić, ale Tanakwil była już na nogach, poddając się bez skarg zabiegom dentysty przy dopasowywaniu nowych zębów, które dla niej sporządził. Z jej dziąseł sączyła się krew, ale ona pokrzepiała się tylko winem i prosiła dentystę, by bez roztkliwiania się zaciskał cęgi i umocowywał złotą taśmę na swoim miejscu. Dentysta wychwalał jej odwagę i zachwycał się sam pięknem zębów, które sporządził. Gdy wreszcie już tkwiły na miejscu, pomazał krwawiące dziąsła maścią ziołową i odebrał zapłatę za 88

swoje dzieło. Nie była to mała zapłata, ale aby jeszcze bardziej zwiększyć swój zarobek, zaoferował ponadto środek do czyszczenia zębów, maści do twarzy, barwiczkę do rzęs i kartagińską szminkę, która czyniła niewidzialnymi wszystkie zmarszczki na twarzy.

Gdy wreszcie odszedł, złapałem niecierpliwie Tanakwil za obie ręce i powiedziałem:

— Oboje jesteśmy dorośli. Ty jesteś obznajomiona z misteriami bogini tu w Eryksie, ale i ja mam siły, których nie znasz. Pamiętaj, co stało się z Aurą, kiedy jej dotknąłem. Kim jest kobieta, w której ciele bogini objawia się odwiedzającym świątynię?

Tanakwil przeraziła się, obejrzała się wokoło i rzekła:

— Mów cicho, mimo że nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Ona jest człowiekiem z krwi i kości, tak jak ja — ciągnąłem. — Pamiętaj, że jest w mojej mocy odsłonić wiele rzeczy Dorieusowi, ba, a nawet odwrócić jego serce od ciebie pomimo twoich nowych zębów. Bądź zatem szczerą i powiedz mi, co wiesz.

Zastanowiła się przez chwilę, a potem zapytała:

— Czego właściwie chcesz? Zostańmy przyjaciółmi. Naturalnie pomogę ci, jeśli tylko potrafisz.

— Chcę znowu spotkać kobietę z świątyni — odrzekłem. — Możliwie jak najszybciej i najchętniej w świetle dziennym, w cztery oczy z nią.

— To niedozwolone — odparła Tanakwil. — Poza tym nie jest ona niczym innym, jak tylko prostym naczyniem, które bogini napełnia swoim winem, jeśli zechce. Mężczyźni zmieniają się, ale wino bogini pozostaje. Moc nie należy do niej. Jest tylko wyszkoloną niewolnicą bogini.

— Wszystko jedno, jak z tym jest — rzuciłem niecierpliwie. — Właśnie tego prostego naczynia pragnę i najchętniej chciałbym je mieć puste i bez wina. Chcę je napełnić moim własnym winem.

Tanakwil przyjrzała mi się badawczo swoim chytrym spojrzeniem, dotknęła palcem swoich nowych zębów i wyznała:

— Tak, jestem wtajemniczona, jak się domyślałeś. By powiedzieć prawdę, ta kobieta i ja nieraz wspólnie żartowałyśmy i dopomogłam jej wieloma sztuczkami, które odgrywała różnym mężczyznom pogrążonym we śnie bogini. I to ona pomogła Dorieusowi w tym, by znalazł mnie piękniejszą niż trojańska Helena i doznał nieprzeczuwanych rozkoszy w mych ramionach.

— Kim ona jest? — zapytałem.

— Skąd mogłabym to wiedzieć — rzekła Tanakwil wzruszając ramionami. — Kobiety takie jak ona kupuje się całkiem młode i wychowuje w świątyni. Myślę, że została wychowana w Kartaginie i podróżowała też po innych krajach, by rozwinąć umiejętności, których potrzebuje. Świą-

tynie wymieniają często między sobą uzdolnione kobiety. Ale kobieta, która doszła aż do świątyni w Eryksie, nie może zająć dalej. Musi żyć jako bogini i doznawać wszelkich rozkoszy bogini, dopóki się nie zużyje, albo nie straci zmysłów. Nie myśl o niej, Turmsie, to strata czasu. Jest w rzeczy samej najgorszą ladacznicą, jaką znam. W lecie objawia się na górze, by uprzyjemnić spędzenie czasu żeglarzom, poganiaczom osłów i pastuchom kóz. Nie, Turmsie, odwróć od niej swoje myśli. Jeśli ja jestem doświadczoną i nawet chytrą starą kobietą, to ona jest niesłychanie bardziej doświadczona i chytrzejsza niż ja.

Jej niedobre słowa przestraszyły mnie, ale przyjąłem, że celowo mówi źle o Arsinoe, by mnie zmieszać i samej wymknąć się z opałów.

— Tanakwil — rzekłem — spójrz mi w oczy. Musisz mnie słuchać. Jeśli to takie łatwe, to idź

i przyprowadź ją tutaj. W imię bogini żądam, żebyś to uczyniła. Inaczej ona może cię opuścić.

Słowa te wprowadziły Tanakwil w wahanie. Jako kobieta znała kapryśną naturę bogini lepiej niż ja i ogarnął ją lęk, że bogini istotnie odtrąci ją od siebie.

89

— Niech będzie, jak chcesz — ustąpiła i westchnęła niespokojnie. — Ale tylko pod warunkiem, że ta kobieta sama zechcą się z tobą spotkać, jak człowiek z człowiekiem, w pełnym świetle.

Osobiście trudno mi w to uwierzyć, bo twarz jej nie jest do pokazywania w świetle dziennym.

Uczesawszy się, uszminkowawszy twarz i ozdobiwszy się naszyjnikami poszła rzeczywiście do świątyni. Trzymała się prościej, a od czasu wprowadzenia nowych zębów nosiła też wyżej brodę.

I nie trwało długo, jak wróciła i weszła przez bramę gospody z inną kobietą, odzianą, po fenicku od stóp do głów i chroniącą twarz od słońca obramowanym frędzlami parasolem. Był to mój dar powitalny, o którego wręczenie jej prosiłem Tanakwil. Przeszły żywo, rozmawiając, przez dom na taras i do ogrodu pod kwitnące drzewa owocowe. Gorące fale chodziły mi po ciele, gdy ujrza-

łem je nadchodzące. Tanakwil przyprowadziła kobietę do kamiennej ławy, po czym ofiarowała się usłudze, że pójdzie przynieść wino i coś do jedzenia.

— Turmsie — powiedziała — chodź tu i dopilnuj, żeby nikt ze służby nie przeszkadzał tymczasem kapłance świątyni. Chcę jej usłużyć własnymi rękami, skoro jest moim gościem.

Robiąc te kilka kroków, które dzieliły mnie od Arsinoe, czułem, że słabnie mi ciało i drżą wargi. Kwiecie z drzew owocowych spadało na ziemię przede mną. Głęboko w dole u stóp góry falowało niespokojnie morze. Kobieta odłożyła parasol, podniosła głowę i spojrzała mi w oczy.

Poznałem wysokie skośne brwi, ale twarzy nie poznałem, ani oczu ani ust, które nabrały okrutnego wyrazu od szminki.

— Arsinoe — szepnąłem i wyciągnąłem rękę nie wając się jej dotknąć.

Kobieta zmarszczyła niecierpliwie wypukłe czoło i rzekła:

— Słońce przyprawia mnie o ból głowy i nie wyspałam się dostatecznie. Gdybym nie szanowała Tanakwil tak bardzo, nie wstałabym tak wcześnie i nie przyszła do niej z wizytą. Ale ciebie nie znam. Czy to do mnie mówiłeś i czego chcesz ode mnie?

Szminka nadała jej rysom twardość. Mówiąc, zaciskała powieki w wąskie szparki. Miała zmarszczki w kącikach oczu. Twarz jej była bardziej doświadczona niż w nocy przy świetle lampy.

Ale im dłużej patrzyłem na nią, tym wyraźniej majaczyło mi jej nocne oblicze spod tych umalowanych rysów.



— Arsinoe — szepnąłem ponownie — nie poznajesz mnie już?

Kąciki jej ust drgnęły. Otworzyła oczy i wzrok nie był już oszukańczy, lecz promieniał do mnie uśmiechem.

— Turmsie, o Turmsie — powiedziała. — Czy to prawda, że poznajesz moją twarz w świetle dziennym, taką jaką jest? Czy doprawdy boisz się mnie jak mały chłopczyk przy zakazanej bramie? O, Turmsie, gdybyś wiedział, jak ja sama się bałam.

Podniosła się gwałtownie i pobiegła w moje ramiona, i poczułem, że członki jej drżą pod szatą, gdy ją objąłem.

— Arsinoe, Arsinoe — szeptałem. — Tak, naturalnie, to ty, poznaję cię.

Twarz jej promieniała, jakbym trzymał w objęciach samą boginię. Niebo rozpięło się nad nami, potężne i błękitne, a w uszach słyszałem szum własnej krwi.

— Arsinoe — powiedziałem — do tego jestem zrodzony, dla tego żyłem, dla tego śniłem moje niespokojne sny. Żaden welon nie zasłania już twego oblicza. Odsłoniłaś je przede mną. W tej chwili gotów jestem umrzeć.

— Arsinoe — ciągnąłem — czas przewala się z hukiem obok nas, tak jak krew huczy w moich uszach. Ale gdybym nawet spłonął na popiół, gdybym leżał pod zieloną murawą, wróciłbym, żeby zamknąć cię w moich ramionach tak jak teraz.

90

— Góra Eryks jest wieczna — mówiłem. — Na wieki obejmuje ją morze. Na wieki spoczywa u stóp góry uśmiech dolin. Tak długo jak morze obejmuje górę Eryks, tak długo ja chcę obejmować ciebie!

Przycisnęła dłonie do mojej piersi i powiedziała:

— Rozmazujesz mi róż na wargach i wichrzysz mi włosy.

— Nie, nie spałam — ciągnęła. — Wykąpałam się i włożyłam klejnoty, raz po raz wybierałam szaty i układałam włosy, żeby nie być całkiem brzydką w twoich oczach. Mimo to okropnie się bałam. Myślałam, że ty także sądziłeś, żeś tylko śnił.

— Strzała przeszła mi serce — mówiła — cała krew ze mnie upływa, gdy tylko na mnie spojrzysz, Turmsie. Kiedy uśmiechasz się swoim boskim uśmiechem, tracę całą moją siłę. Tak twarde, tak piękne są twoje członki. Trzymaj mnie mocno, żebym nie upadła. A sądziłam, że nie mogę zostać zraniona na służbie u bogini.

Przyłożyła usta do mojej szyi, ugryzła mnie w pierś i wiała się w moich ramionach, aż zapinka naramiennika jej sukni rozpięła się i upadła na ziemię. Zaszumiał wiatr, zerwane płatki kwiecica z drzew owocowych owiały nas wirując, ale żadna moc na świecie nie mogła już oderwać nas od siebie. Ktokolwiek mógł przyjść i przyszpilić nas do ziemi jednym i tym samym oszczepem, a my

byśmy tego nawet nie zauważyli. Aż usta jej ochłodziły, powieki zaczęły drżeć, krzyk wyrwał się z jej gardła i rozluźniwszy się legła spokojnie. Dopiero wtedy wróciłem do przytomności i rozejrzałem się wokoło. Wiatr szarpał i rwał gałęzie drzew, a Tanakwil stała obok nas w rozwianych szatach i wpatrywała się w nas zaskoczona.

— Czyście stracili zmysły oboje — zawołała głosem przenikliwym od strachu. — Nie macie nawet na tyle rozumu, by wejść w krzaki jak przyzwoici ludzie.

Drżącymi rękami pomogła Arsinoe wstać i włożyć szaty. Porywy wiatru tworzyły wiry z zerwanych kwiatów i gałęzi drzew, a w powietrzu pełno było lecącej słomy i siana zerwanego z dachów w mieście. Morze wrzało spienionymi falami głęboko pod nami, a z horyzontu toczyły się ku Eryksowi góry chmur.

— Wzbudziliście gniew nieśmiertelnych swym nieprzyzwoitym zachowaniem — ganiła nas Tanakwil z błyskiem zawiści w czarnych oczach. — Ale bogini zmiłowała się nad wami i osłoniła was swym welonem. Również moje oczy przyćmiła, tak że widziałam was jak we mgle. Co sobie myśleliście?

— Burza nadchodzi — powiedziałem wciąż jeszcze dysząc — zachodni sztorm. I nic w tym dziwnego. To burza we mnie i w moim ciele pędzi na cały Eryks.

Arsinoe patrzyła w ziemię, jak dziewczynka przyłapana na jakiejś psocie, ujęła błagalnie dłoń Tanakwil i prosiła:

— Wybacz mi, ty najbardziej błogosławiona ze wszystkich kobiet. Pomóż mi jeszcze, bo muszę się oczyścić.

— Chodźmy między cztery ściany — zaproponowała Tanakwil. Zaprowadziła Arsinoe do swojej komnaty, gdzie wszystko było już przygotowane, bo ta chytra i doświadczona kobieta dopilnowała, by była tam ciepła woda i ręczniki, tak że i ja mogłem się umyć. Kiedy to czyniłem, zaczęliśmy wszyscy troje śmiać się i nie wstydziliśmy się już siebie nawzajem.

Tanakwil śmiejąc się osuszyła łzy z oczu i powiedziała:

— Turmsie, Turmsie, czyż ci nie mówiłam, że ona jest najgorszą ladacznicą, jaką znam. Ale mimo to bardzo mnie to wzięło, gdy przed chwilą słyszałam jej krzyk w twoich ramionach, jeśli nie udawała tylko, by zwiększyć twoją rozkosz i lepiej uwikłać cię w swoją moc. Nie ufaj nigdy kobiecie, Turmsie. Ciało kobiety może kłamać równie chytrze jak jej oczy i język.

Arsinoe odezwała się z miłym uśmiechem:

91

— O, Turmsie, nie wierz tej zawistnej kobiecie. Czułeś przecież sam, jak góra pękła pod nami i ziemia się zatrzęsała.

Mówiąc, przez ramię zerknęła do brązowego zwierciadła Tanakwil i oczyszczała zręcznie policzki i wargi maściami Tanakwil. Jej twarz, dopiero co nabrzmiała od namiętności, stała się znowu mała i

dziecinnie, ale jej ciemne oczy promieniały, a niebieski połysk brwi wzmacniał ich blask.

— Znow twoja twarz jest nowa, Arsinoe — powiedziałem. — Ale dla mnie jest to twoja prawdziwa twarz. Nie ukrywaj jej więcej.

Potrząsnęła głową i rozpuściła włosy, tak że spłynęły po jej nagich plecach. Złoto mieniące się włosy zrodzonych z piany morskiej. Badawczo przyglądała się swemu odbiciu w lustrze, marszcząc nos. W jej zagadkowo zmiennej twarzy odbijała się każda przelotna myśl. Zazdrosny o zwierciadło położyłem dłoń na jej nagim ramieniu, aby odwrócić ją ku sobie. Odłożyła lustro i ukryła twarz w dłoniach.

— Na boginię! — wykrzyknęła Tanakwil szczerze zdumiona.

— Widzisz, ona się czerwieni, gdy tylko jej dotkniesz. Nie jesteście chyba zakochani w sobie poważnie. Ach tak, a więc to dlatego, Turmsie, chodziłeś po domu, uśmiechając się zagadkowo sam do siebie. Bogini w Eryksie zaczarowała cię.

— Tanakwil — prosiłem — może pójdziesz po jakiś posiłek i wino, tak jak mówiłaś. Nie mogę jeszcze słyszeć i rozumieć tego, co mówisz.

Kiwnęła głową jak dziobiąca ziarno kura, roześmiała się do swoich myśli i powiedziała:

— Zasuń przynajmniej rygiel w drzwiach, żebym wiedziała, że mam zapukać, kiedy wrócę.

Gdy poszła, wpatrywaliśmy się tylko w siebie. Arsinoe zbladła powoli, jej źrenice rozszerzyły się, a oczy stały się podobne do czarnych gwiazd. Wyciągnąłem ku niej ramiona, ona jednak podniosła ręce gestem obronnym i wyszeptła: — Nie zbliżaj się!

Ale siła kipiała we mnie i nie zwracałem uwagi na jej opór. Przeciwnie, powiększało to moją rozkosz do skrajnych granic, kiedy czułem, że ona musi ugiąć się przed moją wolą. Zachodni sztorm na dworze rósł w siłę i szarpał okiennicami, jakby chciały tu wtargnąć obce moce. Trzeszczało w dachu, a przez szpary w drzwiach wciskały się świszczące podmuchy wiatru. Duchy powietrza miały się triumfalnie wokół nas i było nam tak, jak gdybyśmy kołysali się na chmurze wśród burzy.

Kiedy wreszcie opadliśmy zmęczeni obok siebie na skraju łoża, przycisnęła policzek do mego ramienia i rzekła:

— Tak rozkosznie i tak straszliwie nie kochał mnie jeszcze żaden mężczyzna.

— Arsinoe — rzekłem — dla mnie jesteś nowa i nietknięta. Ilekolwiek razy bym ciebie dotknął, za każdym razem będziesz dla mnie równie nowa i nietknięta.

Wiatr wył w szparze drzwi i miotał okiennicą. Słyszeliśmy z dworu tylko wołania o pomoc, płacz dzieci i ryczenie bydła. Ale nic z tego, co się działo wokoło, nie docierało do nas. Patrzyli-

śmy tylko sobie nawzajem w oczy, a ja trzymałem jej dłonie w moich.

Odezwała się:

— Jest mi tak, jakbym napiła się trucizny. Widzę czarne cienie przed oczyma. Członki mi marzną. Kiedy na mnie patrzysz, jest mi tak, jakbym powoli umierała.

— Arsinoe — odparłem — dawniej nigdy nie bałem się przyszłości. Z pożądaniem, z niecierpliwością spieszyłem jej na spotkanie. Teraz obawiam się jej nie ze względu na mnie, lecz ze względu na ciebie.

Arsinoe powiedziała:

92

— Bogini mieszka we mnie i jest częścią mojej istoty. Inaczej nic podobnego nie mogłoby mi się przytrafić. Wsłuchuję się sama w siebie. Gorące fale liżą moje ciało i czuję błogość nieśmiertelnych. Bogini będzie nas chronić. Inaczej nie będę w nią więcej wierzyć.

W tejże chwili zapukano do drzwi. Kiedy odsunąłem rygiel, weszła Tanakwil z małym bukłakiem wina pod pachą i paru pucharkami w dłoni.

— Niemądrzy, nie boicie się nawet szaleństwa burzy? — zapytała. — Wiele dachów stracił

wiatr z domów, ściany runęły i mnóstwo ludzi poraniło się. Posejdon wstrząsnął górą i morze spieniło się ze strachu. Ja w każdym razie muszę się napić wina, żeby dodać sobie odwagi.

Podniosła bukłak z winem i skierowała strumień do ust. Kiedy ugasiła pragnienie, napełniła puchary i podała nam, mówiąc:

— Mój bohater, Dorieus, owinał sobie szmatą głowę i trzepoce się w łóżu jak ryba, narzekając, że ziemia kołysze się pod nim. Lekarz Mikon trzyma się za głowę i sądzi, że jest w krainie cieni. Na dworze jest ciemno w środku dnia i nikt nie przeżył jeszcze tak ciężkiego i nagłego wiosennego sztormu, choć pogoda w Eryksie zawsze jest nieobliczalna o tej porze roku. A wy tylko paplacie ze sobą usta w usta, tak jakbyście byli pijani bez wina.

Przejęty niepohamowaną radością życia patrzyłem na niespokojną Tanakwil i na Arsinoe, która siedziała z pokornie spuszczoną głową. Moc uniosła w górę moje kończyny i zaczęły tań-

czyć tak, jakby taniec mieszkał we mnie. Tańczyłem wokół izby taniec burzy, tupiąc o podłogę i wyciągając w górę ramiona tak, jakbym chciał zerwać chmury z nieba. Zatrzymałem się i nasłuchiwałem, i coś we mnie sprawiło, że zawołałem:

— Ucisz się sztormie, uspokój się wietrze, nie potrzebuję cię więcej.

I nie minęła chwila, jak świst wiatru w szczelinie drzwi ustał, huk i szum oddaliły się, w izbie przejaśniało i wszystko znowu się uspokoiło. Sztorm usłuchał mnie.

Moje uniesienie znikło. Rozejrzałem się wokoło. Rozsądek mówił mi, że to nie może być prawda. To

tylko coś we mnie przeczulo i zdało sobie sprawę, że sztorm ustaje, i dlatego wycisnęło te słowa z moich ust. Ale Tanakwil wpatrywała się we mnie oczyma szeroko rozwartymi ze zgrozy i zapytała:

— Czy to ty, Turmsie, czy poskramiacz burz pożyczył sobie twoje ciało?

— Jestem Turms, urodzony z pioruna, pan burzy — odparłem. — Duchy powietrza słuchają mnie.

— Czasem — dodałem zmuszony do tego moim naturalnym rozsądkiem — jeśli moja moc mieszka we mnie.

Tanakwil pokazała palcem na Arsinoe oskarżająco:

— Wczoraj zabiłeś niewinną dziewczynę, dotykając jej tylko palcem. Dziś jeszcze więcej osób musi cierpieć niewinnie z powodu ciebie. Jeśli nie dbasz o życie ludzkie, pomyśl o wszystkich szkodach, których przysporzyłeś temu niewinnemu miastu.

Wyszliśmy wszyscy na dwór i widzieliśmy, jak burza odsuwa się po równinie ku Segeście, obalając las na swej drodze. Ale nad Eryksem świeciło już słońce, choć morze wciąż jeszcze burzyło się i kipiało, a fale huczały, bijąc o nadbrzeżną skałę i sprawiając, że góra drżała. Wiele domów straciło dachy, inne pozbawione zostały ścian, a cały drób burza pozbawiła życia. Ziemia bielita się od kwiecia drzew owocowych. Na szczęście mieszkańcy miasta zdążyli wygasić ogień w swoich domach, tak że, nie doszło do żadnego pożaru. Ale do świątyni spieszyli ludzie, niosąc ranionych i wlokąc za sobą krzyczące dzieci. Nikt nie zwracał na nas uwagi. Bogaci i biedni, kupcy i pasterze, możni i niewolnicy błakali się w wielkim zamieszaniu, krzycząc jeden przez drugiego.

Tanakwil powiedziała:

93

— Jeśli będziemy mądrzy, zbierzemy po cichu nasze sługi, osły i konie, zostawimy właścicielowi gospody dary pożegnalne i pożegnamy się z Eryksem. Ja i ty, Turmsie, wiemy najlepiej, z jakiej przyczyny to nieszczęście spadło na miasto. A mieszkańcy miasta i kapłani niebawem dojdą do tego sami.

Był rozsądek w jej słowach, ale ja rzuciłem wzrokiem na twarz Arsinoe, jej miękkie wargi i promienne oczy, i zdałem sobie sprawę, że nie potrafię z niej zrezygnować. Ogarnięty zuchwa-

łością przytaknałem:

— Tak, jedźmy, ale ty, Arsinoe, musisz jechać z nami. Włóż szaty Aury i uczyn jej twarz twoją twarzą. Wszystko, co się stało, jest pełne znaczenia i musi się stać. Zwłoki Aury pozostaną tu zamiast ciebie. A w tym zamieszaniu łatwo jest wymknąć się stąd niepostrzeżenie.

Moje słowa przeraziły Arsinoe. Zmarszczyła czoło i sprzeciwiła mi się:

— Nie wiesz, co mówisz, Turmsie. Jesteś i mężczyzną i obcym. Jak mogłabym ci zaufać i co mógłbyś mi ofiarować? Jako kapłanka Afrodyty w Eryksie doszłam najwyżej, jak kobieta może dojść.

Miałabym zrezygnować z mego życia w przepychu, z klejnotów i cudownych szat bogini dlatego, że zmęczona zimą przypadkiem znalazłam upodobanie w tobie? Przeciwnie, muszę się ciebie obawiać i uciekać właśnie z powodu tej mocy, którą w niepojęty sposób uzyskałeś nade mną i nad moim ciałem.

Dotknęła błagalnie mojej dłoni i prosiła:

— O, Turmsie, nie patrz na mnie z wyrzutem swoimi podłużnymi oczyma. Wiesz przecież sam, że płaczę i tęsknię za tobą. Ale wnet przybędzie bogini zza morza. Wiosenny pochód świę-

teczny i misteria, radość, odmiana i strumień przybyszów rozproszy moją nudę. Bądź również roztropny i ty, i nie dręcz mnie, proponując rzeczy niemożliwe do spełnienia.

Czując, że policzki drętwieją mi ze złości, rzekłem:

— Dopiero co słyszałem z twoich własnych ust zaklęcia na imię bogini, że nie możesz już dłużej żyć beze mnie.

Arsinoe wyglądała na zmartwioną, przestępowała z nogi na nogę i patrzyła w ziemię.

— Dopiero co, to dopiero co — powiedziała — a teraz jest teraz. Tak myślałam i nie kłama-

łam tak całkiem przed tobą. Rzeczywiście nigdy nie wyobrażałam sobie, że mogłabym kogoś pokochać tak bardzo jak ciebie. Ale coś takiego nie może się powtórzyć i nawet nie odważyłabym się spróbować. Już teraz boli mnie głowa, pieką oczy i mam obolałe piersi. Sama twoja okropna propozycja przyprawia mnie o mdłości ze strachu.

I szybkimi krokami oddaliła się w swoją stronę.

5

O północy zbudziłem się z lękiem i bólem tak paraliżującym, jak gdyby ukąsił mnie wąż i wsączył jad w moje żyły. Już w chwili przebudzenia wiedziałem i pamiętałem, co się stało. Zdawałem sobie sprawę, że bogini dostała mnie w swoją moc. Zmusiła mnie do pokochania płochy kobiety, na której słowie nie można było polegać i która może kłamała mi nawet swoim ciałem.

Ale bez względu na to, co o niej myślałem, widziałem coraz wyraźniej przed sobą jej zagadkowo zmienną twarz i skośne brwi i jej źrenice zaczerniły się znowu pod moim spojrzeniem.

Może poznała już tysiąc mężczyzn. Może była ladacznicą, jak twierdziła Tanakwil. Ale gdy tylko pomyślałem o niej, miotalem się między pożądaniem, czułością i tęsknotą, i wiedziałem, że każda chwila, którą muszę przeżyć bez niej, jest martwa i przerażająco pusta.

94

Chwiejąc się na nogach wyszedłem na dziedziniec i napiłem się zimnej wody z glinianego dzbanka wiszącego u drzwi. Wszystkie głosy ucichły i wszystkie światła zgasły w mieście. Na niebie pełno

było gwiazd, a nów księżycyca groził mi na skraju firmamentu swym okrutnym sierpem.

Poszedłem do stajni i odszukałem kołki z podróznego namiotu Tanakwil. W świetle gwiazd przemknąłem się później do bramy świątyni. Była zamknięta, ale pod murem nie było strażnika i nie było słyhać żadnych głosów z drugiej strony muru. Poszedłem wzdłuż muru, dopóki nie znalazłem odpowiedniego miejsca, wbiłem kołek od namiotu między dwa głązy, wstąpiłem nań i umocowałem drugi kołek w następnej szczelinie. W taki sposób zbudowałem sobie drabinę i wszedłem na koronę muru. Czołgając się na brzuchu, żeby nie odcinać się na tle nieba, dotarłem do drewnianej drabiny strażnika i bez trudu zszedłem w dół na podwórzec.

Na podwórku świątyni pełno było rupieci naniesionych tam przez burzę, których jeszcze nie zdążono usunąć. Dostrzegłem marmurowe kolumny majaczące w ciemności wokół źródła. Po omacku doszedłem do źródła, rzuciłem się na ziemię obok niego i błagałem:

— O ty, zrodzona z morskiej piany, pozwól swemu wiecznemu źródłu uleczyć mękę mojej miłości. Ty ją rozpalilaś, tylko ty możesz zgasić ją znowu.

Przechyliwszy się przez brzeg, ledwie mogłem dotknąć zwierciadła wody wierzbową witką i w ten sposób przenieść do ust kilka kropli wody. Ostrożnie wrzuciłem do źródła srebrną monetę. Blask księżycyca rozbłysnął. Bogini Artemis przyglądała się złowróźnie memu czynowi. Ale ja go nie żałowałem. Nie bałem się jej morderczych strzał i nosiłem na szyi selenit, który chronił

mnie przed szaleństwem.

— Przyjdź — błagałem — ukaż się mi ty najpiękniejsza z bogów. Bez kapłana, bez pośrednictwa jakiejś ziemskiej kobiety, choćbym miał spłonąć na popiół na twój widok.

Ze źródła rozległ się plusk, jak gdyby ktoś odpowiedział na moje słowa. Spojrzałem w głąb i zdawało mi się, że widzę kręgi na wodzie. Zaczęło mi się kręcić w głowie i musiałem usiąść, przetrzeć oczy, by zachować zmysły.

Przez długą chwilę nie stało się nic. Potem przed moimi oczyma zaczęła rosnać zjawa, jasna postać. Była uskrzydłona i naga, ale tak niezemska, że nadal mogłem widzieć na wskroś przez nią marmurowe kolumny. Była to kobieta, piękniejsza niż wszystkie ziemskie kobiety. Nawet żywa piękność Arsinoe była tylko odbiciem jej jasnej istoty w ziemskiej glinie.

— Afrodyto, Afrodyto — szeptałem — czy to ty, bogini?

Potrząsnęła głową, spojrzała na mnie smutno i zapytała:

— Nie poznajesz mnie? — I zaraz dodała: — Nie, nie poznajesz mnie. Ale kiedyś i tak zamknę cię w swoich ramionach, i uniosę stąd na mocnych skrzydłach.

— Kim więc jesteś, ażebyś mógł cię poznać? — pytałem.

Uśmiechnęła się swoim dziwnym uśmiechem. Przyprawił mnie on o pieczenie w sercu.

— Jestem twoim geniuszem — odparła. — Znam cię i jestem z tobą związana. Nie powinieneś modlić się do ziemskich bogów. Nie powinieneś oddawać się w ich moc. Sam przecież jesteś nieśmiertelny, jeśli tylko odważysz się przyznać to przed sobą.

— Jestem człowiekiem — powiedziałem — jestem z krwi i kości. Płonę i czuję pożądanie do ziemskiej kobiety. Arsinoe, tylko Arsinoe chcę, chcę mojej krwi i kości, mojej żądz i rozkoszy.

Niczego innego nie chcę.

Potrząsnęła powoli głową.

— Pewnego dnia będą rzeźbić twoje posągi — rzekła — pewnego dnia będą składać ci ofiary.

Jestem w tobie i jestem częścią ciebie, aż do twojej ostatniej chwili, kiedy poznasz mnie i wreszcie zabiorę pocałunkiem ostatnie ziemskie tchnienia z twoich ust. O, Turmsie, nie wiąż się z ziemskimi bogami. Artemida i Afrodyta to tylko zazdrosne, kapryśne, złowróźbne duchy z ziemi i po-95

wietrza. Mają swoją moc i swoje czary. Spierają się ze sobą o ciebie. Ale którąkolwiek wybierzesz, księżyc czy słońce, żadna nie da ci nieśmiertelności, tylko wiarę zapomnienia, tak że będziesz musiał jeszcze raz wrócić, jeszcze raz związać mnie ze sobą w porodowych bólach i w żywym, żądnym ludzkim ciele.

Moje ziemskie oczy chłoneły piękność jej świetlistej postaci. Ale wnet ogarnęła mnie wątpliwość. — Jesteś tylko zjawą — rzekłem — podobną do innych zjaw. Dlaczego pokazujesz mi się właśnie teraz, jeśli towarzyszyłaś mi przez całe moje życie?

— Grozi ci niebezpieczeństwo, że się zwiążesz — powiedziała z przekonaniem. — Nigdy przedtem nie pragnąłeś tego. Teraz jesteś gotów to uczynić dla ziemskiej kobiety, dla piany morskiej i rozkoszy. Przyszedłeś tu, by związać się z Afrodytą, choć jesteś synem burzy, któremu nawet księżyc chce się przypodobać. O, gdybyś tylko wierzył więcej w siebie samego, Turmsie, opamiętałbyś się.

— Ta kobieta, Arsinoe, jest krwią z mojej krwi — upierałem się. — Bez niej ani nie mogę, ani nie chcę żyć. Tak straszliwie jak teraz, jeszcze nigdy w życiu nie pragnąłem niczego innego.

Dlatego jestem gotów związać się z Afrodytą, jeśli bogini zechce mi ją dać na resztę mego życia.

O jakieś inne życie nawet nie proszę. I nie dręcz mnie już więcej, nieznajoma, choć bardzo jesteś piękna.

Schyliła głowę i odparła ulegle:

— Niech się stanie, jak chcesz, Turmsie, ale dla swojej nieśmiertelności musisz przysiąc, że nie będziesz się wiązał. I tak dostaniesz to, czego pragniesz. Własną siłą zdobędziesz wszystko, jeśli tylko uwierzysz w siebie. Nawet ją dostaniesz, Arsinoe, tę sukę. Ale nie myśl, że chcę być przy tym, jak obejmujesz jej znieawidzone ziemskie ciało. Tak, nawet Artemis objawiła ci się i obiecała wszelkie możliwe ziemskie bogactwo. Pozwalaj im chętnie dawać ci łapówki, jeśli tak jest najłatwiej. Ale nie wiąż się z nimi, nie wiąż się nigdy z nimi. Nie jesteś im nic winien za ich dary.



Przyjmuj spokojnie to, co dostajesz na ziemi. Nieśmiertelnym składa się ofiary. Zawsze o tym pamiętaj.

Mówiła szybko, jej skrzydła płomieniały.

— Turmsie — zaklinała mnie — jesteś lepszy niż człowiek, jeśli tylko zechcesz w to uwierzyć. Nie obawiaj się nikogo. Nie po tej stronie. Ani po tej drugiej. Turmsie, największa odwaga polega na tym, by móc uważać siebie za lepszego od człowieka. Choćbyś był nie wiadomo jak zmęczony i zrozpaczony, nie uginaj się nigdy przed pokusą wiązania się z ziemskimi bogami. To najgorsze zauroczenie. To najniebezpieczniejsza pokusa. Czerp rozkosz z twego marnego ciała, jeśli chcesz. To mnie nie dotyczy. Co to mnie obchodzi, bylebyś tylko się nie wiązał. Nie daj się skusić, nie daj się do tego zastraszyć. Nigdy!

Kiedy patrzyłem na nią, gdy mówiła te słowa z takim przekonaniem, ogarnęła mnie wielka otucha. O własnych siłach zdobędę Arsinoe, Moja siła jest we mnie. Piorun mnie wyświęcił. To miało być jedynym wyświęceniem w tym życiu.

Widziała, co myślę, jej świetlana postać zaczęła promieniować olśniewającym blaskiem, jej twarz rozblęła. — Muszę już iść, Turmsie, mój Turmsie. — Znów byłem sam przy źródle Afrodyty. Dotknąłem marmurowej posadzki. Była zimna. Wciągnąłem głęboki oddech. Byłem świadom tego, że żyję, że istnieję, że nie śniłem tylko.

W nocnej ciszy pod rozgwieżdżonym niebem, w groźnej poświacie wąskiego księżycowego sierpa usiadłem przy prastarym źródle bogini, odczuwając pustkę. W tejże chwili usłyszałem skrzywienie drzwi i ujrzałem odbłask światła. Kapłan świątynny wyszedł ze swego domu i podszedł do mnie z fenicką lampą w ręku. Oświetlił mnie, dotknął mojej twarzy i zapytał gniewnie:

— Jak się tu dostałeś, dlaczego budzisz mnie w środku nocy, przeklęty przybyszu?

96

Wraz z jego przybyciem jad bogini wkradł się znowu do mojej krwi i żądza paliła mnie jak rozpalone żelazo.

— Przyszedłem tu, by spotkać ją — odparłem — kapłankę, która objawia się w świątyni i wmawia nierozumnym, że spotkali boginię.

— Czego chcesz od niej? — zapytał kapłan z głęboką zmarszczką poprzeczną na czole. Ale ta zmarszczka nie przstraszyła mnie.

— Chcę ją mieć — żądałem — zadała mi jadu bogini do krwi i nie mogę się od niej uwolnić.

Po chwili wpatrywania się we mnie kapłan zmieszał się i lampa zaczęła drżeć w jego dłoni.

— Błuznisz, przybyszu — powiedział. — Czy mam zawołać sługi? Mam moc kazać cię zabić jako świętokradcę.

— Wołaj, kogo chcesz — wyzwałem go. — Każ mnie zabić. Twoja świątynia zyska od tego tylko większy rozgłos.

Kołysał powoli lampą tam i z powrotem. Opanowawszy się po chwili rzekł: — Chodź ze mną do świątyni.

— Niczego innego bardziej nie pragnę — odparłem.

Poszedł przodem z lampą w ręku. Noc była tak nieskończenie cicha, że płomień lampy nawet się nie zachwiał. Poczułem chłód nocy na skórze, ale ciało miałem tak rozpalone żądzą, że nie marzłem. Weszliśmy do świątyni, postawił lampę na pustym cokole bogini i usiadł na krześle o miedzianych nogach.

— Czego więc chcesz? — odezwał się cierpliwie.

— Chcę tej kobiety, jak tam ona się nazywa — odrzekłem równie cierpliwie. — Tej o zmiennej twarzy. Ja sam nazywam ją Arsinoe, bo mnie to bawi.

— Napileś się scytyjskiego napoju — odparł. — Idź do domu i wyśpij się, aż otrzeźwiejesz, a potem wróć i proś mnie o przebaczenie, a może ci wybaczę.

— Pleć, co chcesz, staruszkule — burknąłem niecierpliwie. — To ją chcę mieć i muszę dostać.

Z pomocą albo bez pomocy bogini, obojętne.

Zmarszczka na czole pogłębiała się coraz bardziej między jego oczami, aż omal nie rozłupała mu głowy na dwoje. Oczy błyszczały mu gniewnie w świetle fenickiej lampy.

— Na dzisiejszą noc? — zapytał w końcu. — Może dałoby się zrobić, jeśli jesteś dostatecznie bogaty i zachowasz tę sprawę przy sobie. Zgódźmy się na to. Jestem starym człowiekiem i wolę unikać kłótni. Bogini zamroczyła cię z pewnością tak, że nie jesteś już odpowiedzialny za swoje czyny. Ile proponujesz?

— Za jedną noc? — zapytałem. — Nic! Tę noc mogę dostać, kiedy zechcę. Nie, staruszkule, nie zrozumiałeś mnie. Chcę ją mieć całkowicie. Zamierzam zabrać ją stąd ze sobą, by żyć z nią do mojej albo do jej śmierci.

Trzęsąc się z gniewu poderwał się i ryknął:

— Nie wiesz, co mówisz, szaleńcze! Może umrzesz wcześniej, niż przypuszczasz.

— Nie podniecaj się niepotrzebnie — rzekłem ze śmiechem — nadwątlasz tylko swoje osłabione siły. Przyjrzyj mi się raczej bliżej, żebyś zrozumiał, że mówię poważnie.

Podniósł rękę jak do zaklęcia, a oczy jego rozszerzyły się pod moim wzrokiem i stały się duże jak puchary. Gdybym nie miał w sobie siły, przeraziłbym się. Wytrzymałem z uśmiechem jego spojrzenie, aż nagle wskazał na posadzkę i nakazał: — Przybyszu, patrz na węża!

Spojrzałem w dół i nie mogłem się powstrzymać, żeby się nie cofnąć, bo przed moimi oczyma wyrósł olbrzymi wąż, długości kilku mężów i gruby jak męskie udo. Wił się na posadzce. Na 97

jego skórze błyszczał kraciasty wzór. Wąż zwinął się zwinnie w kółko i podniósł ku mnie płaski łeb.

— Patrzcie no — powiedziałem. — Jesteś potężniejszy, niż myślałem, staruszk. Taki wąż jak ten, mieszkał podobno dawniej w Delfach za czasów podziemnych. Pilnował pępka ziemi.

— Strzeż się! — wykrzyknął kapłan, by mnie zastraszyć. Szybko jak grom podniósł się wąż z posadzki i owinał wokół moich członków, tak że w jednej chwili wciągnął całe moje ciało w swoje pierścienie i groźnie kołysał łbem tuż przy mojej twarzy. Czułem jego zimną skórę na mojej skórze. Ciężar jego był straszliwy. Przez chwilę byłem bliski poddania się strachowi, który czułem. Potem wybuchnąłem śmiechem i powiedziałem:

— Chętnie zabawię jeszcze chwilę w twoim towarzystwie, kapłanie, jeśli masz ochotę. Ale wcale się nie boję. Ani podziemnych, ani ziemskich, ani nawet nadziemskich istot. A już najmniej czegoś takiego, co nie jest prawdziwe. Ale gotów jestem bawić się w te dziecinne zabawy z tobą przez całą noc, jeśli cię to może rozerwać. Może i ja mógłbym ci pokazać coś zabawnego, gdybym spróbował.

— Daj spokój — powiedział oddychając ciężko i przesunął dłonią po oczach. W tejże chwili wąż znikł, choć jeszcze zdawało mi się, że czuję ciężar jego zwojów. Otrząsnąłem się, roztarłem członki i przyznałem z uśmiechem:

— Jesteś potężnym staruchem. Ale nie wysilaj się dla mnie. Usiądź raczej spokojnie, a pokażę ci coś, czego może nie chcesz widzieć.

— Nie, daj spokój — powtórzył, zaczął drżeć i opadł na cokół. Znów był tylko starcem z kłu-jącymi oczami i poprzeczną zmarszczką na czole. Zaczerpnąwszy głęboko tchu kilka razy zapytał

całkiem innym głosem niż przed chwilą:

— Kim ty właściwie jesteś, przybyszu?

— Jeśli nie chcesz mnie poznać, chętnie zostanę nieznanym — odparłem obojętnie.

— Ale rozumiesz chyba, że żądasz niemożliwości — powiedział przekonująco. — Już samo twoje żądanie jest obrazą bogini. Nie chcesz chyba jej rozgniewać, choć ważysz się mnie drażnić.

— Nikogo nie chcę w żaden sposób złościć ani drażnić — wyjaśniłem życzliwie. — I nie obrażam bogini. Przeciwnie. Czy nie rozumiesz, starcze, że okazuję bogini życzliwość, prosząc, bym mógł dostać jej kapłankę?

Wybuchnął nagle płaczem, ukrył twarz w dłoniach i zaczął kołysać ciałem tam i z powrotem.

— Bogini opuściła mnie — biadał. — Mój czas się skończył i nadchodzą nowe czasy. Nie wiem nawet, kim jesteś. Nie znam ciebie.

Nie mógł oprzeć się pokusie, by nie pochwalić się swoją wiedzą. Ocierając łzy z brody, wyjaśnił głosem piskliwym ze złości:

— Człowiekiem nie możesz być, choć wzięłeś na siebie ludzką postać. Żaden człowiek nie mógłby się oprzeć zaczarowaniu przez węża. Wąż jest symbolem ziemi, wagi ziemi, siły ziemi.

Ten, którego on nie poskramia, nie może być śmiertelnym.

— Nie, śmiertelny nie jesteś — ciągnął, uspokajając się trochę. Jego wzrok był pokorny, gdy znowu na mnie spojrział. — Inaczej wąż zmiażdżyłby cię. Wybacz, rozgniewałem się dlatego, że wzięłem cię za człowieka. Nie przywołałbym węża, gdyby twoje żądanie nie było takie niesłychane.

Skorzystałem z okazji i powiedziałem:

— By powrócić do mego żądania, wysunąłem je po przyjaźni, a wcale nie jako twarde wymaganie. Także i ja chcę unikać sporów, o ile tylko mogę. Dlatego chętnie bym widział, by ta 98

sprawa rozstrzygnięta została między nami w zgodzie. Ale, starcze, gotów jestem także twardo wymagać. Wtedy będę zmuszony użyć mojej mocy.

Głos jego znowu zrobił się piskliwy:

— Nawet jeśli nie jesteś śmiertelny, żądanie twoje nadal jest niesłychane. Skąd możesz wiedzieć, czy ta kobieta chce iść z tobą? Kto opuściłby boginię dla jakiegoś obcego przybysza. Nie, nie, nie rozumiesz sam, o czym mówisz.

— Tak, ona też tego nie chce — rzekłem beztrósco. — Ale chodzi tu o moją wolę, a nie o twoją czy jej.

Podniosłem dłoń, by przetrzeć piekące mnie oczy, ale on źle zrozumiał ten ruch i cofnąwszy się w tył, podniósł obie ręce gestem obronnym. — Daj spokój — powiedział jeszcze raz. — Daj mi się namyśleć.

Potem dodał z rozpaczą: — Ona, ta kobieta ze zmieniającą się twarzą, jest szczególnym cudem. Takie, jak ona, nie rodzą się często. Jej waga w złocie nie zastąpiłaby jej.

— Wiem o tym — wtrąciłem z zapalem i wibrujące fale radości spłynęły przez moje ciało na wspomnienie Arsinoe. — Miałem ją przecież w ramionach.

— E tam — syknął starzec. — Ciało jej spełnia boskie wymiary. Nie ma w nim nic tak szczególnego. Otrzymała wykształcenie w sztuce bogini. Wielu innych też może je otrzymać. Ale jej zmieniająca się twarz jest cudem. Ona staje się, czym chcę, taką, jak chcę, do takiego celu, jak chcę. I nie jest głupia. To największy cud.

— Jej rozum mało mnie obchodzi — odparłem, nie wiedząc jeszcze, co powiedziałem. — Ale poza tym mówisz prawdę i więcej niż prawdę. Ona jest godna swej bogini.

Kapłan podniósł błagalnie pokryte żyłami ręce:

— W świątyni służyła całemu zachodniemu morzu, Kartaginie, Sycylii, Tyrreńczykom i Grekom. Za pośrednictwem jej ciała wymierzany był pokój między toczącymi spory. Nie ma takiego doradcy ani tyrana, którego nie zdołałaby skłonić, by słuchał bogini.

Zacisnąłem zęby na myśl o wszystkich mężczyznach, którzy przeszli przez ramiona Arsinoe i wyobrażali sobie, że to bogini im się objawiła.

— Dość tego — burknąłem — jej przeszłości nie chcę wspominać. Biorę ją taką, jaka jest.

Nadałem jej już nowe imię.

Stary rwał sobie brodę. Potem otworzył usta, by krzyknąć.

— Stój! — zawołałem. — Pomyśl, co czynisz. Jak myślisz, co mogą mi zrobić strażnicy?

I strzeż się, byś mnie nie rozgniewał.

Stał z szeroko otwartymi ustami, w których drgał i obracał się język, ale nie mógł wydobyć żadnego dźwięku, ani też zamknąć ust. Patrzyłem na niego zaskoczony, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że to moc tkwiąca we mnie działała w taki sam sposób, jak jego moc przed chwilą ujarzmiła mnie. Znowu wybuchnąłem śmiechem.

— Zamknij usta i możesz mówić tak jak przedtem — rzekłem życzliwie.

Zamknął usta z trzaskiem, obmacał szczęki i zwilżył językiem wargi. Ale ciągnął uparcie:

— Jeśli pozwolę ci ją stąd zabrać, będę sam musiał za to cierpieć. Łatwiej wybaczone by mi, gdyby świątynia została splądrowana z darów ofiarnych. Jakąkolwiek historię bym opowiedział, nie uwierzono by mi. Żyjemy przecież w czasach oświecenia i — między kapłanami — bogini nie objawia się już więcej obwieścić swą wolę, tylko kapłani ją obwieszczają.

Siedział trzęsąc głową i namyślając się, aż wreszcie na jego twarzy pojawiła się chytra mina.

Uśmiechnął się i rzekł:

99

— Tak, jedyny sposób, to żebyś ją porwał i zabrał ze sobą równie naga, jak kiedy przyszła na ten świat. Żadnego przedmiotu bogini nie wolno jej wziąć z sobą. Urowadź ją gwałtem i potajemnie, a przymknę oczy i dopiero po kilku dniach wyjawię, że znikła. Wtedy nie muszę wiedzieć, kto ją uprowadził, nawet gdyby wszyscy obcy przebywający w mieście byli podejrzani. Kiedy wróci, może bronić się, że została uprowadzona.

— Ona nie wróci — stwierdziłem stanowczo.

— Kiedy wróci — ciągnął staruch stanowczo — może znowu mądrzejsza od doświadczeń przybrać się w klejnoty bogini. Może taki jest zamysł bogini. Jakżeż inaczej mógłbyś tu się zjawić. Czemuż inaczej bogini miałyby cię zaślepić?

Rozjaśnił się. — Ale ty sam — dodał — nie zaznasz nigdy więcej spokoju w całym twoim życiu. Nie chodzi mi tylko o to, że uczynisz Kartaginę i wszystkie miasta sycylijskie swoimi wrogami. Nie, mam tu na myśli, że ta kobieta stanie się dla ciebie cierniem w oku. Jeśli nawet nie należysz do śmiertelnych, to masz jednak ciało i ona stanie się jego najokropniejszą udręką.

Zachichotał i pogładził brodę, przyglądając mi się ze złośliwym uśmiechem.

— Nie wiesz zaiste, czego żądasz — powiedział. — Bogini spętała cię swymi sieciami. Będą cię palić aż do głębi serca, dopóki nie zapragniesz, żebyś raczej nie żył.

Ale jego słowa tylko podnieciły mnie, tak że znów poczułem rozkoszne pieczenie sieci bogini i stałem się niecierpliwy.

— Arsinoe — wydyszałem — Arsinoe.

— Ona nazywa się Istafra — odparł staruch gniewnie. — Dlaczego nie miałbyś się dowiedzieć także i tego? Co się tyczy mnie, muszę umrzeć albo teraz, albo później i wolałbym umrzeć później. Właściwie tylko o to chodzi. Ale pewnego dnia umrzeć muszę. Mało mnie wtedy będzie obchodzić, co się stało z tobą i z nią. Niepotrzebnie tylko nadszarpywałem siły. Niepotrzebnie wstałem z mego wygodnego łóża. Rób, co chcesz, mnie to nie obchodzi.

I więcej nie musieliśmy się spierać. Wziął lampę i poprowadził mnie za pusty cokół, otworzył wąskie drzwi i poszedł przodem kamiennymi schodami, które wiodły pod ziemię. Korytarz był tak wąski, że musiałem przesuwać się bokiem, by nie zawadzać barkami o ściany. Zaprowadził mnie obok skarbcza bogini do izby Arsinoe i potrząsnął Arsinoe, by zbudzić ją z najśłodsze­go snu.

Kiedy weszliśmy, Arsinoe leżała i spała, przykryta tylko wełnianą derką, z nowym parasolem, który jej podarowałem, w dłoni. Ale gdy się zbudziła i ujrzała moją twarz, wpadła w szalony gniew i krzyknęła:

— Gdzieś ty się wychował, Turmsie, że nie pozwalasz kobiecie spać spokojnie, kiedy jest śpiąca. Czyś zupełnie oszalał, że wdzieras się tu do najświętszego przybytku bogini, by mnie szukać.

Gniewna, naga i z parasolem w ręku była tak czarująca, że ogarnęło mnie nagłe pragnienie, by wypchnąć kapłana za drzwi i wziąć ją w objęcia. Ale wiedziałem, że trwałoby to do rana. To-ż poskromiłem swoją niecierpliwość i powiedziałem:

— Arsinoe, ciesz się. Bogini darowuje mi ciebie, ale ma to stać się natychmiast i w tajemnicy, tak że musisz pójść ze mną tak, jak stoisz.

Kapłan potwierdził moje słowa, mówiąc:

— Tak jest, Istafr. Ten obcy przybysz jest mocniejszy ode mnie. Dlatego lepiej, żebyś z nim poszła. Kiedy go się już pozbędziesz, możesz wrócić, a ja zaświadczę, że uprowadził cię gwał-

tem. Ale zrób mi tę przysługę i przedtem zatruj mu życie, jak będziesz mogła najbardziej. Dręcz go w każdej chwili i daj mu na jego własnej skórze poczuć skutki jego szaleństwa. Myślę, że taki jest zamysł bogini.

Arsinoe, wciąż jeszcze zamroczona snem, odparła zmieszana: *100*

— Ale ja nie chcę z nim iść i nigdy mu niczego takiego nie obiecywałam. Przecież nie wiem nawet, co mam włożyć na siebie.

Przerwałem jej niecierpliwie, mówiąc, że musi iść tak, jak stoi, gdyż obiecałem kapłanowi, że nie zabierze z sobą niczego, co jest własnością bogini. Bogini nie chciałem okradać, a w moich oczach biała skóra Arsinoe była najpiękniejszą szatą, jaką mogła mieć, dopóki nie postaram się dla niej o inne szaty.

Kiedy wspomniałem o szatach, ułagodziła się trochę i rzekła stanowczo, że w każdym razie zamierza zabrać z sobą parasol, ponieważ dostała go ode mnie. Ale w żadnym razie nie myśli pójść za mną i jak głupia dziewczyna rzucić się na szyję pierwszemu lepszemu przybyszowi.

Wpadłem w furię i powiedziałem:

— Proszę bardzo. Mogę cię nawet ogłuszyć pałką i wynieść stąd, jeśli tak wolisz, ale to mogłoby uszkodzić twoją piękną skórę.

To ją uspokoiło i odwróciła się od nas, jak gdyby chcąc się nad tym namyślić. Kapłan wręczył mi okrągłą czarkę i krzemienny nóż, i rzekł: — A więc wyświęć się!

— Wyświęcić się? — powtórzyłem. — O co ci chodzi?

— Wyświęć się dla bogini — odparł niecierpliwie. — Zwiąż się z Afrodytą na całą przyszłość.

To chyba najmniejsze, czego można od ciebie oczekiwać, czy jesteś śmiertelny, czy też nie.

Kiedy milczałem, sądził, że zastanawiam się, jak to wyświęcenie ma się odbyć, i gniewnie zaczął tłumaczyć:

— Weź nóż bogini i zrób nacięcie na udzie. Ten nóż jest równie stary jak źródło bogini. Niech twoja krew spłynie do czarki. Ta czarka jest wycięta z drzewa bogini. Przy każdej kropli, powta-rzaj słowa wyświęcenia, które ci będę podawał. To wystarczy.

— Ależ dobry człowieku — odparłem — nie mam najmniejszego zamiaru wiązać się z Afrodytą. Jestem tym, kim jestem. Musi to wystarczyć bogini, i zabieram przecież tę kobietę jako dar od niej.

Kapłan patrzył na mnie, jakby nie wierzył swoim uszom. Potem nabrzmiały mu skronie i wargi od gniewu, nie zdołał wypowiedzieć ani słowa, tylko padł na podłogę tak, że nóż i czarka bogini wypadły mu z rąk. Bałem się, że gniew go poraził, ale nie miałem czasu, by zostać i próbować go cucić.

Arsinoe wpatrywała się we mnie z mocno zaciśniętymi ustami. Miałem ochotę zabrać z sobą na pamiątkę prastary nóż bogini i czarkę, ale przewyciężyłem pokusę i zamiast tego wziąłem Arsinoe za ramię i zbadałem dokładnie przód i tył jej ciała, żeby upewnić się, że nie ma na sobie niczego, co by należało do bogini. Dotknąłem także jej włosów i samo dotknięcie wprawiło mnie w upojenie. Potem wziąłem ją za rękę, zarzuciłem na nią moją chlamidę i wyprowadziłem ją stamtąd. Poszła za mną pokornie na górę do świątyni, nie mówiąc słowa. Tam potrząsnąłem nią jeszcze raz i powiedziałem groźnie:

— Jeśli krzykniesz, uderzę cię w głowę.

Skinęła głową na znak, że zrozumiała. Potykając się na połamanych wiatrem gałęziach szliśmy przez mroczny podwórzec i wspięliśmy się na mur w tym samym miejscu, gdzie przezeń przelazłem. Schodziłem na dół przed nią w ciemności i stawiałem jej stopy na namiotowych kołkach, tak że zeszła na ziemię z paroma tylko zadrapaniami na skórze. Potem wdrapałem się na górę jeszcze raz i powyjmowałem kołki, tak aby nikt nie mógł wiedzieć, jak dostałem się do świątyni nocną porą. Objąłem Arsinoe w pasie i zaprowadziłem ją z biciem serca do gospody. W dalszym ciągu milczała.

101

6

Ale ledwie zdążyliśmy się znaleźć w czterech ścianach, jak jej zachowanie zmieniło się cał-

kowicie. Parskając jak pantera wypluła z ust garść klejnotów, zapinek do włosów i pierścieni, rzuciła się na mnie, bijąc mnie i kopiąc, gdzie popadło, i paznokciami ryła krwawe szramy na mojej skórze, zanim zdążyłem się opamiętać i podnieść rękę we własnej obronie. Przez cały czas wyrzucała z siebie najokropniejsze słowa, ale na szczęście jej greczyzna rychło się skończyła, musiała więc przeklinać mnie po fenicku, tak że nie w pełni rozumiałem najgorsze przekleństwa.

Nie miałem najmniejszej okazji, by jej wyrzucić, że nie troszcząc się o moją obietnicę schowała w ustach sporo klejnotów bogini. Tyle miałem kłopotu, by poskromić jej miotające się ciało i przycisnąć dłoń do jej kąśliwych ust, żeby nie zbudziła krzykiem całego domu.

Kiedy pomyślę o tym, muszę jednak przyznać, że właściwie nie krzyczała głośno, lecz całkiem ostrożnie, tak jakby i ona nie chciała zbudzić moich towarzyszy i ludzi z gospody. Ale właśnie wtedy, w nocnej ciszy, jej głos brzmiał w moich uszach mocniej niż bębny na alarm. Toteż użyłem całej siły, by szybko ją poskromić. Ale kiedy jej dotknąłem i poczułem silny opór jej członków, ciało przepełnił mi ogień Afrodyty, gorętszy niż kiedykolwiek dotychczas. Siłą przycisnąłem usta do jej ust i jednej chwili spoczywaliśmy już spleceni ramionami i czułem, jak jej serce łomocze o moją pierś równie gwałtownie, jak tłucze moje własne. Aż dopóki jej ciało nie zmiękło i nie zwiotczało, jej ramiona nie owinęły się wokół mojej szyi i nie odrzuciła głowy do tyłu, by wy-tchnąć cały swój wewnętrzny żar.



— O, Turmsie— szepnęła w końcu. — Dlaczego mi to robisz? Nie chciałam przecież. Nie chciałam. Broniałam się, ale jesteś silniejszy ode mnie. Pójdę z tobą na koniec świata.

Gwałtownie objęła moje lędźwie, całowała mnie mocno w twarz, ramiona, gładziła szramy od zadrapań i szeptała.

— Chyba nie zrobiłam ci nic złego, ukochany. Nie miałam wcale zamiaru. Turmsie, Turmsie, żaden mężczyzna nie był dla mnie taki jak ty. Jestem twoja, tylko twoja i całkiem twoja. Trzymaj mnie mocno.

Podniosła się na łokciu, głaskała dłonią moje policzki i patrzyła na mnie zakochanym wzrokiem, oczyma, które błyszczały w świetle lampy.

— Na koniec świata pójdę z tobą, mój ukochany — zaklinała się. — Porzucę dla ciebie boginię i życie w przepychu i wszystkich innych mężczyzn. O, Turmsie, nawet gdybyś był najnędzniejszym żebrakiem, dzieliłabym z radością twą żebraczą kaszę i zadowolilibym się wodą do picia, dlatego że jesteś taki, jaki jesteś i nie mogę się tobie oprzeć. Tak straszliwie cię kocham, Turmsie. Kocham cię do szaleństwa, Turmsie. Może i ty kochasz mnie troszeczkę, ponieważ wystawiasz się na takie niebezpieczeństwa, porywając mnie gwałtem z świątyni.

Wyciśnięty jak suszona śliwa zapewniłem ją, że kocham ją nad wszystko na świecie. Słuchała mnie zadowolona i orzeźwiona moimi słowami ożywiła się i zaczęła chodzić po izbie tam i z powrotem, pokazując i objaśniając cały czas, jakie szaty zamierza sobie sprawić i czego potrzebuje przede wszystkim. Nie miałem na sobie nic prócz selenitu na wstążce na szyi. Zobaczywszy, jak błyszczy, gdy oddycham, przystanęła i bezwiednie zaczęła go dotykać. — Jest ładny — orzekła

— muszę go spróbować.

Nie pytając mnie już o pozwolenie, zdjęła mi wstążkę i zawiesiła ją na własnej szyi, odwróciła głowę i wyginając ciało, by zobaczyć, jak ona wygląda, narzekała, że w komnacie nie ma żadnego zwierciadła. — Czy nie odbija on pięknie od mojej skóry? — zapytała. — Ale muszę mieć do tego cienki złoty łańcuszek, taki, jakie wykuwają tyrreńscy złotnicy.

Powiedziałem, że skromna przepaska zrobiona jest z włókien ziela Artemidy i dlatego łączy się z selenitem. — Ale zatrzymaj go sobie — dodałem z uśmiechem. — Nie zdaje się, by uchronił mnie od szaleństwa, skoro tak po wariacku mogłem zakochać się w tobie.

102

Wpatrzyła się we mnie i zapytała ostro:

— Ach tak, więc tak mówisz i myślisz. Już teraz uważasz, że to szaleństwo mnie kochać.

W takim razie najlepiej, żebyśmy skończyli z tą całą sprawą od razu i żeby wróciła do świątyni.

Zatrzymaj sobie ten głupi kamień, skoro tak ci na nim zależy.

Zerwała przepaskę, rzuciła mi kamień w twarz, zasłoniła rękami oczy i wybuchnęła gorzkim szlochem. Nie posiadając się z gniewu, poderwałem się, żeby ją pocieszyć, zapewniając, że pomyliła się całkowicie, i wcisnąłem jej siłą kamień w rękę, choć jej palce stawiały opór. Przyrzekłem też, że kupię jej złoty łańcuszek, gdy tylko przybędziemy do Himery. — Doprawdy, nie potrzebuję tego kamienia, dla mnie jest on całkiem bez wartości — dodałem.

Patrzyła na mnie przez łzy i rzekła z wyrzutem:

— Ach tak, więc to tak wygląda, Turmsie, wciskasz mi bezwartościowe dary. Ha, taktowny nie jesteś w każdym razie. A ja muszę naturalnie zadowolić się bezwartościowym rupieciem.

Właśnie, mam być twoim psem i być odpowiednio traktowana. O biada mi! Dlaczego moje serce musiało rozgorzeć właśnie do ciebie?

Znużony odparłem:

— Ten kamień jest piękny, ale jeśli chodzi o mnie, możesz go wyrzucić, skoro chcesz. Dopiero co błyszczał pięknie na twym łonie, ale ja patrzyłem chętniej na twoje piękne piersi po obu jego stronach. Dla mnie są one twymi najpiękniejszymi klejnotami i czynią cię najpiękniejszą, gdziekolwiek jesteś.

Przenikliwym głosem odpowiedziała mi na to:

— Nie żądasz chyba, żebym poszła za tobą nagusienka na koniec świata, by dzielić z tobą twe ubogie życie?

— Posłuchaj no, Arsinoe, albo Istafra, czy jak się nazywasz — rzekłem. — W tej chwili mamy ważniejsze sprawy do załatwienia niż kłócić się ze sobą. Na to mamy przecież całe życie przed sobą. Na boginię, umilknij teraz. Nawet jeśli miałbym środki, by kupić ci wszystkie potrzebne rzeczy, które przed chwilą wyliczyłaś, byłoby tego co najmniej pełnych dziesięć koszy i potrzebowalibyśmy osłów i poganiaczy, by je przewieźć. Musimy wyruszyć stąd tak niepostrzeżenie, jak to możliwe. Na razie musisz włożyć szaty Aury i przybrać twarz Aury, dopóki nie znajdziemy się w Himerze. Tam zobaczymy, co będę mógł dla ciebie zrobić.

Arsinoe odpowiedziała chłodno, że chciałaby tylko, żebym padł trupem, im prędzej, tym lepiej. Także samej sobie życzyła śmierci, gdyż mówiłem do niej tak szorstko i nie chciałem zrozumieć jej kobiecości.

— Jakżeż mogłabym odziać się w grube szaty prostej sikulskiej dziewczyny? — pytała. —

I jak mogłabym się komu pokazać bez przybrania włosów? Nie, nie, nie zdajesz sobie sprawy, czego ode mnie wymagasz, Turmsie. Jestem na pewno gotowa poświęcić wszystko dla ciebie, ale nie mogłam sobie wyobrazić, że będziesz stawiał tak poniżające wymagania.

Wnet nasza kłótnia stała się jeszcze ostrzejsza. Ku memu przerażeniu szary świt zaczął się sączyć przez okienne otwory, a w mieście zapiał pierwszy kur, zanim udało mi się ją ugłaskać.

Potem nie odważyłem się już otworzyć ust, gdyż wszystko, co mówiłem, było złe i niesłuszne, tylko spiesznie obudziłem Dorieusa i Mikona i wytłumaczyłem wszystko Tanakwil, gdyż moi towarzysze nadal byli zbyt zamroczeni, by zrozumieć jakiegokolwiek wyjaśnienia.

Ale Tanakwil była kobietą doświadczoną i szybko pojęła, że to, co się stało, było nieuchronne. Nie straciła czasu na niepotrzebne wyrzuty. Prędko odziała Arsinoe w najlepsze szaty Aury, dała jej parę swoich własnych haftowanych perłami sandałów, ponieważ sandały Aury były za duże, i pomogła jej upiększającymi środkami upodobnić się możliwie jak najbardziej do Aury.

Następnie zbudziła swoje sługi, kazała im spakować cały bagaż podróżny i wyrównała rachunek z właścicielem gospody. Słońce jeszcze barwiło różaną czerwienią szczyty gór w Eryksie, gdy 103

już spiesznie zdążaliśmy przez ulice miasta do murów, gdzie zaspani strażnicy właśnie otwierali skrzypiącą bramę miejską. Nikt nam nie przeszkadzał w opuszczeniu miasta i nasze konie i osły rżały z radości, gdy zaczęliśmy schodzić w dół drogą pielgrzymów, która wiała się wokół góry.

Tanakwil użyczyła Arsinoe miejsca we własnej lektyce. Kiedy dotarliśmy w pół drogi z góry, słońce stało wysoko na niebie, które uśmiechało się do nas błękitem, a morze leżało spokojnie i wabiło statki igraniem fal do rozpoczęcia sezonu żeglugi. Stromy i łysy stożek góry wyłonił się z zieleni, w dolinie szły białe i czarne pary wołów przed pługami, rolnicy siali ziarno w zaoraną rolę, a ziemia mieniła się kolorowo od kwiecica.

Dorieus przyglądał się ponuro wołom i stwierdził:

— To woły czystej rasy. Kiedy mój praszczur, zabił króla Eryksu, okazał prawdopodobnie ludowi łaskę, że pozwolił temu zbiegłemu bykowi pokryć ich bydło.

Jako Spartanin nie pokazywał choćby tylko miną swoich dolegliwości, ale Mikon wciąż jeszcze był tak zamroczony od przepicia winem, że całkiem bezwolnie towarzyszył nam w podróży, trzęsąc się jak worek na swoim osle. Gdy zobaczył Arsinoe, nazwał ją Aurą i zapytał, jak się czuje.

Zauważyłem, że albo zapomniał o śmierci Aury, albo brał to, co się stało, za pijackie przywidzenie. Prawdopodobnie sądził, że wszystko jest tak, jak być powinno, jakkolwiek nie wyglądał na tak zadowolonego jak poprzedniego dnia.

Ja sam nie odważyłem się przemówić do Arsinoe przez całą drogę w dół zbocza. Ale gdy dotarliśmy już do doliny i zatrzymaliśmy się, żeby napić zwierzęta przed skręceniem na drogę do Segesty, sama odsunęła zasłonę lektyki i zawołała na mnie łagodnym głosem:

— O, Turmsie, — powiedziała żywo — czy ziemskie powietrze jest rzeczywiście takie rozkoszne do oddychania i czy splamiony popiołem chleb istotnie może smakować tak wspaniale?

O, Turmsie, nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa jak teraz. Zdaje mi się, że rzeczywiście kocham cię. Już chyba, nigdy nie będziesz dla mnie taki niedobry, jak dziś rano, kiedy szukałeś kłótni ze mną, cokolwiek tylko powiedziałam.

Skręciliśmy na drogę do Segesty i unikając po drodze w miarę możliwości spotkań z ludźmi, dotarliśmy

szczęśliwie do Himery, zmęczeni, ale przy życiu i w dobrym zdrowiu, nie widząc żadnych prześladowców. Na propozycję Dorieusa pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy w Himerze, było złożenie w ofierze Heraklesowi największego koguta w mieście.

## **KSIĘGA PIĄTA**

# Ofiara ludzka

## 1

Nasz powrót do Himery nie wzbudził żadnej sensacji. Było nas pięcioro, kiedy opuszczaliśmy miasto, i w pięcioro wróciliśmy. Arsinoe tak świetnie udawała wygląd i ruchy Aury, że Mikon wciąż jeszcze sądził, że to jego żona. Wprawdzie Arsinoe miała sposobność widzieć i słyszeć Aurę w czasie nocy spędzonej przez nią w świątyni, ale Mikon powinien był mimo to zauważyć różnicę. Nie mogłem wytłumaczyć tej jego ślepoty inaczej jak tylko tym, że wielodniowe pijań-

stwo w Eryksie zamroczyło mu głowę. W drodze powrotnej musiałem nieustannie odpędzać go *104*

od łoża Arsinoe, kiedy dręczony przepiciem przychodził i upominał się o swoje prawa małżeńskie.

Dorieus świadom był całej sprawy, ale nie troszczył się o to. Jako potomek Heraklesa uważał, że nie zranił zbyt Afrodyty, nawet biorąc udział w wprowadzeniu jej kapłanki.

W Himerze miano na głowie inne sprawy niż nasz powrót z pielgrzymki do Eryksu. Mimo wiosennych sztormów przybył tam statek z Syrakuz z wieścią, że Milet padł. Persowie oblegali miasto przez całą zimę, a potem zdobyli je szturmem, splądrowali i spalili, wymordowali mieszkańców albo odesłali ich jako jeńców do Suzy, a w końcu zrównali całe miasto z ziemią. Wielki król nakazał, że z Miletu, który wszczął powstanie, ma nie zostać kamień na kamieniu, a jego wodzowie wykonali ten rozkaz z wielkim zapalem, mimo ogromnego wysiłku, jakiego wymagało od wojska zniszczenie miasta takiego jak Milet, które miało kilkaset tysięcy mieszkańców. Ale wodzowie mieli do pomocy maszyny wojenne i tarany oraz tysiące greckich niewolników.

Taniec wolności skończył się. Reszty miast jońskich zgodnie, z rozkazem wielkiego króla nie potraktowano tak dotkliwie. Każde z nich otrzymało z powrotem swego greckiego tyrana, a Persowie zadowolili się zerwaniem tylko najwyższej warstwy kamieni z ich murów. Nie, nic złego nie spotkało tych miast prócz zwyczajnych zabójstw, morderstw i podpaleń, gwałtów, plądrowania i tych wybryków pijanych żołnierzy, którym nawet najlepsza dyscyplina nie może zapobiec w wojsku złożonym z tylu różnych ludów. Ale po zduszeniu powstania jak zawsze własni rodacy byli bardziej niemiłosierni niż obcy przybysze, i powracający tyrani przetrzebili tak gruntownie tancerzy wolności, że za najszczęśliwszych mogli się uznać ci, którzy potrafili w porę uciec na zachód i zabrać z sobą rodzinę i majątek.

Takie były nowiny z Jonii. Prawdę mówiąc, mało mnie obchodził los Miletu, ponieważ już pod Lade odwróciłem się do niego plecami, uważając, że zrobiłem swoje w jońskim powstaniu.

Ale z Miletem przepadło na zawsze wiele z tego życiowego przepychu, wyrafinowania i rozkoszy, które nigdy nie wrócą. Po wieści o upadku miasta jak gdyby sam czas stał się surowszy niż dawniej i oddychało się ostrzejszym powietrzem. Dorieus i ja wychyliliśmy za pamięć Miletu puchar najlepszego wina Tanakwil, ale nie ścięliśmy sobie włosów. Byłoby to obłudą.

Od Dionizjosa otrzymaliśmy jednak najwiarygodniejszą ocenę tych spraw, gdyż on, doświadczony i sam znając sztukę przesadzania, umiał wyłuskać jądro z tych słuchów, które wkrótce rozeszły się szeroką falą.

— Ateny, nie leżą jednak jeszcze w ruinach — mówił — choć wielu już klnie się, że sam wielki król przyплыł, żeby się pomścić na Ateńczykach za ich udział w wyprawie na Sardes.

Ale to potrwa jeszcze wiele lat. Najpierw Persowie muszą umocnić swoje posiadłości na wyspach, a wyprawa za morze do samej Grecji jest przedsięwzięciem wymagającym długich przygotowań.

Ale mówią, i chętnie w to wierzę, że wielki król polecił swojemu przybocznemu niewolnikowi, by od czasu do czasu szeptał mu do ucha: — Panie, nie zapomnij o Ateńczykach!

— Tak, tak się mają sprawy — ciągnął Dionizjos błyskając ku nam swymi wolimi oczyma. —

Po upadku Miletu morze wschodnie jest odtąd morzem fenickim, a niezliczone statki Jonii są statkami perskimi. Kiedy macierz grecka zostanie ujarzmiona, pozostanie tylko ta Grecja zachodnia wciśnięta między Kartaginę i Tyrreńczyków. Dlatego najlepiej, żebyśmy jak najszybciej zabrali nasze worki ze skarbcza Krinipposa i pożeglowali do Massilii tak prędko, jakbyśmy już tam byli. Jeszcze za naszego żywota, jeśli bogowie pozwolą nam dożyć, może się zdarzyć, że Pers wyciągnie rękę aż po Massilię.

Mikon podniósł ze zgrozą rękę i zaprotestował:

— Przesadzasz, Dionizjosie, bo o ile znam historię, jeszcze nigdy nikt nie zapanował nad całym światem, nawet Egipt ani Babilon. I nikt nie może sobie wyobrazić, by Egipt miał upaść, gdyż państwo egipskie jest równie stare jak świat. Miałem chyba dwanaście lat, kiedy rozeszły się na wyspach pogłoski że wielki król Kambizes podbił Egipt. Mój ojciec był uczonym mężem *105*

i sam odwiedził Naukratis. Aż do ostatka wzbraniał się uwierzyć w tak szaloną wieść, ale kiedy był zmuszony w nią uwierzyć, powiedział, że nie chce żyć w takich czasach, zarzucił na głowę kraj szaty, wyciągnął się na łożu i umarł. Odtąd zaczęli w Attyce wyrabiać wazy z czerwonymi figurami jakby na znak, że świat stoi na głowie. Ale nawet Dariusz nie zdołał podbić Scytów.

Dorieus odparł z rozdrażnieniem:

— Stul pysk, lekarzu, bo nie znasz się na wojnie. Scytów nikt nie może podbić, ponieważ ciągną oni tylko z miejsca na miejsce ze swoim bydłem i są raz tu, a raz znów gdzie indziej.

Oznacza to, że nie mają oni jakiegoś państwa i nie przyniosłaby nikomu żadnej chwały próba ich podbicia. Co do mnie, doskonale mogę zrozumieć myśl o panowaniu nad światem. Może czasy dojrzały już do tego. I najlepszą część wybrali może ci Grecy, którzy wstąpili na służbę u wielkiego króla, wśród jego nieśmiertelnych. Ale mój los postanowił inaczej, i muszę doglądać swego dziedzictwa póki czas.

Umilkł, zagryzł wargi i wpatrywał się ponuro w Dionizjosa, zastanawiając się, jak zacząć:

— Szanuję cię wysoko jako dowódcę na morzu, Dionizjosie z Fokai — powiedział potem. —

W tym, co się tyczy wojny morskiej, nie ma podobno chytrzejszego od ciebie. Ale ja sam jestem urodzony do bicia się na lądzie i obchodzą mnie sprawy związane z lądem. Zdaję sobie sprawę, że godzina, kiedy rozstrzygnie się los Grecji, jest bliska. Czyż więc nie jest konieczne, pytam, by ta Grecja zachodnia umocniła się póki czas? Pierwszym zadaniem byłoby więc podbić Segestę i cały Eryks, i zmieść do morza kartagińskie przyczółki na Sycylii.

Dionizjos odrzekł pojednawczo:

— Słusznie mówisz i piękna jest twoja myśl, Lacedemończyku. Ale wielu już tego przed tobą próbowało. Na polach Segesty próchnieją fokajskie kości i przypuszczam, że w swojej podróży miałeś także okazję oddać w tamtej okolicy cześć duchowi twego własnego ojca.

— Ponadto — dodał drapiąc się w głowę — nie powinniśmy tracić czasu na próżne gadanie.

Musimy szybko popłynąć do Massilii i założyć tam nową kolonię, bądź to w pięknych okolicach w głębi kraju w górę rzeki, bądź też na wybrzeżu iberyjskim, na przekór Kartagińczykom.

Dorieus wstał i przemierzał dźwięcznymi krokami salę biesiadną w domu Tanakwil. W końcu zatrzymał się przed Dionizjosem, wbił w niego wzrok i zapytał:

— Po raz ostatni pytam cię, Dionizjosie z Fokai. Czy to twój nieodwołalny zamiar odpłynąć z okrętami i ludźmi do Massilii i opuścić w potrzebie sprawę wolności?

Dionizjos wyglądał na zdziwionego, kiedy zapytał w odpowiedzi:

— Upiłeś się tak małą ilością wina, Dorieusie, czy też o co ci chodzi?

Dorieus rozjuszył się na dobre, tupnął o posadzkę, zadarł głowę i ryknął:

— Słuchajcie go i bądźcie świadkami, Turmsie i Mikonie, że ten samochwał lży mój dom i moją żonę!

Dionizjos zdał sobie sprawę, że Dorieus szuka zwady i zaraz się uspokoił, wybuchnął śmiechem i zapytał:

— Czy wciąż jeszcze tak bardzo ci dokucza uderzenie wiosłem pod Lade, Dorieusie? W jaki sposób zelżyłem twój dom, jeśli to jest twój dom, i twoją żonę, jeśli Tanakwil jest twoją żoną?

— Słuchajcie, słuchajcie! — krzyknął Dorieus. — Teraz nazywa także moją żonę dziwką.

Dionizjos wstał i powiedział:

— Za daleko posuwa się ta zabawa. Wy tłumacz mi, co masz na myśli, inaczej Krinippos będzie musiał rozstrzygnąć nasz spór.

Dorieus wyglądał na zaskoczonego, jego wzrok zaczął błędzić. Syknął, na wpół dusząc się od furii:

— Jeśli już mieszkam w domu Tanakwil i śpię z nią, to nazywasz ją, zaprawdę, dziwką, skoro wątpisz, że jesteśmy prawnie poślubieni. A mój dom lżysz, kiedy twierdzisz, że nie dostałeś tu dość wina. Na mego przodka Heraklesa, już mi się uprzykrzyły twoje grubiańskie aluzje, Dionizjosie.

Chwyciwszy się oburącz za głowę, Dionizjos odwołał się do Mikona i do mnie, i zapytał zbolalym głosem:

— O co tu właściwie chodzi i czego on ode mnie chce?

Ale Mikon i ja obaj przezornie milczeliśmy. Dorieus zauważył jednak, że nie pochwalaliśmy jego zachowania. Powiedział nieco łagodniej:

— Za twoje złośliwe obelgi miałbym pełne prawo zdjąć miecz ze ściany i przeszyć cię nim na wylot oraz zażądać twoich skarbów i okrętów za karę, że naruszyłeś cześć mojej żony. Ale mężowi takiemu jak ja nie wypada postępować w taki sposób. Dlatego wyzywam cię teraz, Dionizjosie, na pojedynek o okręty i ludzi.

— Poczekaj chwilę, poczekaj chwilkę — odparł Dionizjos cierpliwie. — Jestem prostym człowiekiem i może dlatego nie pojąłem najgłębszego znaczenia twoich słów. Chcesz więc bić się ze mną o dowodzenie. Cóż, czemu nie, możemy się bić. Ale czy sądzisz, że wtedy potrafisz żeglować aż do Massilii lepiej ode mnie?

Dorieus stracił teraz resztę opanowania:

— Wedle mnie możesz sobie żeglować aż do Hadesu. O Massilii, nasłuchałem się już aż do przesytu, tak że boli mnie już od tego głowa.

— To od tego wiosła pod Lade — przytaknął Dionizjos ze zrozumieniem i zerknął na nas jakby po to, by zapytać Mikona o radę.

— Od ciosu miecza, na Heraklesa, i przestań już drażnić mnie, żebym, nie złamał praw, goś-

cinności i nie zabił cię tu na miejscu! — ryknął rozwścieczony Dorieus. — Nie zamierzam wcale żeglować do Massilii, lecz chcę zająć się Segestą i Eryksem, i mam do tego pełne prawo jako potomek Heraklesa. O to prawo gotów jestem spierać się z wszystkimi kartagińskimi uczonymi w prawie choćby przez dziesięć lat, gdyby było potrzeba, gdy tylko zdobędę ten kraj. A do tego potrzebuję twoich ludzi, twoich okrętów i naszego skarbu, Dionizjosie. Także i poza tym sprawa stoi mocno, gdyż synowie drugiego męża mojej żony przygotowują już powstanie w Segeście, a wśród Sikanów w lasach możemy kupić sobie sprzymierzeńców za pieniądze Tanakwil.

Tak się podniecił swoimi słowami, że zgrzeczniał i wyjaśnił:

— Zdobycie Segesty nie będzie trudne, bo ludzie wysokiego stanu w tym mieście trudnią się tylko hodowlą psów myśliwskich i każą płatnym atletom wykonywać za siebie ćwiczenia cielesne.



A góra Eryks może i jest nie do zdobycia w zwykły sposób, ale mam kobietę... — Tu przerwał, zerknął na mnie, zaczerwienił się nagle i poprawił się: — Mamy kobietę, kapłankę Afrodyty, która zna tam podziemne korytarze. Z jej pomocą możemy zdobyć świątynię, a wraz z tym dary ofiarne dla bogini.

Przyszła teraz na mnie kolej, by się poderwać i zapytać głosem drżącym od gniewu:

— Jak i kiedy zdążyłeś uknuć takie plany z Arsinoe za moimi plecami? Czemu nie mówiła mi o tym ani słowa?

Dorieus nie mógł wytrzymać mego spojrzenia.

— Może mieliście inne tematy do rozmów — bronił się słabo — a my nie chcieliśmy cię niepokoić. Arsinoe chętnie myśli także i za ciebie.

Mikon zamykał i otwierał oczy, trząsł głową i zapytał z kolei:

— Wybaczcie, ale kto to jest Arsinoe?

107

— Kobieta, którą bierzesz za Aurę, nie jest Aurą, lecz kapłanką Afrodyty z Eryksu, porwaną przeze mnie — wyjaśniłem. — Udaje tylko Aurę, żebyśmy mogli uciec i żeby nikt nas nie ścigał.

Mikon ukrył twarz w dłoniach i schylił głowę. Poklepałem go dla dodania otuchy po plecach i przypominałem:

— Nie pamiętasz już, że Aurę spotkał nieszczęśliwy wypadek w Eryksie z powodu twej niedopuszczalnej żądzy wiedzy? Sam przecież układałeś stos ze srebrnej topoli i złożyłeś jej ciało na stosie.

Mikon podniósł głowę. Jego twarz promieniowała radością, i wykrzyknął:

— A więc to prawda, chwała niech będzie bogini, choć brałem to tylko za zamroczenie i złudzenie skutkiem zbyt dużej ilości wina, a czegoś takiego nie może żaden mąż, zwłaszcza lekarz, który pije tyle wina, co ja, przyznać nawet przed swoimi przyjaciółmi. Jestem więc znowu wolny i błogosławię kości Aury i czuję się tak, jakbym pozbył się kamienia u nogi.

Z czystej radości zerwał się z łoża, zrobił kilka tanecznych kroków wokół stołu, plasnął w ręce, roześmiał się głośno i zawołał:

— Dlatego to więc zacząłem już wątpić w swoje zmysły kiedy zauważyłem, że Aura tak się zmieniła! Dopiero teraz rozumiem, dlaczego ostatnio doznawałem tak nieprzeczuwalnych rozkoszy w jej ramionach.

Treść jego słów docierała do mnie tak powoli, że usta zdążyły mi tymczasem opaść ze zdumienia. Zakrzywiłem palce jak szpony, by rzucić się na niego, ale Dorieus zdążył przede mną.

Z twarzą siną od gniewu roztrzaskał drogocenny puchar na szczątki i ryknął:

— Ty nędzny znachorze, jak śmiałeś dotknąć Arsinoe? Jeszcze nigdy nie słyszałem czegoś tak łajdackiego.

Złapał Mikona za ramię, ale mój okrzyk go powstrzymał. Rozdrapując sobie szyję palcami do krwi, zapytałem:

— Pomyłka Mikona jest zrozumiała, ale czemu ty, Dorieusie, tak gorliwie bronisz nietykalności i czci Arsinoe? Wyjaśnij mi to, nim cię zaduszę. I jeszcze raz, kiedy zdążyłeś ją nakłonić, by knuła z tobą plany co do Eryksu?

Dorieus zaczął pochrząkiwać, po czym odparł:

— Wcale jej do niczego nie nakłaniałem, Turmsie, przysięgam ci na boginię. Ale ona jest taką delikatną i wrażliwą kobietą. Dlatego razi mnie gruboskórne zachowanie Mikona i nie ma chyba nic złego w tym, że zapytałem ją to i owo o Eryks.

Miałem ochotę krzyczeć, płakać i tłuc gliniane naczynia, ale Dorieus dodał pośpiesznie:

— Opanuj się, Turmsie. Po co o tym mówić w obecności obcych.

Rzucił wzrokiem na Dionizjosa, a Dionizjos powiedział natychmiast:

— Z przyjemnością słuchałem twoich politycznych planów, ale szczerze mówiąc, wolałbym raczej zobaczyć tę kobietę, która potrafi wyprowadzić z równowagi trzech tak uzdolnionych mężów.

I jeszcze nie zdążył tego wypowiedzieć, jak już do komnaty weszła Arsinoe, a w ślad za nią Tanakwil odziana w najcenniejsze szaty, tak że dźwięczała i brzęczała od ciężkich kosztowności niczym hoplita w pełnym uzbrojeniu. Arsinoe natomiast była odziana skromnie, ba, skromniej, niż to było konieczne, bo jej jedyną szatą była cienka suknia, która raczej obnażała ją, niż osłaniała, spięta na ramieniu dużą złotą agrafą. Swoje złote włosy uczesała do góry na sposób bogini i ozdobiła klejnotami ze świątyni w Eryksie. Między jej piersiami lśnił jak złowróźbne oko duży selenit na etruskim złotym łańcuszku. Żadnego łańcuszka jej nie dałem, bo zapomniałem całkiem o tym w czasie pierwszych pracowitych dni w Himerze.

108

— Dionizjosie, potężny władco morza — pozdrowiła go pięknie. — Jestem niewypowiedzianie rada, że mogę zobaczyć cię na własne oczy. Tyle słyszałam o twoich czynach na morzu, i mówiąc w zaufaniu, o skarbach, które przechowujesz w skarbcu Krinipposa.

Dionizjos obrzucił ją ostrym spojrzeniem od stóp do głów, po czym zaklął gorzko:

— Czyście oszaleli wszyscy trzej, czy też pokąsał was wściekły pies, jeśli rzeczywiście zwieryliście się tej kobiecie z czegoś, co powinno być zachowane w tajemnicy.

Arsinoe schyliła pokornie głowę:

— Jestem tylko słabą kobietą — rzekła. — Ale wierz mi, piękny Dionizjosie, w sercu moim spoczywają najgłębsze tajemnice mężczyzny w bezpieczniejszym przechowaniu niż twój skarb w lochach chciwego Krinipposa.

Uśmiechnęła się łagodnym i całkiem nowym uśmiechem, którego jeszcze nie widziałem, tak że Dionizjos nagle przetaił oczy i gwałtownie potrząsnął swoją byczą głową. Potem powiedział:

— Jediną rzeczą, której moja matka, niewolnica, zdołała mnie nauczyć, kiedy byłem dzieckiem i kiedy kołysała mnie w swych chudych ramionach, było, że na żeglarzach nigdy nie można polegać. Ja sam zaś w ciągu bardzo zmiennego żywota gorzko przekonałem się, że nie można ufać ani jednemu słowu żadnej kobiety. Łatwiej mężczyźnie uchować tajemnicę, wykrzykując ją na placu w czasie targowiska, aniżeli jeśli szepnie ją do ucha kobiecie pośrodku nocy w czterech ścianach domu. Ale gdy ty, kapłanko, patrzysz na mnie tak smutnym wzrokiem, ogarnia mnie zdradziecka pokusa, by wierzyć, że ty jedna z wszystkich kobiet możesz być wyjątkiem.

— Arsinoe — wykrzyknąłem — zakazuję ci patrzeć w taki sposób na mężczyzn.

Równie dobrze mógłbym jednak mówić do ściany. Arsinoe udała, że wcale mnie nie widzi i usiadła lekko na skraju łoża, na którym spoczywał Dionizjos. Tanakwil otworzyła nowy dzban wina i Arsinoe podała Dionizjosowi puchar.

Dionizjos strącił z roztargnieniem pierwsze krople na posadzkę, napił się i powiedział:

— Nie pamiętam już, co mówiłem, ale twoje słowa przed chwilą wypowiedziane zdumiały mnie istotnie. Często nazywali mnie silnym i mężczyźni i kobiety, ale nikt dotychczas nie odwa-

żył się nazwać mnie pięknym prosto w oczy, nawet moja własna matka. Co więc na wszystkich bogów masz na myśli, kobieto, nazywając mnie pięknym?

Arsinoe podparła brodę na dłoni, przekrzywiwszy głowę i przyjrzała się Dionizjosowi i poprosiła:

— O mężu z morza i szerokiego świata, nie zamęczaj mnie swym spojrzeniem, bo sprawiasz, że się czerwienię. Z pewnością nie wypada, by kobieta mówiła coś takiego do mężczyzny, ale kiedy przed chwilą tu weszłam i ujrzałam cię po raz pierwszy, i zobaczyłam te duże złote pier-

ścienie w twoich uszach, przeszedł mnie dreszcz i poczułam się tak, jakby mi dane było zobaczyć straszliwie dużego i pięknego czarnobrodego boga.

— Męska piękność jest tak szczególna — ciągnęła dalej z uniesieniem. — Tak szczególna i taka inna. Ktoś może nazwać pięknym smukłego młodzieńca. Ale nie ja. Nie, mężczyzna, którego członki są duże i twarde jak pnie, mężczyzna którego kędzierzawej brody kobieta może ucześcić się mocno obiema rękami, a jego potężna głowa nawet nie drgnie, mężczyzna, którego oczy są duże i błyszczące jak u najwspanialszego byka, taki mężczyzna jest piękny w moich oczach.

O Dionizjosie, wysoko cenię twoją chwałę i sławę, ale najbardziej zdumiewam się tym, że jesteś

jednym z najpiękniejszych mężczyzn, jakich widziałam.

Oczy jej pociemniały i jakby mimowolnie zgięła swój wąski palec wskazujący i dotknęła złotego pierścienia w uchu Dionizjosa, tak że się zakołysał. Dionizjos wzdrygnął się jak podcięty biczem.

109

— Na Posejdona — powiedział cicho do siebie. Jego duża dłoń podniosła się, już jak gdyby po to, by musnąć policzek Arsinoe, ale potem odzyskał panowanie nad sobą, przewalił się z ha-

łasem na drugą stronę biesiadnego łoża i zerwał się na nogi. — Gównu! — ryknął. — Gównu i jeszcze raz gównu nie wierzę w ani jedno słowo.

Nie zatrzymując się wypadł przez drzwi, porwał tarczę ze ściany w sieni i zbiegł po schodach, potykając się tak, że słyszeliśmy, jak spada w dół na łeb na szyję na swojej szczękającej tarczy.

Ale kiedy wybiegliśmy, by mu pomóc, pozbierał się już na nogi, wybiegł na ulicę i zatrzasnął za sobą bramę z głośnym trzaskiem.

Wróciliśmy do wnętrza, zezując na siebie i po kolei otwierając usta, by coś powiedzieć, lecz nie wiedzieliśmy, jak zacząć.

Arsinoe rozstrzygnęła sprawę, rzucając mi szelmowskie spojrzenie i mówiąc:

— Drogi Turmsie, chodź ze mną. Jesteś wzburzony zupełnie niepotrzebnie. Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Kiedy odchodziliśmy, zobaczyłem, jak Dorieus uderzył Mikona w twarz otwartą dłonią, tak że tamten przewrócił się i siadł na podłodze, ze zdumieniem podniósłszy rękę do policzka.

2

Kiedy już znaleźliśmy się w cztery, oczy, przyjrzałem się Arsinoe tak, jakbym jeszcze nigdy jej nie widział. Wahając się, jakie odpowiednie słowa wybrać, zacząłem od złego końca:

— Czy nie wstydzisz się pokazywać na pół naga przed całkiem obcym mężczyzną?

— Ależ sam przecież chcesz, żebym ubierała się skromnie — odparła Arsinoe. — Już chyba ze sto razy mi mówiłeś, że twoje pieniądze nie wystarczą na spełnienie moich małych życzeń i że w parę dni zadłużyłeś się przeze mnie na wiele lat z powodu moich nierozsądnych wymagań.

Dobrze. Nie mogę już ubierać się skromniej niż tak.

Kiedy otworzyłem usta, położyła mi błagalnie dłoń na ramieniu, zagryzła wargi i schyliwszy głowę rzekła:

— Nie, Turmsie, nie mów nic teraz. Pomyśl najpierw, co powiesz. Inaczej ja już tego dłużej nie

wytrzymam.

— Dłużej nie wytrzymasz? — zapytałem zaskoczony. — Ty?

— Właśnie — odparła z przekonaniem. — Istnieją granice cierpliwości nawet dla kochającej kobiety. W czasie tych dni w Himerze spostrzegłam już dostatecznie wyraźnie, że nie mogę cię zadowolić, cokolwiek zrobię. Ach, Turmsie, jak doszliśmy do tego.

Ogarnięta prawdziwą rozpaczą rzucała się z odzieżą w nieładzie na łoże, ukryła twarz w ramionach i wybuchnęła szlochaniem. Każdy jej szloch sprawiał, że krajało mi się serce tak, iż już sam nie wiedziałem, co myśleć i w co wierzyć, i zacząłem się zastanawiać, czy to nie ja sam ponoszę winę za wszystko, co tylko ona może zrobiła. Ale co też ona właściwie zrobiła? Kiedy przypominałem sobie zakłopotaną minę Dorieusa i pełen winy wygląd Mikona, zapomniałem o Dionizjosie, krew uderzyła mi do głowy i podniosłem rękę do uderzenia. Ale ręka stanęła mi jak gdyby w powietrzu, bo w tejże samej chwili spostrzegłem, jak porywająco bezradnie jej pię-

kne ciało drży pod cienką szatą, gdy Arsinoe wypłakuje swoje rozgoryczenie. I doszło tylko do tego, że znów przeżyłem w jej ramionach chwilę, kiedy wszystko wokół mnie znikło i zdawało mi się, że wraz z nią unoszę się na chmurce.

Otrzeźwiawszy w jednej chwili, dotknęła wąską dłonią mego czoła i zrobiła mi wyrzut.

— Och, Turmsie, dlaczego jesteś zawsze taki niedobry dla mnie, choć ja tak straszliwie ciebie kocham?

110

I jej naga twarz nie zawierała kłamstwa. Mówiła to poważnie.

— Arsinoe! — wykrzyknąłem nie wierząc własnym uszom. — Jak możesz tak mówić! Nie wstydzisz się nawet patrzeć mi otwarcie w oczy, choć dopiero przed chwilą wyszło na jaw, że zdradziłaś mnie z moimi dwoma najlepszymi przyjaciółmi?

— To nieprawda — odparła, ale jej wzrok unikał mego.

— Gdybyś rzeczywiście mnie kochała... — zacząłem, lecz rozzalenie i upokorzenie zdławiły mi gardło i przeszkadzały mówić dalej. Arsinoe spoważniała i powiedziała zupełnie innym tonem niż przedtem:

— Turmsie, prawdopodobnie jestem zmienną istotą, wiem o tym. Jestem przecież kobietą.

Może nie we wszystkim możesz mnie być całkiem pewny, gdyż nawet ja sama nie zawsze jestem pewna siebie. Ale jednego możesz być całkiem pewny, teraz i zawsze, a mianowicie, że kocham ciebie i tylko ciebie. Gdyby było inaczej, czyż zrezygnowałabym dla ciebie z całego mego poprzedniego życia?

Powiedziała to tak szczerze, że poczułem, iż mówi prawdę. Moja gorycz przemieniła się w smutek.

— Z tego, co mówił Mikon, zrozumiałem, że... — zacząłem.

Zamknęła mi usta swoją miękką dłonią i poprosiła:

— Nie mów nic więcej. Przyznaję to, i było to coś, czego sobie wcale nie życzyłam. Ale zrobiłam to tylko dla ciebie, Turmsie. Sam przecież powiedziałeś, że twemu życiu grozi niebezpieczeństwo, jeśli przedwcześnie wyjdzie na jaw, że nie jestem Aurą.

— Ale Mikon mówił... — zacząłem jeszcze raz.

— Tak, tak, naturalnie — ciągnęła. — Lecz w takich sprawach także samopoczucie kobiety coś znaczy. Musisz to zrozumieć, Turmsie. Kiedy już ze względu na ciebie musiałam się podporządkować, nie mogłam się zachowywać jak prosta Sykulijka. Naturalnie on spostrzegł różnicę, ale dzięki niech będą bogini, niczego nie podejrzewał.

I jakby z namysłem dodała:

— A zresztą i sam Mikon wcale nie okazał się niezgrabny.

— Milcz! — zawołałem. — Jeszcze się będziesz chełpić! Ale Arsinoe, Arsinoe, co było między tobą i Dorieusem?!

— Naturalnie rozmawiałam z nim, gdy Tanakwil wtajemniczyła mnie w jego plany — przyznała Arsinoe. — Jest dorodnym mężczyzną zresztą i mógłby skusić każdą kobietę. Może źle zrozumiał moje zamiary i nic na to przecież nie poradzę, że jestem piękna.

— A więc i on — powiedziałem zgrzytając zębami i poderwałem się, szukając miecza. Arsinoe powstrzymała mnie.

— Do niczego niewłaściwego nie doszło naturalnie między nami — rzekła. — Jasno dałam mu do zrozumienia, że coś takiego się nie godzi. Prosił mnie o przebaczenie i doszliśmy do porozumienia, że będziemy tylko dobrymi przyjaciółmi.

I uśmiechając się dodała:

— Widzisz, Turmsie, w swoich politycznych zamierzeniach on może mieć ze mnie pożytek.

Nie jest taki głupi, by zrobić sobie ze mnie wroga, chcąc mnie urazić.

Wpatrywałem się w nią rozdarty między nadzieją i zwątpieniem.

— Przysięgasz mi — zapytałem w końcu — przysięgasz mi, że Dorieus cię nie dotknął?

— Dotknął i dotknął — powtórzyła z rozdrażnieniem. — Przestań wygadywać swoje głupoty.

Może i dotknął mnie trochę, w taki czy inny sposób. Ale jako mężczyzna on mnie wcale nie po-ciąga,

nie. I nigdy w życiu tak, jak ty myślisz. Przysięgam na jakiegokolwiek boga chcesz.

III

— Na naszą miłość — zakląłem ją.

— Na naszą miłość — powtórzyła, ale zawahała się przez chwilę.

Lecz ta chwila ciemności w jej jasnym spojrzeniu rozstrzygnęła o wszystkim. Wstałem, nim zdążyła mnie powstrzymać.

— Dobrze — powiedziałem — pójdę dowiedzieć się, jak to było.

— Nie idź! — zawołała przestraszona, ale spostrzegłszy, że moje postanowienie było nieodwołalne, dodała pospiesznie: — Albo zresztą idź, jak chcesz. Tak będzie najlepiej. Dowiedz się o całej sprawie, jeśli mi nie wierzysz. Nie spodziewałam się, Turmsie, że będziesz mnie tak traktował.

Jej łzawe pełne wyrzutu spojrzenie dręczyło mnie. Ale chciałem usłyszeć prawdę z własnych ust Dorieusa. Inaczej moje podejrzenia nie dałyby mi spokoju, sądziłem. Tak dziecinny jeszcze wtedy byłem. Całkiem tak, jak gdyby moje serce mogło zaznać choć jednej chwili spokoju z Arsinoe.

Znalazłem Dorieusa na dworze, na dziedzińcu, gdzie leżał, wygrzewając się w ciepłym basenie. Żółtawa woda pachniała siarką i powiększała jego żylaste ciało, tak że wyglądało większe niż w rzeczywistości. Wmawiając w siebie spokój, usiadłem na brzegu basenu i ogrzewając stopy w wodzie, powiedziałem:

— Dorieusie! Pomyśl o boisku zawodów w Delfach. Pomyśl o owczych kościach, które rzucaliśmy razem. Pomyśl o Koryncie i o wojnie w Jonii. Nasza przyjaźń znaczy zaiste więcej niż cokolwiek innego. Jako mężczyzna wiesz, że nawet gorzka prawda jest lepsza niż najśłodsze kłamstwo. Nie będę się gniewał na ciebie, jeśli tylko powiesz mi prawdę. Na naszą przyjaźń za-klinam cię, powiedz, czy spałeś z Arsinoe?

Dorieus nie wytrzymał mojego spojrzenia. Odchrząknawszy parę razy, przyznał po chwili:

— No cóż, raz czy dwa. I co z tego? Nie chciałem przez to zrobić nic złego. Jej powab jest nieprzeparty.

Jego szczere przyznanie wykazało, że w takich sprawach był równie dziecinny jak ja sam, choć wtedy jeszcze tego nie rozumiałem. Zimne ciarki przeszły mi po grzbiecie i zapytałem:

— Wziąłeś ją gwałtem?

— Gwałtem, ja? — zdziwił się Dorieus, wpatrując się we mnie szeroko rozwartymi oczami.

— Na Heraklesa, mało ją znasz na razie. Powiedziałem ci przecież, że nie można się jej oprzeć.

Kiedy już zaczął, ulżyło mu na duchu:

— Tylko nie mów nic o tym Tanakwil. Za nic w świecie nie chciałbym zrobić jej przykrości.

Widzisz, to sama Arsinoe zaczęła przez podziwianie moich mięśni. Powiedziała, że ty przypuszczalnie nie liczysz się jako mężczyzna w porównaniu ze mną.

— Ach tak, rzeczywiście — wystękałem zduszonym głosem.

— Tak — ciągnął — Tanakwil chwaliła się podobno moimi siłami przed Arsinoe, tak że stała się zazdrosna. I sam chyba wiesz, że ona nie musi gładzić mężczyzny po łydkach wiele razy, nim kur zapieje. By wyznać ci, jak było, powiem, że nie mogłem właśnie wtedy myśleć o wymogach przyjaźni i honoru, czy w ogóle o czymkolwiek innym. Chcesz usłyszeć więcej?

— Wystarczy — bąknąłem — rozumiem cię znakomicie.

Mimo to jednak nie rozumiałem.

— Dorieusie — powiedziałem — nie mogę tego pojąć, ona sama powiedziała, że nie nęcisz jej jako mężczyzna.

Dorieus wybuchnął śmiechem, mrugnął do mnie, napiął mięśnie w wodzie i odparł: *112*

— Ach tak. No cóż. Może powiedziała to ze współczucia, ale trzeba ci było samemu słyszeć i widzieć.

Podniosłem się tak gwałtownie, że omal nie wpadłem do basenu.

— Wystarczy, Dorieusie — rzekłem przez zaciśnięte zęby. — Wcale się na ciebie nie gniewam.

Ale nie mów dalej.

Uciekłem stamtąd z gorącymi łzami toczącymi się po policzkach, i wiedziałem, że już nie mogę ufać nikomu na świecie, a najmniej Arsinoe. Tę gorzką świadomość każdy człowiek musi sobie kiedyś przyswoić, jeśli nie chce się zadowolić, by być osłem czy baranem. Należy to do życia i do losu ludzkiego równie pewnie jak popiół na chlebie i łzawiące oczy przy przeziębieniu.

Ale znalazłszy się znowu w sali biesiadnej Tanakwil, znów się zawniłem. Ogarnęło mnie dziwne uczucie ulgi, bo nagle zdałem sobie sprawę, że nie jestem już nic winien Dorieusowi.

Nie, więzy przyjaźni nie łączyły mnie z nim więcej, gdyż sam je zerwał, jeśli nawet stało się to nie całkiem z jego winy.

Kiedy wszedłem do naszej komnaty, Arsinoe podniosła się żywo na łożu i zapytała:

— No więc, Turmsie, czy przesłuchałeś już Dorieusa i czy wstydzisz się swoich brzydkich podejrzeń?

— To nie ja powinienem się wstydzić — rzekłem przygnębiony. — Że też ty możesz być do tego



stopnia bezczelna, Arsinoe. Dorieus przyznał się.

— Przyznał się do czego? — zapytała Arsinoe ze zdziwieniem, klękając na łożu.

— Że spał z tobą parę razy, wiesz przecież sama. — Osunąłem się na łożo i ukryłem twarz w dłoniach. — Czemu kłamałaś mi i zaklinałaś się fałszywie na naszą miłość. Ach, Arsinoe, już nigdy nie będę mógł na tobie polegać.

Położyła mi rękę na karku przekonywająco.

— Ależ, Turmsie, jakie okropne bzdury wygadujesz — powiedziała. — Naturalnie, że Dorieus nie mógł przyznać się do niczego takiego. Czyżby ten Spartanin chciał zasiać wrogość między nami, siejąc podejrzenia w twojej duszy? Nie mogę inaczej przypuszczać.

Nie mogłem się oprzeć, by nie patrzeć na nią wzrokiem głodnym nadziei. W moich oczach wyczytała pragnienie uwierzenia w jej słowa i wyjaśniła żywo:

— Ach, Turmsie, już wszystko rozumiem. Zraniłam naturalnie jego męską próżność, odrzucając jego zaloty tak bezlitośnie. I teraz mści się, kłamiąc o mnie, bo wie, że jesteś łatwowierny.

— Daj spokój — prosiłem — o, daj spokój, Arsinoe, już i tak jestem śmiertelnie przygnębiony. Dorieus nie skłamał. Znam go lepiej niż ciebie.

Arsinoe wzięła moją głowę w dłonie i spojrzała mi w oczy. Ale nagle rozgniewała się, odsunęła mnie od siebie i rzekła kwaśno:

— Niech będzie. Nie mam już siły walczyć o naszą miłość, jeśli ty wierzysz innym bardziej niż mnie. Nie powiem ani słowa więcej. Wszystko skończone. Żegnaj, Turmsie. Jutro jadę z powrotem do Eryksu.

Cóż mogłem na to odpowiedzieć. Nie, nie mogłem uczynić inaczej jak tylko paść na kolana i błagać ją o przebaczenie za moje podejrzenia. Weszła mi w krew i nie mogłem się od niej uwolnić. Znowu wspięliśmy się na olśniewającą chmurę i stamtąd oglądane wszystko na ziemi stało się małe i nieważne, nawet kłamstwo i zdrada.

113

3

Nastąpił więc znowu okres żeglugi i naharowawszy się całą zimę, by podwyższyć mury Himery, Fokajczycy znowu niecierpliwie wyczekiwali ruszenia na morze, łapali wiatr w nozdrza i wypatrywali znaków na niebie. Dionizjos spuścił na wodę nowy okręt, a oba pięćdziesięciowiosłowce były nasmołowane i otaklowane lepiej niż kiedykolwiek. Nie było jednego wiosła, liny czy sęka w deskach poszycia, których by Dionizjos sam nie obejrzał i nie sprawdził. Wieczorami członkowie załogi ostrzyli już broń, a hoplici, którzy spaśli się w zimie, sapiąc, wciskali na siebie swoje napierśniki, pancerne spódniczki i nagolenice, i wiercili nowe otwory w ich rzemieniach.

Wioślarze intonowali sprośne pieśni pożegnalne, a ludzie, którzy w jesieni zawarli związki małżeńskie z Himeryjkami, drapali się w głowę i zastanawiali, czy właściwie stosowne było narażać słabe niewiasty na niebezpieczeństwa morza. Pocieszająco mówili do żon:

— Spodziewasz się dziecka i jesteś już ciężka. Morze jest straszniejsze, niż przypuszczasz.

Nie chcę pod żadnym pozorem narażać ciebie i naszego przyszłego dziecka na tarany Tyrreńczyków. Uzbrój się więc w cierpliwość, a pošlę ci wiadomość, gdy tylko dotrzemy do Massilii.

Mówili przekonywająco i patrzyli żonom niewinnie w oczy. Te wybuchały płaczem i zaczynały biadać nad okropnościami morza. Rzuciły się na ziemię i obejmowały kolana swoich mężów, błagając ich, by pozostali w bezpiecznej Himerze. Ale oni zaklinali się:

— Doprawdy, niczego nie chciałbym bardziej. Jestem zupełnie przygnębiony i nie powinnaś mnie martwić twoim płaczem. Bo poprzysiągłem wierność memu dowódcy, Dionizjosowi, najstraszniejszą przysięgą, i nie mogę go opuścić, by żyć w Himerze jako ten, który nie dotrzymał

obietnicy.

Ale Krinippos postanowił, że każdy żonaty mężczyzna musi zostawić pewną sumę na utrzymanie żony, stosownie do godności i stanowiska na okręcie, trzydzieści drachm od wiosła i sto od miecza. Ponadto każda Himeryjka, zamężna czy niezamężna, która zaszła w ciążę w czasie zimy, miała otrzymać dziesięć drachm z łupu wojennego Dionizjosa. Rozgoryczeni tym bezwzględny zdzierstwem członkowie załogi zebrali się na placu i głośno krzyczeli, że Krinippos jest najniewdzięczniejszym tyranem i najchciwszym człowiekiem, o jakim kiedykolwiek słyszeli.

— Czyż jesteśmy jedynymi w Himerze, którzy noszą męski członek między nogami? — wo-

łali płacząc: — Sami macie koguta jako symbol i to nie nasza wina że rozpusta w tym mieście zaraziła i nas, choć po męsku staraliśmy się opanować.

Przez całą zimę trzymałeś nas przy tej morderczej niewolniczej pracy, że nie mogliśmy nawet mieć siły, by robić dzieci wieczorami, nawet gdybyśmy chcieli. Ponadto sam ustanowiłeś okrutne prawo, które zakazywało nam bawić się poza domem po zachodzie słońca. Cóż więc innego mieliśmy czynić niż tylko iść do łóżka wieczorem, i nie jest naszą winą, jeśli dziewczęta, a także część zamężnych kobiet w mieście przemykały się do nas, by być u naszego boku. Musieliśmy przecież jakoś odpłacić za ich gościnność, choć ledwie mieliśmy na to siły.

Ale Krinippos zasłonił rękami uszy i nakazał bezlitośnie:

— Prawo jest prawem, a moje słowo jest prawem w Himerze, dopóki broda jeszcze mi rośnie.

Ale pozwalam wam chętnie zabrać wasze żony na okręty i zabrać także z sobą ciężarne dziewczęta z Himery. Możecie wybierać swobodnie.

Przy całym tym wzburzeniu Dionizjos trzymał się spokojnie na uboczu i nie wstawiał się za swoimi

ludźmi. Musiał przecież jeszcze dostać na pokład wodę i prowiant, a przede wszystkim wydobyć nasz skarb z kamiennych lochów Krinipposa. Gdy ludzie awanturowali się na placu, obserwował ich, a gdy z wściekłością szarpali na sobie odzież, chwycił nagle najgłośniejszego z wioślarzy za ramię i zapytał ze złością:

— Co to za znak nosisz na plecach?

114

Wioślarz spojrzął przez ramię na swoją łopatkę i wyjaśnił żywo:

— To święty znak czarodziejski i nie można tego zmywać. Ten znak sprawia, że nie mogę zostać zraniony w walce, a kosztuje to tylko jedną drachmę.

Cała gromada ludzi zebrała się wokół nich, pokazując, że i oni kazali wróżbiarzowi naciąć taki sam znak na łopatkach. Dionizjos spochmurniał i powiedział:

— Wyglądacie przecież jak traccy strażnicy miejscy, którzy malują sobie niebieskie koła na policzkach. Ilu z was nosi ten znak i kto wam go zrobił?

Ponad połowa ludzi postarała się o chroniący znak, rywalizując o to ze sobą i rany nie były jeszcze zaleczone, gdyż wędrowny wróżbita przybył do Himery ledwie kilka dni przedtem. Znak miał kształt półksiężyca otaczającego lewą łopatkę. Wróżbita wycinał go ostrym nożem, posypywał ranę niebieską świętą farbą, osuszał ją świętym popiołem, a na to spluwał świętą śliną.

— Przeprowadźcie mi tu tego wróżbitę, żebym zobaczył jego lewą łopatkę — warknął Dionizjos gniewnie. Ludzie rozejrzeli się dokoła i powiedzieli, że dopiero co stał na rogu placu i rył

święte znaki na woskowej tabliczce, ale teraz nagle znikł, jakby zapadł się pod ziemię. I potem nie odnalazł go nikt, choć żeglarze przeszukali całe miasto i pytali o niego we wszystkich domach.

Wywnioskowali z tego, że był to rzeczywiście święty mędrzec, i ci, którzy nie zdążyli uzyskać znaku na plecach, wyrzucali swoim naznaczonym kolegom, że nie uprzedzili ich w porę. Wszyscy jednak opowiadali, że ów mężczyzna był dość młody i miał czerwono-brązową skórę jak Fenicjanie, choć umiał mówić łamaną greczyzną.

Gdy to przesłuchanie odbywało się na placu, twarz Krinipposa skrzywiła się grymasem i zawrócił do domu z powodu bólów żołądka. Także Dionizjos zachowywał się tak, jak gdyby dostał

biegunki, ale nie powiedział swoim ludziom złego słowa. Tego samego wieczora przyszedł do naszego domu i miał ze sobą pierwszego sternika ze swego własnego dużego okrętu. Powiedział:

— Ten niebieski znak oznacza, że jest z nami kiepsko. Krinippos przyjdzie tu dziś w nocy, by się z nami naradzić, ponieważ uważa, że jego własny dom nie jest dostatecznie pewny dla narady.

Trzymajmy więc język za zębami o naszych własnych sprawach i wysłuchajmy go.

Dorieus rzekł zapalczywie:

— Nie ma już nic niejasnego w moich planach. Cieszę się, że także i ty, Dionizjosie, samorzutnie przyłączysz się do mnie, tak że dzięki temu nie musimy bić się o dowództwo.

Dionizjos westchnął cierpliwie:

— Całkiem, zupełnie i całkowicie słusznie, ale nie puść ani pary z gęby o Segeście tak, aby usłyszał to Krinippos. Bo wtedy nie pozwoli nam odpłynąć. Może dojdziemy do porozumienia, że ja obejmę dowództwo na morzu, a ty je przejmiesz, gdy znajdziemy się znowu na lądzie. Mo-

żemy zaskoczyć jakieś miasto portowe w Eryksie i zająć je na pierwszy punkt oparcia dla nas, bo musimy przecież także myśleć o okrętach.

Dorieus zastanowił się i przyznał:

— Może i tak będzie najlepiej. Ale kiedy wysiądziemy na ląd, nie potrzebujemy już żadnych okrętów. Dla wszelkiej pewności każę je wtedy spalić, żeby nikogo nie skusiło okazać tchórzostwa w walce.

Dionizjos schylił głowę, by ukryć swoją minę, ale przyznał mu rację. Mikon zapytał ciekawie:

— Dlaczego jest z nami źle z powodu tego niebieskiego znaku? Czemu musimy troszczyć się o jakiegoś znachora, który zarabia grosz na oszukiwaniu łatwowiernych żeglarzy?

Dionizjos kazał swemu sternikowi pilnować, żeby tym razem nie podkradły się żadne kobiety, by słuchać za zasłonami u drzwi.

115

— Koło Himery zauważono kartagiński okręt wartowniczy — powiedział. — Sądzę, że ma on za zadanie popłynąć z wieścią do kartagińskich okrętów wojennych, gdy tylko wyjdziemy w morze.

— Ale Himera nie prowadzi przecież wojny z Fenicjanami — wtrąciłem. — Przeciwnie, Krinippos jest przyjacielem Kartaginy, mimo że strzeże niezawisłości swego miasta. Co to ma wspólnego ze znakiem tego wróżbity?

Dionizjos przycisnął gruby palec wskazujący do dolnego brzegu mojej łopatki, uśmiechnął się ponuro i wyjaśnił:

— Właśnie w tym miejscu kartagińscy kapłani ofiarnicy robią pierwsze nacięcie, gdy obdziera-ją piratów żywcem ze skóry. Głowę, ramiona i nogi pozostawiają nie obdarte, tak że więzień może żyć przez wiele dni, ba, nawet chodzić na własnych nogach. Ale mają też wiele innych sposobów, jeśli chcesz posłuchać.

Dorieus oniemiał, a Dionizjos ciągnął:

— W ten czy inny sposób doniesiono na nas i teraz wiedzą już w Kartaginie, że nasz łup nie pochodzi z bitwy pod Lade. Dlatego też nie jesteśmy już bezpieczni na żadnym morzu. Kartagiń-

czycy czyhają na to, żebyśmy stąd wypłynęli. Także swoich sprzymierzeńców Etrusków uprzedzili z pewnością, że jesteśmy piratami. Samo w sobie nie ma to tak wielkiego znaczenia, ponieważ wiemy już, że Tyrreńczycy w żadnym wypadku nie pozwoliliby nam wpłynąć na ich wody.

Mikon był pijany, bo pił wino od rana. Jego krągłe policzki trzęsły się, gdy powiedział:

— Nie jestem strachliwy, ale sprzykrzyły mi się już trudy życia na morzu i myślę, że zostanę w Himerze, by wykonywać tu mój zawód lekarza, jeśli pozwolisz, Dionizjosie.

Dionizjos wybuchnął śmiechem, poklepał go po ramieniu i odparł życzliwie:

— Zostań tu tylko, Mikonie, a nie może ci się stać nic gorszego, jak tylko to, że Krinippos prędzej czy później będzie zmuszony wydać cię Fenicjanom, a wtedy skórę twoją przybiją na bramie portowej w Kartaginie. Twoją twarz i moją twarz, twarz Dorieusa i twarz Turmsa oraz twarz mego najlepszego sternika utrwalili sobie z pewnością w pamięci ich wywiadowcy. Ale Fenicjanie nie myślą tylko o dniu dzisiejszym, lecz na dziesięć lat naprzód, na wypadek gdyby udało nam się uciec do Massilii.

— Ale my przecież nie popłyniemy do Massilii — przerwał mu Dorieus.

— Naturalnie, że nie — odparł Dionizjos uspokajająco. — Oni tylko tak myślą, ponieważ słuchy tak mówią. I na ten wypadek naznaczyli zwykłych członków naszej załogi jako piratów, by móc ich rozpoznać gdziekolwiek bądź i kiedykolwiek bądź, gdy ich złapią. Nawet Grecy nie mogą osłonić piratów. To dlatego Krinippos jest taki zdenerwowany.

Uszczypnął się w skórę na ramieniu, jak gdyby chciał sprawdzić, jak luźno na nim siedzi, i ciągnął:

— Nawet jeśli dotrzemy do Massilii, dokąd wszakże nie będziemy żeglować, uspokój się, Dorieusie, może zdarzyć się gdzieś na końcu świata jeszcze, że ktoś z wioślarzy jako bezzębny starzec znajdzie się na pokładzie statku towarowego, który zostanie zatrzymany przez fenicki okręt wojenny. Pokaż no swoją łopatkę, powiedzą, i wtedy odkryją ten znak, choćby nawet on sam zdążył już zapomnieć o pochodzeniu swego dobytku. I nie minie długo, jak skóra jego zawi-

śnie na rei, a ciało leżąc będzie odarte ze skóry i wić się z bólu związane na rufie okrętu wojennego, dopóki słońce nie spiecze go na śmierć, mimo że Fenicjanie miłosiernie polewać je będą od czasu do czasu słoną wodą.

Jego słowa sprawiły, że spowaźnieliśmy. Dionizjos śmiał się z naszych min i rzekł szorstko:

— Człowiek, który wtyka rękę do gniazda dzikich pszczoł, by porwać plaster miodu, wie, w co się wdaje. Sami dobrze wiedzieliście, co robicie, kiedy przyłączyliście się do mnie.

Nie było to całkiem prawdziwe, ale nie mieliśmy ochoty spierać się z nim o to. Zdaliśmy sobie

sprawę, że jesteśmy z nim całkowicie związani, przynajmniej w oczach Fenicjan. A w tejże chwili wrócił sternik od drzwi i zacierając z zakłopotaniem ręce, oznajmił, że pani domu i jeszcze inna dama chcą wejść do komnaty. Dionizjos zaniepokoił się, wzdrygnął i wykrzyknął:

— Nie, tej kobiety nie chcę spotkać.

Ale Arsinoe wbiegła już do komnaty, aż załopotiała zasłona. Z niezmiernym zachwytem niosła w ramionach włochate zwierzę, podała mi je i zawołała:

— Ach, Turmsie, Turmsie, patrz, co kupiłam!

Patrzyłem na syczącego potwora z błyszczącymi oczyma, wiedząc, że to kot, zwierzę, które Egipcjanie uważają za święte, i które dlatego rzadko można spotkać w innych krajach. Ale widziałem kiedyś kota w Milecie, gdzie znamienite kobiety trzymały takie zwierzęta i także poza tym słynęły z zepsutych obyczajów. Już z tego powodu niezbyt to było dziwne, że Milet uległ

zagładzie.

— To kot! — wykrzyknąłem. — Zabierz zaraz to niebezpieczne zwierzę. Czy nie wiesz, że kryje ono w swoich miękkich łapkach ostre pazury?

Zmartwiłem się, bo wiedziałem także, że koty są drogie, a nigdy nie uzyskałem jasności co do tego, w jaki sposób Arsinoe zdobywa pieniądze na swoje zakupy. Ale Arsinoe zaśmiała się głośno z radości i zawołała:

— O, Turmsie, nie bądź znów taki niedobry. Weź go na ręce i pogłaskaj, a poczujesz, jaki jest gładki i z pewnością ci się spodoba.

Rzuciła kota do mnie. Ten sycząc wbił pazurki w moja pierś, zrobił mi pazurami kilka krwawych szram na ramieniu, wspiął mi się na głowę i najeżywszy ogon jednym skokiem wylądował

na ramieniu fenickiego bożka domowego.

— Ach, Turmsie, całe życie pragnęłam mieć takie rozkoszne zwierzę — gruchała Arsinoe. —

Wierz mi, on jest całkiem oswojony. To ty nastraszyłeś go swoim grubym głosem, wrzasnąwszy ze strachu. Pomyśl, jak on będzie leżeć w moim łóżu niczym miękki kłębuszek i czuwać nad moim snem nocą. Oczy błyszczą mu w ciemności jak małe latarnie, tak opiekuńczo. Nie możesz mi odmówić tak wielkiej przyjemności.

Policzki paliły mnie pod współczującymi spojrzeniami Dionizjosa, Dorieusa i Mikona. —

Wcale nie wrzasnąłem — odparłem. — I wcale nie boję się takich zwierzaków. Ale jest to zwierzę niepożyteczne i nie możemy zabrać go z sobą na okręt, teraz, gdy rychło mamy wyruszyć na morze.

— Powiedz raczej do Hadesu — wtrącił Dionizjos sarkastycznie. — Ach tak, nie sądziłem, że właśnie ty, Turmsie, okażesz się najgadatulwszym z nas wszystkich.

— Ale przecież całe miasto już wie, że odpływamy — wtrąciła niewinnie Arsinoe. — Rada w Kartaginie domaga się od Krinipposa, żeby albo was uwięził, albo wypędził. Wiedział o tym nawet przekupień, który miał to zachwycające zwierzę w klatce i palił przed nim kadzidło. Wła-

śnie dlatego sprzedał mi je tak tanio, żeby przyniosło nam ono szczęście na morzu.

Źle zrozumiała spojrzenie, jakie jej rzuciłem, i dodała gniewnie:

— Tak, tak, naturalnie uczynił to także dlatego, że jestem piękną kobietą, ale to nie moja wina i nie mogę nic na to poradzić, że niektórzy mężczyźni chcą mi dawać prezenty albo sprzedawać tanio różne rzeczy. Rozsądny małżonek uważałby to za korzystną zaletę. Brzydka kobieta jest dla małżonka droższa niż piękna, bo nie dostaje nic w prezencie.

Ale tak byliśmy ogłuszeni jej wiadomościami, że nie słuchaliśmy. Dionizjos podniósł w górę obie ręce i westchnął:

— Niech bogowie się zmiłują nad nami. Nie możemy już mieć żadnej innej nadziei.

117

Zastanowiłem się i odrzekłem:

— To jest wyraźnie podstęp wojenny Fenicjan. Wetknęli tego kota Arsinoe, żeby przyniósł nam nieszczęście. Czy nie był to fenicki przekupień?

Arsinoe tuliła przekornie kota w ramionach.

— Przeciwnie — odparła — To był Tyrreńczyk i w dodatku twój przyjaciel, Turmsie. Nazywa się Lars Alsir. Dlatego właśnie dał mi tego kota na kredyt.

Ulżyło mi na duchu, bo nie sadiłem, by Lars Alsir życzył mi czegoś złego. Dionizjos wybuchnął nagle wesołym śmiechem, wyciągnął ostrożnie swoją dużą łapę i pogłaskał kota spoczywają-

cego w ramionach Arsinoe. Fałszywe zwierzę wyciągnęło szyję i Dionizjos podrapał je palcem wskazującym pod brodą. Z wdzięcznym uśmiechem Arsinoe spojrzała na niego. — O Dionizjosie, więc to ty rozumiesz mnie najlepiej! — zawołała. Z pewnością rzuciłaby się Dionizjosowi na szyję, gdyby nie trzymała w objęciu kota. Zamiast tego dalej paplała:

— Czy i ty nie uważasz, że Turms jest bardzo naiwny, skoro nie widzi, co się dzieje tuż pod jego nosem? Żaden fenicki przekupień nie mógłby przecież sprzedać mi tego kota, ponieważ zaniechali oni wszelkiego handlowania i wynajęli wszystkich niezatrudnionych mężczyzn w mieście, by siedzieli w swoich domach z toporami w ręku. Tak, zabronili także wszystkim innym kupcom mieć coś do czynienia z wami i zagrozili, że ani jedna rzecz nie przyjdzie już z Kartaginy do Himery, jeśli ktoś wam coś sprzeda, choćby to był tylko chleb albo figi suszone. Uważam, że to bzdura. Zadaniem kupca nie jest chyba przeszkadzanie w kupowaniu i sprzedawaniu.

— Idź zaraz i zbudź kapłanów Posejdona, i każ im złożyć w ofierze za nas dziesięć wołów, niech to kosztuje, ile chce. A gdyby nie chcieli ci ich sprzedać, każ kapłanom czy jakiemuś, innemu godnemu zaufania Himeryczykowi kupić je na swoje imię i zapłacić mu za jego fatygę. Kości udowe i tłuszcz niech zostanie na ołtarzu, ale mięso zabierzcie na pokład już dziś w nocy. — A do Arsinoe dodał dwornie: — Wybacz mi, że ci przerwałem, ale kiedy patrzyłem na ciebie i na twego kota, nabrałem nieprzepartej chęci złożenia w ofierze Posejdonowi dziesięciu wołów. Z pewno-

ścią to rozumiesz.

Arsinoe przymknęła szelmowsko oczy i ciągnęła:

— Nawet Lars Alsir nie ośmieliłby się chyba sprzedać mi kota, gdyby ludzie wiedzieli, że jestem przyjaciółką Turmsa. Ale nikt tu nie wie przecież, kim jestem, choć wszyscy zgadują, jak mogą, gdy widzą mnie chodzącą po mieście z małym chłopcem, którzy trzyma parasol nad moją głową.

Złapałem się za głowę, bo zakazałem jej surowo opuszczać dom i ściągać na siebie uwagę.

Dionizjos wziął ją jednak za rękę i prosił:

— Opowiedz nam, co jeszcze słyszałaś i widziałaś w mieście?

Arsinoe ciągnęła:

— Kupcy wypowiedzieli także pożyczkę państwową, którą tyran Krinippos zaciągnął, gdy mury miasta miały być podwyższone. I teraz ludzie śmieją się i zastanawiają, jak to się wszystko skończy i czy Fenicjanie zamierzają zwalić mur, jeśli nie dostaną swoich pieniędzy. — Spochmurniała nagle, rzuciła mi zjadliwe spojrzenie i rzekła:

— Ach tak, przypominam sobie, że Lars Alsir wspomniał coś o wnuczce Krinipposa i o tobie, Turmsie. Co ty właściwie miałaś wspólnego z tą dziewczyną?

Naturalnie właśnie wtedy wpadł zdyszany najgodniejszy zaufania goniec Krinipposa i oznajmił przybycie swego pana. Tuż za nim zjawił się sam Krinippos z sandałami w ręku, dysząc jeszcze bardziej. A za nim przyszli wystraszony Terillos w złotym wieńcu na łysej czaszce oraz Kydippe, jakby przywołana przez złe moce. Gdy Arsinoe ją zobaczyła, rzuciła kota na posadzkę i wstała z rozplomienionymi oczami.

118

— Od kiedy to — zapytała — jest w zwyczaju, by młode kozy biegały za chłopami? Dużo mogłabym pomyśleć o Himerze, ale mimo to nie przypuszczałam, że ojciec przyjdzie, wlokąc córkę za sobą jak jakiś rajfur, by wmusić ją mężczyźnie, który o nią nie dba, a poza tym nie jest jej wart. Jeszcze mi za to zapłacisz, Turmsie. Na twoim miejscu wstydziłabym się tak, że zapadłabym się pod ziemię.

Groźnie zbliżyła się o krok do Kydippe i dodała z szyderczym śmiechem: — Przecież ona nie ma nawet piersi. A oczy jej są osadzone za daleko od siebie. No i ma też olbrzymie stopy.



Pozostało mi tylko złapać Arsinoe i wynieść ją kopiającą i miotającą się do naszej izby. Kot przemknął obok mnie i zdążył wskoczyć do łóża, zanim cisnąłem na niego Arsinoe. Rzuciłem ją tak gwałtownie, że na chwilę odjęło jej dech i przyglądała mi się niemal z szacunkiem.

— Ach, Turmsie, jak możesz mnie tak brutalnie traktować i czy rzeczywiście kochasz tak bardzo tę zepsuta dziewczynę? To przecież ze względu na nią przybyłeś do Eryksu. Dlaczego bez żadnego powodu zwabiłeś mnie tutaj, po to tylko, żeby ze mną poigrać?

— Kydippe — odparłem, tak byłem zbity z tropu. — To jest nie, Arsinoe, chciałem powiedzieć. Musisz teraz oszczędzać ducha i siły na ważniejsze sprawy. Przypuszczalnie wyjdziemy w morze już dzisiaj w nocy, a jutro rano staniemy się żerem dla ryb. Spakuj więc rzeczy i módl się do bogini, żebyś była gotowa na czas, bo gdy przyjdzie chwila wyruszenia, nie będę już pytać cię, czego ci brakuje.

Ale ona złapała mnie za połę płaszcza, potrząsnęła mną i zawołała:

— Nie wykręcaj się, niewierny Turmsie, lecz wyznaj natychmiast, co miałeś zamiar robić z tą dziewczyną, a pójdę i zabiję ją. Że też ty śmiesz! Sądziłeś naturalnie, że już usnęłam, nadaremnie naczekawszy się na ciebie, bo chciałeś zachować ogień na to spotkanie, które zorganizowałeś za moimi plecami.

Miałem tak nieczyste sumienie, że spieszenie odparłem:

— Droga Arsinoe, mylisz się całkowicie. Na pewno byłem jeszcze bardziej zdumiony od ciebie, gdy zobaczyłem Kydippe, i nie rozumiem, dlaczego jej głupi dziadek wlecze ją z sobą na najtajniejszą naradę. Jeśli chodzi o mnie, możesz sobie zatrzymać tego kota i nie powiem ci już na ten temat ani słowa, pod warunkiem, że nie będzie leżał w naszym wspólnym łóżu. Sądziłem, że Lars Alsir jest moim przyjacielem, i nie mogę zrozumieć, co mu wpadło do głowy, by plotkować z tobą o bagatelnej sprawie, która nie jest warta nawet, aby o niej wspominać.

Arsinoe uspokoiła się i powiedziała:

— Co się tyczy Larsa Alsira, przypominam sobie, że miałam jakąś wiadomość dla ciebie, ale co kazał ci powiedzieć, w tej chwili nie pamiętam z tego wzburzenia, że przyłapałam cię na gorącym uczynku. To chyba dobrze, że wyjdziemy na morze, gdzie nie roi się wokół ciebie od natrętnych dziewczyn, które wodzą cię na pokuszenie tak łatwo, jak to tylko możliwe.

— Ależ Arsinoe — wtrąciłem z rozpaczą, — Wierz mi, ona nic dla mnie nie znaczy i nie dotknąłbym jej nawet obcęgami. Odkąd spotkałem ciebie, nie poświęciłem ani jednej myśli Kydippe, a teraz, kiedy ujrzałem ją znowu, nie mogę zrozumieć, co dawniej w niej widziałem. Jej oczy, które są osadzone zbyt daleko od siebie, sprawiają, że wygląda kwaśno, i rzeczywiście ma bardzo duże stopy, choć nie zauważyłem tego przedtem, dopóki na to nie zwróciłaś uwagi.

Podrapała mi twarz paznokciami i krzyknęła głośno:

— Jeśli natychmiast nie przestaniesz pleść o tej Kydippe, wydrapię ci oczy. Dopiero co stałeś

przecież połykając ją wzrokiem, skoro zdażyłeś zobaczyć to wszystko.

Włożyła rękę w fałdy szaty na piersi, poszukała i powiedziała:

— Teraz już pamiętam posłanie Larsa Alsira! — Wyjęła małego konia morskiego, wyrzeźbionego w czarnym kamieniu i dużego jak mój wielki palec, i ciągnęła: — Tego konia posłał ci na 119

pamiętkę, choć nie jest on dużo wart. Możesz zapłacić za niego innym razem, kiedy przybędziesz do swego królestwa mówił żartobliwie, wybrałam więc ponadto parę małych klejnotów z jego zasobów. Prócz tego podarował także i mnie konia morskiego ze złota, żebym na pewno oddała ci tę kamienną taniochę i nie zachowała jej dla siebie samej. Nie rozumiem, jak mógł mnie podejrzewać o coś takiego, jakkolwiek jest to istotnie ładny mały koń morski.

— A jego posłanie? — zapytałem niecierpliwie.

— Nie poganiaj mnie — fuknęła Arsinoe marszcząc z namysłem czoło. — Mącisz mi tylko myśli. No tak, powiedział, że nie sądzi, by stało ci się coś złego, ale że związałeś się z ziemią i dodał, że wcale się temu nie dziwi, zobaczywszy mnie. Dlatego możesz potrzebować dobrej rady.

A ta rada jest taka, i wbił mi to mocno w głowę, że dwa kartagińskie okręty wojenne leżą wcią-

gnięte na brzeg i ukryte na zachód od Himery, a pod murem miejskim przy ołtarzu Iakchosa jest przygotowany stos. Obok ołtarza, żeby nikt się temu nie dziwił, ale prawdziwym celem tego jest zapalenie go na znak, że wypływacie stąd w nocy. I mówił jeszcze, że więcej okrętów wojennych zdąży tu, tak że byłoby może najsmardziej zabrać się stąd w porę.

Przeciągnęła się z westchnieniem na łożu w najbardziej ponętnej pozycji i odsunęła z roztargnieniem na bok kota. Ale jej wiadomości były ważne i nie odważyłem się patrzeć w jej stronę.

— Muszę już iść, Arsinoe — powiedziałem spiesznie. — Narada się zaczęła i Dionizjos mnie potrzebuje.

— Nawet mnie nie pocałujesz na pożegnanie — rzekła słabym głosem. — Tak, bardzo pragniesz zobaczyć znowu tę wielkostopą dziewczynę?

Przymknąłem oczy i pochyliłem się, by ją pocałować, a ona przycisnęła moją głowę do łona akurat tak długo, że doznałem radości, poczuwszy, jak trudno mi jest ją opuścić. Kiedy to spostrzegła, odtrąciła mnie od siebie obiema rękami i rzekła z wyrzutem:

— Ależ, Turmsie, czy nie możesz nawet w noc tak niebezpieczną, jak ta, myśleć o czymś innym niż wciąż o tym samym. Czy to tylko tego chcesz ode mnie, choć tak chętnie byłabym twoim doradcą i pomagała ci moją kobiecą mądrością?

Pchnęła mnie ku drzwiom, ale oczy jej promieniały błogością zwycięstwa, gdy znów wyciągnęła się na łożu i przyciągnęła do siebie kota.

Zdaje mi się, że tyran Krinippos w swej chciwości chętnie zatrzymałby nasz skarb i w nocy kazał zamordować Dionizjosa i wszystkich jego ludzi w ich łóżach, gdyby tylko śmiał. Ale będąc sam chytrym, żywił zdrowy szacunek dla chytrności Dionizjosa i przeczuwał, że ten ma się na bacności.

Jeszcze bardziej niż lęk o siebie powstrzymywała go też przysięga, którą złożył na swoje amulety. Był to stary i chory na żołądek człowiek, który tak długo i szczęśliwie panował w Himerze z pomocą tych świętych przedmiotów Demeter, że przypuszczalnie zaczął sam w nie wierzyć.

I kiedy poczuł, że śmierć wżera mu się w żołądek jak rak, nie chciał urazić podziemnych złama-niem przysięgi.

Gdy wróciłem do sali biesiadnej, targował się w najlepsze całkiem przyjaźnie z Dionizjosem o swoją część skarbu. Oprócz grzywien, które już ustanowił, domagał się jednej dziesiątej całości za to, że wypuści Dionizjosa z okrętami z Himery. Kydippe patrzyła na nas kolejno z przypochle-bnym uśmiechem, ale kiedy spotkałem jej chłodne dziewicze spojrzenie, spieszenie opowiedzia-

łem, czego dowiedziałem się od Arsinoe. W tejże chwili przyszedł sternik i oznajmił, że ogień ofiarny płonie już na ołtarzu Posejdona, a woły się szlachtuje. Dionizjos nakazał mu wysłać ludzi 120

z miasta, żeby polali wodą stos ustawiony koło ołtarza Iakchosa i zebrać członków załogi w mie-ście tak cicho, jak to było możliwe.

Kiedy więc Krinippos zdał sobie sprawę z powagi chwili, zaniechał swoich pogaduszek, stał się ostry i stanowczy, i rzekł:

— Błogosławię dziś w nocy moje prawo, które zakazuje mieszkańcom miasta poruszać się na dworze po zachodzie słońca. Kapłanów i ich ofiar prawo to nie dotyczy, a kiedy twoi ludzie spo-tkają strażnika na ulicy, mogą spokojnie dać mu po pysku, tak jak to dotychczas robili. Ci biedni ludzie, którzy tyle już wycierpieli, odwrócą się wtedy raczej plecami i odejdą w swoją stronę, gdyby przez pomyłkę zobaczyli kogoś z waszych, przemykającego się po ulicach.

Z Dionizjosem Krinippos uzgodnił, że nasi najbardziej zaufani ludzie o świcie wtargną do je-go domu, obezwładnią strażników i włamią się do skarbcza. Nasz dar pożegnalny mamy zostawić rozsypany na podłodze i w korytarzach, tak jakby jakiś kosz czy worek pękł w pośpiechu i się rozsypał.

— Ale moich strażników nie wolno wam zabijać — dodał ostrzegawczo. — To godni zaufania ludzie i wystarczy, że ich zwiążecie i nie dacie im krzycheć. Natomiast przy bramie miejskiej możecie owszem zabić kilku strażników i rozlać ich krew dokoła, tak aby wszystko wyglądało wiarygodnie. Wystawiłem tam na tę noc kilku pyskaczy, których z rozmaitych powodów chętnie chciałbym się pozbyć. Nie wypada, żeby tyran sam rozlewał krew, gdyż wzbudza to tylko niebezpieczny lęk u jego ludu. Dlatego możesz wyświadczyć mi tę przysługę, a równocześnie dopomóc swojej własnej sprawie.

Mimo bólów żołądka zaczął chichotać i gładzić rzadką brodę.

— Nie wiem, czy Fenicjanie pomyślą, żeś gwałtem wyrwał się z miasta i odpłynął wraz z załogą i łupem — mówił. — Ale rada kartagińska składa się z doświadczonych mężów, którzy kochają pokój i stosunki handlowe bardziej niż niepotrzebne spory. Toteż zastanowiwszy się nad całą sprawą, spostrzegą oni z pewnością szybko, że najkorzystniej dla wszystkich stron jest, by wierzyli w to, w co chcą, żeby uwierzyli. W taki sposób na mojej opinii nie pozostanie żadna plama, mimo że przez całą zimę gościłem piratów w moich murach.

Kydippe pogładziła go po policzku i prosiła:

— Drogi dziadku, nie męcz się i nie mów tak dużo. Wszystko ułoży się jak najlepiej, bylebyś tylko wrócił do domu, położył się i naciągnął kołdrę na uszy, żeby nie słyszeć nic, co się będzie działo. Ale pozwolisz mi chyba pocałować tych szczodrych mężów na pożegnanie, żeby życzyć im szczęścia w podróży.

Zarzuciła ramiona na byczy kark Dionizjosa i wycisnęła długi pocałunek na jego okolonych brodą ustach, mimo że Dionizjos zaiste miał o czym innym do myślenia w tej chwili. Także Dorieus dostał pocałunek, a po nim Mikon, mnie natomiast zachowała na ostatek. Podeszła do mnie, wspięła się na palce i spojrzała mi badawczo w oczy. A potem bez słowa ugryzła mnie szybko w wargę, tak że musiałem przez chwilę stać z dłonią przy ustach. Było to mocne ukąszenie, warga mi spuchła, i bardziej niż o nocnych niebezpieczeństwach myślałem, nieszczęśliwy, jak ja się wytłumaczę z tego przed Arsinoe.

Kiedy już pożegnaliśmy się z Krinippossem, życzyli mu długiego życia i podziękowali za jego nieocenioną gościnność, złożyliśmy ofiarę z napojów fenickim bogom domowym Heraklesa i Tanakwil. W trakcie ofiary Dorieus wybuchnął gromkim, długo powstrzymywanym śmiechem i powiedział:

— Chciałbym widzieć minę Krinipposa, kiedy usłyszy, że wyszliśmy na ląd w Eryksie i ciągniemy na Segestę. Będzie musiał wytłumaczyć radzie fenickiej więcej, niż przypuszcza.

Dionizjos kiwnął swoją byczą głową i zawtórował:

121

— Naturalnie, masz słuszość, i nawet mnie zbiera się na śmiech. Kiedy już będziemy na morzu, postanowimy, jaki obierzemy kurs, żeby skutecznie zmylić okręty kartagińskie.

Tak wielka była miłość własna Dorieusa i tak był zaślepiony swoimi planami, że serdecznie poklepał Dionizjosa po plecach i rzekł:

— Na morzu ty stanowisz. Właściwie rad jestem, że nas zdemaskowano w Kartaginie. Inaczej może byś w chwili przygnębienia jednak uległ pokusie, by płynąć do Massilii. Teraz jednak nic nie stracisz, wszczynając wojnę przeciw Eryksowi, ponieważ Kartagina i tak każe obedrzeć cię ze skóry.

Dionizjos zgadzał się z nim i powiedział: — Słusznie mówisz, ty, który jesteś prawdziwym potomkiem Heraklesa.

Dorieus brał wszystko dosłownie, ale ja podejrzewałem, że Dionizjos miał tu na myśli, iż nawet jeśli Herakles miał siłę i odwagę w spadku od bogów, to jednak został źle obdzielony, gdy chodzi o rozum.

Jednakże sprawy nagliły i Dionizjos poprosił mnie, żebym poszedł z nim sprawdzić w spi-sach, czy Krinippos nie przywłaszczył sobie ze skarbu więcej, niż mu się należało. Dorieus oświadczył, że włamanie i morderstwo są poniżej jego godności. Resztę nocy chciał użyć na pożegnanie ze swoją małżonką Tanakwil i ostatecznie umówić się z nią co do hasel i znaków, jakie miały wezwać do powstania synów Tanakwil w Segeście i Sikanów w lasach erycyńskich.

Obiecał, że chętnie dopilnuje, by Arsinoe i jej rzeczy znalazły się na okręcie, ale nie ufałem mu całkowicie i dlatego prosiłem Mikona, by go miał na oku, a także dopilnował, żeby i kot znalazł się na pokładzie.

Wszystko odbyło się szybko i sprawnie, tak jak uzgodniono. Strażnicy w domu Krinipposa nie stawili oporu, lecz złożyli broń bez wielkich ceregieli. Ludzie Dionizjosa związali im ręce z tyłu i z wielką radością skopali ich i posiniaczyli tak, że miało to wyglądać, jak gdyby stawiali oni gwałtowny opór. Oszczędny Krinippos podłożył klucz, żebyśmy nie musieli wyłamywać skomplikowanego zamka w cennych drzwiach skarbcza. Znaleźliśmy nasz stopniały skarb i załoga wyniosła go chwając się na nogach pod ciężarem przez bramę miejską na brzeg, a strażnicy przy bramie śmieli się z ich nocnych wysiłków. Część większych i bardziej nieporęcznych przedmiotów porzucił Dionizjos na podłodze jako dary pożegnalne dla Krinipposa i jego rodziny. Ale uczynił tak raczej ze względu na swoją opinię niż z poczucia obowiązku, bo i mnie ogarnął słuszny gniew, gdy ujrzałem, jak wiele zagarnął sobie Krinippos po bardzo niskich cenach.

Dionizjos prosił o zachowanie spokoju i pouczył mnie, że samo w sobie piractwo nie jest takie trudne jak sztuka zbycia splamionego krwią łupu za rozsądną cenę. Naszą stratę brał już w rachubę w chwili, gdy powierzał skarb opiece Krinipposa.

Żeglarze, choć było ich wielu, mieli roboty po uszy. Znosili na okręty mięso ofiarne z wołów Posejdona i zdaje mi się, że ostatni raz wymierzali na własną rękę sprawiedliwość w mieście, gdyż słyszeliśmy jęki i biadania w niektórych domach. Ale Dionizjos zamykał na to oczy, ponieważ konieczne było uzupełnienie zapasów oliwy i grochu na okrętach, i nie brał im też za złe, choć widział, jak wielu z nich przychodzi, dźwigając bukłaki z winem. Kiedy kobiety lamentowały nad miarę, powiedział tylko:

— Kobiety płaczą za swoimi mężami, którzy wyjeżdżają na morze, ale płacz i biadanie to naturalne prawo kobiety i nie możemy im tego zabronić. Wnet będą za to śmiać się z radości, kołysząc w ramionach silne niemowlęta. Zdaje mi się, że zostawimy po nas niezapomniane wspomnienie w Himerze. Z tych słów wywnioskowałem, że i on czuł się smutny na myśl o tym, ile dobrego doznaliśmy w Himerze. Byliśmy ostatnimi, którzy wyszli przez bramę miejską.

Upewniwszy się, że także Dorieus, Arsinoe i Mikon zdążyli na okręty, Dionizjos dał swoim ludziom znak, a ci zabili nagle i zniemacka strażników, którzy tak złośliwie przyglądali się naszemu odjazdowi. Tak jak było uzgodnione, żeglarze skropili obficie krwią ziemię, a czynili to chętnie, 122

by zagłuszyć boleść rozstania. Nie szczędząc wysiłków, oderwali też w końcu ze sklepienia bramy kamiennego koguta i zanieśli go na pokład na pamiątkę.

Noc wiosenna wzdychała wokół nas, morze chlupotało o przybrzeżne kamienie i musieliśmy zamoczyć nogi, by wejść na pokład nowo spuszczonego na wodę okrętu dowódcy. Było tak ciemno, że rozróżnialiśmy siebie nawzajem tylko jako cienie. Gdy Dionizjos poczuł, że pokład rusza się pod jego stopami, rozdał nozdrza wietrząc wiatr, spojrział na północ i na zachód, i powiedział:

— Turmsie, sprawco wiatrów, użyj teraz twoich sił i daj nam lekką bryzę, jeśli nie chcesz na własne oczy zobaczyć, jak twoja biała skóra spada ci do stóp niczym szata.

Powiedział to przypuszczalnie jako żart, bo nie kazał podnosić masztów, tylko dał ludziom rozkaz, by przygotowali okręty do bitwy i wysunęli wiosła. Oba pięćdziesięciowiosłowce wypływały przed nami z pluskiem wiosel i znikły jak cienie w ciemności, tak że niebawem słyszeliśmy tylko ostrożnie wybijany takt niosący się mrukliwie po wodzie. Potem Dionizjos wydał rozkaz naszym własnym wiosłarzom i kazał sternikowi uważać. Trzy rzędy wiosel uderzyły o wodę, potracając o siebie, a na dole pod pokładem dały się słyszeć krzyki i ryki, gdy wiosłarze nieprzywykli do nowego okrętu zgniatali sobie kciuki. Powoli i niepewnie zsunęliśmy się z brzegu i kilka powiewów bryzy dopomogło nam uniknąć mielizn, dopóki ludzie nie złapali taktu we wiosłowaniu i okręt nie nabrał sterownej szybkości.

W ten sposób opuściliśmy Himereę i smutek pożegnania wycisnął gorące łzy z moich oczu. Ale zdaje mi się, że opłakiwałem nie tyle Himereę, co moją własną niewolę. Dopiero gdy Dionizjos poprosił mnie o wiatr, zrozumiałem, co miał na myśli Lars Alsir, mówiąc Arsinoe, że związałem się z ziemią. Arsinoe ciągnęła mnie do ziemi, zamacała moje myśli i mój umysł, i czyniła mało ważne rzeczy ważnymi dla mnie. Kiedy pomyślałem o wyzwaniu wiatru, poczułem natychmiast straszliwy ciężar mego ciała. Moja siła opuściła mnie.

Dionizjos, który zauważył, że mu nie odpowiadam, tylko ciężko oddycham, poklepał mnie po karku i rzekł:

— Nie wysilaj się niepotrzebnie. Najlepiej, żebyśmy zaczęli od wiosłowania, żeby przyzwycząić się do nowego okrętu i nauczyć się, jak strzeże on się fal. Inaczej może się zdarzyć, że pierwszy podmuch wiatru zabierze z sobą maszt i nas przewróci.

— Dokąd zdążamy? — zapytałem.

— Niech to rozstrzygnie Posejdon — powiedział życzliwie. Ale radzę ci sprawdzić, czy twój miecz nie zardzewiał w pochwie podczas tej zimy leniuchowania. No cóż, najpierw popłyniemy prosto i odwiedzimy oba kartagińskie okręty, ponieważ sądzę, iż nikt się nie spodziewa, że zamierzamy to zrobić. Spędziłem trochę czasu na łowieniu ryb wzdłuż tutejszych wybrzeży i pły-  
nałem nawet z ławicą okrągłych tuńczyków. Toteż znam znaki lądowe na zachodzie i domyślam się, w której zatoce

kartagińscy dowódcy wciągnęli na brzeg swoje okręty, jeśli są dobrymi żeglarzami. I jeśli się mylę, i nie znajdę ich do wschodu słońca, mogę sam napluć sobie w brodę.

— Sądziłem, że chcesz wyjść na morze, żeby ich uniknąć — odparłem. — Kazałeś przecież polać wodą ich stopy sygnałowe. O wschodzie słońca byłibyśmy już daleko i poza zasięgiem widzenia.

— I mielibyśmy ich na piętach niczym psy gończe — burknął pogardliwie. — Nie, mając dwa tylko okręty, nie szukają walki, lecz chcą jedynie związać nas i zapędzić w paszcze tych kartagińskich okrętów, które tu zmierzają. Czemu nie miałbym skorzystać ze sposobności? Moi ludzie są wypoczęci i potrzebują orzeźwiającego zwycięstwa, by oderwać się od smutku pożegnania.

A wiosłarze przyzwyczajają się szybciej do wiosła, gdy wiedzą, że wiosłują, by uniknąć uderzeń nadpływających brązowych taranów. A jeśli masz coś przeciw walce, Turmsie, idź spokojnie i po-

łóż się pod pokładem obok Arsinoe.

123

Kiedy tak płynęliśmy o wiosłach, blisko granicy między morzem i lądem, i statek poruszał się ostrożnie pod moimi stopami, ogarnął mnie przeraźliwy lęk. Nie wiedziałem nic o prądach morskich i oddziaływaniu odpływu i przyptywu na ruchy okrętu, nie umiałem czytać w chmurach tak jak Dionizjos, i wiatr nie słuchał mnie już. Nie byłem niczym innym jak ziemią i ciałem, i nie wierzyłem już, że to piorun mnie wyświęcił. Wszystko, co działo się wokół mnie, było tylko zaskakującą grą przypadku. I nie było dla mnie żadną pociechą, że Arsinoe czekała na mnie w bezpieczeństwie pod pokładem, lecz świadomość całej tej troski i rozkoszy, które miała mi dać, gdybym musiał żyć przy jej boku, była bólem, który dopiekał mi najbardziej, gdy okręt huśtał się na falującym morzu.

Po chwili podszedłem do relingu, usiadłem na pokładzie i trzymając się mocno trapu, wyrzygałem się do morza z czystego strachu. Potem poczułem się lepiej.

Sądzę, że krótki rejs Dionizjosa w tę wiosenną ciemną noc był jeszcze lepszym dowodem jego zręcznego żeglarstwa niż to, czego dokonał, ratując nasze okręty przed burzami ubiegłej jesieni, choć wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Kiedy wstał świt, wszystkie trzy nasze okręty znalazły się obok siebie i wpłynęliśmy prosto do zatoki, gdzie fenickie rogi zaczęły zaraz ryczeć na alarm, a brązowe gongi brzmieć. Kartagińscy strażnicy byli czujni, ale przypuszczalnie nie wierzyli zrazu swoim oczom, gdy jak duchy wychynęliśmy o świcie z morskich cieni. Kartagińczycy byli jednak na tyle doświadczeni żeglarzami, że zdążyli ściągnąć oba swoje okręty na wodę i postawić pod broń wojowników, zanim zdążyliśmy wpłynąć do osłaniającej zatoki. Kiedy wówczas zobaczyli naszą triramę zbliżającą się, wielką i straszliwą, z pięćdziesięciowiosłowcami niczym z psami gończymi po obu bokach, ich lekkie okręty wojenne najchętniej zwróciłyby się do ucieczki, by potem ścigać nas z oddalenia. Ale zaskoczeni dowódcy i sternicy kartagińscy wydali bojowe rozkazy, wybijający takt zmylili uderzenia, i wiosła splątały się z sobą.

Dionizjos rykiem dodawał ducha swoim ludziom i jego zadziwiające szczęście wojenne pomogło nam tak, że nasz niepewnie wiosłujący okręt niczym cień poszedł za jednym z uciekają-

cych okrętów fenickich i samym swoim ciężarem rozbił go jak skorupkę od jajka o nadbrzeżne skały, równocześnie zaś sam zatrzymał się i uniknął wpadnięcia na mieliznę. Ryk śmiertelnego strachu znany mężom z Fokai wzniósł się spod naszych burt, kartagińscy hoplici wpadli do wody, a wiosłarze wyskoczyli za nimi, by ratować się na ląd. Tylko dwóch łuczników zostało na roz-bitym okręcie i próbowało przysporzyć nam szkody ale Dorieus rzucił włócznią i przygwoździł

jednego z nich do desek pokładu, drugiego zaś zmiotli za burtę wiosłarze swoimi wiosłami.

Drugi fenicki okręt, widząc, że zguba jest nieunikniona, popłynął z powrotem do brzegu i je-go załoga uciekła do nadbrzeżnego lasu. Za nimi poszli ci, którzy ocaleli ze zniszczonego okrętu, i wkrótce z zarośli zaczęły świszczeć strzały. My na pokładzie z trudem tylko broniliśmy się przed nimi tarczami. Natomiast te, które trafiały w luki dla wiosła, zraniły dwóch wiosłarzy tak, że Mikon ku swojej radości znalazł zajęcie pod pokładem. Deszcz strzał był tak gęsty i celny, że Dionizjos dał załodze rozkaz wycofać się na szersze wody i powiedział:

— Starym fenickim zwyczajem mają na pokładzie więcej łuków niż mieczy. Ale to nie z tchó-rzostwa się wycofuję. Muszę uważać, żebyśmy się nie rozbili o przybrzeżne głazy.

Tymczasem Kartagińczycy wyciągali z wody rannych, dodawali sobie krzykiem otuchy, wygrażali nam pięściami i klęli we wielu językach, także po grecku. Byli przeważnie rudzi, ale widać było wśród nich także ciemnowłosych i bezbrodych. Dorieus potrząsnął w ich stronę gniewnie tarczą i zaproponował:

— Wyjdźmy na ląd i pozabijajmy ich. To przecież wstyd i hańba znosić takie obelgi, choć już zmusiliśmy ich do ucieczki.

Dionizjos przyjrzał mu się z namysłem i rzekł:

— Gdybyśmy wyszli na ląd, oni biegają szybciej niż my i zwabią nas do lasu, by nas tam wymordować jednego po drugim. Okręt, który zatopiliśmy, jest nie do użytku raz na zawsze, ale ten  
124

wciąż jeszcze nieuszkodzony musimy spalić, mimo że dym zdradzi, gdzie jesteśmy. Nie chcę, by szedł trop w trop moim śladem.

Dorieus powiedział:

—: Palić to dla wojownika równie zaszczytne jak zabijać. Pozwól mi wyjść na ląd i powiększyć moją chwałę wojenną. Nie dopuszczę Kartagińczyków blisko, a tymczasem ktoś inny podpali okręt.

Dionizjos patrzył na niego z otwartymi ustami, ale spieszenie zgodził się:

— Niczego innego nie chcę. Sam prosiłbym cię o tę drobną przysługę, gdybym się nie obawiał, że uznasz to za zbyt małożnaczne zadanie dla takiego jak ty. Ale masz najszerszą tarczę i najmocniejszy pancerz i jesteś wśród nas najprzedniejszym wojownikiem.



Dorieus zakrzyknął żywo, pytając wokoło, kto chce z nim pójść zdobyć nieprzemijającą sławę.

Ale ludzie z Fokai unikali jego spojrzenia. Dopiero gdy Dionizjos napomknął, że na kartagińskim okręcie może być coś wartościowego, zbliżył się jeden z pięćdziesięciowiosłowców, wziął Dorieusa na pokład i podszedł do brzegu tak, że Dorieus mógł zeskoczyć na ląd z wysokiej rufy. Dwóch ludzi z krzesiwem i dzbanami oliwy wdrapało się szybko na okręt kartagiński, a pięćdziesięciowiosłowiec odsunął się znowu od brzegu, by nie stać w pobliżu ognia. Dionizjos zawołał uspokajająco do podpalających okręt, że nie muszą się spieszyć.

Kiedy Kartagińczycy zobaczyli, że Dorieus stoi sam na brzegu wygrazając im tarczą, zaopatrzone tylko w wiązkę ciężkich włóczni pod pachą, zdumieli się przez chwilę tak, że zamilkli.

Dorieus wrzasnął głośno, tupnął o ziemię i wyzwiał ich na bój. Dopiero gdy dowódca kartagiński ujrzał smugę dymu wznoszącą się z jego pomalowanego na czarno i czerwono okrętu, wypadł

z lasu z hoplitami, by go ratować. Było ich z piętnastu i w ślepej wściekłości wpadli sobie w drogę, pędząc ku Dorieusowi. Ten ciskał trafnie śmiertelne włócznie i zabił lub obalił czterech napastników. Potem wyrwał miecz z pochwy i nie czekając pobiegł na spotkanie pozostałym, wzywając głośnym rykiem swego przodka Heraklesa, by mu towarzyszył i patrzył na bój. Atakujący stropili się i dwóch z nich zawróciło i uciekło, podczas gdy resztę zabił Dorieus, a wśród nich przede wszystkim dowódcę okrętu, który zaślepiony wściekłością nadział się prosto na miecz Dorieusa.

Kiedy Dionizjos to zobaczył, zaklął, darł włosy z brody i wołał:

— Cóż to za wojownik! Dlaczego musiał dostać tym wiosłem w głowę pod Lade!

By zaczerpnąć tchu, Dorieus schylił się i zdarł złote kolczyki z uszu kartagińskiego dowódcy, zabrał mu także lwią głowę, którą tamten nosił na szyi. Musiał przy tym żywo bronić się przed strzałami i oszczepami, którymi Fenicjanie usiłowali go przepędzić. Jego tarcza opadała pod ciężarem oszczepów, które w niej ugrzęzły, i aż do nas słychać było szcęk strzał odbijających się od jego pancerza i nagolennic.

Tymczasem obaj Fokajczycy podkładali ogień na kartagińskim okręcie i przeszukiwali go.

Dopiero potem rozbili dzbany z oliwą i płomienie buchnęły wysoko pod niebo.

Na brzegu Dorieus strącił z tarczy drzewce oszczepów, deptając je stopą obutą w okuty brązem sandał. Ale niebawem zmuszony był wyrwać strzałę z uda, druga zaś przeszła mu policzek w momencie, gdy ryczał z szeroko otwartymi ustami. Fenicjanie wykrzyknęli z radości i znów pobiegli ku niemu ławą, ale on lekko kulejąc rzucił się im na spotkanie, tak ogromny i rozwścieczony, że szybko zawrócili i uciekli. Słyszeliśmy, że biegnąc wzywali swego boga Melkarta na pomoc.

Gdy Dionizjos zobaczył ten niewiarygodny widok, wybuchnął gorzkim płaczem i zawołał:

— Moje oczy nie zniosą widoku, by tak dzielny mąż poległ bez żadnego pożytku w mało-znaczej potyczce, choćby nawet tak było najlepiej dla nas wszystkich.

W tej chwili uświadomiłem sobie, że i ja potajemnie pragnąłem, by Dorieus poległ. Dlatego z takim poczuciem winy stałem i przypatrywałem się walce, nie próbując nawet pospieszyć mu 125

na pomoc. Teraz było już za późno, gdyż Dionizjos nakazał jednemu z pięćdziesięciowiosłowców podejść do brzegu i zabrać Dorieusa. Okręt kartagiński płonął jasnym płomieniem, rzucając ku niebu czarne kłęby dymu. Obaj podpalacze płynęli już do swoich okrętów, każdy z zawiniątkiem łupu zawieszonym u szyi. Zdałem sobie teraz sprawę, że Dionizjos pierwotnie zamierzał zostawić Dorieusa na brzegu, by spotkała go tam zagłada. Ale uświadomił sobie, że jego sława ucierpiała-by, gdyby zostawił Dorieusa w potrzebie po tak mężnej walce.

Pięćdziesięciowiosłowiec podszedł więc do brzegu, unikając płomieni z okrętu kartagińskiego i załoga wciągnęła Dorieusa na pokład. Uratował on nawet przeszytą oszczepami tarczę, choć krew lała mu się z uda i zabarwiła wodę na czerwono, kiedy brodził do okrętu.

W tak niesłychanym napięciu obserwowaliśmy walkę Dorieusa, że dopiero po tym, jak dopomogliśmy mu przedostać się do nas, spostrzegłem, iż Arsinoe stoi za mną i z podziwem wpatruje się w Dorieusa. Była odziana w całkiem krótką tunikę, z szerokim srebrnym pasem, który podkreślał jej smukłą talię.

Dionizjos i sternik zaczęli gapić się na nią i zapomnieli o Dorieusie. Również wybijający takt wiosłarzom zapomniał bić w gong i wiosła wypadły zaraz z taktu. Dionizjos opamiętał się i zaczął

ryczeć, przeklinać i popędzać ludzi kawałkiem liny. Woda zaszumiała o stewę i płonący okręt na brzegu pozostał wnet za nami.

Kiedy już pomogłem Dorieusowi zdjąć zbroję, a Mikon zaczął smarować maścią jego rany, zwróciłem się do Arsinoe i zapytałem ze złością:

— Co ty sobie myślisz, pokazując się żeglarzom w tym odzieniu? Twoje miejsce jest pod pokładem i tam powinnaś siedzieć. Mogła cię zranić strzała.

Nie zwracając na mnie uwagi, podeszła do Dorieusa, spojrzała na niego z podziwem i rzekła:

— O Dorieusie, jakim jesteś bohaterem. Zdawało mi się, że widzę samego boga wojny w ca-

łym jego blasku i nie wierzyłam już, że jesteś człowiekiem. Jak jasną czerwienią błyszczy krew spływająca ci po szyi. Chciałabym pocałunkiem uzdrowić twój przeszyty strzałą policzek, gdybym tylko mogła. Nie przeczuwasz nawet, jak podnieca mnie widok zaschniętej piany wściekłości w kącikach twoich ust i męski zapach twego potu po walce.

Mikon odsunął ją na bok, opatrując rany, ale członki Dorieusa przestały dygotać, a jego usta drzeć. Przebłysk rozsądku pojawił się znowu w jego oczach. Spojrzał z pożądaniem na Arsinoe i z pogardą na mnie.

— Chętnie miałbym Turmsa u boku jak dawniej — powiedział. — Czekałem na niego, ale nie przyszedł. Gdybym wiedział, że patrzysz, zabiłbym jeszcze więcej Kartagińczyków w ofierze dla

twojej piękności. A tak pozwoliłem im uciec, bo nie chciałem biegnąc za nimi nadwerężyć zranio-nego uda.

Arsinoe także obrzuciła mnie spojrzeniem, zesznurowała usta i ukląkszy na twardym pokładzie powiedziała:

— Cóż to za niezapomniana walka. Gdybym mogła, wzięłabym coś z tego brzegu, choćby tylko garść piasku albo muszlę na pamiątkę o tobie, Dorieusie, tak wspaniale wyglądałeś z mieczem w dłoni.

Dorieus zaśmiał się dumny ze zwycięstwa.

— Nie byłoby ze mnie wielkiego pożytku — rzekł — gdybym zadowalał się piaskiem i muszlami jako wojennymi pamiątkami. Weź to ode mnie na pamiątkę! — I wręczył Arsinoe złote kolczyki dowódcy kartagińskiego okrętu ze zwisającymi jeszcze płatami skóry.

Arsinoe plasnęła w ręce z radości i wzięła je, nie okazując strachu przed krwią. Zamigotała nimi w słońcu i wykrzyknęła z zachwytem:

126

— Jeśli już koniecznie tego chcesz, nie mogę cię zranić odmawiając przyjęcia. Wiesz przecież, że nie dbam o to, ile one ważą. Nieporównanie bardziej cenne są dla mnie tylko jako pamiątka twojej walki.

Pozostała jeszcze przez chwilę na klęczkach na pokładzie, spochmurniała, kiedy Dorieus nie powiedział nic więcej, potrząsnęła potem z wahaniem głową i ciągnęła z afektacją:

— Nie, nie, jednak nie mogę ich przyjąć. Nie masz przecież sam żadnej pamiątki twojej walki.

Aby pokazać, że to podejrzenie jest nieuzasadnione, Dorieus wyjął naszyjnik, który zdobył.

Arsinoe wzięła go do ręki, żeby lepiej go obejrzeć i wykrzyknęła:

— O, wiem, wiem, to znak dowódcy. Zupełnie podobny łańcuszek z lwią głową dostała dziewczyna w naszej szkole od zadowolonego gościa. Pamiętam jeszcze, jak płakałam z zazdrości, myśląc, że z pewnością nikt nigdy nie da mi takiego naszyjnika.

Dorieus zacisnął wargi, ponieważ jako Spartanin nie był rozrzutnikiem, ale mimo to wręczył

Arsinoe łańcuszek i medalion, i powiedział:

— Zachowaj go, jeśli może ci to sprawić radość. Dla mnie znaczy to niewiele i nie sądzę, by Turms mógł postarać się dla ciebie o podobny.

Arsinoe udała największe zdziwienie, kilkakrotnie odsunęła dar od siebie i zapewniała:

— Nie, o nie, w żaden sposób nie mogę go przyjąć i nigdy bym go nie wzięła, gdybym nie chciała

zatrzeć upokorzeń z mojej młodości w szkole świątynnej. I jak będę mogła kiedyś odplącić ci za twoją dobroć? Zaprawdę nigdy bym go nie przyjęła, gdybym nie wiedziała, jakimi dobrymi przyjaciółmi jesteście ty i Turms.

Kiedy przyglądałem się temu niegodnemu widowisku, wszelkie uczucie przyjaźni było ode mnie daleko. Ale gdy Arsinoe dostała już łańcuch i zobaczyła, że Dorieus nie ma już nic więcej do podarowania, wstała natychmiast, otrzepała obtarte kolana i oznajmiła, że nie chce już dłużej męczyć Dorieusa, który z pewnością cierpi ból z powodu ran.

Tymczasem Dionizjos ustawił okręty w szyk torowy i zwiększył tempo do ostateczności, żeby przewyciężyć siłę przyciągania do brzegu i jak się da najszybciej wyjść na otwarte morze poza zasięg widzenia z lądu. Ale widział, co się stało i przyszedł teraz do nas, z roztargnieniem obmacując duże złote kolczyki w swoich uszach.

— Arsinoe — rzekł z pełnym szacunkiem — moim ludziom się zdaje, że mają boginię na pokładzie, kiedy na ciebie patrzą. Ale przyglądanie się tobie przeszkadza nam w wiosłowaniu i sterowaniu, a jeśli napatrzą się jakiś czas na ciebie, przyjdą im do głowy groźniejsze myśli, jak ich znam. Dlatego też byłoby zdrowiej także dla Turmsa, gdybyś zeszła w porę pod pokład i zbytnio się nie pokazywała.

Z miny Arsinoe widziałem, że niczego bardziej nie pragnie, jak móc krnąbrnie oprzeć się Dionizjosowi, toteż spieszenie dodałem:

— Nikt nie może zmusić cię do tego, ale szkoda by było, gdyby palące słońce oszpeciło twoją białą jak mleko cerę.

Arsinoe krzyknęła z przerażenia i zasłoniła szybko swą nagość, tyle ile się dało.

— Dlaczego zaraz mi tego nie powiedziałeś — zwróciła się do mnie z wyrzutem i zaraz zbiegła pod pokład do maleńkiej izdebki, którą przygotował tam dla niej sternik. Kiedy spostrzegła mój wzrok, natychmiast spoważniała i rzekła:

— Nie bądź głupi, Turmsie, i nie myśl o mnie źle. Na boginię, raczej wyrzucę te dary w morze, niż mam oglądać takie twoje oczy. Być może jestem trochę chciwa i nadmiernie lubię klejnoty.

Chętnie przyjmuję też podarunki od mężczyzn, i to raczej dary o trwałej wartości niż dary bezwartościowe. Nie możesz zaprzeczyć, Turmsie, że ty sam nie zdążyłeś mi jeszcze ofiarować godnych wzmianki darów.

127

Objęła ramionami moje kolana i pospiesznie dodała:

— Naturalnie nie potrzebuję od ciebie żadnych darów, ponieważ sam jesteś darem, jaki dosta-

łam. Ale byłbyś małostkowy, gdybyś zabronił mi przyjmować dary od innych. Zauważyłam już, że jesteś człowiekiem rozrzutnym i nie umiesz myśleć o przyszłości, tak jak to powinien robić mężczyzna, który związał swój los z kobietą. Dla mnie dobry jesteś taki, jaki jesteś, i z tobą wiązka

trzciny jest dla mnie wystarczającym posłaniem, a do jedzenia wystarczy kawałek solonej ryby.

Ale lepiej byłoby mieć piękny dom i zaufane sługi, które by nim zarządzały, oraz niewolników, którzy by orali pola. Pozwól mi więc być przewidującą, dopóki mam możliwość.

Jej słowa złagodziły moje rozgoryczenie. Wykazały przecie, że zamierza żyć razem ze mną do końca naszych dni. Kiedy spostrzegła, że się udobruchałem, pogładziła mnie po policzku i prosiła:

— Turmsie, staraj się także mnie zrozumieć choć trochę i nie myśl zamsze tylko o sobie samym. Moja piękność to jedyne, co posiadam, a trwa ona tylko przez pewien czas. Wybacz mi zatem, jeśli całkiem niewinnie chcę z tej mojej piękności ciągnąć korzyści, dopóki mogę. Kochaj mnie taką, jaką jestem, bez żadnych złych myśli. I tak nie mogę stać się inną.

— Ach, Arsinoe — zrzędziłem — terkoczesz jak woda, kiedy mówisz, i nigdy nie jesteś spokojna, tylko zmieniasz się co chwilę. Ale może właśnie dlatego kocham cię i cierpię przez ciebie.

Ilekcroć sięgam po ciebie, wyslizgujesz mi się przez palce. Powiedz mi, ukochana, jak mógłbym do ciebie dotrzeć?

Rozwarła szeroko oczy, przyjrzała mi się z przyjemnym bezwstydem i rzekła:

— O, Turmsie, sam wiesz to najlepiej i nie mogę ci tu dać żadnej rady.

Otoczeni trzeszczeniem wioseł i chlupotaniem fal pozostaliśmy razem pod pokładem, ale jej ciała nic nie mogło znużyć i z każdym moim uściskiem ona stawała się tylko bardziej ożywiona i rześka. O zmierzchu była zdrowa i bujna jak ulistniona winnica, ja zaś przydeptany jak flądra.

Ale wobec niej byłem bezsilny.

5

Trzy dni wiosłowaliśmy na pełnym morzu i żadne wiatry nie obudziły się, by nam dopomóc w drodze. Na noc związywaliśmy okręty ze sobą, a kot Arsinoe przemykał się po relingach z żarzącymi się oczyma, tak że wioślarzy ogarniał zabobonny szacunek. Nie szemrali też, tylko wiosłowali usilnie w nadziei, że każde pociągnięcie wiosłem oddała ich od okrutnych okrętów Kartagińczyków.

Ale czwartego wieczora Dorieus włożył przepaskę na biodra, zaczął przemawiać do swego miecza, śpiewał lacedemońskie pieśni bojowe, by podniecić się do szaleństwa, i w końcu poszedł

i stanął na szeroko rozstawionych nogach przed Dionizjosem.

— Co ty sobie właściwie myślisz, Dionizjosie z Fokai? — zapytał. — Okrętom kartagińskim uszliśmy już dawno temu. Po słońcu i gwiazdach widzę, że dzień po dniu zdążamy na północ. Na tyle się na tym rozumiem, że wiem, iż takim kursem nie dojdziemy nigdy do Eryksu.

— Zupełnie słusznie, masz rację i zamierzałem z tobą o tym porozmawiać — odparł Dionizjos

dobrodusznie. Równocześnie podniósł do góry kciuk na znak dla swoich ludzi, a ci chwycili Dorieusa za ręce i nogi, i związali go jak barana tak szybko, że nie zdążył tknąć miecza. Kiedy już wywarczał z siebie zdumienie, przypomniał sobie o swej godności, zamilkł i wpatrywał się w Dionizjosa żądnym morderstwa wzrokiem.

— No tak, widzisz, Dorieusie, potomku Heraklesa — powiedział Dionizjos pojednawczo, zwracając się równocześnie do swoich ludzi, którzy wcale niechętnie podnieśli rękę na Dorieusa.

128

— Szanujemy wysoko twoją odwagę, a z rodu jesteś o wiele szlachetniejszy niż my wszyscy, ale sam musisz przyznać, że uderzenie wiosłem pod Lade dokucza ci od czasu do czasu. Twój boski przodek Herakles sam bywał czasem zamroczony i słyszał tylko płacz dzieci dźwięczący mu w uszach. Bardzo się zmartwiłem, zobaczywszy, że siedzisz i rozmawiasz ze swoim mieczem tak, jakby to było żywe stworzenie, choć jest to tylko bezduszne żelazo. Ale jeszcze bardziej się zmartwiłem, kiedy usłyszałem, że mówisz o gwiazdach i słońcu i sztuce żeglarskiej, na której wcale się nie rozumiesz. Dla twego własnego zdrowia będę teraz zmuszony trzymać cię na razie zamkniętego w forpiku, dopóki się nie uspokoisz i nie znajdziemy się w Massilii.

Także ludzie z załogi klepali Dorieusa pojednawczo po ramieniu i mówili:

— Nie bądź na nas zły, robimy to dla twego własnego dobra. Bezkres morza wywołuje często szum w nieprzywykłej głowie. Nawet chytry Odyseusz kazał przywiązać się do masztu, kiedy na nadbrzeżnych skałach zaczęły mu się zwidywać syreny i usłyszał ich śpiew.

Dorieus trząsał się z wściekłości, aż statek dygotał, i krzyczał:

— Wcale nie do Massilii płyniemy. Zamiast okropnej morskiej podróży proponuję wam lekką walkę na lądzie, a kiedy zdobędziemy psią koronę Segesty, rozdzielę między was ziemie erycyj-

skie i każę pobudować domy, gdzie możemy razem mieszkać i wychowywać naszych synów na wojowników. Elymijczyków dam wam na niewolników, by uprawiali wam ziemię, a z Sikanami możecie się zabawiać, polując na nich i zabierając im kobiety. Wszystkiego tego Dionizjos zamierza zdradziecko was pozbawić.

By zagłuszyć jego pełen wyrzutu głos, Dionizjos wybuchnął gromkim śmiechem, bił się po udach i krzyczał:

— Słuchajcie, jaki on jest zamroczony! Mielizbyśmy opuścić morze, my, Fokajczycy, po to, żeby grzebać się w ziemi? Jeszcze nigdy czegoś głupszego nie słyszałem.

Ale jego ludzie zaczęli przestępować z nogi na nogę i zezować na siebie, wiosłarze wyszli na pokład z ław wiosłarskich, a ludzie, z pięćdziesięciowiosłowców wdrapali się na rufy, by lepiej słyszeć. Dionizjos spoważniał, postawił stopę na ustach Dorieusa, by go uciszyć i przemówił do nich:

— Płyniemy na północ, by dotrzeć prostą drogą do Massilii, i jesteśmy już na wodach Tyrreń-

czyków. Ale morze jest rozległe i moje dobre szczęście sprzyja mi nadal. Jeśli to będzie konieczne, pokonamy także tyrreńskie okręty i przebijemy się przez nie. W Massilii uprawia się czerwone wino, tam nawet niewolnik macza swój chleb w miodzie, a białe jak mleko niewolnice można kupić za kilka drachm.

Dorieus przekręcił głowę na bok gwałtownym ruchem i zawołał:

— Zamiast nieznanymi niebezpieczeństwami i obcych bogów proponuję wam dobrze znany kraj, gdzie świątynie są zbudowane na sposób grecki, a barbarzyńcy uważają za honor umieć po grecku. Proponuję wam krótki rejs i lekką wojnę. Na własne oczy widzieliście, jak walczę i do końca życia będziecie mogli zasiadać jako panowie i władcy pod ochroną mojej psiej korony.

Dionizjos usiłował kopnąć go w głowę, ale jego ludzie przeciwstawili się temu. Niektórzy z nich spoważniali i zaczęli mówić między sobą:

— W słowach Dorieusa jest prawda, i nie wiemy, z jakim przyjęciem spotkamy się u naszych ziomeków w Massilii. Tyrreńczycy zatopili bez trudu sto okrętów naszych przodków. Nas jest nie więcej niż trzystu i trzy okręty nie wystarczą na długo, gdy morze przed nami stanie się czarne i czerwone od tyrreńskich okrętów.

Dorieus wołał:

— Trzystu dzielnych mężów za moją tarczą to hufiec, i w boju nie jestem tym, który rozkaże wam iść na czele, tylko będziecie szli za mną. To wy macie źle w głowie, a nie ja, jeśli nie wierzycie mi bardziej niż temu łamiącemu dane obietnice Dionizjosowi.

129

Dionizjos podniósł uspokajająco rękę i rzekł:

— Przestańcie kwakać jak stado kaczek na sadzawce i dajcie mi powiedzieć słowo. To prawda, że naradzałem się z Dorieusem. To prawda także, że nic byśmy nie stracili, prowadząc wojnę przeciwko Eryksowi, ponieważ Kartagina w żadnym wypadku nas nie oszczędzi. Ale wszystko to przygotowałem tylko na wypadek, gdyby bogowie z jakiegoś powodu nie dali nam dotrzeć do Massilii. Naszym ostatnim wyjściem byłoby wtedy dokonanie wypadu gdzieś na erycyńskim wybrzeżu.

Na morzu Dionizjos więcej znaczył niż Dorieus i po chwili sprzeczenia się ludzie postanowili żeglować do Massilii. Z myślą o Massilii oswoili się przecież od samego początku.

Ale obce morze było okrutne. Miotani kapryśnymi wiatrami żeglowaliśmy jeszcze czas jakiś, aż zaczęła się nam psuć woda do picia, wielu ludzi pochorowało się na morską gorączkę i dostawało przywidzeń.

A pobyt na okręcie nie stał się przyjemniejszy z powodu ryków Dorieusa i jego dobijania się w forpiku. Arsinoe bladła coraz bardziej, narzekała na nudności, leżała w swej cuchnącej komórce i przyzywała śmierć. Co nocy zaklinała mnie, żebym uwolnił Dorieusa z więzów i podniósł bunt,

ponieważ każdy los byłby lepszy niż dryfowanie po morzu bez celu, z zepsutą wodą, robakami w mące i zjełczałą oliwą.

Aż wreszcie poczuliśmy bliskość lądu. Dionizjos kosztował i wachał wodę, sondował i badał dokładnie osad z dna, który przyczepił się do wosku sondy. Ale musiał przyznać:

— Nie znam tego kraju. Na północ i na południe rozciąga się on jak okiem sięgnąć. Zdaje mi się, że to stały ląd italski i że dostaliśmy się za daleko na wschód.

Niebawem napotkaliśmy dwa brzuchate greckie statki towarowe. Dowiedzieliśmy się, że są z Kyme i zdążają tam z powrotem. Brzeg przed nami był krajem Etrusków. Prosiliśmy uprzejmie o świeżą wodę i oliwę, ale ludzie z Kyme przyglądali się podejrzliwie naszym dziko wyrosniętym brodom i spalonym słońcem twarzom i odrzekli:

— Nie możemy dać ani wody, ani żywności obcym na morzu. Ale płyncie do lądu. Od rybaków dostaniecie wszystko, czego będziecie potrzebowali, jeśli pokażecie im list żeglugowy.

Dionizjos nie chciał ich złupić, ponieważ byli Grekami. Pozwoliliśmy im popłynąć w swoją stronę i zwróciliśmy śmiało dzioby naszych okrętów w stronę lądu, gdyż nie mogliśmy uczynić nic innego. Wnet znaleźliśmy ujście strumienia i kilka pokrytych trzciną chat. Kraj ten nie był

krajem barbarzyńców, jak się okazało, gdyż mieszkańcy nie uciekali przed nami. Mieli oni sklecone z desek chaty, żelazne garnki i posążki bogów z wypalanej gliny, a ich kobiety nosiły ozdoby.

Sam widok tego uśmiechniętego kraju i sinych wzgórz był dla nas tak luby, że nawet wiosłarze nie czuli pociągu do gwałtów. Wzięcie na okręty wody zabrało trochę czasu i nikt z nas nie miał ochoty spieszyć z powrotem na morze, nawet Dionizjos, choć rozsądek ostrzegał go, by nie zostawać długo na nieznanym wybrzeżu. Wciąż jeszcze ociągaliśmy się przy źródle w gaju ofiarnym, kiedy podjechał do nas wóz bojowy zaprzężony w dwa konie. Na nim stał uzbrojony mąż-

czynna, trzymając mocno w pasie woźnicę. Przemówił do nas ostrym tonem i zrozumieliśmy, że pyta o list żeglugowy. Udawaliśmy, że nic nie rozumiemy. Przyjrząwszy się bacznie naszej broni, zakazał nam odpłynąć i odjechał tak szybko, że kurz wznosił się spod brązowych kół wozu.

W chwilę później nadbiegła zdyszana gromada włóczników, którzy ustawili się na straży nie opodal nas.

Nie bronili nam wejść na okręty, ale kiedy odbiliśmy od brzegu, wznieśli groźny okrzyk i rzucili za nami kilka włóczni. Będąc już na otwartej wodzie ujrzeliśmy słup dymu wznoszący się na wzgórzach wzdłuż wybrzeża i od północy zbliżyła się do nas grupa szybkich okrętów wojennych, zajadle wiosłując. Wzięliśmy znowu kurs na pełne morze, ale prąd nam przeszkadzał i nasi wio-

ślarze tak byli zmęczeni, że okręty wojenne szybko zaczęły nas doganiać. Pokazywali nam tarcze, ale udawaliśmy, że tego nie widzimy.

Kiedy nie odpowiadaliśmy na znaki, z czołowego okrętu doleciała do nas strzała. Na drzewcu



umocowana była wiązka zakrwawionych piór. Dionizjos wyrwał ją z pokładu, przyjrzał się jej dokładnie i rzekł:

— Zdaje mi się, że rozumiem, co to ma oznaczać. Ale jestem człowiekiem cierpliwym i nie chwytam za miecz, dopóki nie zostanę napadnięty. Tym łatwiej mi tak postępować, że i tak nie zdołałbym prześcignąć tych smukłych i lekkich okrętów.

Okręty trzymały się nas uparcie aż do zmierzchu. Kiedy słońce zaszło i wybrzeże w dali za nami pociemniało, rozwinęły się wachlarzowato i zniecka podpływały nagle do natarcia, wzniecając pianę dziobami.

Usłyszeliśmy trzask łamanych wiosł i huk, kiedy wąskie tarany wyłamały deski w burtach pięćdziesięciowiosłowców, które schroniły się po obu bokach naszego okrętu. Słyszeliśmy też śmiertelne krzyki wioślarzy, gdy strzały i oszczepy spadły ze świstem przez luki dla wiosł.

Pięćdziesięciowiosłowce skrzyły i zatrzymały się, a w tejże chwili jeden z okrętów przemknął

tuż obok nas, miażdżąc oba nasze wiosła sterowe. Dionizjos ryknął z wściekłości i rzucił własnoręcznie łańcuch z hakiem do abordażu tak chytrze, że hak zaczepił o rufę lekkiego okrętu, który zatrzymał się z szarpnięciem i usłyszeliśmy trzask pękającego drewna. Wioślarze tego okrętu rzucili się, by odczepić hak, a wojownicy pokładowi usiłowali ich osłonić tarczami, ale z naszego wysokiego pokładu łatwo nam było zakłuć ich włóczniami i strącić za burtę wiosłami.

Także i na dziobie zatrzeszczało, ale lekko zbudowany napastnik nie zdołał przedziurawić naszych grubych dębowych desek swym słabym taranem. Natychmiast cofnął się i ponowił

szaleńczo swą próbę, ale taran skrzywił się, okręt uderzył o bok naszej triremy i wielu z jego załogi zginęło, nim wioślarze zdołali znowu go uwolnić.

Cała walka trwała tylko parę chwil i wyrządziła nam wielkie szkody, zwłaszcza pięćdzi-

ęciowiosłowcom. Co prawda zatopiliśmy okręt, który zaczepił się na haku Dionizjosa, ale nieustrasżoność ataku sprawiła, że Dionizjos gryzł brodę ze wzburzenia. W największym pośpiechu naprawiliśmy wiosła sterowe, a pięćdziesięciowiosłowce załatały i uszczelniły swoje uszkodzenia owczymi skórąmi. Ale trwało to długo w noc, nim wyczerpaliśmy z okrętów wodę, a wtedy zarówno woda do picia, jak i żywność, zabrane przez nas w zagrodach u ujścia rzeki, zniszczone zostały słoną wodą.

Najgorsze było to, że wcale nie pozbyliśmy się etruskich okrętów wojennych. Uszkodzone odpływały wprawdzie wiosłując ku brzegowi i znikły w ciemności, ale dwa inne trzymały się w naszym pobliżu. Kiedy zapadła ciemność, zapalili na rufach kotły ze smołą. Dwa razy próbowaliśmy je staranować i zatopić, ale zrećźnie nam się wymknęły i deszcz strzał i oszczepów spadł

na nasz pokład i przez nasze luki wiosłowe.

Dionizjos powiedział:

— Radźmy, co robić. To nie wypada, żeby smukły jak szydło okręt atakował triremę, choćby tylko po to, żeby połamać jej wiosła sterowe. Tyrreńczycy nie stosują się do najprostszych reguł

wojny na morzu, które mówią, że walczyć ze sobą powinny okręty tej samej wagi i przydzielają lekkim okrętom całkiem inne zadania.

Odparłem:

— W morskich miastach Etrusków są z pewnością także i wielkie okręty. Podejrzewam, że te kotły ze smołą wzywają je tutaj.

Kot Arsinoe przemknął bezgłośnie w swej nocnej wędrówce, zatrzymał się, by otrzeć się fu-trem o nogę Dionizjosa, przeciągnął się i drapał pazurami deski pokładu. Dionizjos wykrzyknął

zachwycony:

131

— To święte zwierzę jest mądrzejsze niż my. Jak widzisz, zwraca ono głowę na wschód i drapie pokład, żeby wyczarować dla nas wschodni wiatr. Weźmy się wszyscy na wyścigi do drapania pokładu, gwizdania tak jak świszczy wiatr i zaklinania pana wiatrów.

Nakazał ludziom, by drapali paznokciami deski pokładu, łaskotali maszty u nasady i gwizdali.

Niektórzy próbowali tańczyć tańce deszczu, których nauczyli się od swoich ojców w Fokai. Drapanie, gwizdanie, tupanie i deptanie pokładu u nas przeraziło Etrusków tak, że odpłynęli kawałek dalej. Ale żaden wiatr się nie zerwał. Przeciwnie, zamarła zupełnie niewielka bryza wieczorna i morze nawet nie falowało. W końcu Dionizjos zrozumiał, że wszystko to było daremne, i kazał

przywiązać pięćdziesięciowiosłowce do nas, aby ludzie mogli wypocząć i pomodlić się do bogów, umyć się, uczesać i namaścić, by być gotowym na śmierć o świtaniu.

Ognie na tyrreńskich okrętach oddaliły się i znikły nam z oczu. Nagle zrobiło się wokół nas tak czarno, że ledwie można było dostrzec migotanie wody. Wykrzyknąłem:

— O, Dionizjosie z Fokai, twoje szczęście jest mimo wszystko z nami! Okręty znikły. Etruskowie boją się ciemności na morzu i odpłynęli ku lądowi.

Dionizjos patrzył na morze, ale nic nie widział i stracił przez to kilka drogocennych chwil.

Od rufy dał się słyszeć trzask i szybkie ciosy toporów. Dopiero gdy zapaliliśmy kilka pochodni, zobaczyliśmy, że Etruskowie podpłynęli do nas od tyłu i całkiem spokojnie odrabali wiosła sterowe. Wielu z załogi wołało, że to obcy bogowie panują na morzu Tyrreńczyków i trzeba ich przebłagać, żebyśmy mogli uciec. Inni pytali drwiąco:

— Gdzież jest teraz twoje szczęście, Dionizjosie?

W pewnej odległości od nas Etruskowie zapalili teraz znowu kotły ze smołą i także Dionizjos zmuszony był oświetlić nasze okręty, by móc naprawić uszkodzenia przed świtaniem. Rwał włosy z brody i lamentował gorzko:

— Nigdy nie sądziłem, że moje okręty będą dryfować na morzu oświetlone jak dom rozpusty.

Poczułem się zbrodniarzem na myśl, że wyrwałem Arsinoe z jej bezpiecznego życia w świątyni na pewną zagładę na morzu. Zszedłem pod pokład do jej przegródki. Leżała wycieńczona i blada, a oczy jej były jeszcze czarniejsze niż przedtem.

— Arsinoe — powiedziałem. — Okręty Etrusków nacierają na nas. Nasze wiosła sterowe są połamane. O świcie przybędą ich wielkie okręty wojenne i zmiażdżą nas. Żadna zręczność w żegludze nie może nas uratować, bo morze jest spokojne i na próżno wołaliśmy o wiatr.

Arsinoe tylko westchnęła i rzekła:

— Ach, Turmsie, leżałam tu i liczyłam dni na palcach i zastanawiałam się. Dostałam też straszliwego apetytu na tłuczone muszelki ślimaków, takie, jakie daje się kurom.

Sądziłem, że jest oszołomiona ze strachu i pomacałem jej czoło, ale nie miała gorączki.

— Arsinoe — powiedziałem — źle zrobiłem, porywając cię z świątyni. Ale jeszcze nie jest za późno. Możemy pokazać znak pokoju okrętom etruskim i przekazać cię im przed bitwą. Kiedy im powiesz, że jesteś kapłanką z Eryksu, nie skrzywdzą cię, gdyż Etruskowie są ludem pobożnym.

Ale Arsinoe nie zrozumiała, jak wielkie zwycięstwo nad samym sobą stanowiła dla mnie ta decyzja. Przyjrzała mi się nieufnie i zapytała:

— Co mi właściwie brakuje? Czyżbyś już marzył, o tych białych jak mleko niewolnicach w Massilii, kiedy schudłam i zbrzydłam, i nieustannie mnie mdli?

Daremny trudem było rozsądnie z nią rozmawiać. Gdy jeszcze raz spróbowałem namowy, wybuchnęła płaczem, zarzuciła mi ramiona na szyję, przytuliła się do mnie mocno i rzekła:

— O, Turmsie, doprawdy nie zależy mi na tym, by żyć bez ciebie, choć może jestem trochę lekkomyślna. Ale kocham ciebie i tylko ciebie, i to bardziej, niż kiedyś sądziłam, że potrafię kochać mężczyznę. Boję się też, że zaszłam w ciążę i będę miała z tobą dziecko. To się musiało 132

stać wtedy za pierwszym razem, kiedy zapomniałam o moim tajemnym srebrnym pierścieniu w świątyni. Nie mogłam przecież nawet przypuszczać, że padnę ci w taki sposób w ramiona w biały dzień. Pamiętasz, jak zerwała się wtedy burza.

— Na boginię! — wykrzyknąłem zupełnie zaskoczony. — To przecież niemożliwe.

Oburzyła się:

— Dlaczego miałoby to być niemożliwe, choć to wielki wstyd, ponieważ jestem kapłanką.

Ale w twoich ramionach wtedy nie myślałam rzeczywiście o czymś takim. Nigdy przecież nie przeżyłam czegoś tak niewypowiedzianego, jak wtedy z tobą, Turmsie. Ach, gdybyśmy wtedy umarli przeszyci tym samym oszczepem.

— O, Arsinoe! — zawołałem zdumiony, przyciskając ją mocno do piersi. — Rozumiem teraz, że tak musiało się stać. I ja też nie myślałem, że przeżyję coś takiego albo taką burzę. Jakież jestem szczęśliwy, Arsinoe!

— Szczęśliwy! — przedrzeźniała mnie marszcząc nos. — Jeśli chodzi o mnie, wcale nie jestem szczęśliwa i tak mnie mdli, że szczerze mówiąc nienawidzę cię i nigdy nie sądziłam, że jakiś mężczyzna uczyni mi tyle złego. Jeśli chciałeś związać mnie z sobą, Turmsie, dopiąłeś tego teraz, i strzeż się, bo odpowiesz za swoje czyny.

Kiedy trzymałem ją tak w ramionach, taką wątłą i bezsilną, taką rozgoryczoną i urągliwą, i zamiast zapachu pachnideł czułem lekką woń wymiotów, unoszącą się z jej ust, ogarnęła mnie jeszcze większa czułość dla niej. I nie nurtowało mnie żadne, choćby nawet najmniejsze podejrzenie, lecz zdawało mi się, że to właśnie dlatego rozpętała się wtedy burza nad krainą Eryks.

Wszystko, co Arsinoe potem robiła za moimi plecami z Dorieusem i Mikonem, nie miało z tym nic wspólnego i nie znaczyło nic, i wybaczyłem jej to. Tak absolutnie pewny się czułem.

Ale potem przypomniałem sobie, gdzie się znajdujemy i co się dzieje, i zdałem sobie sprawę, że nic innego jak tylko moja własna siła może ocalić Arsinoe i moje nie urodzone jeszcze dziecko.

O sobie nie myślałem. Choć słaby od nędznego jedzenia, morskich trudów i czuwania, i dręczą-

cych myśli, poczułem się nagle znów oswobodzony z ciężaru ziemskiej gliny. Moja siła zapaliła się we mnie jak płomień w lampie i nie byłem już podobny do człowieka, lecz uwierzyłem w siebie i swoją moc. Puściłem Arsinoe, a kiedy wstałem, stopy moje nie czuły już desek podłogi, lecz było mi tak, jakbym unosił się w powietrzu. Moje ramiona też uniosły się w górę i nie mogłem ich opuścić, nawet gdybym chciał. Pospieszyłem na pokład. Z triumfem, z wysoko podniesioną głową i wyciągniętymi ramionami zwróciłem się na wszystkie strony świata i zawołałem:

— Przyjdź, wietrze, zbudź się, burzo, ja, Turms, wtajemniczony przez piorun, wzywam cię!

Tak głośny był mój krzyk nad ciemnym morzem, tak gwałtownie wstrząsała mnie moja moc, że żeglarze poderwali się, a cieśle opuścili narzędzia. Dionizjos podbiegł do mnie i zapytał:

— Wzywasz wiatr, Turmsie, mówisz to poważnie? W takim razie najlepiej wezwij wiatr wschodni. Ten pomógłby nam najbardziej.

Ale moje stopy zaczęły już tupać, nie pytając o moją wolę, tańczyłem triumfalny święty taniec i wołałem:

— Milcz, Dionizjosie, nie obrażaj bogów! Większych, wyższych bogów wzywam niż greccy

bogowie. Niech nam dadzą taki wiatr, jaki zechcą. Moja moc potrafi tylko wzbudzić burzę.

W tejże chwili zafalowało morze, zakołysały się nasze okręty, zatrzeszczały liny, powietrze zwilgotniało i podmuch wiatru przeleciał nad nami. Dionizjos krzyknął do ludzi, by zgasili pochodnie, a ci zdążyli to zrobić w ostatniej chwili, gdyż nocne niebo zaciągnęło się już chmurami, które słały wiatr silnymi porywami na morzu. Etruskowie nie spostrzegli w czas, co się dzieje.

Usłyszeliśmy krzyki strachu i bólu z ich najbliższego okrętu, gdy gwałtowny podmuch pognał na nich płomień i rozlał płonąca smołę na pokładzie, który wnet się zapalił. Burza wznosiła już 133

ryczące bałwany. Przez huk fal i wycie wiatru usłyszeliśmy, jak drugi etruski okręt przełamał się z trzaskiem.

Tym dzikszymi stał się mój taniec, tym gwałtowniej wołałem na wietrze, aż Dionizjos obalił

mnie na pokład, by zmusić do milczenia, ażeby burza nie wzmogła się nad miarę i nie zatopiła nas. Kiedy uderzyłem głową o pokład, siła uszła ze mnie jak z przeciekającego naczynia i poczu-

łem znów swoje ciało, znowu stałem się ciężki. Ze wszystkich sił musiałem teraz czepiać się lin i poręczy, by nie dać się zmieść za burtę.

Dionizjos przekrzyczał huk burzy, wydając rozkazy i sam odrąbał siekierą liny przywiązujące do nas oba pięćdziesięciowiosłowce, bo żeglarze wahali się z odcięciem drogocennych lin. Z jednego pięćdziesięciowiosłowca wzniosły się krzyki o pomoc, gdyż owcze skóry wypadły z dziur po etruskim taraniu i woda wpadała do wnętrza. Nasza trirema przechyliła się tak, że nabrała wody przez najniższe luki wiosłowe, zanim ludzie zdążyli je uszczelnić. Na wszystkich okrętach panowało zupełne zamieszanie, dopóki Dionizjos rycząc z wściekłości i zawodu nie nakazał ludziom z tonącego pięćdziesięciowiosłowca opuścić okrętu i ratować się na naszą triremę. Tak też uczynili, niektórym z nich udało się nawet uratować swoje rzeczy, ale kamienny kogut z bramy miejskiej w Himerze poszedł na dno wraz z okrętem, dwóch ludzi zaś uległo zmiżdżeniu między trącymi o siebie kadłubami. Drugi pięćdziesięciowiosłowiec znikł w huczącej ciemności.

Dionizjos i jego sternicy zmusili górny rząd wiosłarzy do roboty, choć wiosłarze spadali z ław, a morze wyrwało wielu z nich wiosła z rąk. Udało mu się jednak odwrócić okręt od wiatru, tak że nie przewróciliśmy się. I nie mogę zrozumieć, jak żeglarze mogli poruszać się i pracować na rozhuśtanym i przewalającym się okręcie, gdzie nie było jednego choćby przez chwilę spokojnego miejsca i gdzie czułem, że co rusz to unoszony jestem w górę i bujam w powietrzu. Ale gdy Dionizjos postawił maszt i wciągnął mały żagiel, okręt zaczął słuchać pospiesznie pozbijanych wiosła

sterowych. I był już najwyższy czas, bo wielu wiosłarzy miało już połamane żebra i jęczało leżąc pod ławami wiosłarskimi i wołając, że nadeszła ostatnia chwila.

Po omacku dostałem się jakoś do Arsinoe. Leżała na brzuchu z rozpostartymi rękami usiłując trzymać się ścian, z nosa ciekła jej krew. Kiedy poczuła moją rękę w ciemności, wybuchnęła płaczem i zaczęła mi robić wyrzuty przerywane wymiotami:

— Ach tak, to ty, Turmsie, czy to było konieczne wywoływać aż tak straszną burzę tylko dlatego, że czujesz się szczęśliwy, iż zostałeś ojcem? Z pewnością mógłbyś uratować nas w inny sposób, gdybyś tylko zechciał spróbować. Ale ty chcesz chyba wytrząść ze mnie życie o te ściany tu na dole.

Trzymałem ją w ramionach i chronilem jej ciało moim własnym, aż pokryło się siniakami i guzami od miotania w tym małym pomieszczeniu, a żołądek aż mi się przewracał.

Ale wyszliśmy z życiem z tej burzy, i kiedy słońce wzeszło, na morzu rozjaśniło się i sztorm ustał ustępując miejsca świeżemu żeglownemu wiatrowi. Z wydętymi żaglami pędziliśmy na wyścigi z wciąż jeszcze potężnymi falami na zachód, a okręt stawał dęba pod nami niczym spieniony wierzchołek. Ludzie zaczęli śmiać się i pokrzykiwać. Dionizjos rozdzielił między nas po miarze nie mieszanego z wodą wina i złożył także trochę wina w ofierze Posejdonowi na dziobie, choć wielu uważało to za całkiem zbyteczne.

Wypatrywacze wykrzyknęli niebawem, że widzą żagiel daleko przed nami. Jeden z nich wdrapał się na szczyt masztu i mógł wkrótce obwieścić, że to pasiasty żagiel naszego pięćdziesięciowiosłowca. Około południa dopędziliśmy go i zobaczyliśmy, że nie był zbyt uszkodzony.

Wiatr, który wzbudziłem, był rzeczywiście wschodni, choć nie sądziłem, by było to właśnie moją zasługą. Niebo zrobiło się znów jasne, ale wiatr utrzymywał się dzień po dniu i pędził nasze okręty z dobrą szybkością na zachód, aż wreszcie trzeciego dnia zbliżyliśmy się do lądu i ujrzeli-

śmy siniejące podobne do chmur góry, wznoszące się nad horyzontem. Dionizjos powiedział: 134

— Jest to jedna z tych wielkich wysp, gdzie nasi przodkowie chcieli założyć kolonię. Między wyspami znajduje się cieśnina. Jeśli mamy szczęście, prześliźniemy się przez nią na otwarte morze, a na północnym wybrzeżu tego morza znajdziemy Massilię.

Wziął kurs tak daleko na północny wschód, jak się ważył, by iść za linią brzegu na północ, ale wiatr przyciskał nas stopniowo coraz bliżej do lądu, tak że wnet mogliśmy rozróżnić poszarpane wybrzeża, ich stożkowate kamienne wieże i dymy unoszące się z dymarek koło jakiejś kopalni.

Blisko lądu wiatr stał się porywisty i ludzie musieli znowu chwycić za wiosła. Nim się opamiętaliśmy, znaleźliśmy się między skalistymi wysepkami i mieliznami, i poczuliśmy, jak morskie prądy porywają okręty.

Dionizjos wysłał przodem lekki pięćdziesięciowiosłowy okręt, by wysondował szlak zdalny do żeglugi, i kazał też na triremie sondować na dziobie i po bokach. Wypatrywał teraz nieprzerwanie jakiegoś miejsca do lądowania, ponieważ nie mogliśmy spędzić nocy, dryfując na tak niebezpiecznych wodach, no i musieliśmy też wyciągnąć nasze okręty na ląd, by naprawić spowodowane burzą uszkodzenia.

Kiedy okrążyliśmy skalisty cypel, zaskoczyliśmy łódź rybacką na wpół wypełnioną rybami i sieciami. Wzięliśmy do niewoli trzech ciemnoskórych czarnookich Sardów, żeby mieć przewodników i pilotów. Nie mówili żadnym zrozumiałym dla nas językiem i bardzo byli wystraszeni, ale kawałek liny w rękach Dionizjosa okazał się dobrym nauczycielem języków.

Dionizjos dowiedział

się od nich, że za wszelką cenę powinniśmy byli pójść na zewnątrz od prowadzących na manowce wysepek, by wejść do cieśniny między dużymi wyspami. Cieśnina nie była niebezpieczna i dość szeroka, jeśli Dionizjos dobrze rozumiał ich wyjaśnienia.

Mieli żelazne groty na harpunach. Zrozumieliśmy z tego, że są poddanymi Etrusków albo przynajmniej prowadzą z nimi handel. By ich przejednać, Dionizjos nakazał pięćdziesięciowiosłowcowi wziąć ich łódź na hol, i nie pozwolił ludziom zniszczyć ich sieci i narzędzi rybackich, lecz zamiast tego zapłacił za ich ryby paroma drachmami z Himery, ze skąpo odmierzoną cechą Krinipposa.

Oglądali ciekawie monety, wyprowadzili nas na swobodną wodę pokazali nam nieurodzajną pustynną wyspę, na której nisko położony brzeg mogliśmy wyciągnąć okręty na noc. Z najwyż-

szego wzgórza na wyspie widać było siniejącą linię wybrzeża w oddali, i Dionizjos nie pozwolił

nam rozpalić ognisk do gotowania. Toteż musieliśmy zadowolić się posypaniem solą świeżych ryb i zjadaniem ich na surowo. Ale byliśmy tacy głodni i czuliśmy takie łaknienie świeżej strawy, że bez trudu połykaliśmy surowe ryby z ośćmi i łuskami.

6

Udaliśmy się potem na spoczynek i spaliśmy dobrze. Kamienisty piach wybrzeża i silnie pachnąca trawa były dla nas po twardych deskach okrętowych wygodniejsze niż wełniany materac, choć nim usnęliśmy, czuliśmy, jak gdyby wyspa kołysała się pod nami i wielu z nas dostało kurczów żołądka od zbyt dużej ilości surowej ryby. Arsinoe spała na moim ramieniu z nosem na mojej piersi. Ale Dorieusa nie mogliśmy jeszcze uwolnić z forpiku, gdyż mimo że był potłuczony na kwaśne jabłko przez burzę, nadal nie chciał się uspokoić i zapewniał z oczyma na pół przy-mkniętymi od wyczerpania, że zadusi Dionizjosa gołymi rękami, gdy tylko rozwiążemy liny.

O świcie zbudziliśmy się zdrętwiali z zimna. Przede wszystkim zobaczyliśmy, że Sardowie znikli, zabierając z sobą swoją łódź i narzędzia rybackie. Dionizjos wychłostał strażników kawa-

łkiem liny, ale oni bronili się żywo, mówiąc, że kazał im tylko pilnować okrętów i naszego bezpieczeństwa. O Sardach nic nie powiedział, a oni o brzasku pokazali na łódź i narzędzia, tłumacząc gestami, że chcą wypłynąć na morze, by postarać się o więcej ryb. Równocześnie wskazywali na 135

swoje dwie srebrne drachmy, dając do zrozumienia, że chcą zarobić więcej takich monet, tak że strażnikom nie przyszło do głowy ich zatrzymywać. Dionizjos skrzyczał ich z wściekłością, że tacy głupcy nie mogą pochodzić z Fokai, i że z pewnością jakiś Abderyta wśliznął się do łóża ich matek i pozostawił im w spadku swój zakuty łeb.

Ogarnęły nas złe przecucia i Dionizjos rozkazał, by okręty natychmiast zepchnąć na wodę.

Sardowie zdążyli już z pewnością podnieść alarm na wybrzeżu, a te same wschodnie wiatry, które

tak dobrze i szybko zaniósł nas do Sardynii, równie szybko posłały za nami etruskie okręty wojenne. Podczas burzy nie mogły one przecież wrócić do własnych wybrzeży. Dlatego pośpiech był teraz naszym jedynym ratunkiem. W razie konieczności, mówił Dionizjos, musimy zbrojnie przebić się przez cieśninę i wziąć potem kurs na Massilię. Wezwał nas, żebyśmy jeszcze raz zaufali jego szczęściu, które nas dotychczas nie zawiodło.

Ale tego ranka wszystko było jakby zaczarowane i prądy, i przyływ na obcym wybrzeżu były tak zdradliwe, że nasze okręty tkwiły jak przyrośnięte do brzegu. Dopiero z wytężeniem ostatnich sił i przy pomocy wszystkich sposobów udało nam się ściągnąć na wodę triremę.

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy wreszcie wyruszyliśmy. Prądy w cieśninie wciągnęły nas szybko w swój nurt i przyparły bliżej do południowego brzegu, a na morzu na wschodzie majaczyły już liczne duże żagle i niebawem zobaczyliśmy czerwone i czarne okręty wojenne, które groźnie zbliżały się w pościgu za nami. Ludzie z pięćdziesięciowiosłowca wołali do Dionizjosa, zaklinając go, by nie zostawił ich w potrzebie, gdyby doszło do walki.

Dionizjos ryknął w odpowiedzi:

— To wasze nieczyste sumienie mówi przez was! Sami sądzicie, że zdołacie prześliznąć się i umknąć, ponieważ jesteście lżejsi od triremy. Ale wiercie mi, na własną rękę nie znajdziecie nigdy Massilii. Razem jesteśmy silni. Jeśli się rozdzielimy, łatwo będzie Tyrreńczykom pokonać nas każdego z osobna.

Niebo lśniło wspaniałym błękitem, ale tego dnia tłumaczyliśmy także i to jako zły znak, a jeszcze bardziej złowieszczy był ląd, w którego cień wsysały nas prądy. Wiatr przybrał na sile i zmienił kierunek na północny, pchając nas do lądu tak, że tylko z wielkim trudem zdołaliśmy okrążyć przylądek. Sądziliśmy jednak, że już przedostaliśmy się przez cieśninę. Ale za cyplem przylądka odkryliśmy wnet port z wieloma okrętami, a na górze obok portu miasto ze stożkowatymi kamiennymi wieżami strażniczymi. Z portu wypływała o wiosłach, z hukiem brązowych gongów, gromada okrętów, które czekały tam na nas w zasadzce. Także z północy zbliżały się okręty pędzone wiatrem prosto na nas, choć wciąż jeszcze wyglądały tylko jak czarne punkciki na ogromnym morzu. Sądziliśmy, że zagłada jest nieunikniona.

Ale w obliczu niebezpieczeństwa Dionizjos znów pokazał się z najlepszej strony, podrzucił swoją dużą byczą głowę, wznosił okrzyk bojowy i zachęcał swoich ludzi słowami:

— Przez całe pokolenie wyspy te żyły w pokoju pod panowaniem Etrusków, a okręty strażnicze w cieśninie trudniły się raczej poborem podatków i kontrolą listów żeglugowych, i nie powinny być przywykłe do boju. Zmiećmy je więc z powierzchni morza, a równocześnie pomścimy naszych przodków, których kości spoczywają tu na tym wybrzeżu.

By dodać sobie otuchy, ludzie jego uderzyli tarczami o tarcze, a wiosłarze podwoili wysiłki i dysząc zaśpiewali fokajskie peany. Śmiało wzięliśmy kurs na okręty strażnicze, którym się zdawało, że nas zaskoczyły. Ale to raczej my spadliśmy na nie zniecka, tak że trirema zaraz staranowała i zatopiła



pierwszy z nich, a pięćdziesięciowiosłowiec dzielnie poszedł do natarcia i zmusił drugi okręt do odejścia na bok, by móc zawrócić i pójść do przeciwnatarcia.

Dowódca trzeciego okrętu zawahał się, usłyszawszy śmiertelne krzyki swoich ziomków i zobaczywszy, że trirema wciska uszkodzony wrak okrętu pod wodę. Jego wahanie było fatalne, bo pięćdziesięciowiosłowiec z weteranami spod Lade złamał z niewielkim trudem jego wiosła od 136

nawietrznej i zmusił okręt, by odsłonił przed nami burtę, a my z dziecinną łatwością uderzyliśmy w nią, zatapiając go, odsunęliśmy się od wraku i zwróciliśmy się przeciw czwartemu okrętowi.

Jego dowódcą był Etrusk, widzieliśmy to po jego hełmie i tarczy. Z pewnością szacował on wysoko wojenną chwałę swego ludu na morzu, ale rozumiał także, że byłoby szaleństwem kontynuować walkę, gdy potężna trirema sunęła z szumem na niego z trzema rzędami wiosel po obu stronach chłoszczącymi morze na pianę. Ustąpił na bok ze swoim okrętem i odpłynął, ile siły we wiosłach.

W wodzie wśród szczątków wraków pływało wielu ludzi, wśród nich także dwóch hoplitów, którzy nożami usiłovali odciąć rzemienie swoich pancerzy. Paru ludzi z naszego pokładu rzucało oszczepy, a wiosłarze z najniższej ławy przerwali wiosłowanie, by wiosłami wcisnąć pływających pod wodę. Dionizjos kłął i zabronił ludziom rzucać oszczepy bez żadnego pożytku oraz nakazał

wyciągnąć jednego z hoplitów, który uczeplił się wiosła. W lęku przed utopieniem zerwał on z siebie hełm tak gwałtownie, że miał rozplątane czoło i krwawił obficie. Ale na jego kolczudze szczyrzyła się twarz Gorgony, a srebrne bransolety wskazywały, że nie był to mąż niskiego stanu.

Nie ścigając uciekających okrętów strażniczych, wiosłowaliśmy wzdłuż brzegu, starając się zwiększyć odstęp od prześladowających nas czarno-czerwonych okrętów. Te opuszczały w najlepsze swoje żagle, by przygotować się do walki.

Kiedy mężczyzna, którego wyciągnęliśmy z morza uspokoił się ze śmiertelnego strachu, okazało się, że był to wysoko postawiony Etrusk. Nie był wojownikiem, lecz mężem dobrze urodzonym. Oczy miał mądre pod zakrwawionym czołem, gdy uważnie przyglądał się nam wyrzygawszy wpierw słoną wodę morską, której się opił. Umiał po grecku. Ostrzegawczo pokazał na głowę Gorgony, którą nosił na piersi, powiedział, że nazywa się Lars Tular i zażądał, żebyśmy weszli do portu i oddali się pod jego jurysdykcję. Inaczej staniemy się łupem floty, która zbliża się od wschodu, albo też rozbijemy nasze okręty na szczątki o zdradliwe skały nabrzeżne Sardynii.

Ludzie Dionizjosa śmiali się tylko szyderczo w odpowiedzi, popychali go i kazali mu zdjąć bransolety. Ale Dionizjos zabronił im obrażać tak znacznego jeńca i rzekł:

— Widocznie jesteś wysoko postawionym mężem. Dlatego każę zabić cię mieczem i to zabić szybko, mimo że chyba nie darowałbyś nam miłosiernej śmierci, gdybyśmy wpadli w twoje ręce.

Mógłbym jednak oszczędzić twoje życie i puścić cię z powrotem na ląd, gdybyś wyprowadził nas na bezpieczne wody.

Etrusk odpowiedział:

— Powiniennem być wierzyć przestrogom, gdy wczoraj wieczorem ujrzałem zwiniętego kreta i gdy czarne muchy cięły mnie o wschodzie słońca tak, że się zbudziłem. Ale ja nie wierzyłem w te znaki. Byłoby lepiej, gdybym utonął wraz z okrętem, kiedy już znalazłem się na pokładzie.

Ale człowiekowi, który dożył mego wieku i przywykł do życiowych rozkoszy, trudno jest umrzeć nieoczekiwanie. Dlatego też chwyciłem za wiosło, któreście mi podali, nie zastanawiając się nad swoim postępowaniem.

Dionizjos patrzył czujnie na prujące fale okręty za nami i na tarcze, którymi okręty wojenne dawały sobie nawzajem znaki. Krzyknął do wybijającego takt, żeby zwiększył szybkość, choć wiosłarze harowali już do upadłego, aż trzeszczało im w kościach i szczyrzyli zęby z wysiłku.

Wybijający takt zawołał w odpowiedzi, że wiosłarze nie będą wtedy mieli żadnego luzu na oddech, ale Dionizjos kazał mu stulić pysk i zwiększyć takt. W ten sposób uzyskaliśmy wyprzedzenie, ponieważ ścigające okręty wiosłowały spokojnie, trzymając się w równym szyku, tak że najpowolniejszy stanowił o szybkości wszystkich. Nasi wiosłarze nie zdołali jednak długo utrzymać takiego tempa, zmuszającego ich, by szybko i gwałtownie łapali powietrze, którego potrzebowali.

Nawet pięćdziesięciowiosłowcowi trudno było nadążyć za nami i Dionizjos wielkim głosem wychwalał swoją sztukę budowania okrętów, która stworzyła tak szybki i zdatny do żeglugi okręt na stoczni w Himerze.

137

Następnie poprosił Etruska o wybaczenie za swój brak uwagi i dodał:

— Nie chcę cię urazić. Jak sam rozumiesz, jestem zmuszony uważać na mój okręt, ale zabiję cię, jak tylko zdążę, i nie będę cię dręczył odwlekaniem tej przykrej sprawy.

Ten wysoko postawiony mąż zaczął się teraz oblewać zimnym potem ze strachu przed śmiercią, a głowa Gorgony na jego piersi wcale nie dawała mu już pocieszenia. Wstydził się swego strachu i prosił o wybaczenie także i on:

— W rzeczy samej nie jestem ani żeglarzem, ani wojownikiem, lecz znajdującym się na rachunkowości nadzorczą kopalni i zawiadowcą portu. Potrafię wyszkolić zdolnych do pracy w kopalniach niewolników i umiem znaleźć w górach żyły rudy. Całkiem z próżności wszedłem na pokład okrętu strażniczego, by zyskać chwałę, pokonawszy was, choć nie miałem czego szukać na okrę-

cie wojennym.

Przesłonił jedno oko lewą dłonią, podniósł prawą rękę do góry i odmówił modlitwę w swoim własnym języku. Odzyskawszy panowanie nad sobą, uśmiechnął się do nas ładnie i smutno, i powiedział:

— Już widzę bramę zapomnienia i uzbrojonych w młoty po obu jej stronach. Wobec tej bramy małe ma znaczenie, czy moja śmierć była chlubna czy nędzna. Wprawdzie chętnie bym widział, by ciało moje otrzymało wieczne mieszkanie, ale morze jest także obszernym grobem, a ja sam jestem Lars

Tular.

Gdy z taką równowagą ducha przygotowywał się, by umrzeć, nikt już nie odczuwał ochoty go drażnić. Zanurzone w pianie czarno-czerwone okręty wojenne za nami nastrajały nas poważnie.

Dionizjos patrzył na niego chytrze przymrużywszy oczy, spróbował na palcu ostrze miecza, pogłaskał się po brodzie i powiedział:

— Bez wątpienia jesteś odważnym człowiekiem, ale co powiesz o mojej propozycji, byś doprowadził nas na bezpieczne morze? Przyłącz się do nas i płyn z nami do Massilii, jeśli uważasz, żeś stracił szacunek u swoich ziomków.

Etrusk potrząsnął odmownie głową i odrzekł:

— Nie, nie, nie zdaje mi się, byście zdołali uciec, ani też nie rozumiem się zbyt na żegludze.

Raczej wolę wybrać najkrótszą drogę stąd tam. Prawdę mówiąc, mam już dość tego mego zadyśzanego i spoconego ciała.

Mikon i ja, ba, nawet sternik Dionizjosa, wzruszyliśmy się jego szczerością i jednym głosem oświadczyliśmy, że byłoby zbyt pochopne zabicie tak ważnego męża. Ale Dionizjos spojrział na okręty wojenne, które rozwinęły się za nami, żeby nas okrążyć, uśmiechnął się okrutnie i rzekł:

— Jesteście głupi i nie wiecie, co mówicie. Jego własne słowa świadczą, kim on jest. Mamy w nim ofiarę, godną bogów morza. Wiem o tym. Może to sami bogowie doradzili mu, by uczepił

się wiosła, tak abyśmy mogli złożyć go w ofierze za nasz własny ratunek. Żadnego innego wyj-

ścia nie mamy.

Mówiąc te słowa, wpatrywał się usilnie w niebo, morze i góry nadbrzeżne. Wiatr był kapry-

śny i zmienny, a daleko na północy majaczyły ciemne chmury. Wybijający takt wychylił głowę spod pokładu i zawołał, że wiosłarze nie wytrzymają dłużej takiego tempa. Dionizjos ryknął na niego, by się uspokoił, i wrzasnął do pięćdziesięciowiosłowca, by postawili maszt i trzymali żagiel w pogotowiu. Kazał też postawić i nasz maszt i wciągnąć żagiel, mimo że zmniejszało to trochę naszą szybkość. Rozkazy wydawał pełnym furii głosem, ale do nas odezwał się całkiem spokojnie:

— Nic nie tracimy, przygotowując się do żeglowania. Jeśli zamiast tego dojdzie do walki, nie szkodzi, że maszt i żagiel znajdą się za burtą.

138

Poprosił Larsa Tulara, żeby zdjął hełm i zbroję, bransolety i pierścień, kazał przynieść mąki i soli, i wcisnął mu własnoręcznie na skronie zwiędły wieniec ofiarny. Etrusk oblewał się zimnym potem, tłusty i nagi, ale uśmiechnął się drżącymi wargami i rzekł:

— Wcale się nie boję. To drży tylko moje ciało, którego jestem niewolnikiem.

Mikon przyglądał mu się podpuchniętymi oczyma, przykucnął przed nim na pokładzie, złożył dłonie i zapytał:

— Czy ty wierzysz w powrót, Larsie Tular, i czy jesteś wtajemniczony?

Lars Tular podniósł głowę, rzucił mu pogardliwe spojrzenie i powiedział:

— Już słyszę burzliwy huk powrotu w moich uszach, a twój głos jest jak odległy pisk. Jestem Lars. Nie potrzebuję ani namaszczeń, ani wtajemniczeń. Moja wiedza jest wrodzona.

Mikon potrzęsnał zazdrośnie głową i chętnie byłby go zapytał o jego wiedzę. Ale Dionizjos zniecierpliwiał się, zaprowadził Larsa Tulara na sam tył okrętu, złapał go za włosy i przeciął mu nożem ofiarnym gardło od ucha do ucha, tak że krew bluznęła na spieniony szlak okrętu za rufą.

Równocześnie wzywał głośno bogów morza i powietrza i poświęcił im swoją ofiarę. Podczas gdy krew jeszcze tryskała strumieniami do wody, nakazał ludziom wciągnąć żagiel. Wiatr północny przybrał zaraz na sile i wypełnił żagiel, i wkrótce nasza szybkość tak się zwiększyła, że zdyszani wiosłarze mogli wciągnąć wiosła. Niebo pociemniało. Gdy krew wyciekła i ciałem Larsa przesta-

ły wstrząsać drgawki, Dionizjos włożył mu do ust monetę i wypchnął ciało za burtę. Utonęło natychmiast i znikło nam z oczu jakby pochłonięte wirem. Tylko zwiędły wieniec ofiarny kołysał

się na falach. Wiał już wtedy mocny wiatr z północy i nasze liny i żagiel strzelały.

Zdobyliśmy dużą przewagę, bo nasi prześladowcy do ostatka polegali na wiosłach, by móc nas zaatakować. Spieszyli się teraz z podniesieniem masztów i wciąganiem żagli, ale w wichurze zderzali się z sobą. Nikt z nas jednak nie krzyczał z radości, a Dionizjos nie chełpił się swoją ofiarą. I on, i jego sternik byli w pełni zajęci wypatrywaniem czystej wody.

Ponura ofiara nie spodobała się nikomu, choć wszyscy później przyznali, że była konieczna i że Dionizjos nie mógł postąpić inaczej. Jak gdyby za milczącą zgodą staraliśmy się o tym zapomnieć, ale nie sądzę, by ktoś z tych, którzy przeżyli naszą wyprawę, miał kiedyś ochotę opowiadać albo chełpić się tym przed postronnymi.

I ja też nie mam ochoty mówić więcej o naszej strasznej żegludze i cierpieniach na morzu, bo wobec tego, co nastąpiło teraz, wszystko, co przydarzyło się nam poprzednio, było tylko dziecinną zabawą.

Sztorm pędził nas przez wiele dni na południe, a potem znowu na wschód. Nie mogłem już dłużej wierzyć, że było to zasługą Dionizjosa, iż przeżyliśmy i nie utonęliśmy. Raczej upewniłem się po zniesieniu tych wszystkich okropności, że igrały z nami większe moce niż Dionizjos i kierowały nasze okręty tam, gdzie chciały. Ale pięćdziesięciowiosłowiec przepadł gdzieś pewnej nocy i nikt już nigdy o nim nie słyszał.

Tymczasem księżyc szedł ku pełni i pewnego wieczora wiatr w końcu osłabł i pozostawił nas

kołyszących się jak nabierający wodę wrak na otwartym morzu. Gdy okręt przestał trzeszczeć pod nami, cisza stała się nagle bardziej przerażająca niż poprzednio huk fal o przeciekający kadłub.

Na pół ślepi od słonych bryzgów, z odparzonymi i otartymi ze skóry ciałami wyleźliśmy na pokład, a Dionizjos drżącym głosem kazał rozdzielić ostatnie resztki zepsutej od słonej wody żywności i ostatnie krople wody do picia, którą udało nam się zebrać podczas deszczu. Wygłodniali, jak gdybyśmy się upili wodą i jedzeniem i mówiliśmy od rzeczy. Arsinoe miała jednak siły na to, by wyjąć swoje brązowe zwierciadło i nałożyć szminkę na wargi i policzki, i wyjść na pokład na trzęsących się nogach.

Dionizjos pełen był zdumienia i podziwu dla nieprzeczuwanej siły w jej wycieńczonym ciele, gdyż słabsza kobieta dawno już wyzionęłaby ducha. Także kot Arsinoe wymknął się, kudłaty i sy-

czący, na pokład i wyginając grzbiet łąził po połamanym relingu, tak że ludzie wołali, iż zaiste musi to być święte zwierzę, ponieważ utrzymało się przy życiu. Również i ja musiałem w duchu przyznać, że był to dobry znak.

W ciągu nocy prądy pędziły nas dalej i wypatrywacze zapewniali, iż czują zapach lądu. Kiedy nastał brzask, zbliżyliśmy się do lądu i zobaczyliśmy łęgawą górę rysująca się na tle porannego nieba. Dionizjos wydał okrzyk zdziwienia i powiedział:

— Na wszystkich bogów morza, nie wymieniając żadnego i o żadnym nie zapominając, znam tę górę i nie można się pomylić co do jej wyglądu, tak często słyszałem, jak ją opisywano. Bogowie pękają teraz pewnie ze śmiechu. Wróciliśmy prawie do naszego punktu wyjściowego. Ta góra leży na Sycylii, brzeg jest północnym wybrzeżem krainy Eryks, a po drugiej stronie góry leży port i miasto Panormos.

I dodał:

— I teraz wierzę, że nie było zamiarem bogów doprowadzić nas do Massilii. I musieli mi wbić to pałkami do łba, ponieważ jestem upartym człowiekiem. Mogę tylko nad tym ubolewać, bo z takim samym i dużo mniejszym trudem mogliby bogowie doprowadzić nas do Massilii. Ale jako żeglarze przeważają nade mną i sam nigdy bym nie umiał żeglować tak chytrze, nawet wy-tężywszy całą swoją sztukę. Niech więc teraz Dorieus obejmie dowodzenie, ponieważ taka zdaje się być wola bogów. Ja rezygnuję.

Posłał kilku ludzi, by zobaczyli, czy Dorieus wciąż jest przy życiu w forpiku, a gdyby żył, mieli go uwolnić z więzów. Prawdę mówiąc, Mikon i ja już dawno przecięliśmy wiążące go liny, bo był w tak żałosnym stanie, że nie miał nawet siły zgrzytać zębami.

Czekając na Dorieusa Dionizjos starał się trochę okrzepnąć, wymachiwał kawałkiem liny, którą trzymał w ręku, i nakazał wszystkim, którzy mieli siłę utrzymać wiosła, by zaprowadzili okręt wokół łęgawatej wysokiej góry do portu w Panormos.

— Cóż innego możemy począć? — mówił. — Nie mamy przecież ani jedzenia, ani wody do picia, a okręt wnet zatonie pod naszymi stopami.

Wiosła zaczęły pluskać przy ciężkich i bezsilnych uderzeniach. Dorieus wciąż jeszcze się nie pokazywał, a Dionizjos w złym humorze zacierał tylko dłonie i kazał ludziom wciągnąć głowę Gorgony Larsa Tulara jako znak na dziób okrętu, by dać mieszkańcom Panormos powód do zastanowienia się.

Zaraz potem Dorieus wynurzył kudłatą głowę przez luk w pokładzie. Włosy sterczały mu sztywno od słonej wody, brodę miał zmierzwioną w płaski placek, a twarz pokrytą głębokimi bruzdami. Postarzał się jakby o dziesięć lat przez ten miesiąc, i stał patrząc przymrużonymi oczyma na niebo, ślepy jak sowa w świetle dziennym. Nikt jednak nie miał ochoty śmiać się na jego widok, a on wdrapał się o własnych siłach na pokład i stał tam wyprostowany jak długi, i odepchnął na bok ludzi, którzy starali się go podeprzeć. Wciągnął głęboko oddech i milczał tak długo, że strach i bojaźń ogarnęły cały okręt. Gdy wreszcie oswoił oczy ze światłem, przesunął martwym wzrokiem po nas, od jednego do drugiego, i rozpoznał w końcu także Dionizjosa. Wtedy zgrzytnął

słabo zębami i poprosił niewyraźnym głosem, tak jakby zapomniał mówić, by mu przyniesiono jego miecz i tarczę.

Wszyscy spojrzeli pytająco na Dionizjosa, ale ten wzruszył tylko ramionami, przyniosłem więc miecz i wręczyłem go Dorieusowi, wyznając, że wraz z wielu innymi rzeczami wyrzuciliśmy jego połamaną tarczę za burtę, jako ofiarę dla morskich bogów, by uratować się od katastrofy.

Nawet się nie rozgniewał, skinął tylko głową i odparł słabym głosem, że dobrze rozumie, iż tak znakomita ofiara uratowała nas.

— Dziękujcie więc mojej tarczy za to, że jesteście przy życiu, nędzni Fokajczycy — powiedział. — Jeśli chodzi o mnie, najchętniej poświęciłbym ją bogini morza Tetydzie, która jest mi *140*

życzliwa. Przeżyłem dziwne rzeczy przez ten czas, kiedy leżałem w forpiku. Ale nie mam o nich nic do powiedzenia.

Oczy jego miały kolor szarej soli, gdy odwrócił się i patrzył na Dionizjosa, próbując kciukiem ostrze miecza.

— Ciebie powinienem zabić — ciągnął. — To byłoby kuszące, udobruchało mnie jednak to, że widzę, iż wreszcie ugiąłeś swoją głupią głowę przede mną. Tak, mogę nawet przyznać, że uderzenie wiosłem pod Lade od czasu do czasu dawało mi się potem we znaki.

Wybuchnął śmiechem, szturchnął Dionizjosa łokciem w bok i przyznał:

— To było wiosło, a nie miecz. Nie rozumiem już wcale, czemu wstydziłem się przyznać, że to było wiosło. Dopiero teraz, gdy na równej stopie przestawałem z boginią Tetydą w morskich głębinach, rozumiem że w ogóle nie muszę wstydzić się czegokolwiek, co mi się przytrafiło, lecz że wszystko co przeżywam, jest na swój sposób zesłane przez bogów. Tak więc wcale mnie nie upokorzyłeś, każąc związać mnie liną i trzymając swoją brudną stopę na moim karku. Przeciwnie, byłeś tylko narzędziem, które przyczyniło się do uświadomienia mi mego boskiego pochodzenia.

Sama Tetyda określiła chwile i miejsce jej i mego spotkania w oślepiającym sztormie, tak aby żadne zazdrosne oczy nie przeszkadzały nam w rozmowie. Wypełniłeś jej wolę. Dlatego chcę ci raczej podziękować za usługę, którą mi wyświadczyłeś, Dionizjosie, niż zrobić coś pochopnie i zabić cię.

Nagle tupnął o pokład, wyprostował grzbiet i krzyknął:

— Ale dość już gadania! Jeśli przedtem mi nie wierzyłeś, wierzysz mi chyba teraz, kiedy sam widzisz, że bogini zaniósła nas bezpiecznie na swoich białych ramionach do wybrzeża Eryksu.

Przynieście broń, ludzie. Łądujemy tu i zdobędziemy miasto Panormos tak, jak to miało być.

Policzcie, ilu nas jest.

Mikon uważał, że Dorieus stracił rozum w czasie swego straszliwego pobytu w forpiku, ale słowa jego mimo to wywarły wrażenie. Jego martwy, szary jak sól wzrok, pomyślałem, był jak morderczy wzrok samego boga wojny i nikt z załogi nie zawahał się usłuchać go, lecz wszyscy na wyścigi pobiegli po miecze i tarcze, włócznie i łuki. Także i wioślarze zdołali zwiększyć tempo, i było to tak, jakby gorący wiatr buchnął ze słów Dorieusa i owiał cały okręt, tak że nawet Dionizjos poddał się jego woli, nie mogąc się oprzeć.

Kiedy policzyliśmy się, okazało się, że jest nas stu pięćdziesięciu przy życiu, nie licząc Arsinoe i jej kota. Trzystu opuściło Himerę. Toteż ludzie wykrzyknęli ze zdumienia i orzekli, że to dobra wróżba, iż została nas równa połowa. Ale Dorieus kazał im zamknąć głupie pyski i nie pleść o rzeczach, na których się nie rozumieją.

— Trzystu było nas, kiedy wypłynęliśmy! — krzyknął. — Trzystu stoi wciąż za mną i trzystu będzie nas zawsze, bez względu na to, ilu polegnie, idąc za mną. Ale nie polegnicie, nie bójcie się. Odtąd jesteście trzystoma mężami Dorieusa. Trzysta będzie naszym zawołaniem bojowym i jeszcze za trzysta lat legendy będą opowiadać o naszych bojach.

— Trzysta, trzysta! — wołali ludzie, uderzając mieczami w tarcze, aż Dionizjos gniewnie kazał im przestać hałasować. Ale upojenie głodem i pragnieniem uderzyło nam do głowy i wpadliśmy w uniesienie i zapomnieliśmy o poniesionych trudach. I już wielu z nas biegało tam i z powrotem po pokładzie, a wioślarze zdwoili wysiłki przy wiosłach i zaczęli śpiewać. Woda szumiała wokół nas rozcinana dziobem, a kiedy okrążyliśmy łęgowatą górę, ukazał się przed nami otwarty port w Panormos, z kilkoma tylko statkami i łodziami, i miastem otoczonym nędznym małym murkiem pośrodku urodzajnej równiny z polami, lasami i różnymi uprawami. A za równiną wznosiły się stromo i kusząco sine góry Eryksu.

141

**KSIĘGA SZÓSTA**

# Dorieus

## 1

Zaskoczenie jest matką wszelkich zwycięstw. Nikomu z Kartagińczyków w Panormos nie wpadło chyba do głowy, że pędzony sztormem wrak, w biały dzień wpływający do portu, może być okrętem pirackim, który miesiąc przedtem uciekł z Himery. Strażników portowych zmyliła też srebrna głowa Gorgony zwisająca na naszym dziobie, tak że wzięli nas za okręt z któregoś z etruskich portów wywożący żelazo. Fokajczycy niecierpliwie biegający po pokładzie, wyciągnęli uspokajająco ręce i wykrzykiwali słowa przez nich samych wymyślone, nie należące do żadnego języka na świecie. Z powodu tego wszystkiego strażnicy stali tylko i patrzyli na nas, i nie uderzyli na alarm w swoje brązowe gongi.

Na pokładzie brzuchatego statku towarowego, który stał przycumowany do brzegu, siedziało kilku mężczyzn, dyndając nogami za relingiem i wołając do nas, byśmy zwolnili wiosłowanie.

Śmiali się na całe gardło z naszego uszkodzonego dziobu i strzaskanego relingu. Ten i ów ciekawy mieszkaniec miasta zdążył pospiesznie do portu.

Jeszcze wtedy, gdy nasz taran uderzył w stewę dużego statku towarowego i nasz ciężar przytłoczył statek do brzegu, tak że maszt jego runął z trzaskiem, a ludzie siedzący na relingu spadli na plecy na pokład, myśleli wszyscy, że jest to tylko nieszczęśliwy wypadek. Ich dowódca rzucił

się ku nam, wygrażając pięściami, przeklinając nas i domagając się grzywny i odszkodowania za wyrządzone przez nasze niedbalstwo zniszczenie. Ale Dorieus i ludzie z Fokai przeskoczyli z wyciągniętą bronią na statek towarowy, obalili na ziemię tych, których napotkali na swojej drodze i pobiegli dalej na ląd, nie zatrzymując się. Przewrócili na ziemię gromadę ludzi, którzy tam się zbiegli, wspięli się na wzgórze i wpadli przez bramę miejską, zanim strażnicy zdążyli zorientować się, co się dzieje.

Podczas gdy ta grupa uderzeniowa złamała opór w małym mieście i zabiła jego sparaliżowanych strachem obrońców, Dionizjos z tylną strażą zdobył statki w porcie prawie bez użycia broni kilkoma zaledwie uderzeniami końcem liny. Gdy załogi zobaczyły co się stało na pierwszym statku, nie stawiały wcale oporu, lecz z podniesionymi rękami prosiły o oszczędzenie. Tylko kilku próbowało uciekać, ale zatrzymali się i wrócili gdy Dionizjos kazał swoim ludziom rzucać za nimi kamienie. Byli to pokojowi żeglarze z różnych krajów, a nie wojownicy.

Dionizjos kazał otworzyć wrota mocno zbitej z bali nadbrzeżnej szopy, która służyła jako miejsce przechowywania wyładowanych ładunków okrętowych i do trzymania w niej niewolników, i zamknął tam swoich jeńców. Niewolnicy rzucili się przed nami na ziemię, witając nas jako zbawców. Było wśród nich także kilku Greków i Dionizjos polecił im przyrządzić jadło dla nas wszystkich. Z radością rozniecili ogniska na brzegu i zarżnęli sporo miejscowego bydła, ale zanim mięso się upiekło, wielu z nas zaspokoilo pierwszy głód mąką rozrobioną oliwą.

Zdobycie Panormos odbyło się tak szybko i z takim powodzeniem, że ludzi z Fokai ogarnęło zuchwalstwo i przyrzekli iść za Dorieusem, dokąd on tylko zechce. Naturalnie wino przyczyniło się



do dodania im odwagi, bo gdy już zabili zdolnych do użycia broni mężczyzn w mieście, zrabowali w domach wino i szybko się upili, mimo że mieszała je obficie z wodą z uwagi na swoje wygłodnienie.

Okazało się, że w całym porcie i mieście było niespełna pięćdziesięciu uzbrojonych mężczyzn.

Mieszkańcy Panormos od dawna już przyzwyczaili się do spokojnego życia i uważali za mało konieczne zbroić się. Ich własne okręty były na morzu z większością mężczyzn z miasta na po-142

kładzie, a rzemieślników i wykonawców innych zawodów, którzy pozostali w mieście, łatwo było pozabijać. Łatwe zwycięstwo Dorieusa nie było zatem żadnym cudem, choć Fokajczycy uważali za cud, iż żaden z nich nie doznał nawet najmniejszej rany. Dlatego też pod działaniem wina zaczęli się uważać za nietykalnych. Pod wieczór przeprowadzili nowy rachunek i stwierdzili, że jest ich trzystu, co również uważali za cud, choć to tylko wino sprawiło, że liczyli podwójnie.

Na chlubę Fokajczyków trzeba powiedzieć, że pozbywszy się strachu nie dręczyli niepotrzebnie spokojnych mieszkańców miasta. Wprawdzie ciągnęli od domu do domu w poszukiwaniu jakiegoś łupu, ale nie brali niczego przemocą, tylko pokazywali palcami na to, czego chcieli.

Mieszkańcy miasta, widząc ich spalone na brąz twarze i zakrwawione ręce, sami dawali im to, czego ci sobie życzyli. Ale jeśli ktoś stanowczo odmawiał, Fokajczycy śmiejąc się szli do następnego domu. W tak dobrym byli humorze z powodu zwycięstwa, jadła, wina i przyszłości, którą obiecywał im Dorieus jako przyszły władca krainy Eryks.

Wyznaczywszy strażę, Dorieus obrał sobie na mieszkanie zbudowany z drzewa dom Rady, gdzie jedynie schody były z kamienia. Nie było tam żadnych skarbów z wyjątkiem wypisanego na skórze aktu założenia miasta i kilku wiązek świętej trzciny boga rzeki. Rozwścieczony wezwał

do siebie radę miejską. Drżący starcy, odziani w długie do stóp kartagińskie płaszcze i z kolorowymi przepaskami na włosach, zaklinali się i zapewniali, że Panormos jest biednym i nędznym miastem, które płaci wszelkie nadwyżki podatkowe Segeście. A kiedy urządzają ucztę dla bogów lub też przyjmują politycznych gości, zwykli zabierać z sobą do ratusza własne puchary. I Dorieus nie ograbił ich z tego lichego mienia, jakie posiadali, lecz przeciwnie, podarował im duży fenicki puchar srebrny ze skarbu Dionizjosa, mimo gwałtownych protestów tego ostatniego.

Dorieus odparł mu tylko:

— Wielu gorzkich lekcji nauczyłem się w moim życiu. Najbardziej gorzka z nich jest najprawdopodobniej ta, że serce człowieka jest tam, gdzie ma on swoje skarby. Ja sam z powodu mego boskiego pochodzenia nigdy nie byłem tylko człowiekiem w zwykłym znaczeniu tego słowa, i dlatego trudno mi coś takiego zrozumieć. Jeśli chodzi o mnie, mogę tylko powiedzieć, że gdzie jest mój miecz, tam jestem i ja. Nie pragnę wcale twego skarbu, Dionizjosie, ale musisz przyznać, że leżałby on już teraz na dnie morza razem z twoim okrętem, gdybym nie uratował

was wszystkich, wchodząc w przymierze z boginią morza, Tetydą.

Dionizjos obruszył się na to:

— Nasłuchałem się już dość o Tetydzie i o twoich podróżach po morskim dnie, w czasie kiedy leżałeś związany w forpiku. Nie zamierzam znosić twego obchodzenia się z moim skarbem tak, jakby on był twoim.

Dorieus nie rozgniewał się, tylko współczująco uśmiechnął i rzekł:

— Jutro rano wyruszamy na Segestę i myślę, że nic nie orzeźwi nas lepiej po trudach na morzu jak żwawy pieszy marsz. Skarby musimy zabrać ze sobą, bo na okręcie nie możesz ich chyba zostawić. Do portu mogą przecież zawinąć w każdej chwili kartagińskie okręty. Na tej żyznej równinie dostaniemy osły i muły, konie i inne juczne zwierzęta, by przewieźć skarb. Wydałem już odpowiednie rozkazy. Właściciele tych zwierząt muszą pójść z nami i obsługiwać swoje zwierzęta, bo żeglarze boją się koni.

Przyszła teraz na Dionizjosa pora, by zgrzytać zębami, ale musiał przyznać, że decyzja Dorieusa była jedyną możliwą. Wyciągnąć triremę na ląd i doprowadzić ją na nowo do porządku zabra-

łoby wiele tygodni, a tymczasem bylibyśmy bezbronni wobec napaści kartagińskich okrętów wojennych. Naszą jedyną możliwością było zdecydowane wtargnięcie w głąb lądu, im szybciej tym lepiej. Gdybyśmy zabrali skarb ze sobą, Fokajczycy biliby się chętniej na lądzie, bez względu na to, jak bardzo by sarkali na trudy wyprawy.

Dionizjos zagryzł wargi i powiedział:

143

— Niech będzie, jak chcesz. Jutro rano wyruszamy na Segestę i zabieramy skarb ze sobą.

Tam gdzie jest ten skarb, tam też jest niewątpliwie moje serce. Ale jeszcze bardziej kocham moją triremę. Jest mi tak, jakbym opuszczał moje własne dziecko, kiedy zostawiam ją bezbronną w Panormos.

Dorieus odparł:

— Własne dzieci zostawiałeś chyba za sobą we wszystkich portach, które odwiedziłeś. Spalmy więc ten okręt i wszelkie inne statki w porcie, ażeby nikt nie odczuwał pokusy, by uciec tu z powrotem.

Na sama myśl o tym twarz Dionizjosa wykrzywiła się gniewem i omal nie stracił całkiem panowania nad sobą. Pojednawczo wtrąciłem:

— Wciągnijmy raczej triremę na ląd i nakażmy Radzie w Panormos doglądnąć, by ją naprawiono. Srebrna głowa Gorgony będzie ją chronić. Jeśli przyjdą do portu fenickie okręty wojenne, Rada musi zaświadczyć, że trirema należy do nowego króla Segesty. Kartagińscy dowódcy okrę-

tów wojennych unikają mieszania się na własną rękę do spraw wewnętrznych Panormos i Eryksu.

Przypuszczam, że będą zmuszeni najpierw popłynąć do Kartaginy i prosić o radę. W taki sposób

zyskamy przynajmniej na czasie i nic nie stracimy.

Dorieus podrapał się w głowę i powiedział:

— Niech Dionizjos zajmuje się tym, co tyczy się morza. Jeśli on zgodzi się na tę propozycję, Turms, ja nie będę żądał podpalenia okrętu. Może to zbyt wiele palić drogocenne rzeczy, które potem trzeba budować na nowo. I tak będę potrzebował okrętów, by chronić żeglugę erycyńską.

Następnie Dorieus oddał Panormos pod opiekę poprzedniej Rady i obiecał powrócić w swoim czasie jako król Segesty, by wymierzać kary i nagrody stosownie do zasługi. Wieczór był już ciemny, księżyc w pełni świecił okrągłą tarczą na niebie, a ludzie z Fokai, głośno śpiewając, przeciągali ulicami miasta i liczyli się nawzajem.

2

Nazajutrz Dorieus uszykował Fokajczyków do orzeźwiającej wędrówki, która, jak mówił, miała im pomóc odzyskać siły po trudach morza. Ludzie mimo trudności językowych roznieśli jego sławę po mieście. Gdy odprawiał ofiarę tuż przed wyruszeniem, ucichł zgiełk na rynku i mieszkańcy Panormos patrzyli na niego z zabobonną czcią. Jest o głowę wyższy od ludzi, nietykalny i bogom równy, mówili do siebie nawzajem.

Kiedy ofiara została złożona, Dorieus powiedział: — Ruszajmy! — Nie oglądając się za siebie wyszedł z miasta odziany w pełną zbroję mimo upału. My inni, trzystu, jak nas nazywał, poszli-

śmy w ślad za nim, a na samym końcu szedł Dionizjos z kawałkiem liny w ręku. Skarb wyładowaliśmy z okrętu i objuczyli nim muły i osły. Nie był już szczególnie trudny do transportowania, ponieważ poważna jego część poszła na dno wraz z oboma pięćdziesięciowiosłowcami.

Wyszedszy na równinę, obejrzeliśmy się za siebie i zauważyliśmy ku naszemu zdumieniu, że wielu z mężczyzn z Panormos idzie z nami. Kiedy wieczorem zaczęliśmy wspinać się na górskie zbocza, nasza straż tylna powiększyła się o setki pasterzy i wieśniaków, uzbrojonych według najlepszych swoich możliwości. Gdy rozbiliśmy obóz, na całym górskim zboczach migotały małe ogniska. Wyglądało to tak, jakby większa część ludności pogórza Panormos chętnie podniosła się do buntu przeciw Segeście.

Ale na trzeci dzień wyczerpującej wędrówki nieprzywykli do marszu Fokajczycy zaczęli sarkać i pokazywać sobie nawzajem pęcherze pod podeszwami stóp. Dorieus przemówił do nich i powiedział:

144

— Sam idę na czele i rozkoszuję się tym marszem, choć jestem w pełnej zbroi, a wy niesiecie tylko waszą broń. Sami zobaczcie, że nawet się nie pocę.

Odparli: — Tak możesz mówić ty, który nie jesteś podobny do nas. — Potem, przy pierwszym źródle, rzucili się na ziemię, polewali głowy wodą i płakali nad swoją biedą. Napomnienia Dorieusa nie przydały się na nic, ale w linę w rękach Dionizjosa musieli wierzyć, bo wstali i kontynuowali

wędrówkę.

Dorieus powiedział z uznaniem do Dionizjosa:

— Nie jesteś głupi i zaczynasz widocznie rozumieć obowiązki dowodzenia na lądzie. Zbliżamy się do Segesty i przed walką świadom odpowiedzialności dowódca musi tak zmęczyć marszem swoich ludzi, żeby nie mieli już siły uciekać. Droga między Panormos i Segestą jest w sam raz długa i jakby odmierzona przez bogów do tego celu. Wmaszerujemy prosto do Segesty i rozwiniemy się w szyku bojowym wewnątrz jej murów.

Dionizjos odparł ponuro:

— Sam wiesz najlepiej, co mówisz, ale my jesteśmy żeglarzami, a nie hoplitami przywykłymi do walczenia na lądzie. Toteż wcale nie rozwiniemy się w kilka szeregów, tylko przeciwnie, ze-wrzemy szyki ramię przy ramieniu i grzbiet przy grzbiecie w gromadzie. Ale pójdziemy za tobą, jeśli tylko pójdiesz na czele.

Dorieus rozgniewał się na to i oświadczył, że zamierza stoczyć ten rozstrzygający bój zgodnie z regułami wojny na lądzie, tak aby także jego potomkowie mogli czerpać z tego nauki. Ale spór przerwała grupa Sikanów, którzy wyszli z lasu odziani w skóry zwierząt, uzbrojeni w proce, łuki i oszczepy, i pomalowani na czerwono, czarno i żółto na twarzy i na całym ciele. Ich przywódca miał na twarzy przerażającą maskę wyciętą z drzewa. Wykonał przed Dorieusem taniec, a następnie jego ludzie przynieśli kilka głów segestańskich dobrze urodzonych i ułożyli je u stóp Dorieusa.

Głowy były zgniłe i bardzo cuchnęły.

Sikanowie opowiedzieli, że przybyli do nich w lasy i w góry wróżbici zapowiedzieli przyjście nowego króla oraz obdarowali ich solą. Umocnieni tymi wróżbami w śmiałości zaczęli więc zapuszczać się na uprawne ziemie Segesty. Gdy szlachetnie urodzeni z Segesty wyruszyli z końmi i psami, by ich odpędzić, zwabili wielu segestańskich młodzieńców do zasadzki i zabili ich.

Potem jednakże zaczęli obawiać się zemsty Segestan. Dlatego oddali się teraz pod opiekę Dorieusa. Odkąd sięgnęli pamięcią, przechodziła u nich z ojca na syna legenda, że kiedyś przybył do ich kraju przez morze obcy przybysz o silnym ciele i pokonał w pojedynku ich króla, ale oddał

ziemię jej pierwotnym osadnikom i przyobiecał, iż wróci tu kiedyś, by nad nimi panować. Nazywali teraz Dorieusa imieniem Erkle i prosili, by przegnał Elymijczyków i oddał kraj znowu Sikanom.

Dorieus przyjął oddawaną mu przez nich cześć jako rzecz zupełnie naturalną z powodu swego pochodzenia i usiłował nauczyć ich wymawiać słowo Herakles. Ale ich język odmawiał wymówienia tego słowa, i krzyczeli tylko Erkle, Erkle, jak poprzednio. Dorieus trząsał głową, narzekając, że niewiele będzie miał uciechy z takich barbarzyńców.

Byli istotnie barbarzyńcami, bo nie mieli innej broni z metalu prócz kilku oszczepów, miecza ich przywódcy i kilku noży. Większość nosiła oszczepy i strzały z przywiązanymi do nich grotami z ostro wyszlifowanego krzemienia. Segestanie nie pozwalali nikomu sprzedawać im broni z żelaza.

Kupców, którzy obrali drogę przez lasy, karano najokrutniej, jeśli wśród swoich towarów mieli broń. Sikanowie musieli nawet zwać drzewa przez podpalanie i obciosywanie ich, ponieważ nie mieli nadających się do użytku toporów.

Posiadali natomiast inne uzdolnienia i umieli wskazać kamienie, w których mieszkały duchy ziemskie. Nie ścięli też nigdy, nawet przez pomyłkę, drzewa, gdzie mieszkałaby driada, jak też nigdy nie pili wody ze źródła jakiejś niezycliwej nimfy. Poprzedniego wieczora kapłan ich wypił

145

proroczy napój, który sporządzali z trujących leśnych jagód i korzeni ziół, i pogrążony w letargu widział, że Dorieus nadchodzi. Dlatego też wiedzieli, jak twierdzili, jak wyjść mu na spotkanie.

Dorieus zapytał, czy chcą się do niego przyłączyć i wszcząć otwartą wojnę z Segestanami.

Potrząsali głowami i mówili, że przywykli tylko walczyć w lasach i w górach. Na otwarte pola Segesty nie ważyli się wyjść, ponieważ bali się koni i złych psów. Ale obiecywali, że będą śledzić przebieg walki ze skraju lasu i dodawać otuchy Dorieusowi hukami bębnow, które sporządzali z dziuplastych drzew.

Dorieus przyjrzał się im, ucieszył się i powiedział:

— Oto mamy helotów jak stworzonych dla mego przyszłego królestwa. Lepszych nie mógł-

bym sobie wymarzyć. W mojej Segeście młodzieńcy nie będą zniewieściali, lecz będą zaliczać się do mężczyzn dopiero po zabiciu swego pierwszego Sikana. Ale na razie najlepiej będzie nie mówić im o tym.

Gdy szliśmy dalej, coraz więcej Sikanów wychodziło z lasów, by patrzeć na nas i wołać Erkle, Erkle na Dorieusa. Wieśniacy z Panormos dziwili się ogromnie i mówili, iż nigdy nie przypuszczali, że istnieje tylu Sikanów. Stronili oni od ludzi i chowali się najchętniej po lasach, i nie zwykli byli pokazywać się nawet przy handlowaniu, pozostawiali tylko swoje towary wymienne na określonych miejscach i przyjmowali w zamian za nie to, co im tam zostawiono.

Potem znów rozpostarły się przed nami żyzne pola Segesty ze swymi ołtarzami i pomnikami.

Dorieus nakazał nam nie deptać zboża, ponieważ już uważał je za swoją własność. Nie widać było żywej duszy, bo wszyscy schronili się do miasta. A przy pomniku ku pamięci tego wątpliwego Filipposa, Dorieus zatrzymał się i rzekł:

— Tu będziemy walczyć, aby udobruchać ducha mojego ojca.

Mogliśmy dostrzec zaniepokojonych ludzi w dali na murach miasta. Dorieus kazał Fokajczykom uderzać w tarcze, żeby pokazać, że wcale nie zamierza zaskoczyć miasta zniecka. Kiedy zgiełk ustał, posłał do murów herolda, by zapowiedzieć swoje dziedziczne roszczenia i wyzwąć króla Segesty do walki o władzę. Następnie rozbiliśmy obóz wokół pomnika grobowego, jedliś-

my, piliśmy i odpoczywaliśmy. Nie dało się uniknąć podeptania części zboża, gdyż było nas tam około dwóch tysięcy ludzi, jeśli liczyć do tego Sikanów, którzy podkradali się za nami.

Zdaje mi się, że zniszczenie pól rozdrażniło Segestan bardziej niż żądanie Dorieusa. Gdy spostrzegli, że zboże jest już tak czy owak stracone, i że nie da się uniknąć walki, ich król zebrał

swoich atletów i dobrze urodzonych młodzieńców i kazał zaprząć konie do wozów bojowych, które przez wiele dziesiątków lat używane były tylko do igrzysk. Król ten nie miał większej władzy niż kapłan ofiarny w miastach jońskich, ale psia korona zobowiązywała go, by szedł na czele swoich wojsk. Według tego, co słyszeliśmy później, nie miał do tego wielkiej ochoty, lecz zdjął

psią koronę z głowy i ofiarował ją stojącym wokoło, gdy zaprzęgano konie do wozów bojowych.

Ale właśnie wtedy także i nikt inny nie czuł ochoty, by piastować znak królewski. Zdaje mi się, że dobrze urodzeni właściciele ziemscy w Segeście dobrze wiedzieli, iż ludzie w mieście wcale ich nie kochali i może zdobyliby się na odwagę, by uderzyć im w plecy, gdyby oni zadowolili się tylko obroną muru, bez wdawania się w walkę na otwartym polu.

Toteż napili się wina i złożyli ofiarę bogom podziemnym, by nabrać odwagi i cieszyć się na chwalebnej śmierci, jeśli tak było postanowione. Ze świątynnej budy zabrali świętego psa i prowadzili go między sobą wraz z innymi psami. Nie szczędzili też czasu, by namaścić i uczesać włosy.

Kiedy wreszcie byli gotowi do walki, otwarli bramę miejską i wysłali przed sobą wozy bojowe. Zaprzęgi rozpostarły się w linię osłaniającą bramę miejską, przedstawiając wspaniały widok, jakiego chyba nikt w mieście nie oglądał od całego pokolenia. Naliczyliśmy dwadzieścia osiem wozów. Trzy ciągnięte przez cztery konie, a reszta przez dwa. Konie były okazałe i miały pióropusze i srebrne okucia na uprzęży. Segestanie słusznie byli dumni ze swoich szlachetnych koni 146

i zwykli byli chęć się, że bez trudu pokonaliby greckie zaprzęgi, gdyby Grecy pozwolili im brać udział w swoich igrzyskach. Ale Grekom nie zależało na tym, by ściągnąć Elymijczyków na swoje hipodromy.

Za wozami rozwinęli się hoplici, zarówno szlachetnie urodzeni, jak zwerbowani wojownicy i atleci. Dorieus zakazał nam liczyć tarcze, żebyśmy się nie przelękli. Za hoplitami szli przewodnicy psów, a za nimi procarze i oszczepnicy.

Usłyszeliśmy, jak woźnice wołali na swoje konie. Zaprzęgi zaczęły toczyć się ku nam w jednym szeregu. Kiedy Fokajczycy zobaczyli rozdęte nozdrza końskie i galopujące kopyta, zaczęli drzeć tak, że ich tarcze szczękały o siebie. Dorieus stał na samym przedzie i kazał ludziom mężnie nie ustępować i skierować włócznie ku końskim brzuchom. Ale kiedy wozy zbliżyły się z hukiem, ludzie z Fokai wycofali się zdecydowanie za pomnik i ołtarze, oświadczając, że jeśli chodzi o nich, niech Dorieus sam się upora z tymi końskimi sprawami, do których oni nie przywykli. Reszta naszego oddziału wycofała się przy tym także ostrożnie za szeroki rów nawadniający, zrywając za sobą mostki i brodząc w pośpiechu w błocie aż po szyję.

Dorieus cisnął dwa oszczepy, zranił skrzydłowego konia w czworokonnym zaprzęgu i zabił

wojownika na wozie, który przeszyty oszczepem spadł i włókł się za swoim wozem. Ja chybiłem, rzuciwszy jeden swój oszczep, ale gdy konie stanęły dęba przede mną, postąpiłem dwa kroki do przodu i wbiłem z całej siły drugi oszczep w brzuch najbliższego konia. Postanowiłem nie odstępować od boku Dorieusa, bez względu na to, co się stanie, lecz okazać się równie mężnym jak on, chociaż nie byłem mu równy siłami i sztuką fechtowania. Do tej decyzji doprowadziła mnie urażona próżność, a nie rozsądek. Ale przekonywałem samego siebie, że taka decyzja służyła równie dobrze jak coś innego, by siebie wypróbować.

Gdy Dorieus zobaczył, że postąpiłem dwa kroki do przodu ku koniom, ogarnął go szal i zaatakował je mieczem, tak że konie z pierwszego zaprzęgu padły, kopiąc ziemię. Jednego z koni w najbliższym zaprzęgu szczęśliwa strzała trafiła w oko, tak że stanąwszy dęba, poniósł w tył, aż wóz się przewrócił, wprowadzając zamieszanie w szyku. Szlachetne zwierzęta były przyzwyczajone tylko do zawodów i nie wiedziały nic o wojnie.

Gdy król Segesty ujrzał, jak wiele z jego niezastąpionych koni pada od ran, stracił opanowanie i krzyknął do woźniców, by zawrócili. Także wielu szlachetnie urodzonych młodzieńców wybuchnęło płaczem i krzyczało, że wolą raczej sami umrzeć niż patrzeć, jak zabija się te szlachetne zwierzęta. Wołali do nas, zakazując nam wyrządzać koniom krzywdę. Nieuszkodzone zaprzęgi zawróciły, a wojownik na obalonym dwukonnym wozie bojowym zapomniał o walce, zeskoczył, i rzucił się na ziemię, i objął umierające konie, całował je po chrapach i oczach, i usiłował wieloma pieśzcotliwymi słowami przywołać je z powrotem do życia.

Kiedy zaprzęgi zawróciły na lewo i na prawo, i stojący w nich bardziej opanowani wojownicy rzucili na nas oszczepy, wozy zatrzymały się, a woźnice wysiedli i zaczęli uspokajać drżące i spienione rumaki, przeklinając nas i wygrażając nam pięściami. Fokajczycy wyszli teraz ze swego schronienia za Dorieusem tarcza przy tarczy, a tuż za nimi uszykował się jako wsparcie drugi szereg. Także i obłoceni powstańcy erycyńscy przeskoczyli z powrotem przez rów i wymachując dzielnie maczugami i pałkami wznosili wściekłe okrzyki bojowe.

Segestańscy hoplici odstąpili na bok, a poskramiacze psów spuścili je z uwięzi i poszczuli na nas. Z wyszczerzonymi zębami i warcząc z wściekłością rzuciły się pędem na nas. Miałem na sobie pancerz i nagolenice, Dorieus również, a Fokajczycy bronili się tarczami. Dorieus krzyczał

na psy i zadawałał się wymierzeniem ciosu w nos tym, które rzucały mu się do gardła, tak że z wyciem spadały na ziemię. Ale przez ten warczący zgiełk słyhać było daleko za nami przerażone krzyki uciekających do lasu Sikanów. Rozbawiło to Dorieusa do tego stopnia, że wybuchnął

śmiechem i bił się po kolanach. Śmiał się długo i zdaje mi się, że jego śmiech najbardziej dodał

otuchy Fokajczykom.

Psy przebiegły obok nas i rzuciły się krwiożerczym stadem na powstańców z Eryksu, rwały nie

osłonięte gardła, przegryzały żyły i mięły gołe ramiona między szczękami. Ale wieśniacy wytrzymali zajadły atak tych znieprawionych zwierząt i krzyczeli z radości, gdy udało im się pozbać któregoś z nich życia uderzeniem pałki. Zabicie rasowego psa było najcięższym przestępstwem w Eryksie i wieśniacy ci, jak również ich żony, bezbronnie musieli znosić ukąszenia i patrzeć, jak psy bezkarnie rozdzierają im owce i straszą dzieci.

Jak przypuszczam, święty pies Segesty, Krimisos, nie miał wziąć udziału w tym ataku. Może jednak zerwał się ze smyczy albo też spuszczone go z niej przez pomyłkę. W każdym razie ten osiwiały już i łagodny pies, który przez wiele lat wiódł spokojne i ciche życie w swej przegrodzie, przykuśtykał za innymi, gruby i ogromny, i zbity z tropu rozglądał się wokoło, nie rozumiejąc, co się dzieje. Warczenie i skowyt jego psich braci podniecało go, a odór krwi unoszący się z ziemi dręczył jego wydelikacowany nos. Dorieus zawołał na niego głośno i pies uspokoił się zaraz i przybiegł do niego, obwąchał przyjaźnie jego kolana i podniósł łeb, by spojrzeć mu w twarz.

Dorieus pogłaskał go po głowie i przemówił do niego życzliwie, obiecując, że kiedy już przejmie psią koronę, da mu co roku do pary jeszcze piękniejszą dziewicę niż dotychczas. Święty pies ułożył się dysząc u jego stóp, by wypocząć po swym krótkim biegu. Patrzył chytrze na błyszczący szereg segestańskich hoplitów, marszczył nos i szczyrzył żółte zęby.

Fokajczycy nie zrozumieli znaczenia tego znaku, ale szlachetnie urodzeni Segestanie zrozumieli go tym lepiej. Z ich grona rozległ się krzyk zdumienia, i sam król zniżył się do tego, by zagwizdać na psa i wezwać go do powrotu, zdając sobie sprawę, że szczęście zaczyna wymykać mu się z rąk. Ale pies udawał, że nie słyszy królewskiego gwizdania i nawoływań swego przewoźnika, tylko patrzył czule na Dorieusa i liział jego okute żelazem sandały.

Także ja pochylałem się i pogładziłem psa po grzbiecie, on zaś liznął życzliwie językiem moją dłoń na znak przyjaźni. Ale Dorieus gniewnie kazał mi zostawić psa w spokoju. Był on jego łupem i ja nie miałem czego tu szukać.

Jeszcze bardziej przerażili się Segestanie, gdy ujrzeli, że prosty lud ośmiela się zabijać ich psy. Szybko zaczęli odwoływać psy z powrotem, a poskramiacze pobiegli z pogardą śmierci, by je przywabić i wziąć znowu na smycze. Aby oszczędzić uczucia Krimisosa, Dorieus zabronił zabijać tych nieuzbrojonych pomocników, ale zbuntowani Erycyńczycy nie mogli się powściągnąć.

Dorieus przemówił teraz do świętego psa i nakazał mu zostać i trzymać straż przy pomniku grobowym jego ojca. Wprawdzie nie były to szczątki jego ojca, tylko Filipposa z Krotony, ale Dorieus prawdopodobnie zapomniał o tym. Pies włożył nos między przednie łapy i leżał dalej na ziemi. Dorieus obrzucił wzrokiem Fokajczyków, wzywając Dionizjosa, i dał znak uderzeniem w tarczę, po czym ruszył ku falującemu szykowi segestańskich hoplitów. Dołączyłem od razu do jego boku, nie dając mu się wyprzedzić. Kiedy Dionizjos z Fokai ujrział, że nadeszła poważna chwila, zatknął kawałek liny za pas, chwycił tarczę i miecz i pospieszył, by stanąć u prawego boku Dorieusa.

Ani Dorieus, ani Dionizjos nie, oglądali się za siebie. Krocząc tak gęsto zwartym szeregiem jeden obok drugiego przyspieszaliśmy ustawicznie kroku, ponieważ nikt z nas nie chciał puścić drugiego przed siebie. Dorieus z powodu swojej godności, Dionizjos z powodu swojej sławy wojennej, a ja z czystej próżności. Ale najzazdrośniej czuwał Dorieus nad tym, aby nasze stopy nie wyprzedziły go



choćby tylko o czubki palców. W ten sposób znaleźliśmy się wkrótce w pełnym biegu. Za sobą słyszeliśmy okrzyki wojenne Fokajczyków, i tupot nóg, gdy usiłowali nas doścignąć. Powstańcy z Eryksu biegli za nimi, a w dali słychać było głuchy huk wydrążonych pni i do-myślaliśmy się, że Sikanowie wyszli z lasu i spieszą za nami.

Do hoplitów było około dwustu kroków i odległość ta zmalała prędeej, niż mogę to opisać.

Sądzę jednak, że była to najdłuższa droga w całym moim życiu. Dumę moją ratowało jedynie to, że cały czas obserwowałem baczenie czubki moich stóp. Nie patrzyłem w górę i przed siebie, 148

dopóki ryk Dorieusa nie sprawił, że podniosłem tarczę tuż obok jego tarczy, żeby wylapywać oszczepy, które teraz miotano na nas. Od ciężaru oszczepów opadło mi ramię dźwigające tarczę, a jeden z nich przebił nawet tarczę i zranił mnie, choć wtedy tego nie zauważyłem. Na próżno usiłowałem strząsnąć je z tarczy, i dopiero miecz Dorieusa błysnął nagle koło mnie jak niegdyś i jednym cięciem odciął drzewca oszczepów, tak że zdążyłem podnieść znowu tarczę, gdy z ca-

łym rozpędem zderzyliśmy się z hoplitami.

W wirze walki wysycha gardło, serce ściska się i człowieka ogarnia swego rodzaju upojenie, które przeszkadza mu odczuwać ból od ran. Gdy nasze tarcze zderzyły się z tarczami segestań-

skich hoplitów, wiedzieliśmy, Dorieus, Dionizjos i ja, że wreszcie napotkaliśmy twarde opór.

Mimo siły naszego natarcia nie mogliśmy złamać ich szeregów. Wygięły się tylko do tyłu.

Zdaje mi się jednak, że w prawdziwej walce nikt nie wie zbyt dużo o jej przebiegu. Ma dość trudu, by bronić swego życia w licznych rozstrzygających chwilach. Ludzie w pierwszym szeregu Segestanów poszczepiali tarcze hakami. Ci, których obaliliśmy przy natarciu, pociągnęli za sobą cały szereg do tyłu, tak że cały szereg zaczął falować i mogliśmy przebiec po tarczach i zaatakować następny szereg, mając tuż za sobą nacierających Fokajczyków. Dopiero wtedy zaczęła się prawdziwa walka na miecze, mąż przeciw mężowi.

Segestanie byli zniewieściami, ale z zaciekłości i żalu o poszkodowane psy i konie, stanowili strasznych przeciwników. Walczyli o swoje mienie i odziedziczoną potęgę, uważając, że nie warto żyć, gdyby stracili swe dziedziczne prawa. Toteż szli nieustraszenie do przeciwnatarcia, by pomścić śmierć swoich psów i koni. A jeszcze straszniejszymi przeciwnikami byli zaprawieni w zapasach i walce na pięści atleci, których jedynym zadaniem było ćwiczenie sił i zręczności dla rozrywki swych panów.

Dionizjos zachęcał krzykiem swoich ludzi:

— Fokajczycy, już wasi przodkowie walczyli na tym polu i jest też tutaj pomnik grobowy nam znany! Niech więc się nam zdaje, że jesteśmy u siebie w domu i walczymy o życie!

A do zwątpiałych i zmęczonych krzyknął:

— Fokajczycy, być może sława to słowo zbyt cenne, a życie żeglarza mało jest warte, ale pa-

miętajcie, że bijecie się o wasz skarb! Tam za nami hołota z Eryksu pogania już osły i woły, by zrabować nam skarb, gdyż myślą, że zostaniemy pokonani.

Zbiorowy ryk wściekłości wydarł się z gardzieli omdlewających mężczyzn, tak gorzki, że Segestanie na chwilę opuścili miecze. Dorieus spojrzał ku niebu i zawołał:

— Słuchajcie, słuchajcie poszumu skrzydeł bogini zwycięstwa na wysokim niebie!

Skorzystał z krótkiej chwili ciszy, która czasem powstaje w walce tuż przed rozstrzygnięciem.

I może to tylko krew szumiała mi w uszach, ale zdawało mi się, że wyraźnie słyszę ciężkie uderzenia skrzydeł nad nami. Także Fokajczycy słyszeli to, albo przynajmniej tak potem utrzymywali.

Nadnaturalne uniesienie ogarnęło Dorieusa w tej chwili, tak że siły jego wydały się wielokrotnie pomnożone i nikt nie mógł mu się oprzeć. U jego boku parł do przodu Dionizjos z karkiem wyciągniętym jak u byka, wyrębując sobie drogę toporem, a za nim szła gromada Fokajczyków, z furią, tak że siłą rozpaczy udało nam się przełamać szyk hoplitów. Lekkozbrojni za nimi dziko rzucili się do ucieczki, płosząc konne zaprzęgi i przewracając na ziemię poskramiaczy psów, a te uwolniły się i zaczęły w tym zamieszaniu kąsać wszystko wokół siebie.

Nieoczekiwana siła naszego ostatniego natarcia zaskoczyła także króla Segesty, tak że nie zdołał się odsunąć. Dorieus zabił go tak szybko, że tamten ledwie zdążył unieść miecz do obrony.

Hełm z psią koroną potoczył się po ziemi, a Dorieus schwycił go i wysoko podniósł, pokazując wszystkim.

Niewiele to znaczyło, ponieważ sami Segestanie nie cenili zbyt swego króla i psiej korony.

Przejście świętego psa do Dorieusa przeraziło ich o wiele bardziej niż to, że król zginął, a psia 149

korona przepadła. Ale Fokajczycy nie wiedzieli o tym. Wykrzyknęli z triumfem i wznieśli okrzyk zwycięstwa, mimo że hoplici zaczęli zamykać swoje szeregi za nami, a droga w przód, do miasta, była zagrodzona nieprzeniknioną gęstwą zaprzęgów konnych i lekkozbrojnych peltastów.

Właśnie w tej chwili u bramy miejskiej podniósł się krzyk zgrozy i przerażenia. Woźnice wo-zów bojowych, chcąc zaprowadzić drogocenne zwierzęta w bezpieczne miejsce, zawrócili tratując bezlitośnie końmi uciekających peltastów. Wołali, że wszystko stracone i miasto padło. Ludzie na murach Segesty sądzili, że walka została rozstrzygnięta, skoro peltaści uciekają, a wozy wracają do miasta. Napadli wtedy zniemacka na nielicznych strażników, odebrali im broń, zaparli bramę i przejęli władzę w mieście.

Straciwszy swego dowódcę i zdawszy sobie sprawę, że w Segeście wybuchło powstanie, szlachetnie urodzeni przestali walczyć i chcieli się naradzić. Tymczasem nasza przerzedzona grupa utorowała sobie drogę aż do bramy miejskiej, w czym nie starali nam się przeszkodzić lekko-zbrojni. Byli oni pochłonięci ratowaniem własnej skóry i uciekając przewracali i tratowali jeden drugiego. Wielu dobiegło aż do muru, wyciągali ręce do góry i wołali do swoich przyjaciół, że zostali zmuszeni do udziału w walce i chętnie wzięliby udział w powstaniu teraz, kiedy lud wziął

już władzę w swoje ręce. Przywódcy powstania kazali też wciągać na górę tych, którzy przypadli im do gustu, ażeby wzmocnić swoją władzę w mieście. Mur miejski w Segestie nie był nad miarę wysoki. Składał się przeważnie z gliny i był umocniony kamieniami i drewnem.

Mówiąc o ludzie Segesty, mam tu na myśli zamożnych kupców i rzemieślników, właścicieli warsztatów zatrudniających niewolników i uczniów. Dotychczas mieli oni w Segestie mało do powiedzenia, bo Segestą i wraz z nią całą krainą Eryks rządili posiadacze ziemscy i szlachetnie urodzeni dziedziczący godności. Ci zwykli byli wybierać kogoś ze swoich na nosiciela psiej korony. Ludność miejska w Segestie nie miała natomiast nic wspólnego z bezrolnymi robotnikami i pastuchami, którzy szli z nami.

Przy bramie zatrzymaliśmy się, by otrzeć z siebie krew i zaczerpnąć tchu. Dorieus walnął o bramę brzegiem tarczy i zażądał, aby go wpuszczono, podnosząc w górę psią koronę tak, aby wszyscy mogli ją widzieć. Była tak mała, że tkwiła mocno na jego głowie, ponieważ szlachetnie urodzeni w Segestie mieli o wiele mniejsze głowy niż Grecy. Hodowali też psy z rasy o tak małych łbach, że podobne były do nich samych.

Ku naszemu zdumieniu brama otwarła się z trzaskiem i wyszli nam na spotkanie jako przywódcy ludu obaj synowie Tanakwil, którzy z ponurymi minami przywitali Dorieusa jako króla Segesty. Wpuścili nas do miasta i szybko zamknęli bramę. Fokajczyków pozostało tylko około czterdziestu. Wielu z nich chwiała się na nogach i wnet osuwali się na ziemię. Inni nieśli albo prowadzili między sobą rannych towarzyszy. Lud powitał Dorieusa radosnymi okrzykami, wychwalając jego wspaniały bój. Niebawem ujrzelśmy Tanakwil, która wyszła nam na spotkanie, odziana w sztywne szaty i kartagiński kapelusz. Niewolnica niosła nad jej głową parasol, żeby pokazać, że pochodzi ona od kartagińskich bogów.

Skloniła głowę przed Dorieusem i podniosła obie ręce, żeby go powitać. Dorieus wręczył jej psią koronę do potrzymania, by mieć wolne ręce, i stał potem rozglądając się dokoła trochę stropiony, jakby nie wiedząc, co dalej robić.

Moim zdaniem mógł być serdeczniej przywitać swoją ziemską małżonkę, nawet jeśli związał się na morzu z Tetydą o białych członkach. Toteż spieszenie powiedziałem:

— Tanakwil, Tanakwil, witam cię z całego serca. W tej chwili jesteś dla mnie piękniejsza niż słońce, ale Arsinoe jest przy taborze i musimy uratować ją, aby nie wpadła w ręce Segestan.

Także Dionizjos rzekł:

150

— Na wszystko jest czas i nie chcę ci w żaden sposób przeszkadzać, Dorieusie, w tak szczytnej chwili. Ale nasz skarb jest tam koło nagrobka i obawiam się, by te erycyńskie pastuchy go nie zrabowały.

Dorieus ocknął się z oszołomienia i odparł:

— Tak, tak, zupełnie o tym zapomniałem. Dałem już zadośćuczynienie prochom mojego ojca i spokój jego duszy. Imię tego podejrzanego Filipposa musi szybko zostać zatarte, a na jego miejscu ma być wypisane: Ku pamięci Dorieusa, ojca Dorieusa, króla Segesty, Lacedemończyka, on-giś najpiękniejszego mężczyzny i trzykrotnego zwycięzcy olimpijskiego, oraz wszystkich pokoleń pochodzących od Heraklesa, na tyle, na ile je pamiętam. Zapytaj ludzi w Segeście, czy mają coś przeciwko temu.

Wy tłumaczyliśmy, o co chodzi, synom Tanakwil. Westchnęli z ulgą i oświadczyli, że wcale nie mają nic przeciw temu, by pomyłka została sprostowana. Przeciwnie, cieszą się, że Dorieus nie zażądał niczego więcej.

Dorieus powiedział wtedy:

— Skarbu nie potrzebuję, a Arsinoe da sobie radę sama. Jest przecież teraz pośród samych mężczyzn. Ale świętego Krimisosa zostawiłem, by czekał na mnie przy nagrobku mego ojca.

Trzeba go przyprowadzić z powrotem do miasta. Czy jest ktoś chętny, bo ja sam jestem zmęczony po walce i nie chce mi się iść tak daleko?

Nikt z Segesty nie wyraził ochoty, a ludzie z Fokai trzęśli głowami i mówili, że i oni są tak potłuczeni i okryci ranami, iż ledwie trzymają się na nogach.

Dorieus westchnął i rzekł:

— Królewskie brzemieństwo to ciężkie brzemieństwo. Już czuję się dość samotny między śmiertelnymi i nie mogę więcej na nikim polegać. Król jest sługą swego ludu i w taki sposób swoim własnym pierwszym sługą. Nie ma więc chyba innej rady, tylko sam muszę pójść przyprowadzić psa. Nie mogę go zawieść, skoro oddał się pod moją ochronę i lizał mi stopy.

Tanakwil wybuchnęła płaczem i zabraniała mu iść, Fokajczycy wpatrywali się w niego szeroko rozwartymi oczami, a Dionizjos orzekł, że jest szaleńcem. Ale Dorieus kazał otworzyć bramę i sam wyszedł z miasta. Ramiona mu opadły ze zmęczenia, tak że tarcza obijała się o nagolenice, a miecz zwisał ku ziemi. Swój pióropusz utracił w walce, a cała zbroja była czerwona od krwi.

Na wyścigi wybiegliśmy na mur, by zobaczyć, co się stanie, i ujrzeliśmy, że segestańscy szlachetnie urodzeni zebrali się w grupę za swymi tarczami, z wozami bojowymi wewnątrz swego szyku, a peltaści stali osobno, spierając się gwałtownie. Powstańcy z Eryksu wycofali się w bezpieczne miejsce za rowem nawadniającym. Na skraju lasu, ledwie widoczni, majaczyli odziani w skóry Sikanowie, którzy od czasu do czasu wybijali werbel na bębnach.

W dali przez puste pobojowisko wędrował Dorieus pośród zakrwawionych trupów i nieruchomo leżących rannych, którzy wołali o wodę i wzywali w rozmaitych językach swoje matki. Idąc pozdrawiał każdego poległego Fokajczyka po imieniu i wychwalał jego dzielność w boju. — Nie jesteś martwy — powtarzał głośno przy każdym trupie. — Jesteś nietykalny i wciąż jest nas trzystu i

trzystu będzie nas zawsze.

Kiedy tak szedł przez pole, ucichły wszystkie głosy. Segestańscy wielmoże patrzyli na niego, nie wierząc własnym oczom, i żadnemu nie przyszło do głowy go zaatakować. Jak zawsze przy wielkim rozlewie krwi na niebie zebrały się ciężkie chmury, ale gdy Dorieus szedł, rozpierzchnęły się i w blasku słońca jego czerwonokrwawa postać lśniła wspaniale.

Fokajczycy szeptali między sobą i orzekli:

— On jest zaiste bogiem, a nie człowiekiem, choć wierzyliśmy w to tylko w połowie.

151

Nawet Dionizjos powiedział: — Nie, człowiekiem on nie jest, przynajmniej nie jest zdrowym człowiekiem.

W ten sposób kroczył Dorieus obok nieprzyjacielskiego wojska aż do nagrobka i przywabił świętego psa. Ten zaraz zerwał się, przykulał machając ogonem i patrzył na Dorieusa z oddaniem.

Dorieus wezwał mocnym głosem ducha swego ojca i zapytał:

— Jesteś już zadowolony, mój ojcze, Dorieusie? Zaznałeś już spokoju i nie będziesz mnie więcej nawiedzał?

Później wielu opowiadało, że słyhać było z nagrobka głuchą odpowiedź: — Tak, jestem zadowolony, mój synu, Dorieusie, i zaznałem spokoju.

Ja sam nie słyszałem żadnego głosu i nie wierzę też w tę historię, ponieważ Segestanie dwadzieścia lat wcześniej wyraźnie wzniesli ten nagrobek dla Filipposa z Krotony i pochowali ojca Dorieusa wraz z innymi poległymi na swoich polach, nie oddając mu szczególnej czci.

Z drugiej strony Dorieus mógł istotnie słyszeć taką odpowiedź w samym sobie, gdyż duch jego ojca wezwał go przez lądy i morza aż do Segesty i nawiedzał go dotychczas zarówno we śnie, jak na jawie. Chcę to podkreślić, by nie twierdzić, że Dorieus kłamał. Co prawda on sam nie powiedział nigdy, że usłyszał taką odpowiedź, ale też nie przeczył, gdy mówili o tym inni.

Właściciele osłów i wołów pociągowych przypędzili już z zadowoleniem swoje zwierzęta do rowu nawadniającego w nadziei, że znajdą tam obfity łup. Ale ponieważ nie było mostków, nie mogli przedostać się na drugą stronę rowu, a nie wazyli się przejść ze zwierzętami w bród, gdyż błoto było głębokie.

Dorieus przemówił do nich przyjaźnie i nakazał im wracać. Arsinoe odpowiedziała mu swym jasnym głosem z grzbietu osła, mówiąc, że ci bezwstydni mężczyźni nie chcieli jej słuchać i zamierzali zrabować ją i skarb. Mikon znowu, zobaczywszy gwałtowność walki, szybko upił się do nieprzytomności, tak że nie nadawał się do niczego. Arsinoe kazała go wpakować do pustego kosza po paszy.

Wystarczyło, że Dorieus zrobił kilka gniewnych kroków w stronę taboru, żeby poganiacze osłów się opamiętali. Zaczęli nawoływać swoje zaprzęgi i zapewniali jak jeden mąż o swej niewinności. Wielka rzesza mężczyzn z Eryksu także nabrała odwagi na widok Dorieusa i przekroczyła z powrotem rów, żeby iść za nim do miasta, ale trzymali się w pełnej szacunku odległości od niego.

Gdy Arsinoe nadszedła na swoim osle, klatkę z kotem trzymając przed sobą, święty pies Segesty najeżył sierść i warknął. Dorieus uznał dlatego, że najlepiej będzie wrócić do miasta przed innymi, żeby święty pies nie poczuł się urażony dziwnym zapachem kota. Kiedy zaczął zmierzać w stronę Segesty, wielmoże nawoływali jeden drugiego, żeby go zaatakować i zabić. Ale zobaczywszy, jak pies Krimisos z podniesioną głową i obnażonymi kłami idzie tuż za nim jak gdyby po to, by go chronić, wycofali się znowu do swego chronionego tarczami szyku.

Za Dorieusem podążyło około dwadzieścia jucznych zwierząt z naszego taboru z poganiaczami, a na końcu szedł osioł, do którego kosa na paszę Arsinoe kazała miłosiernie włożyć skulonego we dwoje Mikona. W mieście Mikon otrzeźwiał jednak i trzymał się na nogach, choć nie bardzo wiedział co się dzieje wokół niego, ale był tak doświadczonego lekarzem, że mógł wykonywać swój fach równie dobrze, a zdaniem wielu nawet lepiej niż na trzeźwo. Bez wahania wtykał igłę lekarską w rany, aby zbadać ich głębokość, nastawiał członki wywichnięte ze stawów przez segestańskich atletów i przypalał rozpalonym żelazem ukąszenia psów.

Co do mnie wspomnę tylko, że miałem oba kolana odarte ze skóry, oszczep zranił mnie w ramię, a strzała przeszła mi na wylot szyję tuż nad obojczykiem, tak że Mikon musiał rozciąć ranę na karku, żeby móc wyjąć grot. Ale powiedział, że te rany są tylko takiego rodzaju, że mogą mi w sam raz służyć jako przypomnienie o mojej śmiertelności.

152

Wcale nie użalam się z powodu tych ran. Wymieniam je tylko dlatego, że podczas gdy mnie opatrywano, Dorieus zaczął zbierać i liczyć Fokajczyków, którzy jeszcze mogli utrzymać się na nogach i podnieść rękę. Powiedział: — Nie chcę was trudzić, ale Segestanie wciąż jeszcze trzymają się w szyku za tarczami na polu. Musimy widać wyjść za bramę i doprowadzić walkę do końca.

Ale tych słów Fokajczycy nie wytrzymali. Wybuchnęli głośnymi okrzykami, domagając się, by zadowolili się psią koroną. I ja czułem odrętwienie członków i wtrąciłem:

— Dorieusie, okaż cierpliwość. Aż tu szedłem za tobą, ale dalej nie pójdę.

Dionizjos policzył swoich ludzi i rzekł gorzko:

— Trzystu nas było, ale teraz Fokajczyków nie ma nawet tylu, by obsadzić załogą jeden pięć-

dziesięciowiosłowiec. Duchy nie mogą harować przy wiosłach ani wciągać żagli. Przynajmniej nigdy o tym nie słyszałem i nie chcę też tego widzieć.

Dorieus zgodził się w końcu zdjąć hełm z głowy, westchnął głęboko i rzekł:

— Być może istotnie zrobiłem już swoje, choć przed chwilą zdawało mi się, iż sam mój widok może

przepędzić do ucieczki całe wojsko z tarczami i inną bronią.

Także synowie Tanakwil byli zdania, że rozlano już dostatecznie dużo krwi i że Segesta potrzebuje swoich hoplitów, ażeby nie stracić władzy nad Eryksem. Toteż przyszła pora na układy i to najlepiej na sposób kartagiński. Przyobiecali chętnie, że dopilnują tej sprawy, żeby Dorieus nie musiał łamać sobie głowy nudnymi szczegółami.

Tanakwil zaś powiedziała:

— Moi synowie mają słuszość, najwyższy czas, żebyś odpoczął po trudach. Uważam, że twoim najważniejszym zadaniem będzie teraz zaprowadzenie na czele uroczystego pochodu świętego psa do jego budy, a potem pozostanie ze mną w cztery oczy, abyśmy mogli pomówić o wszystkim, co się stało.

Dorieus rozejrzał się dokoła błędnym wzrokiem i odparł słabym głosem:

— Daleko jesteś przed moimi oczyma, Tanakwil. Zdaje mi się, że minęło wiele lat, odkąd spotkaliśmy się w Himerze. Twoja twarz postarzała się od tego czasu, a policzki ci zapadły. Ale naturalnie zajmę się psem, a potem każę wznieść świątynię dla Heraklesa. Nie zdążę wcale zostać z tobą na osobności, dopóki nie puszczę w ruch tej ważnej sprawy.

Tanakwil poczuła się urażona, ale pokrywała to uśmiechem i pokazywała swoje zęby z kości słoniowej, wykonane w mieście Eryks.

— Na pewno zeszczuplałam z niepokoju o ciebie, bo nie dawałeś znać o sobie — powiedziała.

— Ale z tobą na osobności przyjdę szybko znowu do siebie. A i ty spojrzysz na wszystko innymi oczami, gdy tylko wypocznesz.

Synowie Tanakwil oznajmili, że nie teraz jest właśnie najodpowiedniejsza chwila na myślenie o nowej świątyni, gdyż pola są stratowane, a ziemia poniosła także inne szkody. Aby budować świątynię trzeba badać znaki wróżebne i wyliczyć odpowiedni rok, i w Segeście są wróżbiarze, którzy to umieją.

Dorieus ustąpił w końcu, pozwolił, by pomocne ręce zdjęły z niego pancerz, i włożył fenicki płaszcz, na którym były odtworzone księżyc i gwiazdy, segestańska nimfa i święty pies. Lud szedł

za nim w procesji do świątyni. Oprócz tych Fokajczyków, którzy trzymali się na nogach, szli tam tylko starcy, kobiety i dzieci, gdyż mężczyźni z Segesty mieli ważniejsze sprawy na głowie. Świę-

ty pies nie chciał wejść do swojej przegrody, lecz warczał i patrzył błagalnie na Dorieusa. Ten zmuszony był zaciągnąć go tam na smyczy, a znalazłszy się już w budzie pies usiadł zaraz na tylnych nogach i zaczął wyc w najbardziej złowróżbny sposób. I nie chciał jeść ani pić tego, co ludzie mu dawali.

Dorieus zdjął psią koronę, tkwiącą na ciemieniu i nie wyróżniającą się niczym szczególnym prócz swego wieku, stracił cierpliwość i syknął: — To wycie psa kłuje mnie w uszy i sprowadza złe myśli. Jeśli nie skłonicie psa do zamilknięcia, pójdę i wychłoszczę go.

Na szczęście ludzie nie rozumieli, co mówił. Ale i ja byłem przygnębiony tym złowróbnym wyciem. Zwróciłem się więc do Tanakwil i zaproponowałem:

— Jeśli dobrze pamiętam, jest tu w zwyczaju co roku wydawać najpiękniejszą dziewczinę w mieście za świętego psa. Dlaczego więc nie ma jej tu teraz, by się zajęła swoim psim małżonkiem?

Tanakwil odparła:

— To tylko odziedziczony zwyczaj i nie pociąga już dziś za sobą tych samych obowiązków, co dawniej. W istocie dziewczyna dzieli tylko z psem tort weselny i nie musi dłużej pozostawać w psiej budzie. Ale możemy przecież uczcić przybycie Dorieusa przysłaniem nowej dziewczyny, by zabawiła psa i skłoniła go do milczenia.

Z miny Dorieusa widzieliśmy, że nie ma czasu do stracenia. Tanakwil krzyknęła pospiesznie do ludzi i zaraz przybiegła mała dziewczynka, objęła psa rękami za szyję i zaczęła mu coś szeptać do ucha. Pies patrzył na nią zdziwiony i usiłował strząsnąć ją z siebie, ale dziewczynka była uparta i pies w końcu zamilkł i poddał się jej pieszczotom. Ludzie zawistni utrzymywali wprawdzie, że mała żebraczka nie jest dostatecznie godna Krimisosa, ale Tanakwil odparła szorstko, że nie jest to w tym dniu jedynie naruszenie starego obyczaju. Jeśli święty pies zaakceptował obdartą dziewczynkę i zadowolił się nią, sam chyba wiedział najlepiej, co robi.

Psia przegroda stanowiła część królewskiego pałacu, gdzie zapobiegliwa Tanakwil zdążyła już przygotować kąpiel i posiłek. Dom był nie zamieszkały i brzydko cuchnął, ponieważ przechowywano tam święte przedmioty, z których wiele pochodziło od zwierząt. Był też stary i nie był zbudowany na sposób grecki jak dom szlachetnie urodzonych, skutkiem czego były król zwykł był odwiedzać go tylko wtedy, gdy wymagał tego jego urząd. Ale Dorieus był zadowolony z pałacu, zajął dom stojący w pobliżu dla Fokajczyków i nakazał, by rannymi zaopiekowali się mieszkańcy Segesty.

Tanakwil miała mnóstwo roboty, żeby Dorieusowi zapewnić możliwie jak najwięcej wygody.

Wykąpała go i namaściła jego członki o tyle, o ile się dało z powodu siniaków i ran. Sam Dorieus był coraz bardziej zmęczony i nie miał nawet siły, by pójść na ucztę wyprawioną na jego cześć, tylko musieli go tam zanieść sładzy. Gdy usiłował coś zjeść, zwymiotował to zaraz na posadzkę, poprosił o wybaczenie i powiedział do Tanakwil:

— Nie wiem doprawdy, co mi się stało. Ale postawiwszy na swoim czuję się słaby i nie wiem już, czego chcę. Zabierz tę przeklętą psią koronę. Śmierdzi ona tak jak wszystko tutaj śmierdzi psem. To pewnie ten odór mnie mdli.

Popatrzył gdzieś obok nas, złapał się za brzuch i ciągnął dalej:

— Jest mi tak, jakbym znowu był na okręcie, i łoże kołysze się pode mną. W taki sam sposób



kołysałem się w objęciach mojej ukochanej. Wtajemniczyła mnie ona w boskie misteria i karmiła jedzeniem bogów z półmiska z perłowej macicy. O, Tetydo, Tetydo, moja święta małżonko, tu na suchej ziemi będę zawsze tęsknił za tobą. Mam nadzieję, że mi to wybaczysz, moja ziemską małżonko Tanakwil, a zresztą i ciebie też otacza psi odór.

Tanakwil spojrzała złym okiem na nas, a zwłaszcza na Arsinoe, która wbiła wzrok w ziemię.

Pospieszyłem wyjaśnić Tanakwil, co stało się na morzu, a Mikon szeptał jej coś do ucha jako lekarz. Tanakwil kiwnęła głową, ale rzuciła nieufne spojrzenie na Arsinoe, pogładziła potem Dorieusa po policzku i powiedziała:

— Rozumiem cię bardzo dobrze. I prawdopodobnie to ja rozumiem cię najlepiej i wcale ci nie mam za złe twego związku z Tetydą, gdyż nie jestem z natury zazdrosna. Zdaje mi się, że będzie 154

najlepiej, jeśli nie będziesz się przez kilka dni pokazywał ludziom. Króla szanuje się i czci tym bardziej, im lepiej potrafi on stać się niewidocznym i przestanie się mieszać do tego, do czego jest za dobry. Mam dla ciebie przygotowany strój młodej dziewczycy. Jest on z najcieńszej tkaniny, a w alkowie znajdziesz także kądziel. Dla przebłagania bogów będziesz mógł wykonywać kobiece zajęcia, podobnie jak twój święty praszczur Herakles, który przez jakiś czas przywdziewał szaty kobiece.

Fokajczycy słuchali tego z otwartymi ustami, ale nikt się nie śmiał. Dionizjos też uznał, że Dorieus wykazał tak bezprzykładną męską odwagę, iż istotnie najlepiej będzie, by udobruchał

bogów, przebierając się na kilka dni w szaty kobiece.

Obietnica Tanakwil i życzliwe zrozumienie Dionizjosa uspokoiło Dorieusa tak, że oczy mu się zamknęły i zwałił się na nos na swoje łożo. Gdy zanieśliśmy go do alkowy, szukał po omacku wokół siebie. Tanakwil usiadła przy nim na łożu, podniosła czule jego głowę, wzięła ją w objęcia i dała mu pierś do ssania. Na pół śpiąc zaczął ssać niczym niemowlę w pieluszkach i po paru chwilach głęboko usnął. Czegoś dziwniejszego nigdy jeszcze nie widziałem, a ludzie z Fokai orzekli, że też nigdy przedtem nie widzieli czegoś tak dziwnego. Byli teraz jeszcze bardziej przekonani o boskim pochodzeniu Dorieusa, ponieważ żaden śmiertelnik ich zdaniem nie mógłby się tak zachowywać jak on.

Gdy piliśmy potem razem wino, by uświęcić zwycięstwo, naradzali się i pytali siebie nawzajem:

— Co powinniśmy teraz zrobić i co właściwie zyskaliśmy? Żadnego łupu nie zdobyliśmy.

Przeciwnie, nasz skarb stopniał po wydatkach wojennych Dorieusa. Miasta tego nie wolno nam splądrować, bo to jego miasto. Dorieus obiecał nam dać ziemie uprawne w Eryksie, ale odkąd zobaczyliśmy, jak buntowniczo odnoszą się wyrobnicy do swoich panów oraz poznaliśmy inne kłopoty związane z rolnictwem, przyznajemy chętnie, że morze jest jedyną niwą, którą nauczyli-  
śmy się orać.

Dionizjos powiedział:

— Fokajczycy, życie i skarb dotychczas udało nam się zachować. To prawda, że skarb zmniejszył się, ale możemy jako rozsądni ludzie pocieszyć się myślą, że nie ma nas już teraz tak wielu do podziału. Ale tu jesteśmy obcy i nigdy nie będziemy czuć się tu naprawdę dobrze. A Kartagina też ponoć ma coś do powiedzenia w sprawach dotyczących Eryksu. Cóż więc mamy począć?

Tak to medytowali wspólnie, wyliczając także zasługi poległych i wymieniając ich po imieniu.

Każdy po kolei strącał z pucharu nieco wina na ofiarę ku pamięci któregoś z poległych, a najgorliwszym w składaniu tych ofiar był Likymnios, który oznajmił, że wino jeszcze nigdy mu tak dobrze nie smakowało jak tego wieczora. Namedytowawszy się przez chwilę, postanowili w końcu, by nie trapić się więcej o dzień jutrzejszy, lecz upić się na umór, ponieważ nie mogli zrobić nic innego. Toteż zaniechali odtąd mieszania wina z wodą, uznałem więc za najlepsze zabrać stamtąd Arsinoe.

3

Dorieus nie pokazywał się przez dwanaście dni. Przez ten czas wszystko w Segeście ułożyło się jak najlepiej. Szlachetnie urodzeni poszli niespodziewanie do natarcia przeciw buntownikom, z krainy Eryks, ale nie zabili wielu, gdyż wiedzieli, że kraj potrzebuje rolników i pasterzy. Do Sikanów ludzie z Segesty posłali dary: sól i gliniane naczynia, wzywając ich, by powrócili do swoich lasów. Potem lud pogodził się z wielmożami i pozwolił im wrócić do miasta z końmi, psami i atletami, oraz przekonał ich, że będą mieli tylko korzyść i zyski, gdy lud przejmie ciężką 155

odpowiedzialność za rządzenie krainą Eryks, ale pozwoli im zachować zewnętrzne oznaki ich pierwotnych praw pierwszeństwa.

Po żniwach przybyli dwaj kartagińscy wysłannicy, którzy wysiedli na ląd w Eryksie. Było ich dwóch, ponieważ Rada w Kartaginie niechętnie powierzała ważne zadania jednemu mężowi, ale uważała też, że trzech jest za dużo. Oczywiście obaj ci mężowie mieli ze sobą sługi, skrybów, mierniczych i biegłych w sprawach wojennych doradców.

Dorieus pozwolił Tanakwil wydać ucztę na cześć przybyszów. Tanakwil pokazała im swoje tabliczki rodowe i wstawiała się za Dorieusem, zapewniając, że wnet nauczy się on języka Elymijczyków i miejscowych obyczajów. Dorieus zabrał ich z sobą, by zobaczyli świętego psa, i pokazał im, jak bardzo był on przywiązany do niego. Niedużo więcej miał do pokazywania.

Przewlekłe pertraktacje pozostawił chętnie Radzie, która znała sprawy Segesty lepiej niż on.

W końcu kartagińscy posłowie wydali orzeczenie i uznali Dorieusa królem Segesty i całej krainy Eryks. Szkody, które wyrządził w Panormos, miał jednak wynagrodzić i jako gwarancję Kartagi-

ńczycy zajęli już triremę, która stała w stoczni. Także miasto Eryks miało być tak jak poprzednio podporządkowane Kartaginie, jak również Rada Segesty musiała przedstawiać Kartaginie wszelkie decyzje w sprawie wojny i pokoju, nie wolno też jej było na własną rękę nawiązywać stosunków

handlowych z greckimi miastami na Sycylii. Natomiast Dionizjosa i pozostałych przy życiu Fokajczyków powinien był Dorieus przekazać Kartaginie, gdzie mieli być osądzeni według kartagińskiego prawa morskiego, ponieważ byli oskarżeni o piractwo na morzu wschodnim.

Wszystko inne przełknął Dorieus, gdyż mu udowodniono, że żądania Kartaginy były tylko potwierdzeniem stanu poprzedniego, ale nie zgodził się na wydanie ludzi z Fokai. Mężnie trwał

przy swoim, choć Tanakwil starała mu się udowodnić, że nie jest nic winien Dionizjosowi, lecz przeciwnie, nacierpiał się od niego na morzu.

Ale Dorieus powiedział:

— Co się dzieje na morzu, to inna sprawa. Braterstwa broni, które zawarliśmy na lądzie i przypieczętowaliśmy krwią, nie przystoi mi naruszać.

Gdy Dionizjos usłyszał, że rokowania mogą się załamać z jego powodu, przyszedł samorzutnie do Dorieusa i rzekł:

— Nie chcę w żaden sposób być przyczyną tego, byś stracił godność królewską, którą pomogłem ci zdobyć, nie myśląc o własnym zysku. Chętnie stąd ustąpimy i wrócimy na morze. Ale oczywiście mam nadzieję, że w takim wypadku będziesz o nas pamiętał i dasz nam dary pożegnalne godne ciebie, jako też szczerze nam wynagrodzisz za wszystkie upokorzenia, które musieliśmy znieść w tym wrogim mieście.

Dorieus ucieszył się usłyszawszy to i odparł:

— Słusznie mówisz. Tak będzie z pewnością najlepiej, choć miałem nadzieję, że będę mógł

spełnić moją obietnicę i dać wam ziemię w tym kraju. Ale cóż mogę zrobić, skoro Kartagina się na to nie zgadza. Żadnych darów pożegnalnych nie mogę wam jednak obiecać, bo szczerze mówiąc jestem teraz uboższy niż wtedy, kiedy miałem swój udział w łupie i posag mojej żony Tanakwil w Himerze. Bez niej chodziłbym teraz odziany w łachmany i jadłbym z glinianej miski.

O cokolwiek poproszę tych kramarzy, odwołują się zawsze do praw miejskich albo mówią, że nie było takiego zwyczaju z tym czy owym. Staraj się zrozumieć moje trudne położenie, Dionizjosie, i powściągnij twą chciwą naturę.

Dionizjos zmiękł i odparł tylko:

— Ach, Dorieusie, zaiste nie zazdroszczę ci, ale król ma królewskie obowiązki. Ja ze swej strony muszę myśleć o moich ludziach, o ich cierpieniach i ubóstwie.

Fokajczycy czuli się w Segeście kiepsko. Musieli zamykać się w domu, a Rada nie chciała płacić za ich utrzymanie. Musieli płacić sami za siebie. Posłowie kartagińscy kazali strzec ich 156

dzień i noc, żeby nie mogli zastosować takiego samego wybiegu jak w Himerze i uciec z miasta.

Ale w Himerze było niedaleko do brzegu, gdzie stały w pogotowiu okręty.

Gdy zbliżała się jesień, Fokajczycy poczuli się tak, jak gdyby mieli założoną pętlę na szyi.

Urażało ich także, że segestańskie kobiety nie miały ochoty nawiązywać z nimi przyjaznych stosunków. Odczuwali coraz wyraźniej niezatarty niebieski znak na plecach i zastanawiali się w rozmowach między sobą, jakie to uczucie być żywcem obdzieranym ze skóry. Co dzień przechodzili obok ich domu kartagińscy posłowie o brązowoczerwonych obliczach i brodach przetykanych złotą nitką, a towarzysząca im świta obrzucała Fokajczyków groźbami. Na rozkaz Dionizjosa Fokajczycy milczeli i nie odpowiadali na obelżywe słowa. Nie zwracali też na nie zbyt uwagi i mówili, że słyszeli już w swoim życiu gorsze obelgi, a ponadto w lepszej grecczyźnie. Ale groź-

ne milczenie obu posłów i ich codzienne wędrówki obok domu dokuczały Fokajczykom.

Najbardziej cierpieli od bezczynności i chętnie wzięliby udział nawet w żniwach, gdyby Segestanie na to pozwolili. Ale lud w Eryksie obchodził żniwa z pewnymi mistycznymi obrzędami, w które nie chcą tu bliżej wchodzić. Mówili, że ręka cudzoziemca może zatruć zboże. Na otwartym polu byłoby także łatwiej zaskoczyć Fokajczyków i unicestwić ich. Było ich już nie więcej jak trzydziestu trzech. Wśród nich dwóch z Salaminy na Cyprze, prócz Dionizjosa. Do Arsinoe, Mikona i do mnie Kartagińczycy nie wysuwali żadnych roszczeń. Mieszkaliśmy w pałacu Dorieusa i korzystaliśmy z gościnności Tanakwil jak w Himerze.

Dla spędzenia czasu Fokajczycy umocnili dom, w którym mieszkali najlepiej jak się dało, i kilku z nich stało stale na straży. Pielęgnowali starannie broń, ale w końcu nie mieli w swej bezczynności nic innego do roboty, jak przeglądać kosze i worki, czyścić srebrne naczynia i odkurzać wyroby wyrzynane z kości słoniowej. Dionizjos zakazał im pić wino, gdy zauważył, że Segestanie domagają się zapłaty za produkty żywnościowe, ale oferują im wino w workach bez zapłaty.

Pozostawało im więc tylko grać w kości i kłócić się ze sobą.

Zrozumiałe, że w miarę jak jesień postępowała, uprzykrzyli się Dorieusowi, gdyż stanowili dla niego zawadę. Kartagińscy posłowie niecierpliwili się i żądali wydania Fokajczyków przed końcem okresu żeglugi. Gdy z nimi rozmawiałem, przemawiali łagodnie i zapewniali, że wszelkie opowiadania o odzieraniu ze skóry są czystym oszczerstwem. Kartagińskie prawa morskie są co prawda surowe, ale nie szalone. W Hiszpanii są kopalnie, gdzie stale brakuje siły roboczej.

Bywa, że krnąbrnym niewolnikom wykluwa się oczy albo wykręca kolana ze stawów, żeby nie uciekali, ale nic gorszego im się nie dzieje.

Opowiedziałem to Dionizjosowi, ale on gładził brodę i oświadczył, że Fokajczycy nie mają ochoty udać się do zatrutych kopalń w Hiszpanii ani też z wyklutymi oczyma kręcić kamieni młyńskich w Kartaginie, tylko po to, by przysłużyć się Dorieusowi. Nie zwierzył mi się jednak ze swoich planów, mimo że wciąż jeszcze traktował mnie jako przyjaciela. Ale pewnego dnia spostrzegłem gęsty dym unoszący się z dziedzińca Fokajczyków i udałem się tam spieszenie, by zobaczyć, co się dzieje. I zobaczyłem, że porobili oni dołki do topienia, metalu i w najlepsze miażdżyli piękne srebrne naczynia i topili je przy pomocy miechów. Ze skrzynek wylamywali szlachetne kamienie. Nawet kość

słoniową rozbijali na kawałki. Dionizjos powiedział:

— Jeśli cię zapytają, co robimy, powiedz, że składamy ofiary bogom przed oddaniem się kartagińskim sędziom. I jest to zaprawdę droga ofiara. Kupcy w Segeście nie płacą nam nic za nasze kosztowności, bo sądzą, że i tak je po nas odziedziczą. Ale my nie pozostawimy niczego po sobie.

Raczej zniszczymy cały skarb.

Przyglądałem się z niedowierzaniem ich zajęciu i wnet spostrzegłem, że zatrzymują srebro, rąbią je na kawałki i dzielą między siebie. Z oburzeniem powiedziałem:

— Nie mogę patrzeć na to bezmyślne niszczenie pięknych rzeczy. Ale w każdym razie widzę, że dzielicie skarb między siebie według wagi i rzucacie kości o perły i szlachetne kamienie. A je-157

śli się nie mylę, należy mi się według umowy udział, podobnie jak lekarzowi Mikonowi. Także Dorieus może się obruszyć, jeśli nie dostanie tego, co zdobył swoim mieczem.

Dionizjos uśmiechnął się, szczerząc białe zęby i odparł:

— Ach, Turmsie, w Himerze wydałeś więcej, niż to kiedykolwiek stanowiła nasza umowa.

Pamiętasz chyba, że pożyczyłem ci pieniędzy pod zastaw twojej części, gdy wyruszałeś na pielgrzymkę do Eryksu. Kiedy wróciłeś do domu, znów pożyczyłeś jeszcze więcej, by zadowolić kobietę, którą ze sobą przyprowadziłeś. Dorieus jest nam winien więcej niż my jemu. A Mikonowi oddamy chętnie jego udział i zapłatę lekarza, jeśli pójdzie z nami do Kartaginy. Może potrafi nam przyszyć skórę na nowo.

Ludzie z Fokai spoceni i okopceni śmiali się i mówili wyzywająco: — Chodź no i zabierz sobie swój udział, Turmsie, a także Mikon i Dorieus z tobą. Ale na wszelki wypadek zabierzcie miecze, gdybyśmy się mieli poróżnić co do podziału.

Widząc ich groźne zachowanie, uznałem, że najlepiej powiedzieć Dorieusowi tylko to, o co prosił mnie Dionizjos. Dorieus wykrzyknął z ulgą:

— Jacy oni jednak szlachetni! To najlepsza przysługa, jaką mogą oddać, abym wreszcie zaznał spokoju i uporządkował politykę w Segeście.

Ogólna radość rozprzestrzeniła się po mieście, gdy ten uciążliwy spór zdawał się rozwiązywać bez dalszych trudności. Człowiek wierzy chętnie w to, na co ma nadzieję. Dlatego Segestanie wierzyli teraz, że Dionizjos i jego ludzie opamiętali się wreszcie, bo nie mogli nic innego zrobić.

Z przekrzywionymi głowami i stając na jednej nodze z zachwyty słuchali przywódcy ludu wieczorem hałasu dochodzącego z domu Fokajczyków, gdy znowu pili wino i odbywali ucztę dla pokrzepienia sił i nabrania otuchy. Posłowie kartagińscy byli zadowoleni i mówili:

— Najwyższy to był czas. Nasz okręt zbyt długo musiał czekać w Eryksie. Ci piraci wydają się jednak w swej ufności dla kartagińskiej sprawiedliwości ustępliwszi, niż sądziliśmy.

Złożyli ofiarę Baalowi i innym swoim bogom, i kazali zakupić w mieście kajdany i liny, by spętać Fokajczyków, na czas podróży do Eryksu. Następnego dnia poszli znów ze świtą pod dom Fokajczyków, zatrzymali się przed nim i czekali. Dionizjos i jego ludzie wyszli z domu przez bramę szybciej, niż potrafię to opisać, obalili ludzi w kartagińskim orszaku na ziemię i zabili ich, a zaskoczonych posłów porwali do domu. Wystrzegali się bacznie, by nie zabić żadnego Segesta-nina. Zadovolili się tylko nakazaniem straży wystawionej przez miasto, by nie mieszała się do spraw, które jej nie obchodzą.

Dorieus bardzo się rozgniewał, a przywódcy ludowi segestańscy dostali kurczów żołądka z przerażenia. Ale Dionizjos wyszedł niedbałym krokiem na ulicę z toporem w ręku, przemówił do nich i oświadczył:

— Oddaliśmy się już teraz w ręce tych dwóch świętych posłów kartagińskich i pokornie ich prosiliśmy, by towarzyszyli nam do ich okrętu w Eryksie. Możemy tylko ubolewać z powodu tego żalosego wydarzenia przed chwilą, ale kiedy staraliśmy się z nimi pertraktować, ich świta natarła na nas, deptała nam po stopach i popychała nas, tak że przeszkadzali nam w rozmowie.

Tak, zachowywali się tak haniebnie, że potykali się o własne miecze i nadziewali się nawzajem na oszczepy w tym ścisku. Przypuszczalnie przytrafiło się i nam, jako że jesteśmy trochę w gorą-

cej wodzie kąpieli, uderzyć kilku z nich zbyt mocno, gdyż nie przywykliśmy na ogół do władania bronią sieczną. Ale kartagińscy posłowie już to nam wybaczyli i obiecali, że nie musimy nawet oddać broni, dopóki nie znajdziemy się na ich okręcie w Eryksie. Tak biegłymi są rozjemcami.

A jeśli mi nie wierzycie, wejdźcie proszę do domu i zapytajcie ich sami.

Ale przywódcy Segestanów nie czuli żadnej ochoty, by wchodzić do ludzi z Fokai, Dorieus zaś uznał, że cała ta sprawa nic go nie obchodzi po tym jak Dionizjos oddał się kartagińskim posłom. Po naradzie segestańscy przywódcy zrozumieli, że nie mogą nic zrobić, gdyż Dionizjos 158

nie zawahałby się zabić Kartagińczyków, gdyby on i jego ludzie zostali zaatakowani. Takiej odpowiedzialności nie odważyli się wziąć na siebie. Toteż powiedzieli gorzko:

— Weź osły i muły, których potrzebujesz, i zabieraj się szybciej, niż tu przyszedłeś, Dionizjosie z Fokai. Nie życzymy ci niczego dobrego, przeciwnie, mamy szczerą nadzieję, że wątroba pęknie ci w podróży i robaki cię zjedzą, i tego samego życzymy także twoim ludziom.

Ale Dionizjos rozłożył tylko obłudnie ręce i zawołał:

— Ach wy, Segestanie, współczucie posłów kartagińskich udało mi się zdobyć, ale waszej wrogości widocznie nikt nie przezwycięży. Dajcie bogowie, żeby wasze złe życzenia nie spełniły się, bo święci mężowie z Kartaginy obiecali i poprzysięgli, że moja skóra zostanie zdarta ze mnie i przybita gwoździami do bramy portowej w Kartaginie. Większej chwały żaden Fokajczyk nie może się spodziewać.

Segestanie udawali, że wierzą we wszystko, co im Dionizjos opowiadał. Odprowadzili w

uroczystym pochodzie i ze zwykłymi oznakami czci kartagińskich posłów otoczonych czworobokiem Fokajczyków przez miasto aż do bramy zachodniej. Wprawdzie mogli widzieć, że obaj Kartagiń-  
czycy leżą przywiązani do grzbietów mułów, z kneblami w ustach, ale udawali, że tego nie widzą.

Mikon i ja towarzyszyliśmy Fokajczykom do bramy miejskiej z podziwem dla chytrości Dionizjosa. Kiedy wiedział już, że nie ma nic do stracenia, rzucił wyzwanie bogom z niezmierną beczelnością. Zatrzymał się teraz przed bramą ze swymi ludźmi i powiedział:

— W pośpiechu omal nie zapomniałem, że skrzynia świętych posłów z pieniędzmi i dokumenty dotyczące Segesty jako też tabliczki do pisania zostały w ich domu. Przynieście je tu czym prędzej, ojcowie Segesty. Przynieście także spory worek z jedzeniem, świeże mięsiwo i wino.

Ponadto posłowie powinni dostać po dziewczynie z każdego boku, żeby ogrzewały ich w nocy, bo przypuszczalnie będziemy musieli nocować na gołej ziemi.

Sugestanie omal nie pękli z wściekłości i mówili do siebie:

— Chodźmy i zabijmy ich, choćby to miała być ostatnia rzecz którą zrobimy.

Ale Dionizjos i mianowany sternikiem Likymnios przyłożyli ostrza mieczy do karków kartagińskich posłów i powiedzieli:

— Róbcie, jak sami chcecie, ale będziecie odpowiadać przed kartagińską Radą za tak bezbożny uczynek. Jeśli nas napadniecie, obaj kartagińscy mężowie będą zmuszeni popełnić samobójstwo.

Prosilili nas, żebyśmy im dopomogli, tak aby żywi nie musieli stanąć przed Radą ze sprawozdaniem z rozwoju wypadków.

Dionizjos drażnił potem segestańskich przywódców ubrawszy się w kartagiński uroczysty płaszcz, gdy tylko dostał rzeczy stanowiące własność obu posłów. Ale na zwoje papirusu i tabliczki do pisania patrzył z pogardą, ponieważ nie umiał czytać. Toteż dał je swoim ludziom. Ci rysowali na tabliczkach nieprzystojne znaki, inni zaś załatwiali potrzebę i podcierali się traktatami przymierza między Kartaginą i Segestą. Gdy segestańscy przywódcy zobaczyli to, uznali za wskazane odesłać lud i ogłosić, że uroczystość jest już skończona.

W końcu jednak Dionizjos postanowił ruszyć w drogę i Fokajczycy nie zwlekali, lecz maszerowali z przerwą tylko na najciemniejsze godziny nocy. Następnego dnia wieczorem dotarli do portu w Eryksie i wdarli się na okręt wojenny, który czekał tam na posłów, wrzucili jego załogę do morza, cisnęli zapalone pochodnie na inne okręty i wywołali zamieszanie w całym porcie. Potem wypłynęli na morze o wiosłach, zabierając ze sobą kartagińskich posłów. Jednego przywiązali do taranu, żeby przyniósł im szczęście wojenne, kiedy napadną na pierwszy napotkany okręt. Drugiego raczej dla żartu złożyli w ofierze Baalowi, gdy udało im się obrabować statek podatkowy z za słupów Heraklesa.

I Dionizjos nie podjął już później żadnej próby pływnięcia do Massilii, lecz poświęcił się piractwu w przekonaniu, że bogowie stworzyli go do tego. Okrętów greckich nie plądrował jednak.

Dlatego miasta greckie na Sycylii zaczęły go potajemnie ochraniać, gdy spostrzegły, że stopniowo zebrał on sobie całą flotę. W ciągu następnych lat jego śmiała działalność przyczyniła się bardzo do pogorszenia stosunków między Kartagińczykami a sycylijskimi Grekami. Choć i bez tego nie pozostałyby one dobre.

Wszystko to chciałem opowiedzieć o Dionizjosie z Fokai i jego ludziach, dlatego że był to mąż godny pamięci. Chętnie wyliczyłbym także imiona jego trzydziestu trzech ludzi, ale już ich wszystkich nie pamiętam.

4

W czasie zimy w Segeście poznałem strach. Wiele razy mój strach tak urastał i tak mi ciążył, że lepsze wydawało mi się jakiegokolwiek inne bytowanie. I nie mogę wytłumaczyć, skąd się brał

ten mój strach. Czułem się tak, jakbym był więźniem i nie mógł zwalić otaczających mnie murów.

Ale zdaje mi się, że chodziło tu nie tyle o warunki zewnętrzne, ile raczej byłem więźniem w samym sobie. Coś się we mnie zawężyło i nie mogłem rozsypać tego węzła.

Z rozwiązania Arsinoe pamiętam mało, tak byłem pełen niepokoju, ale odbyło się ono w najsurowszą noc w roku i chłopak przyszedł na świat o świcie, gdy zimny ulewny deszcz lał strumieniami. Mikon uśmierzył bóle porodowe jakimś lekiem, ale poza tym zostawił wszystko pod opieką elymijskich babek z miasta. Do mnie powiedział, że był to lekki poród. Słyszałem jednak skargi Arsinoe, widziałem pot bólu na jej bladej twarzy i krew płynącą z zagryzionych warg, i w moim mniemaniu poród wcale nie był lekki.

Arsinoe sama karmiła dziecko i miała tak obfity pokarm, że część mleka spływała bez pożytku. Choć była na pozór bardzo wątła, bogini pobłogosławiła ją pod tym względem. Chłopak był

też mocny i krzyczał głośno od pierwszego dnia. Doznałem takiej ulgi, że chciałem od razu nadać mu imię. Ale Dorieus powiedział: — Nie ma pośpiechu z imieniem. Zaczekajmy na znak.

Także Arsinoe prosiła mnie: — Nie uraż Dorieusa, spiesząc się z imieniem. Zarówno nam, jak i chłopcu, wyjdzie to na korzyść, jeśli nada mu imię Dorieus.

Uważałem, że Dorieus nie powinien się mieszać do spraw, które go nie obchodziły. Był on jednak równie wzburzony jak ja, żywo oglądał dziecko i udał się nawet do świątyni, którą po-

święcił Heraklesowi, by złożyć ofiarę dziękczynną. Świątynię tę odebrał był fenickiemu bogowi ognia, i także w tej sprawie pokłócił się z ojcami miasta.

Ale w miarę jak wiosna nadchodziła, deszcze zanikały i nagłą burze zaczęły zwałać drzewa w lasach erycyńskich, Dorieus coraz bardziej pochmurniał. Coraz dziwniejszy stawał się sposób, w jaki patrzył na mnie, i często zaskakiwałem go na rozmowach z Arsinoe, wpatrującego się w dziecko. Ale



gdy tylko się zjawiałem, oboje milkli i Arsinoe znajdowała sobie zaraz jakieś zajęcie i paplała, co jej ślina przyniosła na język. Tanakwil patrzyła na nas złym okiem. Arsinoe obawiała się, że zrobi ona dziecku coś złego, ja natomiast miałem nadzieję, że z czasem Tanakwil polubi chłopca. Czyżby ktoś mógł chcieć zrobić coś złego takiemu małemu dziecku, myślałem. Duma ojcowska zaślepiała mnie tak, że nie widziałem, co się dzieje wokół mnie.

Aż nadszedł dzień wiosenny, kiedy rankiem przed pałacem znaleziono psie ścierwo, wiązkę złamanych strzał i zmiażdżoną glinianą cegłę, wszystko to owinięte w zakrwawioną chustę. Nie można było utrzymać tego w tajemnicy, ponieważ kilku przechodniów widziało to zawiniątko i rozwinęło je, nim otwarto bramy. Tanakwil zaczęła drzeć i powiedziała:

— Kartagina nie przysyła nam już wysłanników w sprawie rokowań, tylko zawiadamia nas o swojej decyzji tak jak barbarzyńców, którzy nie rozumieją żadnego języka.

Dorieus spochmurniał i odparł:

160

— To nie pochodzi od Kartaginy. To należy do twoich planów, żono, i jest spiskiem z twoimi synami, by rozjątrzyć lud przeciwko mnie. Od dawna cię podejrzewałem.

Nie wiem, czy istniały jakieś podstawy do jego oskarżeń, ale znałem na tyle Tanakwil, że dobrze zdawałem sobie sprawę, iż mogła ona uciec się do niskich uczynków, by sprawić, aby Dorieus poczuł się niepewnie i szukał w niej oparcia. Tanakwil podniosła ramiona i zaklęła się:

— Dorieusie, Dorieusie, pamiętaj że jestem z tego samego rodu, co założyciele Kartaginy.

Bogowie kartagińscy nie są gorsi od greckich. Wierz mi, nie jesteś już tym samym człowiekiem, co dawniej. Zawładnęły tobą mylne przekonania. Ale pamiętaj, że to ja i tylko ja dopomogłam ci zostać królem, jedynie dlatego, że taka była twoja dziecinna zachcianka. Jak możesz podejrzewać, że życzę ci czegoś złego?

Dorieus kopnął psie ścierwo i krzyknął:

— Los i bogowie i mój praszczur Herakles, a przede wszystkim mój własny miecz dopomógł

mi zostać królem w Eryksie, a wcale nie ty, Tanakwil! A jeśli pomogłaś mi, to byłaś tylko narzę-

dziem bogów i z tego powodu nie jestem ci nic winien. Przeciwnie, zczarowałaś mnie, by zatwierdzić nasze nienaturalne małżeństwo tylko dlatego, że pragnęłaś władzy i godności królowej.

Tanakwil patrzyła na niego ciemnym wzrokiem, zrobiła sprośny znak palcami i rzekła:

— Jeśli czegoś pragnęłam, Dorieusie, to ciebie. Sam rozpałiłeś moją miłość do ciebie, kiedy byłam już tylko zdartą torbą i zadowolam się swoim losem. Ale bardzo się mylisz, jeśli sądzisz, że możesz mnie kopnąć i odepchnąć jak szmatę.

Cała gromada ludzi zebrała się w pobliżu, by śledzić tę wymianę słów, i Arsinoe wyszła na próg z dzieckiem na ręku. Tanakwil wskazała na nią i krzyknęła ze łzami gniewu w oczach:

— Mnie nie oszukasz. To ta dziewczka bogini jest przyczyną wszelkiego zła. Ale szalony jesteś, Dorieusie, jeśli liczysz na nią bardziej niż na mnie.

Oburzyłem się ze względu na Arsinoe i zawołałem:

— Nie mieszaj niewinnej kobiety do twoich złośliwych kłótni rodzinnych, Tanakwil. Arsinoe i ja nic ci nie zrobiliśmy. Ale ty jesteś niedobrą staruchą i oczerniasz każdego bez różnicy.

Tanakwil wybuchnęła straszliwym śmiechem, pokazała także na mnie i zawołała:

— Czy doprawdy jesteś całkiem ślepy i nie widzisz, co się dzieje pod twoim nosem?

Przejęty słusznym oburzeniem odparłem:

— Widzę niestety aż nadto wyraźnie, wysoko postawioną parę małżeńską, która kłóci się na ulicy na oczach ludzi.

Po tej kłótni moje obawy wzrosły jeszcze bardziej, tak że czułem się jak ryba, która ugrzęzła w sieci. Gdy nadchodziła pełnia księżyca, stawałem się coraz to bardziej niespokojny, miałem niedobre sny i zacząłem chodzić we śnie i budzić się to tu, to ówdzie, nie wiedząc od razu, gdzie się znajduję. Coś takiego nie zdarzało mi się dawniej. Myślałem, że to Artemida mnie prześła-duje, i próbowałem wielu sposobów, by przeszkodzić sobie samemu w opuszczeniu komnaty w nocnej porze, ale nic nie pomagało. Kiedy wychodziłem z domu strażnicy nie ważyli się mnie obudzić, tylko mówili, że szedłem tak, jakbym nie spał, i nawet odpowiadałem gniewnie, gdy się do mnie zwracali. Najbardziej przerażało mnie, że kot Arsinoe chodził za mną krok w krok i wymykał się depcząc mi po piętach, gdy otwierano bramę. Zdarzyło się, że zbudziłem się na ulicy od tego, iż kot trącał głową o moje gołe nogi. Urodziwszy naszego syna, Arsinoe znużyła się kotem. Toteż to dziwne zwierzę szukało być może mojej przyjaźni. Zdaje mi się, że jego bytowanie w Segeście było równie pełne lęku jak moje, gdyż miejskie psy ogarniało szaleństwo na samą jego woń.

Zbudziłem się znowu raz o północy od tego, że światło księżyca padało mi prosto na twarz, i stwierdziłem, że stoję przed zagrodą świętego psa. U wejścia na kamienne schody siedziała 161

dziewczynka żebraczka, którą Tanakwil wywołała z tłumu, by zajęła się Krimisosem. Z brodą opartą na ręku siedziała, patrząc na księżyc, głęboko pogrążona w myślach, jak gdyby księżyc ją zaczarował. Cienie były czarne, ale blask księżyca srebrzył ulicę i domy i nadawał wszystkiemu obcy wygląd w moich oczach. Wzruszyło mnie, że jest jeszcze ktoś, kogo księżyc zmusza do czuwania, choć była to tylko mała dziewczynka. W czasie dorocznych uroczystości została ona zgodnie z odziedziczonym zwyczajem poślubiona świętemu psu, upiekła tort weselny i spożyła go ze swym małżonkiem. Od tej pory mieszkała w pobliżu psiarni i dostawała jedzenie z pałaco-wego kotła, podobnie jak niewolnicy i służebne. Nie miała gdzie pójść, ponieważ była dziewczyną niskiego rodu i straciła rodziców.

— Czemu nie śpisz, mała dziewczynko? — zapytałem i usiadłem obok niej na kamiennych schodach.

— Nie jestem wcale małą dziewczynką — odparła. — Mam dziesięć lat. Ponadto jestem małżonką psa Krimisosa i świętą kobietą.

— Jak się nazywasz, święto kobieto? — zapytałem żartobliwie.

— Egesta — odpowiedziała rezolutnie. — Powinieneś to wiedzieć, choć jesteś tu obcy, Turmsie. Ale moje prawdziwe imię brzmi Hanna.

— Czemu nie śpisz? — zapytałem znowu.

Spojrzała na mnie stroskana i rzekła:

— Pies Krimisos jest chory. Leży tylko i dyszy, i nic nie je. Myślę, że jest już bardzo stary i nie chce dłużej żyć bez względu na to, jak próbuję go pocieszyć. A gdy umrze, ludzie zwałą winę za to na mnie.

Pokazała mi kilka ukąszeń na swoim chudym ramieniu i szlochając dodała:

— Nie chce nawet, żebym go dotykała, choć byliśmy takimi dobrymi przyjaciółmi. Zdaje mi się, że bolą go uszy. Potrząsa często głową. Ale kiedy go dotykam, gryzie.

Otworzyła drzwi do psiarni i pokazała, że stary święty pies leży na słomie, ciężko robiąc bokami, a przed nosem ma nietkniętą czarkę z wodą. Otworzył ślepia, które zabłysły w blasku księżyca, ale nie miał siły nawet wyszczerzyć zębów. Kot Arsinoe przemknął jak cień koło moich stóp do psiarni i zaczął ostrożnie krążyć wokół świętego psa. Ale Krimisos nie zwracał uwagi nawet na niego. Hanna przeraziła się i chciała przepędzić kota, ale ja ją powstrzymałem, żeby zobaczyć, co się stanie.

Kot pochłeptał językiem kilka razy z czarki z wodą Krimisosa, uspokoił się, otarł się o kark psa i zaczął potem przyjaźnie lizać go w ucho. Pies pozwalał na to.

— To cud — powiedziałem. — Ale też jest oczywiste, te święte zwierzęta znają się ze sobą.

Kot jest tak świętym zwierzęciem w Egipcie, że można tam bez ceregieli zabić człowieka, który obrazi kota. Dlaczego jest on taki święty, nie wiem.

Dziewczynka rzekła zdumiona:

— Mój mążnek jest chory i odczuwa ból, a kot potrafi go pocieszyć lepiej niż ja. Czy to twój kot?

— Nie — odparłem. — To kot mojej żony Arsinoe.

— Masz na myśli Istafre — powiedziała dziewczyna. — Tę kapłankę bogini, która uciekła z Eryksu. Czyżby ona była twoją żoną?

— Oczywiście, że nią jest — odrzekłem. — Mamy nawet syna. Widziałaś go chyba?

Dziewczynka zasłoniła usta dłonią i zachichotała, ale zaraz spoważniała i zapytała:

— Więc to twój syn? To przecież Dorieus zwykł go obnosić na rękach, a ta kobieta chodzi za nim i trzyma króla za połę płaszcza. Ale to piękna kobieta, przyznaję.

162

Powiedziałem ze śmiechem:

— Dorieus to nasz przyjaciel. Jest zachwycony chłopcem, bo nie ma żadnego własnego dzie-dzica. Ale i chłopiec i kobieta są moi.

Dziewczynka potrząsała ze zdumieniem głową, odwróciła do mnie twarz i zapytała:

— Gdybym była ładniejsza, niż jestem, czy wziąłbyś mnie na ręce i popieścił, bo tak mi się zbiera na płacz.

Jej chuda dziewczęca twarzyczka wzruszyła mnie. Musnąłem ją ręką po policzku i rzekłem:

— Naturalnie, że cię wezmę na ręce i pocieszę, jeśli tego chcesz. Także i ja często jestem nieszczęśliwy, choć mam żonę i syna, a może właśnie dlatego.

Podniosłem ją i wziąłem na ręce, a ona przytuliła mokry od łez policzek do mojej piersi, objęła mnie za szyję, westchnęła głęboko i powiedziała:

— Tak mi jest dobrze. Nikt mnie nie tulił w ramionach, odkąd umarła moja matka. Lubię cię bardziej niż Dorieusa i tego nadętego Mikona, którego raz poprosiłam, by przyszedł obejrzeć psa. Powiedział mi na to, że jako lekarz zwykł tylko leczyć ludzi, a nie psy i zapytał, kto mu za to zapłaci.

Nagle objęła mnie mocno i dodała:

— Turmsie, jestem pilna i łatwo się uczę, znoszę dobrze bicie i mało jem. Jeśli pies zdechnie, nie mógłbyś wtedy wziąć mnie pod opiekę, żebym doglądała twego syna?

Zdumiony obiecałem:

— Pomówię o tym z Arsinoe. Więc umiesz pielęgnować dziecko?

— Nawet już opiekowałam się nie donoszonym chłopcem. I udało mi się utrzymać go przy życiu kozim mlekiem, gdy jego matka nie chciała go znać. Potrafię prząść i tkać, prać odzież, gotować i wróżyć z kurzych kosteczek. Mogę być ci przydatna, ale raczej wolałabym być piękna.

Spojrzałem na jej smagłą twarz i jasne oczy dziewczęce i powiedziałem delikatnie:

— Każdy młody człowiek jest piękny, jeśli tylko zechce. Powinnaś nauczyć się kąpać na sposób grecki, utrzymywać swoją odzież w czystości i czesać włosy.

Odsunęła się trochę ode mnie i wyznała:

— Nie mam przecież nawet grzebienia, to jest moja jedyna suknia. Na uroczystość wykąpano mnie i uczesano, namaszczone i ubrano, ale uroczystą szatę odebrano mi, gdy tylko został zjedzony weselny tort. Nie mogę chodzić nago do studni, by uprać moją jedyną suknię.

Ze współczucia obiecałem jej:

— Dostaniesz ode mnie jutro grzebień i coś ze starych sukien mojej żony. Ona ma stanowczo za dużo odzieży.

Nazajutrz zapomniałem jednak o niej. Dzień był upalny jak w pełne lato, słońce piekło i powietrze stało bez ruchu. Psy w Segeście wyły niespokojnie w swoich budach, wiele urwało się i uciekło z miasta. Stada ptaków wzbijały się z lasów i leciały w dal ku sinym góróm. Synowie Tanakwil przyszli, by naradzić się z matką i zamknęli się z nią w czterech ścianach. I już przed południowym odpoczynkiem Dorieus wezwał Arsinoe, kazał jej przynieść ze sobą chłopca i za-

żądał:

— Najwyższy już czas, żeby bogini mi się objawiła. Dość długo już znosiłem najrozmaitsze wymówki. Udowodnij więc, że jesteś kapłanką i pokaż, co potrafisz. Od ciebie zależy, czy zacznę wyprawę na Eryks jutro, czy też nie.

Usiłowałem temu jakoś zapobiec: — Czyś oszalał, czy też upił się, Dorieusie. Chyba nie zamierzasz świadomie i dobrowolnie zacząć wojny z Kartaginą?

—Dorieus odparł:

163

— Ach tak! A więc i ty, Turmsie, brałeś udział w tej próbie zastraszenia mnie przez podrzucenie psiego padła w zakrwawionej płachcie. Ale nie zamierzam się potknąć na tobie, ani też na nikim innym, gdy wkraczam na drogę wskazaną mi przez boginię.

— Nie zapędzaj się, Turmsie, i nie drażnij go — szepnęła Arsinoe. — Widzisz przecież, że jest oszołomiony. Postaram się go uspokoić. On mi ufa.

Ociekając potem od upału stanąłem za drzwiami i nasłuchiwałem bezładnego pomruku ich spierających się głosów. Tylko to było słychać. Było tak, jak gdyby wszelkie dźwięki zamilkły w mieście, które spoczywało niespokojnie w żarze słonecznym, psy przestały wyć, a słońce pociemniało i stało się krwawo-czerwone, tak, że poświata nad miastem tego dnia była czymś nigdy dotąd nie oglądanym.

W końcu skrzypnęły drzwi i Arsinoe wyszła z komnaty z śpiącym dzieckiem na rękę. Twarz jej była mokra od łez. Pełna niepokoju rzekła:

— Turmsie, Turmsie, Dorieus całkiem oszalał. Sądzi, że jest bogiem, a morska bogini Tetis

przybrała moją postać. Z trudem nakłoniłam go, by usnął. Chrapie teraz z otwartymi ustami, ale kiedy się obudzi, zamierza zabić ciebie i Tanakwil, żeby was się pozbyć.

Nie wierzyłem własnym uszom i robiłem jej wyrzuty:

— To ty jesteś oszołomiona, Arsinoe. Czy to upał przyprawia cię o zawrót głowy? Jakiż on miałby cel, żeby mnie zabić, nawet jeśli już sprzykrzyła mu się Tanakwil?

Arsinoe jęknęła, zasłoniła dłonią oczy i wyznała:

— Ach, Turmsie, to moja wina, ale miałam najlepsze zamiary i nie wiedziałam, że on postrada rozum. Widzisz, z tej czy innej przyczyny Dorieus wyobraża sobie, że chłopak jest jego synem i spadkobiercą. Dlatego chce zgładzić ciebie i Tanakwil i zawrzeć potem formalne małżeństwo ze mną. I nie uważa, by przez to popełnił jakąś zbrodnię, ponieważ jest bogiem. Ale ja nigdy nie zmierzałam do czegoś takiego. Któż by mógł ufać zupełnemu szaleńcowi, a z Kartaginą on sobie nigdy nie poradzi. Wyobrażałam sobie to wszystko inaczej.

Potrząsnąłem ją za ramię i zapytałem:

— Co ty sobie właściwie wyobrażałaś i jak Dorieus mógł sądzić, że chłopak jest jego synem?

— Nie krzycz tak, Turmsie — prosiła Arsinoe. — To do ciebie podobne tak się czepiać drobiazgów i kłócić o drobnostki, choć tu chodzi o twoje życie. Wiesz przecież sam, jaki uparty jest Dorieus, gdy sobie coś wbije w głowę. A takiemu baranowi łatwo przychodzi wyobrażać sobie cokolwiek. To on sam odkrył, że chłopak jest podobny do niego, jak sądzi. I tylko dla żartu zrobiłam później metalową farbą znamię w pachwinie chłopca, kiedy Dorieus bajdurzył, że wszyscy prawdziwi heraklidzi mają takie znamiona od urodzenia. Ale wcale nie było moim zamiarem, żeby Dorieus zaczął odsuwać ciebie na bok, chciałam tylko, by uczynił chłopca swoim spadkobiercą.

Zobaczyła moją twarz, odsunęła się pospiesznie i zagroziła mi:

— Jeśli mnie uderzysz, Turmsie, pójdę i zbudzę Dorieusa. Sadziłam, że on potrafi milczeć o tej całej sprawie. Ale on ma chęć odebrać mnie tobie i nienawidzi cię po urodzeniu chłopca tak, że nie chce oddychać tym samym powietrzem co ty.

Myśli moje były jak rój brzęczących szerszeni i każda z nich zadawała mi zatrute ukłucie.

Powinienem był odgadnąć, że za pozornym spokojem Arsinoe kryła się jeszcze większa chytrość, niż kiedy jej kaprysy kierowały się ku strojom i klejnotom. W sercu wiedziałem, że mówi ona prawdę, i uwierzyłem, że Dorieus zamierza mnie zabić. Arsinoe nawarzyła straszliwej mikstury, a ja chcąc, czy nie chcąc, musiałem ją przełknąć. Poczulem nagle we wnętrzu dotkliwy chłód i zapytałem:

164

— A teraz pewnie chcesz, żebym poszedł i poderznął mu gardło, gdy śpi. Ale powiedz wpierw, jak ci się udało uspić go tak dobrze?

Arsinoe patrzyła na mnie szeroko rozwartymi oczami i powiedziała niewinnie:

— Trzymałam go za rękę i zapewniałam, że we śnie będzie mógł spotkać boginię. Co ty wła-

ściwie sobie myślisz, Turmsie? Wiesz sam, że Dorieus nie jest już w tych sprawach taki bardzo męski. Ma on swoje szczególne nawyki.

W tejże chwili zbladła mocno, oczy jej poczerniały i zakłęła:

— Turmsie, jeśli kiedykolwiek wątpieś w moją miłość do ciebie, teraz nie możesz już dłużej wątpić. Byłoby dla mnie korzystniej milczeć i pozwolić mu zabić cię. Pozbyłabym się wtedy ciebie, który jesteś dla mnie taki niedobry. Ale ja nie mogę znieść tego, bym cię miała utracić i nie życzę też Tanakwil niczego złego, choć ona mnie obrażała na różne sposoby.

Te ostatnie słowa wypowiedziała, jak mi się zdaje, dlatego, że zauważyła, iż Tanakwil zbliża się do nas. Ja sam tak byłem oszołomiony, że nie spostrzegłem jej przybycia, dopóki nie przemówiła do nas:

— Tobie, Istafra, zawdzięczam moje małżeństwo. Ale tobie też mam do zawdzięczenia moje nieszczęście, bo porwałaś się na taki wielki kęs, że teraz nie możesz go przełknąć. Życzę ci, że-byś się udławiła, bo podejrzewam, że prowadziłaś swoje gierki także na morzu. Inaczej Dorieus nigdy by nie zaczął majaczyć o jakiejś Tetis o białych członkach.

— Tanakwil — powiedziałem ostrzegawczo — nie gadaj głupstw, choć nienawidzisz Arsinoe.

Na okręcie Arsinoe miała już mdłości z powodu swego stanu, czuć ją było wymiotami, była przemoczona słoną wodą i nie dbała o swój wygląd. Nie mogła mieć nic wspólnego z wizjami Dorieusa.

Ale moje słowa zraniły miłość własną Arsinoe.

— Co ty wiesz o cudach bogini, Turmsie — oburzyła się. — Pod tym względem już Tanakwil jest mądrzejsza. Mogę ci powiedzieć, że wszystko, co musiało się stać, stało się, gdyż bogini zawsze pragnęła mieć morską postać.

Tanakwil rzuciła mi kłujące spojrzenie i doradziła:

— Gdybyś był mądry, wziąłbyś ten świecznik i rozbiłbyś nim czaszkę Arsinoe, Turmsie.

Oszczędziłoby ci to wielu przykrości. Ale nie ma co mówić teraz na wiatr. Co, zamierzasz uczynić, Turmsie?

— Tak, co zamierzasz uczynić, Turmsie? — powiedziała Arsinoe natarczywie.

Ogarnął mnie jeszcze większy zamęt w głowie.

— Więc to ja mam coś uczynić, skoro ty nawarzyłaś tego piwa? Ale dajmy na to. Mogę wziąć miecz i wbić mu w gardło, jeśli istotnie śpi tak mocno. Ale chętnie tego nie zrobię, bo przecież on był moim przyjacielem:

Arsinoe prosiła żywo:

— Ach tak, uczyn tak! I weź sam psią koronę, przeciągnij na swoją stronę wojsko, które wyćwiczył Dorieus, szukaj pojednania z Kartaginą i zrób mnie kapłanką w Eryksie w drodze po-kojowej. Niczego więcej nie pragnę i wyjdzie to także na korzyść naszemu synowi.

Tanakwil pokiwała współczująco głową i rzekła:

— Ta kobieta straciła zmysły, a tobie nie wyszłoby to na dobre, gdyby znaleziono Dorieusa zabitego pchnięciem miecza w gardło. Ale nie martwcie się, trzech mężów zaprowadziłam już do grobu i chyba zdołam zrobić to i z czwartym. To mój obowiązek wyświadczyć mu tę ostatnią przysługę, nim mnie zabije i wtrąci w nieszczęście całą krainę Eryks. Idźcie stąd oboje, zabierzcie z sobą tego przeklętego bękarta, i udawajcie, że nic o niczym nie wiecie.

165

Zapędziła nas do naszej komnaty. Tam siedzieliśmy z założonymi rękami, nie mówiąc do siebie ani słowa. Przyglądałem się swemu synowi, starając się zobaczyć, co w jego dziecinnej twarzyczce sprawiło, że Dorieus mógł sobie wyobrazić, iż dziecko jest podobne do niego. Ale choć się bacznie przyglądałem, widziałem tylko, że usta chłopca są moimi ustami, a jego nos jest nosem Arsinoe. Tak, wziąłem lustro Arsinoe i przyglądałem się swoim własnym rysom, by po-równywać je z rysami chłopca.

W tejże chwili usłyszeliśmy podziemny huk, straszliwszy, niż kiedykolwiek słyszałem. Ziemia zatrzęsała się pod naszymi stopami, posadzka pękła, sprzęty w komnacie poprzewracały się i słyszeliśmy łoskot walących się ścian. Arsinoe porwała chłopca i przytuliła do siebie, a ja ochraniałem ją własnym ciałem, gdy spiesznie wybiegliśmy na ulicę przez bramę, która już się przekrzywiła. Kot Arsinoe przeleciał wystraszony obok nas. Jeszcze jeden raz ziemia zadrżała i ściany zwały się. Potem niebo pociemniało, powiał wiatr i powietrze zrobiło się nagle chłodne.

— Dorieus nie żyje — powiedziałem — ten kraj był jego dziedzicznym królestwem i zatrzęsł się, kiedy on umarł. Może był on rzeczywiście boskiego pochodzenia, choć trudno w to uwierzyć, bo pachniał ludzkim potem i broczył ludzką krwią ze swoich ran.

Arsinoe powtórzyła: — Dorieus nie żyje. — Ale zaraz potem zapytała: — Co teraz z nami będzie, Turmsie?

Przerażeni ludzie wynosili mienie z domów, a zwierzęta pociągowe, które się wyrwały, biegły ulicami, ale powietrze zrobiło się świeższe od wiejącego wiatru i stało mi się tak, jak gdybym poczuł się wolny od mego długiego przygnębienia. Tanakwil wyszła z pałacu. Porwała na sobie szaty na znak żałoby, a w jej włosach były resztki wapiennej zaprawy z pułapu. Obaj jej synowie szli za nią, głośno biadając. Ale przerażeni ludzie nie zwracali na nich większej uwagi.

Arsinoe i ja poszliśmy za nimi z powrotem do komnaty Dorieusa, gdzie stał już Mikon ze swoją skrzynką lekarską i ze zdumieniem patrzył na martwe ciało Dorieusa. Ten spoczywał na łożu z



poczerniałą twarzą. Straszliwie nabrzmiały język wypełniał mu całe usta, a na wargach pełno było pęcherzy. Mikon powiedział:

— Gdyby to było lato i okres szerszeni, mógłbym przysiąc, że to szerszeń użądlił go w język.

Może to się przytrafić pijanemu, który zasypia z otwartymi ustami, albo dziecku, które wkłada szerszenia do ust razem z jagodą. Ale bez względu na to, jak to się stało, jego język spuchł i zadusił go.

Obaj synowie Tanakwil zawołali równocześnie:

— To zrządenie losu i jeden z najdziwniejszych zbiegów okoliczności. Pamiętamy dobrze, że nasz własny ojciec umarł niemal w taki sam sposób. Ale w tej chwili nie mogło się wydarzyć nic lepszego. Oszczędzi nam to wojny z Kartaginą i pozwoli wybrać króla w guście Kartagińczyków spośród nas samych. Z całego serca uczestniczymy w ciężkiej żałobie naszej matki, ale Dorieus był mimo wszystko obcym przybyszem i chciał, jak się zdaje zaprowadzać tu nowe i nieprzyjemne obyczaje.

Rzucili mi pytające spojrzenie i zaproponowali:

— Ktoś powinien teraz spiesznie udać się i powiadomić wojsko oraz nakazać młodzieńcom Dorieusa, by złożyli broń na znak smutku i powrócili do swoich domów na okres żałoby.

Odparłem gwałtownie:

— Tylko nie proście mnie o tę przysługę. Nie mieszam się do tej sprawy. Gdy tylko ciało Dorieusa zostanie spalone na stosie, opuszczę Segestę, bo nie jest to moje miasto.

Synowie Tanakwil zerknęli złowróźnie na siebie i powiedzieli:

— Tak, zaiste, Turmsie, i ty jesteś tu obcy, a przybyszów mamy już dość. Im szybciej pozbędziemy się obcych, tym lepiej.

166

Ale Tanakwil patrzyła na czerniejące oblicze Dorieusa i jego nawet po śmierci królewsko mocne ciało i rzekła ostrzegawczo:

— Po tym, co się stało, jest mi już wszystko obojętne. Ale Turmsa nie tykajcie. — Z twarzą nagle pobrużdżoną i postarzałą ze smutku zwróciła się do Arsinoe i patrząc na nią rzekła:

— Turms niech odejdzie w spokoju, ale tę dziewczkę bogini odeślemy z powrotem do świątyni w Eryksie, by ją tam ukarano za ucieczkę. To niewolnica świątyni. Syn niewolnicy jest niewolnikiem z urodzenia i dlatego własnością bogini. Tam niech wytrzebią chłopca i zrobią z niego kapłana albo tancerza, kiedy już ukarzą tę kobietę tak, jak się karze zbiegłego niewolnika.

Nieprzytomna ze strachu Arsinoe przycisnęła chłopca do piersi i zawołała: — Nie możesz tego uczynić, Tanakwil! Ściągnę na ciebie gniew bogini.

Tanakwil uśmiechnęła się okrutnie, musnęła Dorieusa ręką po twarzy, żeby odpędzić muchy zbierające się wokół jego oczu i ust, i rzekła:

— Gniew bogini już mnie dosięgnął w twojej postaci. Nie boję się już żadnego boskiego czy ziemskiego gniewu, utraciwszy Dorieusa. Był tym, którego kochałam najbardziej z moich mężów.

Zawiodło ją opanowanie, zacisnęła pięść i uderzyła się w usta tak, że zęby z kości słoniowej z trzaskiem złamały się i spomiędzy jej cienkich warg pociekła krew. Wypłuła zęby i krew, wbiła paznokcie w piersi i szarpiąc je wołała:

— Nie wiecie, jaką miłość może czuć postarzała kobieta! Takiego przekleństwa nie życzę nikomu. I lepiej, żeby on umarł, niż żeby mnie porzucił.

Obaj jej synowie cofnęli się przerażeni jej dziką żałością. Objąłem ramieniem Arsinoe i powiedziałem:

— Jestem związany z Arsinoe i zabiorę ją ze sobą. Także mego syna zabieram, bez względu na to, co mówią wasze prawa. Nie usiłuj mi przeszkodzić, Tanakwil, bo zobaczysz, jak to się skończy.

Zdawałem się na bezład panujący w mieście i na niepewność synów Tanakwil. Byłem gotów z mieczem w ręku porwać Arsinoe jeszcze raz i raczej umrzeć, niż rozstać się z nią i z naszym synem. Tłusty i obrzmiały od wina Mikon zebrał resztki woli i oświadczył stanowczo:

— Także i ja jestem obcy w Segeście i nie będę się wysługiwał rządzącym, gdy zostanę wezwany, by zaświadczyć o śmierci Dorieusa i o tym, co ją spowodowało. Ze względu na naszą przyjaźń, Turmsie, uważam cię za zobowiązanego do obrony Arsinoe i chłopca, tak aby nie po-padli w moc złych kapłanów.

Synowie Tanakwil patrzyli na matkę i zapytali niepewnie:

— Powiedz, matko, czy mamy przywołać strażników i kazać zabić tych mężczyzn? W taki sposób pozbedziemy się ich najłatwiej. Z kobietą może się stać tak, jak zechcesz.

Ale Tanakwil wpatrywała się w Arsinoe, wskazała na nią palcem i krzyknęła:

— Patrzcie na tę nazbyt piękną twarz! Spójrzcie na tę twarz, która zmienia się z każdym jej kaprysem. Jeśli pošlę ją z powrotem do Eryksu, odmieni także oczy kapłanom. Znam ją aż nadto dobrze.

— Tak — ciągnęła — Istafre i jej czary i sztuczki znam aż nazbyt dobrze. Dlatego wiem też, jaka kara nadaje się dla niej najbardziej. Niech idzie z Turmsem na ucieczkę i niech zabierze chłopca ze sobą. Niech słońce spali jej białą twarz na czarno. Niech członki jej uwiędną z braków i niedoli. Ani jednej szatki, ani jednego klejnotu czy sztuki srebra nie zabierzesz ze sobą z tego domu, Istafro.

Arsinoe widziała po kamiennej twarzy Tanakwil, że jej postanowienie jest niewzruszone. Zdaje mi

rać się odzyskać swojej dawnej pozycji w świątyni. Ale potem podniosła brodę i powiedziała z mrocznym spojrzeniem:

— Szaty i klejnoty mogę dostać, ale Turmsa nie odzyskam już nigdy, gdy go opuszczę. Tylko mnie masz do zawdzięczenia, Tanakwil, że to nie ty leżysz teraz poczerwiała na twarzy ze znakami palców Dorieusa na szyi. Gdybym milczała i pozwoliła Dorieusowi przeprowadzić swoją wolę, wszystko wyglądałoby teraz inaczej. Ale Turmsa nie chcę utracić. Nie, nie waham się pójść za Turmsem, choć chcesz mnie obedrzeć do naga, teraz, kiedy nadarza ci się okazja. Wiem, jaka jesteś chciwa.

W tejże chwili poczułem się tak, jakbym został uniesiony poza siebie samego, jakbym wszystko widział od zewnątrz i uśmiechnąłem się. Nie patrzyłem już na Tanakwil i na jej synów, ani na Mikona, ani nawet na Arsinoe i dziecko. Nieprzeparcie spojrzenie moje przyciągnęła mała niepozorna grudka żwiru na podłodze, schyliłem się i podniosłem ją, nie zwracając uwagi na to, co robię. Był to zwyczajny mały kamyk, który wypadł komuś z sandału. Podniosłem go, nie wiedząc, że jeszcze jeden okres w moim życiu skończył się i zaczął się nowy. I nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Po prostu musiałem schylić się i wziąć go do ręki.

Na skutek trzęsienia ziemi i zamieszania, jakie wywołało, ucieczka nasza nie wzbudziła niczyjej uwagi, gdyż wielu było ludzi, którzy uciekali z miasta na otwarte pola z obawy, że w mieście zwałą się domy. W gruncie rzeczy trzęsienie ziemi było łagodne i nie spowodowało większych szkód. Zdaje mi się, że ziemia erycyńska westchnęła tylko z ulgą, że heraklida Dorieus już nie żyje, gdyż gdyby dane mu było żyć, ściągnąłby prawdopodobnie na krainę Eryks same nieszczęścia.

Kiedy spiesznie zdążaliśmy w grupie biadających ludzi ku północnej bramie miasta, podbieg-

ła do nas dziesięcioletnia sierota Hanna, małżonka świętego psa, chwyciła mnie za połę płaszcza i zapłakana żaliła się:

— Pies Krimisos nie żyje. Już wczesnym rankiem wczółgał się w ciemny kąt. Kiedy ziemia trzęsła się i pękała, chciałam go wyprowadzić, ale on już się wtedy nie ruszał i łapy mu zeszywniały. A twój kot przyszedł do mnie tak przestraszony, że wskoczył mi na ręce i podrapał mi kolana do krwi.

W swojej niedoli zapomniawszy o wszelkim wstydzie owinęła kota w rąbek sukni i trzymała go, niosąc na ręku, tak że cała dolna część jej ciała była naga. Miałem dość zajęcia biegnąc z krzyżącym chłopcem na ręku i nie zdążyłem jej odpędzić. Arsinoe uwiesiła mi się na ramieniu, Mikon sapał za nami, a dziewczyna ciągnęła mnie za płaszcz, tak że nasze odejście z Segesty pozbawione było wszelkiej godności.

Kiedy już znaleźliśmy się za bramą i zatrzymałem się, żeby się rozejrzeć, kazałem dziewczynie rzucić kota i wrócić do miasta.

— Dorieus nie żyje — powiedziałem. — Kiedy to się rozniesie, w mieście wynikną niepokoje. Jesteśmy obcymi przybyszami i uciekinierami. Każdy może nas zabić. Dlatego zostań wśród swoich.

Ale Hanna szlochała:

— Także Krimisos nie żyje. Winę za to zwałą na mnie. W każdym razie zbiją mnie, jeśli nie złożą mnie w ofierze duchowi psa. Pozwól mi towarzyszyć ci, Turmsie. Jesteś jedynym, który był dla mnie dobry i trzymał mnie w objęciu.

Arsinoe rzuciła dziewczynie badawcze spojrzenie, zerknęła na mnie i powiedziała kwaśno:

— Niewątpliwie masz łaskę bogini, skoro nawet taka dziewczyna jak ta, biega za tobą. Obciążnij w dół suknię, dziewczyno. Mężczyźni nie lubią, kiedy dziewczyna nie proszona obnaża to, co ma do pokazania. Chodź z nami, jeśli chcesz. Przemawia za tobą to, że cię wybrał mój kot.

Jest mądrzejszy niż ludzie.

168

— Nie wiem nawet, dokąd zdążamy — nadmienilem — i może już dziś wieczorem będą nas ścigać z psami.

Ale Arsinoe rzekła:

— Potrzebuję służebnej i zawsze możemy sprzedać dziewczynę, jeśli popadniemy w trudności. Nie mamy przecież żadnego innego majątku.

Mikon otworzył bukłak z winem, skierował drżącą dłonią strumień do gardła, nie roniąc ani kropelki i zaproponował:

— Nie spierajmy się o sprawy obojętne. Biega tu pełno bydła, spłoszonych koni i osłów, które urwały się z uwięzi. Weź dziewczynę, a ja spróbuję załapać dla nas osła. Arsinoe nie zajdzie daleko w las na swoich białych stopach i w haftowanych sandałach.

— W las — powtórzyłem — masz słuszość, Mikonie. Musimy udać się do lasów, do Sikanów i dzikich zwierząt. To nasz jedyny ratunek.

W tejże chwili nadbiegł ku nam kulejąc stary osioł. Spieniony na całym ciele, miał uszy gniewnie nastroszone. Mikon zatrzymał go sprawnie i przemówił do niego życzliwie, tak że osioł się uspokoił. Wsadziliśmy Arsinoe na jego grzbiet, wzięła na rękę dziecko, a ja prowadziłem osła.

Mikon trzymał go za ogon, żeby nadażyć, Hanna trzymała mnie za rękę, a na końcu przemykał kot Arsinoe, rozglądając się ze zdumienia okrągłymi oczyma.

Nikt nas nie zatrzymał. Przeszliśmy przez pola tak szybko, jak się dało i skręciliśmy z drogi w stronę gór, do wiecznie zielonych lasów. Przenocowaliśmy pod drzewem, ciasno przytuleni do siebie, by

utrzymać ciepło. Ognia nie wazyliśmy się rozniecić, dopóki nie spotkaliśmy grupy Sikanów przy ich świętym kamieniu. Sikanowie przyjęli nas i żyliśmy pośród nich przez pięć lat.

W tym czasie Mikon znikł, Arsinoe urodziła córeczkę, a Hanna wyrosła na dziewczynę.

Ale przedtem muszę jeszcze opowiedzieć o Tanakwil i o tym, co się z nią stało. Po śmierci Dorieusa obaj synowie Tanakwil umocnili swoją władzę w mieście i zyskali nawet wpływy nad wojskiem, które wystawił Dorieus, tak że ojcowie miasta nie mieli dużo do powiedzenia. Kazali urządzić dla Dorieusa wspaniały stos całopalny z drzewa dębowego. Przed podpaleniem stosu powiadomili matkę, że mają już dość jej żądzy władzy i zamierzają odesłać ją do Himery. Tanakwil oświadczyła, że życie nie ma już dla niej żadnej wartości, odkąd umarł Dorieus. Toteż raczej będzie mu towarzyszyć i podzieli z nim stos całopalny, gdyż wtedy może przynajmniej mieć nadzieję, że powędruje do podziemia w jego towarzystwie.

Synowie nie sprzeciwiali się temu, choć uważali jej nadzieje za nader niepewne. Tanakwil weszła na stos w swoich najlepszych szatach, objęła jeszcze raz cuchnące już trupem ciało Dorieusa i podpaliła potem stos własnoręcznie. Jej ciało spłonęło wraz z Dorieusem.

O wszystkim tym dowiedziałem się od Sikanów i więcej nie mam już nic do opowiedzenia o Tanakwil. Dorieusa nie opłakiwałem długo.

169

## **KSIĘGA SIÓDMA**

# Sikanowie

## 1

Spotkaliśmy więc Sikanów przy ich świętym kamieniu. Oznajmili życzliwie, że nas oczekiwali i wiedzieli z góry o naszym przybyciu. Niedowiarek mógłby sądzić, że to ich młodzieńcy szli potajemnie naszym śladem. Sikanowie poruszali się w tych lasach tak niepostrzeżenie, że nikt nie mógł wyczuć ich obecności. Dlatego właśnie szlachetnie urodzeni w Segeście potrzebowali psów, by na nich polować.

Ale Sikanowie mieli rzeczywiście zdolność przewidywania, kto nadchodzi i znali też liczbę nadchodzących. O swych własnych współplemieńcach wiedzieli zawsze, gdzie się znajdują, ba, nawet to, czym każdy z wodzów zajmuje się w danej chwili. Pod tym względem ich zdolność podobna była do zdolności wyroczni. I nie tylko kapłani umieli to, ale także większość Sikanów posiadała ten dar, niektórzy w większym, inni w mniejszym stopniu, i nie umieli tego wytłumaczyć.

Tylko rzadko się mylili, ale nawet wyrocznia może się omylić, albo przynajmniej słowa wyroczni mogą być źle wytłumaczone.

A Sikanowie nie uważali nawet swego daru za coś niezwykłego, lecz sądzili, że także inni ludzie go posiadają, a zwierzęta w jeszcze większym stopniu, zwłaszcza psy. W taki sam sposób trudno jest widzającemu wytłumaczyć ślepemu, w jaki sposób widzi.

Namaścili święty kamień tłuszczem i tańczyli wokół niego święte tańce z podziemia, czekając na nas. Ich kapłan ozdobił twarz maską wyciętą z drewna i przypiął święty ogon oraz włożył rogi zwierzęce. Rozpalono ognisko i postawiono na nim kotły, tak że natychmiast po naszym przybyciu mogli zabrać osła, złożyć go w ofierze i przyrządzić z jego mięsa posiłek. Uważali osła za święte zwierzę i wysoce nas poważali za to, że przybyliśmy do nich pod ochroną osła. Nie panował

u nich brak mięsa, ponieważ byli zręcznymi myśliwymi, ale wierzyli, że nabierają siły i cierpliwości z twardego mięsa osła. Przede wszystkim chcieli głowę osła, żeby wbić ją na drąg i wielbić misteriami. Uważali, że głowa osła chroni ich przed uderzeniem piorunu.

A osioł nie bronił się wcale i stał się chętną ofiarą. Także i to uważali Sikanowie za dobry znak.

Kota bali się i nie znali dla niego nazwy, i byliby może go zabili, gdyby Arsinoe nie wzięła go na rękę i nie pokazała im, że jest oswojony. Okazywali Arsinoe szacunek, gdyż przyjechała na osłe z dzieckiem na rękę. Po ofierze kapłan ich wykonał taniec radości wokół chłopca, dał nam znak, żebyśmy go położyli na posmarowanym tłuszczem kamieniu, i pokropił go osłą krwią. Potem wszyscy jednogłośnie wykrzyknęli:

— Erkle, Erkle!

W bulgocącym bukłaku Mikon zaoszczędził trochę wina i myślę, że bez wina nie wytrzymał-

by trudów podróży. By zyskać przychylność Sikanów, poczęstował ich winem. Kosztowali go, ale

trzęśli głowami, a niektórzy wypluli je na ziemię. Ich kapłan śmiał się i podał Mikonowi na-pój w drewnianej czarce. Mikon wypił i powiedział, że tego napoju nie można porównać z winem.

Ale po chwili zaczął wpatrywać się drętwo przed siebie, twierdził, że członki mu zdrętwiały i że może widzieć na wskroś przez pnie drzew i w głąb ziemi.

Ten swój święty napój kapłani i wodzowie Sikanów warzyli z trujących jagód, grzybów i korzeni, które zbierali w różnych porach roku i w określonych kwadrach księżyca. Pili ten napój, kiedy chcieli uzyskać kontakt z podziemnymi istotami i prosić je o radę. Zdaje mi się, że pili go także dlatego, żeby się upić ponieważ nie znali wina. W każdym razie Mikonowi przypadł ten na-170

pój do smaku i zaczął spożywać codziennie małe jego dawki, w czasie gdy mieszkaliśmy wśród Sikanów.

Wyczerpanie po ucieczce, bliskość świętego kamienia i ulga z powodu naszego uratowania się u Sikanów, którzy okazali nam przyjaźń, sprawiły, że zdawało mi się, iż stoję poza sobą, gdy Sikanowie odprawiali ceremonie ofiarne. Kiedy wszyscy ucichli, by oczekiwać na znak, rozległ

się z lasu krzyk sowy, który się wielokrotnie powtórzył.

— Arsinoe — powiedziałem — nasz syn nie ma jeszcze imienia. Niech więc nazywa się Hiuls według krzyku sowy.

Mikon wybuchnął śmiechem, wytrzeszczając oczy, bił się po kolanach i zawołał:

— Oczywiście, Turmsie! Kimże jesteś, żeby mu nadawać imię. Niech leśna sowa nada mu imię, a imię jego ojca nie ma z tym nic wspólnego.

Arsinoe była tak zmęczona, że nie miała siły się sprzeciwić. Po zjedzeniu przez nas twardego mięsa osła usiłowała nakarmić chłopca piersią, ale wysiłki i niebezpieczeństwa podróży oraz wzburzenie z powodu śmierci Dorieusa sprawiły, że straciła pokarm. Hanna wzięła chłopca na ręce i nakarmiła go ostrożnie z rogu capa ciepłą zupą, owinęła go w owczą skórę i nucąc ukoły-sała do snu. Gdy Sikanowie zobaczyli, że chłopiec śpi, zaprowadzili nas ukrytą ścieżką do groty chronionej przez nieprzenikniony i ciernisty gąszcz. Kamienna podłoga w grocie pokryta była do spania trzcina.

Kiedy zbudziłem się o świcie i przypomniałem sobie, gdzie się znajdujemy i co się z nami stało, moją pierwszą myślą było, dokąd mamy się udać. Ale gdy wyszedłem z groty, omal nie potknąłem się na jeżu, który przestraszony zwinął się w kłębek. W tej chwili przypomniałem sobie Larsa Tulara, którego złożyliśmy w ofierze na morzu, i jego słowa o zwiniełym w kłębek jeżu.

Dlatego uznałem to za ostrzeżenie i zdałem sobie sprawę, że musimy zostać u Sikanów, bo tak jest najbezpieczniej, i że wszelka wędrówka jest bezużyteczna, dopóki nie będę wiedział dokąd pójść.

Gdy tylko powziąłem decyzję, ogarnęło mnie niewypowiedziane uczucie wyzwolenia, tak jakbym po długim czasie znowu odnalazł siebie samego. Poszedłem do źródła w pobliżu, by się napić i woda smakowała mi rozkosznie. Byłem wciąż jeszcze młody, czułem moją siłę i radość życia.

Ale kiedy Arsinoe przebudziła się, nie ucieszyła się widokiem okopconego pułapu groty, kamieni na ognisku i krzywych dzbanów na podłodze. Podczas gdy Mikon wciąż jeszcze chrapał, powiedziała gorzko:

— Do tego więc doprowadziłeś mnie, Turmsie, że jestem biedna i bezdomna, i w tej chwili, kiedy trzcina kłuje mi całe ciało, nie wiem nawet, czy cię kocham, czy też nienawidzę.

Radosny śmiech wciąż jeszcze we mnie musował i nie poczułem się dotknięty, tylko odparłem:

— Arsinoe, moja ukochana, zawsze życzyłaś sobie bezpieczeństwa i własnego ogniska. Tutaj masz wokół siebie trwałe ściany. A ognisko jest ogniskiem, choćby składało się tylko z kilku okopconych kamieni. Ba, masz nawet służącą i lekarza, który dogląda zdrowia twego syna. Od Sikanów nauczę się szybko zdobywać pożywienie w lesie i zbierać żniwa dla ciebie i naszego syna Arsinoe. Po raz pierwszy w życiu jestem w pełni szczęśliwym człowiekiem w zgodzie z mo-im losem w tej chwili.

Gdy spostrzegła, że myślę tak poważnie, rzuciła się na mnie, drapała i pluła mi w twarz, woła-jąc, że muszę ją stąd zabrać do któregoś z greckich miast na Sycylii, gdzie mogłaby żyć życiem jej godnym. I nie dbam już o to, by opowiedzieć, ile czasu zabrało mi ugłaskanie jej, gdyż wszystko, co przykre z tego okresu, zniknęło już z mojej pamięci. Pod koniec lata, kiedy zobaczyła, że *171*

jej syn rośnie i rozwija się mimo naszego surowego życia i prostego pożywienia, pogodziła się z losem i nawet sama starała się obrócić wszystko na lepsze.

2

Zbyteczne byłoby opowiadać coś o polowaniach Sikanów i ich połowach ryb w wartkach strumieniach górskich, gdyż nie ma zbyt wielkiej różnicy w polowaniu i łowieniu w różnych krajach.

Tylko przyrzady rybackie zmieniają się i są lepsze albo gorsze. Kiedy poznałem Sikanów, spostrzegłem, że wcale nie byli takimi barbarzyńcami, jak sądziłem. Od początku dobrze się z nimi zgadzałem.

Ale Mikon zaczął coraz częściej siadywać przygnębiony na uboczu i dumać z brodą podpartą na dłoni. W końcu pewnego dnia powiedział: — Przychodzić bez przywitania i odchodzić bez pożegnania, i być obcym przybyszem przy każdym ognisku, to nie jest mądrość ani też sztuka życia, tylko całkiem po prostu nieunikniony los każdego człowieka w tym obcym świecie.

Jeszcze rok pozostał Mikon u nas i Sikanowie przychodzili do niego z chorymi, nawet z bardzo daleka, by ich leczył. Ale on uprawiał swój zawód lekarski z obojętnością i mówił, że sikańscy kapłani równie dobrze rozumieją się na leczeniu ran, składaniu złamanych kości i pogrążaniu chorych w leczniczym śnie z pomocą małego bębenka. — Nie mogę się od nich niczego nauczyć

— mawiał — ani też oni ode mnie, ale wszystko to obojętne. Może jest rzeczą wdzięczną łagodzić bóle cielesne, ale któż potrafi uleczyć cierpienia ducha, skoro nawet wtajemniczony nie za-znaje spokoju w sercu.

Nie mogłem ukoić jego przygnębienia, a Arsinoe nie umiała go złagodzić, choć uśmiechała się do



Mikona i sama znów zaczęła się cieszyć życiem. Pewnego ranka Mikon zbudził się późno, spojrzął na siniejące góry i błyszczący blask słońca, dotknął ręką twarzy, wetchnął ciepły żywiczny zapach lasu, ujął drżącą dłońią moją dłoń i powiedział:

— Nadeszła dla mnie chwila jasności, Turmsie. Na tyle jestem lekarzem, że wiem, iż jestem chory albo powoli zatruty upajającym napojem Sikanów. Żyję jak w mgle o brzasku i nie potrafię już odróżnić rzeczywistego od nierzeczywistego. Ale może tak jest, że te oba różne światy ocierają się o siebie, tak iż można chwilami żyć w dwóch światach naraz.

Trzymał mnie mocno za rękę miękką dłońią i ciągnął:

— W mojej chwili jasności wiem i pojmuję, że nie można polegać na ludzkim rozsądku, a sposób myślenia jest równie mylący jak rozum ludzki. Może to tylko nawyk i złudzenie myśleć, że wszystko dzieje się jedno po drugim, w porządku, jaki przepisuje czas. Może wszystko dzieje się naraz, choć nie zdajemy sobie z tego sprawy.

Uśmiechnął się jednym ze swoich rzadkich uśmiechów, spojrzął na mnie ciepło i powiedział:

— Ta moja chwila jasności nie znaczy może zbyt dużo, gdyż widzę cię teraz Turmsie, o wiele większym, niż jesteś i twoje ciało promieniuje jak ogień poprzez twoje szaty. Ale odkąd zacząłem myśleć, zastanawiałem się nad znaczeniem wszystkiego. Toteż dałem się wtajemniczyć i zdoby-

łem wiele tajemnej wiedzy, która rozciąga się poza tę naszą rzeczywistość. Ale nawet znajomość misteriów ma swoje ograniczenie. Dopiero trujący napój Sikanów dał mi odpowiedź na pytanie, dlaczego urodziłem się na ten świat i jaki jest sens życia.

Trzymał moją dłoń oburącz i mówił poważnie:

— A to jest potężna wiedza, Turmsie. Powierzam ci ją teraz. Zastanawianie się nad sensem wszystkiego jest tylko myślową pomyłką. Nasze myślenie jest niczym pancierz, który wiąże nas i skuwa z tym widocznym światem, nie mogąc jednak dlatego uchronić nas. Ten sens jest tylko złudzeniem jakobyśmy z wytężeniem wszystkich naszych sił pędzili do celu, który nie istnieje.

172

Nie musi być żadnego sensu. To tylko myślenie oszukuje nas stwarzając sensory i cele. Istnieją tylko urzeczywistnienia. Ten, co to rozumie, jest wolny od władzy bogów.

Puścił moją rękę, dotknął znowu trawy, spojrzął w dal ku sinym góróm i powiedział:

— Powiniennem cieszyć się z powodu mojej wiedzy, ale nic mnie już nie cieszy, tylko czuję się tak, jakbym przebiegł zbyt wielki dystans. Nie znajduję żadnego pocieszenia w myśli, że znów kiedyś zbudzę się i ziemia będzie równie zielona i piękna, i wszystko w moich ustach będzie mi smakować i że będzie rozkosz żyć. Przypuszczalnie powiniennem się cieszyć, że tego ranka jesteś taki potężny i piękny w moich oczach, Turmsie, a także dlatego, że poznałem cię tym razem od pierwszego spojrzenia.

Patrzyłem na niego ze współczuciem, ale widziałem przy tym śmierć przez jego nabrzmiałą twarz i rozróżniałem kształt czaszki i jej zagłębienia i szczyzące się zęby poprzez skórę i ciało.

Chciałem okazać się dla niego dobrym, gdyż był moim przyjacielem i znałem go dobrze, ale on poczuł się dotknięty moim spojrzeniem i rzekł:

— Nie, Turmsie, nie musisz się litować nade mną. Nie musisz się litować nad nikim, gdyż jesteś tym, który jest. Okazywanie mi współczucia rani mnie, gdyż w każdym razie byłem dla ciebie posłańcem, jeśli już nie niczym innym. Ale poznaj mnie znowu, także gdy spotkamy się następnym razem. To wystarczy.

W tej chwili jego gruba twarz była dla mnie brzydka i biła z niej tak silna zawiść, że promienny poranek zmroczniał dla mnie. A on poczuł to sam i przesłonił ręką oczy, wstał i odszedł chwiejąc się na nogach, ode mnie. Gdy próbowałem go zatrzymać, powiedział:

— Sucho mi w gardle. Pójdę napić się ze źródła.

Chciałem mu towarzyszyć, ale odmówił z gniewem i nie obejrzał się już potem za siebie. Nie wrócił jednak od źródła. Szukaliśmy go na próżno, i także Sikanowie szukali go w zaroślach i rozpadlinach, a ja zdałem sobie sprawę, że miał on na myśli inne źródło.

Nie ganiłem go, lecz chętnie przyznawałem temu mojemu przyjacielowi wolność wyboru, czy chciał kontynuować życie, czy też odłożyć je od siebie niczym nazbyt mozolny niewolniczy trud. Opłakiwaliśmy go i złożyliśmy ofiarę ku jego pamięci, a potem poczułem ulgę, gdyż jego przygnębienie od dawna rzucało na nasze życie cień jak chmura. Lecz Hiulsowi brakowało go bardzo, bo Mikon nauczył go chodzić i słuchał jego pierwszych słów, i wycinał dla niego zabawki z drewna swoim ostrym lekarskim nożem, nie zwracając uwagi na to, że delikatne ostrze ulega uszkodzeniu.

Arsinoe bardzo się gniewała, gdy uświadomiła sobie, co się stało i zwałała wszystko na mnie, uważając, że powinienem był lepiej czuwać nad Mikonem. — Poza tym to obojętne — mówiła

— ale tyle był mi chyba winien, by poczekać dopóki nie urodzę i pomóc mi swoją sztuką lekarską. Wiedział dobrze, że znów jestem w ciąży, a ja chciałabym rodzić jak cywilizowany człowiek, a nie oddawać się w ręce sikańskich babek.

Nie wyrzuciłem Arsinoe jej szorstkich słów, gdyż ciąża czyniła ją bardzo kapryśną, a Mikon rzeczywiście ze względu na naszą przyjaźń mógł być poczekać jeszcze jakiś miesiąc. W swoim czasie Arsinoe powiła bez trudu córkę na trzcinowym łożu w szałasie z gałęzi i nie potrzebowała wcale pomocy doświadczonych babek sikańskich, choć wprowadziła zamieszanie do ich zwykłych zajęć przez czas trwania rozwiązania. W krześle z otworem nie chciała rodzić, tak jak doradzały jej to kobiety Sikanów, chcąc jej dopomóc, tylko powiła leżąc na łożu jak cywilizowany człowiek.

Od Sikanów nauczyłem się szukać samotności w górach przez wiele dni pod rząd i pościć, wsłuchując się w samego siebie, dopóki nie poczułem się taki lekki, że mógłbym latać. Od nich nauczyłem się też, jak najsilniejszy w czasie wyczerpującej wędrówki leśnej może otworzyć sobie żyłę na rękę i pozwolić najsłabszemu napić się krwi, i w ten sposób uratować go, dzieląc się z nim własną krwią. Sam tak uczyniłem pewnego razu, choć Sikanowie byli mi obcy. Od tej pory traktowali mnie jak pobratymca, ale ja nie należałem do ich szczepu, mimo że dałem im własną krew.

Chwałę bezkresne lasy Sikanów, chwałę odwieczne dęby, chwałę sine góry, chwałę wartkie strumienie. Ale kiedy żyłem między Sikanami, wiedziałem jednak, że nie jest to mój kraj. Pozostał mi obcy, choć go dobrze poznałem, tak samo jak Sikanowie pozostali dla mnie obcy.

Przez pięć lat żyłem wśród Sikanów i Arsinoe zadowalała się dzieleniem ze mną życia dlatego, że kochaliśmy się nawzajem, mimo że wiele razy groziła, iż odejdzie z którymś z kupców, którzy ważyli się przybyć do lasów. Kupcy ci, którzy z zieloną gałęzią na znak pokoju przychodzili i zostawiali towary tam, gdzie Sikanowie mogli je obejrzeć, pochodzili najczęściej z krainy Eryks. Ale, także z greckich miast na Sycylii, z Selinuntu i aż z Akragas przybywali śmiali kupcy, i zdarzało się też, że pojawiał się ten i ów Tyrreńczyk z kilkoma workami soli, w których ukrył

noże i siekiery z żelaza, w nadziei na dobry zarobek. Sikanowie ze swej strony wykładali skóry zwierzęce i barwne pióra, pęczki kory do farbowania, dziki miód i воск, ale sami trzymali się w ukryciu. Kiedy mieszkalem u nich, pomagałem im pertraktować z kupcami, którzy często podczas całej swej mozolnej podróży nie oglądali ani jednego Sikana.

W taki sposób otrzymywałem wieści ze świata i byłem świadomy niepokoju epoki i coraz to bardziej natarczywego wdzierania się Greków na ziemię Sikulów w głębi kraju. Segestanie ze swej strony parli coraz głębiej w lasy z końmi i psami. Wiele razy musieliśmy uciekać w góry przed jakimś z wysłanych przez nich oddziałów. Ale Sikanowie umieli też zastawiać zasadzki na wrogów i przyprawiać ich o strach dźwiękiem bębnow.

Kiedy rozmawiałem z wędrownymi kupcami, nie demaskowałem się przed nimi. Brali mnie za Sikana, który z jakiegoś powodu nauczył się obcych języków. Byli to ludzie niewykształceni i nie zawsze można było polegać na ich opowiadaniach. Dowiedziałem się jednak od nich, że Persowie z Jonii zdobyli wyspy na morzu greckim, nawet świętą Delos. Ludność z wysp wzięto do niewoli, najpiękniejsze dziewice posłano do wielkiego króla, a najdorodniejszych młodzieńców wytrzebiono na sługi dla Persów. Świątynie splądrowano i spalono w odwet za pożar świątyni Kybele w Sardes, a wielki król nie zapomniał o Atenach.

Mój postępek prześladował mnie zatem aż w głębi sycylijskich lasów i wywoływało to we mnie niepokój. Z selenitem Arsinoe w dłoni wzywałem Artemidę, mówiąc:

— Szybkostopa bogini, święta, wieczna, tobie ofiarowywały Amazonki prawą pierś, dla ciebie spaliłem świątynię Kybele w Sardes. Pomyśl o mnie, gdy będą mnie kiedyś ścigać inni bogowie.

W moim niepokoju odczuwałem potrzebę przebłagania bogów. Sikanowie czcili bóstwa podziemne i

w ten sposób także Demeter, gdyż nie jest ona tylko boginią kłosa zboża, jak sądzi wielu, lecz czymś dużo większym. Nasza córka urodziła się u Sikanów. Dlatego uznałem za słuszne nadać jej imię Misme, po kobiecie, która dała Demeter wody do picia, gdy bogini omal nie zginęła z pragnienia, szukając swej przepadłej córki.

W niewiele dni po modlitwie do Artemidy i nadaniu imienia Misme mojej córce przyszedł do mnie kapłan Sikanów i powiedział:

— Gdzieś toczy się wielki bój, w którym wielu postrada życie. — Podskakiwał z podniecenia, wypatrywał i nasłuchiwał na wszystkie strony świata, a potem pokazał na wschód i rzekł:

— To daleko stąd, po drugiej stronie morza.

174

— Skąd wiesz? — zapytałem z powątpiewaniem.

Spojrzał na mnie zdziwiony i odparł:

— Czyżbyś sam nie słyszał bitewnego zgiełku i śmiertelnych krzyków? To wielka wojna, gdyż słychać ją aż tutaj.

Inni Sikanowie zebrali się niespokojnie wokół nas, by nasłuchiwać i wypatrywać na wschód, a ja też próbowałem słuchać, ale słyszałem tylko szum w lesie.

Jeszcze tej samej jesieni przybył grecki kupiec z Akragas, którego już raz poprzednio spotkałem nad rzeką. Chełpił się wielkim zwycięstwem, odniesionym przez Ateńczyków na polu zwanym Maratonem koło Aten nad wojskiem perskim, które przybyło na okrętach przez morze.

Wychwalał bardzo tę bitwę i mówił, że była to największa bitwa wszech czasów i najszczytniejsza ze wszystkich, gdyż Ateńczycy pobili Persów sami, nie czekając na oddziały pomocnicze, które obiecali im Lacedemończycy.

Opowiadał dalej, że Ateńczycy nie czekając na natarcie Persów, sami uderzyli, w szyku bojowym głębokim tylko na trzech mężów, by móc rozwinąć się na taką samą szerokość co wojsko perskie. Po bitwie pole pod Maratonem było tak usiane trupami, że nie można było uniknąć by przy każdym kroku nie stanąć na poległego Persa. W taki sposób Ateńczycy — mówił — pom-

ścili się za zniszczenie Jonii i greckich wysp.

W moich uszach opowiadanie jego brzmiało niewiarygodnie, kiedy przypomniałem sobie, jak Ateńczycy pierś w pierś i na wyścigi z nami biegli z Sardes do Efezu, żeby schronić się na swoje okręty u ujścia rzeki. Odrzuciwszy jednak połowę z jego wielu słów i uwierzywszy w część pozostałych, zdałem sobie sprawę, że Persowie ponieśli porażkę przy próbie lądowania w Attyce.

O ile rozumiałem się na sztuce wojennej, Persowie nie mogli zabrać z sobą przez morze zbyt dużo jazdy, a także i pod innymi względami przeprawa musiała ograniczyć liczebność wojska.

Porażka taka jak ta, nie mogła zbyt naruszyć potęgi wielkiego króla, przeciwnie, musiała go rozdrażnić jeszcze bardziej niż przedtem i pobudzić do prawdziwej wyprawy wojennej lądem na Grecję.

Kupiec z Akragas nadymał się jednak jak żaba i chełpił się:

— Niech Dariusz zajmuje się ludami, które chodzą w spodniach i upokarzają się scałowując proch z jego stóp. Zniewieściałą Jonie mógł on pokonać, ale gdy zahartowany Hellen z macierzy-stego lądu chwyta za włócznię i miecz, łuki i konie barbarzyńców nie dotrzymują pola. Nawet ze-psutym przez demokrację Atenom udało się pokonać Persów. Gdyby zaś ujrzeli oni lacedemoński szyk bojowy, na pewno rzuciliby broń i padli na ziemię ze zgrozy.

I opowiadał dalej:

— Tyran Hippiasz, wygnany ongiś przez Ateńczyków, którego wielki król mianował głównodowodzącym tej wojennej wyprawy, gdy wyszedł na ląd pod Maratonem, przy kichnięciu wypluł z ust ząb, który znikł w piasku. Wtedy zakrył podobno głowę i powiedział: — Nie zasłużyłem na więcej mojej ziemi ojczystej i chyba też nie dostanę.

Jego opowiadanie umocniło mnie w przekonaniu, że chodziło tu tylko o próbę politycznego przewrotu, by uzyskać dla Hippiasza władzę w Atenach pod osłoną perskiej broni. Ale już sama chęć podbicia Attyki jako przyczółka mostowego w Grecji wykazywała, jakie zamiary miał wielki król. Podobnie jak dostatecznie bogaty mąż nie może uniknąć, by nie bogacić się jeszcze bardziej, czy chce, czy nie chce, tak też i dostatecznie wielkie mocarstwo koniecznie musi jeszcze bardziej się rozszerzać. Dlatego też było tylko kwestią czasu, kiedy zginą wolne państwa w Hel-ladzie. Wieść o bitwie pod Maratonem nappełniła mnie tylko złymi przeczuciami, a nie radością.

Dla mnie, podpalacza świątyni w Sardes, Sycylia nie była już schronieniem.

Pewnego poranka liść wierzby spadł przede mną na powierzchnię wody w źródle, właśnie gdy pochyliłem się, by się napić, a kiedy podniosłem wzrok, ujrzałem stado ptaków lecące na północ 175

tak wysoko w górze, że domyśliłem się, iż podąża ono za morze. W uszach moich rozległ się szum skrzydeł i dźwięczne fanfary trąb. Dreszcz przeszedł całe moje ciało i w tejże chwili uświadomi-

łem sobie, że ten okres mojego życia dobiega do końca i że chwila wyruszenia jest bliska.

Nie napiłem się wody ze źródła, nie jadłem nic, lecz tak jak stałem, poszedłem przez las do stóp góry i wspiąłem się pomiędzy niebezpieczne głązy, by wsłuchać się w siebie i dostrzec znak.

Tak nagle wyruszyłem w drogę, że jedyną bronią, jaką miałem z sobą, był nóż, mocno już zużyty i cienki od częstego ostrzenia. Gdy wspinałem się na górską stromiznę, poczułem woń dzikiej zwierzyny i usłyszałem słabe skomlenie. Szukałem przez chwilę i znalazłem wilczą jamę z obgryzionymi do czysta kośćmi i całkiem małego wilczka, który łaził niezgrabnie w otworze grotu.

Wilczyca chroniąca młode jest straszliwym wrogiem. Mimo to schowałem się w zaroślach, by

zobaczyć, co się stanie. Ale wilczyca nie pojawiła się, wilczek skomlał z głodu, i w końcu wzią-  
łem go na ręce i wróciłem do domu.

Zarówno Hiuls, jak i Misme, zachwycili się natychmiast włochatym wilczkiem i chcieli go karmić, ale kot wygiął grzbiet i snuł się wokół niego zdradliwie. Odpędziłem go kopniakiem i poprosiłem Hannę, żeby wydoiła jedną z ukradzionych przez Sikanów kóz. Wilczek był tak głodny, że chciwie ssał palec Hanny, gdy umoczyła go w kozim mleku. Dzieci śmiały się i klaskały w dłonie, a ja też się śmiałem. I w tejże chwili zdałem sobie nagle sprawę, jaką piękną dziewczyną stała się Hanna. Jej brunatne członki były proste i gładkie, oczy miała duże i czyste, a usta jej śmiały się. Miała we włosach kwiat dla ozdoby. Być może dlatego właśnie patrzyłem na nią innymi oczami niż przedtem.

Arsinoe poszła wzrokiem, za moim spojrzeniem, kiwnęła potakująco głową i rzekła:

— Kiedy odejdziemy stąd, dostaniemy za nią dobrą cenę.

Słowa jej dotknęły mnie do żywego. Nie miałem wcale ochoty sprzedawać Hanny w jakimś nadbrzeżnym mieście, by zdobyć pieniądze na podróż, bez względu na to, jak dobrze mogło jej się dziać u jakiegoś zamożnego kupca. Ale wiedziałem, że najlepiej nie wyjawiać przed Arsinoe, że jestem przywiązany do tej dziewczyny, która tak chętnie dzieliła z nami niebezpieczeństwa w lasach Sikanów, służyła nam i pielęgnowała nasze dzieci.

Arsinoe była taka pewna swej władzy nade mną i własnej piękności, że kazała Hannie obna-

żyć ciało zarówno z przodu, jak i z tyłu, tak abym na własne oczy mógł się przekonać, jaki dobry towar dostał nam się w darze.

— Jak widzisz; nie pozwoliłam jej uszkodzić skóry na sposób Sikanów bliznami w esy flore-sy — powiedziała Arsinoe. — Nauczyłam ją także wyskubywać owłosienie ciała na sposób grecki, tak że jest ona całkiem czysta. Nauczyła się kąpać codziennie, a zimna woda zahartowała jej piersi tak, że sterczą mocno i są twarde jak kasztany. Pomacaj sam, Turmsie, jeśli mi nie wierzysz. Dotknij także jej dłoni, a zobaczysz jakie są miękkie, mimo że pracuje. Co wieczór każę jej wcierać w skórę moją własną maść, którą sporządzam z miodu, ptasich jajek i koziego mleka.

Oprócz tego nauczyłam ją pięknie chodzić i tańczyć łatwe, proste tańce.

Hanna unikała wstydliwie moich spojrzeń, mimo że usiłowała trzymać głowę wysoko. Nagle zasłoniła dłońmi twarz, wybuchnęła szlochem i wybiegła z grotu. Jej płacz wystraszył dzieci, tak że zapomniały o swojej zabawie. Kot skorzystał z okazji, złapał wilczka i wymknął się na dwór.

Gdy go wreszcie znalazłem, zdążył już zagryźć na śmierć bezbronny wilczek, i właśnie go pożerał. Ogarnięty ślepym gniewem porwałem kamień i zmiażdżyłem kotu łeb. I w tym momencie uświadomiłem sobie, że przez cały czas nienawidziłem go i nie ufałem mu. Zabiwszy kota, jakbym uwolnił się od zła, które mnie prześladowało bez mojej wiedzy.

Po dokonaniu tego czynu rozejrzałem się dokoła, znalazłem szczelinę w gruncie, wepchnąłem tam spieszenie padło kota i przysypałem kamieniami. Kiedy schyliłem się, by narwać mchu i zakryć nim

ślady, spostrzegłem nagle, że Hanna bezgłośnie podkraśniała się do mnie i także grzebała w ziemi równie żywo jak ja.

176

Rzuciłem jej świadome winy spojrzenie i wyjaśniłem:

— Zabiłem kota przez pomyłkę. Nie miałem takiego zamiaru.

— To dobrze. Kot był złym zwierzęciem. Dręczył myszy, zanim je zagryzł. Przez cały czas bałam się, że wydrapie oczy dzieciom, gdybym zostawiła je same. Tak zazdrosny był o łaski swej pani.

Sypaliśmy mech i liście tak gorliwie, że nasze dłonie ocierały się o siebie. Dobrze było dotykać jej pełnej zaufania dziewczęcej ręki. — Nie zamierzam mówić Arsinoe, że zabiłem jej kota

— rzekłem.

Zerknęła na mnie promiennymi oczami:

— Nie musisz — powiedziała. — Ten kot zwykł często chodzić własnymi drogami przez wiele nocy pod rząd. Nasza pani często obawiała się, że padnie on ofiarą jakiegoś drapieżnika.

— Hanno — zapytałem — czy ty rozumiesz, że zostanę związany z tobą, gdy będziemy mieli wspólną tajemnicę?

Podniosła oczy, spojrzała na mnie bez strachu i powiedziała:

— Turmsie, związałam się z tobą już w chwili, gdy pozwoliłeś mi znaleźć się w twoich ramionach w świetle księżycy na schodach świątyni psa Krimisosa.

— Niewielka, to tajemnica — ciągnąłem. — Tylko po to, aby uniknąć niepotrzebnej sprzeczki. Ale jeszcze nigdy nie kłamałem Arsinoe świadomie.

Jej ciepłe spojrzenie rozgrzało mnie. Ale nie czułem wcale pożądania. Nie przyszło mi nawet do głowy, że w tym życiu mógłbym pożądać jakiejś innej kobiety niż Arsinoe. Przypuszczalnie Hanna to rozumiała, bo schyliła pokornie głowę i wstała tak gwałtownie, że kwiat wypadł z jej włosów na ziemię.

— Turmsie, czy to kłamstwo, jeśli się zataja to, co się wie? — zapytała deptając kwiat brunatnymi palcami stóp.

Odparłem:

— Zależy, o kogo tu chodzi. Sam wiem, że skłamię przed Arsinoe, jeśli pozwolę jej sądzić, że kot znikł samowolnie. Ale czasem może to być gestem przyjaźni nie mówić o czymś, o czym się wie, że to sprawia ból komuś innemu, choćby takie kłamstwo zostało w człowieku i paliło mu serce.

Hanna dotknęła z roztargnieniem piersi, nasłuchiwała przez chwilę bicia swego serca i przyznała:

— Tak, masz słuszność, Turmsie, kłamstwo pali człowiekowi serce i już czuję pieczenie. —

Ale wsłuchując się tak w siebie, uśmiechnęła się dziwnie, spojrzała na mnie i wykrzyknęła:

— O, jak błogo piecze mnie kłamstwo dla ciebie, Turmsie!

Pobiegła w swoją stronę. Wróciliśmy do groty każde osobno i nie mówiliśmy już więcej o tej sprawie. Arsinoe żałowała kota, ale miała mnóstwo roboty z dziećmi. Opłakiwała kota nie ze względu na niego samego, ale z czystej próżności, gdyż straciła coś, czego nie miał nikt inny z Sikanów. Toteż mało mnie to obchodziło i jeśli chodzi o mnie, wcale nie odczuwałem braku przy-  
pochlebnego mrużenia kota.

4

Nad brzegiem rzeki rozbił obóz tyrreński kupiec. Zwykł był przywozić małym statkiem sól do Panormos, opłacać tam podatek, a potem ładować sól na osły i udawać się w głąb lasów Sikanów.

Miał ze sobą trzech niewolników i służących. Rozpalili wielkie ognisko, by uchronić się od dzi-

kich zwierząt, a równocześnie dać znać o swoich pokojowych zamiarach. Ponadto ozdobili osły i worki ze solą liściastymi gałęzmi i sami też spali każdy z gałęzią mocno zaciśniętą w dłoni. Byli bardzo strwożeni, gdyż o Sikanach krążyły mrozące krew w żyłach słuchy, choć jak sięga ludzka pamięć, nie zabili oni nikogo, kto przybył do nich z liściastą gałęzią w dłoni.

Nie zakłócając ich snu podkradliśmy się bezgłośnie aż do obozowego ogniska i usiedliśmy, by cicho czekać do świtania. Sikanowie posiadali umiejętność milczenia bardziej uparcie niż jacykolwiek inni ludzie, których znałem, aczkolwiek zdarzało się, że i oni potrafili paplać równie żywo i bezmyślnie, jak to często robią wszystkie inne ludy.

Gdy nastał poranek i ryby zaczęły pluskać w lśniącej wodzie rzeki, trudno mi było poskromić niecierpliwość, gdyż u boku tyrreńskiego kupca leżał inny cudzoziemiec przykryty pięknie tkanym wełnianym płaszczem. Miał falistą brodę i pachniał na odległość dobrymi maściami. Nie mogłem zrozumieć, co taki mąż jak on, robi w towarzystwie prostego przekupnia na bezdrożach w gęstwie sikańskich lasów.

To on właśnie obudził się pierwszy, zaczął wiercić się we śnie i usiadł z okrzykiem, odrzucając z siebie przykrycie. Gdy ujrzał pomalowanych w pasy Sikanów siedzących nieruchomo przy wypalonym ognisku, wykrzyknął jeszcze bardziej przenikliwym głosem i zaczął szukać miecza.

Ale zaraz zbudził się kupiec i powstrzymał go, zapewniając, że nie ma się czego obawiać. Sikanowie także nie mogli dłużej wytrzymać spojrzeń tak wielu obcych przybyszów, wstali więc i znikli bezgłośnie w lesie jak pochłonięci przez ziemię, zostawiając mnie samego, żebym pertraktował

z kupcem tak, jak to było w zwyczaju. Wiedziałem jednak, że widzą i słyszą wszystko, co robiłem, mimo że my nie mogliśmy dostrzec ani śladu po nich. Zdaje mi się, że zwyczaj malowania się w pasy



na twarzy pomagał im ukryć się, ponieważ Sikana siedzącego nieruchomo nie brało się zrazu za człowieka, przypominał bardziej kawałek plamistego cienia zarośli albo trzciny.

Gdy obcy wstał i przecierał oczy, ujrzałem, że był odziany w spodnie, z czego zrozumiałem, że przychodzi z daleka, i służy Persom. Był to jeszcze młody mężczyzna o jasnej cerze, zaraz też nałożył słomiany kapelusz o szerokich kresach, żeby zasłonić twarz przed wschodzącym słońcem.

Zdumiony zapytał:

— Czy śniłem przed chwilą, czy też rzeczywiście widziałem, jak odchodzą stąd leśne drzewa.

W każdym razie widziałem we śnie obcego boga i tak się przestraszyłem, że zbudziłem się na własny krzyk.

Ku memu zdumieniu mówił po grecku, językiem, którego nie rozumiał tyrreński kupiec. By się nie zdradzić, że nie jestem Sikanem, przemówiłem do niego mocno łamaną greczyzną z domieszką słów elymickich i sikańskich.

— Skąd przychodzisz, przybyszu? — zapytałem. — Jesteś dziwnie odziany. Co robisz w naszych lasach? Z pewnością nie jesteś kupcem. Czy jesteś może kapłanem albo wróżbitą, czy też może spełniasz jakieś ślubowanie?

— Wypełniam ślubowania — powiedział spieszenie i ucieszył się, że mówię zrozumiałą dlań greczyzną. Tyrreńczyk nie rozumiał wiele z tego, co on mówił. Jak się później dowiedziałem, pozwolił mi tylko towarzyszyć sobie za opłatą. Otrzymawszy tę odpowiedź od przybysza, udawałem, że nie zwracam już na niego uwagi i rozmawiałem tylko przez dobrą chwilę z Tyrreńczykiem, skosztowałem jego soli i obejrzałem materiały. Dał mi mrugnięciem do zrozumienia, że w soli ma ukryte żelazne narzędzia. Prawdopodobnie przekupił nadzorców celnych w Panormos.

Z Tyrreńczykiem rozmawiałem mieszaną gwarą żeglarzy, która składa się ze słów greckich i fenickich, a także tyrreńskich. Brał mnie więc za Sikana, który dostał się do niewoli w młodości i został sprzedany na wiosłarza, i któremu udało się potem uciec z powrotem do lasów. W końcu zapytałem go, kim jest obcy przybysz. Potrząsnął pogardliwie głową i odparł:

— To tylko jakiś zwariowany Grek, który spędza czas na podróżowaniu od wschodu do zachodu, by poznać rozmaite ludy i ich obyczaje. Skupuje rzeczy dawno już nie używane. Zdaje mi 178

się, że chce od Sikanów kupić noże z krzemienia i drewniane czarki. Możesz mu sprzedać, co zechcesz, byle byś tylko dał mi opłatę za pośrednictwo. Nie umie się targować i nie jest żadnym grzechem oszukać go. To zepsuty człowiek, który nie wie, co ma zrobić z pieniędzmi.

Odziany w spodnie obcy śledził nieufnie naszą rozmowę i gdy nasze spojrzenia znowu się spotkały, spieszenie powiedział:

— Nie jestem jakimś mało znacznym człowiekiem. Więcej będziesz miał korzyści, słuchając mnie niż ograbiając.

I tak jak to się robi z barbarzyńcami, by ich skusić, brzęknął sakiewką, uśmiechnął się i dodał:

— Mam tu małe skórzane gniazdko ze złotymi ptaszkami. Ale zabrałem z sobą tylko kilka, a resztę zostawiłem w domu.

Potrząsnąłem głową i rzekłem:

— My, Sikanowie, nie używamy pieniędzy.

Rozłożył dłonie i odparł:

— Wybierz więc sobie, co chcesz z towarów kupca, a ja za to zapłacę. On zna się na pieniądzach.

Odrzekłem ponuro:

— Nie przyjmuję żadnych podarunków, dopóki nie wiem za co. Nie ufam ci, ty, który chodzisz w spodniach. Nie widziałem jeszcze dotąd takich ludzi.

Wyjaśnił:

— Służę perskiemu wielkiemu królowi. Dlatego noszę spodnie. Przybywam z Suzy, która jest jego stolicą. Żeglowałem z Jonii wspólnie ze Skytesem, byłym tyranem w Zankle. Ale mieszkańcy Zankle nie chcieli z powrotem Skytesa, lecz wolą słuchać Anaksilaosa z Region. Dlatego też wędruję teraz po Sycylii dla własnej przyjemności i aby powiększyć swoje wiadomości o ludach świata.

Nic na to nie odpowiedziałem. Przyjrzał mi się badawczo, potrząsnął z przygnębieniem głową i powiedział:

— Nazywam się Ksenodotos. Jestem Jończykiem i uczniem słynnego zbieracza wiedzy, Hekatajosa, ale w czasie wojny zostałem jeńcem i niewolnikiem wielkiego króla.

Kiedy spostrzegł moją odrazę, objaśnił spiesźnie:

— Tylko z nazwy jestem niewolnikiem. Nie zrozum mnie źle. Gdyby Skytes odzyskał Zankle, zostałbym wywyższony do rangi jego doradcy. Skytes uciekł do Suzy dlatego, że wielki król jest przyjacielem wszystkich wygnańców. Wielki król jest także przyjacielem wiedzy i jego lekarz, który pochodzi z Krotony, wzbudził w nim żądzę wiedzy, jeśli chodzi o greckie miasta w Italii i na Sycylii. Ale i wszelkie inne ludy, zarówno te, o których mu opowiadano, jak i te, których jeszcze nie zna, wielki król chętnie by poznał i gotów jest posyłać dary ich przywódcom, chciałby też wiedzieć, jakie te ludy są i jak żyją.

Przyjrzał mi się uważnie, pogładził kędzierzawą brodę i ciągnął:

— Kiedy wielki król zbiera wiadomości o różnych ludach, poszerza przez to krąg wiedzy i służy na swój sposób całej ludzkości. W jego skarbcu znajduje się kopia mapy świata, którą Hekatajos wyrył w brązie, ale wielki król chce wiedzieć więcej, ponieważ bogowie postanowili, że ma on być ojcem wszystkich ludów.

— Po ojcowsku też obszedł się z miastami jońskimi, a zwłaszcza z Miletem, najbardziej uzdolnionym z jego dzieci — odparłem urągliwie.

Ksenodotos zapytał nieufnie:

179

— Jak nauczyłeś się po grecku, Sikanie? Ty, który malujesz twarz w pasy i chodzisz w skórkach zwierzęcych. Co ty wiesz o Jonii?

Uznałem za stosowne pochełpić się trochę i rzekłem:

— Umiem nawet czytać i pisać, i żeglowałem po wielu krajach. Jak i dlaczego, to cię nie obchodzi, przybyszu, ale wiem więcej niż przypuszczasz.

Zapalił się jeszcze bardziej i powiedział:

— Jeśli tak jest i rzeczywiście wiesz i znasz się na wielu rzeczach, zrozumiesz z pewnością, że także łagodny ojciec zmuszony jest czasem wychłostać swoje krnąbrne dzieci dla ich własnego dobra. Tyle o Milecie. Ale dla swoich przyjaciół jest wielki król najbardziej szczerym panem i mądrym i sprawiedliwym władcą. Zaprowadził on porządek w swoim państwie i jego namiestnicy pilnują, by w żadnym z jego krajów nie dopuszczano się niesprawiedliwości. Jednym słowem jest on drzewem, które ocieni cały świat, i w cieniu tego drzewa dobrze jest żyć.

— Zapominasz o zawiści bogów, Ksenodotosie — wtrąciłem.

— Żyjemy w nowych czasach — odparł. — Zostawmy gadaninę o bogach gadułom. Jońscy mędracy wiedzą lepiej. Wielki król czci tylko ogień. Z ognia pochodzi wszystko i w ogień się wszystko obróci. Ale naturalnie wielki król czci także bogów u ludów, nad którymi włada i po-syła dary do ich świątyń.

— Czyż jeden z mędrców jońskich nie uczy nas, że wszystko jest tylko prądem i ruchem i migotaniem płomieni? — zapytałem. — Heraklit z Efezu, jeśli mnie pamięć nie myli. A może uważasz, że zaczerpnął on swoją naukę od Persów?

Ksenodotos spojrział na mnie z szacunkiem i rzekł z uznaniem:

— Jesteś uczonym mężem i dużo wiesz. Bardzo chciałem spotkać tego Heraklita, kiedy byłem w Efezie, ale wydaje się, że jest rozgoryczony na cały świat i wycofał się w góry, by zjadać zioła.

Wielki król kazał mu posłać list z żądaniem dokładnego sprawozdania z jego nauki. Ale Heraklit nie chciał przyjąć listu, tylko beczał jak koza w sposób zastraszający i rzucał kamieniami na po-słańca, i nie tknął darów, który ten mu zostawił. Wielki król nie wziął za złe zachowania się Heraklita, tylko powiedział, że im starszy się robi sam i im lepiej zna ludzi, tym większą ma ochotę samemu beczeć jak koza i żreć trawę.

Roześmiałem się i powiedziałem:

— Twoje opowiadanie jest najlepsze z tych, które słyszałem o wielkim królu. Może i ja chciałbym być jego przyjacielem, gdybym nie mieszkał na odludziu i nie odziewał się w skóry zwierząt.

Ksenodotos pogładził brodę i rzekł znacząco:

— Rozumiemy się nawzajem, jak widzę. Zakończ swój handel z Tyrreńczykiem, ale potem chcę skorzystać z twojej gościny i zobaczyć twój dom, poznać wodzów Sikanów i porozmawiać z tobą obszerniej o tym i o owym.

Potrząsnąłem przecząco głową i odparłem:

— Jeśli dotkniesz okopconego kamienia w ognisku Sikana, będziesz musiał korzystać z goś-

cinności jego i jego szczepu aż do śmierci. Sprawa ma się tak, że Sikanowie nie chcą się pokazywać obcym inaczej jak tylko w wojnie, i nawet wtedy wodzowie ich wdziewiają na siebie drewniane maski, a wojownicy malują się do niepoznania.

— Czy są oni biegłymi wojownikami i ile jest u nich szczepów i jaką mają broń? — zapytał

Ksenodotos spieszenie.

Ponieważ wiedziałem, że Sikanowie nie spuszczają mnie z oka z krawędzi lasu, przewracałem materiały Tyrreńczyka i kopałem jego worki z solą, odpowiadając: *180*

— Na płaskim terenie są do niczego i ogarnia ich strach, gdy tylko zobaczą konia albo psa.

Ale w swoich lasach są niezrównanymi wojownikami. Elymijczycy nie zdołali ich wytepić przez setki lat, choć bardzo się do tego przykładali. Groty strzał wyrabiają z krzemienia i mają drewniane oszczepy, które hartują w ogniu. Żelazo jest metalem, który cenią najwyżej, i umieją je kuć, gdy tylko je zdobędą.

By pokazać, co mam na myśli, otworzyłem jeden worek z solą i wygrzebałem z niego etruski nóż i ostrze siekiery. Po lesie poszedł jakby szum, gdy je podniosłem do góry. Ksenodotos rozejrzał się zdumiony, a Tyrreńczyk spoliczkował swoje sługi i kazał im przycisnąć twarz do ziemi, żeby nie widzieli, co się dzieje. Po czym otworzył chętnie worki i wydobył przeschmuglowane w nich żelazne narzędzia. Usiedliśmy na ziemi, żeby targować się o ich cenę, aż wreszcie Tyrreń-

czyk powiedział żałośnie:

— Sądziłem, że czasy się poprawiły i handel został ułatwiony dzięki temu, że Sikanowie nauczyli się korzystać z pomocy ludzi znających obce języki. Ale widzę teraz, że dawne czasy były dobre i że łatwiej było dogadać się z Sikanami, gdy nie pokazywali się, a tylko wykładali swoje towary do wymiany.

Ksenodotos, który był człowiekiem rozkapryszonym, zaczął się niecierpliwić, brzęknął

sakiewką i zapytał:

— Ile kosztują te rzeczy? Kupię je i daruję Sikanom, tak że dojdziemy do sprawy.

Jego głupota rozdrażniła mnie tak, że wziąłem od niego sakiewkę i upomniałem go:

— Idź teraz swoją drogą w górę rzeki z Tyrreńczykiem i oglądaj ptaki. Zabierz z sobą sługi.

Wróc w południe, a dowiesz się więcej o Sikanach.

Rozgniewał się i nazwał mnie złodziejem, tak że Tyrreńczyk musiał wziąć go za ramię i po-ciągnąć za sobą. Gdy tylko znikli z widoku, Sikanowie wyszli z lasu i teraz zdążyli już także Sikanowie z innych szczepów niż nasz, przybyć na miejsce wymiany z towarami. Gdy ujrzeli żelazne narzędzia, rzucili swoje brzemiona na ziemię i pospieszyli z powrotem po więcej towarów, a Sikanowie z mego szczepu odtanńczyli z radości taniec słońca. Do południa ponad stu ludzi przybyło do miejsca wymiany i zostawiło tam towary. Na znak radości wielu z nich przyszło ze świeżo zabitym dziką zwierzyną, kaczkami, całym jeleniem i wieloma pęczkami świeżych ryb. Ale towarów kupca nikt jeszcze nie tknął, gdyż obawiali się, że to, co sami mogą ofiarować w zamian, nie wystarczy. Było teraz rzeczą kupca wyłożyć tyle ze swoich towarów, ile uznał za godziwe, i udać się z resztą na inne miejsce wymiany.

Na znak, że godny jestem zaufania, pokazałem moim sikańskim współplemioncom także złote perskie monety w sakiewce Ksenodotosa. Ale oni nie troszczyli się o nie, patrzyli tylko pożądliwie na żelazne narzędzia. Sam wybrałem dla siebie brzytwę w kształcie półksiężyca, gdyż musiałem zmienić swój wygląd. Była ona z najlepszego etruskiego żelaza kutego i łatwo ścinała najgęstsza brodę bez skaleczenia.

Gdy wrócił Ksenodotos, zobaczył, że miejsce wymiany było wydeptane szeroko wokoło, a wokół obozowego ogniska leżały kupy towarów do wymiany. Uwierzył mi, gdy mu powiedziałem, że w krótkim czasie mógłbym w razie potrzeby wywołać z pustego lasu stu i tysiąc Sikanów.

Wyjaśniłem też, że nikt nie zna liczby Sikanów, nawet oni sami, ale gdy chodzi o obronę lasu przed najeźdźcami, każde drzewo zmieniałoby się w Sikana.

— A wszystkich innych mieszkańców Sycylii uważają oni za najeźdźców — ciągnąłem przyglądając się Ksenodotosowi. — Także Greków nienawidzą, choć sława Heraklesa żyje w ich ba-

śniach. Nazywają go Erkle i czczą jego pamięć, choć nie składają mu ofiar.

Kiedy przybysz zdążył już w spokoju zastanowić się nad tymi sprawami, wręczyłem mu sakiewkę z powrotem i rzekłem:

181

— Przeliczyłem twoje pieniądze i masz tu osiemdziesiąt trzy darejki i oprócz tego srebrne monety z miast greckich. Miedzi widocznie nie zwykłeś nosić z sobą, jesteś zatem zbyt szlachetnym mężem, żeby być niewolnikiem. Ale zachowaj swoje pieniądze. Za tak małą kwotę nie możesz mnie kupić. To, co wiem, dostaniesz ode mnie w darze, ponieważ uważam, że to może być pożyteczne dla Sikanów. Ale ze złotych monet wykuliby tylko ozdoby dla kobiet i nie przywiązywali do nich

większej wartości jak do barwnego piórka czy kamienia.

Wrodzona jońska chciwość Ksenodotosa walczyła przez chwilę ze szczodrością, której musiał się nauczyć na dworze wielkiego króla. Ale przewyciężył się, wręczył mi sakiewkę ponownie i prosił:

— Zachowaj pieniądze na pamiątkę ode mnie i jako dar od wielkiego króla.

Odparłem, że przyjmuję je tak, jak nakazuje dobry obyczaj, żeby go nie zranić, ale prosiłem, by na razie zaopiekował się sakiewką, bo inaczej będę musiał podzielić się jej zawartością z moimi współplemieńcami. Od Tyrreńczyka wziąłem dla mego szczepu część żelaznych narzędzi, sporo soli i barwnych materiałów, ale nie więcej, niż to było w zwyczaju.

Tyrreńczyk sporządził spis towarów, które otrzymał, przykrył skład korą i zrobił znak na tym miejscu, dobrze wiedząc, że żaden Sikan nie dotknie więcej towarów. Dziczyznę polecił sługom ugotować w żelaznym kotle, osolił mocno jedzenie, złożył ofiarę swemu bogowi, Turnusowi, i pozostawił mięso podane na liściastych gałęziach. Był już wieczór i kupiec zabrał znowu Ksenodotosa i sługi na wędrówkę wzdłuż rzeki, ale tym razem mieli ze sobą broń, ponieważ płochliwe zwierzęta leśne zeszły do rzeki, by się napić o zmierzchu i drapieżniki czyhały na nie w zasadzce. Tak, jak to jest z mieszkańcami miast, Ksenodotos bał się bardzo lasu o zmierzchu i wzdrygał się na każdy szelest, ale Tyrreńczyk obiecał mu chronić go przed złymi duchami Sikanów i pokazał mu amulety, które nosił na szyi i na przegubach rąk. Najwspanialszym z nich był pokryty zieloną śniedzią koń morski z brązu.

Zadrżałam, gdy go zobaczyłem. A gdy tylko odeszli, dałem Sikanom znak. Przyszli bezgłoś-

nie z lasu po cierpliwym oczekiwaniu, zjedli łąpczywie solone jedzenie i podzielili się towarami Tyrreńczyka stosownie do potrzeb. Kapłan w moim szczepie przyszedł tam z ciekawości, ale nie wybrał sobie nic dla siebie, ponieważ wiedział, że zawsze może dostać to, czego będzie potrzebował, i nie chciał obciążać się niepotrzebnie.

Powiedziałem do niego:

— Obcy w towarzystwie kupca przybywa ze wschodu, zza morza, i jest życzliwie usposobiony do Sikanów. To mój przyjaciel i jest nietykalny. Chron go więc, gdy będzie podróżował przez lasy wraz z kupcem. W swojej ojczyźnie jest on doświadczonym mężem, ale w lesie łatwo może zostać ukąszony w tyłek przez węża, jeśli zejdzie na krok ze ścieżki, by załatwić potrzebę naturalną.

Kapłan obiecał mi słowami:

— Twoja krew jest naszą krwią!

Wiedziałem teraz, że niewidzialne oczy czuwać będą nad Ksenodotosem, a młodzieńcy ze szczepu będą go chronić przed niebezpieczeństwami podczas podróży do innych szczepów sikań-

skich. Sikanowie znikli równie bezgłośnie jak przyszli, a ja siedziałem dalej w kucki przy żarzą-

cym się węgla z obozowego ogniska. Las ciemniał, wieczór robił się chłodny, a na rzece lśniły i rozszerzały się kręgi po miotającej się rybie. Słyszałem gruchanie leśnych gołębi. Gruchały dłu-go, a potem całe ich stado przeleciało tuż nad moją głową, tak że poczułem powiew uderzeń ich skrzydeł.

Był to dla mnie znak rozstrzygający. Wiedziałem teraz, że wszystko jest w porządku. Afrodyta chciała mi pokazać, że nie opuściła mnie. Pamiętałem uskrzydloną świetlną zjawę mego geniusza. Zdawało mi się w tej chwili, że mam ją tuż przy sobie. Serce mi rozgorzało i wyciągnąłem

ramiona, by ją objąć. Właśnie wtedy, na granicy między snem i jawą, poczułem jej smukłe palce dotykające lekko mego lewego barku, i zdałem sobie sprawę, że i ona dała mi znak, choć nie mogła mi się objawić, gdyż się nie przygotowałem. I może nigdy nie doznałem niczego rozkoszniejszego, jak to lekkie dotknięcie mego ducha opiekuńczego.

Gdy znów usłyszałem tupot stóp i przedzieranie się przez las Tyrreńczyka i jego towarzyszy, poprawiłem ogień na ognisku i dołożyłem smolnego drewna, które przynieśli Sikanowie, gdyż gruchanie gołębi oznaczało, że noc będzie chłodna. Te ptaki Zrodzonej z piany gruchają najgorliwiej wieczorami, właśnie dlatego, że chłodna noc jest rozkoszniejszą niż inne porą, by otoczyć ramionami innego człowieka i czuć uderzenia jego serca. Ogarnęła mnie gorąca tęsknota za Arsinoe, ale jeszcze goręcej zatęskniłem do wyruszenia w drogę. Dostatecznie długo zatrzymałem się w kraju Sikanów, medytując nad ich mądrością i mądrością lasu, i nad ostatnią zatrutą mądrością Mikona.

Mimo wełnianego płaszcza Ksenodotos trząśł się z zimna i pospieszył do ogniska, by rozetrzeć i rozgrzać zmarznięte członki. Tyrreńczyk sprawdził najpierw, czy jego żelazny kocioł jest na miejscu, gdyż był to najcenniejszy przedmiot, jaki znali Sikanowie. Przechowywaliby go jako wspólny skarb szczepu, a w chwili niebezpieczeństwa rozgrzaliby go nad dołkiem z ogniem z węgla drzewnego do białości i z miękkiego żelaza wykuliby sobie groty oszczepów i noże. Ale obyczaje Sikanów były takie, że nikt z nich nie pomyślał nawet, by tknąć kocioł. To tylko Tyrreń-

czyk w swej nieufności mierzył Sikanów miarą cywilizowanego świata.

— Skąd przybywasz i skąd właściwie przywozisz swoją sól? — zapytałem go dla zabicia czasu, gdyż chciałem, żeby to Ksenodotos rozpoczął naszą rozmowę i nie życzyłem sobie ze swej strony okazywać się zbyt gorliwym.

Tyrreńczyk wzruszył ramionami i powiedział:

— Przybywam z północy zza morza i wracam znowu prosto do domu z wiatrem południowym, żeby nie musieć żeglować wzdłuż wybrzeża Italii i opłacać podatki wszystkim greckim miastom.

Grecy wytwarzają sami sól na Sycylii, ale moja sól jest tańsza.

Wyjąłem czarnego morskiego konia, którego przysłał mi Lars Alsir przed naszym wyjazdem z Himery, pokazałem go Tyrreńczykowi i zapytałem: — Wiesz, co to jest?

Gwizdnął tak, jakby wzywał wiatr, podniósł prawą rękę, dotknął lewą czoła i odparł:

— W jaki sposób ty, który jesteś Sikanem, mogłeś osiąść tak święty przedmiot?

Poprosił, by mógł obejrzeć go bliżej, gładził palcem wytartą do połysku powierzchnię i chciał go ode mnie kupić.

— Nie, nie — odparłem. — Sam dobrze wiesz, że to nie jest na sprzedaż. Ale w imię tego czarnego konia morskiego proszę cię, żebyś mi powiedział, skąd przybywasz i skąd przywozisz swoją sól.

— Chcesz zacząć ze mną konkurować? — zapytał. Ale sama myśl o tym przyprawiła go o śmiech. Nikt nigdy nie słyszał o Sikanach żeglujących na morzu. Swoje łodzie sporządzali oni z wypalonych pni drzew.

— Sól dostaję u ujścia wielkiej rzeki Tyrrenów — powiedział kupiec. — My, Etruskowie, mamy dwie wielkie rzeki, a ta jest południowa. Sól suszy się na brzegu morza, a wyżej nad rzeką leży miasto Rzym, które założyliśmy. Tam zaczyna się słona droga, która biegnie przez kraj Etrusków.

— To miasto leży nad rzeką, powiadasz!? — Moja ciekawość zaostrzyła się i przypomniałem sobie listek wierzby, który upadł przede mną do źródła.

Tyrreńczyk spochmurniał i rzekł:

183

— Tak, tak, to miasto było niegdyś nasze i zbudowaliśmy tam most przez rzekę. Ale teraz mieszka tam ludność mieszana i dwadzieścia lat temu z miasta wypędzono ostatniego etruskiego króla, którego ród pochodził z oświeconej Tarkwinii. Wielu ludzi o złej opinii a nawet przestępców ucieka do Rzymu, by znaleźć tam schronienie. Ich obyczaje są brutalne, ich prawa surowe i wszystko, czego Rzymianie nauczyli się o bogach, poznali w czasie, kiedy nasi królowie władali w Rzymie.

— Dlaczego nie zdobędziecie go z powrotem? — zapytałem.

Tyrreńczyk potrząsnął głową:

— Nie znasz naszych obyczajów. U nas każde miasto rządzi się samo, jak chce. Mamy królów, tyranów i demokrację, tak jak Grecy. Tylko w miastach w głębi kraju rządzą lukumonowie tak jak przedtem, a Tarkwiniusz w Rzymie nie był żadnym świętym lukumonem. Ale co jesieni zbierają się przywódcy dwunastu miast nad brzegiem świętego jeziora. To na takim właśnie spotkaniu wygnany Tarkwiniusz mówił w swojej sprawie, a potem rzucano losy o Rzym. Gdy nikt nie kwapił

się, by wziąć ten los, przejął go słynny król Lars Porsenna. Podbił Rzym, ale znowu z niego zrezygnował, bo miał dość licznych spisków zawiązywanych przez młodzież tej mieszanej ludności w celu zamordowania go.

— Nie kochasz Rzymu — stwierdziłem.

— Jestem wędrownym kupcem soli i swoją sól dostaję od rzymskich kupców, którzy posiadają solne baseny u ujścia rzeki — powiedział. — Kupiec nie kocha i nie nienawidzi niczego, byleby tylko miał



zysk. Ale lud rzymski nie jest ludem konia morskiego, lecz ludem wilczycy.

Włosy zjeżyły mi się na karku, gdyż przypomniałem sobie znak jaki dostałem. — Co masz przez to na myśli? — zapytałem.

Odpowiedział:

— Jest u nich podanie, że miasto założone zostało przez dwóch braci. Byli bliźniakami i matka ich była jedną z dziewic strzegących świętego ognia w mieście nad brzegiem w górnym biegu rzeki. Dziewczyna mówiła, że zaszła w ciążę z bogiem wojny, którego spotkała, gdy brała wodę ze źródła. Lukumon miasta kazał włożyć oba noworodki w koszyk z wierzbiny i puścić koszyk na rzekę w czasie wylewu. Koszyk płynął z prądem, aż zatrzymał się u stóp wzgórza, a tam wilczyca zabrała dzieci do jaskini i dawała im ssać na równi ze swymi własnymi małymi. Jeśli istotnie tak było, może być, że to rzeczywiście jakiś bóg zapłodnił dziewczynę i chciał potem chronić swoich potomków. Ale bardziej prawdopodobne jest, że ojcem był ktoś z obcej krwi, gdyż kiedy chłopcy podrośli, jeden brat zabił drugiego i sam z kolei został zamordowany przez mieszkańców miasta, które obaj założyli.

— Etruskowie objęli miasto i wprowadzili tam porządek — ciągnął Tyrreńczyk. — Ale nie było lukumona, który chciałby władać nad takim miastem gwałtu. Dlatego zarządzili tam tylko kró-

lowie, którzy podlegali lukumonowi z Tarkwinii.

Choć jego opowiadanie było przerażające, nie odczuwałem żadnego wahania. Tak wyraźne były znaki, które otrzymałem. Liść wierzy oznaczał rzekę, wilczek oznaczał miasto Rzym, a ptaki leciały z klangorem prosto jak sznurek na północ. Tam to miałem udać się z moimi bliskimi i nie miałem się niczego obawiać w mieście, które wyгнаło swego króla i przyjmowało przestępców i włóczęgów pod swoją opiekę.

Ksenodotos słuchał niecierpliwie naszej rozmowy i odezwał się teraz:

— O czym to rozmawiacie tak żywo? A może już sprzykrzyła ci się rozmowa ze mną, oświecony Sikanie?

— Kupiec opowiada o swoim mieście, mimo że Tyrreńczycy na ogół nie zwykli być tacy gadatliwi — odparłem. — Ale mówmy dalej po grecku, jeśli chcesz.

Tyrreńczyk odparł kwaśno:

184

— Wcale nie byłbym taki gadatliwy, jak mówisz, gdybyś mi nie pokazał twego świętego konia morskiego. Jest wyrzeźbiony dawniej i wartościowszy niż mój, który jest z brązu. — Żałował

teraz swojej otwartości, poszedł na spoczynek i nakrył głowę płaszczem. Także słudzy ułożyli się na spoczynek. Kiedy Ksenodotos i ja zostaliśmy sami, powiedziałem:

— Mam żonę i dwoje dzieci, ale dostałem znak i ostrzeżenie, które wzywają mnie, bym opuś-

cił lasy Sikanów.

— Chodź więc ze mną — odparł żywo — kiedy wraz ze Skytesem popłynę z powrotem do Jonii. Stamtąd udamy się do Suzy. Wielki król da ci jako przywódcy Sikanów miejsce w swojej świcie. Kiedy nauczysz się perskiego języka i obyczajów, może uczyni cię królem nad Sikanami.

Odrzekłem:

— Moje znaki wskazują na północ, a nie na wschód. Chcę ci to powiedzieć od razu, żebyś nie myślał inaczej. Ale jeśli weźmiesz mnie pod swoją opiekę, dopóki nie będę mógł wyruszyć z Sycylii, nauczę cię wszystkiego o Sikanach i kraju Eryks, a jest tego niemało.

Robił zastrzeżenia i nazywał mnie szaleńcem, który nie chwyta w lot okazji, jaka zdarza się raz w życiu takiemu jak ja. Ale nie dałem się zachwiać w moim postanowieniu i w końcu uzgodniliśmy, że on będzie odbywał dalej swoją podróż wraz z Tyrreńczykiem do innych miejsc wymiany, żeby zobaczyć możliwie jak najwięcej w kraju Sikanów i oznaczyć na swoich mapach ich rzeki, źródła, miejsca handlu i góry, w miarę jak to możliwe, by w bezdrożnych lasach odmierzać jakieś trasy i określać strony świata. O świętych kamieniach i drzewach Sikanów nie wspomnia-

łem jednak ani słówkiem.

Kiedy towary Tyrreńczyka skończą się, mam wraz z rodziną stawić się na tym samym miejscu przy składzie towarów Tyrreńczyka i spotkać się tu z Ksenodotosem. Pytał, czy nie chcę z góry ustalić dnia i godziny spotkania. Trudno mi było przekonać go, że i tak w każdym wypadku będę wiedział o jego przybyciu i całej trasie podróży.

5

Gdy znowu zmierzałem w kierunku grotty, usłyszałem już z daleka ożywione głosy dzieci, gdyż Hiuls i Misme nie umieli się bawić cicho tak jak dzieci Sikanów. Na sposób Sikanów wszedłem do grotty bez przywitania, usiadłem na ziemi i dotknąłem dłonią gorących kamieni ogniska. Dzieci podbiegły, by wdrapać się na moje ramiona, a spojrzawszy w bok, ujrzałem cichą radość na smagłej twarzy Hanny. Lecz Arsinoe była gniewna, dała klapsa dzieciom i zapytała, gdzie też znów się podziewałem bez powiadomienia.

— Muszę z tobą porozmawiać, Turmsie — powiedziała i kazała wyjść dzieciom i Hannie.

Gdy chciałem ja objąć, odepchnęła mnie gwałtownie od siebie i rzekła:

— Turmsie, moja cierpliwość się skończyła. Czy ty nie cierpisz tak jak ja, widząc, że nasze dzieci rosną na leśne stwory z braku odpowiedniego towarzystwa? Wnet przyjdzie dzień, kiedy trzeba będzie posłać Hiulsa do porządnej szkoły w przyzwoitym mieście. Wszystko mi jedno, do-kaąd się udamy, byle bym tylko mogła znowu oddychać miejskim powietrzem, chodzić po moszczonych kamieniami ulicach, robić zakupy w sklepach i kąpać się w ciepłej wodzie. Więcej nie żądam od ciebie, Turmsie, tak biedną mnie uczyniłeś. Tyle jednak jesteś mi winien. Albo miej przynajmniej na względzie dobro dzieci.

Mówiła tak żywo, że nie dała mi okazji otworzyć ust i znów odsunęła mnie szorstko od siebie, dodając z gniewem:

— Tak, tak, to jedyna rzecz, której chcesz ode mnie, i gdy o to chodzi, jest ci obojętne, czy leżę na szorstkim mchu, czy na potrójnej poduszce. Ale dość długo już znosiłam cierpliwie twoje 185

wymówki i doprawdy nie dotkniesz mnie, dopóki nie zdecydujesz, że musimy stąd odejść. I zrób to raczej dzisiaj niż jutro, bo inaczej odejdę stąd z pierwszym lepszym kupcem i zabiorę ze sobą dzieci. Sądzę, że jestem jeszcze na tyle kobietą, by móc skusić mężczyznę, żeby mną się zaopiekował, choć zrobiłeś co mogłeś, by zniszczyć moją piękność i zdrowie.

Umilkła, żeby zaczerpnąć tchu. Wpatrywałem się w nią nowymi oczami i nie czułem już chęci, by ją obejmować. Twarz jej była skamieniała z gniewu, głos piskliwy, a jej czarne loki wiły się jak węże na barkach. Zdawało mi się, że ogarnia mnie zły urok, tak jakbym patrzył na samą Gorgonę, i musiałem przesłonić dłonią oczy.

Myśląc, że milczę, chcąc wymyślić jaką nową wymówkę, by zostać pośród Sikanów, tupnęła o ziemię i krzyknęła:

— Z czystego tchórzostwa kryjesz się w tych lasach i zadowolasz bezwartościowym życiem!

Ach, powinnam była wierzyć Dorieusowi, a byłabym teraz królową Segesty i ucieleśnieniem bogini w całym Eryksie. Nie, nie, nie rozumiem wprost, jak mogłam ciebie kiedykolwiek pokochać i nie żałuję już, że miałam swoje własne przyjemności.

Spostrzegła, że powiedziała za dużo i poprawiła się zrecznie:

— Mam tu na myśli, że spotkałam boginię i wiem, że chce ona używać mego ciała tak jak dawniej. Skoro już się udobruchała, nie mam już teraz powodu, by uciekać od ludzi.

Teraz na nią przyszła pora, by uniknąć mego wzroku. Złagodniała, ujęła mnie oburącz za ramię i przypominała:

— Turmsie, Turmsie, pamiętasz, że masz mi do zawdzięczenia życie, kiedy Dorieus zamierzał cię zabić.

Skoro już raz nauczyłem się kłamać przed Arsinoe, mogłem teraz z łatwością ukryć przed nią swoje myśli, mimo że huczało mi w uszach i czułem się tak, jak gdyby czarna chmura rozpękała się na dwoje i do mojej duszy przeniknęło oślepiające zrozumienie. Obłudnie powiedziałem:

— Jeśli objawiła ci się bogini, jest to dostateczny znak. Możemy stąd odejść za kilka dni. Załatwiłem już wszystko. Ale radość z tej niespodzianki, która chciałem ci zrobić, odjęłaś mi swoimi ostrymi słowami, Arsinoe.

Nie wierzyła mi zrazu, ale gdy jej opowiedziałem o Tyrreńczyku i Ksenodotocie, wybuchnęła płaczem z radości, przytuliła się do mnie miękko i chciała mnie objąć z wdzięczności. Po raz

pierwszy musiała mnie długo kusić, zanim zgodziłem się wziąć ją w ramiona. Gdy potem odrzuciła gwałtownie ramiona nad głowę i odetchnęła gorącym tchnieniem wprost w moje usta, nie skarżyła się już na szorstkie źdźbła w łożu z trzciny, lecz wpatrywała się przed siebie zwięzonymi oczyma i szeptała:

— Turmsie, o Turmsie, w miłości jesteś niczym bóg i nie ma wspanialszego mężczyzny od ciebie.

Uniosła się leniwie na łokciu i gładziła mnie po szyi, mówiąc:

— Jeśli dobrze zrozumiałam, ten Ksenodotos miałby doprowadzić cię bezpiecznie na dwór wielkiego króla. Dane by nam było oglądać wielkie miasta świata i dostawałbyś królewskie dary dla dobra Sikanów. Jeśli chodzi o mnie, z pewnością umiałabym znaleźć ci przyjaciół spośród królewskich uszu i oczu. Dlaczego więc wybierasz raczej Rzym, o którym nic z góry nie wiesz?

Odparłem:

— Sama twierdziłaś przed chwilą, że zadowolisz się byle jakim miastem, byle bym tylko zabrał cię stąd. Twój apetyt rośnie, jak się zdaje, w miarę jedzenia, Arsinoe. — Wstałem, przeciągnąłem się i wyszedłszy przed grotę zawołałem: — Hiuls, Hiuls!

Chłopak podpełznął zaraz tak jak Sikan, oparł się na moim kolanie, wstał i patrzył na mnie z podziwem. W jasnym świetle dnia spoglądałem na jego mocne jak na pięciolatka członki 186

i twarz z nadąsaną dolną wargą, wydatnymi brwiami i mrocznym spojrzeniem. I nie musiałem sprawdzać znamienia rodowego Heraklidów w jego pachwinie, by wiedzieć, że wcale nie narysowano go tam po jego urodzeniu. W oczach Hiulsa spotkałem ponure spojrzenie Dorieusa.

Nie nienawidziłem za to chłopca, bo jakżeż mógłbym czuć nienawiść do dziecka. Nie nienawidziłem też Arsinoe, gdyż była taka jaka była i nic na to nie mogła poradzić. Nienawidziłem własnej głupoty, że wcześniej tego nie rozumiałem. Nawet Tanakwil była od pierwszej chwili bardziej przenikliwa niż ja, i w swej tajemnej mądrości Sikanowie natychmiast nazwali chłopca Erkle, gdy spotkaliśmy się z nimi przy świętym kamieniu. Ale miłość zaślepia człowieka tak, że nie widzi on nawet tego, co jest jasne jak słońce.

Byłem całkiem spokojny, kiedy wróciłem do groty, prowadząc chłopca za rączkę. Usiadłem obok Arsinoe i ucałowałem syna Arsinoe. Kiedy znowu zaczęła paplać o wspaniałościach Suzy i łasce wielkiego króla, wziąłem chłopca na kolana i gładząc jego szorstkie włosy, powiedziałem z udaną obojętnością:

— Hiuls jest więc synem Dorieusa. Dlatego Dorieus chciał mnie zabić, żeby dostać jego i ciebie.

Arsinoe jeszcze jakiś czas mówiła dalej swoje, że Suza wielkiego króla jest dla nas najlepszym schronieniem także z uwagi na przyszłość chłopca, zanim w pełni nie pojęła moich słów i nie usiadła, przesłaniając dłonią usta. Tak mało zwykle słuchała tego, co mówię.

Ale nie uderzyłem jej, jak się tego z pewnością obawiała, roześmiałem się tylko. Arsinoe zdziwiła się, że nie wpadłem w gniew. Ale co byłbym zyskał, zatruwając się gniewem, kiedy nic już nie

można było poradzić na to wszystko. Dla wszelkiej pewności Arsinoe chwyciła jednak opiekuńczo Hiulsa w ramiona i wyznała spiesźnie:

— Ach, Turmsie, dlaczego musisz zawsze być taki niedobry i wygrzebywać stare i zapomniane sprawy w chwilach naszej radości. Naturalnie, że Hiuls jest synem Dorieusa, choć sama nie byłam tego całkiem pewna, dopóki nie ujrzałam w jego pachwinie znamienia Dorieusa. Wtedy bardzo się złościłam, że się na mnie rozgniewasz. Byłabym ci już dawniej to wytłumaczyła, ale myślałam, że chyba w swoim czasie sam to sobie uzmysłowisz. Nie warto, żebyś boczył się na mnie, że wyprowadziłam cię trochę w pole. Jako kobieta zmuszona jestem czasem udawać trochę przed tobą, bo jesteś taki gwałtowny.

Zastanawiałem się w duchu, kto z nas był gwałtowniejszy, gdy przyszło co do czego, ale wyjąłem mój stary nóż, podałem go chłopcu i powiedziałem:

— Masz tu nóż, bo musisz już zacząć stawać się mężczyzną godnym twego rodu. Nauczyłem cię tyle, ile możesz zrozumieć w twoim wieku, a w dziedzictwie daję ci moją własną tarczę i mój miecz, ponieważ niegdyś w trudnej chwili wyrzuciłem tarczę twego ojca na ofiarę do morza. Ale pamiętaj zawsze, że masz w żyłach krew Heraklesa i erycyńskiej bogini, że zatem jesteś boskiego pochodzenia. Nie wątpię, że Sikanowie po naszym odejściu każą jakiemuś pitagorejczykowi zająć się twoim wychowaniem, bo sądzę, że spodziewają się po tobie wielkich rzeczy.

Arsinoe wykrzyknęła:

— Czyś ty oszalał i o czym ty właściwie mówisz, Turmsie?! Chcesz zostawić swego jedynego syna u barbarzyńców?

Szarpała mnie za włosy i tłukła pięściami po grzbiecie, gdy podnosiłem płaski kamień w kącie grotu i wydobywałem moją ukrytą tam tarczę. Chłopak przestraszył się krzyku Arsinoe, ale szybko o tym zapomniał, gdy dostał do zabawy tarczę i miecz. I wystarczyło zobaczyć, jak pierwszy raz zaciska małą piąstkę na rękojeści miecza, by wiedzieć, że był synem Dorieusa.

Kiedy Arsinoe zobaczyła, że nie może mnie wzruszyć, padła na ziemię i wybuchnęła gorzkim płaczem. Jej łzy nie były fałszywe, gdyż syna kochała goręcej niż wilczyca kocha swoje młode.

187

Była przecież kobietą bardziej niż jakaś inna kobieta, którą znałem, i także pod tym względem była kobietą.

Jej żalność sprawiła jednak, że zmiękłem tak, iż usiadłem przy niej i gładziłem lekko jej ciemne włosy:

— Arsinoe — powiedziałem — to nie z nienawiści ani z chęci zemsty zostawiam chłopca u Sikanów. Wierz mi. Gdybym mógł, chętnie wziąłbym go ze sobą, choćby tylko ze względu na Dorieusa i naszą przyjaźń. Nie żywię żadnej urazy do Dorieusa, bo ty jesteś taka jaka jesteś i był

wobec ciebie bezsilny, Arsinoe, tak jak wszyscy mężczyźni.

Próżność sprawiła, że wzdychając, słuchała tego, co miałem do powiedzenia.

— Właściwe miejsce dla Hiulsa jest tutaj, bo jest on synem Dorieusa i przez to dziedzicem całego kraju Eryks — powiedziałem. — Sikanowie przez cały czas nazywali go Erkle i uśmiechali się do niego, gdy tylko go zobaczyli. Nie wierzę nawet, by pozwolili nam zabrać go z sobą, raczej zabiliby nas, nawet gdybym dał im mojej własnej krwi. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, byś postanowiła inaczej i została tu ze swoim synem.

Arsinoe wzdrygnęła się i rzekła pośpiesznie:

— Nie, nie, nic nie może mnie skłonić do tego, bym została w lasach Sikanów.

By złagodzić jej żalność powiedziałem:

— Porozmawiam o Hiulsie z Ksenodotosem. W ten sposób wielki król dowie się, że wśród Sikanów wyrasta król, potomek Heraklesa. Może twój syn pewnego dnia będzie panować nie tylko w lasach Sikanów, ale i nad całą Sycylią, osłaniany przez wielkiego króla. Bo wielki król prawdopodobnie niedługo już zawładnie całym światem i stanie to się już za naszego żywota.

Ta myśl sprawiła, że oczy Arsinoe rozblęły, klasnęła w dłonie i przyznała:

— Twoja myśl jest rozsądniejsza niż myśl Dorieusa. Przybył tu jako obcy i w Segeście nie kochał go nikt prócz Tanakwil.

— Więc jesteśmy zgodni co do tego — rzekłem z ciężkim sercem. — Pomówmy w takim razie o Misme. Pamiętam, jak uśmiechałaś się, kiedy nadawałem jej imię Misme. Czy to dlatego, że początek jej imienia przypomina o Mikonie? Zdaje mi się, że coś we mnie znało prawdę już wtedy i sprawiło, iż nadałem dziewczynce imię podobne do Mikona!

Arsinoe usiłowała udawać zdumioną, ale chwyciłem ją za przeguby, potrząsnąłem i ciągną-

łem:

— Minął czas kłamstw. Misme jest córką Mikona. Już w czasie naszej podróży z Eryksu do Himery spałaś z nim. Przez ciebie zaczął pić i to ty dręczyłaś go jak twój kot dręczył myszy, by poznać swoją własną moc, aż wreszcie zaszłaś z nim w ciążę. Mikon nie wytrzymał tego długo, napił się trującego napoju Sikanów i utopił się w bagnie, bo nie mógł już patrzeć mi w oczy. Tak to było, Arsinoe, przyznaj się. A może mam przywołać tu Misme i pokazać ci krągłe policzki Mikona w jej policzkach i grube wargi Mikona w jej wargach?

Arsinoe wpadła w gniew, biła się pięściami po kolanach i krzyknęła:

— Żeby przynajmniej odziedziczyła moje oczy. Bogini była dla mnie niedobra, pozwalając tej biednej dziewczynce odziedziczyć przysadziłą figurę Mikona. Ale jeszcze jej członki mogą się wyprostować. Niech będzie tak, jak chcesz, żeby było, Turmsie, ale to twoja własna wina, że

zostawiałaś mnie całymi dniami samą, choć powinnaś być znać mnie lepiej. Biedny Mikon kochał mnie tak rozpaczliwie, że nie mogłam się oprzeć, by czasem nie dać mu ulgi w jego bólu.

Ale nie myślałam, że zajdę od tego w ciążę. Także temu jesteś ty winien, bo zabrałeś mnie z sobą do barbarzyńców tak gwałtownie, że zapomniałam o moim srebrnym pierścieniu w Segeście.

Kiedy uświadomiła sobie, że nie gniewam się, ani nawet nie podnoszę głosu, paplała z ulgą dalej:

188

— Mikon tak często chwalił się przeżyciami na złotym okręcie Astarte na wschodnim morzu, że mnie to drażniło i chciałam mu pokazać, co innego jeszcze może zaznać mężczyzna w ramionach kobiety. Sam uważał, że był niezrównany, ponieważ Aura zawsze mdląła w jego uścisku. Ale ta dziewczyna była tylko tak stworzona i na tym punkcie Mikon nie mógł z tobą współzawodniczyć, Turmsie, jakkolwiek i on miał swoje przyjemne strony.

— Nie wątpię — odparłem i wreszcie się rozgniewałem. — Wszystko to rozumiem doskonale i nawet wybaczam, ale jaką właściwie ja mam wadę? Czy jestem bezpłodny, czy też dzieje się tylko tak, że za każdym razem, kiedy księżyc przegląda się w źródle, przychodzi ktoś inny ze swoim skopkiem.

Arsinoe zastanowiła się i powiedziała potem:

— Jak sędzę, jesteś rzeczywiście bezpłodny, ale niech cię to nie przyprawia o zmartwienie.

Mężczyzna ze skrupułami tak jak ty, nie potrzebuje dzieci, i w naszych czasach może się zdarzyć, że niejeden pozazdrościłby ci, ponieważ możesz dostać to co chcesz, nie musząc odpowiadać za następstwa. Może powodem tego jest owo uderzenie pioruna, o którym mi opowiadałeś, a może jako mały chłopak miałeś chorobę spuchniętych jąder, choć sam o tym nie wiesz, bo nie pamię-

tasz swego dzieciństwa. Ale równie dobrze może to być dar bogini, bo ona zawsze najbardziej lubiła rozkosz i tylko opornie podporządkowywała się jej następstwom.

Nigdy nie sadziłem, że potrafię rozmawiać z Arsinoe tak beznamiętnie i bez pragnienia zemsty, o tak trudnych sprawach. Wykazuje to najlepiej, jak bardzo dorosłem, sam o tym nie wiedząc, w trakcie lat spędzonych u Sikanów. Ale kiedy już uzyskałem pewność, że Misme też nie jest moim dzieckiem, poczułem się jak obnażony i nic mnie nie ogrzewało. Jako człowiek musiałem być dla siebie własnym celem i własnym sensem, a nie ma chyba nic cięższego. O wiele lżej jest płodzić dzieci, złożyć sens życia na ich barki, a samemu umyć ręce.

Tak nagi się poczułem, że udałem się na parę dni w góry poszukać samotności. Już nie po to, by szukać znaków i zapowiedzi, lecz aby wsłuchać się w siebie samego. Tak bardzo się czułem nagi, tak opuszczony przez ziemię, wodę i powietrze. Przyszły także na mnie znowu chwile zwątpienia i nie wierzyłem już w swoją zdolność wywoływania burzy. Wszystko było tylko dziełem ślepego przypadku, a może też coś we mnie przeczuwało wiatr, zanim on się zjawił. Dla Dorieusa ziemia huczała i góra pluła ogniem tak, że niebo było czarno-czerwone w ową noc, gdy ujrzeliśmy brzeg

Sycylii. Również w chwili śmierci dziedzictwo jego zatrzęsło się. I spłodził on syna. Tylko ja byłem oderwany od wszystkich i nie wiedziałem, skąd przyszedłem i dokąd zdążam. Byłem bezpłodny jak kamień i moja miłość była raczej udręką niż szczęściem.

6

Gdy wróciłem z gór, zebrałem od Sikanów kilka przedmiotów, broni, narzędzi i ozdób, by po-słać je przez Ksenodotosa w darze wielkiemu królowi. I nikt mi niczego nie odmówił, bo wszystko jest wspólne u Sikanów i nikt nie bierze od drugiego nic, czego nie potrzebuje.

Smutno było zostawiać Hiulsa u Sikanów. Ale wiedziałem, że będą go chronić jak źrenicę oka i czuwać nad nim lepiej, niż ja mógłbym to uczynić. Toteż wziąłem się w garść i powiedziałem do nich:

— Uczcie go słuchać swego szczepu. Tylko ten, co sam nauczył się słuchać, może pewnego dnia rozkazywać. Jeśli zobaczycie, że zabija niepotrzebnie tylko dla zabijania, albo jest tak zar-  
łoczny, iż chce jeść więcej, niż może przełknąć, zabijcie go raczej i zrezygnujcie z Erkla.

Odeszliśmy na sposób Sikanów bez pożegnania i dopilnowałem, byśmy spotkali się z Ksenodotosem i Tyrreńczykiem właśnie w chwili, gdy przybyli oni do składu towarów Tyrreńczyka nad rzeką. Kiedy przyszli zmęczeni wędrówką, podrapani gałęzmi i okrwawieni od ukąszeń koma-189

rów, z jucznymi osłami wyczerpanymi od ciężkich ładunków, wyszliśmy im na spotkanie przez leśną polanę wypoczęci i spokojni. Dla spokoju włożyłem ogon jeleni i ozdobną rogami maskę, które stanowiły mój znak wśród Sikanów, Arsinoe zaś otulona była w swoje najwspanialsze futra i miała na sobie sikański naszyjnik oraz umalowała kąciki oczu aż do skroni i poszerzyła usta.

Hanna odziana była w sikański materiał z kory i wieniec z szyszek na głowie. Niosła w ramionach Misme owiniętą w tę samą owczą skórę, która była naszą jedyną własnością przy ucieczce z Segesty, gdyż Arsinoe niechętnie coś wyrzucała:

Ksenodotos i Tyrreńczyk wykrzyknęli głośno ze strachu, kiedy zobaczyli nas wychodzących im na spotkanie niczym leśne bożki, a słudzy Tyrreńczyka uciekli. Nawet kiedy podniosłem drewnianą maskę, Ksenodotos nie rozpoznał mnie, gdyż ogoliłem brodę i kazałem Arsinoe uciąć mi krótko włosy, żeby pokazać Sikanom, jak bardzo żałuję opuszczenia ich i Hiulsa, a także aby zmienić swój wygląd. Dopiero gdy przemówiłem do Ksenodotosa i Tyrreńczyka, wstali, drżąc, z ziemi, upewnili się, że jestem człowiekiem i przyglądali się ciekawie Arsinoe, Hannie i Misme.

Tyrreńczyk zapewniał, że byliśmy pierwszymi Sikanami, którzy pokazali się obcym jako cała jedna rodzina. Ksenodotos cieszył się z przedmiotów, które zabrałem ze sobą od Sikanów. Odpocząwszy przez noc przy wspólnym obozowym ognisku, powędrowaliśmy dalej do Panormos.

Droga była powolna i uciążliwa na skutek udanego handlu Tyrreńczyka, mimo że pomagałem nieść ciężary, póki szliśmy przez las. W ten sposób Arsinoe nie wyczerpała się zbyt podrożą, choć musiała iść piechotą, a Hanna nie zmęczyła się niesieniem Misme na rękach, albo na sposób



Sikanów, na plecach.

Dotarliśmy do Panormos niczym orszak świąteczny, otoczeni ciekawskimi ludźmi, którzy tłoczyli się i paplali wieloma, różnymi językami. Udaliśmy się prostą drogą do portu, gdzie stał statek Tyrreńczyka, i zdumiałem się na jego widok, gdyż był to szeroki i powolny statek, tylko do połowy przykryty pokładem, tak że bardzo się dziwiłem, iż mógł on żeglować na otwartym morzu z pełnym ładunkiem całą tę długą drogę aż do ujścia rzeki koło Rzymu.

Kartagińscy celnicy w Panormos powitali śmiejąc się Tyrreńczyka i rozkładali dwornie ręce, podziwiając jego pomyślny handel. Przyjęli Ksenodotosa z szacunkiem i zadowolili się przyglądaniem z oddalenia Arsinoe i mojej przybranej rogami masce nie ważąc się jednak nawet obmacać nas po odzieży. Między sobą mówili, że to dobry znak, iż wyżej postawieni Sikanowie decydują się wyruszyć w świat, by nauczyć się języków i rozsądnych obyczajów w cywilizowanym świecie. Przyczyniało się to do rozwoju handlu, a wraz z tym potęgi Kartaginy.

Jeśli chodzi o mnie, nie rozmawiałem nawet z Kartagińczykami, lecz uznałem, że będzie lepiej pozwolić im wierzyć, iż jako Sikan nie znam ich języka. Także Arsinoe udało się utrzymać język na wodzy. Ale gdy już znaleźliśmy się w czterech ścianach domu, który Rada w Panormos wynajmowała obcym przybyszom i gdzie niewolnicy i świta Ksenodotosa przyjęli nas z najpo-korniejszymi oznakami czci, Arsinoe nie mogła dłużej milczeć, zerwała nakrycie głowy, tupnęła o podłogę i krzyknęła:

— Dość już nacierpiałam się morskich niebezpieczeństw w twoim towarzystwie, Turmsie.

Nigdy nie postawię stopy, na śmierdzącym statku Tyrreńczyka. Jeśli nawet nie boję się o samą siebie, muszę myśleć o życiu Misme. W imię bogini, Turmsie, czego my mamy szukać w Rzymie, skoro twój przyjaciel Ksenodotos jest gotów utorować ci drogę, aż do Suzy i dzięki swoim dobrym stosunkom stworzyć ci tam zabezpieczoną przyszłość na dworze wielkiego króla w cha-akterze posła Sikanów.

Ksenodotos zmienił się całkiem, odkąd z życiem wrócił z dzikich lasów do swojej świty.

Podniósł dumnie głowę okoloną kędzierzawą brodą i przyglądał się chytrym spojrzeniem, zaproponował jednak pojednawczo:

— Nie spierajmy się, gdy tylko przekroczymy próg. Najpierw musimy się wykąpać i kazać się namaścić i wymasować trudy podróży z naszych ciał. Zjedzmy przyprawione korzeniami je-190

dzenie jak cywilizowani ludzie i orzeźwimy nasze umysły winem. Dopiero potem naradzimy się ze sobą, Turmsie, którego dotychczas nawet nie chciałem nazywać po imieniu. Ale teraz zapamię-

tuję je sobie i mogę cię zapewnić, że twoja żona jest mądrzejsza niż ty sam. Nie ceń zbyt nisko jej rozsądku.

Domyśliłem się, że zawarli ze sobą przymierze, by mnie namówić do towarzyszenia Ksenodotosowi i Skytesowi z powrotem do Jonii, a stamtąd do wielkiego króla w Suzie. Podejrzywałem też, że Arsinoe bezmyślnie zwierzyła się Ksenodotosowi z tego, co nie powinien był o mnie wiedzieć.

Dlatego głos jego był taki ironiczny, gdy powtórzył moje imię.

Ale u Sikanów nauczyłem się panować nad rysami twarzy. Nic nie odpowiedziałem, tylko spokojnie poszedłem za Ksenodotosem do kąpieli, którą przygotowali nam jego słudzy, a Arsinoe nam towarzyszyła, gdyż nie chciała zostawić nas sam na sam.

Wykąpaliśmy się więc wszyscy razem, a ciepła woda i zapach dobrych maści tak nas odświe-

żył po trudach podróży, że żartowaliśmy ze sobą wesoło. Ksenodotos patrzył raczej na mnie niż na Arsinoe, co już poprzednio zauważyłem. Ale z uprzejmości chwalał bardzo piękność Arsinoe, mówił, że nie można by się domyślić, iż urodziła już dwoje dzieci, i zapewniał, że nie ma zbyt wiele kobiet na dworze króla, które mogłyby z nią współzawodniczyć.

— Kiedy patrzę na ciebie — mówił schlebiająco — ubolewam że bogowie stworzyli mnie takim, jakim jestem. Za tym szczęśliwszego uważam Turmsa, który ma możliwość korzystania z twojej niezrównanej piękności, i im więcej wam obojgu się przyglądam, tym trudniej mi uwierzyć, że możecie mieć sikańskie pochodzenie i rzeczywiście należeć do tego ciemnoskórego i krzywo-nogiego szczepu.

Obawiając się jego ciekawości, zapytałem szorstko:

— Ilu Sikanów widziałeś w twojej wędrówce, Ksenodotosie? Prawdziwi Sikanowie są smukli i dobrze zbudowani. Spójrz choćby na naszą niewolnicę, Hannę. Może oglądałeś tylko wygnanych ze szczepu, którzy mieszkają w nędznych szałasach i uprawiają groch na skraju lasu.

Arsinoe rzekła bez ogródek:

— Ale Hanna nie jest przecież Sikanką, lecz Elymijką urodzoną w Segeście. Przyznaję jednak, że wśród Sikanów jest wielu wspaniałych, silnych mężczyzn.

Przeciągnęła białe członki w gorącej wodzie, wezwała sługi i wstała, by dać sobie umyć włosy.

Także i ja umyłem głowę i tarłem członki, ale nie mogłem się powstrzymać, by nie powiedzieć do Arsinoe:

— I dla mnie i dla ciebie byłoby lepiej, gdybyś przyszła na świat niema.

W tym momencie jej powaby wzbudzały u mnie tylko niechęć i nie mogłem jej wybaczyć, że zbyt swobodnie paplała o nas przed Ksenodotosem. Moje rozdrażnienie rosło, kiedy jedliśmy i pili. Oboje żyliśmy tak długo bez wina, że teraz szybko się upiliśmy. Ksenodotos podjudzał nas zrećźnie do kłótni.

W końcu zeskoczyłem z mego łóża przy stole i przysiągłem na księżyc i konia morskiego:

— Moje zapowiedzi i znaki są silniejsze od twojej chciwości, Arsinoe. Jeśli nie chcesz mi towarzyszyć, wyruszę sam.

Ksenodotos wtrącił ostrzegawczo:

— Odeśpij najpierw przepicie, zanim będziesz składał tak zgubne przysięgi.

Ale ja oszołomiony winem i rozgoryczeniem krzychałem, nie zważając na to, co mówię:

— Demaratosowi wszystko jedno! Mogę się napić scytyjskiego napoju, jeśli chcesz. Idź z Ksenodotosem, Arsinoe, jeśli pragniesz zabezpieczyć swoją przyszłość lepiej, niż ja to mogę uczynić.

Z pewnością potrafi on sprzedać cię korzystnie jakiemuś wysoko postawionemu Persowi. Ale za kratą w haremie będzie ci z pewnością brakowało twej wolności bardziej niż życia w przepychu.

191

Arsinoe chlusnęła winem przez komnatę tak, że opryskało ścianę i powiedziała:

— Wiesz sam najlepiej, co poświęciłam dla ciebie, Turmsie. Nawet własne życie narażałam.

Ale muszę myśleć o moim dziecku. Z roku na rok stawałeś się coraz bardziej uparty i krnąbrny, nie mogę już pojąć, co w tobie kiedyś mogłam widzieć. Ksenodotos czeka teraz na zachodni wiatr, by żeglować do Region, gdzie ma się spotkać ze Skytesem. Być może wiatr odwróci się już jutro.

Dlatego musisz wybrać teraz, Turmsie. Ja sama powzięłam już decyzję w imię bogini.

Pijana poprzysięgła na boginię, że raczej mnie opuści, niż uda się ze mną do Rzymu. Mimo że jej przysięgi nie znaczyły wiele, zdałem sobie sprawę, że już długo nosiła się z tym postanowieniem. Kiedy zobaczyła, że nie przestraszyłem się jej groźby, wpadła w jeszcze większą furję i krzyknęła:

— Rozdzielmy więc od tej chwili od razu nasze łóża. Mam dość twojej kwaśnej miny, a twoje barbarzyńskie członki tak mnie brzydzą, że chce mi się rzygać.

Ksenodotos próbował zatkać jej usta dłonią, ale Arsinoe ugryzła go w palce, zaczęła głośno zawodzić i zwymiotowała wino z czystej złości, po czym usnęła natychmiast tam, gdzie leżała.

Zaniósłem ją do łóża i prosiłem Hannę, żeby się nią zaopiekowała. Sam byłem tak rozjątrzony, że nie chciałem spać w tej samej izbie co ona.

Kiedy wróciłem do sali biesiadnej, Ksenodotos usiadł przy mnie, położył mi dłoń na kolanie i rzekł drwiąco:

— Sam się zdemaskowałeś, Turmsie. Nie jesteś Sikanem. Tylko Grek potrafi powiedzieć

„Demaratosowi wszystko jedno”. Ale mnie możesz zwierzyć się spokojnie. I jeśli należysz do jońskich zbiegów i obawiasz się gniewu wielkiego króla, mogę cię zapewnić, że wielki król nie pragnie zemsty dla samej zemsty. Usługi, które możesz mu oddać, ważą więcej niż omyłki, które popełniłeś w przeszłości.

Nie wątpiłem w jego słowa, ale moich znaków nie mogłem przecież zmienić. Pokazywały na północ, a nie na wschód. Usiłowałem mu to wytłumaczyć, lecz jego zapal utwierdzał go w uporze.

A kiedy nie udało mu się mnie namówić, rzekł w końcu ostrzegawczo:

— Nie drażnij mnie zbyt długo, Turmsie. Jeśli myślisz o pożarze świątyni w Sardes, to nikt jeszcze nie został imiennie O to obwiniony. Nie wydam cię, nie potrzebujesz się obawiać. Jednak-

że mądrze było ze strony twojej żony, że mi się zwierzyła z tej twojej obawy. Wiem też, że jesteś winny piractwa na morzu. Jesteś w moich rękach, Turmsie. Wystarczy tylko zawołać na miejskich strażników, a byłbyś zgubiony.

W tej chwili nienawidziłem Arsinoe, która lekkomyślnie wydała mnie na łaskę obcego przybysza, by mnie zmusić do złamania postanowienia i udania się z Ksenodotosem na wschód. Długo tłumiony gniew wyrwał się z mojej duszy niczym stopiony kamień z szczeliny trzęsącej się góry i sparzył mnie tak, że nagle wszystko stało mi się obojętne.

Strąciłem dłoń Ksenodotosa z mego kolana i powiedziałem:

— Sądziłem, że jesteś moim przyjacielem, ale teraz widzę wyraźniej i niech się dzieje, co chce. Sam pójdę i przywołam strażników, i oddam się im, by zostać odartym ze skóry przez kartagińskich kapłanów. Ale równocześnie Arsinoe zostanie sprzedana na targu jako zbiegła niewolnica ze świątyni, a Misme jako córka niewolnicy. Nie myślę, by twoja opinia u wielkiego króla zniosła zbyt dobrze fakt, że udało ci się wywołać takie powszechne wzburzenie w Panormos.

I dodałem jeszcze:

— Moje znaki są wyraźne i bezsporne, a efeska Artemida, i erycyńska Afrodyta współzawodniczą ze sobą, by mi sprzyjać. Jeśli mnie urazisz, urazisz także je obie i ostrzegam cię przed ich mocą. Sam spełnię los, który został we mnie złożony, i nie jest w ludzkiej mocy to zakłócić. Do Suzy z tobą nie pójdę.

192

Kiedy Ksenodotos zobaczył, jak jestem niewzruszony, usiłował mnie udobruchać i prosił, żebym zapomniał o jego pogrożkach. Pragnął, żebym jeszcze raz zechciał zastanowić się nad sprawą, kiedy wyśpię się i wytrzeźwieję. Następnego dnia także Arsinoe była łagodna i czuła, i próbowała zmiękczyć mnie wszelkimi znanymi sobie środkami. Ja jednak pozostałem silny i nie tknąłem jej. Wtedy posłała Hannę do świątyni bogini, by kupić środki upiększające, których potrzebowała, zamknęła się w izbie, a potem wyszła na dach, by wysuszyć włosy na słońcu. Znowu pofarbowała włosy na złotożółto i była bardzo piękna, gdy tak wypoczywała z rozpuszczonymi lokami. Ale włosy jej już nie były równie pięknie złociste jak poprzednio, wpadały raczej trochę w kolor rudy. Zwaląła bo na Hannę, mówiąc, że dziewczyna w swojej głupocie zadowoliliła się gorszą farbą, choć można dostać lepszą, jeśli się wie, o co zapytać.

W moim mniemaniu było z jej strony szaleństwem przywracać sobie swój poprzedni wygląd w

Panormos, gdzie ciekawi ludzie gapili się na nią z sąsiednich domów. Ona jednak wystawiła się na to niebezpieczeństwo, by zrobić się możliwie najpiękniejszą i w ten sposób móc nagiąć mnie do swojej woli. Ksenodotos wziął mnie do portu i pokazał mi szybki statek, który wynajął

w Region, zostawiwszy tam Skytesa, by ten naradzał się z tyranem Anaksilaosem w sprawie Zankle, które teraz nazywa się Messyna.

Zapytałem go o Kydippe i dowiedziałem się, że urodziła już Anaksilaosowi dwoje dzieci, zwykła jeździć zaprzęgiem mułów i trzymać w domu oswojone zające. Była słynna z piękności zarówno na Sycylii, jak w miastach greckich w Italii a jej ojciec Terillos był tyranem w Himerze.

Wygodny statek Ksenodotosa nie kusił mnie. Zamiast tego poszedłem do świątyni Tyrreńczyków, o drewnianych kolumnach, gdzie właśnie kupiec soli składał ofiary, prosząc o pomyślny południowy wiatr, i zapytałem go, czy zechce wziąć mnie ze sobą do ujścia rzeki koło Rzymu.

Ucieszył się na myśl, że dostanie na pokład mężczyznę, z którego będzie miał pożytek przy obsłudze żagli i wiosł, ale jako kupiec ukrył zadowolenie i zażądał, żebym sam się zaopatrzył

w prowiant i zapłacił za podróż. Targowaliśmy się przez chwilę, aż uzgodniliśmy odpowiednią cenę, którą obaj mogliśmy zaakceptować. Nie chciałem też targować się zbyt uparcie, by nie wywołać u niego urazy.

Modły Tyrreńczyka pomogły o tyle, że wiatr po jakimś dniu zmienił się na zachodni i przybrał na sile. Odpowiadało to najlepiej planom Ksenodotosa, który powiedział:

— Czekam do wieczora, żebyś się opamiętał i posłuchał głosu rozsądku, Turmsie. A wieczorem odpływam, gdyż powiedziano mi, że jest to najkorzystniejszy czas, by płynąć z Panormos na wschód. Zaklinam cię, żebyś mi towarzyszył, gdyż złożyłem święte przyrzeczenie, że zabiorę z sobą twoją żonę Arsinoe, jej córkę Misme i służebną Hanne.

Ale ja się uparłem, poszedłem do Arsinoe i powiedziałem:

— Nadeszła dla nas chwila rozstania, ale na twoje życzenie, nie na moje. Dziękuję ci za lata, które mi poświęciłaś, i nie przypominam o troskach, których mi przysporzyłaś. Pamiętam tylko dobre chwile, które z sobą przeżyliśmy. Daję ci złote monety, które dostałem od Ksenodotosa, prócz darów Sikanów, i zatrzymuję tylko tyle, ile kosztuje moja podróż do Rzymu. Ale Hanny nie możesz zabrać z sobą. Wiem dobrze, że w twej chciwości sprzedałabyś ją przy pierwszej okazji.

Nie chcę, by stało jej się coś złego. To pod moją opiekę się oddała, a nie pod twoją, idąc za nami z Segesty.

Arsinoe odparła krótko:

— O bieglejszą niewolnicę mogę się postarać w Region. To tylko ulga dla mnie, jeśli chcesz wlec z sobą tę niezgrabną dziewczynę, która już od dawna patrzy na mnie krzywo. Choć będzie ci pewnie dość trudno także i bez niej. Pomyśl o mnie, gdy przyjdą na ciebie dni nieszczęścia, Turmsie.

Nawet przez gniew czułem bliskość Arsinoe niczym żar i drzenie, i nie pojmowałem, jak będę mógł żyć bez niej. Przebywaliśmy już wiele dni w Panormos i nie zmiękła, a ja jej nie tknąłem.

Sądziła, że podniecając moją żądzę, najłatwiej będzie mogła mnie ugiąć, i bardzo była zawiedziona, kiedy nawet w chwili rozstania nie próbowałem wziąć jej w ramiona. Gdybym ją objął, znów wpadłbym w jej władzę, wiedziałem o tym dobrze. Toteż poskromiłem swoje uczucia.

Gdy słońce zaczęło zniżać się, poszedłem z nią do portu, pocałowałem Misme na pożegnanie i zapewniłem Ksenodotosa o mojej przyjaźni.

— Na naszą przyjaźń — prosiłem — gdyby pogoda zmusiła cię do zawinięcia do portu w Himerze, odszukaj tam szlachetnego tyrreńskiego kupca Larsa Alsira. Przekaż mu moje pozdrowienia i zapłać mój dług, bo trudno mi opuszczać kraj, gdzie jestem zadłużony. To wykształcony człowiek i może ci dać pożyteczne informacje o Tyrreńczykach.

Ksenodotos obiecał to uczynić, Arsinoe zaś rzekła z goryczą:

— Czy to twoje jedyne pożegnanie ze mną? Rzeczywiście myślisz więcej o tym, co jesteś winien obcemu człowiekowi, niż o tym, co jesteś winien mnie?

Przykryła głowę i weszła na statek, a Ksenodotos poszedł za nią, niosąc w ramionach Misme.

Jeszcze do ostatniej chwili miałem nadzieję, że Arsinoe się rozmyśli i zawróci, ona zaś spodziewa-

ła się, że zawołam i poproszę, by statek poczekał, tak, abym mógł zabrać się z nimi. Ale żeglarze wciągnęli kładkę, przymocowali ją mocno do relingu i wyprowadzili statek o wiosłach. Kawalek od brzegu postawili żagle, zachód słońca zabarwiał statek na czerwono i sądziłem, że Arsinoe na zawsze już znikła z mojego życia. Żalność moja była tak straszliwa, że padłem na kolana na brzegu w Panormos i ukryłem twarz w dłoniach. Moje rozczarowanie zdruzgotało mnie i przeklinałem w duchu bogów, którzy igrali ze mną. Nic nie pomogło, że zacząłem sobie przypominać chciwość i lekkomyślność Arsinoe, gdyż w ciężkiej chwili w Segeście zrezygnowała jednak z wszystkiego, by pójść ze mną. Do ostatka więc sądziłem, że postąpi tak i teraz.

Poczułem dłoń, która nieśmiało dotknęła mego ramienia, i Hanna szepnęła ostrzegawczo: —

Fenicjanie patrzą na ciebie.

Przypomniałem sobie moje niebezpieczne położenie i sikański strój, nałożyłem z powrotem na twarz drewnianą maskę i otuliłem się w barwny wełniany płaszcz, który Ksenodotos dał mi w darze na pożegnanie. Z podniesioną wysoko głową wróciłem na statek Tyrreńczyka, tak jak to było umówione, a Hanna poszła za mną, dzwigając nasze skromne mienie w skórzanym zawiniątku na głowie.

Na statku Tyrreńczyka był tylko stary kulawy sternik jako stróż. Gdy weszliśmy na pokład, dziękował bogom i powiedział:

— Dobrze, że przyszedłeś, Sikanie. Pilnuj towarów i statku, bym i ja mógł zejść na ląd i złożyć ofiarę, i modlić się o wiatr.

W ciemniejącym zmierzchu słyhać było z rynku fenickie instrumenty smyczkowe i rozgwar pijanych mężczyzn, tak że dobrze rozumiałem, dlaczego sternik dreptał z niecierpliwości, by wziąć udział w ofierze. Gdy poszedł, rozgościliśmy się na statku, Hanna i ja. Pod osłoną ciemności po-lały mi się wreszcie gorące łzy z oczu. Płakałem nad tym, co utraciłem i nad przymusem znaków, i nie mogłem usunąć Arsinoe z mojej pamięci.

Gdy tak leżałem w ciemności pod pokładem na cuchnących wiązkach skór, poczułem, że Hanna przysunęła się do mego boku. Dotknęła palcami mojej twarzy, otarła mi łzy z oczu, ucałowała moje policzki, pieściła moje włosy i sama wybuchnęła płaczem. Była tylko młodą dziewczyną, ale w moim smutku sama bliskość drugiego człowieka była dla mnie miłosierna. Żalność Hanny zlagodziła moją własną i nie chciałem, by płakała z mojego powodu. Toteż powiedziałem: *194*

— Nie płacz, Hanno. Moje łzy to tylko łzy słabości i przestaną płynąć same. Ale jestem ubogim człowiekiem i moja przyszłość jest niepewna. Nie wiem, czy postępuję słusznie, biorąc cię ze sobą. Może byłoby lepiej, gdybyś poszła za swoją panią.

Hanna uklękła w ciemności i rzekła:

— Raczej wskoczyłabym do morza i dziękuję ci, że mnie zabierasz, dokądkolwiek się udajesz.

Dotknęła mojej twarzy i zapewniała:

— Jestem tym, czym chcesz, żebym była, i będę dla ciebie pracować. Jeśli chcesz, możesz od razu wypalić znak niewolnicy na moim czole, albo na moim biodrze.

Wzruszyło mnie jej oddanie, pogładziłem jej włosy i powiedziałem:

— Nie jesteś niewolnicą, Hanno. Będę się tobą opiekować najlepiej jak potrafię, dopóki nie znajdziesz mężczyzny, którego polubisz.

Odparła:

— Nie, nie, Turmsie, nie sędzę, bym znalazła takiego mężczyznę. Zatrzymaj mnie przy sobie, proszę, a będę się starała być jak najbardziej przydatna.

Aby mnie ubłagać, zaproponowała z wahaniem:

— Arsinoe, moja pani, powiedziała, że najlepiej mogłabym zarabiać pieniądze, wynajmując się do zamtuza w jakimś wielkim mieście. Jeśli chcesz, gotowa jestem służyć ci także i w taki sposób, ale nie uczyniłabym tego chętnie.

Jej propozycja przejęła mnie zgrozą tak, że wziąłem ją w ramiona i prosiłem:

— Nawet nie myśl o czymś takim. Nigdy ci na to nie pozwolę. Jesteś przecież nietkniętą i uczciwą dziewczyną. Będę cię ochraniać i nie wpędzę cię w nieszczęście.

Ucieszyła się, że przez chwilę dała mi zapomnieć o smutku, i zmusiła mnie, żebym coś zjadł

i napił się wina, które przyniosła ze sobą. Piła też sama. Siedzieliśmy obok siebie na skraju pokładu, dyndając nogami, przyglądaliśmy się czerwono płonącym pochodniom w porcie i słuchaliśmy brzdąkania fenickich instrumentów strunowych. Bliskość Hanny ogrzała mnie i byłem wdzięczny, że mam przy sobie jakąś ludzką istotę, z którą mogę rozmawiać.

I nie wiem, jak to się stało, ale z pewnością sprawiło to wino i muzyka, i poufała bliskość młodej dziewczyny. Niczym innym nie mogę się bronić, jak tylko tym, że człowiek, który doznał

wielkiej troski, jest tak całkowicie wytracony z równowagi, iż subtelniej niż kiedy indziej, odczuwa bliskość drugiej istoty i daje się skusić, by szukać zapomnienia w szumie własnej krwi. Arsinoe odmawiała mi swoich uścisków, a dobre jedzenie i beczynność w mieście przygotowały moje ciało na tę pokusę. Nie mogę tego zwać tylko na Hannę i jej podniecie, lecz także na siebie samego.

Gdyż kiedy już położyliśmy się na spoczynek, ogarnęła mnie namiętność, kiedy poczułem młodość jej gładkich członków, które były mi nieznane. Bez słowa skargi wsunęła się w moje ramiona i objęła mnie rękami za szyję. Ale kiedy czerpałem z niej rozkosz, wiedziałem dobrze, że jej smukłe członki nie były członkami Arsinoe, i że jej ciało nigdy nie będzie mogło współzawodniczyć z ciałem Arsinoe. Pomogła mi jednak zasnąć i dała ciepło swoim ciałem. Na wpół przez sen słyszałem, jak Tyrreńczyk i jego ludzie zataczając się wrócili na pokład i kłócili się o miejsca do spania. Jak gdybym czuł obecność mojego geniusza, kiedy smukłe dziewczęce ciało Hanny ogrzewało mnie, a ja dawałem jej w zamian moje ciepło. W szarym zmierzchu między snem i jawą zdawało mi się, że widzę, iż bogini, którą znałem jako zagadkową, chciała mi pokazać całkiem nową stronę swej istoty w postaci Hanny. Z westchnieniem zapadłem w głęboki sen i spałem aż do białego dnia.

195

7

Z pewnością mój geniusz uchronił mnie, każąc Hannie obudzić się już o świtaniu i wymknąć się z mego łóża. Sam zbudziłem się dopiero wtedy, gdy Arsinoe stanęła nade mną z Misme na ręku kopiąc mnie plecionym ze srebra sandałem, najpierw w bok, a potem w głowę, dopóki nie otworzyłem oczu.

Gdy ją zobaczyłem, sądziłem zrazu, że śnię. Ale to była ona, a jej kopniaki zadawały mi ból, od którego szumiało mi w głowie, i nie musiałem już dłużej medytować, by zdać sobie sprawę z jej przebiegłości. Sam się zastanawiałem, jak ktoś mógł chcieć zaczynać żeglugę na wschód wla-

śnie wieczorem. Ale Ksenodotos i Arsinoe znaleźli tylko złośliwy podstęp, by jeszcze w ostatniej chwili skłonić mnie do pójścia z nimi. Gdy jednak spostrzegli, że się nie ugiąłem, lecz wołałem raczej zrezygnować z Arsinoe, by iść za moimi znakami, zadowolili się krążeniem przed portem przez noc i zawinęli rano z powrotem wraz z łodziami rybackimi, by wysadzić Arsinoe na ląd.



Ksenodotos był jednak na tyle mądry, że nie został, aby się ze mną przywitać, lecz udał się dalej w swą podróż z pomyślnym wiatrem zachodnim, który właśnie wiał. Gdy Arsinoe dobudziła mnie kopiąc i dała upust swemu najgorszemu gniewowi, przybrała pokorną minę i powiedziała:

— Oto jestem, Turmsie. Czy ty rzeczywiście myślałeś, że z lekkim sercem mogłabym cię opuścić? Czy sądzisz, że tak mało cię kocham? Nie mam nikogo prócz ciebie, dla kogo miałabym żyć, odkąd bogini nas połączyła. Ale ty nie wiesz jeszcze dużo o miłości, gdyż sam nie kochasz dostatecznie, tylko byłeś gotów porzucić mnie dla paru głupich znaków.

Moje drżące ciało, moje szukające jej ręce i moje zaskoczenie ugłaskało ją. Uśmiechnęła się do mnie, piękność jej twarzy rozjaśniała brudny statek jak słońce. Powiedziała cicho:

— Wzywaj więc południowy wiatr, Turmsie, skoro sobie wyobrażasz, że jesteś panem wiatrów. Wzywaj wiatr znowu, skoro upokorzyłeś mnie już dostatecznie. Wzywaj wiatr, bo czuję w sobie wicher, nie, źle mówię, czuję w sobie sztorm.

Hanna wemknęła się do nas boso i stanęła jak wryta na widok Arsinoe. Wina wypisana była na jej twarzy, ale na szczęście Arsinoe nie mogła sobie nawet wyobrazić, by bosonoga dziewczyna w spódniczce z kory mogła podjąć z nią współzawodnictwo. Wzięła więc zdrętwienie Hanny za zaskoczenie, podała jej Misme i rzekła krótko:

— Daj jej jeść, włóż na nią coś, co się nadaje na pokład tego brudnego statku i odejdz. Chcemy być sami z sobą i wzywać wiatry.

Gwałtowny żar zapłonął we mnie od stóp do głowy, poczułem swoją siłę i kiedy rzuciłem okiem na Hannę, nie rozumiałem już, jak choćby przez chwilę mogła mi się podobać ta ciemnowłosa dziewczyna, kiedy Arsinoe znajdowała się na tym samym świecie co ja. Pobiegłem do Tyrreńczyka i jego kulawego sternika, potrząsnąłem nimi, aż się obudzili, i kopniakami przepędziłem na ląd ich drapiących się w głowy niewolników.

— Spieszcie na ląd i módlcie się o wiatr — nakazałem im. — Na skrzydłach sztormu przerzucę twój statek do Rzymu szybciej, niż kiedykolwiek żeglowałeś. Odpraw swoje ofiary szybko, bo w południe wciągamy żagiel.

Przepity Tyrreńczyk usłuchał mnie, i tak było najlepiej, bo inaczej wyrzuciłbym go na ląd gwałtem z jego własnego statku, żeby móc zostać sam na sam z Arsinoe. Z zapalem rzuciliśmy się sobie w objęcia, odnalazłszy się wzajemnie. W jej ciele mieszkał najgorętszy z wszystkich wichrów, a w mojej krwi szalał sztorm. Bogini otuliła nas swymi złotymi włosami i jej uśmiech opromieniał nas tak, że brudny statek przemienił się dla nas obojga w złocisty pojazd bogini.

Gwałtowniej niż kiedykolwiek kochaliśmy się z sobą, tak jakby sama bogini obrała sobie siedzibę w ciele Arsinoe. Aż wreszcie Arsinoe krzyknęła głośno i rozpalona namiętnością, wezwała

196  
boginię jej tajemnym imieniem i zażądała, żeby ta okazała swoją moc, dając nam odpowiedni wiatr.

Ogarnęło mnie uniesienie, święty taniec zaczął szarpać moje członki i wołałem o wiatr na wyścigi z

Arsinoe. Trzy razy, siedem razy i dwanaście razy wołałem o wiatr południowy, aż wreszcie staliśmy oboje, trzymając się za ręce na dziobie statku, nie troszcząc się o ludzkie spojrzenia, i w świętym upojeniu wzywaliśmy wiatr. Nie wiem, jak długo to trwało i z jakich ukrytych głębin słowa wznosiły mi się do ust, ale nie zaprzestaliśmy wołać, dopóki powietrze nie poczerniało, wiatr nie odwrócił się i chmury nie zaczęły przewalać się ku morzu przez garbate góry Panormos, poszarpane czarnymi urwiskami i błyszczące od błyskawic. Za Panormos ciemniały góry erycyńskie i wiry sztormowe porывały daszki namiotów i kosze kramarzy na rynku. Aż z miasta słyszeliśmy hałas zatraskiwanych drzwi, a wiązki trzciny, które wiatr zerwał z dachów, wirowały w powietrzu.

Dopiero wtedy ucichliśmy i pocałowaliśmy się nawzajem, i tchnęliśmy nasycenie zmysłów sobie nawzajem w usta. Święty zawrót głowy opuścił nas i rozejrzeliśmy się zdumieni wokoło. Ujrzyliśmy Tyrreńczyka i jego załogę biegnących z powrotem do portu z rozwianymi szatami, a kartagińscy żołnierze i celnicy stali, przestępując z nogi na nogę, przesłaniając dłonią usta i wpatrując się w nas.

Właśnie gdy Tyrreńczyk zdążył wejść na pokład, silny wir wodny pojawił się przed statkiem, który stał rufą wyciągniętą wysoko na ląd, wessał statek do morza jednym zamachem, tak, że nikt nie musiał spychać go na wodę. I teraz Tyrreńczyk nie mógł już przeszkodzić naszemu odpłynię-

ciu, nawet gdyby chciał. Był zmuszony zawołać na swoich ludzi, by wciągnęli żagiel i chwycili za wiosła sterowe, gdyż inaczej statek okręciłby się i przewrócił. Na brzegu Fenicjanie wciągnęli czarne płachty jako ostrzeżenie przed sztormem i pokazywali nam znak zakazujący opuszczenia portu. Ale sztorm wyrwał im tarczę ze znakiem z rąk i cisnął ją do pieniącej się wody. Kołysząc się i przewalając, pędził nasz statek na wyścigi z falami na otwarte morze, ciągniony przez swój połatany żagiel.

Dopomógłszy Tyrreńczykowi i sternikowi wysunąć wiosła sterowe, zszedłem pod pokład, by zobaczyć, jak się ma Arsinoe. Tam chwiejąc się na nogach wskutek kołysania się okrętu zobaczy-

łem na dole wśród ładunku mały gładki kamyczek, który przywędrował tu z lądu wraz z pękami skór i teraz wysunął się znowu. Nie zwracając uwagi na to, co robię, schyliłem się, podniosłem go i obracałem w dłoni. Był cętkowany na szaro i na białe, i przypominał mi gołębia. Stąd wiedziałem, że jest przeznaczony dla mnie. Włożyłem go do mej skórzanej sakiewki wraz z innymi kamyczkami. Leżał tam także mój koń morski, którego dostałem od Larsa Alsira.

To był cały mój majątek, kiedy opuszczałem Sycylię, bo kiedy o tym pomyślałem, zdałem sobie sprawę, że Arsinoe swoim podstępem uzyskała przynajmniej wszystko, co miałem wartościowego. Ale to mnie wcale nie martwiło.

Nie oglądałem się więcej za siebie, nie szukałem już wzrokiem erycyńskich gór, gdy opuszczałem Sycylię. Tylko naprzód patrzyłem, na północ.

# Znaki

## 1

Z włosami sztywnymi od słonych bryzgów, poszarzali na twarzy od czuwania, z dłońmi odartymi z naskórka przez szoty, ujrzelśmy brzeg italski. Sternik rozpoznał zaraz znaki na łądzie, wykrzyknął głośno ze zdumienia i oznajmił, że jesteśmy tylko, o jeden dzień podróży do rzymskiego ujścia rzeki. Tyrreńczyk plasnął w dłonie i zapewniał, że nigdy jeszcze nie przeżywał

tak szybkiej przeprawy i tak stałego wiatru południowego, który mieliśmy po pierwszym dniu sztormu.

Następnego dnia u ujścia rzeki spotkaliśmy statki, wielkie i małe, przybywające z wszelkich możliwych krajów, w drodze w górę albo w dół potężnej rzeki. Już z daleka widziałem solne baseny, rzymskie bogactwo, lśniące białe, i niewolników brodzących po kolana w soli z szuflami i workami.

Tyrreńczyk nie zatrzymał się w ujściu rzeki, tylko wynajął woły i niewolników, kazał przymocować liny do wygiętego bukszprytu statku i sam wraz z niewolnikami pomagał wiosłowaniem i odpychaniem przeprowadzić statek w górę bystrej rzeki. Była ona tak szeroka i zasobna w wodę, że nawet największe statki morskie mogły dotrzeć aż do Rzymu, gdzie przybijały przy bydlęcym rynku obok statków rzecznych z górnego biegu rzeki.

A potem zobaczyłem na własne oczy rzymskie wzgórza, wioski, które wyrosły na ich szczytach, mur, most i nieliczne świątynie. Most był kunsztownie zbudowany z drewna i najdłuższy z tych, jakie widziałem, choć mała wysepka na rzece pomagała go podpierać. Zbudowali go Etruskowie, by połączyć swoje liczne miasta po obu stronach rzeki. Rzymianie przywiązywali taką wagę do tego mostu, że od czasów etruskich nazwali swego najwyższego kapłana najwyższym budowniczym mostów. I sądzę, że surowe rzymskie obyczaje najlepiej odzwierciedlają się w tym, iż powierzyli oni utrzymanie mostu najwyższemu kapłanowi, mimo że Etruskowie pod tą nazwą mieli na myśli budowniczego mostów między ludźmi i bogami.

Wspaniały drewniany most był największą osobliwością, gdy zawitało się do Rzymu, i stanowił też samą podstawę rozkwitu miasta. Już z daleka słychać było przez wodę głuchy tupot i ryczenie bydła, a nieprzerwane sznury fur i wozów wjeżdżały do miasta i wyjeżdżały stamtąd.

Strażnicy portowi wskazali nam miejsce między statkamiorskimi i rzecznyymi przy błotnis-tym brzegu, umocnionym palami, po czym na statek wszedł celnik, a Tyrreńczyk nie podjął nawet próby zaproponowania mu jakiegoś daru czy też poproszenia, by poszedł z nim złożyć ofiary bogom. Mówił, że rzymscy urzędnicy są nieprzekupni z powodu surowych praw.

Na skraju bydlęcego rynku stał przy słupie kat gotów do wykonywania swego zawodu. Jego znakiem był topór o długiej rękojeści otoczonej wiązką różeg, a Tyrreńczyk powiedział, że ten znak był dziedzictwem po Etruskach. Rzymianie nazywali swoich katów liktorami. W miejsce króla wybierali sobie co roku na władców dwóch konsulów, i każdy z nich otrzymywał świętę dwunastu liktorów. Gdy przestępczy czyn był oczywisty, liktor miał prawo zatrzymać winnego na otwartej ulicy, wychłostać go, a w razie gdyby dopuścił się on kradzieży, odciąć mu prawą dłoń.

Dlatego w portach panował wzorowy ład i nikt nie potrzebował się tam obawiać rabusiów jak w innych portach.

Tyrreńczyk kazał kwestorom sprawdzić przede wszystkim mienie moje i Arsinoe. Uwierzyli nam, gdy oświadczyliśmy, że jesteśmy Sikanami z Sycylii. Byli to nieuczeni ludzie, którzy mało wiedzieli o reszcie świata, i znali tylko obyczaje w swoim własnym mieście. Tyrreńczyk nie po-

zwolił nam ukrywać przed nimi niczego. Policzyli złote monety Arsinoe i zważyli dokładnie złote przedmioty, które otrzymaliśmy od Sikanów w darze pożegnalnym. Musieliśmy zapłacić dużą sumą jako podatek, by wwieźć te rzeczy do miasta, gdyż w Rzymie obiegową monetą była tylko cechowana miedź. Co się tyczy Hanny, zapytali, czy jest ona niewolnicą czy wolno urodzoną. Arsinoe powiedziała zaraz, że niewolnicą, a ja że jest wolna. Urzędnicy przywołali tłumacza, bo nie rozumieli zbyt wiele po grecku. Hanna sama nie umiała się bronić. Toteż została zapisana jako niewolnica, a kwestorzy sądzili, że twierdziłem, iż jest wolna tylko po to, by uniknąć zapłacenia podatku nałożonego na wwóz niewolników.

Życzliwie kazali tłumaczowi wyjaśnić mi, że gdyby zapisali Hannę jako wolną, mogłaby ona pójść dokąd chce i cieszyć się ochroną rzymskich praw. W ten sposób kłamiąc przed nimi, bliski byłem utraty części swojej własności. Uważali to za dobry żart i szczypali ją, śmiejąc się, by ocenić jej wartość targową. Ale do Arsinoe i do mnie odnosili się z szacunkiem z powodu złota, któ-

re posiadaliśmy. Rzymianie są chciwi z natury i dzielą swoich obywateli na klasy stosownie do majątku, tak że najbiedniejsi tylko mają prawo głosu w sprawach miasta. Bogaci mają najbardziej wymagające zadania w służbie wojskowej, każdy odpowiednio do klasy majątkowej. Biedni mają mniejsze obowiązki, a najbiedniejsi nie muszą wcale odbywać służby z bronią, gdyż Rzymianie uważali hołotę tylko za ciężar dla wojska.

Gdy wyszliśmy na ląd, Tyrreńczyk zaprowadził nas prosto do nowej świątyni Turnusa, by zło-

żyć tam ofiary. Rzymianie nazywali tego boga Merkurym, a Grecy w Rzymie wielbili go w tej samej świątyni pod imieniem Hermesa, dlatego przypuszczam, że był to ten sam bóg. Rzymianie zbudowali tę świątynię, by popierać handel, i w środkowej komorze świątynnej stał duży i piękny, pięknie pomalowany posąg boga z wypalanej gliny. Kazali sporządzić go w etruskim mieście Veji.

Sami nie umieli robić takich pięknych posągów, a artyści z Veji słynni byli ze swego kunsztu.

W świątyni roiła się wielka rzesza kupców różnych ludów, którzy wypytywali się nawzajem o ceny miedzi, skór wołowych, wełny i drewna, tak że cenę codziennie ustanawiano na nowo w świątyni Merkurego w Rzymie, i rosła ona lub spadała, stosownie do popytu i podaży.

Kiedy już złożyliśmy ofiary i zostawiliśmy nasze dary w świątyni, Tyrreńczyk pożegnał się ze mną i rzekł:

— Dziękuję ci za tę pomyślną podróż, sądzę jednak, że najlepiej będzie, jeśli się w porę rozstaniemy. Kupiec musi polegać na swoim rozsądku, a nie liczyć zbyttnio na nadprzyrodzone zja-wiska

albo zaprzyjaźniać się z ludźmi, którzy nie są tym, za kogo się podają. A ty nie wymieniaj mego imienia, jeśli popadniesz w trudności. Możesz też zadowolić się pobłogosławieniem mnie, biedaka. Wystarczy to jako zapłata za przeprawę, a potem wymaż mnie z pamięci.

Położyłem mu dłoń na ramieniu, a drugą dłonią zakryłem lewe oko, by go pobłogosławić, ale dlaczego uczyniłem ten święty gest, nie umiem wytłumaczyć. Tyrreńczyk tak się przestraszył, że oddalił się spieszenie i oglądając się za siebie patrzył na nas przez palce. Zostaliśmy więc przed świątynią Merkurego w Rzymie, Arsinoe, Hanna, Misme i ja. A że nie znałem miasta i jego obyczajów, i nie rozumiałem nawet języka, postanowiłem zatrzymać się tam przez chwilę, by zaczekać na odpowiedni znak, dokąd się udać.

Arsinoe nie niecierpliwiła się, lecz stała i przyglądała się ruchliwemu rojowisku przed świątynią, gdyż było tam wielu mężczyzn, którzy na nią zerkali i odwracali się jeszcze, przeszedłszy obok. Pokazała mi, że wszyscy mieszkańcy miasta noszą sandały i tylko niewolnicy chodzą boso.

Uważała, że kobiety mają kwaśne miny i są zbyt otyłe, i mówiła, że ubierają się bez smaku. Więcej nie zdążyła powiedzieć na temat obyczajów w mieście, bo podszedł do nas staruch z zakrzywioną laską pasterską w ręku. Płaszcz jego był pobrudzony i poplamiony resztkami jedzenia, starzec miał zaczerwienione oczy, a szara broda lepiała się od brudu.

— Czekasz tu na coś, przybyszu? — zapytał.

199

Po zakrzywionej lasce poznałem jego zawód, choć wygląd jego nie napawał zaufaniem. Ale był pierwszym z mieszkańców miasta, który odezwał się do mnie. Toteż odparłem uprzejmie:

— Dopiero co tu przybyłem. Dlatego czekam na pomyślny znak.

Ożywił się natychmiast, zakrzywiona laska zaczęła drżeć w jego ręku i odparł:

— Od razu odgadłem, że jesteś Grekiem, ale raczej z powodu wyglądu i szat twojej żony niż z twej własnej powierzchowności. Jeśli chcesz, mogę ci objaśnić znaki ptaków, albo też zaprowadzić do jednego z moich braci na urządzie, który złoży na twoją intencję w ofierze owcę i odczyta ci znaki z jej wątroby. Ale będzie to droższe niż wrózenie z ptaków.

Mówił bardzo łamaną greczyzną. Toteż zaproponowałem:

— Rozmawiajmy twoim własnym językiem, a zrozumiem lepiej, co mówisz.

Zaczął mówić językiem miasta, który brzmiał równie twardo i bezlitośnie jak twardymi i bezlitosnymi mieli podobno być mieszkańcy Rzymu. Potrząsnąłem głową i rzekłem:

— Nie rozumiem teraz ani słowa, ale rozmawiajmy dawnym i właściwym językiem. Nauczy-

łem się go trochę.

W rozmowach z Tyrreńczykiem nauczyłem się rzeczywiście po etrusku jeszcze lepiej, niż przedtem umiałem, a nauki Larsa Alsira w Himerze po wielu latach dały nowe owoce. Było to raczej tak, jakbym kiedyś znał ten język, ale potem na jakiś czas go zapomniał. Tak łatwo płynęły obce słowa, że Tyrreńczyk niebawem poniechał, sam o tym nie wiedząc, mieszanej mowy portowej i przeszedł na własny język.

Staruch stał się jeszcze życzliwszy i powiedział:

— Jesteś niezwykłym Grekiem, skoro znasz świętą mowę. Ja sam jestem Etruskim i prawdziwym augurem, wcale nie jakimś naśladowcą, który tylko zna na pamięć święte słowa. I nie powinieneś mnie lekceważyć, mimo że z powodu tego, iż moje oczy zmętniały, sam muszę starać się o swoje dochody i nie jestem już taki poszukiwany jak dawniej.

Przesłonił oczy dłonią, przyjrzał mi się z bliska, tak iż zauważyłem, że był na pół ślepy, i zapytał:

— Gdzie ja już widziałem twoją twarz poprzednio i dlaczego jest mi ona tak znana?

Słowa te są zwykłym chwytem wróżbitów na całym świecie, on jednak wypowiedział je tak uczciwym tonem, a ponadto był mimo biedy tak godnym szacunku starcem, że uwierzyłem mu.

Nie wyraziłem mu jednak mojego przekonania, że właśnie tu i właśnie teraz był dla mnie posłannikiem bogów, lecz rzekłem tylko żartobliwie, zwracając się do Arsinoe:

— Wróżbita z lotu ptaków powiada, że poznaje moją twarz.

Arsinoe natychmiast mi pozazdrościła, wysunęła swoją piękną twarz staruchowi pod nos i zapytała:

— A ja? Jeśli mnie nie poznajesz, nie jesteś prawdziwym augurem?

Stary przyłożył dłoń do oczu, przyjrzał się dokładnie Arsinoe i zadrżał odpowiadając:

— Całkiem na pewno cię poznaję i dni mojej młodości stają mi przed oczyma, gdy patrzę na ciebie. Czy nie jesteś Kalpurnią, którą spotkałem raz przy źródle w lesie?

Zastanowił się, potrząsnął pytająco głową i dodał:

— Nie, nie możesz być Kalpurnią. Byłaby już staruszką, gdyby żyła. Ale w twojej zmieniającej się twarzy, kobieto, dostrzegam wszystkie kobiety, które w ciągu mego żywota przyprawiły mnie o drżenie. Nie jesteś chyba samą boginią przebraną za kobietę?

Arsinoe roześmiała się zachwycona, dotknęła ramienia starca i powiedziała:

— Lubię tego starca. Jest z pewnością prawdziwym augurem. Każ mu objaśnić sobie znaki, Turmsie.

Ale ogur wpatrywał się tylko we mnie i zapytał mnie znów po etrusku:

— Gdzie ja cię już widziałem poprzednio? Wydaje mi się, że widziałem uśmiechnięty posąg, który ciebie przypominał, gdzieś w moich wędrówkach po świętych miastach.

Zaśmiałem się:

— Mylisz się, starcze. Nigdy nawet nie byłem w miastach etruskich. Jeśli rzeczywiście poznajesz moją twarz, może widziałeś ją we śnie jako zapowiedź naszego spotkania.

Opuścił ramiona i jego zapał zgasł. Pokornie powiedział:

— Jeśli tak jest i jeśli chcesz, to wróżenie nie będzie cię naturalnie nic kosztowało. Ale w ostatnich dniach niewiele jadłem. Grochówka wzmocniłaby moje ciało, a łyk wina rozradowałby starego. Nie uważaj mnie jednak za natrętnego żebraka, mimo że w taki sposób obnażam moją nędzę przed tobą.

Odparłem:

— Nie niepokój się, starcze. Twój trud zostanie wynagrodzony i nawet mi się nie godzi, bym przyjmował coś za nic. Jestem rozdawcą darów.

— Rozdawcą darów — powtórzył i przyłożył dłoń do ust. — Skąd znasz te słowa i jak się ośmielasz tak siebie nazywać? Czyżbyś wcale nie był Grekiem?

Widząc jego struchlałą minę, zdałem sobie sprawę, że sam o tym nie wiedząc, użyłem tajemnego imienia jakiegoś z bogów etruskich, i sam nie wiedziałem, skąd przyszły mi te słowa. Ale wybuchnąłem śmiechem:

— Mówię kiepsko twoim językiem i używam niewłaściwych słów. Nie chcę bynajmniej urazić ciebie ani twojej wiary.

— Nie, nie — zaprzeczył — słowa były właściwe, ale powiedziane w niewłaściwym miejscu.

To święte słowa lukumona. Żyjemy w złych czasach i w wilczym czasie, skoro obcy przybysz może powtarzać święte słowa jak kruk, który nauczył się mówić.

Nie wziąłem mu za złe jego słów. Ale zaciekawiły mnie, więc zapytałem. — Co to jest lukumon? Powiedz mi, żebym innym razem, nie wypowiedział właściwego słowa w niewłaściwym miejscu.

Rzucił mi gniewne spojrzenie i oświadczył:

— Lukumonowie to święci władcy Etrusków. Ale dziś rzadko rodzi się jakiś święty lukumon.

Arsinoe zapytała niecierpliwie:

— O czym to rozmawiacie? Chodźmy dalej rozejrzeć się po mieście i niech staruch nas oprowadzi. Ale mówcie po grecku, żebym rozumiała, co mówicie. Kiedy się zmęczone, możecie sobie pójść

patrzeć na ptaki, ile chcecie.

Ogarnęła mnie dziwna niechęć, by rozmawiać po grecku ze starym augurem, gdyż w jego towarzystwie uczyłem się starego języka coraz to lepiej z każdym krokiem i zdawało mi się, że wiem, co on zamierza powiedzieć, jeszcze zanim to wypowiedział. Toteż wolałem tłumaczyć jego słowa Arsinoe, a kiedy wędrowaliśmy po rojących się od ludzi ulicach śródmieścia, miała ona tyle do oglądania, że nie chciała zbytnio nas słuchać.

Niebawem zobaczyłem, że idziemy ulicą wyłożoną szerokimi płytami kamiennymi, a staruch powiedział, że jest to etruska część miasta i że ulica nazywa się Vicus Tuscus, ponieważ Rzymianie nazywali Etrusków Tuskami. Przy tej głównej ulicy mieszkali najbogatsi kupcy, najzręczniejsi rzemieślnicy i stare etruskie rody w Rzymie. Stanowiły one jedną trzecią część znakomitych rzymskich rodów i członkowie tych rodzin tworzyli trzecią część jazdy wojska rzymskiego.

Augur rozejrzał się wokoło i rzekł:

— Zmęczyłem stopy i zaschło mi w ustach od całej tej rozmowy.

201

Zapytałem:

— Czy sądzisz, że jakiś Etrusk chciałby wynająć mieszkanie mnie i mojej rodzinie, mimo że jestem obcym przybyszem?

Więcej nie musiałem mówić, bo zaraz zapukał swoją zakrzywioną laską do malowanych drzwi, wszedł do wnętrza przed nami i pokazał nam salę o drewnianych kolumnach, z sadzawką wody deszczowej pośrodku i z bogami domowymi na ołtarzach pod ścianami. Wokół otwartego podwórca stały mniejsze budynki do wynajęcia przez podróżnych, a w samym domu było wiele komnat o malowidłach ściennych, ze stołami i siedzeniami. Gospodarzem domu był zamknięty w sobie człowiek, który przywitał augura niezbyt przyjaźnie. Ale przyjrząwszy się nam dokładnie, przyjął nas jako gości i kazał niewolnikom przygotować dla nas posiłek. Zostawiliśmy w jednym z domków gospody Hannę i Misme, by pilnowały naszych rzeczy, a sami weszliśmy do głównego domu, aby coś zjeść. W izbie biesiadnej stały dwa łóża i augur objaśnił nas:

— Według zwyczaju etruskiego kobiecie wolno leżeć przy stole w tej samej izbie co mężczyzna, co więcej, może nawet ona leżeć w tym samym łóżu, co jej mąż, jeśli zechce. Grecy pozwalają kobiecie tylko siedzieć w tej samej izbie, a Rzymianie uważają za bezwstydną, jeśli kobieta je pospołu z mężczyznami.

Sam stanął pokornie pod ścianą i czekał na łaskawy chleb. Ale ja poprosiłem go, by dzielił

z nami nasz posiłek i kazał niewolnikom przynieść łóża także i dla niego. Poszedł też zaraz, żeby się umyć, a gospodarz przyniósł dla niego czysty płaszcz, by nie ubrudził podwójnej poduszki łóża. Zjedliśmy dobrze przyrządzony posiłek i piliśmy do tego wiejskie wino. Twarz starucha za-częła niebawem mienić się, zmarszczki wygładziły się, a dłonie, przestały mu się trząść. Ponieważ był



naszym gościem, częstowałem go jako pierwszego z każdego półmiska, a on nie wykazał

żarłoczności, tylko jadł układnie dwoma palcami. Jego zachowanie się przy stole było poprawne, a pijąc, pamiętał za każdym razem, by złożyć kropelkę w ofierze. Najwystawniejszym daniem była wieprzowina gotowana z miejscowymi korzeniami, a na końcu podano świeże owoce, także jabłka granatu. Nakazałem, aby także Hanna i Misme dostały swoją część, a to, co zostało, darowałem niewolnikom, którzy nam usługiwali. Staruch bardzo wychwalał moją szczodrość.

W końcu usiadł z czarą w lewej ręce i jabłkiem granatu w prawej, a jego zakrzywiony kij stał oparty o łoże po jego prawej stronie. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, że już kiedyś przeżyłem taką chwilę, w obcym mieście, pod pułapem o malowanych belkach. Wino uderzyło mi do głowy i powiedziałem:

— Starcze, kimkolwiek jesteś. Zwróciłem oczywiście uwagę na spojrzenia, które wymieniłeś z naszym gospodarzem. Nie znam waszych obyczajów, ale powiedz mi, dlaczego podano mi jedzenie w czarnych czarkach, podczas gdy moja żona dostała srebrny talerz i koryncki puchar na wino.

Odparł:

— Jeśli nie wiesz i nie rozumiesz, nic nie szkodzi. Ale nie jest to oznaka lekceważenia. To prastare naczynia.

Gospodarz pospieszył, by własnoręcznie wręczyć mi pięknie kuty srebrny puchar w miejsce czarnej glinianej czarki, tak jakby chciał naprawić swój błąd. Ale ja nie zamieniłem czarki na puchar, lecz zatrzymałem ją w dłoni. Jej kształt wydał mi się dobrze znany. Wino poszło mi do głowy i powiedziałem:

— Nie jestem żadnym świętym mężem. Z pewnością mylicie się co do mnie. Czemuż inaczej dawalibyście mi czarę ofiarną do picia?

Nie odpowiadając, augur rzucił do mnie jabłko granatu, a ja schwyciłem je na płaską glinianą czarkę, nie dotykając go dłonią. Na pół leżałem na moim łożu, oparty na łokciu, a płaszcz ześli-znął się ze mnie tak, że górną część ciała miałem obnażoną, a w lewej zaś dłoni trzymałem czar-

202  
ną glinianą czarkę. W jej okrągłym wgłębieniu spoczywało jabłko granatu, którego nie dotknąłem ręką. Gdy gospodarz to zobaczył, podszedł i włożył mi na szyję gruby wieniec. Był to wieniec z jesionowych kwiatów.

Augur dotknął prawą dłonią czoła i rzekł:

— Masz płomienie wokół głowy, przybyszu!

Odparłem stanowczo:

— To twój zawód widzieć to, czego nie ma, ale wybaczam ci, ponieważ sam częstuję cię winem. Nie widzisz ognia wokół głowy mojej żony?

Staruch przyjrzał się dokładnie Arsinoe, ale potrząsnął przecząco głową i powiedział:

— Nie, to nie ogień, tylko zmienne blaski słońca. Ona nie jest tobie równa.

Nagle spostrzegłem, że zaczynam widzieć przez ściany. Przed moimi oczami twarz Arsinoe zmieniała się i stała się obliczem bogini, a staruch stracił brodę i stał się mężczyzną w sile wieku.

Widziałem także wąskie oczy gospodarza i zmarszczki w kącikach jego oczu, i nie był on już dla mnie tylko gospodarzem gospody, ale raczej mędrce.

Wybuchnąłem śmiechem i rzekłem:

— O co wam chodzi, że wystawiacie na próbę mnie, który jestem obcy?

Staruch przyłożył palec do ust i pokazał na Arsinoe, która ziewnęła głęboko i w tejże chwili zapadła w sen. Augur podniósł się zwawo, dotknął jej powieki i powiedział:

— Śpi słodko i nie dzieje się nic złego. A ty musisz dostać twoje znaki, przybyszu. Nie obawiaj się. Nie spożyłeś żadnej trucizny. Dostałeś tylko do zjedzenia święte ziele, żebyś był gotowy.

Także i ja tego skosztowałem, by widzieć jaśniej. Nie jesteś zwykłym człowiekiem i zwykłe znaki nie są dla ciebie dostateczne. Chodź ze mną na wzgórze.

Mój byt wydawał mi się jasny i nie bałem się niczego, zostawiłem Arsinoe tam gdzie spała i poszedłem za augurem. Tylko w tym się pomyliłem, że przeszedłem przez ścianę prosto na dziedziniec, podczas gdy augur zmuszony był pójść okrężną drogą przez drzwi, tak że spotkałem go na dworze i ujrzałem, jak moje ciało posłusznie podąża w ślad za nim. Powróciłem zaraz do mego ciała, ponieważ mogłem się komunikować ze światem tylko za jego pośrednictwem, nigdy jeszcze nie przeżyłem czegoś tak szalonego i mocno podejrzewałem, że wypilem więcej wina, niż to było zdrowe. Ale nogi nie ugiwały się pode mną i augur zaprowadził mnie z twarzą zaczerwienioną od wina na pobliski plac i pokazał mi laską dom senatu, położone naprzeciwko więzienie i wiele innych osobliwości. Chciał prowadzić mnie dalej świętą drogą, ale po chwili skręciłem w bok, podszedłem do stromej skalnej ściany, ujrzałem okrągłą świątynię o drewnianych kolumnach i dachu z trzciny, rozejrzałem się wokoło i wykrzyknąłem:

— Czuję bliskość świętego miejsca!

Staruch odpowiedział:

— To świątynia Westy. Sześć niezamężnych kobiet strzeże świętego ognia. Żadnemu mężczyźnie nie wolno wejść tam do środka.

Nasłuchiwałem, po czym rzekłem:

— Słyszę szum wody. Tam jest święte źródło.

Staruch nie zatrzymywał mnie dłużej, lecz pozwolił mi wejść przed sobą na kamienne schody wykute w skale i do groty ponad nimi. W grocie stało prastare kamienne naczynie i woda sączyła się do niego ze szczeliny w ścianie. Na skraju naczynia leżały trzy wieńce, tak świeże, jakby dopiero co tam położone. Pierwszy był uwity z gałązek wierzby, drugi oliwki, a trzeci bluszczu.

Augur obejrzał się ze strachem wokół siebie i szepnął: 203

— Nie wolno tu wchodzić. W tej grocie mieszka nimfa Egeria i tu zwykł przychodzić nocną porą jedyny lukumon, który panował w Rzymie, by spotykać się z nią. My Etruskowie nazywamy ją Begoe.

Zanurzyłem obie ręce w zimnej wodzie źródła, opryskałem się nią, włożyłem na głowę bluszczowy wieniec i powiedziałem:

— Wchodźmy dalej na górę. Jestem gotowy.

W tejże chwili w grocie pociemniało i zobaczyłem, że wejście przesłoniła kobieta otulona w szorstką tkaninę. Nie można było powiedzieć, czy jest ona stara, czy młoda, gdyż głowę i twarz miała przykryte płachtą, a i z rąk widać było tylko koniuszki palców, przytrzymujące brązową tkaninę. Przez wąską szparkę przyglądała mi się badawczo, ale zaraz odsunęła się na bok i nie odezwała się do nas.

I nie wiem, jak to się stało, ale właśnie w chwili, kiedy wyszedłem z mroku prastarej groty na jasne światło dzienne, ja, Turms, poczułem po raz pierwszy swoją nieśmiertelność jako pewność na kształt cięcia nożem w samo serce. Usłyszałem burzliwy huk nieśmiertelności w moich uszach, poczułem lodowaty zapach nieśmiertelności w moich nozdrzach, metalowy smak nieśmiertelno-

ści sprawił, że ścierpł mi język, ognisty blask nieśmiertelności zapłonął przed moimi oczyma.

I w chwili, gdy tego doznałem, wiedziałem, że kiedyś tu wrócę, wejdę po tych samych kamiennych schodach, dotknę tej samej wody w źródle i jeszcze raz poznam siebie po tym, co teraz uczyniłem. To wstrząsające przeczucie nie trwało dłużej niż chwilę potrzebną na to, by zdrętwiałymi dłońmi nałożyć sobie bluszczowy wieniec na głowę. A potem znikło.

A ja miałem wieniec bluszczowy na głowie i wieniec z kwiatów na szyi. Spryskałem twarz i ręce lodowato zimną wodą nieśmiertelności. Upadłem na kolana, schyliłem się, by ucałować ziemię i powiedziałem: — Matko, daj mi znak. Oczy moje wciąż jeszcze są ślepe.

Ucałowałem ziemię, ciało mojej macierzy, przeczuwając, że oczy moje kiedyś się otworzą i zobaczą więcej niż ziemię. Zawoalowana kobieta usunęła się przede mną, nie mówiąc słowa, ale kobieta otulona w taki sposób welonem siedziała kiedyś na tronie bogów, a ja całowałem ziemię przed jej stopami. Wiedziałem to, ale nie wiedziałem, czy to było we śnie, czy w rzeczywistości, czy też w jakimś poprzednim życiu.

W tejże chwili delikatna mgła opadła w dolinę między wzgórzami, ociemniła budynki i ukry-

ła plac przed moimi oczami. Nie była to wilgotna mgła jesieni, lecz raczej mgiełka podobna do dymu. Augur ponaglił: — Bogowie nadchodzą. Spieszmy się.

Zaczął się wspinać przede mną stromą skalistą ścieżką i wnet się zadyszał. Nogi zaczęły mu się trząść tak, że musiałem mu pomóc i podeprzeć go. Jasność młodości, którą wino wywabiło na jego twarz, zgasła znowu, poorana się zmarszczkami, a broda rosła mu z każdym krokiem, tak że starzał się coraz bardziej, im wyżej docieraliśmy, aż w końcu stał się na moich oczach sędziwy jak stary dąb.

Na szczycie wzgórza było jasno, ale arena w cyrku, położonym głęboko pod nami po drugiej stronie wzgórza, leżała otulona mgiełką. Moje kroki zaprowadziły mnie bez wahania w kierunku wytartego do połysku głazu zarytego w ziemię. Augur zapytał: — Wewnątrz murów?

— Tak, wewnątrz murów — odparłem. — Jeszcze nie jestem wolny. Jeszcze nie czuję się sam sobą.

— Wybierasz północ czy południe?

— Nie wybieram. Północ wybrała mnie.

Usiadłem na kamieniu twarzą zwrócony ku północy, i zdaje mi się, że nawet gdybym chciał, nie mógłbym usiąść zwrócony ku południu. Tak potężna była moc we mnie, mimo że tylko przeczuwałem siebie samego.

204

Staruch usiadł po mojej lewej stronie z gładką laską pasterską w prawej ręce, wymierzył i ustalił strony świata i wymienił ich nazwy, ale nie mówił, na jakie ptaki czeka i skąd przyleca.

— Czy zadowolisz się tylko odpowiedzią potwierdzającą albo odmowną? — zapytał tak, jak augur powinien zapytać.

— Nie — odparłem. — Bogowie przyszli. Ja nie jestem związany, ale oni winni dać mi znaki.

Augur przykrył głowę, przełożył laskę do lewej ręki, prawą rękę położył mi na głowie i czekał.

W tejże chwili przyszedł lekki podmuch wiatru, poruszył liście, i zielony listek dębu spadł między moje stopy. Gdzieś daleko, na innym wzgórzu, usłyszałem słabo chrapliwe gęganie gęsi. Pies przebiegł przed nami z nosem przy ziemi, okrążył nas i znikł znowu, jak gdyby pilnie idąc za śladem. Było to tak, jakby bogowie współzawodniczyli ze sobą, by okazać swą obecność, gdyż nieco dalej dał się słyszeć wśród ciszy odgłos spadającego jabłka, a po mojej stopie przebiegła szybko wijąc się jaszczurka i znikła w trawie. Zdaje mi się, że także siedmioro innych bogów było obecnych, choć nie dawali wyraźnego znaku swojej obecności. Czekałem jeszcze przez chwilę, a potem wezwałem bogów, którzy dali się poznać:

— Panie obłoków, poznaję cię. Łagodnooka, poznaję cię. Szybkostopy, poznaję cię. Zrodzona z piany, poznaję cię. Podziemna, poznaję cię.

Augur powtórzył święte i prawdziwe imiona tych pięciorga bogów, a potem przyszły znaki.

Z szuwarów rzeki wyfrunęło, głośno krzycząc, stado wodnych ptaków i zniknęło z wyciągnię-

tymi szejami ku północy.

Augur powiedział: — Twoje jezioro.

Jastrząb, który krążył wysoko w górze, spadł nagle w dół i wzbił się znowu w niebo. Stado gołębi bijąc skrzydłami wynurzyło się z mgły i poleciało szybko na północny wschód.

Augur powiedział: — Twoja góra.

Nadleciało teraz stado czarnych kruków i krążyło leniwie nad nami.

Augur policzył je i powiedział:

— Dziewięć lat.

Potem znaki ustały, a na moją stopę wdrapał się czarny i żółty żuk-grabarz.

Augur przykrył znowu głowę, wziął laskę do prawej ręki i powiedział:

— Twój grób.

W ten sposób bogowie przypomnieli mi zazdrośnie o śmiertelności mego ciała i usiłowali mnie nastraszyć. Ale ja odrzuciłem żuka-grabarza od siebie kopniakiem i rzekłem:

— Przedstawienie skończone, starcze. Nie dziękuję ci za te znaki, bo to nie jest w zwyczaju.

Pięcioro było bogów i tylko jeden, pan piorunów, płci męskiej. Trzy były znaki, dwa pokazywały moje miejsca, a trzeci trwałość mojej niewoli. Ale bogowie ci byli ziemskimi bogami. Ich znaki dotyczyły tylko tego życia. Przypomnieli mi oni o śmierci, ponieważ tylko oni znają los człowieka, którym jest śmierć. Także oni sami żyją i działają tylko przez czas i przestrzeń, jak przez dwa ciasne otwory. Podobnie jak człowiek, są związani z ziemią i dlatego człowiekowi równi mimo swej nieśmiertelności. Ale ja chcę wielbić bogów osłoniętych mgłą.

Augur powiedział ostrzegawczo:

— Nie mów o nich głośno. Wystarczy wiedzieć, że istnieją. Nikt nie może ich poznać. Ani nawet bogowie.

Odparłem:

— Ziemia ich nie krępuje. Czas i przestrzeń ich nie krępuje. Wywierają wpływ na ludzi, władają nad nimi.

— Nie mów o nich — ostrzegł mnie augur jeszcze raz. — Istnieją. To wystarczy.

Kiedy zesliśmy na dół, mgła się rozproszyła, jesienne słońce zaczęło świecić i zgiełk z miasta oraz ryk bydła dochodziły znowu do naszych uszu. Z każdym krokiem coraz bardziej przytłaczało mnie ołowiane zmęczenie i zacząłem marznąć. Codzienna rzeczywistość owinęła się wokół

mnie niczym zbyt ciężka i zbyt ciasna szata. Moje jasnowidzenie zgasło i nie widziałem już, nie czułem i nie słyszałem w taki sam sposób jak na szczycie wzgórza.

2

Wróciliśmy na ulicę Etrusków i weszliśmy znowu razem do gospody, by augur mógł otrzymać swój dar. Gospodarz przywitał nas z zakłopotaną miną, załamywał ręce i powiedział:

— Dobrze, że już przyszedłeś, przybyszu. W moim domu dzieją się dziwy, których nie pojmuję. Nie wiem, czy mogę przyjąć ciebie i twoją rodzinę pod swój dach. Szkodzi mi to w moim zawodzie, gdy ludzie zaczynają bać się tego domu.

Niewolnicy roili się wokół niego i krzyczeli, że wiele przedmiotów pospadało ze ścian, a bóg domowy odwrócił się plecami do ogniska, kotły i garnki same z siebie szczękały w kuchni, a ro-

żen zaczął wirować tak, iż pieczeń spadła do ognia. Poszedłem spiesznie do izby, gdzie jedliśmy posiłek. Arsinoe siedziała na brzegu łoża i zajadała ze skruszoną miną jabłko, a na stołku o brązowych nóżkach u jej boku siedział skulony staruch, który palcem wskazującym podnosił swą opadającą prawą powiekę. Bąbelki śliny sączyły mu się z kącika wykrzywionych ust. Odziany był

w wyblakły obramowany purpurą płaszcz i nosił pierścień na kciuku. Gdy mnie zobaczył, zaczął

mozolnie opowiadać coś w języku tego miasta, ale gospodarz prosił go, aby przestał, i wyjaśnił:

— To jeden z ojców miasta, brat przyjaciela ludu Publiusza Waleriusza, Tercjusz Waleriusz.

Wydarzenia ostatnich lat ciężko go doświadczyły, gdyż był zmuszony kazać zabić obu swoich synów zgodnie z prawem, które zaproponował jego brat, a senat zatwierdził. Był dopiero co w senacie, gdy tłum podniósł tam wrzawę, a trybunowie ludu postawili Gnejusa Marcjusza, po-gromcę Wolsków, przed sąd. Tak go to przygnębiło, że stracił przytomność i przyniesiono go tu, ponieważ jego niewolnicy nie wazyli się nieść go długą drogą do jego własnego domu. Wróciwszy do przytomności, zobaczył swoją żonę, mimo że umarła już dawno temu z żałoby po synach.

Staruch sam przeszedł na język etruski i zapewniał:

— Widziałem moją żonę żywą, dotykałem jej rękami i rozmawiałem z nią o rzeczach, o któ-

rych wiemy tylko my dwoje. Nie ma wątpliwości, że to była moja żona. Nie wiem, co to ma znaczyć, ale potem wszystko pociemniało i moja żona zmieniła się w tę oto kobietę przede mną.

Gospodarz powiedział:

— Najbardziej zdumiewające jest to, że kilka chwil wcześniej ja sam też zobaczyłem moją żonę,

choć wiem, że w tej chwili przebywa ona u swoich krewnych w Veji, a Veji leży o ponad dzień podróży stąd. Na własne oczy widziałem ją jednak, jak chodziła po atrium, poprawiała penaty i muskała palcem pod ławami, jak to zwykła robić, by sprawdzić, czy niewolnicy wycierają starannie kurze. Dopiero gdy przybiegłem, by ją uściskać, ujrzałem, że jest to ta kobieta, która zbudziła się ze snu i chodziła po izbie.

Arsinoe rzekła:

— On kłamie i kłamią obydwaj. Zbudziłam się dopiero przed chwilą i nie pamiętam nic takiego. Jest tylko ten staruch, który siedzi i gapi się na mnie, aż cieknie mu ślina, ale nie próbował przespać się ze mną i nie dałby temu też rady.

Rozgniewany burknąłem:

— Swoimi sztuczkami potrafisz przewrócić do góry nogami każdy dom, ale może bogini obrała sobie za siedzibę twoje ciało kiedy spałaś, tak że nic o tym nie wiesz.

206

Tercjusz Waleriusz był na tyle wykształcony, że znał kilka słów po grecku, zwróciłem się więc do niego i oświadczyłem:

— Widziałeś twoją zjawę w stanie zamroczenia. Ze wzruszenia na rynku pękła ci żyłka w głowie. Widzę to po twojej opadającej powiece i zdrętwiałym kąciku ust. Twoja żona objawiła ci się w postaci mojej żony, żeby cię prosić, byś dbał o swoje zdrowie i nie mieszał się do sporów, które mogą ci tylko zaszkodzić. Nic więcej nie może to oznaczać.

Tercjusz Waleriusz zapytał:

— Czy jesteś lekarzem?

— Nie jestem — odparłem — ale mój najlepszy przyjaciel był jednym z najsłynniejszych lekarzy na Kos. Wiedział, że niejaki Almajos w naszych dniach udowodnił, iż wewnętrzne uszkodzenia w głowie oddziałują na różne części ciała. Twoja choroba tkwi w czaszce i to małe porażenie twarzy jest tylko jej oznaką, a nie samą chorobą. Tak mówią.

Tercjusz Waleriusz zastanowił się, powziął decyzję i rzekł:

— Jest rzeczą wyraźną, że bogowie posłali mnie tu, bym spotkał twoją żonę i ciebie samego, i uzyskał spokój serca. Wierzę mojej żonie. Gdybym niegdyś w porę wierzył jej słowom, obaj moi synowie żyliby do dziś. Żądza sławy zaślepiła mnie, zdawało mi się, że jestem równy moim braciom i nie zadowalałem się milczeniem o sprawach publicznych. Teraz moje ognisko ostygło, moja starość jest bez radości, a boginie zemsty szepczą mi do uszu, gdy siedzę sam w ciemności.

Ujął rękę Arsinoe w swoją szeroką dłoń i ciągnął:

— Chodźcie ze mną oboje do mojego domu jako moi goście. Mam już dość pleciug, moi niewolnicy są krnąbrni, moi zarządcy oszukują mnie, a moi krewni czekają tylko na moją śmierć i dziedzictwo po mnie. Dlatego wezmę raczej do mego domu dwoje zesłanych przez bogów obcych przybyszy niż moich własnych ziomków.

Gospodarz wziął mnie na bok i ostrzegł:

— To czcigodny człowiek, właściciel tysięcy morgów ziemi ornej. Ale od dawna już jest zdiecinniały i ten atak choroby nie poprawi jego rozumu. Wątpiłbym w jego widzenie, gdybym sam nie miał podobnego przed chwilą. Ściągniesz na siebie wrogość jego krewniaków, jeśli pójdziesz z nim jako jego gość.

Zastanowiłem się nad tym i odparłem w końcu:

— To nie moja rzecz nie ufać temu, co się dzieje i dać się powodować tchórzostwu. Dziękuję ci za twoją gościnność i proszę, zapisz na mój rachunek wszystko, co jestem ci winien. Pójdę z tym starcem, a moja żona dopilnuje, żeby znalazł się w łożu, i nasza własna służąca będzie go doglądać. Taka jest moja decyzja.

Droga nie była daleka. Wkrótce już staliśmy na dziedzińcu starodawnego domu Tercjusza Waleriusza. Przykuty do bramy niewolnik odźwierny był równie stary i trzęsący się jak jego pan, hak, do którego był przykuty, od dawna już rozluźnił się w zmurszałym słupie bramy, tak że tylko na pozór tkwił na swoim miejscu, gdy do domu przychodzili goście, kiedy indziej natomiast odźwierny kuśtykał po dziedzińcu albo po ulicy przed domem i wygrzewał bezsilne ciało na słońcu.

Niewolnicy wnieśli lektykę aż do atrium. Arsinoe łagodnie zbudziła Tercjusza Waleriusza.

Na jego oczach dotknęliśmy ogniska i pozdrowiliśmy domowe penaty i przez pomyłkę także niezgrabną rzeźbę przedstawiającą mężczyznę i kobietę orzących pole zaprzęgiem wołów. Nie miała ona żadnego znaczenia jak tylko to, że Tercjusz Waleriusz lubił na nią patrzeć i chętnie pokazywał

ją gościom, żeby wskazać na swoje skromne obyczaje i źródło swego bogactwa.

Kazaliśmy niewolnikom pospiesznie przenieść go do łoża i przynieść miskę z żarem, by ogrzać na wpół ciemną komnatę. Przyszli wlokąc także podarte derki końskie i stare sfilcowane skóry owcze, by przykryć i ogrzać nimi staruszkę. Dumny ze swoich surowych obyczajów zwykł był

207

kiedy indziej spać na zwykłym sienniku pod jedną derką. Widać było po wszystkim, że jego gospodarstwo znajdowało się w ruinie i że zajmowali się nim tylko bezsilni od starości niewolnicy.

Z głębokim westchnieniem osunął się teraz na łoże i przyłożył policzek do poduszki, pamiętał

jednak, by powiedzieć niewolnikom, że we wszystkim mają słuchać nas, jego gości i przyjaciół.

Potem przyciągnął nas do siebie, a kiedy pochyliliśmy się nad nim, pogładził po włosach Arsinoe i z



grzeczności także i mnie. Arsinoe położyła mu dłoń na czole i powiedziała, że powinien spać.

Usnął też zaraz i nie mogliśmy dla niego uczynić nic więcej.

Wróciwszy do sali, kazaliśmy niewolnikom, by udali się do gospody lektyką i przynieśli Hanne, Misme i nasze rzeczy. Traktowali nas z niechęcią i trzęśli tylko głowami, jak gdyby nie rozumieli, co mówiłem. Ale gdy spojrzałem najstarszemu słudze ostro w oczy, schylił przed nami siwowłosą głowę, złożył dłonie i przyznał, że i on jest z pochodzenia Etruskim i wciąż jeszcze dobrze rozumie po etrusku, choć Rzymianie unikają mówienia tym językiem publicznie po wygnaniu króla. Najzapalczywsi z nich nie chcieli nawet, by ich dzieci uczyły się dawnej mowy. —

Ale — dodał — najznamienitsi nadal posyłają swoje dzieci w młodzieńczym wieku na jakiś czas do Veji albo do Tarkwinii, by nauczyły się ogłady i dobrych obyczajów, czynią to zwłaszcza rodzice, w których rodzinie opiekowano się jakąś odziedziczoną funkcją ofiarną, którą należało wykonać określonymi świętymi słowami.

Gdy niewolnicy wyruszyli w drogę z lektyką, zarządca domu rzucił najpierw mnie, a potem Arsinoe nieoczekiwane ostre spojrzenie i powiedział:

— Ród Waleriuszy pochodzi niedaleko stąd, z Volsini. Mam tu na myśli Volsinię na górze, a nie święte miasto nad jeziorem.

Potrząsnąłem głową i odparłem z uśmiechem, że nie wiem nic o miastach etruskich. Jestem przecież obcym przybyszem, który dopiero co przybył przez morze, i sam Rzym też jest dla mnie nieznanym miastem.

Przyjrzał mi się, szeroko otwierając oczy, przyłożył spiesznie dłoń do czoła i podniósł w górę prawą rękę.

— Wcale nie jesteś obcy — rzekł stanowczo. — Poznaję twój uśmiech, poznaję twoją twarz.

Rozgniewałem się. — Przestań pleść — burknąłem ostro. — Już mnie to znużyło. Pokaż raczej mojej żonie dom, gdzie zapewniono nam gościnność twego pana.

Opuścił ręce jakby nagle zmęczony i rzucił mi znowu badawcze spojrzenie.

— Jak chcesz — powiedział miękko. — Powiedz mi więc twoje imię i ród oraz imię twojej żony i skąd przychodzicie, żebym zachował się i zwracał się do ciebie i twojej małżonki, jak należy.

Nie miałem ochoty ukrywać mego prawdziwego imienia przed zarządcą domu, który cieszył się zaufaniem Waleriusza.

— Nazywam się Turms — odparłem — i przybywam z Efezu. Jak się domyślasz, jestem zbiegiem z Jonii. Moja żona ma na imię Arsinoe. Mówi tylko po grecku i językiem morza.

— Turms — powtórzył. To nie jest greckie imię. Jak to możliwe, by Jończyk umiał mówić świętą

mową.

— Jesteś uparty — odrzekłem, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. — Nazywaj mnie jak chcesz.

Położyłem mu życzliwie dłoń na ramieniu, a on zadrżał wskutek tego dotknięcia.

— W swoim własnym języku Rzymianie przekręcają Turms na Turnus — powiedział. — Najlepiej będzie, byś tutaj nazywał się Turnus. Nie będę cię o nic więcej pytał, tylko służył ci według najlepszych możliwości. Wybacz mi moje pytania, to przecież przywara starości. Ale dziękuję ci, żeś dotknął mnie, prostego człowieka.

208

Wyprostował plecy i szedł teraz przed nami bez trudu, i wskazał nam komnatę w domu. Prosiłem go, by mówił po łacinie, która była językiem tego miasta, ażebym mógł się jej nauczyć.

Podawał nazwy każdego przedmiotu i mebla najpierw po łacinie, a potem po etrusku. Ucząc się w ten sposób przez najbliższe dni łaciny, nauczyłem się, dziwna rzecz, także jeszcze lepiej po etrusku. Arsinoe tak uważnie dotrzymywała mi pola w nauce, że zdawałem sobie sprawę, iż chce rozmawiać z Tercjuszem Waleriuszem w jego języku i bałem się najgorszego. Ze względu na nią musiałem też powtarzać nazwę każdej rzeczy po grecku i stary zarządca domu nauczył się w ten sposób po grecku, ucząc nas łaciny, a to wprawiło go w wielką dumę.

3

Atak Tercjusza Waleriusza nie powtórzył się już, choć bardzo się tego spodziewali jego krewni, którzy długo musieli znosić urągania i drwiny z powodu tego krewniaka, uważanego za niespełna rozumu. Już jako mały chłopak okazał się on takim niezdara przy swoich obu uzdolnionych braciach, że nazywano go całkiem po prostu Tertius, trzeci syn. W senacie jego przezwisko brzmiało Brutus, co znaczy tępy. A jednak żaden nieuzdolniony człowiek nie może zebrać takich dóbr ziemskich i bogactw, jakie miał Tercjusz Waleriusz.

Dzięki bliskości Arsinoe i tej prostej opiece, jaką mogłem mu dać, Tercjusz Waleriusz szybko wyzdrowiał i okazywał nam obojgu głęboką wdzięczność. Kiedy minęło jego zaćmienie umysłu, nie brał już Arsinoe za swoją zmarłą żonę, choć bardzo dobrze pamiętał, że tak robił. Ale wierzył, że to duch jego żony przez chwilę objął w posiadanie ciało Arsinoe z troski o niego.

Kiedy znów stanął na nogi, kazałem wprawnemu masażyście zająć się jego twarzą, tak że powieka nie opadała mu już tak bardzo jak przedtem. Z suniętego w dół kącika ust nadal skapywała mu wprawdzie ślina, ale Arsinoe miała zawsze pod ręką ogrzany ręcznik i ocierała mu często brodę niczym najczulsza córka. Zajęła się też gospodarstwem, dając cierpliwie rady starym niewolnikom i służącym, tak że staruch dostawał zdrowsze pożywienie niż dotychczas, komnatę sprzątano codziennie, penaty odkurzano, a naczynia utrzymywano w czystości. Prawie nie poznawałem Arsinoe, gdyż nigdy dotychczas nie zauważyłem, by znała się na gospodarstwie domowym. Kiedy się temu dziwiłem, powiedziała:

— Ach, Turmsie, jak mało mnie znasz. Czyż nie mówiłam ci zawsze, że jako kobieta pragnę tylko bezpieczeństwa i dachu nad głową, i kilku służących, by im rozkazywać. Teraz dostałam to wszystko od tego wdzięcznego staruszka i niczego już więcej nie pragnę.

Lecz mnie to nie cieszyło, że kiedy kładłem się przy niej w nocy, poddawała się wprawdzie pokornie moim pieścizotom, mimo to jednak wyraźnie myślała cały czas o czymś innym. Na ogół powinienem być być zadowolony, gdyż jeśli coś ją niepokoiło, wynikały z tego same tylko przykrości. Ale ja narzekałem gorzko i po kilku dniach Arsinoe odparła mi tak:

— Ach, Turmsie, czyż nigdy nie mogę postąpić tak, żebyś był zadowolony? Okazuję ci przecież chętnie, że wciąż jeszcze cię kocham i dostajesz wszystko, co chcesz. Musisz mi wybaczyć, jeśli sama nie mam siły brać w tym udziału, ale twoje zaślepienie i moje własne ciało przysporzy-

ło mi już dość cierpienia. To okropne życie w lasach Sikanów sprawiło, iż zrozumiałam, że każde inne bytowanie jest lepsze. Trawiąca mnie namiętność do ciebie wtrąciła mnie przecież w warunki godne najprostszej barbarzyńskiej kobiety. Teraz wreszcie czuję się bezpieczna. Bezpieczeństwo jest najwyższym szczęściem kobiety. Pozwól mi więc dalej trwać w tym, co jest teraz.

Jeśli chodzi o wydarzenia w mieście mogę wspomnieć, że to samo zgromadzenie, które przyprawiło Tercjusza Waleriusza o pęknięcie żyłki w głowie z podniecenia, postawiło później swego byłego bohatera Gnejusa Marcjusza przed sąd. Niegdyś ścigał on samotnie uciekających Wolsków i wdarł się przez otwartą bramę miejską w Corioli, podpalił najbliższe domy i udało mu się utrzy-

mać bramę otwartą, dopóki jazda nie przyszła mu z odsieczą. Otrzymał za to honorowe imię Koriolan i prawo brania udziału w triumfie, stojąc u boku konsula. Teraz pociągnięto go do odpowiedzialności i oskarżono o pogardę dla ludu i tajemne dążenie do wprowadzenia dyktatorstwa w Rzymie. Było prawdą, że czuł on głęboką gorycz do ludu, gdyż po wyprawie do świętej góry plebejusze splądrowali jego dom i spalili majątek ziemski pośród wielu innych, a jemu samemu kazali też iść w jarzmie, a on w swej dumie nie umiał im przebaczyć tej zniewagi. Plebejusze uspokoili się potem, wybrawszy dwóch trybunów ludowych, którzy mieli prawo przerwać każdą czynność urzędową, jeśli uważali, że narusza ona przywileje ludu. Ale Koriolan zmuszał trybunów do schodzenia mu z drogi, gdy spotkał ich na ulicy, spluwał przed nimi i popychał ich. Stąd gniew.

Koriolan zdawał sobie dobrze sprawę, że bracia z jego własnego stanu nie zdołają go uchronić przed gniewem ludu w czasie procesu. Bojąc się o życie, uciekł pewnej nocy z domu strzeżonego przez liktorów, przelazł przez mur miejski, ukradł konia ze stajni we własnym majątku ziemskim i konno przekroczył w nocy granicę południową do kraju Wolsków.

Opowiadano w mieście, że Wolskowie przyjęli go z najwyższymi oznakami szacunku, odziali w nowe szaty i pozwolili mu złożyć ofiarę bogom miejskim Wolsków. Rzymska sztuka wojenna była tak słynna wśród pogranicznych ludów, że było zrozumiałe, iż Wolskowie z otwartymi ramionami przyjęli rzymskiego wodza, by oddziały ich nauczyły się od niego sztuki wojennej.

Tejże samej jesieni siedmiodniowe święto w cyrku trzeba było powtórzyć na nowo, gdyż został popełniony jakiś błąd w ciągu obchodów pierwszych jego dni i bogowie wyrazili swoje niezado-

wolnienie złym znakiem. Senat zgodził się raczej na koszty drogich igrzysk jeszcze raz, niż uraził-

by bogów. Ale Tercjusz Waleriusz wyraził jadowite przypuszczenie, że senat chciał dać ludowi coś nowego do myślenia i dlatego uznał znak.

Zaledwie w kilka dni później, kiedy w mieście panował jeszcze leniwy i przytłoczony nastrój po długim świętowaniu, a i ja sam czułem się przygnębiony i myślałem o tym, że jestem niczym, Arsinoe przysłała do mnie podniecona. Ledwie ją poznałem, tak surową miała minę. Jej twarz była jak z białego marmuru i nie była już piękna, lecz wzbudzała zgrozę jak Gorgona.

— Turmsie — zapytała. — Czyś widział Hannę w ostatnim czasie? Zauważyłeś coś szczególnego?

Nie zwracałem większej uwagi na Hannę, choć czułem czasem jej bliskość i jasne spojrzenie, kiedy bawiłem się z z Misme. Niewiele też słów zamieniliśmy ze sobą.

— Nie, a co takiego? — zapytałem zdumiony. — Tak, może wygląda trochę szczuplejsza na twarzy. Chyba nie jest chora?

Arsinoe plasnęła niecierpliwie rękami.

— Czy wy, mężczyźni, jesteście wszyscy ślepi?! — wykrzyknęła złośliwie. — Wprawdzie i ja sama byłam równie ślepa, ufając tej ciemnoskórej Elymijce. Sądziłam, że dałam jej dobre wychowanie. A ona i tak jest teraz w ciąży.

— W ciąży, w ciąży?! — pytałem zaskoczony.

— Przyjrzałam jej się bliżej i urządziłam przesłuchanie — wyjaśniła Arsinoe. — Zmuszona była się przyznać. Wnet nikt już nie będzie mógł nie dostrzec jej stanu. Głupia dziewczka sądziła naturalnie, że potrafi oszukać mnie, swoją panią, i sama się sprzeda. A może była jeszcze głupsza i przespała się z jakimś liktorem lub zapaśnikiem z czystej życzliwości. Ale, na Stygijczyka, ja ją nauczę.

Dopiero wtedy przypomniałem sobie i poczułem własną winę jak ukłucie w sercu. By pocieszyć się w samotności, szukałem ciepła w jej nietkniętym ciele w ów wieczór w porcie w Panormos. Ale byłem przecież bezpłodny, przekonała mnie o tym Arsinoe. Ode mnie Hanna nie mogła 210

zajść w ciążę. Otworzyłem tylko drogę. Moją winą było jednak w każdym razie, że popadła w pokusę w takim mieście jak Rzym. Lecz nie mogłem przecież wyznać tego Arsinoe.

Arsinoe uspokoiła się, pomyślała o sprawie chłodniej i powiedziała:

— Ona zawiodła moje zaufanie. Jakąż cenę mogłabym dostać za nią nietkniętą. Jak dobrze mogłabym wszystko dla niej urządzić. Ile też mogłaby zarobić. Nawet wykupić się kiedyś później według rzymskiego prawa. Ale ciężarna niewolnica? Taką kupi co najwyżej jakiś właściciel ziemski, by uzyskać więcej siły roboczej, a może i samemu później powiększać swoją trzódkę, jeśli dziewczyna wygląda przyjemnie. Na co przyda się jednak płacz nad stłuczonym dzbanem. Teraz sprzedamy ją bez zwłoki i będzie spokój. Każdy kęs, który odtąd przełknie, każdy kawałek materiału, który zużyje, to wyrzucone pieniądze. A co ty uważasz, Turmsie?

Przerażony powiedziałem, że Hanna opiekuje się jednak dobrze Misme i że Arsinoe nie potrzebuje się troszczyć o jej utrzymanie, gdyż nie my, lecz Tercjusz Waleriusz o to się troszczy.

Arsinoe wydała przenikliwy okrzyk wściekłości z powodu mojej głupoty, potrząsnęła mnie za ramiona i oświadczyła:

— Głupcze, czy ty chcesz mieć dziewczkę za opiekunkę dla dziecka? I jak myślisz, jakich ona nauczy dziecko obyczajów? Co też pomyśli o nas Tercjusz, skoro nie potrafimy upilnować naszej niewolnicy. Sami zjadamy dostatecznie dużo i nadwerężamy jego dochody, nie dając mu nic w zamian, przynajmniej ty. Nie nadajesz się do mówienia o pieniądzach, Turmsie. Byłoby z naszej strony haniebne, gdybyśmy jakoś nie troszczyli się o sakiewkę Tercjusza Waleriusza. Ale przede wszystkim trzeba dziewczynę wychłostać, i sama dopilnuję, by nie było tu żadnego oszukaństwa.

I również teraz nie mam nic do powiedzenia na swoją obronę, jak tylko to, że wszystko stało się zbyt szybko, bym zdążył wkroczyć, sparaliżowany moim własnym poczuciem winy. Gdy Arsinoe spiesznie odeszła, siedziałem dalej z głową w dłoniach i wpatrywałem się w kolorowe płyty kamienne posadzki. Ocknąłem się z moich poplątanych myśli dopiero, gdy usłyszałem krzyk bólu z dziedzińca. Wybiegłem ślepo i zobaczyłem Hannę przywiązaną do słupa, z rękami spętanymi rzemieniem, a stojący niewolnik z wielkim zadowoleniem chłostał ją po plecach różgą, aż pręgi występowały na jej gładkiej skórze.

Nie panując nad sobą z gniewu podbiegłem i wyrwałem różgę z dłoni niewolnika, i uderzy-

łem go w twarz, tak że z jękiem cofnął się w tył. Arsinoe stała obok mnie, drżąc z podniecenia i zaczerwieniona na twarzy.

— Dość tego — powiedziałem. — Sprzedaj dziewczynę, jeśli chcesz, ale musi być sprzedana uczciwemu mężczyźnie, który dobrze się nią zaopiekuje.

Gdy ustały uderzenia różgi, Hanna osunęła się na kolana, wciąż jeszcze trzęsąc się od szlochów, choć usiłowała go powstrzymać. Arsinoe tupnęła o ziemię z oczyma rozwartymi tak, że lśniły białka i wykrzyknęła:

— Nie mieszaj się do tego, Turmsie! Najpierw dziewczyna musi się przyznać, kto ją zepsuł

i z wieloma już spała, a także gdzie ukryła zarobione pieniądze. Czy nie pojmujesz, że to są nasze pieniądze i że możemy także od uwodziciela domagać się odszkodowania i zagrozić mu procesem?!

Wtedy uderzyłem Arsinoe otwartą dłonią w twarz. Uczyniłem to pierwszy raz i sam się mocno tego przestraszyłem. Arsinoe zrobiła się szara jak popiół i twarz jej wykrzywiła się przerażająco, ale ku memu zdumieniu uspokoiła się. Wydobyłem nóż, by odciąć Hannę od słupa, ale Arsinoe dała niewolnikowi znak i powiedziała:

— Nie przecinaj niepotrzebnie wartościowego rzemienia. Niewolnik może przecież rozwiązać węzły. Jeśli już ta dziewczyna jest ci tak droga, że nie chcesz nic wiedzieć, bardzo dobrze. Może-my ją zaprowadzić prosto na bydłęcy targ z sznurem na szyi i sprzedać. Sama pójdę i dopilnuję, 211

by dostała przyzwoitego pana, choć nie zasłużyła na to. Ale ty zawsze byłeś słaby, a ja muszę przecież robić tak, jak chcesz.

Hanna podniosła oczy o powiekach spuchniętych od płaczu. Zagryzła wargi do krwi, gdyż odmówiła powiedzenia czegokolwiek, choć tak łatwo by jej było zwalić całą winę na mnie, przez to że ja byłem pierwszy. Ale w jej wzroku nie było żadnego oskarżenia. Patrzyła tylko na mnie tak, jakby była szczęśliwa, że mogła jeszcze raz widzieć mnie takiego, jakim jestem kiedy wziąłem ją w obronę.

Tchórzliwa ulga ogarnęła mnie, gdy nasze spojrzenia się zetknęły, i nie przyszło mi na myśl, że nie można ufać Arsinoe. Mimo to byłem na tyle nieufny, że zapytałem:

— Przysięgasz, że dopilnujesz dobra dziewczyny, sprzedając ją, nawet gdybyś w ten sposób dostała za nią gorszą cenę?

Arsinoe spojrzała mi prosto w oczy, wciągnęła głęboko oddech i zapewniła:

— Naturalnie. Obojętna cena, bylebyśmy się jej pozbyli.

W tej chwili przybiegł niewolnik z zwykłym dużym płaszczem rzymianek i narzucił go na jej głowę i ramiona. Niewolnik stajenny poderwał Hannę na nogi, zarzucił jej na szyję pętlę liny i za chwilę byli już za bramą z niewolnikiem na czele prowadzącym Hannę za sobą, a Arsinoe szła za nimi ciasno otulona swoim płaszczem. Podbiegłem kilka kroków, chwyciłem Arsinoe za ramiona i zatrzymawszy ją, prosiłem:

— Dowiedz się przynajmniej imienia i miejsca zamieszkania nabywcy, żebyśmy wiedzieli, dokąd poszła Hanna.

Arsinoe przystanęła, potrząsnęła głową i powiedziała całkiem łagodnie:

— Drogi Turmsie, wybaczam ci twoje brzydkie zachowanie, bo to rozumiem. Wszystko to jest dla ciebie widocznie czymś takim, jak gdybyśmy byli zmuszeni z miłosierdzia uśmiercić ulubione zwierzę, psa albo konia, do którego się przywiązałeś. Ale czyż dobry gospodarz nie powierza takiego zadania godnemu zaufania przyjacielowi, nie chcąc wiedzieć, jak i gdzie to się stało albo gdzie zwłoki zostały pochowane. Dla ciebie samego, z myślą o twoich własnych uczuciach, najlepiej będzie, żebyś nie wiedział, gdzie znajduje się dziewczyna. I żebyś odtąd już nie myślał

o niej. Ufaj mi, Turmsie. Załatwię wszystko najlepiej, tak jak tego chcesz, ponieważ jesteś taki wrażliwy.

4

Taki pewnie był sens, że miałem spędzić dziewięć lat, jak mi to wywróżyły kruki, w moich własnych murach bez przyznania się przed samym sobą, kim jestem, ażebym mógł nauczyć się życia i osiągnąć odpowiedni wiek. Z pewnością dlatego też postanowione zostało z góry, że Arsinoe zostanie moją towarzyszką, bo chyba żadna inna kobieta nie zdołałaby utrzymać mnie tak długo w kajdanach ziemi i codziennego rozsądku. Jej też zasługą było, że Tercjusz Waleriusz wziął mnie pewnego dnia na bok, by porozmawiać ze mną w cztery oczy na swój łagodny starczy sposób.

— Turmsie, mój drogi synu — powiedział życzliwie. — Wiesz, że przywiązałem się do ciebie, a pobyt twojej żony w moim domu rozjaśnia dni mojej starości. Ale atak choroby na forum w czasie rozruchów był dla mnie zdrowym przypomnieniem o mojej śmiertelności i sam wiesz, że mogę paść nieżywy na ziemię w każdej chwili. Dlatego jestem zmartwiony, myśląc o twojej przyszłości.

— Widzisz, Turmsie — ciągnął drżącym starczym głosem — to, że tak bardzo cię lubię, pozwala mi powiedzieć ci na prawach starości, że życie, które prowadzisz, nie jest godne mężczyzny.

212

Musisz zebrać się w sobie. Zdążyłeś już dostatecznie rozejrzeć się wokoło, by poznać zwyczaje i obyczaje w Rzymie. Języka nauczyłeś się o wiele lepiej niż byle jaki Sabińczyk albo inny wieś-

niak przesiedlony do Rzymu dla zwiększenia ludności miasta. Możesz występować jako Rzymianin, kiedykolwiek sam zechcesz.

Zaczął drżeć na całym ciele i ślina kapała mu ze skrzywionych ust. Weszła Arsinoe, tak jakby przypadkiem przechodziła obok drzwi, otarła mu brodę lnianym ręcznikiem, pogładziła go po rzadkich włosach i zapytała ostro:

— Nie męczysz chyba naszego gospodarza ani nie robisz mu przykrości?

Tercjusz Waleriusz przestał zaraz drżeć, gdy Arsinoe wzięła go za rękę, spojrzał na nią czule i powiedział:

— Nie, moja córko, on wcale mnie nie męczy, to raczej ja męczę jego moim gadulstwem. Mam dla ciebie propozycję, Turnusie. Jeśli chcesz, mogę ci się postarać o rzymskie prawa obywatelskie w jakiejś dość dobrej Tribus. Jako plebejuszowi naturalnie, ale posiadałeś dowodnie dość dużo wtedy, gdy przybyłeś do Rzymu, by odpowiadało to granicom majątkowym dla ciężkozbrojnych.

Do jazdy nie możesz zostać przyjęty, gdyż jazda to odmienna sprawa. Ale jako ciężkozbrojny możesz zarabiać, a według tego, co opowiadała twoja żona i o czym świadczą twoje własne blizny, masz doświadczenie wojenne. To okazja dla ciebie, Turnusie. Potem wszystko już zależy od ciebie. Ale brama świątyni Janusa stoi zawsze otwarta.

Wiedziałem, że groźna wojna stoi przed drzwiami, ponieważ zdrajca kraju Koriolan szkolił

Wolsków w rzymskim rzemiośle wojennym. Był nawet taki chytry, że wysłał oddziały, by płądrowały rzymską prowincję, gdzie paliły one zagrody zwykłych wieśniaków, ale oszczędzały dobra patrycjuszy. Prości ludzie, z natury rzeczy nie ufający patrycjuszom, przypuszczali oczywiście, że ci w porozumieniu z Koriolanem usiłowali pozbawić lud praw, które wywalczył on sobie na świę-

tej górze. Dlatego też powołania do wojska wywołały niepokoje, i byli mężczyźni z ludu, których konsul znał z wyglądu i nazywał po imieniu, ale którzy mimo to odmawiali stawiennictwa.

Przypuszczałem, że także na własną rękę, przez zwykłą prośbę, mógłbym uzyskać rzymskie obywatelstwo, ponieważ stać mnie było na opłacenie mego uzbrojenia. Wstawiennictwa Tercjusza Waleriusza w obecnej sytuacji nie potrzebowałem. Występując ze swoją propozycją miał on wprawdzie na celu moje własne dobro, tak jak je widzieli razem, on i Arsinoe, ale jako Rzymianin myślał zarazem o swoim mieście. Nawet jeden doświadczony hoplita mógł wzmocnić wojsko, a po człowieku, który dopiero co otrzymał prawa obywatelskie, można było się spodziewać, że będzie walczył możliwie jak najmężniej, by zyskać dobrą sławę w mieście.

Jego propozycja była rozsądna, ale w towarzystwie Dorieusa uprzykrzyła mi się wojna. Stała mi się wstrętna, choć nie mogłem wytłumaczyć tego uczucia. Mimo to było ono tak silne, że odparłem:

— Tercjuszu Waleriuszu, nie bierz mi tego za złe, ale nie uważam się jeszcze za dojrzałego do rzymskiego obywatelstwa. Być może później. Ale na pewno nie mogę tego obiecać.

Tercjusz Waleriusz i Arsinoe wymienili spojrzenia. Ku memu zdumieniu nie usiłowali mnie przekonywać. Zamiast tego Tercjusz Waleriusz zapytał ostrożnie:

— Co zamierzasz począć, synu mój? Nie obawiaj się mi tego powiedzieć, pomogę ci chętnie radą, jeśli potrafię.

Myśl, która nagle przyszła mi do głowy, kiedy jeszcze nie skończył nawet mówić, z pewnością cią dojrzewała we mnie długo, choć nic o niej nie wiedziałem.

— Istnieją inne państwa niż Rzym — powiedziałem. — By zwiększyć moją wiedzę, chcę pojechać do miast etruskich. Na wschodzie przygotowują wielką wojnę, mam o tym pewne wiadomości. Fale jej przyboju mogą dotrzeć aż do stałego lądu Italii. W obliczu takiej nawały Rzym 213

jest tylko miastem pośród innych miast. Wiadomości o obcych państwach są zawsze cenne. Być może moja wiedza i znajomość polityki kiedyś przydadzą się Rzymowi.

Tercjusz Waleriusz przytaknął gorliwie i rzekł:

— Może masz rację. Doradcy polityczni potrzebni są zawsze tam, gdzie chodzi o odległe kraje. Obywatelstwo rzymskie może ci być tylko przeszkodą, jeśli chcesz nabywać tego rodzaju do-

świadczenia, ponieważ wówczas byłbyś związany służbą wojskową. Ale mogę ci dać polecenie do wpływowych ludzi w Veji i Caere, które są najbliższymi etruskimi miastami. Byłoby także mądrze z twojej strony, gdybyś poznał etruskie miasta żelaza, Populonię i Vetulonię. Jeśli chodzi o żelazo, jesteśmy całkowicie od nich zależni. W rzeczy samej Rzym opiera swoją potęgę na swo-bodnym przywozie żelaza z miast etruskich.

Gdy Arsinoe znowu się pochyliła, by otrzeć mu usta oślinione z zapału, wykorzystałem sytuację i powiedziałem z uśmiechem:

— Już dość i aż nazbyt wiele korzystałem z twojej gościnności, Tercjuszu Waleriuszu. Nie chcę cię obciążać jeszcze i tym, by prosić cię o polecenie. Myślę, że najchętniej chciałbym podróżować



samotnie i swobodnie, i nie jestem pewny, czy rekomendacja rzymskiego senatora będzie pożyteczna, gdy zechcę nawiązać więzy przyjaźni z wysoko postawionymi Etruskami.

Najlepiej, żebym w ten sposób nie wiązał się z Rzymem, choć tak wysoko sobie cenię twoją przyjaźń.

Sądzę, że Tercjusz Waleriusz zrozumiał, iż chcę zachować sobie wolny wybór na przyszłość i obrać stronę za albo przeciw Rzymowi, tak jak uznam za najlepsze. Ale kochał on Rzym tak bardzo, że nie wierzył, bym mógł kiedykolwiek obrócić się przeciw temu miastu, kiedy już je raz poznałem.

Położył mi serdecznie dłonie na barkach i oświadczył, że nie muszę się spieszyć z odjazdem.

Jako jego przyjaciel mam zawsze miejsce przy jego ognisku, gdy tylko zechcę i jak długo zechcę.

Ale mimo ciepłej nuty w jego głosie, upewniłem się, że oznaczało to rozstanie. Z tej lub innej przyczyny chcieli on i Arsinoe, abym oddalił się z Rzymu. Moja propozycja odpowiadała im obojgu.

Ich zachowanie tak bardzo zraniło jednak moją próżność, że powziąłem mocne postanowienie, by dawać sobie radę z pomocą własnych środków pieniężnych i być może jeszcze powiększyć je w podróżach. W ten sposób Arsinoe związała mnie z ziemią i dniem powszednim o wiele mocniej, niż gdybym u niej pozostał. Sprawiała, że udałem się w krąg zwykłych ludzi i zwracałem uwagę na własny zysk, co więcej, nawet pracowałem własnymi rękami, czego dotychczas nigdy nie czyniłem. Dlatego też moje wędrówki były okresem nauki, w czasie której zaznajamiałem się z naturalnymi potrzebami prostych ludzi w cywilizowanym świecie.

Zmieniłem moje piękne buciki na rzymskie wędrowne sandały o grubych podeszwach i odzia-

łem się w prosty kaftan i szary wełniany płaszcz. Włosy znów mi odrosły i splotłem je w zwykły węzeł na karku. Arsinoe śmiała się do łez, gdy zobaczyła mój ekwipunek. Złagodziło to nasze rozstanie, które z pewnością było gorzkie także i dla niej. Tercjusz Waleriusz powiedział:

— Masz słuszność Turnusie, w dole na ziemi widzi się czasem więcej niż w górze na dachu świątyni. W twoim wieku i ja miałem odciski na dłoniach, a moje garści były szerokie jak łopaty.

Kiedy widzę cię w tym stroju, poważam cię jeszcze bardziej niż przedtem.

5

Zatrzymałem się w Veji, które było najbliższym z miast etruskich, aż do lata i czułem się tam dobrze. Mieszkałem w dobrze prowadzonej gospodzie, gdzie nikt nie okazał się natrętnie ciekawy *214*

i nie pytał, gdzie chodzę i czym się zajmuję, jak to jest w zwyczaju w miastach greckich. Milkliwość i uprzejmość obsługi bardzo mi odpowiadały. Gdy pomyślałem o hałaśliwych i gadatliwych miastach greckich, czułem się tak, jakbym mieszkał w innym i szlachetniejszym świecie. Gospoda była właściwie skromna i odpowiadała mojemu wyglądowi, ale mimo to nie było tam w zwyczaju jeść dwoma palcami, lecz używano widelca o dwóch zębach. Od samego początku służący kładł

srebrny widelec przy moim posiłku, tak jakby nie było złodziei na świecie.

Usiłowałem nie nawiązywać żadnych znajomości. Wystarczało mi oglądanie życia w tym pię-

knym mieście i oddychanie jego świeżym powietrzem. W moich wędrówkach po ulicach udzielało mi się skromne i uprzejme zachowanie ludzi. Delektowałem się tym, co oglądałem i stwierdziłem, że nawet Rzym był miastem barbarzyńskim w porównaniu ze swymi sąsiadami. Zdaje mi się, że i mieszkańcy Weji byli tego samego zdania, choć nie słyszałem, by mówili źle o Rzymie. Żyli tak, jakby Rzym nie istniał i nie zawarli z nim traktatu pokojowego na dwadzieścia lat. Jednak wspólną cechą mieszkańców Weji był melancholijny wyraz twarzy, nawet gdy się uśmiechali.

Już pierwszego ranka, kiedy zadowalałem się tylko oddychaniem powietrzem Weji, które po bagnistym powietrzu Rzymu było jak błogosławiony balsam, przyszedłem na mały plac i usiadłem na wytartej kamiennej ławie. Widziałem cienie ludzkie spiesznie się przesuujące po wydeptanym brukowanym placu, widziałem osiołka z ozdobną frędzlą na czole i koszami jarzyn na grzbiecie, widziałem wieśniaczkę, która rozłożyła na czystej płachcie sery na sprzedaż. Zaparło mi oddech i w chwili nagłego zrozumienia zdałem sobie sprawę, że przeżyłem ten sam moment szczęścia już raz dawniej. Poznałem także gliniane malowane ozdoby domów i podniosłem się z kamiennej ławy jak we śnie, poszedłem dalej i skręciłem za dobrze znany róg ulicy. Przede mną wznosiła się świątynia i rozpoznałem jej zdobną kolumnami fasadę.

Zagadkowo piękne i głębokimi kolorami malowane gliniane rzeźby na dachu świątyni przedstawiały Artemidę broniącą łani przed Heraklesem. Inni bogowie uśmiechnięci zebrali się wokół

nich, by przyglądać się walce. Wszedłem na schody i wstąpiłem przez bramę między kolumnami.

Senny sługa świątyni skropił mnie gałązką umoczoną w świętej wodzie. Coraz wyraźniej upewniałem się, że już to kiedyś przeżyłem.

Na tle ciemności odległej ściany w wewnętrznej alkowie świątyni wznosiła się bogini Weji, oblana światłem spływającym z otworu w pułapie. Była bosko piękna i uśmiechała się marzyciel-sko, stojąc tak z dziecięcim na ręku i długoszyją gęsią u stóp. I nie potrzebowałem nikogo pytać, by wiedzieć, że jej święte imię było Uni. Wiedziałem to i poznałem ją od razu po obliczu, dziecku i gęsi. Ale nie umiem wytłumaczyć, dlaczego to wiedziałem. Przyłożyłem dłoń do czoła i podniosłem prawe ramię do świętego pozdrowienia, schylając równocześnie głowę. Coś we mnie wiedziało, że ten posąg jest świętym posągiem bogini, a miejsce, na którym stałem, świętym miejscem od czasów pradawnych, jeszcze nim zaistniała ta świątynia i to miasto.

Nie widziałem żadnego kapłana, ale sługa świątynny spostrzegł po mojej odzieży, że jestem obcym przybyszem i podszedł, by opowiedzieć o darach świątynnych i o świętych przedmiotach ustawionych wzdłuż ścian. Moja nabożność była jednak tak głęboka, że odesłałem go skinieniem i nie chciałem oglądać w świątyni niczego prócz Uni, kobiecej czułości i dobroci w boskiej postaci.

Dopiero później przypomniałem sobie, że to w świątyni w Eryksie, w śnie bogini, przeżyłem tę zjawę już przedtem. Nie było w tym w zasadzie nic dziwnego. Zdarza się przecież często, że człowiek we śnie przeżywa coś, co zdarza się dopiero po jakimś czasie. Może to być coś zupełnie

bez znaczenia. Ale zastanawiało mnie, dlaczego mój sen w świątyni erycyńskiej Afrodyty doprowadził moje kroki do świętego przybytku miłosiernej miłości i macierzyńskiego szczęścia. Może jednak był to tylko złośliwy żart bogini moim kosztem.

Po nastaniu lata do Veji doszły wiadomości, że wojsko Wolsków pod dowództwem Koriolana zebrało się i wyruszyło na Rzym pod pozorem, że chce pomścić obelgi i szykany, jakie znosili 215

Wolskowie w tym mieście. Ale wojsko rzymskie nie wyruszyło na spotkanie Wolsków na otwartym polu, mimo że Rzymianie zazwyczaj zawsze pragnęli walki tego rodzaju, by przez to móc skruszyć jeden z sąsiedzkich ludów w jednej bitwie. Dlatego sądzono, choć brzmiało to nieprawdopodobnie, że Rzym będzie musiał wytrzymać oblężenie.

Mogłem być zdążyć wrócić do Rzymu jednym szybkim marszem dziennym, ale udałem się zamiast tego na północ, by zobaczyć jezioro Veji, a stamtąd ścieżkami pasterskimi przez góry do miasta Caere, które leżało blisko morza. Po raz pierwszy w życiu oglądałem błyszczące jasne zwierciadło wodne i różową mgiełkę zmierzchu nad wielkim jeziorem. I nie wiem, co wzruszyło mnie tak głęboko na widok tego otoczonego górami jeziora. Ale sam szum szuwarów i zapach wody, tak niepodobny do słonego zapachu morza, poruszył mnie i sprawił, że głęboko wciągną-

łem oddech. Zdawało mi się, że jestem tylko podróżnikiem, który chce widzieć to, czego nie widział przedtem, ale moje serce wiedziało lepiej.

W Caere odczułem po raz pierwszy rzeczywistą wielkość etruskiego związku miast, gdy zobaczyłem miasto umarłych na przeciwległym zboczu stromej doliny za miastem. Po obu stronach świętej ulicy wznosiły się potężne wzgórki grobowe, wzmocnione okrągłymi kamiennymi obmurowaniami. W ich sklepionych komorach spoczywali dawni władcy miasta otoczeni darami ofiarnymi. Mury tych grobów zbudowane były z potężnych bloków kamiennych, a gdy powiedziałem, że przybywam z Rzymu, strażnik miasta grobów pokazał mi grób rodziny Tarhonów.

Tarkwiniusze, którzy wtedy panowali w Rzymie, uważali to miasto parweniuszów z jego mieszaną ludnością za tak nieprawe, że woleli raczej kazać pochować swoje zwłoki w mieście etruskim.

Z wyjątkiem ostatniego, który został wydalony przez związek etruski i znalazł śmierć wygnańca w greckiej Kyme.

Życie w samym Caere było bardziej hałaśliwe niż w dostojnym Veji. Od rana do wieczora słychać było huk i szcęknięcie z niezliczonych warsztatów rzemieślniczych, a szyprowie i żeglarze z różnych krajów poruszali się po ulicach miasta i rozglądali ciekawie wokoło za zwykłymi rozrywkami żeglarzy na lądzie. Port w Caere leżał co prawda daleko u ujścia rzeki, ale słuchy o wesołym życiu i dostatku w miastach etruskich były tak szeroko rozpowszechnione, że obcy żeglarze chętnie wspinali się stromą drogą do miasta. Caere nie było w zasadzie szczególnie dużym miastem — Veji było większe — ale zdobyło ono bogactwo, sprzedając produkty swego rzemiosła w tak odległych krajach, iż spotkałem tam szypra, który twierdził, że na własne oczy oglądał

cieśninę prowadzącą między słupami Herkulesa na ocean, były tam jednak kartagińskie okręty wartownicze, które nie pozwalały nawet Tyrreńczykom wypłynąć poza cieśninę.

Chętniej niż po niespokojnym mieście chodziłem po wielowiekowej drodze w mieście grobów, oddychając powietrzem górskim i zapachem mięty i wawrzynu. Strażnik grobów opowiadał, że okrągły kształt pochodził z prastarych czasów, kiedy to Etruskowie mieszkali jeszcze w okrągłych spiczastych chatach. Dlatego też okrągłe były także najstarsze świątynie, jak świątynia Westy w Rzymie. Ale nie mówił o królach, lecz o lukumonach. Prosiłem go, by objaśnił mi, co właściwie oznacza słowo lukumon, ponieważ był to znający języki człowiek, który przywykł do oprowadzania obcych po świętych miejscach Etrusków.

Rozłożył ręce w sposób, jakiego nauczył się od greckich przybyszów i powiedział:

— Trudno to wytłumaczyć obcemu. Lukumon to lukumon.

Ale gdy go nie rozumiałem, potrząsnął głową i znalazł objaśnienie:

— Lukumon to święty król.

Nadal nie rozumiałem. Pokazał mi kilka ogromnych wzgórków i powiedział, że to groby lukumonów. Ale gdy wskazał na ostatnio zbudowany grób, na wierzchołku którego ziemia była jeszcze tak świeża, że nie rosła tam żadna trawa, zrobił gest, którym oddzielił go od tamtych, i objaśnił jak to się robi z barbarzyńcą:

216

— To nie jest grób lukumona. To tylko grób władcy.

Moja natarczywość zniecierpliwiła go, gdyż brak mu było słów, by wyrazić coś, co samo w sobie było dla niego całkiem oczywiste.

— Lukumon to władca, którego wybrali bogowie — burknął w końcu zirytowany. — Jego się znajduje. Jego się poznaje. Jest on najwyższym kapłanem, najwyższym sędzią, najwyższym prawodawcą. Zwyczajny władca może zostać obalony albo może przekazać komuś w spadku swoją władzę. Lukumona nie można obalić, gdyż on jest władzą.

— Ale jak się go znajduje, jak się go poznaje? — zapytałem strapiony. — Czyż syn lukumona nie jest też lukumonem? Wręczyłem strażnikowi sztukę srebra, by go udobruchać.

On jednak nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób poznaje i odróżnia lukumona od innych ludzi.

Natomiast powiedział:

— Syn lukumona nie jest zazwyczaj lukumonem, ale naturalnie może nim być. W bardzo starych boskich rodach lukumonowie rodzili się z pokolenia na pokolenie. Ale my żyjemy w zepsutych czasach. Dziś lukumonowie rodzą się coraz rzadziej.

Wskazał na okazały grób, obok którego właśnie przechodziliśmy, pokazał z uśmiechem na białą kolumnę przed grobem i na okrągłą czapę na szczycie kolumny zamiast spiczastego kape-lusza.

— Grób królowej — oświadczył i opowiedział, że Caere należało do tych niewielu miast etruskich, które miały kobiety władczynie. Epokę słynnej królowej Caeryjczycy zachowali w pamięci jako złoty okres, ponieważ pod jej panowaniem stali się bogatsi niż kiedykolwiek przedtem. Stra-

znik twierdził, że królowa rządziła w Caere przez sześćdziesiąt lat, ja jednak podejrzewałem, że nauczył on się sztuki przesadzania od greckich zwiedzających.

— Ale jak kobieta może rządzić nad miastem? — zapytałem zdumiony.

— Była lukumonem — odparł strażnik.

— Czy i kobieta może być lukumonem? — zdziwiłem się.

— Naturalnie — odrzekł niecierpliwie. — Zdarza się to rzadko, ale kaprysem bogów lukumonem może być kobieta. Tak było niegdyś w Caere.

Słuchałem, ale nie rozumiałem, gdyż słuchałem ziemskimi uszami i związany byłem ze zwykłymi ludźmi, by dzielić ich życie. Ale chodziłem tą trudną drogą wiele razy i powracałem do olbrzymich grobów, które promieniowały zagadkową siłą.

W samym mieście ujrzałem pewnego dnia inny widok, który wzruszył mnie w sposób szczególny. Wzdłuż muru miejskiego mieli swoje kramy liczni garncarze. Większość z nich sprzedawała biedakom tanie wypalone na czerwono urny grobowe. W Caere nie chowano zmarłych tak jak w Rzymie, lecz palono, a ich popioły grzebano w okrągłej urnie, która mogła być ulana z brązu i ozdobiona pięknymi i drogocennymi obrazami, podczas gdy biedota zadowalała się nie ozdobioną urną z gliny. Pokrywa jednak miała zazwyczaj jakąś niezdarnie zrobioną rzeźbę jako uchwyt.

Zdarzyło mi się oglądać urny biedaków właśnie wtedy, gdy jakaś prosta para wieśniaków, trzymając się za ręce, przyszła wybrać urnę dla zmarłej córki. Wybrali taką, na której pokrywie stał z wyciągniętą szyją piejący kogut. Gdy go zobaczyli, uśmiechnęli się z radości i mężczyzna wyjął zaraz cechowany miedziak, by zapłacić. Nie targował się o cenę.

Zapytałem zdumiony garncarza:

— Czemu on się nie targuje?

Ten potrząsnął z uśmiechem głową i rzekł:

— Nie ma tu zwyczaju targować się o rzeczy święte, przybyszu!

— Ależ ta urna nie jest święta, to tylko zwykłe naczynie gliniane!

217

Wyjaśnił mi cierpliwie:

— Nie jest święta, kiedy wychodzi z mego pieca garncarskiego. Nie jest też święta, kiedy stoi tu na

moim kramie. Ale stanie się święta, gdy tylko znajdą się w niej prochy córki tych biednych ludzi i nałożona zostanie pokrywa. Dlatego też ma odpowiednią i stałą cenę.

Taki sposób sprzedawania towarów był niegrecki i nigdy tego jeszcze nie widziałem. Wskazałem na uchwyt urny, piejącego koguta i zapytałem wieśniaków:

— Czemu wybraliście koguta? Czy nie lepiej odpowiadałby na święto weselne?

Przyglądali mi się zdziwieni, pokazali oboje na koguta i rzekli jednocześnie:

— On przecież piał!

— Co piał? — zapytałem zdumiony.

Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się zagadkowo mimo żałoby. Mężczyzna objął żonę w pasie i odpowiedział mi tak, jak się odpowiada największemu głupcowi:

— Kogut piał na zmartwychwstanie.

Odeszli. Mężczyzna ostrożnie niósł urnę. Zostałem ze łzami w oczach, jak trafiony piorunem.

Tak trafnie, tak szczególnie pewne i rozumne zapadły mi w serce słowa. To pamiętam z Caere.

I zdaje mi się, że nie potrafię lepiej wytłumaczyć wielkiej różnicy między światem Greków i światem Etrusków, jak pamiętając, że dla Greków kogut był symbolem rozkoszy, a dla Etrusków oznaczał zmartwychwstanie.

Z Caere zamierzałem udać się drogą morską do ujścia rzeki koło Rzymu, ale pewne wieści głosiły, że Koriolan na czele Wolsków oswobadzał jedno po drugim miasta zajęte przez Rzymian.

Zdobył nawet Lawinię, którą Rzymianie uważali za ważne miasto. Wydawało się tylko kwestią czasu, kiedy solne baseny u ujścia rzeki wpadną w ręce Wolsków. Dlatego też udałem się raczej dalej na północ, by zobaczyć Tarkwinię, którą uważano za jedno z najbardziej znaczących i najważniejszych politycznie miast związku etruskiego.

Podczas tej wędrówki przez kwitnące lato nie wiedziałem prawie, czemu bardziej się dziwić, bezpieczeństwu na drogach publicznych czy gościnności wieśniaków, bagniskom, które przemieniano w urodzajne pola za pomocą murowanych rowów odpływowych czy też długorogiemu bydłu, pasącemu się na łąkach. Ziemia była bogatsza i urodzajniejsza niż gdziekolwiek indziej.

Kopanie rowów i karczowanie roli wymagało umiejętności i uporczywej pracy wielu pokoleń.

A jednak w Jonii był zwyczaj, by nazywać pogardliwie Tyrreńczyków rabusiami morskimi, a Etrusków ludem okrutnym i gwałtownym.

Wśród pracowników w wielkich posiadłościach ziemskich byli mężczyźni niższego wzrostu i

ciemniejszej skóry niż Etruskowie, oraz wielu niewolników. Nie widziałem jednak nigdy, by jakiś nadzorca bił niewolnika. Pracownicy uśmiechali się do swoich gospodarzy i rozmawiali z nimi, nie okazując strachu. Słyszałem, że rzadkością była u Etrusków potrzeba ukarania zbiegłego niewolnika, ponieważ mieli oni zwyczaj szkolić niewolników do takiej pracy, która każdemu najlepiej odpowiadała. Niejeden żył jako niewolnik u Etrusków przyjemniejszym życiem, niż jako wolny biedak w swojej ojczyźnie. Skrzętny rzemieślnik dostawał łatwo pozwolenie na wykupienie się, a jego były pan pomagał mu uzyskać obywatelstwo, zdając sobie sprawę, że to przynosi korzyść jego miastu.

Jeśli jakiś niewolnik zbiegł od etruskiego pana, ten znosił swoją stratę z uśmiechem i mówił:

— Ten człowiek widocznie nie był zrodzony na niewolnika. — Albo też szukał przyczyny w nazbyt surowym nadzorcy i uważał, że ucieczka nie była winą niewolnika, lecz nadzorcy.

218

Tarkwinia będzie, jak sądzę, trwać wiecznie i dlatego chyba nie muszę jej opisywać. Mieszkało tam wielu Greków, ponieważ Etruskowie w postępowym i żywym mieście podziwiali umiejętności cudzoziemców i lubili wszystko, co nowe, tak samo jak kobiety są oczarowane obcymi wojownikami z powodu ich niezwykłych pióropuszy na hełmach. Tylko w sprawach boskich Etruskowie uważali się za przedniejszych niż wszystkie inne ludy. Tarkwinijczyk mógł jednak dla swego spokoju podróżować do greckiej Kyme, by zapytać wyrocznie kymejską o radę, mimo że tam, gdzie chodziło o sprawy poważne, bardziej wierzył własnym kapłanom.

Tarkwinijczycy byli chciwi wiedzy, pozyskałem sobie pośród nich przyjaciół i zostałem nawet zaproszony na wystawne uczyty, mimo mego skromnego stroju, gdyż dowiedzieli się, że uczestniczyłem w wojnach jońskich i znałem też miasta sycylijskie. Musiałem kupić sobie nowe szaty, ażeby móc występować jak wypadało w towarzystwie, w którym się znalazłem. I chętnie odziałem się w szaty etruskie z najdelikatniejszego lnu i najcieńszej wełny, a na głowę włożyłem czapkę o niskiej główce.

Włosy namaściłem sobie znowu maściami, ogoliłem starannie brodę i rozpuściłem warkocz, tak że włosy spadały mi swobodnie na ramiona. Kiedy ujrzałem swoją twarz w zwierciadle, nie mogłem już dostrzec różnicy między mną samym, a mężczyzną pochodzenia etruskiego.

Tarkwinia była miastem malarzy, tak jak Veji było miastem rzeźbiarzy. Oprócz ozdabiaczy domów i malarzy skrzyń znajdował się tam także cech malarzy grobów, który cieszył się najwy-  
ższym szacunkiem i wśród nielicznych członków, którego sztukę tę dziedziczono z ojca na syna i wykonywano jako zawód święty.

Kamienie grobowe w Tarkwinii leżały po drugiej stronie doliny, na zboczu wzgórza, z którego można było widzieć ogrody i plantacje, gaje oliwne i sady na zachodzie, aż do morza i daleko na morze. Wzgórki grobowe nie były takie duże jak groby władców Caere. Były natomiast niezliczone, jak okiem sięgnąć. Miały wejścia z drzwiami z żelaza lub brązu. Przed nimi stał ołtarz do ofiar grobowych, a za drzwiami strome schodki prowadziły głęboko w dół do komór grobowych wykutych

w miękkiej skale. Od wieluset lat zwykle się było ozdabiać ściany tych komór świętymi malowidłami.

Kiedy tak wędrowałem po tym świętym polu, po drugiej stronie doliny majaczyła żywa Tarkwinia jasnoniebieskimi, ciemnoczerwonymi i czarnymi jak sadze kolorami domów wewnątrz murów miejskich, gdyż także i tu ozdabiano drewniane domy glinianymi figurami i lśniącymi barwami. Zwróciłem uwagę na świeżo wykuty grób, którego prowizorycznie sklecone drewniane wrota stały otwarte. Gdy usłyszałem głosy z głębokiego otworu, zawołałem w dół i zapytałem, czy obcy przybysz może tam zejść i zobaczyć święte dzieło artysty. Malarz sam odkrzyknął w odpowiedzi tak grube przekleństwo, że w całej mojej podróży nie słyszałem podobnego nawet z ust pastuchów bydła. Ale po chwili wybiegł po schodach jego uczeń z nie wydającą dymu pochodnią, by pokazać mi drogę na dół.

Opierając się o ścianę, schodziłem ostrożnie po wątej drewnianej drabinie i ku memu zdumieniu zobaczyłem obraz ślimaka wyciśnięty na miękkim kamieniu ściany, tak jakby bogini chciała mi dać tajemny znak, że jestem na właściwej drodze. W ten sposób bogowie dawali mi się od czasu do czasu poznać w trakcie mojej wędrówki, jakby dla igraszki, jakkolwiek nie zwykłem przywiązywać tak wielkiej wagi do znaków, które mi dawali. Ale być może serce moje znajdowało się mimo to ustawicznie w pielgrzymce, choć sam o tym nie wiedziałem i choć moje ciało z ciekawymi ziemskimi oczami kroczyło swymi własnymi drogami, związane z ziemią.

Uczeń oświetlał mi drogę i wnet stanąłem w komorze wykutej w samej skale, że dwie ławy kamienne rozpościerały się wzdłuż każdej ściany, ażeby dwoje umarłych mogło tam zamieszkać.

Artysta rozpoczął malowanie od pułapu. Szeroką belkę środkową ozdabiały różne koła i liście zagadkowej piękności. Liście te miały kształt serca. Obie strony spadzistego pułapu podzielone były na czerwone, niebieskie i czarne kwadraty, tak jak to bywało w zwykłych domach mieszkal-219

nych w Tarkwinii. Po prawej stronie malowidło ścienne było już gotowe. Spoczywali tam obok siebie oparci na lewym łokciu na poduszkach łoża oboje umarli, mąż i żona, w uroczystych strojach, uwieńczeni i wiecznie młodzi, patrzący sobie w oczy i podnoszący prawą rękę do świętego pozdrowienia. Pod nimi unosiły się delfiny wyskakujące z fal wieczności.

Piękna radość życia w tym świeżo ukończonym malowidle wzruszyła mnie tak bardzo, że stanąłem w milczeniu wpatrując się w dyskobola, zapaśników i tancerzy odbywających swoje odwieczne gry na reszcie ściany. Uczeń artysty przyświecał mi chętnie pochodnią. W kamiennej komorze płonęło wiele innych pochodni, a w kadzielnicy na wysokich nóżkach żarzyły się pachnidła, by przepędzić stęchłe zimno i gorzki zapach świeżo utartych farb. Artysta dał mi sporo czasu na przyglądanie się, po czym znów zaklął okropnie, także po grecku, żebym jako obcy przybysz na pewno go zrozumiał.

— No cóż przybyszu, może to się nada — powiedział. — Gorsze rzeczy malowano w grobowcach, nieprawdaż. Ale właśnie w tej chwili zmagam się z niedobrym koniem, który nie chce ukształtować się podług mojej woli. Moje natchnienie gaśnie, mój dzban pusty, a pył farb piecze mnie wstrętne w gardle.



Spojrzałem na niego. Nie był to jakiś stary człowiek, lecz mężczyzna mniej więcej w moim wieku. Wydawało mi się, jak gdyby jego rozpalona twarz, wąskie oczy i nabrzmiałe wargi były mi w jakiś sposób znane z przeszłości. Kiedy odwrócił się do mnie, poczułem kwaśny odór wina, ale w jego oddechu nie był on odstręczający. Popatrzył pożądliwie na glinianą butelkę, którą no-siłem w słomianym futerale, podniósł wesoło swoje czworokątne dłonie i wykrzyknął:

— Bogowie zesłali cię w odpowiedniej chwili, przybyszu! Fufluns już przemówił, przemów teraz ty z kolei. Ja sam nazywam się Aruns, z szacunku dla rodu Velthuru, który mną się opiekuje.

Ucałowałem swoją dłoń na znak pełnej szacunku przyjaźni i odparłem, śmiejąc się:

— Najpierw wydany rozkaz mojej sporej butelce glinianej, którą zabrałem ze sobą, by się orzeźwić w upale. Bez wątpienia to Fufluns skierował moje kroki do ciebie, choć my, Grecy, nazywamy go Dionizosem.

Wziął butelkę zwisającą u mego boku i zanim jeszcze zdążyłem zdjąć z szyi rzemień, na któ-

rym była uwieszona, wlewał już wino w usta i wyrzucił korek do kąta, jak gdyby dla pokazania, że nie będzie on więcej potrzebny. Z wielką zręcznością pozwolił czerwonemu winu tryskać do ust, nie roniąc ani jednej kropli, a potem z westchnieniem ulgi otarł wargi i powiedział:

— Siadaj, przybyszu. Widzisz, Velthurowie byli dziś rano źli na mnie z pewnych powodów i zarzucali mi, że paskudzę robotę. Jakże by mogli dostojni zrozumieć trudności artysty. Dlatego kazali oblać mnie wodą i wsadzili mnie na wóz, dając mi tylko dzban wody ze źródła w Vekunii do worka z posiłkiem. A ponadto naigrawali się ze mnie, mówiąc, że woda powinna przynieść natchnienie wystarczające, żeby namalować konia, ponieważ umożliwiła ona nimfie wygłoszenie wieczystego błogosławieństwa dla Tarkwinii.

Usiadłem na jednej z kamiennych ław. Sapiąc usadowił się koło mnie i ocierał z czoła gorzki pot przepicia. Z worka z posiłkiem wyjąłem cienki srebrny pucharek, który zwykłem być nosić ze sobą, żeby w razie potrzeby pokazać, że nie jestem prostakiem, napełniłem go po brzegi, uroni-

łem kilka kropli na posadzkę, wypilem sam i podałem jemu. Wybuchnął śmiechem, splunął na podłogę i powiedział:

— Nie udawaj, przyjacielu. Po twarzy i oczach widzę, kim jest człowiek, a nie po odzieży czy sposobie składania ofiary. Zawiesisty smak twego wina przemawia za tobą lepiej niż twój srebrny pucharek. Jeśli chodzi o mnie, jestem w tak dobrej przyjaźni z Fuflunsem, że uważam, iż to czysta rozrzutność składać mu choćby jedną kroplę w ofierze.

Poczęstowałem także ucznia, ale jasnooki młodzieniec potrząsnął odmownie głową z uśmiechem i stał dalej z szacunkiem, choć myśmy siedzieli. Stąd zdałem sobie sprawę, że Aruns mimo 220

swych rozkudłanych włosów i poplamionych farbami szat, wcale nie był jakimś mało ważnym człowiekiem.

— Ach tak, więc jesteś Grekiem — powiedział, nie pytając mnie o imię. — Cóż, mamy przecież

także Greków tu, w Tarkwinii, a w Caere robią oni dosyć ładne dzbany. Ale lepiej, żeby nie brali się do świętych malowideł, jeśli nawet zdarza się, że czasem porównujemy nasze wzory tak żywo, że rozbijamy sobie nawzajem puste dzbany na głowach.

Dał znak młodzieniaszkowi, który podał mu szeroki zwój. Aruns rozwinął go i przyglądał się pięknie narysowanym i pokolorowanym tancerzom i zapaśnikom, flecistom i koniom. Udawał, że pokazuje mi pierwsze szkice do swoich malowideł, ale po jego oczach i zmarszczonym czole widziałem, że myśli nieprzerwanie zajęte ma nie ukończoną robotą.

— Naturalnie ma się pożytek z tych rysunków — ciągnął z roztargnieniem, chwycił po omacku pucharek i wypił go do dna, nawet tego nie spostrzegając. — Kolory są dobrze dobrane i uczeń może wyryć zwykłe obrazy tam, gdzie mają być. Ale wzór pomaga tylko o tyle, o ile nie wiąże, lecz uwalnia i ułatwia grę własnej wyobraźni.

Przesunął zwój obrazów na moje kolana, nie dbając o to, by go zwinąć, wstał i podszedł do przeciwległej ściany z zaostrzonym rylcem żelaznym w dłoni. Pracował przy obrazie młodzieńca, który prowadzi konia wyścigowego, obejmując go jedną ręką za szyję, i większa część obrazu była już gotowa, zarówno sam młodzieniec, jak i zad, i tylne nogi konia. Brakowało tylko głowy i szyi konia i ramion oraz dłoni młodzieńca. Gdy się ostrożnie zbliżyłem, zobaczyłem, że i to było zaznaczone kreskami wyrytymi na kamieniu. Ale mistrz nie był z tego zadowolony. Zrobił krok do przodu i znowu do tyłu, kreślił rylcem w powietrzu i nagle uświadomiłem sobie, jak wyraźnie widzi przed sobą obraz chudego i żylastego rasowego konia, który staje dęba i odrzuca głowę.

W tejże chwili artysta zaczął malować końską głowę na miejscu poprzedniej. Koń podniósł głowę, szyja wygięła się sprężystej, wszystko nabrało życia. I trwało to tylko chwilę. Uczeń pospieszył

podać pędzel z włosia i kubki z farbą. Jak ogarnięty pasją Aruns nakładał szybkimi ruchami farbę na głowę końską, nie idąc nawet za kreskami, które przed chwilą nakreślił. Jeszcze w trakcie malowania poprawiał pozycję głowy konia.

Zmęczony zmieszał później jasnobrązową farbę i namalował bez trudu i bez nakreślenia z góry jakiegokolwiek konturu ramiona i ręce młodzieńca. Na końcu podkreślił czernią kontur ramienia i uzyskał tym samym efekt mięśnia napiętego aż po niebieski brzeg krótkiego rękawa kaftana.

— No tak — powiedział z wyrazem znużenia. — Velthurowie będą musieli chyba zadowolić się tym na dzisiaj. Jakże mógłby zwykły człowiek zrozumieć, że urodziłem się, wzrosłem, uczy-

łem się, rysowałem, mieszałem farby, martwiłem się i żyłem przez całe życie tylko dla tych paru krótkich chwil. Ty, przybyszu, widziałeś przecież, że to zabrało tylko chwilę. Myślałeś z pewno-

ścią, jaki zręczny jest ten Aruns. Ale to nie tylko zręczność, zręcznych jest dość, ba, aż za dużo.

Mój koń jest wieczny i taki, jakiego nigdy dotychczas nie namalowano w ten sposób. W tym kryje się różnica, i tego nie rozumieją Velthurowie. To nie tylko farby i zręczność w sztuce. To udręka i uniesienie aż do śmierci, żeby umieć wyrazić igraszki i kaprysy życia w całej ich piękności.

Uczeń odezwał się pocieszająco:

— Velthurowie rozumieją to dobrze, rozumieją to znakomicie. Istnieje tylko jeden malarz Aruns. I nie gniewają się na ciebie. Pragną tylko twego dobra.

Ale Aruns nie dał się tak łatwo udobruchać.

— Na osłoniętych welonami bogów — zaklął tak, że uczeń aż się wzdrygnął. — Zabierz ode mnie to brzemię. Dlaczego muszę połykać morze żółci, aby w kilku pospiesznych chwilach móc wycisnąć kroplę radości, iż sam jestem zadowolony ze swego dzieła.

Napełniłem spiesznie pucharek i podałem mu. Wybuchnął śmiechem, zrozumiał i powiedział: 221

— Masz słuszość, niejeden pucharek wina przemycił się razem z tą żółcią. Ale czymże mam sobie zdobyć wyzwolenie, jeśli nie winem. Moja praca nie jest taka lekka, jak ludzie sądzą. Ten trzeźwy młodzieniec tu obok zrozumie to, gdy będzie taki stary jak ja, jeśli stanie się tym, czego się po nim spodziewam.

Położył rękę na barku młodzieńca. Zaproponowałem, żebyśmy wrócili do miasta razem, by coś zjeść. Ale Aruns potrząsnął odmownie głową i wyjaśnił:

— Nie, muszę tu zostać do zachodu słońca, a zdarza się, że zostaję jeszcze dłużej, bo tu we wnętrzu góry nie ma przecież ani nocy, ani dnia. Jeśli już nie po co innego, to po to, aby zadowolić Velthurów. Ale mam też wiele do rozmyślenia, przybyszu.

Zrozumiałem te słowa jako pożegnanie i nie chciałem już dłużej przeszkadzać mu w rozmy-

ślaniach, gdy tak stał, wpatrując się w pustą ścianę i gestykułując niecierpliwym rylcem w powietrzu. Był z pewnością trochę zawstydzony, że tak nagle mnie odprawia, bo dodał:

— Widzisz, przybyszu. Ci, co niczego nie rozumieją, zadowolają się byle czym, dopóki to jest narysowane i namalowane tak, jak zwykło się to robić. Dlatego jest na świecie wielu zręcznych ludzi i wszystko wchodzi im gładko w ręce i tak łatwo jest im żyć. Prawdziwy artysta współzawodniczy tylko z sobą. Nie, nie jestem jednym z rzeszy współzawodników na świecie, zmagam się tylko z samym sobą, ja Aruns z Tarkwinii. Jeśli chcesz mi okazać dobroć, przyjacielu, zostaw mi tu na pamiątkę swojej wizyty twoją glinianą butelkę. Słyszę, że wciąż jeszcze coś w niej chlu-pocze. Otarłaby ci tylko twój piękny bark, gdybyś niósł ją z powrotem do miasta w tym upale.

Chętnie zostawiłem butelkę temu niezwykłemu człowiekowi, by się pokrzepiał, ponieważ potrzebował tego bardziej niż ja. Pożegnał mnie słowami: — Jeszcze się zobaczymy.

Nie stało się to bez powodu, że zobaczyłem znak bogini na kamiennej ścianie, gdy zszedłem do grobowca. Sens tego był taki, że miałem spotkać tego człowieka i widzieć, że to malowidło zostało ukończone tak, jak on to sobie właśnie umyślił. Ale i dla niego samego spotkałem go, że-by przynieść mu powodzenie w robocie i uwolnić go od najokrutniejszego zwątpienia człowieka.

Zasłużył sobie na to. Już wtedy poznałem go po twarzy i oczach. Aruns był jednym z tych, którzy

Przez wiele tygodni nie spotkałem znów Arunsa i nie chciałem odwiedzać ponownie grobowca, żeby nie przeszkadzać mu w pracy, mimo że jeszcze parę razy szedłem tą samą drogą obok tych setek wzgórków i oddychałem ich spokojem, a wspaniały widok sprawiał, iż serce rosło mi w piersi. Ale pewnej nocy w czasie winobrania spotkał mnie na ulicy twarzą w twarz, opierając się na swoich kompanach do picia i tak straszliwie pijany, że zdaje mi się, iż nigdy jeszcze nie widziałem nikogo w tak okropnym stanie z powodu wina. Mimo to poznał mnie od razu, przystanął i objął mnie za szyję, złożył mi na policzku siarczasty pocałunek mokrymi wargami i zawo-

łał:

— Toż to przecież ty, przybyszu! Brakowało mi ciebie. Ale spędziłem tak wiele trzeźwych dni na medytacji i suszeniu sobie głowy, a wtedy niechętnie spotykam się z ludźmi, nawet z przyjacielem jak ty. Teraz jednak przyszła odpowiednia chwila. Potrzebuję gruntownego oczyszczenia mózgu, zanim wezmę się znowu do pracy. Chodź, bracie, urządzimy sobie razem porządne picie, abym mógł wyrzucić z głowy niepotrzebne troski, a na końcu wyrzygać z ciała całe ziemskie błoto, i później zabrać się do rzeczy boskich.

Mniej więcej tak przemawiał do mnie, pomijając fakt, że język nie zawsze chciał go słuchać.

W końcu zapytał: — Czemuż to krążysz po nocy po trzeźwemu, przybyszu?

222

— Nazywam się Turms i jestem jońskim uchodźcą osiadłym w Rzymie — uznałem za stosowne wyjaśnić jego hałaśliwym przyjaciołom. A do Arunsa powiedziałem: — W pełni księżyca bogini dręczy mnie i wyrzywa z łoża.

— Chodź z nami — powiedział. — Pokażę ci żywe boginie, z tyłu i z przodu, ile tylko zechcesz.

Wziął mnie pod ramię i zdjawszy wieniec z winorośli zwisający z jednego ucha, wcisnął mi go na głowę. Poszedłem z nim i jego przyjaciółmi do domu, który Velthurowie urządzili na mieszkanie dla niego. Żona jego zbudziła się i spotkała nas ziewając przy drzwiach. Ale nie wypędziła nas, jak można by przypuszczać. Przeciwnie, otworzyła szeroko drzwi i zapaliła lampy, podała owoce, jęczmienny chleb i rybę, którą sama zasoliła w dzbanie, ba, starała się nawet przyczesać nieco schludniej zlepione winem włosy Arunsa.

Będąc trzeźwym i jako obcy przybysz w mieście, krępowałem się wdzierać w środku nocy do domu przypadkowego znajomego. Wymieniłem więc moje imię i prosiłem żonę Arunsa o wybaczenie.

— Takiej żony jak ty nie spotkałem jeszcze nigdy — rzekłem grzecznie. — Każda inna kobieta złapałaby swego męża, przetrzepała mu skórę, oblała wiadrem wody i przepędziłaby jego przyjaciół nieprzyjawnymi słowami, choć jesteśmy obecnie w środku winobrania.

Westchnęła i wyjaśniła:

— Nie znasz mego męża, Turnusie. Ja go znam po więcej niż dwudziestu latach małżeństwa.

Nie były to lekkie lata, zapewniam cię. Ale z roku na rok uczyłam się rozumieć go coraz lepiej, chociaż słabsza ode mnie kobieta dawno już spakowałaby rzeczy i odeszła. On mnie potrzebuje.

Obecnie martwiłam się nawet, gdyż od wielu tygodni nie wziął do ust kropli wina, tylko medytował i wzdychał, chodził tam i z powrotem, rozbijał woskowe tabliczki i rwał cenny papier na kawałki, narysowawszy wpierw na nim pełno obrazów, tak że bałam się już o jego rozum. Teraz jestem spokojna. Tak bywa zawsze, gdy obrazy zaczynają się krystalizować w jego mózgu. Trwa to parę dni albo tydzień, ale kiedy stanie się znów sobą, wkłada roboczą bluzę i spieszy do grobowca już przed wschodem słońca, by nie stracić ani jednej cennej chwili. I nie jest niedobry i nie bije mnie też, ale trwoni straszliwie pieniądze, zaprasza przyjaciół, choć sam siedzi w długach po uszy, i nie pozwala nikomu, by za niego zapłacił. To jednak nie ma większego znaczenia, gdyż Velthurowie opiekują się nim i dostanie nowe szaty i niezrównane dary, gdy grobowiec będzie gotowy.

Kiedy rozmawialiśmy, Aruns wytoczył się na podwórze i wyjął dużą amforę wina, którą ukrył

w kupie słomy. Zerwał pieczęć, gdy wszedł do domu, ale nie zdołał wydobyć korka. Żona pomogła mu, otwarła z ręcznie amforę, wydłubała wosk i opróżniła ją, wlewając zawartość do dużego krateru do mieszania, sądząc po obrazach korynckiej roboty. W izbie stała także waza attycka najlepszego gatunku z czerwonymi figurami, ale z jednym uchem odbitym.

Żona nie uraziła Arunsa i jego przyjaciół, mieszając wino z wodą. Przeciwnie, wyjęła najwspanialsze puchary, jakie miała w domu, i napełniła jeden także dla siebie.

— Tak jest najlepiej — powiedziała i przepiła do mnie, uśmiechając się doświadczonego uśmiechem mądrej kobiety. — Lata nauczyły mnie, że wszystko idzie lepiej, jeśli sama się upiję.

Wtedy nie dbam już zbyt o rozbite naczynia i meble, zniszczoną podłogę i odrzwia, które goście czasem zabierają ze sobą, gdy odchodzą.

Podawała mi puchar. Gdy wychyliłem, zobaczyłem, że był z najnowszej attyckiej ceramiki, a na dnie miał obraz satyra o kozłich nogach, który włókł za sobą oporną nimfę. Pamiętam to jako symbol tej nocy, gdyż wnet przybyły dwie tancerki, zbudzone w środku nocy, a ponieważ izba nam nie wystarczała, przenieśliśmy się wszyscy na podwórze i do ogrodu, nie troszcząc się o spokój nocny sąsiadów.

223

W Rzymie słyszałem, że tańce Etrusków, nawet najdziksze, są zawsze tańcami świętymi, wykonywanymi według dawnego zwyczaju dla uciechy bogów. Nie było to prawdą, gdyż kobiety odtńczywszy święte tańce z rozwianymi szatami, aby pozwolić mętnym oczom Arunsa wessać ich obraz, odrzuciły precz większość swoich szatek i tańczyły z czystej radości życia, z obnażoną górną częścią ciała, by cieszyć nas swoją pięknnością. Niemal wcale nie potrzebowały wina do upojenia

się, gdyż jeden z gości okazał się mistrzem gry na flecie, i nigdy, ani na wschodzie, ani na zachodzie, nie słyszałem równie podniecającego fletu. Bardziej niż wino rozpałał on krew w żyłach.

W końcu obie piękne i namiętne kobiety tańczyły na oświetlonej księżycem murawie odziane tylko w naszyjniki z pereł, które jeden z gości rzucił im beztrosko w prezencie. Potem dowiedzia-

łem się, że był to młody Velthurin, choć był on odziany równie skromnie jak inni, żeby nie odróżniać się od towarzystwa. Ale ten prosty strój nie mógł ukryć jego szlachetnych rysów, dumnie osadzonej głowy, migdałowych oczu i dobrze utrzymanych rąk.

Także ze mną rozmawiał, przepijał do mnie i mówił:

— Nie lekceważ tych pijaków, Turnusie. Każdy z nich jest mistrzem w swej dziedzinie, a ja jestem najmłodszy i najmniej znaczący w tym towarzystwie. Jeżdżę wprawdzie niezłe konno i umiem używać miecza, ale mistrzem nie jestem w niczym.

Wskazał obojętnie na tancerki, obie w pełni rozwinięte kobiety, i powiedział:

— Jak widzisz, one też są mistrzyniami w swoim fachu. Dziesięć lub dwadzieścia lat codziennych ćwiczeń potrzeba, zanim człowiek potrafi odtwarzać swoim ciałem to, co boskie.

Odparłem:

— Umie przykładać pełną wartość do tego, co widzę, i do towarzystwa, które mam, o szlachetny.

Zwrócił widocznie uwagę, iż zdaję sobie sprawę, że jest szlachetnie urodzony, ale nie wziął

mi tego za złe. Na tyle był młody i próżny, mimo że należał do rodu Velthuru, a żaden Velthuru nie musi być próżny, gdyż jest tym, kim jest. Był z tak starego rodu, że zdaje mi się, iż nieświadomie poznawał mnie i dlatego nie zastanawiał się, jak to się stało, że znalazłem się w tym towarzystwie. Ale to zrozumiałem dopiero dużo później.

Aruns był teraz tak wylewnie życzliwie usposobiony do całego świata, a także i do mnie, że skorzystałem z okazji, by go zapytać:

— Mistrzu, dlaczego pomalowałeś konia na niebiesko?

Aruns wpatrzył się na mnie zdumiony mętnym wzrokiem i odparł:

— Bo on był niebieski, kiedy go widziałem.

— Ale przecież — zdziwiłem się — nigdy jeszcze nie widziałem niebieskiego konia.

Aruns nie rozgniewał się, potrząsnął tylko głową z ubolewaniem i rzekł:

— W takim razie bardzo mi ciebie żal, mój przyjacielu.

Więcej nie mówiliśmy już o tym, ale jego słowa wiele mnie nauczyły. Od tej pory często mogłem widzieć na własne oczy, że koń był niebieski, jeśli kolory wokół niego czyniły go takim.

Następnego dnia byłem bardzo chory i ciało moje oczyszczało się w sposób taki, jak to przepowiedział Aruns. Dowiedziałem się, że Aruns poszedł nad rzekę wykąpać się i tam uwieńczył

się liśćmi dębowymi na znak, że nigdy już w życiu nie weźmie do ust kropli wina i że wola jego pod tym względem będzie mocna jak dąb. Robił to samo już wiele razy przedtem, ażeby przyjaciele jego nie kusili go do dalszego picia niepotrzebnie, gdyż już osiągnął, a nawet przebrał

miarę.

I minął ledwie tydzień, jak jego uczeń przybiegł zdyszany do gospody, gdzie mieszkałem i zawołał z zaczerwienionymi policzkami:

224

— Turnusie, Turnusie, dzieło jest już gotowe i mistrz prosi cię, żebyś przyszedł zobaczyć je jako pierwszy, w podzięce za to, że przyniosłeś mu szczęście.

Byłem taki ciekawy, że pożyczyłem konia i szybkim kłusem pojechałem do doliny, a potem pod górę a uczeń siedział za mną na końskim grzbiecie, czepiając się mnie w pasie z całej siły.

Dopiero bezkresny widok i niewypowiedziany spokój pagórków sprawiły, że zawstydziłem się mojej niecierpliwości i ściągnąłem konia do stępa. Równocześnie na niebie rozstały się jesienne chmury i słońce zajaśniało łagodnie i ciepło, świecąc mi prosto w oczy. Miłosierna wzniosłość spływała z jego promieni przez całą moją istotę po tym niepotrzebnym pośpiechu.

— Bogowie patrzą na nas — szeptał jasnooki młodzieniec za moimi plecami i ręce jego zacisnęły się mocniej na moim brzuchu. Ogarnęła mnie dziwna pewność, że był on jednym z posłań-

ców bogów.

Gdy zszedłem na dół do komory grobowej, cała tylna ściana lśniła pomalowana jasnymi kolorami i promieniowała spokojną harmonią, melancholijną radością i pięknem. Aruns nie odwrócił

się i nie przywitał mnie. Stał nadal i wpatrywał się w swoje dzieło, a ja nie chciałem zakłócić tej chwili boskiego skupienia jakimś słowem.

Pułap obramowany był fałdami rozsuniętej zasłony namiotu, pośrodku wznosiło się, nieporównanie wyżej niż wszystko, co ziemskie, łożo do uczt bogów z licznymi poduszkami. Na podwójnych poduszkach stały dwa białe stożki uwieńczone na święto. U stóp łoża wisiały dwa płaszcze.

Na prawo od łoża bogów, dużo, dużo niżej spoczywała odświętnie odziana para ludzka na zwykłym ludzkim łożu, a za nimi stali młodzieńcy i młode kobiety z ramionami podniesionymi do pozdrowienia bogów. Na lewo widniał krater do mieszania i kobieta także z podniesionym ramieniem. Kiedy przyjrzałem się temu bliżej, zauważyłem, że mistrz przedłużył fałdy namiotu na

obie boczne ściany, tak że wszystko, co Aruns poprzednio namalował, połączone zostało w jedną podniosłą całość, nad którą panowało łożo do uczt bogów.

— Uczta bogów — szepnąłem przejęty świętym dreszczem, gdyż moje serce rozumiało to malowidło, choć mój ziemski rozum nie wystarczał, by je wytłumaczyć.

— Albo śmierć lukumona — odparł Aruns. Z niezwykłą jasnością uświadomiłem sobie w przelotnym oka mgnieniu, co miał na myśli i dlaczego to ja miałem być świadkiem powstania malowidła. Ale chwila zrozumienia przemknęła i znikła. Powróciłem na ziemię do kamiennej komory dnia codziennego.

— Masz słuszość, Arunsie — przytaknąłem. — Czegoś podobnego nikt przed tobą dotychczas nie ośmielił się namalować. Sami bogowie prowadzą twój pędzel i wybierają farby. Inaczej nie potrafię wytłumaczyć, by ktoś na ziemi mógł osiągnąć to, co nieosiągalne.

Dotknąłem nieśmiało jego ramienia. Gdy odwrócił się do mnie, objąłem go uściskiem. Złożył poplamioną farbą, brodatą głowę ciężko na mojej szyi i wybuchnął płaczem. Jego mocne ciało trzęsło się od szlochów ulgi, aż wreszcie wyprostował się, otarł oczy zewnętrzną stroną brudnej dłoni, tak że twarz jego stała się jeszcze bardziej pstrokata, i rzekł:

— Wybacz mi, Turnusie, że leję łzy, ale pracowałem dzień i noc i spałem tylko tyle, co najkonieczniejsze, na kamiennej ławie, by znowu budzić się do lodowatej surowości grobu. Mało piłem. Kreska była moim napojem. I sam już nie wiem, jak mogło mi się udać, albo czy w ogóle mi się udało. Ale coś mówi mi, że cała epoka kończy się wraz z tym malowidłem, choćby nawet jeszcze jakiś czas trwała. Może i mój żywot kończy się z nim, choćby miał trwać jeszcze dziesięć czy dwadzieścia lat. Dlatego płaczę.

W tej chwili patrzyłem jego oczami i czułem, jego sercem, jak odczuwał on śmierć lukumona i wiedziałem, że przyjdzie nowy czas, brzydszy, cięższy, bardziej ziemski niż ten czas, który wci-  
aż jeszcze oświetlało promieniowanie osłoniętych welonem bogów. Zamiast duchów opiekuń-

225

czych i pięknych ziemskich bogów z głębi podziemia wyjdą potwory i ponure duchy, tak jak człowiekowi śnią się zmary, gdy jest ociążały z przesyty.

Więcej nie muszę opowiadać o Arunsie i jego malowidle. Nim opuściłem Tarkwinię, posłałem cenny dar jego dobrej żonie, jemu natomiast nie posłałem żadnego daru, gdyż żaden dar nie mógł-

by wynagrodzić tego, co on mi pokazał.

Jak to się stało, że ja, który opuściłem Rzym jako ubogi wędrowiec, mogłem rozdawać cenne podarunki? W jeden z ostatnich dni przechodziłem obok kolorowego namiotu pod murem miejskim. Pod słonecznym daszkiem spoczywało kilku znamienitych młodzieńców, grający w kości, a wśród nich był Lars Arnth Velthuru. Wyciągnął do mnie białą dłoń i zawołał:



— Chcesz wziąć udział w grze, Turnusie? Zajmij miejsce, napełnij, puchar i weź kości do ręki.

Jego przyjaciele przyglądali mi się z ciekawością, gdyż byłem odziany w prosty strój wędrowca i miałem na stopach sandały o grubych podeszwach. Spostrzegłem lekceważący uśmiech w ich spojrzeniach, ale nikt nie ośmielił się sprzeciwić Larsowi Velthuru. Pod drzewami w pobliżu stały przywiązane ich piękne rumaki, drapiąc ziemię kopytami, i domyślałem się, że są oni znamienitymi dowódcami jazdy tarkwińskiej, do której należał także Lars Arnth. Nie czułem się zakłopotany w ich towarzystwie, usiadłem naprzeciw Larsa Arntha, owinąłem płaszczem kolana i rzekłem:

— Rzadko gram w kości, ale z tobą gotów jestem zagrać zawsze.

Młodzieńcy wydali okrzyk zdumienia, ale Lars kazał im zamilknąć, włożył kości do pucharu i wręczył mi go, mówiąc jakby od niechcienia: — Zagramy o całą?

— Chętnie — odrzekłem beztrąsko, zdając sobie jednak sprawę, że musi tu chodzić o złotą monetę albo o całą minę srebra, gdyż byli to wysoko postawieni młodzieńcy, którzy zebrali się, by grać.

— Ach taak?! — wykrzyknęli, a paru z nich plasnęło w dłonie i zapytało: — Odpowiadasz także za stawkę?

— Milczenie! — nakazał Lars Velthuru. — Naturalnie, że on odpowiada za swoją stawkę.

Inaczej ja to uczynię, jeśli nikt inny nie zechce.

Rzuciłem kości. Podniósł je, rzucił i wygrał. W ten sposób przegrałem trzy razy z rzędu, zanim jeszcze zdążyłem wypić łyk wina.

— Trzy całe — rzekł Lars Velthuru i odłożył obojętnie na bok trzy pięknie ozdobione płytki z kości słoniowej. — Chcesz zaczerpnąć tchu, mój przyjacielu Turnusie, czy też gramy dalej?

Spojrzałem ku niebu i pomyślałem, że trzy miny srebra to dużo pieniędzy. Poruszyłem bezgłośnie wargami i wezwałem Hekate, która przyrzekła mnie ochraniać. Gdy odwróciłem głowę, spostrzegłem, że na kamień w pobliżu wypęzła jaszczurka, by wygrzewać się na słońcu. Bogini była obecna.

— Gramy dalej — zaproponowałem, wypięłem puchar do dna i rzuciłem kości znowu, już zgóry przejęty przyjemną świadomością zwycięstwa. Schyliłem się, by odczytać rzut, Etruskowie bowiem nie mieli na swoich kościach kropek, tylko litery. Stwierdziłem, że zrobiłem najlepszy możliwy rzut. Właściwie nie warto było nawet próbować mnie pobić, ale Lars Velthuru jednak spróbował i przegrał. W taki sam sposób wygrałem i ja z kolei trzy razy z rzędu. Szlachetnie urodzeni młodzieńcy zapomnieli o drwinach i siedzieli bez tchu w napięciu pochyleni nad toczącymi się kośćmi. Nie mogli się powstrzymać, by nie wyrazić zdumienia i jeden z nich powiedział:

— Takiej gry jeszcze nigdy nie widziałem. Wcale nie drży mu ręka i nie oddycha nawet szybciej niż zwykle.

Było to prawdą, gdyż patrzyłem na latające wróble i cieszyłem się jesiennym niebieskim niebem w równym stopniu, jak brałem udział w grze. Na wąskie policzki Velthuru wystąpił lekki rumieniec, a oczy jego lśniły, choć właściwie było mu wszystko jedno, czy wygra, czy też przegra.

Ale kochał on napięcie samej gry.

— Odetchniemy teraz? — zapytał znowu, gdy się zrównaliśmy i miał z powrotem swoje trzy tabliczki z kości słoniowej.

Napełniłem sobie puchar, wypilem z nim i zaproponowałem:

— Rzućmy jeszcze raz, ale tylko jeden jedyny raz, żeby zobaczyć, kto wygra. Potem muszę iść. — Uważałem za stosowne nie zostawać zbyt długo w towarzystwie tych pysznych młodzień-

ców. Wystarczało, że w ten sposób odwiedziłem Larsa Arntha, który był moim przyjacielem.

— Jak chcesz — rzekł i rzucił pierwszy. Tak bardzo roznamiętniła go gra. Poprosił zaraz o wybaczenie i nadmienił: — To był zły rzut, ale nie zasłużyłem też na lepszy.

Wygrałem możliwie najmniejszą przewagą punktów, i tak było najlepiej, bo złagodziło to dla niego gorycz porażki. Potem wstałem, żeby odejść, a młodzi szlachcice rozstąpili się przede mną z szacunkiem.

— Nie zapomnij o twojej wygranej! — zawołał Lars Velthuru i rzucił mi płytkę z kości słoniowej. Schwyciłem ją w powietrzu ze śmiechem i odparłem, że wygrana nie jest taka ważna, większa jest moja radość, że mogłem się z nim spotkać i zagrać w kości. Młodzieńcy patrzyli na mnie z otwartymi ustami, Lars jednak uśmiechnął się tylko swoim ładnym uśmiechem i powiedział:

— Przyślę do ciebie niewolnika z wygraną dziś wieczór albo jutro wcześniej rano. Przypomnij mi o tym, gdybym przypadkiem zapomniał.

Ale nie zapomniał, chciał tylko dać nauczkę swoim towarzyszom, którzy zrazu zachowywali się wobec mnie tak pyszałkowato, choć on przyjął mnie jak przyjaciela. Zrozumiałem to wszystko lepiej, gdy jego okazale ubrany zarządca przyszedł tego samego wieczora do mojej skromnej gospody, przynosząc talent srebra o dwunastu cechowanych sztabach i poprosił o oddanie mu z powrotem owej płytki z kości słoniowej. Dopiero wtedy pojąłem, że mówiąc o „całym” Lars Arnth miał na myśli cały talent srebra.

Talent srebra więcej niż wystarczał na zbudowanie domu, ozdobienie go i urządzenie w najpiękniejszy sposób, założenie ogrodu i zakupienie niewolników, by zajmowali się tym wszystkim. Postanowiłem, że nie zagram więcej w kości w Tarkwinii i dotrzymałem tego postanowienia pomimo kilku pokus.

Do Rzymu wróciłem więc jako zamożny człowiek, gdy Wolskowie wycofali się do siebie na zimę. Ale nie chełpiłem się moją zamożnością, trzymałem się swojej pierwotnej zasady, by żywić się z pracy własnych rąk i na zwykły ludzki sposób. Zatrzymałem naturalnie to, co podarowała mi Hekate, ale na powrót do Rzymu zaciągnąłem się jako zwykły żeglarz na statek, który miał

tam odpłynąć ze zbożem z Tarkwinii. Etruskowie znowu sprzedawali zboże, odkąd Rzym znalazł się w trudnościach z powodu Koriolana. Spostrzegli oni, że rzymski senat w każdym wypadku potrafi postarać się o zboże z Sycylii, toteż woleli raczej sami przejąć zyski z tego handlu, niż odstąpić je kupcom w Panormos.

W mglisty późnojesienny dzień wróciłem znowu na brzeg targu bydłęcego w Rzymie, ale tym razem szedłem nad Tybrem z jednym ramieniem otartym od ciężkiej liny przy holowaniu statku ze zbożem. W zwykłym worku z kozłej skóry czułem ciężkie brzemię dobrego srebra i jako zwykły żeglarz mógłbym je może przemyścić na ląd bez wiedzy kwestorów. Uznałem jednak za stosowne zgłosić im to srebro, żeby zapisali je do ksiąg państwowych. Mogło mi to dużo pomóc w Rzymie, 227

gdyby wiedziano, że mam własne mienie. Nie chciałem już dłużej być uważany za pieczeniara przy stole Tercjusza Waleriusza.

Moje srebro wzbudziło zdumienie u dowódcy statku i żeglarzy. Pękając ze śmiechu zaklinali się, że gdyby wiedzieli, iż mam skarb w moim worku, niewątpliwie zabiliby mnie i wrzucili do morza. Ale płatnik wypłacił mi bez targowania żołąd miedziakami, a ja włożyłem monety do sakiewki. Oszczędny człowiek bardzo był szanowany w Rzymie.

Z workiem srebra na plecach, odziany w łachmany, z bujną krzaczastą brodą i ramieniem ob-tartym od lin okrętowych wędrowałem znowu po ciasnych ulicach Rzymu i oddychałem zatrutym wyziewami bagien rzymskim powietrzem. Koło świątyni Merkurego zobaczyłem tego samego na pół ślepego augura ze zniszczoną laską pasterską i zabrudzoną brodą, jak stał, czekając na jakiegoś łatwowiernego przybysza, by oprowadzać go po osobliwościach Rzymu i wróżyć mu wszelką możliwą dobrą przyszłość. Pozdrowiłem go z uśmiechem jak znajomego, ale on rzucił mi tylko krótkowzroczne spojrzenie i nie pamiętał już z pewnością mojej twarzy, odwrócił się do mnie tyłem, nie odpowiadając na przywitanie. Dobrze znany był mi już Rzym, dobrze znane były wyboiste płyty kamienne pod moimi podeszwami, dobrze znane ryczenie bydła na targowisku. Pragnienie żarzyło się w mojej piersi, gdy spieszyłem do domu Tercjusza Waleriusza u podnóża Velii.

Brama stała otwarta, ale gdy chciałem wejść, niewolnik odźwierny założył szybko łańcuch na hak na słupie, zaczął wrzeszczeć i starał się dosięgnąć mnie kijem. Dopiero gdy wymieniłem jego imię, poznał mnie i zawstydział się. Tercjusz Waleriusz jest w senacie, oznajmił, ale pani jest w domu.

Misme przybiegła do mnie na dziedzińcu i objęła mnie za kolana. Wyrosła, policzki jej się zaokrągliły, a włosy miała kręcone. Podniosłem ją na ręce i pocałowałem, ale z jej twarzyczki patrzyły na mnie oczy Mikona. Zmarszczyła nosek, obwąchała moją odzież i powiedziała z wyrzutem: — Brzydko pachniesz! — po czym szybko wyswobodziła się z moich ramion.

To mnie otrzeźwiło. Wszedłem ostrożnie do domu i miałem nadzieję, że najpierw spotkam za-rządcę domu, by wziąć kąpiel i oczyścić odzież, nim spotkam się z Arsinoe. Ale ona nadbiegła już spieszenie na moje spotkanie, stanęła i wpatrując się we mnie z czołem pobielającym od gniewu wykrzyknęła: — Ach to ty, Turmsie! Jak ty wyglądasz! Można się było tego spodziewać!

Moja radość zgasła. Zrzuciłem worek z grzbietu i wypróżniłem go przed jej stopami, tak że srebrne sztaby zadźwięczały na kamiennej posadzce. Arsinoe schyliła się, by zważyć jedną z nich w dłoni i patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, nie wierząc oczom. Wręczyłem jej parę nowomodnych kolczyków zakupionych w Veji i broszę sporządzoną przez najlepszego złotnika w Tarkwinii.

Arsinoe ścisnęła mi rękę, trzymając otrzymane klejnoty w obu ciepłych dłoniach i rozjaśniła się uśmiechem. Nie dbając o moje brudne łachmany, objęła mnie ramionami, całowała raz po raz moją zarośniętą brodą i wykrzyknęła:

— O, Turmsie, Turmsie, gdybyś tylko wiedział, jak smutno mi było bez ciebie i jaką trwożę przeżyliśmy tutaj, mając Wolsków pod bramami. A tymczasem ty wędrowałeś sobie wolny i beztroski przez całą wiosnę i długie lato aż do późnej jesieni. Jak mogłeś?

Nadmieniłem nieco chłodno, że posyłałem jej wiadomości o sobie przy każdej okazji. W taki sam sposób dowiedziałem się, że nic jej nie brakuje i jest zdrowa, także o mnie nie musiała się niepokoić. Ale czułem równocześnie ciepło jej ramion i jej gładką skórę. Czyż więc mogłem nie zmięknąć? Przecież to była moja Arsinoe. Cokolwiek zrobiła, czy też chciała zrobić, wszystko to nie mogło złagodzić mego żaru i zastanawiałem się w duchu, jak to było możliwe, że tak długo mogłem żyć z dala od niej. Wyczytała swoje zwycięstwo w moich oczach, wciągnęła głęboko oddech i szepnęła słabo:

— Nie, nie, Turmsie, najpierw musisz się wykąpać i włożyć nowe szaty oraz coś zjeść.

228

Ale nie byłem już Grekiem i szaty były dla mnie obojętne. Mój płaszcz zostawiłem na kamiennej posadzce atrium, kaftan na progu komnaty Arsinoe, a zużyte sandały zrzuciłem z nóg koło jej łoża. To była Arsinoe, jej nagość odpowiadała mojej nagości, jej objęcia moim objęciami, jej oddech mojemu gorącemu oddechowi. Bogini uśmiechała się z jej zagadkowych rysów, z jej pociemniałych oczu, uwodzicielska, kusząca, niezapomniana.

Taką chcę pamiętać ją, Arsinoe.

7

W czasie zimy obracałem się w Rzymie wśród ludzi, także w Suburze, która miała złą sławę, by poznać naturę ludzką. Moja podróż nauczyła mnie nie wybierać już sobie towarzystwa, kierując się próżnością ani nie zawierać znajomości z ludźmi z powodu wywyższenia, jakie ich towarzystwo mogło mi dać w oczach innych. Szukałem tylko ludzi, których mogłem uważać za bliskich sobie. A takich znajdowałem równie dobrze wśród nisko, jak wysoko urodzonych, wśród szewców, wśród atletów.

W domu uciechy w Suburze zdarzyło mi się grać w kości z płatnikiem statku, który przybył

z żelazem z Populonii. Kowale w Rzymie potrzebowali tej zimy dużo żelaza. Gdy przegrał już wszystkie pieniądze, zaczął drzeć włosy ze swoich warkoczy i postawił bezmyślnie wolny przejazd

na statku aż do Populonii. Wygrałem także i tenrzut, i zapewnił mnie, że dotrzyma słowa, gdyż dobrze wiedział, że nie mógłby już na drugi raz powrócić do uciech Subury, gdyby zostawił

nie zapłacony dług z gry w kości. Kiedy otrzeźwiał, zdał sobie sprawę z tego, co zrobił i powiedział:

— Ściągnąłem sobie kłopoty na głowę, ale zasłużyłem na to przez moją lekkomyślność. Musisz przynajmniej odziać się w szaty etruskie i zachowywać się w miarę możliwości jak Etrusk.

Zawiozę cię do Populonii, tak jak obiecałem, ale resztę musisz załatwić sobie sam. Strażnicy rudy żelaznej nie lubią teraz obcych przybyszów.

Pocieszałem go, pokazując, że swobodnie mówię po etrusku, choć dotychczas udawałem, że mówię łamanym językiem. Zwróciłem mu też pieniądze wygrane od niego, żeby mógł pocieszyć się winem i towarzystwem dziewcząt z domu uciechy. Następnego dnia poszedłem odwiedzić go na pokładzie statku odziany w mój piękny strój etruski i szpiczastą czapkę z plecionymi frędzlami. Mimo przepicia bardzo się ucieszył, zobaczywszy, że nie jestem człowiekiem niskiego rodu, zapewnił, że mogę z powodzeniem uchodzić za Etruska, i powiedział jeszcze raz, że mogę być pewny, iż dotrzyma obietnicy. Ale morze jest w tej chwili burzliwe, a jego dowódca chce zabrać fracht do Populonii. Senat obiecał dać skóry wołowe za żelazo, ale zwleka jak zwykle i targuje się o cenę.

Trwało więc aż do wiosny, zanim podnieśliśmy kotwicę i wzięliśmy kurs na północ od ujścia rzeki, zaledwie dwa dni przed przyjsciem Wolsków. Słupy dymu wzdłuż wybrzeża świadczyły już o tym, że byli oni blisko, ale kiedy spłynęliśmy w dół rzeki, dostaliśmy pomyślny wiatr i uda-

ło nam się wymknąć. Koło wybrzeży tyrręńskich nie mieliśmy się czego obawiać, gdyż były one strzeżone przez szybkie caeryjskie i tarkwińskie okręty wojenne.

Wiatry były niestałe jak zawsze na wiosnę, ale delfiny tańczyły żwawo wokół brzuchatej stewy statku i krążyły koło nas całymi stadami. Unikaliśmy niebezpieczeństw morza i przybijaliśmy zazwyczaj do lądu na noc w jakiejś osłoniętej zatoce, których dużo było po drodze. Wiele z tych portów było dokładnie oznaczonych, tak że szyprowie i sternicy mogli wybierać w porę kurs statków. Gdzieś zapalano na noc kagańce, także w bezludnych miejscach, i były one obsługiwane przez ludzi, którzy żeglowali po morzach całe swoje życie, a teraz dostawali chatę i utrzy-

manie opłacane przez najbliższy port albo placówkę handlową. Tak to frachtowe statki tyrręńskie mogły bezpiecznie żeglować z południa na północ i z północy na południe wzdłuż wybrzeża.

Minawszy Vetulonię i słynną żelazną wyspę Etrusków na lewo od niej, dotarliśmy do znaków morskich Populonii i okręt strażniczy towarzyszył nam aż do portu, żeby dopilnować, by żadnego ładunku nie wyładowano ani nikogo nie wysadzono na ląd, aż dopiero w Populonii. Płynęliśmy obok wielu ciężarowych promów, które głęboko zanurzone w wodzie o żaglach i wiosłach zdą-

żały do miejsca wyładunku rudy. Wzdłuż brzegu, za solidnie zbudowanymi z drewnianych bali mostkami wznosiły się ciemnoczerwone usypiska rudy, a z tyłu za nimi wznosił się dym z dołów, w których wytapiano żelazo.

Kiedy już przycumowano rufę i wysunięto trap na ląd, otoczyli nasz statek strażnicy zakuci od stóp do głów w żelazo. Jeszcze nigdy nie widziałem tak ponurego i przerażającego widoku, gdyż broń i uzbrojenie strażników było całkiem gładkie, bez najmniejszej ozdoby czy znaku.

Także tarcze mieli gładkie, a hełmy okrągłe, ukształtowane wokół głowy i sięgające aż prostych naramienników gładkiego napierśnika pancerza. Przed oczami i ustami hełmy miały czworokątne otwory, tak że strażnicy wcale nie wyglądali jak ludzie albo wojownicy, lecz jak nieludzkie potwory albo dziwne skorupiaki. Ich oszczepy i miecze pozbawione były wszelkich ozdób. Ta zimna celowość stanowiła widok bardziej przerażający niż pióropusz powiewający na hełmie albo szczerzące się oblicze na tarczy bohatera.

Celnicy portowi, również prosto odziani w szare płaszcze, weszli nieuzbrojeni na pokład, a dowódca statku pokazał im swój list żeglarski i pieczęcie, jakie miał na nim jako dowód rejsu.

Płatnik przedłożył spisy ładunku, a potem wzywał każdego, by zdawał sprawę o sobie przed obliczem celników.

Przed wszystkim każdy musiał pokazać ręce i celnicy oglądali je, by sprawdzić, czy istotnie były to garście zgrubiałe od lin i wiosł. Dopiero potem patrzyli ludziom w oczy i nie zwracali zbytnio uwagi, czy był to Iberyjczyk albo Sard, albo rybak z jakiegoś innego wybrzeża, byle tylko było oczywiste, że jest to zwykły żeglarz, który nie szukał w porcie niczego innego prócz swojej miary wina i taniej kobiety jako towarzyszki łoża.

Ja byłem ostatni. Kiedy zobaczyłem to dokładne sprawdzanie, rad byłem, że nie starałem się dostać do Populonii jako żeglarz. Byłem odziany w mój piękny tarkwiński strój i włosy miałem splecione w warkoczyki. Płatnik wyglądał na strwożonego.

Ku memu zdumieniu celnik zadowolił się popatrzeniem mi w oczy, po czym rzucił spojrzenie swoim towarzyszom. Trzej groźni strażnicy wpatrzyli się na mnie zdumieni. Najmłodszy podniósł

dłoń do ust, ale przodownik zmarszczył czoło i spojrzał na niego surowo, potem wziął zwykłą tabliczkę woskową, wycisnął na niej sygnetem miejski herb, głowę Gorgony, wręczył mi tabliczkę i powiedział:

— Wypisz na tym sam twoje imię, przybyszu. Możesz chodzić swobodnie po naszym mieście.

Kiedy napotkałem jego spojrzenie, ujrzałem w nim porozumiewawczy błysk i pomyślałem, że może wiedział on już o moim pobycie na statku, ale z jakiegoś powodu chciał mi pozwolić zejść na ląd. Obawiałem się też, że Populonijczycy chcą zastawić na mnie pułapkę, by potem tym łatwiej móc mnie pojmać i skazać za zbyt wielką ciekawość. Dlatego też uznałem za stosowne natychmiast odsłonić moje zamiary i oświadczyłem:

— Chciałbym także udać się na wyspę żelazną i obejrzeć słynne kopalnie, a także chętnie podróżowałbym po wnętrzu kraju i zobaczyć ogromne lasy, z których bierzecie węgiel drzewny do

uszlachetniania rudy na żelazo.

Celnik podniósł wąskie brwi i odparł niecierpliwie:

— Masz Gorgonę na swojej tarczy. Wypisz tam sam imię, które chcesz używać.

230

Zdumiony usiłowałem wytłumaczyć:

— Na imię mam Turnus i przybywam z Rzymu.

On jednak przerwał mi gestem i rzekł:

— Nie pytałem cię o nic i nie powinieneś twierdzić przed nikim, że byłem ciekawy twego imienia albo rodu, albo miejsca zamieszkania,

Było to zdumiewające. Płatnik otworzył szeroko usta i wpatrywał się we mnie tak, jakby jeszcze nigdy mnie nie widział. Ja sam nie mogłem pojąć, dlaczego przyjmowano mnie tak życzliwie w tym mieście, które było równie surowo strzeżone przed obcymi jak port w Kartaginie.

Miasto Populonia było podobne do swoich strażników, surowe i celowo zbudowane. Jego mieszkańcy szczyli się ciężką pracą i dym z dołów do wytapiania żelaza pokrywał ustawicznie sadzą malowane ozdoby szczytowych ścian domów. Znakiem miasta była Gorgona, a jego bogiem Sethlans pośrodku, a Tinia i Uni po bokach. Tak wysoko czcili Populończycy boga żelaza. Słyszałem, że w mieście były rody bogatsze od najbogatszych rodzin w innych miastach etruskich, ale że te rody władców żelaza zatajały zazdrośnie swoje bogactwo, jedli i ubierali się skromnie i posyłali swoich synów na wyspę, by wydobywali rudę, a potem kazali im pracować w gorącym żarze dymarek, zanim odsłonili przed nimi swoje tajemnice handlowe. Córki wydawali za mąż między sobą w rodzinach związanych z żelazem albo w podobnych rodach vetulońskich, twierdząc:

— Żelazo szuka żelaza i nie może się zadowolić gliną czy wełną.

Tylko letnią porą w swoich lekko i przewiewnie zbudowanych wiejskich posiadłościach daleko poza miastem, wśród strumyków i zielonych łąk pozwalali sobie władcy żelaza na odpoczynek i przyjemności. Gardzili wypalaną gliną i zbierali przedmioty sztuki z wszystkich krajów świata, ze złota, srebra i kości słoniowej, a złote lub srebrne talerze, czarki i nakrycia stołowe takiej rodziny mogły ważyć cały talent, a nawet więcej. Postronnym jednak nie pokazywali swoich skarbów, a złoty sygnet nosili na pierwszym członie palca wskazującego jako przypomnienie, jak łatwo jest utracić majątek.

Pustym statkiem rudowym udałem się bez żadnych przeszkód do wyspy rudy, Elby, obejrza-

łem jej kopalnię i jeszcze nietknięte wydobywaniem pola rudowe i przekonałem się na własne oczy, że tak ogromne zapasy czystej rudy żelaznej nie mogły się znajdować nigdzie indziej na świecie.

Niewolnicy, przestępcy i celtyccy jeńcy wojenni, którzy wydobywali rudę, cierpieli los niegodny

pozazdroszczenia, ich mieszkania były jednak suche, a pożywienie wystarczające. Trzy razy w tygodniu dostawali nawet mięso. Dozorcy ich wyjaśniali, że to nie z miłosierdzia karmiono ich tak obficie, lecz po to, by przyspieszyć robotę, gdyż do wydobywania rudy trzeba było siły, a wygłodzony niewolnik nie mógłby sobie z tym dać rady.

Ale bardziej niż ruda, ciekawość moją wzbudziła świątynia pioruna, gdy się o niej dowiedziałem. Stała ona na najwyższym wzgórzu w pobliżu pól rudowych, a dookoła ustawione były pośniedziałe stare posągi brązowe, przedstawiające dwanaście etruskich miast Związku. Były to tak prastare posągi, że niektóre z nich miały zmiążdżoną przez piorun głowę albo stopione palce u stóp. Ale nie naprawiano ich nigdy. W taki sposób każdy z nich przechowywał historię największych nieszczęść swego miasta, lat nieurodzaju, wojen i zaraz.

Właśnie tam, gdy burze szalały najgwałtowniej i błyskawice płonęły najmocniej, wyczytywali najbiedniejsi objaśniacze piorunów znaki dla etruskich miast i ludów. W tym celu w skałę wpuszczono wielką płytę z brązu i wyryto na niej znaki dwunastu stron świata, dwunastu stref niebiańskich i dwunastu dobrych i złych znaków wróżebnych bogów, które tłumaczyć umieli tylko kapłani.

231

W świątyni z biegiem lat wielu uczniów poniosło śmierć od uderzenia piorunu, inni pozostali przy życiu i zostali wtajemniczeni przez piorun w swoje powołanie. Żadnego innego wtajemniczenia nie wymagano, a trafionego przez piorun uważano za świętszego od innych kapłanów pioruna. Kapłan, najstarszy obecnie w świątyni, wtajemniczony został przez piorun tuż po tym, jak przybył na wyspę jako młodzieniec; służył z powodzeniem swemu miastu na łądzie stałym przez ponad pięćdziesiąt lat, aż do czasu, dopóki jako najstarszy z kapłanów pioruna nie został

mianowany najwyższym nauczycielem w świątyni na wyspie.

O zwykłym misterium wtajemniczenia nie wolno było opowiadać, zwłaszcza obcym. Dowiedziałem się jednak, że mający być wtajemniczonym musiał wytrzymać niewidzialne uderzenia chłosty po dłoniach i stopach, że wszystkie włosy na jego ciele jeżyły się, i że iskry sypały się z czubków jego palców. Wśród świętych przedmiotów w świątyni znajdowały się ogromne, nie-zwykle cenne kawały bursztynu i najmiększe skóry rysia, które przyszły tam wielką drogą handlową przez przełęcz w pokrytych śniegiem górach na północy, albo tej przez morze z Massilii.

W tej na zewnątrz nader skromnej drewnianej świątyni nie wróżono poszczególnym osobom.

Znaki pioruna odnosiły się do ludów i miast, i ostrzegały przed mającymi nadejść nieszczęściami, lub też przepowiadały dobre i urodzajne lata zbiorów. Ale pozwoliwszy wpierw krótko ostrzyżonym uczniom w świątyni pokazać mi wszystko, co godne widzenia i opowiedzieć o brązowych posągach, najstarszy w świątyni przyjął mnie potem sam i spojrzał mi głęboko w oczy. Mówił

mało, ale poczęstował mnie przaśnym chlebem i wodą, i nakazał, żebym przyszedł znów do świątyni przy następnej burzy, jeśli mam odwagę.



Nie musiałem czekać dłużej jak parę dni, a już czarne chmury zaczęły przewalać się przez morze od gór na lądzie stałym. Wspiąłem się ścieżką na szczyt wzgórza z takim pośpiechem, że stłukłem sobie kolano o kamień, miałem też krwawe szramy na rękach i nogach od kolczastych krzaków na stromym stoku. Na samym szczycie zobaczyłem, że morze pokryte jest białą pianą i odległe błyskawice rozpalają się już nad Populonią i Vetulonią na lądzie.

Gdy starzec w świątyni zobaczył, że nadchodzę, spiesząc się tak gorliwie, uśmiechnął się zagadkowo pięknym uśmiechem mędrca i powiedział, że jeszcze nie ma takiego pośpiechu. Zaprowadził mnie do świątyni. Niebawem usłyszeliśmy, że gwałtowny deszcz zaczyna bębnić po dachu, a woda z szumem spływa z rynien z wypalanej gliny i wszystkich dwunastu rozdziawionych lwich paszcz ustawionych na rogach dachu. Słuchaliśmy grzmotów. Od czasu do czasu błyskawice rozjaśniały wnętrze świątyni i czarno pomalowane oblicze oraz białe gałki oczne boga piorunów.

Gdy staruch uznał, że nadeszła odpowiednia chwila, kazał mi się rozebrać, włożył wełniany płaszcz i kaptur od deszczu i wyprowadził mnie na ulewę. Niebo nad nami było czarne. Polecił

mi stanąć boso na brązowej płycie w skale i zwrócić się ku północy. Sam ustawił się za mną. Ociekałem wilgocią, a przede mną pioruny krzyżujące się ze sobą licznymi zygzakami błyskawicy biły raz po raz w pola rudowe. Aż nagle wszystko wokoło rozplomieniło się i jasna błyskawica, pokrywająca całe północne niebo, wystrzeliła z chmur i triumfalnym łukiem uderzyła z powrotem w chmury, tak że przed moimi oślepienymi oczami nakreśliła na niebie ogromny krąg. Ziemi nie dotknęła wcale. W tejże chwili ogłuszył mnie straszliwy grzmot.

Starzec położył z tyłu obie dłonie na moich barkach i powiedział:

— Bóg przemówił!

Drżąc z zimna i wzruszenia poszedłem za nim z powrotem do świątyni. Wylałem własnoręcznie do sucha moje ciało i wręczył mi gruby wełniany kaftan, żebym się ogrzał. Ale ani nie odezwał

się, ani nie wróżył mi niczego, patrzył tylko na mnie czule i ze wzruszeniem, tak jak ojciec na swego syna.

I ja też nie zapytałem go o nic, ale czułem potrzebę otwarcia się przed nim, i opowiedziałem mu, jak to będąc młodzieńcem, przyszedłem pewnego dnia do zmysłów u stóp porażonego piorunem dębu w Efezie, zbudzony do życia przez capa, który bódł mnie rogami tak, że katulałem się 232

po ziemi. Mówiłem, że wiedziałem wtedy tylko to, że nazywam się Turms. Piorun zdarł ze mnie odzież, tak że byłem nagi i miałem mnóstwo sińców od rogów capa. Z nieświadomości odziałem się w święte wełniane przepaski, które efeskie dziewice powiesiły w krzakach koło źródła Afrodyty, i musiałem potem uciekać przed kamieniami i kijami pasterzy, a uratowałem się wpadłszy do świątyni efeskiej Artemidy.

— Toteż bogini księżycy zawdzięczam swoje życie — ciągnąłem, opowiedziałem też, jak mądry Heraklejtos zapłacił za mnie ofiarę oczyszczenia i wziął mnie na ucznia, ponieważ kochał

wszystko, co było dziwne i gardził przesądami prostych ludzi. Grecy bowiem sądzą, że ich najwyższy bóg kieruje pioruny tylko przeciw największym zbrodniarzom — wyjaśniłem — dlatego ludzie chcieli mnie ukamienować. Mieli, być może rację, bo ściągnąłem same tylko nieszczęścia na Efez i na całą Jonię.

Temu starcowi wyznałem moje najtajniejsze przestępstwo, spalenie świątyni Kybele w czasie wyprawy na Sardes, zbrodnię, która sprawiła, że wojna stała się nieprzejednana i wzbudziła u wielkiego króla nieprzejednaną nienawiść także do Aten. Opowiedziawszy to wszystko, schyli-

łem przed nim głowę i czekałem na jego wyrok. Ale on położył opiekuńczo dłoń na mojej głowie i rzekł:

— Cokolwiek zrobiłeś, byłeś do tego zmuszony. Nie musisz obawiać się ciemnej bogini, ty, piękny gościu na ziemi. My, Etruskowie, nie uważamy człowieka trafionego piorunem i ocalałego-go za zbrodniarza. Przeciwnie. Sam widziałeś znak przed chwilą. Twoje opowiadanie potwierdza przeczucie, jakie ogarnęło mnie za pierwszym razem, gdy zobaczyłem twoją twarz, i już się teraz upewniłem.

Moja ludzka ciekawość skłoniła mnie do zapytania:

— O czym się upewniłeś?

Uśmiechnął się melancholijnie i pięknie, potrząsnął sędziwą głową i odparł:

— Nie mam prawa powiedzieć ci, dopóki sam tego nie odnajdziesz. Aż do tej chwili będziesz obcy na ziemi. Jeśli kiedyś będzie ci ponuro na duchu, jeśli kiedyś zwątpisz, wiedz, że stoisz w łaskach u bogów, a od tej pory także pod ochroną naszego ziemskiego władcy.

W tej chwili otwarły się bramy mego serca na oścież, ale zamknęły się zaraz szczelnie na nowo, gdyż nie osiągnąłem jeszcze z góry przewidzianego wieku. Wyjaśnienie zgasło w obliczu starca. Widziałem znowu tylko jego zmęczone oczy, białą brodę i przerzedzone włosy. Kiedy deszcz ustał i chmury pociągnęły dalej na morze, poszedł ze mną aż do bramy świątyni i pobłogosławił mnie nabożnie w imię swego boga. Promieniste słońce wyszło zza chmur, powietrze było przejrzyste, a ziemia mieniła się i błyszczała.

W kilka dni później poszedłem znów za kaprysem, i statkiem, który opuszczał Populonię, płynąłem na północ do ujścia drugiej wielkiej rzeki Etrusków. Tam wysiadłem na ląd i powędrowałem w górę bystrej rzeki aż do miasta Fiesole. Żyłem tam jak człowiek między ludźmi. Byłem mężczyzną w kwiecie wieku.

Dopiero pod zimę poszedłem dalej, w góry, wzdłuż wielkiej rzeki, by tam iść z biegiem Tybru do jego najwyższego biegu aż do Rzymu.

Wczesną wiosną opuściłem Rzym. Wczesną wiosną tam wróciłem. Ale wiosny w Rzymie nie chcę opiewać, gdyż kiedy wreszcie ujrzałem Arsinoe po roku rozłąki, stwierdziłem, że znajduje się ona w daleko posuniętej ciąży i wcale nie cieszy się z tego, że znów mnie widzi.

**KSIĘGA DZIEWIĄTA**

# Lukumon

## 1

Kiedy znowu wkroczyłem do patrycjuszowskiej posiadłości Tercjusza Waleriusza, zobaczyłem, że zmurszałe słupy przy bramie były naprawione i świeżo pomalowane. Znalazszy się w atrium, niemal nie poznałem domu, do tego stopnia wszystko było lśniące i czyste, i tyle tam było poustawianych nowych cennych krzeseł i innych mebli. W basenie tańczyła świeżo odlana z brązu uwodzicielka otulona tylko lekkim welonem, a drogi Tercjuszowi Waleriuszowi zaprząg wołów z wypalanej gliny wsunięty był w najciemniejszy kąt. Wszystko to powoli chłonałem wzrokiem, by zyskać na czasie i zebrać zmysły po stwierdzeniu na pierwsze wejrzenie, jak sprawy się mają z Arsinoe, gdy ta wybiegła na moje spotkanie. Oddech zaparło mi w piersi tak, jakbym nagle otrzymał miazdzący cios.

Kiedy milczałem tak uparcie, Arsinoe z zakłopotaną miną dotknęła palcami swego płaszcza matrony i patrząc w ziemię powiedziała:

— Ach, Turnsie, jakieś mnie przestraszył, pojawiając się tu tak nagle i niespodziewanie. Mam ci naturalnie dużo do wyjaśnienia, ale w moim obecnym stanie nie znoszę żadnych gwałtownych wzruszeń. Dlatego najlepiej będzie, żebyś najpierw spotkał się z droгим Tercjuszem Waleriuszem, zanim pomówimy ze sobą.

Wycofała się szybko z powrotem do swojej komnaty, wybuchnęła gwałtownym płaczem i wzywała donośnym głosem służebne. Na jej płacz i wołania wybiegł Tercjusz Waleriusz z podniesionym kijem, w takim pośpiechu, że zgubił po drodze stos woskowych tabliczek z senatu.

Kiedy mnie poznał, opuścił kij, zrobił zakłopotaną minę i odezwał się niepewnie:

— To ty, Turnusie? Sądziłem, że już nigdy nie wrócisz. Otrzymaliśmy bowiem wiarygodne wiadomości, że utonąłeś, gdy statek poszedł na dno w czasie burzy. Arsinoe spotkała tego żeglarza, kiedy zrozpaczona szukała wszędzie wiadomości o tobie. Przysięgał z ręką na moim ognisku, że statek zatonął. My sami przeżyliśmy tu ciężkie czasy podczas oblężenia przez Wolsków i nigdy nie wątpiłem w słowa tego człowieka. Tak wiarygodnie zapewniał, że na własne oczy widział, jak tonąłeś z ustami pełnymi wody.

Powiedziałem spokojnie, że nie mogłem posłać do nich listu, gdy trwało oblężenie. Byłem jednak dostatecznie rozgoryczony, by dodać, że widocznie nikt nie odczuwał braku tych listów i że byłoby lepiej, gdybym nigdy nie wrócił.

Tercjusz Waleriusz odparł pospiesznie:

— Nie, nie, nie zrozum mnie źle, drogi Turnusie. Zawsze jesteś tu mile widzianym gościem i przyjacielem. Cieszę się naturalnie z całego serca, że jesteś przy życiu i w dobrym zdrowiu, jak widać. Prawnie nie zmienia to sprawy w niczym. Arsinoe przyznała przecież sama, że nigdy nie

rozumieliście się ze sobą nawzajem i że tylko okoliczności zmuszały ją, by ci towarzyszyć, ponieważ nie miała żadnego innego opiekuna, a tak gorąco pragnęła wrócić do rodzinnego miasta, z którego niełaskawy los wyrwał ją w jej młodych latach. Hm, tak, gdzie to ja jestem? Nie żywię do ciebie żadnej urazy, ani też Arsinoe nie czuje do ciebie niechęci. Nie zawarliście przecież nigdy małżeństwa w prawnie wiążącej formie, a przynajmniej nie według prawa rzymskiego. Po tym, jak jej bogini uczyniła ze mnie na nowo mężczyznę na stare lata, uważałem za uzasadnione, ba, nawet za swoją powinność ze względu na jej stan zawrzeć z nią małżeństwo. W tym czasie, mimo surowych doświadczeń, które znieśliśmy wszyscy, stałem się o dziesięć, jeśli nie o dwadzieścia lat młodszy. Czy i ty nie uważasz, że jestem młodszy, Turnusie?

234

Ten dawniej tak rozsądny staruch zaczął się puszyć i pysznić, i dreptać przede mną jak kogut, który wyciąga szyję. Pomarszczona skóra na szyi zwisała mu fałdami pod chudą szczęką. Kazał

sobie zgolić brodę, jedną ręką unosił swoją obramowaną purpurą togę senatora kokieteryjnie niczym próżny młodzian. Nie wiedziałem, czy płakać, czy śmiać się, tak smutny był to widok.

Kiedy nic nie odpowiedziałem, Tercjusz Waleriusz ciągnął z zakłopotaniem:

— Wynikły z tego naturalnie rozliczne trudności, ponieważ najpierw musieliśmy udowodnić, że jest ona urodzoną patrycjuszką i rzymianką. Chyba opowiadała ci, jak dziwnymi zrządaniami losu uprowadzona została w świat, będąc bezbronną sierotą. Ale dzielność wykazana przez nią w czasie oblężenia i dobra opinia, którą wyrobiła sobie wśród rzymskich kobiet, przysły jej tu z pomocą. Małżonki senatorów pomogły mężom zrozumieć, że tylko prawdziwa rzymianka może okazać takie poświęcenie, by ryzykować życie za swoje miasto, i takie samozaparcie.

Senat przyjął to za dowód jej pochodzenia i uznał ją za rzymską obywatelkę, a w końcu nawet za patrycjuszkę. Istnieją przecież jeszcze inne dowody, choć z naturalnej konieczności były one prawnie niekompletne. Inaczej nie moglibyśmy byli zawrzeć małżeństwa, ponieważ związki małżeńskie między patrycjuszami i plebejuszami są prawnie niedozwolone.

Popatrzył na mnie, stuknął laską w posadzkę i dodał:

— W oparciu o nasze prawnie ważne małżeństwo zniesione zostają same przez się wszystkie poprzednie obietnice i zobowiązania, do których dana osoba mogłaby była zostać zmuszona albo skłoniona w obcych krajach. Prawo rzymskie chroni od tej pory dobrą sławę, cześć i mienie danej osoby.

Przywołany stukaniem laską o posadzkę wszedł nowy zarządca domu we wspaniałych szatach i skłonił się przed swoim panem. Tercjusz Waleriusz kazał przynieść chleba i wina, ażeby przywitać mnie w swoim domu i znowu potwierdzić swą gościnność. Z czystego roztargnienia położyłem mianowicie przypadkiem dłoń na ognisku, a może zrobiło mi się zimno od tego, co usłyszałem. Jego doświadczone oko zauważyło mój gest, nie zgłupiał widać do reszty, i uczcił

stary zwyczaj.

Kiedy już napiliśmy się wina i przełamali ze sobą chleb, usiedliśmy naprzeciw siebie na nowych wygodnych krzesłach i wino uderzyło nagle staremu człowiekowi do głowy, tak że poczerwieniał na policzkach i na skroniach.

— Jestem szczerze rad — ciągnął dalej chełpliwym tonem — że przyjmujesz to tak rozumnie, Turmsie. Jesteś rozsądnym człowiekiem. Arsinoe musiała przyznać, że wysłała cię stąd, chcąc się ciebie pozbyć, kiedy już oczarowała ją moja osoba. Na domiar wszystkiego jesteś przecież bezpłodny i nigdy nie mogła zaznać z tobą szczęścia macierzyństwa. Nie jej to przecież wina, że ten okropny Grek ją zgwałcił, wykorzystując jej bezbronność, tak że urodziła potem Misme. Ale sama ona była pełna niewinności i nie nosiła żadnej złej myśli w sercu. Ja osobiście szanuję ją za to, że zatrzymała dziewczynkę mimo gorzkich wspomnień, które musi w niej wzbudzać sam widok Misme, z powodu złości na tego Greka bez serca. Wiele musiała wycierpieć Arsinoe. Rozumiem dobrze, że twoje przybycie na nowo obudziło wszystkie smutne wspomnienia. Teraz płacze nad swoim nieszczęściem, ale myślę, że wnet się znów uspokoi. Kobiety są nadzwyczaj wrażliwe w takim stanie.

Zaczął głupekowo chichotać pod nosem i bawiąc się kijem tkwiącym między kolanami, ciągnął:

— Jestem tylko starym wieśniakiem w głębi serca, przywykłym do hodowli bydła, dlatego też nie wprawia mnie w zakłopotanie jakaś przesadna wstydlivość w tym, co się tyczy kobiety i mężczyzny. Ale bardziej czystej niewinności niż u Arsinoe nie spotkałem wśród kobiet w Rzymie. A przecież jest ona bohaterką, Turnusie. Była najmężniejszą z Rzymianek, gdy z pomocą swej bogini sprawiła, że Koriolan wstrzymał oblężenie i odszedł wraz z Wolskami.

235

Spochmurniał, ścisnął mocno kij i wspominał:

— Kiedy Wolskowie opornie wycofywali się, splądrowali i spalili także dobra patrycjuszy, i poniosłem wtedy wiele szkód. — Wyliczał swoje straty, mamrocząc z grymasem na ustach, ale nagle się rozjaśnił: — Została mi jednak ziemia, no i pozbyliśmy się Koriolana. Wolskowie nie ufają mi już, gdyż zaniechał oblężenia bez walki, choć z wielkim trudem zbudował wieże oblę-

znicze i tarany.

Tercjusz Waleriusz szukał dalej w swej kapryśnej pamięci, a usta jego plotły bez związku: —

Skoro mowa o bykach, tak — ciągnął — i o wstydlivości Arsinoe, senat przeciwną na swoją stronę. Ale najtrudniej było mi przekonać moich krewniaków, którzy nie wierzyli mi, dopóki nie przekonali się na własne oczy, że stałem się znowu mężczyzną. My, Rzymianie, nie jesteśmy zbyt wstydlivi w takich sprawach. Podejrzani mężczyźni winni są przecież obnażać się na moście albo na brzegu, by udowodnić, że nie są zbiegłymi rzezańcami. Lecz żeby móc przedstawić dowody w swojej sprawie, musiałem także pokonać skromność Arsinoe. Choć dojrzała kobieta, jest ona przecież wstydliva jak młoda dziewczyna, która po raz pierwszy oddaje się uściskom mężczyzny.

— Bez wątpienia — bąknąłem przelykając zółc — bez wątpienia, bez wątpienia.

A Tercjusz Waleriusz ciągnął żywo:

— Mój brat, mój bratanek i wyznaczony do tego celu senator musieli na własne oczy być świadkami, że jestem zdolny do wykonania obowiązków małżeńskich równie dobrze jak każdy, i potem nikt już nie wątpił, że to ode mnie Arsinoe zaszła w ciążę. Opór moich krewnych ustał, a mój bratanek Manius nawet przyspieszył całą sprawę, do tego stopnia Arsinoe podbiła jego serce swym wstydliwym zachowaniem. I teraz jest już wszystko dobrze, i mogę tylko chwalić moją zmarłą żonę, która dała mi znak, objawiając mi się w postaci Arsinoe.

W tej chwili przyszła Arsinoe z oczyma podpuchniętymi od płaczu i wzrokiem wbitym w posadzkę. Pochyliła się i pocałowała Tercjusza Waleriusza w czoło i wytarła mu mimochodem brodę i fałdy skóry na szyi lnianym ręcznikiem:

— Chyba nie wysilasz się niepotrzebnie mówiąc o przykrych sprawach, drogi Tercjuszu — powiedziała czule, rzucając na mnie karcące spojrzenie.

Głowa Tercjusza przestała się trząść. Wyprostował grzbiet i wyglądał jak senator.

— Zawsze najlepiej jest brać byka za rogi i wyjaśniać nieprzyjemne sprawy od razu — rzekł

pouczająco i zwrócił się do mnie. — Wszystko, jak mówiłem, poszło dobrze, i jedyne, co pozostaje do wyjaśnienia między nami, to pewne sprawy pieniężne. Kiedy przybyliście do Rzymu, Turnusie, wasze mienie zostało przez pomyłkę zapisane na ciebie, ale nie sądzę, by stało się to z powodu chytrego wyrachowania z twojej strony. Nie znałeś tylko zwyczajów i obyczajów w mieście i chciałeś chyba zabezpieczyć skromne środki Arsinoe, ponieważ, jak słyszałem, w wielu krajach jest tak, że kobieta nie może posiadać niczego na swoje własne imię. Tak samo kazałeś zapisać na siebie ten niepełny talent srebra, o który prosiła cię Arsinoe, abys przywiózł

z poprzedniej podróży. Z naturalnej całkiem dumy chciała przecież mieć coś w posagu, tak jakbym ja sam nie był dostatecznie bogaty.

Poklepał Arsinoe po ręce. Na pochwałę Arsinoe muszę wspomnieć, że nie wytrzymała mego wzroku i spuściła swoje piękne oczy.

— Jako człowiek honoru, Turnusie — ciągnął Tercjusz Waleriusz z wielkim naciskiem — zechcesz chyba bezzwłocznie dopilnować, by te środki pieniężne Arsinoe zostały przeniesione na nią, tak jak i ja sam przy zaślubinach przepisałem na jej imię pewne dobra i niewolników.

Gdy zrozumiał moje milczenie jako wahanie, spochmurniał i dodał:

— Naturalnie, nikt nie może cię do tego zmusić, ale obawiam się mocno, że twoja przeszłość nie zniesie dobrze pewnych prawnych kroków. Dlatego ze względu na ciebie samego chcemy

uniknąć wszelkiego rozgłosu w tej sprawie, nieprawdaż, kochanie? — Rzucił Arsinoe pytające spojrzenie, a ona żywo potaknęła głową.

Patrzyłem na twarz Arsinoe, tak mi drogą, na blask jej oczu i białą gładkość nagich ramion.

— Natychmiast jutro — powiedziałem — pójdę to załatwić, tak żeby nie było żadnych nieporozumień. Jestem tylko rad, że mogę przysłużyć się Arsinoe, tak jak dotychczas to czyniłem.

Talent srebrem i sporo cechowanego i niecechowanego złota to wcale przyzwoity posąg nawet w domu rzymskiego senatora, Tercjuszu. Niech powiększy on jej szacunek u szlachejnych dam Rzymu, choć najcenniejsze, co wnosi ona we wianie, to naturalnie jej wstydlivość i nienaganne obyczaje.

I Arsinoe nie zaczerwieniła się, tylko skinęła potwierdzająco głową i z roztargnieniem pogładziła białą dłonią rzadkie włosy na otumanionej głowie starca.

Dlaczego więc nie wpadłem w furję z powodu tak wierutnych kłamstw? Czemu nie otworzy-

łem oczu Tercjuszowi Waleriuszowi i nie pokazałem mu, jaką właściwie kobietą była Arsinoe w rzeczywistości? A przede wszystkim czemu nie zabrałem jej stamtąd gwałtem? Gdyby rzeczywiście do tego doszło, poszłaby mimo wszystko za mną, gdyż nie mogła oprzeć się mojemu dotknięciu. Wiedziałem o tym i poznawałem to zarówno w Eryksie, jak i w Segeście.

Dlatego, że na nic by się to nie zdało. Arsinoe dobrze wiedziała, czego chce. Jeśli wybrała bogactwo, bezpieczeństwo i szanowaną pozycję w Rzymie u boku życzliwego starca raczej niż ze mną, czemu miałem jej w tym przeszkadzać? Dzban był stłuczony, a wino wypłynęło. Może byłoby możliwe skleić dzban, ale czemu miałbym dalej dręczyć ją i siebie samego? Tercjusz Waleriusz wierzył raczej jej niż mnie, zdawałem sobie z tego sprawę i wiedziałem o tym z własnego doświadczenia. Jeśli stary człowiek staje się w taki sposób szczęśliwy, czemuż miałbym mu zakłócać jego radość budzeniem podejrzeń? Na tyle mądry był przecież z pewnością i tak, by wątpić w głębi serca w opowiadania Arsinoe. Ale chciał wierzyć, więc wierzył, taka jest ludzka natura.

Kiedy chętnie i bez targowania się zrzekłem się całego mienia na rzecz Arsinoe, Tercjusz Waleriusz popadł w zakłopotanie i zerkał na Arsinoe, jak gdyby prosząc ją o radę. Arsinoe żywo skinęła głową i Tercjusz Waleriusz pokonał wrodzone skąpstwo, i rzekł:

— Jesteś człowiekiem honoru, Turnusie, i zasługujesz na nagrodę za twoje usługi. Uratowałeś przecież Arsinoe z pazurów bezwzględne go Greka i odprowadziłeś ją szczęśliwie z powrotem do rodzinnego miasta, z którego została uprowadzona w tak młodym wieku, że musiała na nowo uczyć się swego ojczyście go języka. Dlatego ja i Arsinoe chcemy ci podarować skromne gospodarstwo wiejskie z przynależnymi do niego piętnastoma morgami, narzędziami i dwojgiem niewolników. Zagroda leży na drugim brzegu rzeki, kawałek drogi od miasta — ciągnął pospiesznie.

— Jest ona oddzielona od moich pozostałych dóbr i znajduje się na granicy z Etruskami, tak że niewielka to dla mnie strata. Tak więc nie musisz mieć skrupułów. Ja sam dostałem ją w zastaw na pożyczkę udzieloną pewnemu plebejuszowi, który później poległ na wojnie. Niewolnicy, to stara, ale godna zaufania para małżeńska. Dom spalili Wolskowie, lecz chlewy i kurniki są w budowie. Para niewolników mieszka w prowizorycznym szałasie.

Jego propozycja była niewątpliwie szlachetna, wiedziałem bowiem, jaki jest skąpy. Ale kiedy się



zastanawiałem, zrozumiałem, że chce on możliwie jak najszybciej pozbyć się mnie ze swego domu w mieście. Tyle rozsądku zachował w każdym razie, choć Arsinoe go oczarowała. Gdybym zaczął uprawiać piętnaście morgów ziemi, zmusiłoby to mnie także do starania się o obywatelstwo rzymskie. Chciałem tego uniknąć i dlatego odpowiedziałem dopiero po chwili:

— Przyjmuję twój dar, by nie ściągać hańby na twoją szczodrość, szlachetny Tercjusz Waleriuszu. Nie sądzę jednak, bym zaczął uprawiać ziemię. Zadowolę się dochodem z niej i pozostanę w mieście. Zdaje mi się, że potrafię dobrze się utrzymać, ucząc dzieci po grecku albo wróżąc z rąk, albo też występując jako tancerz na świętych przedstawieniach cyrkowych.

237

Arsinoe potrząsnęła gwałtownie głową, a Tercjusz Waleriusz zawstydział się z mego powodu, położył jednak uspokajająco dłoń na dłoni Arsinoe i powiedział:

— Drogi Turnusie, jestem tylko rad, że się nie wstydzisz swego niskiego rodu i przyznajesz się do włóczęgowskiego życia oraz zadowolasz się być tym, kim jesteś. Myślę, że Subura to całkiem odpowiednie miejsce dla ciebie i słyszałem już, że czułeś się tam dobrze wśród sobie podobnych, choć nie chciałem nic o tym mówić, dopóki byłeś moim gościem.

Arsinoe poczerwieniała i wykrzyknęła:

— Ach tak, demaskujesz się teraz, Turmsie! Z pewnością czujesz się najlepiej pośród kobiet złej sławy i nie powiem, że będzie, mi cię brakowało, a najlepiej byłoby, żebyś nigdy nie wrócił

do Rzymu. Sam wiesz doskonale, że to ja cię podtrzymywałam, że dzięki mnie nie upadłeś tak głęboko, jakbyś chciał. Ale rób, jak chcesz i tarzaj się w błocie. Nie mogę wiecznie utrzymywać ci nosa nad wodą. Muszę myśleć o własnej przyszłości i o moim nienarodzonym jeszcze synu.

Tercjusz Waleriusz wzruszył się tymi słowami i potakiwał głową, a krew nabiegła mu do skroni. Arsinoe tupnęła o posadzkę i krzyknęła, rzucając oczami błyskawice:

— Idź więc do swoich dziewczek, im prędzej tym lepiej. Tu, w tym domu, nie ścierpię tak nieprzyzwoitego człowieka jak ty. I jeśli kiedyś zobaczę, że potknąłeś się i zgubiłeś pałeczkę, tańcząc w cyrku, klnę się na boginię, że odwrócę kciuk w dół i poproszę innych, by uczynili tak samo, tak aby Rzym pozbył się nieco swej hołoty.

— No, no, no — powiedział Tercjusz Waleriusz z zakłopotaniem, ale mnie zrobiło się ciepło na duchu, kiedy zobaczyłem, że Arsinoe wciąż jeszcze jest o mnie zazdrosna, choć wybrała sobie kogoś innego. W końcu znów wybuchnęła płaczem, zasłoniła oczy rękoma i wybiegła z komnaty.

Tercjusz Waleriusz i ja uzgodniliśmy potem całkiem rzeczowo, że spotkamy się nazajutrz na forum u rejestratora kasy państwowej. Ja miałem przepisać moje mienie na Arsinoe, a potem Tercjusz Waleriusz miał przepisać na mnie zagrodę z przynależną do niej ziemią za formalną cenę pół miedziaka. Równocześnie mogłem być odwiedzić rejestratora ziemskiego i wynagrodzić jednego z miejskich geometrów za oznaczenie gruntów.

Wynająłem sobie izbę w Suburze naprzeciw miejsca, gdzie Tulia niegdyś przejechała wozem zwłoki swego ojca. Odpowiadało mi to bardzo, gdyż teraz nie myślałem już również dobrze o Rzymie, poznawszy wspaniałe miasta Etrusków.

Wszystko poszło potem tak, jak uzgodniliśmy i udałem się za miasto, by obejrzeć moje pięć-naście morgów ziemi daleko nad etruską granicą po drugiej stronie wzgórza Janikulum. Osiwiała i bezzębna para niewolników bała się mnie bardzo. Trzęsąc się ze strachu pokazali mi maciorę w chlewie, kilka kóz i jałówkę. Swój najdroższy skarb przyniósł staruch z osmolonego szałasu.

Była to skóra wołowa, którą sam wygarbowałem i ukryłem przed Wolskami, gdyż miał na tyle rozsądku, że zarznął i wypatroszył pociągowego wołu na zagrodzie, zanim przyszli.

Miałem naturalnie prawo pod pretekstem zapuszczonej zagrody kazać zabić tych niezdolnych do pracy niewolników, którzy mogli mi tylko przysporzyć wydatków, choć potrzebowali niewiele do jedzenia, o czym żywo mnie zapewniali. W taki sposób traktowali Rzymianie bez krwiożerczości swoich sędziwych niewolników, równie miłosiernie jak zarzyna się wołu, który już się wysłużył. Ale serce nie pozwoliło mi na to. Przeciwnie, sprzedałem naszyjnik, by kupić im nowy zaprząg wołów i wynająłem do pomocy dla nich pastuszkę. Jego rodziców zabili Wolskowie i był mi bardzo wdzięczny, bo nie musiał sprzedać się na niewolnika. Później kazałem zbudować małą altanę i umieścić na ścianie szczytowej malowane ozdoby z gliny na sposób etruski. Ale uczciwie mówiąc, byłem marnym gospodarzem na swojej zagrodzie i kosztowała mnie ona więcej, niż przynosiła.

238

W Suburze i na forum łatwo uzyskałem wiadomości i wyrobiłem sobie pogląd na niezrównaną odwagę Arsinoe podczas oblężenia Rzymu przez Wolsków. Lud w Rzymie stanowczo wzbraniał się chwycić za broń po stronie patrycjuszki. Na forum dochodziło do niepokoju i senat nie odważył się nawet mianować dyktatora, jak to było kiedy indziej w zwyczaju w trudnych czasach. W tej sytuacji Arsinoe dostrzegła dla siebie sposobność, by zyskać sobie uznanie wśród szlacheckich dam rzymskich i przystąpiła z zapałem do stowarzyszenia dobroczynnego, gdzie Rzymianki z wszelkich stanów schodziły się, by tkąć ciepłe szaty dla niesamolubnych obywateli, którzy przekładali ojczyznę nad spory partyjne i trzęśli się z zimna na murach w chłodne jesienne dni i noce.

Współ z dostojnymi patrycjuszkami Arsinoe nosiła na mury gorące zupy i ciepły chleb z kuchni Terejusza Waleriusza. Wśród tych patriotycznych kobiet wyróżniały się przede wszystkim nieugięta matka Koriolana, Weturia, i jego etruska żona, Wolunnia, którą poślubił był dla posagu i o którą nigdy nie dbał, choć urodziła mu dwóch synów. Zuchwali dowcipnicy mówili, że Koriolan uciekł z Rzymu tylko po to, by pozbyć się swej nieznośnej żony.

Arsinoe została w tym towarzystwie dobrze przyjęta. Po tym, jak lud zmusił senat do wysłania posłów do Koriolana z propozycją pokoju i po tym, jak kapłani z Regium na próżno próbowali przekonać go, apelując do bogów, Arsinoe wpadło do głowy, by w swoim dostojnym stowarzyszeniu szwaczek zaproponować wysłanie do Koriolana poselstwa kobiet rzymskich, które skłoniłyby go do zawarcia pokoju. Nie zdoła on się chyba oprzeć łzom matki, pełnym wyrzutu spojrzeniom żony i widokowi swoich małoletnich synów, twierdziła Arsinoe.

Kobiety obawiały się, że dzicy Wolskowie obrabują je i zabijają, albo zrobią im jeszcze coś gorszego. Ale nieustrasżoność i płomienny zapal Arsinoe porwały je, i ponad dwadzieścia dostojnych Rzymianek poszło za nią. Na czele kroczyła chwiejąc się na nogach Weturia, a potem szła zanosząc się od szlochów Wolunnia, prowadząc za rękę dwóch płaczących synów. Senat zakazałby zdecydowanie tak zuchwałego przedsięwzięcia, które bez zastawu i wykupu dawało Koriolanowi do rąk znakomitych zakładników. Ale żołnierze dobrze znali Arsinoe i pamiętali jej gorące zupy oraz to, jak uczyli ją na murach łaciny, gdy pięknie uśmiechnięta tłumaczyła, dlaczego tak kiepsko mówi ojczystym językiem. Otwarli chętnie bramy przed nią i towarzyszącymi jej kobietami, zanim senat zdążył się zebrać, a konsul wysłać konnego gońca z zakazem tej wyprawy.

Zmarzniętych i wygłodniałych Wolsków do tego stopnia zaskoczyło przybycie dostojnych kobiet, że z okrzykami wdzięczności przyjęli chleb i mięsiwo, które Rzymianki przyniosły ze sobą w koszach i dzieliły między nich, a potem odprowadzili je do obozu, aż do namiotu Koriolana, nie czyniąc krzywdy żadnej z nich. Przed namiotem płonął wielki stos i kobiety skupiły się tam, by ogrzać się przy ogniu, gdyż trwało aż do późnego wieczora, zanim Koriolan zgodził się przyjąć matkę i synów.

Przy ognisku Arsinoe zwierzyła się kobietom z tajników swej bogini i zapewniła, że gdyby nie było już innego wyjścia, ona sama spróbuje poruszyć Koriolana z jej pomocą, jeśliby łzy matki i czułość małżonki tego nie dokazały. Umalowała Wolunnii twarz, wargi i brwi, aby uczynić ją piękniejszą w oczach małżonka, ale ja osobiście sądzę, że uczyniła to tylko dlatego, by pozyskać zaufanie Wolunnii, dobrze wiedząc, że twarzy Wolunnii nie można było upiększyć.

Słuchając chichotów kobiet przy ognisku, Koriolan w końcu zaciekał się i wpuścił je do swego namiotu. Weturia pamiętała o łzach, gorzko przeklinała syna i mówiła, że żałuje iż wydała na świat zdrajcę ojczyzny. Gdyby wiedziała już wtedy, co się stanie, zadusiłaby raczej własnoręcznie swego Gnejusa w kołysce, niż oglądała go teraz na własne oczy, dużego i dorodnego, najbardziej męskiego z rzymskich mężczyzn, ale noszącego znaki Wolsków.

Wolunnia wypchnęła przed siebie obu synów nieboraków i zapytała, czy Koriolan chce zniszczyć ojczyznę swoich dzieci. Przypomniała mu, że byli mimo wszystko szczęśliwi, gdy je 239

spłodzili razem, i jaki wspaniały dom Koriolan mógł zbudować za jej pieniądze. Teraz miał on zostać splądrowany, łóżce małżeńskie zbezczeszczone, a zwycięzcy Wolskowie mieli sprzedać ich synów na niewolników.

Koriolan, rosły mężczyzna o głowę wyższy niż inni Rzymianie, słuchał cierpliwie, zerkając na Arsinoe, która stała obyczajnie i cicho ze spuszczoną głową. Ale o ile ją znałem, zadbała z pewnością o to, by Koriolan mógł zobaczyć jej kunsztownie ułożone rudozłote włosy i biały kark. Nie zdziwiłoby mnie nawet, gdyby przez niedopatrzenie pozwoliła swemu płaszczowi rozchylić się i nie zauważała tego w tej pełnej napięcia chwili.

W końcu Koriolan powiedział, że znajduje swoją matkę taką jak dawniej, bo równie surową i bez serca, taką jaka była wtedy, gdy on wzrastał, równie mało wiedzącą o tym, co znaczy miłość macierzyńska. Wolunnę pocieszył słowami, że Wolskowie po zdobyciu miasta z pewnością jej nie tkną, gdyż nawet oni mają oczy w głowie. Synów obiecał wykupić z niewoli. Pozwolił —

mówił — kobietom ulżyć sobie na sercu, ale skoro nie mają mu nic mądrzejszego do powiedzenia, zmuszony jest odesłać je z powrotem do miasta, ponieważ jako dowódca wojska ma inne i ważniejsze sprawy na głowie niż wysłuchiwanie biadania i złośliwego narzekania kobiet.

Mówiąc to, Koriolan przyglądał się ciekawie Arsinoe, i inne kobiety wypchnęły ją do przodu, choć opierała się z wielką skromnością. Wzywały ją, żeby przywołała swoją boginię, która mogłaby znaleźć odpowiednie słowa, by przekonać Koriolana. Arsinoe odparła, że w tym celu ona i Koriolan muszą zostać sami w namiocie, jeśli Koriolan z jakiegoś powodu nie uzna, że musi się obawiać jej, słabej kobiety. Ale gotowa jest rzucić z siebie płaszcz i pokazać, że nie ukrywa żadnego sztyletu, aby go zabić. Koriolan odparł życzliwie, że to może poczekać, dopóki nie zostaną sami, po czym odesłał kobiety, a także swoją straż przyboczną.

Więcej nie wiadano w Rzymie o rozmowie Arsinoe i Koriolana w cztery oczy, ale Arsinoe pozostała w jego namiocie aż do świtania i zabobonne kobiety twierdziły, że cały namiot promieniał nieziemskim światłem. Inne znów były zdania, że to tylko księżyc tak wybielił namiot przed ich oczyma. W każdym razie w końcu pojawiła się Arsinoe śmiertelnie blada z wyczerpania, kazała kobietom wielbić boginię Wenus i jej potęgę, i padła zemdlna w ich objęcia. Koriolan nie pokazał się więcej, ale przysłał dwornie oddział Wolsków, by odprowadzili kobiety z powrotem do miasta, i lektykę dla Arsinoe. Jeszcze tego samego dnia wydał rozkaz zaprzestania oblężenia. Wolskowie zwinęli obóz i odeszli dużymi grupami, nie dbając nawet o to, aby spalić wzniesione już wieże oblężnicze.

Przez wiele miesięcy nie widziałem Arsinoe i nie chciałem też przechodzić obok domu Tercjusza Waleriusza. Z powodu jej stanu przebywała przeważnie sama. W najgorętsze dni lata rozpoczęły się jej bóle porodowe. Przekupiony przeze mnie niewolnik przybiegł z wiadomością o tym, i te długie godziny były dla mnie tak okropne do wytrzymania, że chodziłem tam i z powrotem po mojej nędznej izdebce, zaciskając pięści do krwi z rozpacz, że nie mogę być przy niej i przynieść jej ulgi. Kochałem przecież Arsinoe i nic nie mogło zgasić mego uczucia do niej.

Poród był istotnie ciężki i trwał całą dobę, gdyż chłopak ważył ponad osiem funtów. Kiedy wreszcie ujrzał światło dzienne, z rozpalonego nieba spadł nagle grad, biły pioruny, a jeden z nich zażegł starą świątynię rzymskiego boga granic, z której ten nie chciał się usunąć, by zrobić miejsce Jowiszowi. Burza ta nie była jednak moją winą, gdyż akurat wtedy czułem się całkiem oszołomiony i niespokojny. Grad spustoszył pola i zabił pasące się owce, ale chmura burzowa zrodziła grad i pioruny dopiero po tej stronie Tybru, tak że moje małe pólka na stokach Janikulum zostały oszczędzone i nawet skorzystały od deszczu.

Gdy Tercjusz Waleriusz zobaczył i poczuł w ramionach ciężar tego chłopca, który narodził

się do bólu życia i krzyczał na całe gardło, oszołomiła go radość i kazał złożyć w ofierze woły, owce i świnię w wielu różnych świątyniach, tak jakby chodziło tu o wydarzenie wielkiej miary.

Nie trwało długo i chłopak skończył roczek, gdy znów zobaczyłem Arsinoe.

Było to późnym latem, miasto było ciche i spokojne, ludzie pracowali na polach, a ci, którzy pozostali w mieście, szukali cienia i wychodzili dopiero o zmierzchu. W ciasnych uliczkach Subury unosił się odór brudu, zgniłych owoców i garbowanych skór. Szczęście uśmiechnęło się do Rzymu, ponieważ Wolskowie, którzy najpierw zawarli przymierze z Ekwami, pokłócili się ze swymi sprzymierzeńcami i prowadzili z nimi zajadłą wojnę, tak że Rzym nie musiał już obawiać się niczego ani od nich, ani od Ekwów.

Byłem właśnie zajęty uczeniem, z czystej przyjacielskiej przysługi, jednej z młodych tancerek z cyrku, układu rąk i kroków świętego etruskiego tańca, gdy Arsinoe całkiem nieoczekiwanie weszła do mojej izdebki w Suburze. Nie było moją winą, że dziewczyna nie miała nic na sobie, gdyż dzień był gorący i dla tancerki najlepiej jest ćwiczyć nago, ponieważ wtedy może ona obserwować swoje ciało. Stałem jednak jak wryty ze zdumienia i najchętniej zapadłbym się pod ziemię, gdy zobaczyłem, w jaki sposób Arsinoe spojrzała wpięrk na mnie, a potem na biedną dziewczynę, która nie zdawała sobie sprawy, że robi coś złego. W swej niewinności nie narzuciła nawet płaszcza na ramiona, lecz stała dalej z jednym kolaniem podniesionym i dłońmi zwróconymi ku górze w pozycji, której przed chwilą usiłowałem ją nauczyć.

Arsinoe nie zmieniła się wcale, była tylko dojrzalsza i piękniejsza niż kiedykolwiek. Odezwała się sarkastycznie:

— Wybacz mi, Turmsie, nie chcę ci przeszkadzać w twoich uciechach, ale muszę z tobą porozmawiać, a tylko dziś mam tę możliwość.

Drżącymi rękami zebrałem proste szatki dziewczyny, wcisnąłem je w jej ręce, wypchnąłem ją przez drzwi i zamknąłem je za nią. Arsinoe usiadła na moim skromnym krześle, rozejrzała się wokoło, westchnęła smutno, potrząsnęła głową i rzekła z ubolewaniem:

— Żal mi ciebie, Turmsie. Słyszałam wprawdzie, że popadłeś w złe towarzystwo, ale nie wierzyłam w to, co ludzie mówili. Wołałam raczej tłumaczyć wszystko na dobre. Ale teraz muszę przecież wierzyć własnym oczom, a one sprawiają mi przykrość.

Kwaśna gorycz podeszła mi do gardła na jej widok, gdy tak siedziała spokojnie przede mną, jakby nigdy nic się nie stało.

— Tak, prowadziłem złe życie i wpadłem w złe towarzystwo — odparłem. — Uczyłem głupich chłopców po grecku i nauczyłem ich nawet paru wierszy z Hipponaksa. „Dwa dni z niewiastą najweselej człek spędza. Gdy ją za żonę pojmie i gdy w grób kładzie” \* Hipponaks mieszkał

w Efezie. Dlatego to te jego wiersze zapadły mi tak głęboko w pamięć. Ale rodzicom nie podobały się te nauki. Straciłem moich uczniów.

Arsinoe udała, że mnie nie słyszy, westchnęła tylko lekko i powiedziała:

— Ona ma za grube łydki i zbyt masywne biodra. Jest też za niska.

— Ale ma talent tancerki — zachnąłem się, urażony za moją podopieczną. — Tylko dlatego jej pomagam.

— Ach, Turmsie, Turmsie — westchnęła Arsinoe. — Myślałam, że przynajmniej jesteś bardziej wymagający, jeśli chodzi o kobiety. Ten, kto skosztował winogron, nie zadowolili się już zwykłą rzepą. Ale ty przecież zawsze byłeś inny. Także i dawniej zdumiewałam się z powodu twojego niewybrednego smaku.

Miałem ogromną ochotę wyznać, że całą moją istotę przeniknęło wzruszenie i radość, że znów ją ujrzałem i że serce moje drży z zadowolenia, gdyż zdałem sobie sprawę, że nadal układała włosy i malowała twarz tak starannie ze względu na mnie. Ale było dla mnie najlepiej za-

\* przekład Stefana Srebrnego

241

chować chłód i nie poddawać się jej mocy jeszcze raz. Toteż usiadłem na brzegu łoża, gdyż trzęsły mi się kolana, i zapytałem:

— Czego chcesz ode mnie, Arsinoe?

Roześmiała się dźwięcznie, zaprzestała wszelkiego udawania, przeciągnęła się w taki sposób, żebym mógł zobaczyć jej nogi, i przyznała:

— Naturalnie, że chcę czegoś od ciebie, Turmsie. Musiałeś to zrozumieć. Inaczej nie przyszedłbym tu. Jestem jednak rada, że widzę cię znowu i serce moje dziwnie skacze w piersi, kiedy patrzę na twoje szerokie usta i podługne oczy.

— Daj spokój, Arsinoe — prosiłem pokornie, szukając wzrokiem noża, żeby móc odciąć sobie palce, gdyby wbrew woli próbowały dotknąć jej gładkiej skóry. Może rzeczywiście bym tak zrobił, gdyż dotknięcie jej byłoby dla mnie zgubą. Ale na szczęście moja wola okazała się silniejsza od moich rąk.

— Wiesz sam najlepiej, Turmsie, jak niewypowiedzianie cię kochałam — zapewniała Arsinoe słabym głosem. — I przypuszczalnie serce moje nadal jest związane z tobą, choć niegodziwe wobec Tercjusza Waleriusza i mojego syna. Ale opanujmy nasze uczucia i zostanmy tylko dobrymi przyjaciółmi. Gdyż najlepiej jest tak, jak się stało. Kiedy kobieta dojdzie do mojego wieku i jej piękność zaczyna przemijać, potrzebuje poczucia bezpieczeństwa. Zmęczyło mnie poświęcanie się i rezygnowanie z wszystkiego dla twoich okropnych kaprysów. Byłeś zawsze samolubem, Turmsie. Ale rozumiesz chyba, że przynajmniej formalnie masz pewne obowiązki wobec Misme. Dziewczynka skończy niebawem siedem lat. Najwyższy czas, żeby wyszła z domu Tercjusza Waleriusza. Choć on taki dobry i szlachetny, niecierpliwi się, kiedy dziewczynka biega za nim krok w krok. A i mnie samej przypomina ona w przykry sposób o smutnych doświadczeniach przeszłości.

— Oczywiście — odrzekłem. — Nie wiedziałem wcale, że urodziłaś się w Rzymie w patrycjuszowskiej rodzinie.

— Prawda, że nigdy ci nie opowiadałam o moim nieszczęśliwym dzieciństwie — powiedzia-

ła Arsinoe bezczelnie. — Ale w Rzymie Misme jest nieprawym dzieckiem, a to mi nie przystoi w mojej obecnej pozycji. Gdybym tylko była wpadła na myśl, żeby zrobić jej ojca patrycjuszem, mogłabym może urządzić wszystko tak, by została westalką i w ten sposób miałaby zabezpieczoną przyszłość. Ale nie można przecież wymyślić wszystkiego na raz. I tak było dostatecznie trudno udowodnić moje własne pochodzenie, jak sobie zdajesz sprawę. Teraz chłopiec wypełnia nasz dom i Tercjusz nie potrafi myśleć o niczym innym. Z uwagi na moją dobrą sławę byłoby dobrze, gdybyś przynajmniej raz zechciał pomyśleć o twoich obowiązkach i zabrał swoją córkę, i utrzymywał ją.

— Moją córkę? — wykrzyknąłem zdumiony.

Arsinoe zniecierpliwiła się, gdyż sprawa ta była dla niej nieprzyjemna i powiedziała gniewnie:

— Naturalnie, że Misme jest na swój sposób twoją córką, a przynajmniej córką twego najlepszego przyjaciela. Jeśli nie chcesz myśleć o mnie, pomyśl o Mikonie. Nie chcesz chyba, żeby jego dziecko zostało opuszczone.

— Nie ma o tym mowy — odparłem. — Chętnie oczywiście wezmę Misme do siebie i to wcale nie dlatego, żeby ci dopomóc. Lubię tę dziewczynkę i brakuje mi jej. Ale skoro mowa o twoim synu, musisz mi wybaczyć moją męską ciekawość. O ile słyszałem i dobrze zrozumiałem, a także przypominając sobie twoją boginię i policzywszy miesiące na palcach, jest on wyraźnie synem Koriolana.

Arsinoe przycisnęła mi miękką dłoń do ust i rozejrzała się przestraszona dokoła. Ale byliśmy sami. Uspokoila się i uśmiechnęła:

242

— Przed tobą nie potrafię naturalnie utrzymać niczego w tajemnicy, Turmsie, bo ty znasz mnie najlepiej z wszystkich ludzi — przyznała. — W każdym razie chłopiec jest z jednego z najlepszych rodów patrycjuszowskich Rzymu, a jego ojciec najdorodniejszym z mężczyzn w Rzymie. Uważałam, że jestem to winna Tercjuszowi Waleriuszowi. Nie, swego syna nie musi się wstydzić, mimo że ojciec chłopca jest zarozumiałym durniem i musi już na zawsze żyć na wygnaniu. Ale może i tak jest najlepiej dla mojego spokoju ducha.

Jej uczciwe wyznanie stopiło we mnie lody. Zaczęliśmy rozmawiać żywo i nieskrępowanie jak dawniej. Kusila mnie do śmiechu i jeszcze raz zdałem sobie sprawę, dlaczego kochałem ja kiedyś tak mocno i wciąż jeszcze kocham, gdyż drugiej takiej kobiety jak ona nie było na świecie.

Ale nie dotknąłem jej. Czas biegł niepostrzeżenie aż do wieczora na naszej wesołej rozmowie, aż nagle wzdrygnęła się, spostrzegłszy, że w izbie ściemniło się, otuliła się płaszczem i zasłoniła głowę na sposób przyzwoitych rzymianek.

— Muszę już iść — powiedziała. — W najbliższych dniach przyślę do ciebie Misme i ufam, że zaopiekujesz się nią, tak jakby była twoim własnym dzieckiem.

Miałem wrażenie, że nie troszczyła się zbyt wiele o to, gdzie Misme będzie rosła. Była nią rozczarowana, dlatego że Misme odziedziczyła pyzate policzki Mikona i jego przysadzistą budowę, poruszała się niezgrabnie i nie mogła sprawiać zadowolenia matce. Toteż pozbycie się dziewczynki było ulgą dla Arsinoe.

Ja jednak nie mogłem znieść myśli, że Misme będzie się wychowywała i rosła w Suburze wśród cyrkowców i elementów przestępczych. Zabrałem ją do mojej zagrody i pozostawiłem u starej pary niewolników; w ten sposób sam bywałem tam częściej niż dotychczas, gdyż chciałem nauczyć Misme czytać i pisać, i wychować ją na swobodną i samodzielną dziewczynkę, co było w Rzymie niezwykle.

Arsinoe pomyliła się, gardząc dziewczynką, gdyż Misme była bardzo pojętna. Uwolniona od ponurego domu i ustawicznych nagan, rozwijała się szybko, sprzyjało temu swobodne życie na wsi, lubiła zwierzęta, chętnie zajmowała się bydłem i potrafiła nawet osiodłać konia i jeździć po łąkach. W ciągu dwóch lat cera jej stała się różana i gładka, i Misme wyrosła na smukłą dziewczynę, jakkolwiek wciąż jeszcze biegała jak cielę. Za każdym razem, kiedy wracałem z podróży, czułem coraz to większą radość, widząc, jak jej ciemne oczy rozjaśniają się z radości na mój widok. Gdy doszła do wieku dziewczęcego, wyraz jej oczu zaczął coraz bardziej przypominać niespokojny wzrok Mikona i Misme nauczyła się śmiać z innych, a także z siebie samej. Taka stała się Misme.

3

Aż do Rzymu dotarła w końcu wieść o śmierci króla Dariusza. Była to nowina, która wstrząsła światem. Grecy cieszyli się i odprawiali uroczystości dziękczynne u ołtarza Heraklesa, gdyż uważali, że niebezpieczeństwo, które groziło greckiej macierzy, ustąpiło teraz, oraz byli zdania, iż dziedzictwo władzy wywoła wzbudzenie i niepokój w tak wielkim królestwie, albowiem ten, kto je odziedziczy, będzie miał co innego na głowie niż sprawy greckie. Ale Dariusz zbudował

trwałe mocarstwo z ludów, nad którymi panował, i stworzył taki porządek, że nic niepokojącego się nie stało. Przeciwnie, mówiono, że jego syn Kserkses, który po długim okresie rządów Dariusza nie był już młodzieniaszkiem, posłał zaraz posłów do Aten i innych miast greckich z żądaniem wody i ziemi na znak podporządkowania. Tym razem Ateńczycy nie ośmielili się wrzucić posłów do studni, lecz przyjęli ich z szacunkiem. Niektóre miasta, obawiając się sąsiedztwa z podbitą przez Persów Tracją, oddały wodę i ziemię z myślą, że odrobina uступliwości nie może zobowią-

zać ich do niczego.

243

Wszystko to działo się daleko, ale jak fale po kamieniu wrzuconym do wody rozchodzą się kręgami, by złamać się dopiero na brzegach sadzawki, tak też i skutki tych światowych wydarzeń dotarły także do Rzymu. Królestwo perskie obejmowało przecież cały wschodni świat od równin scytyjskich aż po rzeki Egiptu i Indii, tak że wielki król miał wszelkie powody, by uwa-

zać cały świat za swój brodzik, i uznawał za swój szczególny obowiązek i powinność, rozszerzyć taki sam pokój i bezpieczeństwo na wszystkie kraje, w celu położenia kresu wszelkim wojnom po



wsze czasy. Kiedy o tym myślałem, wydawały mi się rzymskie spory i powolne rozszerzanie się kosztem sąsiadów czymś równie nieznacznym jak kłótnia kilku pastuchów o pastwiska.

Także wewnętrzna walka o władzę między patrycjuszami i plebejuszami, w której jedni i drudzy równie pyszałkowato uważali się za prawdziwych Rzymian, wydała mi się jakby skrzeczeniem żab w błotnistej kałuży.

Natknąłem się na mego przyjaciela Ksenodotosa wkrótce potem, jak przybył do Rzymu na kartagińskim okręcie, właśnie w chwili gdy wyszedł z świątyni Merkurego, złożyłwszy tam ofiarę dziękczynną za szczęśliwą podróż. Zrzucił perski strój i miał na sobie jońskie szaty drogiego i najnowszego wzoru. Włosy jego pachniały z daleka, a sandały miał przetykane srebrem. Także i on zgolił kędzierzawą brodę. Ale poznałem go natychmiast po obliczu i oczach, i pospieszyłem go pozdrowić. Kiedy mnie poznał, objął mnie serdecznie i wykrzyknął:

— Mam szczęście, bo ciebie pierwszego zamierzałem odszukać, Turmsie z Efezu. Potrzebuję twojej rady w tym obcym mieście, a ponadto mam ci dużo do powiedzenia w cztery oczy.

Mojego mieszkania w Suburze nie chciałem pokazywać Ksenodotosowi. Powiedziałem mu więc, że mieszkam skromnie na mojej małej zagrodzie pod Rzymem. On ze swej strony nie chciał

omawiać swojej sprawy w gospodzie, gdzie jedliśmy i pili ze sobą. Dlatego też przyszedłem następnego dnia, zabrałem go i udaliśmy się razem przez most na drugą stronę Tybru; oglądaliśmy krajobraz i trzody bydła, aż doszliśmy wreszcie do altany. Powiedział uprzejmie, że dobrze zrobiła mu przechadzka, i że powietrze na wsi jest przyjemne, ale spocił się od wędrówki i widać było, że nie używał nóg zbyt często w ostatnich latach. Utył też i jego dawna zachłanna żądza wiedzy przeszła w szybką i chłodną kalkulację.

Przyznał sam, że w Suzie osiągnął wpływowe stanowisko jako doradca w sprawach zachodniego świata. Łaskę obecnego wielkiego króla, Kserksesa, zdobył już przed śmiercią Dariusza. —

W Kartaginie mamy naturalnie perską rezydencję i przedstawiciela wielkiego króla — mówił. —

To stamtąd przybywam, ale nie podlegam mu, choć pracujemy razem. Interesy wielkiego króla i Kartaginy nie są sprzeczne, zgadzają się dobrze ze sobą. Rada w Kartaginie wie, że ich handel zostałby uniemożliwiony, gdyby wielki król zamknął porty na wschodnim morzu.

Podczas naszej wędrówki wspomniał mimochodem, że posiada dom w Suzie i stu niewolników, którzy się nim zajmują, jak również skromne mieszkanie w Persepolis, gdzie ogrody i fon-tanny z powodzeniem mogło obsłużyć pięćdziesięciu niewolników. Żon nie posiadał, gdyż chciał

uniknąć kobiecych sporów. Wielki król Kserkses poczytywał mu to tylko za dobre. Wywnioskowałem z tego, jak i dlaczego zyskał łaski nowego wielkiego króla, choć sam zbyt był delikatny, by się tym chełpić.

Ja osobiście nie chciałem przedstawiać się bogatszym, niż byłem. Miałem piękne źródło i do-koła kilka ozdobnych drzew, które sam zasadziłem. Łoża ze słomianymi materacami kazałem wynieść do

źródła, a święte wełniane przepaski wisały na gałęziach krzaków. Źródło pełniło rolę chłodnej piwnicy, a Misme podawała nam proste wiejskie potrawy, chleb, ser, gotowane jarzyny i upieczoną w dołku wieprzowinę z wieprzka, którego złożyłem rano w ofierze Hekate. Czyste lniane poduszki Misme wypchała pachnącą trawą.

Nasza wędrownica sprawiła, że Ksenodotos miał dobry apetyt. Jadł łapczywie i prosił o więcej, tak że Misme wkrótce go polubiła. Stara niewolnica, która wielce się zrazu niepokoiła z powodu swojej prostej sztuki gotowania, płakała z radości, gdy Ksenodotos kazał przywołać ją do siebie 244

i sam jej podziękował za niezrównany posiłek. Kiedy zobaczyłem, jak ten wytworny światowiec się zachowuje i jak umie zyskać oddanie prostych ludzi i sprawić im radość, zmieniłem zdanie o jego wysokim stanowisku i nabrałem większego szacunku dla perskich obyczajów.

Podziękowawszy starej niewolnicy i Misme za posiłek, Ksenodotos zwrócił się do mnie i powiedział: — Nie myśl, że udaję, drogi przyjacielu Turmsie. Ten prosty posiłek smakował mi wyśmienicie, choć smak mam zepsuty od zbyt dużej ilości korzeni; twoje zaś wino zachowało posmak ziemi, tak że kiedy je piję, kosztuję i rozumiem tę ziemię, na której wyrosły i dojrzały winogrona. Tak, czuję smak gliny i kamieni, a twój pieczony prosiak z rozmarynem był istnym smakołykiem.

Powiedziałem mu, że jest to potrawa etruska, której przyrządzania nauczyłem się w Fiesole.

Nim się opamiętałem, narysowałem na ziemi patykiem mapę, pokazałem, gdzie leżą wielkie miasta etruskie, opowiedziałem o ich bogactwie i żegludze i wytapianiu żelaza w Populonii i Vetulonii. Ksenodotos słuchał uważnie, wszystko zapamiętywał i jeśli czegoś od razu nie zrozumiał, pytał bez wahania znowu; czas biegł nam szybko i Misme zdążyła zmienić nasze wieńce z fioł-

ków na różane.

Gdy silny zapach dzikich róż owionął nasze głowy, Ksenodotos obejrzał się uważnie wokoło i rzekł poważnie:

— Jesteśmy przyjaciółmi, Turmsie. Nie chcę cię ani kusić, ani przekupywać. Powiedz mi tylko, czy w sercu jesteś za Grekami czy przeciw nim, a ja albo będę milczał, albo mówił i ufał ci.

W Efezie dostałem schronienie, Heraklit mnie wychował, a za Jonię biłem się trzy lata. Także za Dorieusem poszedłem i ciało moje krwawiło i nosiło blizny za grecką sprawę. Ale kiedy uczciwie zbadałem swoje serce, zrozumiałem, że są mi teraz obcy Grecy i ich obyczaje, i że ich nie lubię. Byli gadatliwi i pyskaci, sceptyczni i zdewociali zarazem, kłótlivi i niegodni zaufania, podstępni i chytry, chętni w powodzeniu i płaczkliwi w niepowodzeniu. Nie, nie kochałem Greków i nie czułem wobec nich żadnego długu wdzięczności. Ich miasta pożerały się nawzajem i nie cierpiały swoich najlepszych mężów, skazywały ich raczej na wygnanie, niż zatrzymywały u siebie. Tylko władza tyranów utrzymywała w ryzach ich bezprawie w wielkich miastach na zachodzie. Im lepiej poznawałem Etrusków i im więcej podróżowałem pośród nich, tym bardziej uczyłem się stronić od Greków. Rzymianinem nie byłem, a z mojej greckości już wyrosłem.

Byłem obcym przybyszem na ziemi i nie znałem nawet własnego pochodzenia.

Oświadczyłem:

— W wielu rzeczach Grecy są godni podziwu, ale w sercu mam ich dość i przynajmniej tu, w tym kraju, są najeźdźcami, którzy rozpychają się łokciami. Grecy i greckie miasta pożerają wszystko wokół siebie i niszczą to, co było dawniej.

I sam nie wiem, skąd wzięło się we mnie tak wielkie rozgoryczenie, ale gdy tylko je sobie uświadomiłem, stało się jakby jadłem i kwasem w moim żołądku. Być może przyczyną były upokorzenia mojej młodości w Efezie. Być może zbyt długo byłem związany z Dorieusem, by móc jeszcze podziwiać w nim to, co greckie. Także Mikon oszukał mnie. Nawet Scytowie mówili, że Grecy nadają się lepiej na niewolników i sługi niż na wolnych ludzi.

Ksenodotos skinął potakująco głową i powiedział:

— Sam jestem Jończykiem, ale szczerze mówiąc, brak mi mojego perskiego stroju i perskiej prawdy. Pers dotrzymuje słowa i nie zdradza towarzysza, a my Grecy nauczyliśmy się zwodzić samych bogów dwuznacznymi obietnicami. Nie ma wprawdzie na świecie niczego czarnego, co byłoby czarne, ani niczego białego, co byłoby całkiem białe, ale kiedy służę wielkiemu królowi, uważam, że służę też dobrej sprawie mego własnego ludu. Grecja macierzysta, a zwłaszcza Ateny, to zarzewie niepokojów na całym świecie. Nieszczęsne położenie tego kraju na skrzyżowaniu dróg handlowych sprawia, że iskry niezadowolenia i buntu rozdmuchują się na wszystkie strony 245

świata. Na Sycylii greckie miasta zepchnęły obecnie na bok handel Fenicjan i Tyrreńczyków i grożą zdobyciem Eryksu. Wiesz dobrze, że nowy tyran Syrakuz, Gelon, zajął Himereę, przepędził

Terillosa i złamał wszelkie poprzednie układy o handlu na wschodnim morzu. Stąd już tylko jeden krok do tego, by zostały podbite Messina i Region, a wtedy Tyrreńczycy i Kartagińczycy nie mają już czego szukać w cieśninie. Na szczęście Anaksilaos stawiał mu opór, dobrze wiedząc, że straci własny tron, jeśli pójdzie na żądania Gelona i zamknie cieśninę dla innych okrętów prócz greckich.

— To dla mnie coś całkiem nowego — wtrąciłem zaciekawiony. — Ale w Rzymie żyje się jak w błotnistej kałuży.

Ksenodotos mówił dalej:

— W Kartaginie panuje wielki niepokój z powodu bezczelności Greków. Brutalny Gelon w Syrakuzach i chytry Teron w Akragas panują teraz razem prawie nad całą Sycylią. Anaksilaos zwrócił się do Kartaginy z prośbą o pomoc w potrzebie i nawet obiecał dać żonę i dzieci w zastaw swoich uczciwych zamiarów. Jest on dobrym politykiem i zdaje sobie sprawę, co oznacza niezawisłość cieśniny dla rozsądnego handlu wszystkich ludów.

— Poza tym wzbogacił się wielce, pobierając podatek od towarów przewożonych tą drogą —

dorzuciłem. — Jego zachowanie jest szczególnie greckie, skoro musi teraz prosić odwiecznego wroga o pomoc przeciw swoim własnym rodakom.

Ksenodotos zaczerwienił się i przyglądał się swoim dobrze wypielęgnowanym dłoniom i umalowanym na czerwono paznokciom:

— Bez wątplenia Persowie są także odwiecznymi wrogami Greków — przyznał. — Ja osobiście nie uważam się jednak za jakiegoś zdrajcę. Najlepsze w Grecji i w Jonii są chyba grecka oświata, sztuka, poezja, mądrość i sztuka życia. Ale grecka polityka jest jak rak trawiący wątrobę świata. Persowie reprezentują pokój i porządek. Wielki król sam jest najgorliwszym przyjacielem greckiej oświaty. Kiedy greckie miasta zostaną podbite, grecki duch spokojnie będzie mógł rozprzestrzenić się na cały świat i odnowić go.

Spostrzegł, że nie byłem tak samo zachwycony tą myślą jak on, i wzięwszy spiesznie do ręki patyk, zaczął rysować na piasku mapę, by mi pokazać, jak daleko już zaszły przygotowania do wyprawy wojennej.

— Wielki król podbije Grecję na lądzie — mówił — zbuduje przez Hellespont most, wojsko będzie więc mogło przedostać się do Tracji suchą nogą. Trackie półwyspy są już przekopane, tak że flota wcale nie musi wypływać na otwarte morze towarzysząc wojsku. Dziewięć lat trwały te przygotowania. Gdy wojsko wyruszy z Azji do Europy, wyliczony jest z góry każdy krok i każdy marsz dzienny. Ateny wprawdzie rozpaczliwie podburzają cały grecki świat i poświęciły wszystkie dochody ze swoich kopalni srebra na budowanie trier. Ale w rzeczy samej w Atenach panuje zwątpienie i duch poddania się, choć na zewnątrz Ateńczycy usiłują okazać się oporni.

Ksenodotos uśmiechnął się swoim nikłym uśmiechem i dodał:

— Nawet wyrocznia delficka waha się i daje dwuznaczne odpowiedzi.

Spojrzał mi przenikliwie w oczy i ciągnął:

— Podbicie Grecji macierzystej to najbliższy cel wielkiego króla. Wiesz sam, że miasta w Grecji, wplątane w wewnętrzne spory, są biedne w porównaniu z potężnymi miastami greckimi na zachodzie. Posłowie z Aten i Sparty podróżują teraz w najlepsze wśród swoich ziomków w Italii i na Sycylii i żebrzą o pomoc, bo w przyszłym roku w lecie wybije dla Grecji epokowa godzina.

Tak ogromne są nasze przygotowania, że czasu natarcia nie można utrzymać w tajemnicy. Będzie więc z korzyścią dla wielkiego króla, jeśli zdoła uwikłać potężne miasta sycylijskie w wojnę na zachodzie. W Kartaginie zawarliśmy niedawno porozumienie, że Kartagina zaciągnie dostatecznie wielkie wojsko i przeprawi je na północne wybrzeże Sycylii, głównie po to, by oswobodzić

Himerę od syrakuzńskiego ucisku. Lecz aby móc przewieźć dostatecznie wielkie wojsko przez morze, Kartagina potrzebuje koniecznie pomocy floty tyrreńskiej. Byłoby znakomicie, gdyby także miasta etruskie mogły posłać zdatnych do boju mężów, gdyż Kartagińczycy są bieglejszymi kupcami niż wojownikami. Rada w Kartaginie będzie zabiegać o to w Związku miast etruskich w jesieni, kiedy Etruskowie zbiorą się, by stanąć o ważnych sprawach Związku.

Złożył razem czubki palców i powiedział:

— Dlatego właśnie jestem w Rzymie. To niezawisłe miasto, tak niepodobne do innych, stanowi dobry punkt obserwacyjny przeciw Etruskom. Otwarcie nie mogę ani nie wolno mi brać udziału w pertraktacjach. Pozornie chodzi tu tylko o własne korzyści Tyrreńczyków i Kartaginy w walce przeciw greckiemu uciskowi. Etruskowie nie potrzebują nawet wiedzieć, że król perski opłaca kartagińskie zbrojenia. Ale ważne byłoby, jeśli chodzi o Etrusków, żeby ich wpływowi mężowie już zawczasu świadomi byli tej sprzyjającej okazji zmiążdżenia Greków na zachodzie. Takiej sposobności, zdaje mi się, drugi raz już im nie da bogini zwycięstwa.

Wyjąłem dzban z winem ze źródła i napełniłem puchary. Szczyty pagórków szcerwieniwały i zmierzch spał na zbocza wzgórz. W chłodniejszym zmroku wino i róże pachniały jeszcze mocniej.

— Ksenodotosie — odezwałem się — bądź szczery. Tak wielkie przygotowania i tak ogromne wojsko nie może mieć na celu tylko zdobycia Grecji. Nie trzeba młota, by zabić komara.

Roześmiał się swobodnie, spotkał mój wzrok w ciemności i przyznał:

— Kiedy Grecja stanie się perskim wasalem, następnym krokiem będzie naturalnie przeprowadzenie wojska przez morze, tu, na ląd Italii. Ale to sprawa późniejsza. Wielki król będzie pamię-

tać o swoich sprzymierzeńcach. Dobrze wiesz, że od przyjaźnie usposobionych miast nie wymaga nic więcej prócz wody i ziemi. Zupełnie wystarczy jeden głaz wyłamany z muru na znak perskiego zwierzchnictwa.

Dziwne było, że ja, który w latach młodości z takim oddaniem wziąłem udział w joń-

skim powstaniu i biłem się z Persami, teraz tak samo bez wahania wybrałem świat perski, stawiając go przed coraz bardziej ulegającym rozkładowi duchem greckim. Ale decyzja ta dojrzała w moim sercu i dokonałem wyboru z otwartymi oczyma, i w ten sposób związałem się jeszcze raz według rachub ludzkiego rozsądku z walką przeciw ślepym siłom losu.

Odparłem Ksenodotosowi:

— Zawarłem więzy przyjaźni w wielu etruskich miastach i pojedę tam chętnie, by pomówić o tych sprawach, zanim ich rządcy zbiorą się, żeby wbić nowy gwóźdź roku w drewnianą kolumnę w świątyni w Volsinii. Nauczyłem się podziwiać Etrusków i szanuję wielce ich i ich bogów. Aby zapewnić sobie własną przyszłość, powinni popierać wyprawę kartagińską, jeśli nadal chcą panować na swoim morzu.

Ksenodotos złożył ręce i zawołał:

— Nie będziesz żałował tego postanowienia, Turmsie. I o siebie nie musisz się obawiać. Zebrałem o tobie informacje w Efezie. Wielki król nie ma do ciebie urazy za pożar świątyni. Przeciwnie, to twoje przestępstwo odpowiada mu znakomicie, gdyż zobowiązuje go do bezlitosnej wojny z Atenami. Jeśli chodzi o ciebie, wszystko jest zapomniane i skreślone.

Powiedziałem dumnie:

— Moje przestępstwo jest sprawą między bogami i mną. Z ludźmi nie muszę szukać pojednania.

Spostrzegłszy moją dumę, skierował zřęcznie rozmowę na inne tory i opowiedział, jak wiatr południowy dawno temu zapędził go na łąd w Posejdonii, i jakie obelgi musiał tam znosić z powodu swoich perskich szarawarów. Ale potrafił się śmiać z tych wspomnień i dodał: 247

— Co się tyczy Etrusków, rozumiesz lepiej niż ja, jakie są tam stosunki i jak należy postępować. Jeśli potrzebujesz perskiego złota, otrzymasz tyle, ile będzie potrzeba. Później dostaniesz osobiste wynagrodzenie za każdy tyrreński okręt wojenny i za każdego etruskiego wojownika, który weźmie udział w kartagińskiej wyprawie wojennej w celu zdobycia Himery, bez względu na to, jak to przedsięwzięcie się skończy. Z punktu widzenia wielkiego króla główną sprawą jest, żeby Kartagina związała wojska greckie na zachodzie na okres, kiedy będzie trwała jego własna wyprawa wojenna.

— Nie jestem chciwy perskiego złota — odparłem. — Mam tyle, ile potrzebuję. Jest zresztą najmądrzej nie pokazywać w tych okolicach tak dużo perskiego złota. Etruskowie są nieufni i żądni sławy. Najlepiej wykazać im, że chodzi tu o przyszłość ich miast morskich.

Ksenodotos potrząsnął ze zdumienia głową i powiedział:

— Jesteś człowiekiem niemądrym politycznie i nie uświadomionym, Turmsie. Do prowadzenia wojny potrzeba: po pierwsze złota, po drugie złota; i po trzecie złota. Wszystko inne wynika samo z siebie. Ale rób, jak chcesz. Może łaska wielkiego króla jest cenniejsza niż złoto.

— Nie chcę łaski wielkiego króla — upierałem się. — Także, jeśli chodzi o resztę, jestem innego zdania niż ty. To nie złoto rozstrzyga wojny, lecz dyscyplina mężów i wprawa we władaniu bronią. Chudy i wygłodniały zawsze pokona bogatego i tłustego.

Ksenodotos wybuchnął śmiechem i wykrzyknął:

— Bez wątpienia przytyłem i pocę się, chodząc, ale moje doświadczenie pogłębiłem zdaje mi się, że jestem teraz mądrzejszy, niż kiedy biegałem w lasach Sikanów i spałem na gołej ziemi.

Przynajmniej mogę w każdej chwili zaciągnąć doświadczonych wojowników, żeby mnie bronili przeciw chudym Grekom. Szalony jest ten, kto chwyta za miecz. Mądry pozwala zawsze innym bić się za siebie i wyczekuje w bezpiecznym oddaleniu na wynik walki.

Jego urągliwe słowa sprawiły, że powziąłem mocne postanowienie samemu pójść z Etruskami do Himery i z mieczem w rękę walczyć u ich boku, choć rozlew krwi był dla mnie tak odpychający. Uważałem jednak, że będę im to winny, jeśli już raz uda mi się namówić ich do prowadzenia wojny w obcym kraju. Nie wyjawilem jednak moich myśli przed Ksenodotosem, gdyż uważałby on je tylko za śmieszne.

Wciąż uśmiechając się, zdjął ciężki złoty łańcuch z szyi i włożył go na moją, prosząc:

— Weź przynajmniej ten łańcuch, na pamięć o mnie i na pamiątkę naszej przyjaźni. Jest on sporządzony z połączonych ze sobą jednakowych ogniów i żadne z nich nie ma na sobie perskiej cechy. W razie potrzeby można odłączyć każde ogniwo z osobna.

Łańcuch ciążył mi jak kajdany, ale nie mogłem go zwrócić, żeby go nie urazić. Coś mi mówiło w duszy, że związałem się ze sprawą, z którą nie miałem nic wspólnego, ale tak już długo prowadziłem życie bez celu, że tęskniłem do jakiegoś działania.

Ściemniło się i zapłonęły gwiazdy, Misme otuliła nas derkami utkanymi z wełny z naszych własnych owiec, a stary niewolnik przyniósł miskę z żarem. Czuwaliśmy długo w noc i opowiadałem mu o Arsinoe. Brakowało mi jej i wspominałem ją taką, jaka była w swoich najlepszych chwilach. Ksenodotos nie czuł jednak pociągu do kobiet, jakkolwiek grzecznie przyznał, że Arsinoe była najwspanialszą z tych, które spotkał.

4

Ksenodotos pozostał w Rzymie, a ja udałem się do Tarkwinii, żeby odszukać Larsa Arntha Velthuru. Mimo swojej młodości rozumiał on natychmiast wagę sprawy i korzyści, jakie dawała ona Etruskom. Powiedział:

248

— W wielkich miastach w głębi kraju jest wielu młodych i żądnych sławy mężczyzn, którzy nie są zadowoleni z tego, co się dzieje. Są też zahartowani pasterze i wieśniacy, którzy postawią życie na szali, by zdobyć za jednym zamachem więcej na wojnie, niż zdołają uciuć przez całe życie trudem i harówką dla innych. Nasze wielkie wyspy nie mogą przypuszczalnie odstąpić żadnych okrętów, gdyż same ich potrzebują, jak równie i ludzi do strzeżenia kopalni. Ale rody władające żelazem w Populonii i Vetulonii potrafią doglądać swoich korzyści, a w Tarkwinii możemy wyposażyć co najmniej dziesięć okrętów wojennych.

Zabrał mnie z sobą do swego ojca, Arunsa Velthuru, który z szacunku dla odziedziczonego zwyczaju nigdy nie pozwolił nazywać się lukumonem, lecz stał tylko na czele Rady rządzącej Tarkwinią. Dostojniejszego męża nigdy nie spotkałem. Mimo swego wysokiego stanowiska przyjął mnie uprzejmie i życzliwie; przy pomocy mapy przedstawiłem mu plan wyprawy wojennej wielkiego króla i powtórzyłem słowa Ksenodotosa, że druga równie korzystna okazja wyparcia Greków może już nigdy się nie zdarzyć.

Słuchał uważnie i odparł tak:

— Nie sądzę, żeby było zamiarem bogów, by tylko jeden człowiek albo jeden lud rządził ca-

łym światem. Ludy utrzymują się nawzajem w równowadze, rosną i rozkwitają w wewnętrznym współzawodnictwie. Wszystkie ludy są równie warte i cierpienie człowieka jest takie samo, czy jest on Etruskim, czy Grekiem, czy jest czarny czy krwi mieszanej. Ludy wznoszą się jak fale i znowu opadają. Dla każdego ludu i miasta odmierzony jest jego wzrost, rozkwit i uwiąd. Miasta Etrusków nie są ani lepsze, ani ważniejsze niż miasta greckie, choć my może wiemy o bogach więcej od innych ludów. Dziesięć lat nadwyżki może człowiek uzyskać od bogów, sto lat może z łaski dostać w darze lud albo miasto, ale więcej nie dostanie nikt.

Jego godne słowa wywarły na mnie głębokie wrażenie, ale Lars Arnth zachnął się niecierpliwie:

— Ojcie, jesteś już stary i nie rozumiesz nowych czasów tak dobrze jak my, młodszy. Wpływy greckie na lądzie i na morzu to dla nas sprawa życia i śmierci. Obok Greków żaden inny lud nie może żyć i prowadzić handlu na równych warunkach. Bogowie i obyczaje Kartaginy nie są naszymi bogami i obyczajami, Kartagińczycy mają nawet czerwoną skórę, ale z Kartaginą możemy żyć w zgodzie i zawierać porozumienia. Grecy przynoszą ze sobą pośpiech, niepokój, chciwość, gwałtowność i wojnę, dokądkolwiek przyjdą, i uważają się za lepszych niż inne ludy. Jeśli Kartagina widzi się zmuszona prowadzić wojnę z Grekami, musimy popierać Kartaginę. Jeśli poprzemy Kartaginę, musimy to uczynić zdecydowanie i z całą naszą siłą. Jakkolwiek postąpimy, poczujemy na własnej skórze skutki, gdyby miało stać się tak nieszczęśliwie, że Kartagina przegrałaby wojnę.

Ojciec jego westchnął i powiedział:

— Wciąż jeszcze jesteś bardzo młody, mój synu. Ten, kto chwyta za miecz, ginie od miecza.

Nie zwykliśmy już więcej składać ludzkich ofiar.

Arnth zacisnął wąskie dłonie i zagryzł zęby, ale pochylił dumną głowę przed ojcem.

Aruns uśmiechnął się pięknym smutnym etruskim uśmiechem i ciągnął:

— To sprawa polityczna i musi o niej zdecydować Rada. Jeśli to wedle ciebie takie ważne, możesz sam pojechać do Volsinii zamiast mnie. Czemuż miałbym się mieszać do czegoś, co musi się stać, a czemu i tak nie mogę przeszkodzić.

W tak prosty sposób podniósł Lars Aruns swego syna do godności zastępcy władcy Tarkwinii.

Jego grób stał już od dawna przygotowany, ozdobiony nieśmiertelnymi malowidłami malarza Arunsa, i Lars Aruns nie odczuwał już pragnienia, by zapewnić sobie dziesięć dodatkowych lat u bogów. Dla starego władcy są one tylko brzemieniem. Kiedy nasza rozmowa znalazła tak nieoczekiwane rozwiązanie, Lars Aruns podniósł się, położył mi ręce na barkach i pozdrowił mnie 249

słowa: — Rad jestem, że dane mi było ciebie spotkać Turmsie. Pamiętaj o mnie, kiedy dostąpisz swego królestwa.

Lars Arnth był równie jak ja zaskoczony jego słowami, ale takie samo pozdrowienie posłał mi kiedyś Lars Alsir w Himerze, a ja przyjąłem je za staroświecki wyraz oznaczający szczególny do-wód przyjaźni. Dopiero później zrozumiałem, że stary Lars Velthuru poznał mnie i potraktował

jako posłańca bogów. Dlatego też wolał zrezygnować z władzy na rzecz syna, niż mieszać się do czegoś, co było dlań odrażające.

Nie musiałem się już wyteżać dla Ksenodotosa, gdyż Lars Arnth zajął się całą sprawą, sam jeździł po kraju i posyłał przyjaciół do odległych miast etruskich, żeby przygotować grunt. Gdy przybyli posłowie kartagińscy i przejeżdżali przez Tarkwinie na zjazd Związku, w Volsinii wszystko było już



przygotowane na ich prośbę o pomoc. Ja osobiście wstrzymałem się od wyjazdu do świętego miasta Etrusków i zostałem w Tarkwinii, by czekać na decyzję Związku.

Na tym uroczystym święcie dwanaście dni było poświęconych bogom, siedem na wewnętrzne narady, a trzy na rozstrzygnięcie spraw zagranicznych. Problem sporny, co do udzielenia pomocy Kartagińczykom przeciw miastom greckim, przekształcił się w kłótnię między starymi i młodymi, a obaj lukumonowie, którzy żyli w tym okresie, powstrzymali się od głosowania, gdyż lukumon jest księciem pokoju. Zapadła decyzja, że każde miasto w Związku może samo rozstrzygać, czy chce dopomóc Kartaginii, czy też nie, i czy ma to się odbyć w imieniu miasta, czy też przez werbowanie ochotników. Obaj święci lukumonowie oznajmili od razu, że ich miasta, Volterra i Volsinii, nie pozwolą nawet ochotnikom udać się na tę wojnę. Ale były to miasta w głębi kraju, a w sprawie tej najciężej ważyły decyzje miast nadmorskich.

Po zgromadzeniu kartagińscy posłowie zebrali wiążące obietnice przedstawicieli różnych miast. Veji przyrzekały dwa tysiące hoplitów, Tarkwinia jazdę i dwadzieścia okrętów wojennych, Populonia i Vetulonia po dziesięć okrętów wojennych, a miasta wewnątrz kraju co najmniej pię-

ciuset zbrojnych.

Decyzje były tajne, ale we wszystkich etruskich miastach portowych mieszkali greccy rzemieślnicy i oświeceni kupcy, a wielkie miasta zachodu miały swoich politycznych przedstawicieli w miastach etruskich, zbierających informacje o handlu i żegludze. Wielu znamienitych Etrusków zawarło z nimi węzły przyjaźni i podróżowało do miast greckich. Podziwiali oni grecką kulturę bardziej niż własną i odsłonili przed swymi przyjaciółmi niebezpieczeństwo grożące Grekom oraz robili, co mogli, żeby przeszkodzić przygotowaniom. Werbowali nawet ochotników z głębi kraju do swojej własnej służby, żeby przeszkodzić im w przyjęciu werbunku na wojnę, a podczas zimy w etruskich miastach portowych zdarzały się pożary i bunty żeglarzy wzbudzające niepokój i opóźniające przygotowania wojenne.

Ale to wydarzyło się później. Gdy wróciłem z Tarkwinii do Rzymu, miałem dla Ksenodotosa same tylko dobre nowiny i uważałem za pewne, że Etruskowie poprą Kartagińczyków z wielką stanowczością. Od Arntha otrzymałem odpis tajnego spisu oddziałów pomocniczych. Ksenodotos był tym wielce zachwycony i mówił, że przekracza to najśmielsze spodziewania.

— I wszystko to darujesz mi! — wykrzyknął. — Cóż pocznę teraz z tymi złotymi głowami wołów, które z takim trudem taszczyłem z sobą tutaj.

Miał ze sobą pewną liczbę na prastary kreteński sposób odlanych ze złota głów wolich, z któ-

rych każda ważyła talent, a które były monetą obiegową w Kartaginii. Ksenodotos ukrył je u ujś-

cia Tybru, by nie wzbudzać nieufności senatu tym ogromnym bogactwem. Zdawałem sobie sprawę, że na nic nie przydałoby się wlec to wszystko z wielkim trudem z powrotem do Suzy. Dlatego zaproponowałem mu, żebyśmy kupili w Populonii kilka statków żelaza i wynajęli kogoś, kto znał

wybrzeża sycylijskie, by przeszmugłował broń do Sikanów. Hiuls był wprawdzie jeszcze pod-

rostkiem i przez wszystkie te lata nic o nim nie słyszałem, ale żelazo wzmocniłoby jego pozycję wśród Sikanów, a jako syn Dorieusa wiedziałby dobrze, jaki uczynić z niego pożytek. Sikanowie 250 mogliby służyć wojskom kartagińskim za przewodników albo związać siły greckie przez napad na Akragas.

Parę głów wolicz mógł Ksenodotos w największej tajemnicy posłać do Larsa Arntha w Tarkwinii, który był rozsądnym młodzieńcem i mógł za nie kazać założyć stępki pod kilka okrętów wojennych najnowsze rodzaju. Plany ateńskich okrętów łatwo było kupić w Kyme, ponieważ butni Ateńczycy nie kryli w tajemnicy swoich nowych i mocnych trier, lecz przeciwnie, chętni się nimi.

Tak postanowiliśmy i załatwili, ale talent w złocie chciał Ksenodotos mimo wszystko mi podarować. Jeśli już nie dla czego innego, to na nieprzewidziane wydatki. Posłał swego godnego rzeźnika, by ten zabrał złoto z kryjówki u ujścia rzeki, owinęliśmy je wspólnie w skórę wołową i zakopali przy moim źródle, tak aby i on znał to miejsce, gdybym przypadkiem umarł. Rozstali-

śmy się jako przyjaciele, pijąc przez całą pożegnalną noc na powodzenie Etrusków i wielkiego króla. Następnego dnia Ksenodotos popłynął z powrotem do Kartaginy; musiał obrać drogę dookoła Sycylii, gdyż Gelon w Syrakuzach zdążył już być zamknąć cieśninę w Messynie.

Rada w Kartaginie wybrała Hamilkara na wodza i uznała go za samowładcę na czas trwania wojny. Był on synem sławnego żeglarza Hannon, tego samego, przez którego wysłane okręty zbadały ocean po drugiej stronie słupów Heraklesa aż po morze wodorostów, i żeglowały obok Wysp Cynowych na północ tak daleko, że spotkały lody u krańców świata. Hamilkar był to mąż żądny sławy i zdolny, werbował w ciągu zimy oddziały z wszystkich kolonii Kartaginy aż z Iberii, tak że w wojsku kartagińskim reprezentowane były różne ludy i kolory skóry. Ale każdy z tych ludów przyzwyczajony był walczyć po swojemu, używał różnych broni i zbroi ze skóry i kości, a ich rozliczne języki i sposób odżywiania sprawiały wiele zamieszania.

Grecy natomiast byli jednolicie uzbrojeni i wyćwiczeni w walce w ruchliwych szykach na otwartym polu, a ich hoplici mieli pancerze i tarcze z metalu. W ciągu zimy Gelon i Teron współ-

zawodniczyli ze sobą w budowaniu nowych trier w Syrakuzach i Akragas. Gdy przyszła wiosna, Syrakuzy miały sto gotowych trier. Wielki król osiągnął jednak swój cel o tyle, że ani jeden okręt i ani jeden człowiek nie został posłany z Sycylii czy z Italii na pomoc greckiej macierzy, choć Ateny i Sparta uparcie powtarzały swoje żądanie.

O trudnościach w nadmorskich miastach etruskich nie mam nic więcej do opowiedzenia, ale największym zaskoczeniem było, że senat rzymski na wiosnę całkiem nieoczekiwanie zerwał porozumienie z mieszkańcami Veji i kazał rzucić zakrwawiony oszczep na ich teren. Jako przyczynę podali rzymscy posłowie pewne naruszenia granic, lecz był to tylko pretekst, ponieważ stałe kłótnie pasterzy zwykło się było co roku załatwiać w drodze rokowań. Rzymska napaść na Veji związała oddziały, które Veji obiecały wysłać, a Rzym był tak potężny po zwycięstwie nad Wolskami, że zdołał wystawić dwa wojska, z których jedno groźnie grasowało na pogranicznych terenach Caere i Tarkwinii. Tak skrycie i chytrze prowadzili Grecy pertraktacje z konsulami i wpływowymi senatorami, że nie miałem najmniejszego pojęcia o całej tej sprawie, dopóki nie wypowiedziano

wojny. Było to największe nieszczęście, jakie mogło spotkać Etrusków, gdyż z konieczności zmniejszyła się liczebność oddziału przeznaczanego na Sycylię do niewielkiej jednostki. Rada w Tarkwinii nie ważyła się posłać jazdy na morze, a Caere tym mniej.

Dopiero późnym latem wypłynęliśmy, by spotkać okręty kartagińskie u brzegów Sycylii.

Mieliśmy czterdzieści lekkich okrętów wojennych, dwie triery i dwa tysiące ludzi na statkach transportowych, w większości hoplitów wyćwiczonych we władaniu bronią na sposób grecki.

Flota kartagińska tak znakomicie wypełniła swoje zadanie, że mogliśmy płynąć prosto do Himery, nie natrafiając na Greków, i wyciągnąć nasze okręty na brzegu Himery. Hamilkar zdobył

przede wszystkim port i ujście rzeki, by tam wysadzić swoje oddziały i przystąpić do oblężenia miasta. Kartagińskie wojska najemne liczyły ponad trzydzieści tysięcy ludzi i ich obozowisko rozpościerało się jak okiem sięgnąć aż po okolice Himery. Ale wojsko to wiodło z sobą niemal 251

równie dużo luźnych ludzi, niewolników, kobiet obozowych, kapłanów, wróżbitów, kramarzy, rzeźniców, tancerzy, grajków i innej hołoty, współzawodniczących ze sobą o zbieranie żołąd wojowników do swoich własnych trzosów.

Nie opodal innych rozbiło obóz w lesie tysiąc Sikanów. Segestanie, którzy według porozumienia z Hamilkarem przyłączyli się do niego, dziwili się wielce, skąd Sikanowie dostali swoje znakomite tarcze i żelazne miecze. Ale tym razem nie złościł się z tego powodu, gdyż Sikanowie dobrowolnie stanęli po ich stronie, by walczyć z Grekami.

Zostawiłem dowódcę Etrusków u Hamilkara i jego najbliższych ludzi i pospieszyłem prosto do obozu Sikanów. Tylko mimochodem spojrzałem z pewną melancholią na dobrze znane mury Himery. Kartagińscy eksperci wzniesli już wieże oblężnicze i tarany w odległości rzutu oszczepem od murów. A potem stopniało mi serce na widok odzianych w skóry Sikanów i ich twarzy i ramion umalowanych na czarno, czerwono i biało. Zdziwili się wielce, gdy przemówiłem do nich w ich własnym języku i zaprowadzili mnie spiesznie do kamienia ofiarnego, który poświę-

cili. Zebrali się wokół niego wodzowie różnych szczepów w drewnianych maskach na twarzach.

Wśród nich zobaczyłem prosto trzymającego się chłopca, który nosił na ramieniu moją własną starą tarczę, tak że mimo jego maski wilka poznałem go od razu i podszedłem, by go uścisnąć.

Hiuls nie skończył jeszcze trzynastu lat. Jego młodość czyniła go nieufnym i przewrażliwionym na punkcie swojej godności. Odsunął się niechętnie, a zebrani wodzowie Sikanów wzniesli gniewne okrzyki, że tak bez szacunku zbliżyłem się do ich Erkle. Lecz kiedy Hiuls uświadomił

sobie, kim jestem, zdjął drewnianą maskę, kazał przynieść dla mnie mięso i łój, i podziękował mi za broń, którą mu przysłałem. Dotarła ona do niego tajnymi drogami nietknięta.

Oświadczył:

— Hamilkar z Kartaginy jest wielkim wojownikiem i ma za sobą potężnego Baala i innych bogów.

Po raz pierwszy wyjdą teraz Sikanowie z lasów, by go poprzeć w walce przeciw Grekom.

My jednak służymy tylko naszym własnym bogom i nie związaliśmy się ani z Kartagińczykami, ani z Elymijczykami. Wojna zrobi dobrze mojemu ludowi, bo nauczymy się bić we właściwy sposób w prawdziwej wojnie i chcemy mieć udział w łupie. Ale po wojnie powrócimy do naszych lasów i gór.

— Ty jesteś Erkle — powiedziałem. — To ty musisz decydować za twój lud. Nie chcę ci narzucać żadnych rad. To ty jesteś królem.

Gdy Hiuls zobaczył, że nie próbuję stać się jego opiekunem ani żądać czegokolwiek w zamian za broń, udobruchał się całkowicie i usiadł na ziemi, na tarczy, ze skrzyżowanymi nogami.

Kazał Sikanom przebiec obok nas z bronią, dziesięciu ludzi w szeregu, i znów zgubić się w cie-niach lasu. Z zadowoleniem pokazywał mi, jak pewnie jego ludzie umieją rzucać oszczepy, ale w otwartej walce powinni oni byli, jego zdaniem, odrzucić oszczepy, do których jeszcze nie zdążyli przywyknąć.

Spotkanie z Sikanami po latach rozgrzało mi serce i napiłem się trochę ich trującego napoju wespół z kapłanami, tak że jeszcze raz widziałem na wskroś przez kamienie i drzewa. W świętych tańcach nie brałem udziału, choć miałem prawo nakładać maskę jelenia na twarz. Przenocowałem u nich na gołej ziemi jak dawniej, ale nie byłem już zahartowany, przywykłem do wygodniejszego życia, tak że nabawiłem się tylko okropnego kataru. Od tej pory uznałem, że najlepiej nocować na etruskich okrętach.

252

5

Miałem jednak złe przeczucia i życie w obozie Hamilkara nie bardzo mi odpowiadało. Dowódcy Etrusków wykorzystywali dnie, by ćwiczyć swoich ludzi w walce i maszerowaniu w zwartych szeregach. A my zadowalaliśmy się spaniem na okrętach mimo okropnego ścisku i robactwa.

Kartagińskie oddziały najemne zbierały się wokół nas i śmiały się, widząc, jak się wysilamy i biegamy spoceni w pełnym uzbrojeniu. Ale żądza sławy zrodziła się też u ich dowódców i każdy z nich zebrał swoich własnych ludzi. I widzieliśmy Libijczyków, którzy szczepiali swoje wysokie tarcze hakami, tworząc obronny czworobok. Inni znów mieli szerokie pasy żelazne i stali skuci z sobą, by nie łamać szyku.

Aż pewnego dnia wysłani przez Hamilkara wywiadowcy przybyli na spienionych koniach do obozu, wołając żywo, że Grecy nadciągają i stoją w odległości zaledwie jednego dnia marszu.

Liczba ich była nieprzeliczona, a tarcze i pancerze błyszczały jak błyskawice w słońcu, gdy tak toczyli się przez wzgórza w głębi lądu niczym potężne fale. Wywiadowcy wzbudzili swoimi opowiadaniem tak wielkie przerażenie w obozie Hamilkara, że ludzie bezładnie wybiegli na brzeg i tłoczyli się na statki transportowe gwałtem, trając się nawzajem. Wielu strącono do morza i ci utonęli, zanim Hamilkarowi udało się kijami i biczami przywrócić porządek. Następnie zdecydowanie rozkazał stracić najgorszych awanturników oraz wielu wojowników porażonych

strachem.

Otrzymaliśmy dokładne wiadomości o zjednoczonych wojskach Syrakuz i Akragasu, gdyż Sikanowie umieli stać się niewidzialnymi w gęstwinie i biec na zrogowaciałych stopach przez las szybciej niż niejeden koń. Liczebność Greków nie dawała powodu do niepokoju, raczej ich dobra dyscyplina i jednolite uzbrojenie. W rzeczy samej okazało się, że Hamilkar miał co najmniej trzykrotną przewagę. Czuł się pewny zwycięstwa, kazał rozpaść ogromne stosy przed posągami bo-gów, ustawionymi w różnych miejscach w obozie, i chodził do nich z kapłanami, składając ofiary z tryków i wygłaszając zachęcające mowy.

Niewielką liczbę Greków równoważyła ich stanowcza planowość. Zatrzymawszy się o dzień marszu od Himery, rozpoznali swym zwiadem nasz obóz i nawiązali łączność z Himerą za pomocą egipskich gołębi. Sądziliśmy, że to z ostrożności wahają się przed wdaniem w bój z przeważającą siłą, i Hamilkar postanowił wyruszyć im z wojskiem na spotkanie. Ale niebawem stało się jasne, na co czekali. Wczesnym rankiem o świcie pojawiły się połączone floty Syrakuz i Akragasu i zapełniły całe morze jak okiem sięgnąć. Było tam dwieście nowego rodzaju trier, a szybkości ich nie krępowały żadne statki transportowe. Flota ta przybyła od zachodu przez Panormos i wcale nie przez cieśninę na wschodzie, gdzie Hamilkar posłał swoją własną flotę, by trzymała straż. Dlatego też nie chcieliśmy zrazu wierzyć własnym oczom i wzięliśmy zbliżające się okręty za kartagińskie, dopóki nie spostrzegliśmy, że były to triery, i dopóki nie ujrzeliśmy ich greckich znaków i tarcz.

Nie mogliśmy pojąć, co się stało. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że flota syrakuzkańska śmiało opuściła Messynę i zostawiła własne wody nie strzeżone, a w to miejsce połączyła się z flotą Terona koło Akragas. Stamtąd bez zwłoki popłynęli na wody kartagińskie, przegnali okręty wojenne, które strzegły połączeń z Eryksem, zatopili wiele statków transportowych i popłynęli dalej, nie zważając na okręty kartagińskie, które schroniły się w porcie w Eryksie. Koło Panormos przyłączyła się do nich flota pirata Dionizjosa. Zostawili go tam, by topił kartagińskie statki transportowe, gdyż najlepiej z wszystkich znał się na tej sztuce. Tak więc po szybkim wiosłowaniu okręty greckie zaskoczyły nas i zamknęły pod Himerą, podczas gdy ciężkie okręty Hamilkara wciąż jeszcze nie przeczuwając nic złego, strzegły cieśniny messyńskiej i czekały na wroga od tej strony.

Gdy okręty wojenne zagroziły morze, otrzymaliśmy wieść, że także greckie wojsko lądowe ruszyło i zbliżało się spiesznym marszem do Himery. Hamilkar podjął natychmiast kroki, których 253

wymagała nowa sytuacja, posyłając zarówno lądem jak i drogą morską licznych gońców z alarmem do floty koło Messyny. Ale Grecy tak zręcznie zagroziły morze i ląd, że tylko dwóch Sikanów dotarło do celu i dowódcy okrętów Hamilkara nie uwierzyli im, lecz wzięli rozkaz powrotu za grecki podstęp wojenny. Usłuchali dopiero, gdy przybrzeżni rybacy potwierdzili niewiarygodną wiadomość, że flota grecka okrążyła całą Sycylię. Ale wtedy było już za późno.

Następnego ranka bowiem wojsko greckie rozwinęło się w szyku bojowym pod Himerą i opar-

ło się jednym skrzydłem na rzece, a drugim na lesie i górach. Wbrew zwyczajowi Grecy ustawili swoją jazdę w centrum, aby z jej pomocą złamać linie Hamilkara w środku i otworzyć sobie drogę aż do Himery, gdy bitwa jeszcze będzie trwała. W głębi lasu Sikanowie zaczęli grać na bębnach i choć raz cały nasz obóz stanął na nogi już o wczesnym brzasku. Nasze oddziały ustawiły się w dobrym

szyku stosownie do rozkazów dowódców.

Gdy Hamilkar zobaczył, gdzie stoi jazda grecka, zmienił własny plan bojowy w ostatniej chwili i ściągnął z obu skrzydeł oddziały dla wzmocnienia naszych tyłów w centrum. Byli to szczepieni z sobą szeregami ciężko uzbrojeni Iberyjczycy i Libijczycy, gdyż Hamilkar nie chciał

ryzykować przerwania frontu w centrum. Ta jego nieufność wobec nas, Etrusków, wzbudziła w nas urazę i nie podobała nam się myśl, że złączeni łańcuchami barbarzyńcy za naszymi plecami mają w czasie walki przeć nas do przodu i oddzielać od naszych okrętów. Ale bliższemu zastanowieniu się nad tym przeszkadzał ustawiczny zgiełk długich trąb i miedzianych kotłów Kartagińczyków oraz nieprzerwane szczęknięcie grzechotek ich kapłanów. A Grecy nie stali spokojnie i nie czekali, aż zostaną zaatakowani, lecz wysłali jazdę, by wszczęła walkę, i sami szli za nią zdecydowanie całą swą linią bojową.

Gdy Hamilkar zobaczył, że bitwa się zaczęła, kazał podpalić drewniane kozły przed bramą miejską Himery, ażeby Himerycy nie mogli napaść na nas od tyłu. W ostatniej chwili udało nam się wbić przed sobą w ziemię rząd zaostrzonych kijów i pali, podczas gdy maszyny wojenne miotały głazy w szeregi jazdy. Ale i tak niebawem jazda nas zalała, a nieliczni kartagińscy jeźdźcy nie mogli nas osłaniać i wzbudzali tylko zamieszanie, gdyż jazda grecka swoim impetem wciska-

ła ich z powrotem w nasze szeregi.

W pierwszym starciu padło lub zostało zranionych więcej niż połowa Etrusków, tak jakby Grecy zaraz na początku chcieli skruszyć najlepiej wyszkoloną i ochotniczo walczącą część wojska Hamilkara. Nie pozostało nam nic innego, jak tylko rozstąpić się na obie strony w czasie walki i przepuścić jeźdźców przez nasze szeregi, po czym znowu zwarliśmy przerzedzone szyki, tak że centrum pozostało nie przełamane.

Złączone łańcuchami szeregi za nami przyjęły powstrzymany atak konnicy dzidami opartymi jednym końcem o ziemię i skierowanymi ukośnie w górę ku brzuchom końskim, tak że Grecy ponieśli wielkie straty i wielu z nich musiało dalej toczyć walkę pieszo. Młodzi szlachcice z Syrakuz i Akragas zdobyli niewątpliwie nieśmiertelną chwałę w tej walce, gdy padli w kwiecie młodości od oszczepów, strzał i proc barbarzyńców, a tyrani Gelon i Teron musieli z zadowoleniem zacierać ręce, gdyż pozbywali się w ten sposób bez wszelkiego własnego trudu latorośli znakomitych rodów swoich miast.

Po konnicy natarli z biegu greccy hoplici i walka stała się teraz bardziej wyrównana, a hartowane miecze Etrusków miały lepszą możliwość akcji. Impet natarcia zmusił nas jednak do cofnię-

cia się, a ci z nas, którzy pozostali przy życiu, ocaleli raczej cudem niż dzięki własnej zasłudze.

Większość z naszych nie wróciła już nigdy do domu. Uginając się na nogach, z tarczami opadającymi na wyczerpanych ramionach, z krwią tryskającą z przeciętych tętnic, wzywali Etruskowie swych uśmiechniętych bogów i tak padali w objęcia swoich duchów opiekuńczych.

Potem niemożliwe już było uzyskanie jakiegoś całościowego obrazu przebiegu bitwy, gdyż szalała

ona od wczesnego ranka do późnego wieczora i żadna ze stron nie chciała ustąpić drugiej.

Mnie samemu zdarzyło się, że razem z ostatnimi Etruskami, którzy ocaleli, zostałem zepchnięty 254

na prawe skrzydło, blisko krawędzi lasu. Tam mogliśmy wreszcie zatrzymać się i zaczerpnąć tchu, podczas gdy wypoczęci erycyńscy wojownicy biegli obok nas do przeciwnatarcia. Hamilkar postąpił teraz tak, jak przystoi wodzowi, posłał mianowicie do nas przez panujący wciąż jeszcze bitewny zamęt gońca z wiadomością, że jesteśmy zwolnieni od dalszej walki. Zataczając się na nogach ze zmęczenia, pokryci krwią i potem od stóp do głów, z powyginanymi tarczami i stępionymi mieczami udaliśmy się chwiejnym krokiem na tyły pod osłonę oddziałów pomocniczych, żeby wypocząć.

Hamilkar zbudował wysoki ołtarz na najwyższym wzgórzu w obozie i śledził stamtąd przebieg bitwy. Z promiennymi oczyma podniósł ku nam ramiona, pozdrowił nas i podziękował za dzielną walkę oraz kazał niewolnikom rzucać nam złote łańcuchy, ale nikt z nas nie dbał o to, by zbierać je z ziemi. Tak gorzko oplakaliśmy naszych poległych towarzyszy i przelaną krew etruską.

Gdyśmy ugasili już pragnienie, opatrzyli nasze rany i zrabowali coś do zjedzenia w kramach obozowych, udaliśmy się na brzeg do naszych okrętów w nadziei, że spotkamy tam pozostałych Etrusków, którzy przeżyli bitwę. Brat wołał tam brata, przyjaciel przyjaciela, dowódcy okrętów wzywali swoich sterników, a wiosłarze towarzyszy z ławy, ale rzadko tylko ktoś odpowiadał na wołania. Zobaczyliśmy wkrótce, że wszyscy razem zdołalibyśmy obsadzić załogą tylko dwa okręty wojenne, i nawet z tego nie byłoby żadnego pożytku, ponieważ greckie triery zagradzały morze. Tak straszliwie wielkie były nasze straty. Powinny one świadczyć o tym, że przynajmniej uratowaliśmy etruską chwałę wojenną w bitwie pod Himera. Ale w ponurych godzinach na pustym wybrzeżu Himery większość z nas pragnęła, abyśmy zamiast chwały mogli byli uratować życie naszych towarzyszy i znowu ich powitać pośród nas.

Gdy słońce zaczęło się zniżać na zachodzie, dostrzegliśmy przez dymy i zamęt bitewny, że Grecy wypierają lewe skrzydło Kartagińczyków do rzeki i morza, a wojownicy z Himery wyłamali swoje zwęglone bramy i spadli zwycięskiemu prawemu skrzydłu Hamilkara na tyły. We-wnętrz w obozie męty napadły na katów i na dozorców, pozabijały ich i zaczęły z zimną krwią plądrować. Wydało mi się to najpewniejszą oznaką porażki. Na próżno Hamilkar kazał dąć w trąby i wznosić znaki polowe, by zebrać uciekających wojowników i uszykować ich na nowo.

Barbarzyńcy rzucili się w ślepej ucieczce do własnego obozu i zabili dowódców, którzy usiłowali im przeszkadzać z bronią w rękę. Część z nich i sporo luźnej tłuszczy rzuciło się na brzeg i wtargnęło na pokład statków transportowych w nadziei, że zdołają ująć przez morze. Spuścili kilka statków na morze i wypłynęli o wiosłach, ale najbliższe triery rozpedziły się i staranowały je, tak że statki poszły na dno, po czym triery wycofały się z powrotem na morze. Trzask pękających burt i przeraźliwe krzyki tonących uświadomiły barbarzyńcom, że nie oplaca się szukać ratunku tą drogą. Naradziliśmy się i doszliśmy do porozumienia, że najlepiej będzie zostać przy okrętach i bronić ich jak najdłużej, żeby w miarę możliwości wymknąć się na morze pod osłoną ciemności.

Greccy wojownicy nacierali już na port i wybrzeże, rzucając płonące żagwie na okręty kartagińskie, tak że ich ostatni obrońcy spłonęli na śmierć w nocnych walkach. Gelon z Syrakuz uważał

sprawę spalenia okrętów za tak ważną, że sam zjawił się na brzegu konno, otoczony swoją strażą z Maurów w błyszczących pancerzach, i głośnymi okrzykami zachęcał Greków do boju, obiecując im nagrody pieniężne i honorowe odznaki za każdy spalony albo zdobyty okręt.

Płonące okręty oświetlały brzeg, było tam jasno jak w biały dzień, a płomienie z obozu wyrzucały czarne chmury dymu ku niebu tak, że luna przypominała zachód słońca, choć była już północ. Okolice Himery stanowiły jedno pobojowisko, a na tle czerwonej łuny widać było kruki niczym czarne cienie, zlatujące się z wszystkich stron świata ku Himerze. Gdy już Grecy byli pewni zwycięstwa, przestali zabijać ludzi rzucających broń, i spędzali ich teraz do drewnianych ogrodzeń, jakie Hamilkar polecił przygotować dla greckich jeńców, których zamierzał sprzedać jako niewolników.

255

Wzdłuż brzegu stały długimi szeregami kartagińskie statki transportowe i okręty wojenne, a okręty etruskie, które przybyły na ostatku, leżały najdalej. Toteż trwało to jakiś czas, zanim Grecy zdążyli dotrzeć do nas, plądrując i podpalając okręty. Naradzaliśmy się z sobą, czy rzucić broń, ale nikt nie miał ochoty zostać niewolnikiem. Dlatego postanowiliśmy drogo sprzedać życie, obsadziliśmy załogą dwa najszybsze okręty, spuściliśmy je na morze i chwyciliśmy za wiosła, nie bacząc na stan ani stopień. Znaki bojowe z innych okrętów zdążyliśmy porąbać i wrzucić do morza, żeby nie wpadły w ręce Grekom. Gdy Gelon zobaczył, że dwa okręty usiłują wypłynąć na morze, zaczął kląć tak wściekle, że słyszeliśmy jego przekleństwa przez huk pożarów. Kazał

swoim ludziom wymachiwać pochodniami, by dać znak do okrętów syrakuzzańskich, ale nie przydało się to na nic wśród płonących pożarów. Natomiast Syrakuzanie na morzu mogli wyraźnie widzieć nasze dwa okręty rysujące się na brzegu.

— Dziś w nocy życie Etrusków nie ma wielkiej ceny i bogowie nie czuwają na morzu. Pom-

ścijmy śmierć naszych towarzyszy i zatopmy przynajmniej jedną grecką trierę na znak, że to morze jeszcze nie jest greckie, lecz nadal tyrreńskie.

Nasze zdecydowanie uratowało nas, gdyż syrakuzzańskie triery nie spodziewały się wcale ataku, wręcz przeciwnie, przygotowywały się do nabrania szybkości, aby nas staranować i zatopić, kiedy będziemy próbować przemknąć się obok nich. Podczas gdy one wiosłowały w tył, dając sobie nawzajem znaki latarniami, my rozwinęliśmy największą prędkość, żeby zrównoważyć naszą lekkość. Niemal równocześnie oba nasze tarany wbiły się w najbliższą trierę, tak że dębowe deski pękły z trzaskiem i potężny okręt przechylił się na bok. Wielu z jego załogi wpadło do morza od tego uderzenia, a i my sami spadliśmy beładnie z ław dla wiosłarzy. Atak nasz przyszedł

tak niespodziewanie, że nikt na okręcie greckim nie zrozumiał, co się stało. Dowódca zawołał

przez tubę, że wpadł na mieliznę i ostrzegł inne okręty przed podwodnymi skałami.

Było to naszym ratunkiem. Kiedy znowu odzyskaliśmy panowanie nad wiosłami, mocnymi pociągnięciami oderwaliśmy się wkrótce i wymknęliśmy w zbawczą ciemność. Pożary na brzegu oślepiły Greków tak, że ich wypatrywacze nic nie widzieli, gdy odwrócili wzrok ku morzu.



Zauważyliśmy to i my sami, widząc, jak noc wznosi się niby czarny mur przed naszymi oczami. Nie pomyśleliśmy o tym, że powinniśmy wziąć kurs na wschód, by odszukać okręty kartagińskie w zatoce Messyny i zanieść im wiadomość o klęsce i utracie okrętów pod Himerą. Naszą jedyną myślą było, że wszystko stracone, i że sami musimy się ratować przed czyhającymi niebezpieczeństwami morza, by doprowadzić szczątki chwały bojowej Etrusków do portu w jakimś tyrreń-

skim mieście nadmorskim.

Ale rano przyszedł z deszczem i ostrym wiatrem, który zaniósł nasze okręty do italskiego wybrzeża, wnet musieliśmy szukać schronienia w porcie w Kyme, by doprowadzić okręty do porządku i postarać się o żywność. Tyran w Kyme, który zwał się Demodotos, przyjął nas życzliwie, lecz kiedy usłyszał o bitwie pod Himerą i miazdzącej klęsce Kartagińczyków, zaczął żywo przypominać sobie dawne dzieje i powiedział:

— Pełnoprawnym testamentem jestem dziedzicem ostatniego Tarkwiniusza, który panował w Rzymie, a jeszcze nie dostałem ani jednej drachmy z tego spadku. Nigdy nie byłem wrogo nastawiony wobec Etrusków. Najlepszy tego dowód, że dałem schronienie Larsowi Tarkonowi i własnym kciukiem zamknąłem mu powieki, gdy umarł. Muszę jednak myśleć o moich obowiązkach wobec mego miasta i własnej rodziny. Dlatego obawiam się, że będę teraz musiał zatrzymać oba wasze okręty wojenne jako zastaw, dopóki nie zostanie wyjaśniona sprawa spadku po Tarkwiniuszu.

Taki sam pretekst podał ongiś, gdy obłożył rekwizycją rzymskie statki ze zbożem; był już starym człowiekiem i nie lubił wymyślać nowych pretekstów. Gdy przebywaliśmy w Kyme raczej jako jeńcy niż przyjaciele, doszły nas dziwne słuchy także z Posejdonii. Tłum splądrował tam kartagińskie sklepy i tyrreńskie składy towarów. Zamiast ukarać winnych, samowładca w mieście 256

kazał pojmać kartagińskich i etruskich mieszkańców pod pozorem, że ich bezpieczeństwo jest zagrożone i inaczej nie może zostać zabezpieczone.

Ale czekały nas jeszcze czasy o wiele bardziej przerażające. Przez morze, na skrzydłach bogini zwycięstwa, przyleciało posłanie do greckich miast na zachodzie, że flota ateńska zatopiła flotę perską w cieśninie Salaminy koło Aten. Sam wielki król zmuszony był uciekać na łeb na szyję drogą lądową z powrotem do Azji, zanim Grecy zdążą dopłynąć do Hellespontu, zniszczyć most złożony z okrętów i odciąć jego odwrót. Wprawdzie potężne wojsko Persów splądrowało i spaliło Ateny i obaliło w nim posągi bogów, ale Persowie ponieśli wielkie straty w przełęczy Termopil i trudno byłoby im przetrwać w Grecji, a jeszcze trudniej na przyszłą wiosnę pokonać wojska greckie, które stały pod dowództwem Sparty.

Znałem wszakże Greków i ich zwyczaj wyolbrzymiania sukcesów, ale ta sama wiadomość dotarła do nas z wielu stron i w końcu nie można już było w nią wątpić. W ten sposób cały udział

Etrusków w bitwie pod Himerą stał się bezmyślnym przedsięwzięciem. Starłem się pocieszać myślą, iż ich krew nie została przelana na marne, ponieważ mogli oni przeszkodzić greckim miastom na zachodzie w udzieleniu koniecznej pomocy macierzy.

Tyran z Kyme, Demodotos, był chytrym człowiekiem, mającym wiele do powiedzenia o tarkwińskich

sprawach dziedzicznych. W gruncie rzeczy robił, co mógł, by jechać na dwóch koniach, i zdawał sobie dobrze sprawę, że jest tylko kwestią czasu, kiedy będzie musiał zrezygnować z dobrych stosunków handlowych z Etruskami i ugiąć się przed miastami sycylijskimi, które żądały, by Kartagińczyków i Tyrreńczyków przepędzono z wszystkich rynków, mórz i stacji handlowych.

Gdy Lars Arnth dowiedział się w końcu o naszym przymusowym położeniu, posłał posła z Tarkwinii do Demodotosa i oświadczył zdecydowanym tonem, że odwoła z Kyme tarkwińskich kupców i skonfiskuje wszelką kymejską własność w Tarkwinii, jeśli oba okręty wojenne wraz z załogami natychmiast inie zostaną uwolnione i nie będą mogły wrócić. Gelon w Syrakuzach przysłał ze swej strony posłannika z wiadomością że jeśli Demodotos uwolni te okręty wojenne, które nieproszone wmieszały się w wewnętrzne sprawy sycylijskie, to on, Gelon, będzie to uważał za wrogą działalność.

Demodotos wzdychał i narzekał, brał się za głowę i mówił:

— Jakież to podziemny duch nieszczęścia skierował wasze okręty do portu właśnie w Kyme.

Moje serce jest słabe i źle znosi takie spory, a także w żołądku dostaję bóleści.

Znalazł jednak wyjście i powiedział:

— Mamy przecież naszą słynną w świecie wyrocznię, Hierofilę, która dziedziczy swój urząd w spadku od niepamiętnych czasów, zanim jeszcze było jakieś miasto w Kyme. Przez jej usta przemawiają bogowie i nie sądzę, by nawet Gelon miał chęć nie uznawać jej decyzji.

Sam nie chciał się udać do groty Hierofili, gdyż narzekał na trudną drogę, która tam wiodła i twierdził, że złe wyziewy w grocie przyprawiają go o ból głowy. Posłał razem z nami swego doradcę; po wyciągnięciu losów towarzyszyło mu, wraz ze mną, trzech Etrusków. Demodotos powiedział z rozdrażnieniem na pożegnanie do swego doradcy: — Przekaż moje dary sumiennie starusze i oświadczyć jej ode mnie, że najlepiej będzie, żeby choć jeden raz powiedziała tak, tak, albo nie, nie, a nie plotła co jej ślina przyniesie na język.

Grota Hierofili znajdowała się w szczelinie na szczycie góry, a kozia ścieżka, która tam prowadziła, wytarta była do połysku stopami ludzi szukających tam pomocy przez wiele setek lat. Schody wykute w skale na najtrudniejszych miejscach też były wyboiste. Sama świątynia, skromna i blada, poszarzała od wiatrów i niepogody.

Opary siarkowe w grocie były duszące, zakręciło nam się od nich w głowie, gdyż bardzo byliśmy osłabieni długą bezsennością z niepokoju o nasze losy i z żałoby po tych, których zostawiliśmy na poboju pod Himera. Kaszleliśmy i z oczu nam ciekło tak, że jak przez welon 257

z łez widzieliśmy wewnątrz groty z Hierofilą na wysokim trójnogu. W grocie było duszno i gorąco, ponieważ z powodu podeszłego wieku Hierofila stale chciała mieć płonący ogień na ognisku. Od dawna już straciła włosy, ale z próżności nosiła na głowie spiczastą czapkę. Obsługiwała ją blada dziewczyna z rozpuszczonymi włosami; w oczach tej dziewczyny spostrzegłem dziki wzrok delfickiej

Pytii i zdałem sobie sprawę, że Hierofila wychowuje sobie w niej następczynię. Oczy Hierofili były szare jak kamień. Zdaje mi się, że była ona zupełnie ślepa.

Gdy weszliśmy do groty, dziewczyna zaczęła niespokojnie biegać tam i z powrotem, przysuwając się do nas blisko, by zająrzeć dokładnie w twarz każdemu po kolei. Potem wybuchnęła dziwnym śmiechem i zaczęła krzyczeć i skakać wokoło jak szalona. Hierofila dziwnym metalicznym głosem kazała jej zamilknąć. Był to głos, którego człowiek nie spodziewał się usłyszeć z ust starej kobiety. Poseł Demodotosa skłonił się przed nią i zaczął wykladać swoją sprawę. Ale Hierofila uciszyła go i powiedziała:

— O czym ty właściwie pleciesz? Wiem, co to za ludzie i widziałam ich przybycie do Kyme, gdy kruki znikły z gór i poleciały stadami za morze na to miejsce, które oni opuścili. I nie mogę ścierpieć, by taka ogromna rzesza duchów umarłych tłoczyła się wraz z wami do mego mieszkania z językami spuchniętymi w ustach i wybałuszonymi martwymi oczyma. Odejdźcie i zabierzcie umarłych ze sobą.

Zaczęła dyszeć i odpychać nas obu rękami. Po naradzie dwaj pozostali Etruskowie wyszli z groty, rozejrzeli się wokoło i przywołali do siebie duchy umarłych. Hierofila uspokoiła się znowu i rzekła:

— Dobrze, że można znowu zaczerpnąć tchu. Ale skąd przychodzi to jasne światło i grzmot niewidzialnej burzy?

Dziewczyna zajęta była czymś w kącie groty. Wyszła teraz stamtąd, dotknęła dłoni Hierofili i uwieńczyła mnie wieńcem uwitym z suchych liści wawrzynu. Hierofila zachichotała, wybałuszyła na mnie ślepe oczy i pozdrowiła mnie:

— Ulubieńcze bogów! W kącikach twoich oczu widzę cień księżycy, lecz z twarzy twej świeci słońce. Powinnam właściwie uwić twój wieniec z mirtu i wierzbiny, ale musisz zadowolić się wawrzynem, bo nie mamy nic innego.

Posłannik Demodotosa sądził, że staruszka bredzi i zaczął niecierpliwie wyjaśniać swoją sprawę na nowo, gdyż wyziewy w grocie przyprawiały go o pieczenie w gardle i z oczu ciekły mu łzy, a i ja też czułem na podniebieniu gorzki posmak siarki. Nie czekając, aż posłannik skończy, Hierofila oznajmiła swoją wyrocznię:

— Co znaczą dwa okręty, gdy tysiąc okrętów ma spotkać się w walce na morzu koło Kyme.

Niech Demodotos pozwoli tym ludziom odejść w spokoju i uwolni ich okręty. Nie okręty, lecz znaki bojowe rozstrzygną wojnę.

Głos wezbrał, jak gdyby wołała przez tubę, gdy powtórzyła:

— Nie okrętów potrzebuje Demodotos, lecz znaków bojowych. Bóg przemówił. — A zaczerpnąwszy tchu dodała spokojnie: — Odejdź, głupcze, i zostaw mnie samą z tym posłańcem bogów.

Doradca Demodotosa zapisał wyrocznię na woskowej tabliczce i usiłował wziąć mnie za ramię, by wyprowadzić z groty. Ale dziewczyna rzuciła się na niego, podrapała mu twarz długimi paznokciami i objęła mnie ręką za szyję. Nie była zbyt czysta, ale jej skóra i szaty pachniały tak mocno

wawrzynem i gorzkimi ziołami, że nie była odpychająca. Powiedziałem, że zostanę w grocie przez chwilę, gdyż widocznie tak miało być, i posłannik Demodotosa wyszedł, kaszląc i przyciskając do ust połę płaszcza. Gdy znikł, Hierofila zeszła z trójnoga i otworzyła drewnianą pokrywę w ścianie groty, tak że świeże powietrze w okamgnieniu wywiało zatrute opary. Przez głęboką szczelinę w górze widać było niebieskie morze i niebo.

258

Hierofila podeszła do mnie, obmacała mnie rękami, dotknęła palcami moich policzków i włosów i powiedziała wzruszona:

— Synu twego ojca, poznaję cię. Czemu nie ucałujesz twojej matki?

Pochyliłem się, przycisnąłem rozwarłe dłonie do podłoża groty i ucałowałem je na znak, że uznaję tę ziemię za swoją matkę. Czulem się tak, jakby cała moja istota nagle się powiększyła i jakby promieniowała we mnie jasność. Dziewczyna podeszła bliżej, dotknęła moich kolan i ramion, ocierając się swoim ciałem o moje biodro. Cała siła uszła ze mnie i pot ciekł mi spod pach po bokach pod kaftanem. Hierofila dała dziewczynie szcztka w ucho, odepchnęła ją i zapytała:

— Poznajesz swoją matkę? Czemu nie witasz twego ojca?

Potrząsnąłem głową i odparłem:

— Mego ojca nigdy nie znałem i nie wiem nic o moim pochodzeniu.

Hierofila mówiła teraz głosem boga:

— Synu mój, poznasz siebie samego w dniu, kiedy dotkniesz słupa grobowego ojca. Widzę twoje jezioro, widzę twoje góry, widzę twoje miasto. Szukaj, a znajdziesz. Pukaj, a będzie ci otworzone. Także z drugiej strony zamkniętych drzwi wrócisz pewnego dnia. Wspomnij mnie wtedy.

Nagle powiedziała: — Obejrzyj się!

Obejrzałem się za siebie, ale tam nie było nic, choć ciąg powietrza sprawił, że ogień na ognisku rozplomienił się i oświetlił kąty groty. Potrząsnąłem znowu głową. Hierofila zdumiona położyła dłoń na moim czole i wezwała mnie:

— Obejrzyj się jeszcze raz. Nie widzisz jej, bogini? Większa i piękniejsza niż wszyscy śmiertelnicy patrzy na ciebie i wyciąga do ciebie ramiona. Nosi bluszcz. Jest boginią księżycy i równocześnie boginią źródła. Boginią piany morskiej i łani, cyprysu i mirtu.

Spojrzałem za siebie znowu, ale nie zobaczyłem uwieńczonej bluszczem bogini. Zamiast tego wystąpiła przed moimi oczami inna postać, pochylona i wyciągnięta do przodu jak galion na dziobie okrętu. Z kamiennej ściany groty wyrosła sztywna zjawa. Biały płaszcz otulał ją ściśle, a jej twarz była w przerażający sposób owiązana opaskami. Coraz wyraźniej mogłem rozróżnić tę zjawę. Niema, nieruchoma, wyciągnięta do przodu. Twarz, nie do rozpoznania pod lnianymi opaskami, wpatrywała się na północ. Cała pozycja ciała była wyczekująca i pokazująca stronę północną.

Hierofila zaniepokoiła się, odjęła dłoń od mego czoła, zaczęła drżeć i zapytała:

— Co widzisz, skoro tak zeszywniałeś?

Odparłem:

— On jest nieruchomy. Ukrył oblicze w lnianych przepaskach. Stoi spokojnie niczym galion na stewie okrętu i pokazuje na północ.

W tejże chwili huk w moich uszach urósł do nadziemskich rozmiarów, jasność olśniła mnie, i osunąwszy się na ziemię, straciłem przytomność. Kiedy odzyskałem zmysły, było mi tak, jak gdybym pędził przez przestwór z czarnym gwiazdzistym niebem nade mną i ziemią pode mną, a huk, choć słabszy, wciąż brzmiał w moich uszach. Dopiero gdy otwarłem oczy, zdałem sobie sprawę, że leżę nadal na kamiennym podłożu groty. Obok mnie klęczała Hierofila i rozcierała mi dłonie, a dziewczyna obmywała mi czoło i skronie szmatką umoczoną w winie.

Zobaczywszy, że wróciłem do przytomności, Hierofila powiedziała drżącym głosem sędziwej staruszki:

— Twoje przyjście zapowiedziane i jesteś rozpoznany. Nie wiąż już swego serca z ziemią.

Szukaj tylko samego siebie, żeby poznać siebie, o ty, nieśmiertelny!

259

Potem dzieliłem z nią chleb i wino, a ona opowiedziała mi płaczącym głosem o swojej zgrzybiałej starości, jak matka opowiada synowi. Opowiadała też o swoich synach i pokazała mi zwój, na którym zapisała swe wizje słowami i wierszami. Między innymi wróżyła, że w Grecji zrodzi się król, który ujarzmi Persję, podbije wszystkie kraje wschodu i umrze jako bóg w wieku zaledwie trzydziestu lat. Sądzę, że wróżba ta odnosiła się do dalszych, przyszłych czasów, gdyż nic podobnego nie zdarzyło się za mego żywota. Przeciwnie, Grecja rozdziera siebie samą po swoich zwycięstwach, przez to, że Ateny i Sparta nieprzejednanie walczą ze sobą.

Gdy wreszcie wyszedłem z groty, słońce oświetliło ziemię przede mną i zamigotało na małym kamyczku. Podniosłem go. Był to okrągły, matowy, na wpół przezroczysty kawałek żwiru. Wło-

żyłem go do trzosa między inne kamienie mego życia i po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że mój bezmyślny zwyczaj zbierania i chowania kamieni za każdym razem oznaczał, że jakieś stadium mojego życia kończyło się i nowe zaczynało.

Towarzysze czekali na mnie niecierpliwie i dziwili się, że tak długi czas spędziłem w grocie u Hierofili. Gdy przyłączyłem się do nich, chodziłem wciąż jeszcze jak we śnie, mówili mi później, że przez całą drogę powrotną do domu mowa moja była niezborna. Miałem straszliwy ból głowy i oczy podpuchły tak, że trudno mi było coś widzieć.

Demodotos wytłumaczył sobie wyrocznię Hierofili na własny sposób i pozwolił nam odpłynąć z Kyme. Kazał tylko zdjąć znaki bojowe z obu naszych okrętów i zamknął je w swym skarbcu, nie

troszcząc się o to, by odesłać je Gelonowi. My sami nie dbaliśmy o nie zbyt i było nam to obojętne, bylebyśmy wydostali się z tego niezwykłego miasta.

6

W porcie Tarkwinii oddaliśmy nasze pozbawione znaków bojowych i mocno uszkodzone okręty strażnikom portowym. Gdy wysiedliśmy na ląd, nikt nas nie pozdrowiał, ludzie odwracali się od nas i zakrywali głowy. Uliczki pustoszały, gdy przechodziliśmy. Tak wielka była żaloba, jaką przynieśliśmy z sobą do kraju Etrusków. Dlatego pożegnaliśmy się ze sobą w krótkich słowach w porcie, gdzie niedobitki z Populonii i Vetulonii zaciągnęły się na statek handlowy, by wrócić do domu. Ludzie z miast wewnątrz kraju zasłonili też głowy i rozpoczęli wędrówkę do okolic rodzinnych. Wszyscy stali się małomówni na resztę swego życia.

Ja sam udałem się z dziesięcioma niedobitkami z Tarkwinii do miasta. Lars Arnth przyjął nas mocno przygnębiony, ale nie czynił nam żadnych wyrzutów, wysłuchał tylko naszych opowiadań i rozdzielił między ludzi dary. A kiedy już poszli, poprosił mnie o rozmowę w cztery oczy.

— Z losem na próżno walczy nawet najmężniejszy — powiedział. — Nawet bogami kieruje los, mam tu na myśli bogów, których święte imiona i liczby znamy, i którym składamy ofiary.

Oślonięci bogowie, których nie znamy, stoją ponad wszystkim, a może nawet ponad losem.

Prosiłem go:

— Oskarżaj mnie, rób mi wyrzuty, uderz mnie zaciśniętą pięścią, żebym poczuł się lepiej na duchu.

Lars Arnth uśmiechnął się melancholijnie i odparł:

— To nie twoja wina, Turmsie. Byłeś tylko posłańcem. Ale ja znalazłem się w trudnym poło-

żeniu. Przywódcy naszych czterystu rodów podzielili się na dwa obozy i poplecznicy Greków oskarżają mnie teraz gorzko, że bez powodu zrobiliśmy sobie z Greków wrogów. Towary sprowadzane podrożały i tylko za lichwiarskie ceny można teraz nabyć wazy attyckie, w których przywykliśmy składać w grobowcach naszych sławnych zmarłych. Kto mógłby przypuścić, że oni odniosą sukces w wojnie z wielkim królem. Lecz nie sędzę, by nasze poparcie dla Kartaginy w wojnie sycylijskiej oznaczało dla Greków coś więcej, jak tylko znakomity pretekst do przeciw-

działania naszemu handlowi. Już wcześniej nienawidzili nas i zazdrościli nam naszego kupiectwa.

I nie sędzę też, byśmy mogli coś zyskać, korząc się przed nimi. Tym bardziej będą nas wtedy deptać, gdyż ich nie przeczuwane i niesłychane szczęście wojenne sprawiło, iż nad wszelką miarę puszą się i chępią.

Położył mi rękę na ramieniu i ciągnął:

— Zbyt wielu ludzi tu podziwia już greckie wykształcenie i przyswaja sobie ducha wątpliwości i przekory, który towarzyszy Grekom. Tylko miasta w głębi kraju są jeszcze święte. Miasta nadmorskie

są laickie i zatrute. Nie zatrzymuj się więc w Tarkwinii, Turmsie. Niebawem zaczną rzucać za tobą kamieniami za to, żeś jako cudzoziemiec mieszał się do spraw etruskich.

Podwinąłem płaszcz i pokazałem mu ledwie zaleczoną w boku ranę od miecza oraz pęcherze na dłoniach.

— Przynajmniej ryzykowałem życie za sprawę etruską — odparłem dotknięty. — To chyba nie moja wina, że miałem szczęście wrócić żywy do domu.

Lars Arnth wyglądał na zakłopotanego, unikał mego wzroku i rzekł:

— Dla mnie nie jesteś obcym, Turmsie. Wiem lepiej i znam ciebie, podobnie jak mój ojciec, który zaraz cię poznał. Ale ze względów politycznych muszę unikać wszelkich powodów do niepokoju. I także ze względu na ciebie nie chciałbym, żebyś został ukamienowany przez tych, którzy nic nie rozumieją.

Zapewniając mnie o swojej przyjaźni, wygnał mnie z miasta. Długi czas trwało jeszcze, zanim postępowanie samych Greków sprawiło, że przyjazny dla nich nastrój wygasł w Tarkwinii. Tarkwińscy kupcy i szlachetnie urodzeni zrozumieli, że czasy się zmieniły, dopiero wtedy, gdy zaczęli tracić okręty i zasoby w portach greckich i gdy się zorientowali, że Grecy zwykli spluwać na listy żeglarskie, które wystawiały im miasta tyrreńskie. Jednak tylko najbardziej dalekowzroczni Etruskowie wiedzieli, co się dzieje. Pozostali narzekali tylko i mówili:

— Jest tak, jakby niewidzialna ręka dławiała nas za gardło. Nasz handel podupada. Towary z innych krajów stają się tylko coraz droższe i droższe, a nasze własne coraz to tańsze. Dawniej im większy handel ktoś prowadził ze światem i im więcej statków wysyłał, tym stawał się bogatszy. Jak to możliwe, że wszystko dzieje się teraz odwrotnie. Im bardziej się wysilamy, tym bardziej biedniejemy.

Lars Arnth był sam niezmiernie bogaty i nie pomyślał o tym, że i ja stałem się biedakiem.

Złoty łańcuch Ksenodotosa podzieliliśmy już w Kyme, gdzie ci, którzy przeżyli, dzielili wszystko między sobą. Mój wyszczerbiony miecz i pogiętą tarczę musiałem sprzedać w Tarkwinii. Gdy zimowe wiatry dmuchały już w górach, udałem się pieszo do Caere, a stamtąd do Rzymu, gdyż tak byłem wycieńczony i chory na febrę, że nie mogłem odpracować przejazdu do Rzymu na jakimś statku.

— Wojna między Rzymem a Etruskami ustała na zimę i żadni rabusie nie przeszkadzali mi w wędrówce. Widziałem stratowane pola i połamane drzewa owocowe, okopcone ogniska po spalonych zagrodach i bielejące kości zarżniętego bydła. Te dawniej tak urozmaicone i ożywione okolice leżały puste, a pasterze wypędzili swoje owce w góry. Tak smutna była moja droga.

Gdy wreszcie stanąłem znowu na Janikulum i ujrzałem żółtawą rzekę głęboko w dole w swoim korycie, most i mur miejski Rzymu i świątynie po drugiej stronie, uświadomiłem sobie, że zniszczenie sięgało aż na ziemię rzymską i aż do rzeki. Ale w całym tym spustoszeniu zobaczyłem moją altanę nie uszkodzoną, a Misme wybiegła mi na spotkanie z opalonymi nogami i oczyma

promieniejącymi z radości.

— Złe przeżyliśmy czasy — opowiadała. — Nie zdążyliśmy nawet uciec do Rzymu, tak jak nakazywałeś. Vejenci wbili święte pale w ziemię na naszej zagrodzie, gdy tylko tu przyszli, i potem nikt nam już nie przeszkadzał ani nas nie ciemniżył, i nawet bydła nam nie ukradli. Zebrali-261

śmy dobre plony i ukryliśmy je. Staniemy się teraz bogaci, bo ceny zboża w Rzymie wzrastają.

Z pewnością będziesz mógł mi kupić nowe suknie i parę sandałów, skoro tak dobrze zadbaliśmy o wszystko.

Domyśliłem się, że to Lars Arnth dopilnował, żeby moją zagrodę oszczędzono. Ale wyświadczył mi niedźwiedzią przysługę, choć chciał tylko dobrze. Gdy tylko doszedłem do mostu, zosta-

łem pojmany przez strażników, oddany liktorom i wrzucony do podziemnego lochu w więzieniu mamertyńskim. W tej norze woda zamarzała na podłodze w najzimniejsze noce, moim posłaniem była zgniła słoma i musiałem walczyć ze szczurami o każdy kawałek jedzenia, o które w dodatku musiałem sam się starać. Moja febra i spowodowana nią gorączka pogorszyły się tak, że bredzi-

łem, i tylko od czasu do czasu przychodziłem do zmysłów i myślałem już, że umrę.

Z powodu choroby nie mogłem być przesłuchiwany i osądzony. Władze traktowały mnie także i poza tym jako mało znacznego więźnia, moje uwięzienie było tylko krokiem politycznym, żeby znaleźć jakiegoś kozła ofiarnego po nieudanej wojnie. Nie przywiązywano żadnej wagi do mojej sprawy i konsulowie mało się troszczyli, czy leżę w mojej celi żywy czy umarły.

Nie umarłem jednak. Gorączka spadła i pewnego ranka zbudziłem się z jasną głową i jasnymi myślami, ale tak słaby, że ledwie mogłem podnieść rękę. Gdy niewolnik strażnik więzienny zorientował się, że wyzdrowiałem, wpuścił do mnie Misme. Dzień po dniu odbywała daleką drogę z zagrody do miasta i z powrotem, żeby nadaremnie trząść się z zimna u bramy więziennej i błagać, by ją do mnie dopuszczono. Dzięki jedzeniu, które przynosiła, uszedłem z życiem po długotrwałej gorączce, gdyż strażnik więzienny powiedział, że dużo jadłem i piłem w chwilach przytomności, choć sam sobie tego nie przypominałem. Zbyt dużo jednak chyba nie jadłem, widziałem to po moich wychudzonych członkach, których mięśnie zamieniły się w cieniutkie ścięgna.

Gdy Misme mnie zobaczyła, wybuchnęła płaczem, usiadła w kucki na zgniłej słomie i karmiła mnie. Ostrzegłem ją przede wszystkim przed dalszym przychodzeniem do więzienia, gdyż władze mogły łatwo kazać uwięzić także i ją, mimo że była dzieckiem. Misme wpatrzyła się wtedy we mnie wystraszonymi oczami i powiedziała:

— Nie sędzę, żebym była jeszcze dzieckiem. Rozumiem wiele z tego, czego przedtem nie rozumiałam.

Mimo to byłem niespokojny o Misme. Zdawałem sobie dobrze sprawę, że zagroda i bydło ry-chło zostaną skonfiskowane przez państwo i że najlepszy los, jaki mnie może spotkać, to wygnanie z Rzymu. Miałem wprawdzie zakopaną złotą głowę wołu, ale to mi teraz nie pomagało. Gdybym



próbował przekupić kogoś z urzędników, zatrzymałby złoto na rzecz państwa, a samo posiadanie i ukrywanie takiego majątku stanowiłoby ciężkie oskarżenie przeciw mnie.

Po długim wahaniu powiedziałem więc:

— Droga Misme, najlepiej żebyś już nie wróciła do zagrody, lecz szukała schronienia w domu twojej matki. Jesteś jej córką i powinna się tobą zaopiekować. Ale nie mów nic o mnie. Możesz tylko powiedzieć, że zniknąłem bez śladu i że cierpisz biedę.

Ale Misme odmówiła:

— Do Arsinoe nie pójdę nigdy i nie chcę jej nawet nazywać moją matką. Raczej będę paść krowy albo sprzedam się jako niewolnica.

Nie domyślałem się, że czuła tak głęboko gorycz wobec Arsinoe. Powiedziałem:

— Ona jednak jest twoją matką, tą, która wydała cię na ten świat.

Z nagłymi łzami rozzalenia w oczach Misme wykrzyknęła:

— Ona jest złą i niedobrą matką i przez całe moje dzieciństwo patrzyła na mnie krzywo, bo jej się nie podobałam. Ale także i to potrafiłabym jej wybaczyć, gdyby nie odebrała mi Hanny, która była moim jedynym przyjacielem i była dla mnie czulsza niż niejedna matka.

262

Zakłuło mnie na myśl, jak Arsinoe potraktowała Hannę. Powróciły do mojej pamięci wszystkie szczegóły z przeszłości. Zdałem sobie sprawę, że w losie Hanny kryło się więcej, niż wówczas chciałem rozumieć, i zapytałem Misme, czy zauważyła coś wątpliwego u Hanny i w jej zachowaniu.

Misme odparła:

— Byłam wprawdzie jeszcze tylko dzieckiem, gdy wydarzyły się te okropne rzeczy, ale cał-

kiem na pewno wiedziałabym i rozumiałabym, gdyby Hanna była płochą i sypiała z mężczyznami.

Spałyśmy zwykle w tym samym łóżu i byłyśmy zawsze razem. To właśnie ona ostrzegła mnie przed matką i opowiedziała, że ty nie jesteś moim prawdziwym ojcem. Nie musisz już tego przede mną dłużej ukrywać. Opowiedziała mi też, jak matka dręczyła mego prawdziwego ojca, że poszedł i utopił się w bagnie. Był on greckim lekarzem i twoim przyjacielem, nieprawdaż? Ale ty, właśnie ty, Turmsie, byłeś jedynym mężczyzną, którego Hanna kiedykolwiek kochała. I ze wzglę-

du na nią ja kocham cię także, choć sobie na to nie zasłużyłeś. Nie, tak nie wolno mi mówić —

przerwała sobie nagle — bo byłeś dla mnie dobry, tak, lepszy niż mój prawdziwy ojciec. Ale jak ty mogłeś, jak ty mogłeś opuścić Hannę, przyprawivszy ją wpierw o ciążę?

— Na wszystkich bogów! — wykrzyknąłem. — Co ty mówisz, dziecko! — Pot oblał mi czo-  
ło. Nie trzeba mi było nawet pełnego wyrzutu spojrzenia Misme, by wiedzieć, że miała ona rację.

Nigdy przecież nie miałem innego dowodu mojej bezpłodności prócz urągliwych słów Arsinoe.

Misme wzburzona zapytała przekornie:

— A co, może to bogowie uczynili ją brzemienną? Przynajmniej byłeś jedynym mężczyzną, który ją tknął. Przysięgła mi na to, szeptała mi to do ucha, gdy tylko zaczęła się lękać, ale ja byłem jeszcze dzieckiem i nie rozumiałam. Teraz rozumiem już i sądzę, że Arsinoe wiedziała o tym. Dlatego sprzedała Hannę najokrutniej, jak tylko mogła.

Przyjrzała mi się pytająco i zapytała z powątpiewaniem w głosie:

— Doprawdy nic o tym nie wiedziałeś? Myślałam, że pogardzasz Hanną i chcesz uniknąć następstw twego czynu. Wszyscy mężczyźni są takimi potworami. Tego, jeśli nie czego innego nauczyła mnie matka. Nigdy nie powiedziała mi, komu sprzedała Hannę, ale udało mi się tego dowiedzieć od niewolnika stajennego, zanim Arsinoe odesłała go z domu, żeby zatrzeć wszelkie ślady. Był wtedy w Rzymie fenicki kupiec niewolników, który na targu bydłym kupował dziewczyny Wolsków i wysyłał je statkami do domów rozpusty w Tyrze. Jemu sprzedała Arsinoe Hannę i wraz z nią jej nie urodzone dziecko. Sądziłam, że wiedziałeś o tym, i przez wiele lat nie mogłam ci tego darować w moim sercu.

Łzy zaczęły jej płynąć po policzkach, dotknęła moich dłoni i prosiła:

— Ach, mój przybrany ojcze, Turmsie drogi, wybacz mi, że tak źle myślałam o tobie. Dlaczego nie mogłam zatrzymać tego tylko dla siebie. Ale tak strasznie mi to ciążyło na umyśle, odkąd zaczęłam rozumieć. Teraz jednak jestem szczęśliwa, że nie życzyłam Hannie źle, choć Arsinoe udało się odwrócić od niej twoje przywiązanie. O, jakżeż bym chciała, żeby Hanna została moją matką i może dostałabym własnego małego braciszka albo siostrzyczkę.

Nie wytrzymałem już tego dłużej. Moja zgroza przemieniła się we wrzącą nienawiść, wezwa-

łem wszystkich bogów podziemia i przekląłem Arsinoe za życia i po śmierci z zemsty za to, że popełniła tak okrutną zbrodnię wobec mnie i wobec niewinnej Hanny. Przekleństwo było tak przerażające, że Misme zasłoniła uszy, dopóki mój gniew nie przeszedł w ból i nie zdałem sobie sprawy, że Hanna z pewnością już nie żyje, a moje dziecko zaginęło na zawsze. Daremnie byłoby szukać jej dłużej. Fenickie domy rozpusty zachowywały swoje tajemnice, i kto raz się tam dostał, nie mógł się uratować. Arsinoe wiedziała o tym dobrze.

W końcu opamiętałem się, uświadomiwszy sobie, że przysparzam tylko Misme troski moim biadaniem i oskarżeniami miotanymi przeciwko sobie samemu. Powiedziałem: 263

— Może najlepiej będzie, żebyś nie uciekała się do tej kobiety. Każdy inny los może wydać ci się lepszy niż zależność od niej.

Udręczony swoją bezsilnością zrozumiałem, że nie mogę dać Missime żadnej ochrony. Musia-

łem polegać tylko na jej własnym rozsądku i zdolności dawania sobie rady. Opowiedziałem jej więc o złotej głowie wołu i wyjaśniłem, gdzie została zakopana. Ostrzegłem ją, by nie próbowała sprzedawać tej głowy w Rzymie. Najmądrzej byłoby odłupywać z niej płytki i zbywać je w jakimś mieście etruskim, gdyby znalazła się w potrzebie. Na koniec pocałowałem ją i pieściłem, wziąłem ją w ramiona i rzekłem:

— Mam swego własnego ducha opiekuńczego i żywię nadzieję, że i ty masz swego, który cię osłania, moja dobra i droga dziewczynko. Nie niepokój się o mnie. Zajmij się tylko sobą, a zgotu-jesz mi tym największą radość.

Rozstaliśmy się po tym, jak dała mi świętą obietnicę, że nie będzie się już wystawiać na niebezpieczeństwa i podejrzenia ze względu na mnie.

Następnej nocy miałem wyraźny sen. Przyszła do mnie do podziemnego lochu zgarbiona staruszka, która osłaniała głowę połą brązowego płaszcza i patrzyła na mnie przez dwa rozstawione palce. We śnie poznałem ją i darzyłem zaufaniem, ale kiedy ocknąłem się, nie mogłem zrozumieć, kim była. Czulem jednak niewytłumaczoną otuchę, gdy myślałem o tym śnie.

Pewnego dnia kazano mi obmyć się i włożyć nową czystą szatę, i zaprowadzono mnie do domu sprawiedliwości na przesłuchanie i sąd. Pytano mnie, dlaczego plądrujący Vejenci wbili pale ochronne w mojej zagrodzie i oszczędzili moją posiadłość. Odparłem, że nie wiem nic o przyczynie tego, gdyż sam znajdowałem się z wojskiem etruskim na Sycylii. Ale wyraziłem przypuszczenie, że liczne więzy przyjaźni i gościnności, które nawiązałem z Etruskami w różnych miastach, miały z tym coś do czynienia.

Był chłodny poranek. Konsul i kwestor mieli pod ławami miski z żarzącym się węglem. Roz-postarli poły płaszczy i szurali stopami po zimnej kamiennej posadzce, z trudem ukrywając ziewanie. Obecnych było tak niewielu ludzi, że nie zatroszczyli się nawet, by mnie pokazać ludowi.

Na podstawie mego własnego zeznania orzekli, że jestem winny zdrady kraju w czasie wojny i jedyną rzeczą, nad którą się naradzali, był problem, czy mają ustawowe prawo skazać mnie na śmierć, ponieważ nie byłem obywatelem rzymskim. Doszli w końcu do wniosku, że według prawa stałem na równi z obywatelami rzymskimi, gdyż posiadałem piętnaście morgów gruntu w grani-cach Rzymu i dlatego mógłbym być otrzymać obywatelstwo, gdybym o nie zabiegał. Ale na strącenie ze skały i włóczenie w rzece na haku nie mogli mnie skazać, gdyż mimo wszystko nie miałem jednak obywatelstwa. Toteż skazali mnie po prostu na chłostę i ścięcie, choć jako zdrajca nie zasługiwałem ich zdaniem na tak przyzwoitą śmierć. Wykonanie kary odłożono do dnia, kiedy zbierze się więcej ludzi, tak aby można było zaoferować ludowi widowisko i sprawić, ażeby zaprzestał

on nagabywać wciąż senat swoimi żądaniami.

Czekała mnie więc pewna śmierć, gdyż prawo rzymskie nie znało ulaskawienia po zapadnięciu wyroku, a do ludu nie mogłem się odwoływać, bo nie byłem obywatelem. Ale nie czulem strachu i nie wierzyłem, że umrę. Tak wielka była ufność, która spłynęła na mnie po tym śnie.

Ponadto pamiętałem też słowa Hierofili, że powrócę także z drugiej strony zamkniętych drzwi.

Myślałem, że śmierć będzie może tylko chwilową przerwą w mojej wędrówce, kiedy będę szukał siebie samego, i że powrócę, by żyć bardziej celowym niż dotychczas życiem. O Hannie nie chciałem myśleć, ponieważ nie mogłem jej nic pomóc. Swoją winę ukryłem w sercu.

I w kilka dni później zdarzyło się, że drzwi mojej celi otwarły się i weszła przez nie owa stara kobieta, oglądana we śnie. Głowę miała przesłoniętą fałdem brązowego płaszcza i patrzyła na mnie przez palce, tak abym nie mógł widzieć jej oblicza. Dopiero gdy niewolnik strażnik zamknął drzwi, ona przyjrzawszy mi się długo, odsłoniła zwiędłe rysy twarzy i poznałem ją jako najstarszą z Westalek. Widywałem ją wielokrotnie w cyrku na honorowym miejscu dla dziewczyc.

264

Przemówiła teraz do mnie:

— Jesteś tym, którego szukam, i poznaję twoją twarz.

Upadłem przed nią na kolana i schyliłem głowę. Uśmiechnęła się nikłym uśmiechem starej kobiety o zapadniętych policzkach, dotknęła moich brudnych włosów i zapytała:

— Pamiętasz mnie, Turmsie? Spotkałeś mnie pierwszego dnia, kiedy przybyłeś do Rzymu, a to jest już dziewięć lat temu. Sam znalazłeś świętą grotę i źródło, spryskałeś wodą twarz i wybrałeś wieniec z bluszczu. Wystarczyło mi to jako dowód. Ale twarz twoją znałam już wtedy.

Powiedziała jeszcze:

— Bogowie powierzyli mi zadanie. Przechowuję najtajniejsze dziedzictwo wiedzy i dopilnowuję, by te przechowywane wróżby były odpowiednio wykładane w chwilach niebezpieczeństwa.

Dlatego nie zrezygnowałam z mego stanowiska po trzydziestu latach doglądania świętego ognia, lecz służba moja trwa aż do śmierci. Rzymianom nie wolno zhańbić ciebie i zabić. Ściągnęłoby to na Rzym straszliwe nieszczęście. Ze względu na sam Rzym musisz zostać uwolniony. A także i ze względu na ciebie samego, bo Rzym jest przecież twoim miastem.

Odparłem:

— Wiele radości nie miałem z Rzymu. Życie takie, jakie tu wiodę, napawa mnie niesmakiem.

Nie obawiam się śmierci.

Potrząsnęła lekko głową i odrzekła ganiąco:

— Mój drogi synu, ty, który musisz przyjść, twoja wędrówka nie jest jeszcze skończona. Nie możesz jeszcze odpocząć i zapomnieć.

Przenikliwymi czarnymi oczyma patrzyła na mnie i rzekła:

— Rozkoszne, tak, rozkoszne jest zapomnienie. Ale ty nie zrodziłeś się tylko dla samego siebie w ludzkiej postaci. Musiałeś swobodnie wędrować aż do tej pory, ale przepisany wiek został

już teraz osiągnięty. Weź więc wieniec z liści dębowych. Dziewięć lat przeminęło. Musisz iść na północ. To rozkaz. Słuchaj swoich znaków.

— Muszę iść pod różgi i topór katowski — odrzekłem przekornie. — Co poradzisz na to, stara kobieto?

Wyprostowała grzbiet i kark.

— Jest luty — powiedziała. — Tancerze wiosny i boga wilków zgubili tarcze, tak jakby niewidzialne ręce im je wyrwały. Także dwunastu Braci Pól martwi się z powodu licznych myszy i wron, które zobaczyli. Poświadczają oni też, że grad nigdy nie zaszkodził twoim polom, a deszczu i słońca miałeś zawsze wedle potrzeby. Twoje bydło ustrzegło się od chorób. Twoje owce rodziły jagnięta bliźnięta. Twój bóg jest obcym bogiem w Rzymie, Turmsie, ale dał on dostatecznie ostrzegawcze znaki co do ciebie. Rzymianie szanują swoje prawa, lecz jeszcze bardziej obawiają się obcych bogów i ich mieszania się w sprawy rzymskie. Swoich własnych bogów umieją ugłaskać, ale nie obcych, gdyż nie znają właściwych słów ani ofiar. Żona wysoko postawionego senatora była u mnie i wstawiała się za tobą — ciągnęła staruszka. — Zrazu nie zdałam sobie sprawy, o kogo tu chodzi i wątpiałam w nią. Ona sama składa ofiary w świątyni szczęścia kobiecego i wtajemnicza szanowne kobiety w występne misteria. Ale jej bogini czuwała, kiedy ja byłam głucha i ślepa. Pospiesznie zbadalam sprawę. Najwyższy budowniczy mostu rozwinął swoje księ-

gi i znaleźliśmy miejsce odnoszące się do ciebie. Senat musi ustąpić, gdyż najstarsze rody dobrze wiedzą, o co tu chodzi. Twój wyrok jest zniesiony, Turmsie. Nie zostaniesz nawet wychłostany.

Musisz jednak opuścić Rzym. Idź na północ. Już cię tam czekają. Czeka na ciebie twoje jezioro, czeka na ciebie twoja góra.

Zastukała silnie w drzwi. Niewolnik strażnik odryglował je i wszedł z wiadrem wody. Potem przyszedł kowal i zdjął mi kajdany z przegubów. Stara Westalka kazała mi zrzucić brudne szaty, 265

i umyła mnie potem własnymi rękami. Umyła mi też włosy i naoliwiła je, i splotła. Wszystko to robiła delikatnie i z szacunkiem, ale wprawnymi, pewnymi rękami. Strażnik wręczył jej koszyk, z którego wyjęła kaftan z najcieńszej wełny i włożyła na mnie. Na ramiona nałożyła mi gruby brązowy płaszcz, taki sam, jaki nosiła. W końcu włożyła mi na głowę wieniec z żółodzi i więdnących liści dębu.

— Jesteś gotów — orzekła — ale pamiętaj, że wszystko to dzieje się w tajemnicy i bez wiedzy ludu. Ci, którzy musieli zostać wtajemniczeni w tę sprawę, zaprzysięgli milczenie. Idź więc, spiesz się,

święty jeleniu. Bracia Pól czekają na ciebie i odprowadzą cię do rzymskiej granicy po drugiej stronie rzeki. Osłonię cię przed niewtajemniczonymi, gdyby ktoś przypadkiem cię poznał.

Gdyż to pierwszy raz za czasów republiki konsul zniósł wyrok, który już zapadł. Ale lud nic o tym nie wie

Wyprowadziła mnie za rękę po schodach z wilgotnego lochu więziennego, a niewolnik strażnik otworzył nam drzwi i pozdrowił z szacunkiem świętą kobietę. Kiedy wyszliśmy na plac, zobaczyłem, że gęsta mgła spowija forum tak, iż czekający Bracia Pól w swoich szarych płaszczach i wieńcach z kłosów wyglądali jak zjawy we mgle.

Westalka rzekła:

— Widzisz sam. Bogowie opuścili się na miasto w postaci mgły, żeby osłonić twoje odejście.

Dotknęła mego ramienia i lekko mnie popchnęła, a ja nie odwróciłem się już, by się z nią pożegnać. Coś mi mówiło, że kobieta taka jak ona nie czeka na żadne pożegnanie i podziękowanie. Mgła była święta i tłumiała odgłos kroków i skrzypienie kół. Bracia Pól otoczyli mnie. Gdy byłem zmęczony, podpierali mnie ostrożnie i pomagali mi, chwiejącemu się na nogach, kroczyć dalej, gdyż wciąż jeszcze byłem słaby po przebytej chorobie.

Strażnicy na moście odwrócili się plecami, gdy zobaczyli, że zbliżamy się jak cienie we mgle.

Po raz ostatni przeszedłem przez rzymski most, poczułem zapach bydlęcego nawozu i usłyszałem skrzypienie grubych desek wydeptanych przez niezliczone stopy. Ale mgła leżała tak gęsta i nieruchoma, że nie mogłem dostrzec wód Tybru, słyszałem tylko między filarami mostu jego szum, spokojny i łagodny jakby na pożegnanie.

Chciałem skrócić, żeby raz jeszcze zobaczyć moją małą zagrodę, ale Bracia Pól zawrócili mnie i zapewnili półgłosem:

— Zajmiemy się twoimi polami. Zajmiemy się starymi niewolnikami. Zajmiemy się bydłem.

Nie zbaczaj z drogi.

Przy najdalszym północnym palu granicznym podkasali płaszcze i przykucnęli wokół mnie na wilgotnej od rosy ziemi. Mgła zaczęła się podnosić i zerwał się wietrzyk. Uroczyście wyjęli jęczmienny podpłomyk i złamali go tak, że każdy z nich od najstarszego do najmłodszego wziął kawałek i zjadł. Najstarszy nalał wina do glinianego pucharka. Puścili go z rąk do rąk i każdy upił

łyk wina. Ale mnie nie poczęstowali.

Wiatr północny przybierał na sile i rozdzierał mgłę na szmaty, wycierając niebo do czysta.

Gdy słońce pojawiło się, rozlewając na nas swoje łagodne blaski, podnieśli się wszyscy jak jeden mąż, zawiesili mi na szyi torbę z żywnością na drogę i pchnęli mnie ostrożnie wszyscy na raz przez

granicę na teren etruski. W sercu wiedziałem, że postąpili słusznie. Wiatr północny walił mi triumfalnie w twarz, krew zaczęła krążyć cieplej w moich żyłach, ale ziemi, którą deptały moje stopy, nie znałem.

7

Na północ wiodła moja droga. Kroczyłem swobodniej niż kiedykolwiek przedtem, zrzuciłem z siebie moje minione życie jak podarty kaftan. Nagle opuściła mnie choroba, czułem się lekko 266

i zwiewnie, jak gdyby moje stopy były uskrzydłone i nie dotykały już prochu ziemi. Sam blask słoneczny upajał mnie. Kiełkująca zieleń trawy dawała wypoczynek oczom. Idąc uśmiechałem się. Wiosna szła ze mną, wraz z ćwierkającymi ptakami, wezbranymi strumykami, łagodnymi deszczkami.

Skręciłem z drogi, szedłem ścieżkami pasterzy, dawałem odpoczynek stopom u źródeł strumyków, słyszałem, jak pasterskie fujarki towarzyszą mi przez całą drogę ze wzgórza na wzgórze.

Ale moja wijąca się droga wiodła na północ. Radosne stada ptaków unosiły się wysoko nad moją głową. Wczesnym rankiem budziłem się przy krzyku dzikich gęsi na błękitniejącym niebie.

Pełna oczekiwania radość perliła się w moim sercu. Nie myślałem o niczym. Nie spodziewa-

łem się niczego. Coś we mnie wiedziało, że idę ku spełnieniu, tam gdzie powinienem odnaleźć samego siebie. Wszelkie odgadywania były zbyteczne. Wiedziałem, że znajdę, że poczuję wszystko w odpowiedniej chwili. Tajemne przeczucie kierowało moimi krokami w taki sam sposób, jak stada ptaków kierowały się na północ nad moją głową.

Nie spieszyłem się. Odpoczywałem w pasterskich szałasach i w krągłych chatynkach wieśniaków. Często kładłem się i zasypiałem na ogrzanych słońcem stokach górskich. Woda smakowała świeżo w ustach. Smak chleba był dobry i pożądany. Wracały mi siły. Jakbym odmłodził. Ciało moje oczyszczało się z śmiertelnych trucizn życia, z ciężącego ucisku działania, myślenia, drę-

czącego rozsądku. Byłem wolny. Byłem szczęśliwy. W błogim nastroju szedłem samotnie przed siebie.

Potem napotkałem wzgórze. Pędziły nad nimi cienie obłoków. Po tygodniach wędrówki spotkałem żyzne pola, doliny, stoki winnicznych pagórków, srebrnoszare gaje oliwne i prastare drzewa figowe. Miasto wznosiło się na szczycie góry z porośniętymi trawą murami, sklepieniami bramami i kolorowymi domami. Ziemia odpowiadała drzeniem na moje kroki, a i stopy moje drżały, czując ziemię, którą deptały. Nie skierowałem kroków ku miastu. Pałące pragnienie zmusiło mnie, bym zboczył z drogi i wspiął się przez zarośla, nie szukając ścieżek, prosto na szczyt położonej obok góry. Spłoszone ptaki wbiły się w powietrze. Wszystkie uleciały przede mną na szczyt góry.

Lis, który leżał przed norą, skoczył i pomknął przede mną w gęstwinę. Poczulem cuch dzikiej zwierzyny. A potem z zarośli wypadł z trzaskiem dumny jelen, odrzucił zwieńczoną rogami głowę i pobiegł lekkim truchtem w górę zbocza przede mną. Kamienie odrywały się i toczyły pod moimi

stopami, płaszcz rozerwał się, oddech zapało mi z wytężenia, ale wspinałem się dalej przy pomocy rąk i nóg, czując, jak zbliża się to święte. Z każdym krokiem brało mnie ono coraz mocniej w swoją władzę, aż wreszcie przestałem już być samym sobą. Byłem częścią ziemi i nieba, częścią powietrza i góry. Byłem lepszy od siebie.

Zobaczyłem wejścia do grobów, ze świętymi kolumnami przed nimi, i szafasy malarzy i kamieniarzy. Zobaczyłem święte schody, ale jeszcze się nie zatrzymałem. Szedłem dalej obok grobów na sam najwyższy szczyt. I rozpętał się wiatr. Niebo nade mną sklepiało się bezchmurne, ale wiatr dał tak, jak będzie wiał kiedyś, gdy w nowej ludzkiej postaci będę wchodził po schodach do mego grobu, niosąc w czarnym dzbanie kamienie tego mego żywota. Nawet jeśli te zapiski zaginą, nawet jeśli pamięć mnie zawiedzie, rozpoznam i odczytam dzieje mego żywota, kamień po kamieniu. Wicher, wicher będzie dał tego dnia pod jasnym niebem na szczycie góry.

Na północy widziałem moje jezioro. Daleko w dali błyszczało między niebieskimi górami moje wielkie jezioro, moje piękne jezioro. Poznałem je tak, jakbym mógł słyszeć szum trzciny i czuć dobrze znany zapach brzegów i smak miękkiej wody. W szumiącym wietrze odwróciłem twarz na zachód nad grobami. Niczym siny stożek wznosiła się tam góra bogini. Była mi dobrze znana. Dopiero potem poszedłem wzrokiem za schodami obramowanymi malowanymi kolumnami i za świętą drogą, która prowadziła przez dolinę i znów w górę zbocza po drugiej stronie uprawnych pól. Tam leżało moje miasto. Było mi bliskie. Ten kraj, pagórek za pagórkiem faliście pięknych siniejących wzniesień był moim krajem i krajem mego ojca. Był mi dobrze znany. Moje 267

stopy, moje serce poznało go już w chwili, gdy przekroczyłem granice i gdy cienie chmur przybiegły ku mnie przesuwając się ze wzgórze na wzgórze.

Ogarnięty rozkosznym zawrotem głowy osunąłem się na kolana i ucałowałem ziemię, z której byłem zrodzony. Ucałowałem ziemię, moją matkę, i podziękowałem jej, że po długiej wędrówce nareszcie odnalazłem drogę z powrotem do domu.

Po niebie przewalały się, igrając, świetlne istoty bez postaci, a gdy już zszedłem po zboczu, zajrzałem do ciemnej głębinie ofiarnego źródła i podszedłem do grobów. Nie wahałem się. Poło-

żyłem rękę na okrągłym czubku grobowej kolumny, ozdobionej tańczącymi jeleniami i szepnąłem:

— Ojczy, ojczy, twój syn wrócił.

Potem osunąłem się na ciepłą ziemię przed grobem mego ojca i poczułem nigdy nie przeżywany spokój i uczucie bezpieczeństwa. Zachód słońca sprawiał, że malowane posągi bogów na dachu świątyni w mieście żarzyły się w dali po drugiej stronie doliny. W nocy zbudziłem się od grzmotów burzy. Wiatr dał, chmury wylewały ciepły deszcz, a wokół mnie rozpałały się olśniewające błyskawice. Huk ogłuszył mnie, a potem ziemia zatrzęsała się pode mną, gdy piorun uderzył

w szczyt góry. W ciepłym deszczu podniosłem triumfalnie ramiona i odtączyłem taniec piorunów, tak jak moje ciało niegdyś tańczyło taniec burzy na drodze do Delf.



Słońce świeciło jasno, gdy zbudziłem się zdrętwiały z zimna; wstałem, by rozetrzeć członki i ujrzałem gromadę kamieniarzy i malarzy, którzy przyszli zacząć robotę, i przestraszeni, i zdumieni przyglądali mi się. Gdy się poruszyłem, odsunęli się; a strażnik grobu podniósł obronnym ruchem świętą laskę. Długą ścieżką, która okrążała górę, nadszedł w tej chwili wieszczek piorunów, z wieńcem na głowie, otulony w święty płaszcz. Podeszedł prosto do mnie i przyjrzał mi się bystro, marszcząc czoło. Potem przesłonił jedno oko lewą ręką, a prawą podniósł do boskiego powitania.

— Poznaję twoją twarz — powiedział i zadrżał. — Poznaję ją z obrazów malarzy i posągów rzeźbiarzy. Kim jesteś i czego chcesz?

— Szukałem i znalazłem — odparłem. — Serce moje biło, aż mi to było dane. Ja, Turms, jestem znowu w domu. Jestem synem mego ojca.

Stary siwowłosy mężczyzna wśród kamieniarzy odrzucił narzędzia, osunął się na ziemię, wybuchnął płaczem i wykrzyknął:

— To on, poznaję go! Żywy powrócił, nasz król, równie piękny jak w najlepszych dniach swej męskości.

Chciał objąć moje kolana, ale ja mu surowo zabroniłem i rzekłem:

— Nie, nie, mylisz się. Nie jestem żadnym królem.

Kilku kamieniarzy pobiegło do miasta, żeby rozpowszechnić nowinę o moim przybyciu. Kapłan rzekł:

— Widziałem błyskawice. Wtajemniczeni wiedzieli o twoim przybyciu od dziewięciu lat.

Wielu myślało już, że nigdy nie znajdziesz drogi. Ale nikt nie ważył się mieszać w sprawy bogów i prostować twoich ścieżek. Jeden z naszych augurów przywitał cię już, gdy pierwszy raz przybyłeś do Rzymu, odczytał znaki i dał o nich znać wtajemniczonym. Z wyspy, od najwyższego kapłana piorunu, dostaliśmy wieść, że nadchodzisz. Pioruny utworzyły krąg radości z powodu twego przybycia. Czy jesteś prawdziwym lukumonem?

— Nie wiem — odparłem. — Wiem tylko, że jestem w domu.

— Tak, tak to jest — powiedział. — W każdym razie jesteś synem Larsa Porsenny. Przy jego grobie spałeś dziś w nocy. Nie można się pomylić co do twojej twarzy. Jesteś szlachetnego rodu, nawet gdybyś nie był lukumonem.

268

Widziałem, że oracze w dolinie porzucili pługi i zaprzęgi wołów i biegli ku świętej drodze, by przyjść tu do nas na górę.

— Niczego nie żądam — rzekłem. — Tylko mojej ojczyzny. Tylko miejsca, gdzie mógłbym żyć. Nie mam żadnych żądań dziedziczenia. Nie szukam władzy. Opowiedz mi o moim ojcu.

— Twoje miasto nazywa się Kluzjum — powiedział wymijająco. — To miasto czarnych dzbanów i wiecznych twarzy ludzkich. Odkąd sięgamy pamięcią, nasi rzeźbiarze i odlewnicze gliny uwieczniali ludzkie oblicza w wypalanej glinie, w miękkim kamieniu, w alabastrze. Dlatego tak łatwo było ciebie rozpoznać. Zobaczysz rzeźbę twego ojca. Spoczywa tam w dole, w swoim grobie, uwieczniony na pokrywie kamiennego sarkofagu z pucharem ofiarnym w ręku. Także i w mieście jest jego posąg.

— Opowiedz mi o ojcu — prosiłem znowu z utęsknieniem. — Nie wiem jeszcze nic o moim pochodzeniu.

Odparł:

— Lars Porsenna był największym z władców w obrębie kraju. Sam on nigdy nie nazywał

siebie lukumonem. Królem nazwaliśmy go dopiero po jego śmierci. Zdobył raz Rzym, ale nie narzucił Rzymianom władcy, którego wypędzili, gdyż Rzymianie go nie chcieli. Zamiast tego poradził im wprowadzić taki sam sposób rządzenia, jaki my po jego śmierci zachowaliśmy tu w mieście. Mamy dwóch rządzących, radę z dwustu osób i wybieramy urzędników na okres jednego roku. Słuchamy także głosu ludu. Myśleliśmy, że skoro nie mamy żadnego lukumona, nie potrzebujemy też żadnego samowładcy.

— Żywy i niespokojny był twój ojciec za swoich młodych dni — ciągnął dalej kapłan piorunu.

— Jako młodzieniec brał; udział w wyprawach Etrusków na Kyme. Gdy ponieśliśmy tam porażkę, zadał sobie pytanie: Co mają Grecy, czego nam nie dostaje? Dlatego też jeździł po greckich miastach i uczył się ich obyczajów jako gość.

Daleko, wysoko w górze zaczął wytaczać się biały strumień ludzi ze sklepionej bramy miasta.

Pierwsi wieśniacy zdążyli już dotrzeć do nas i zatrzymali się w pełnym szacunku oddaleniu z opuszczonymi rękami o szorstkich pięściach, patrzyły na mnie oczy z opalonych na ciemno twarzy. — Lukumon — szeptały między sobą. — Lukumon jest tutaj.

Kapłan zwrócił się do nich i oświadczył:

— To tylko syn Larsa Porsenny, który wrócił z obcych krajów. Nie wie nawet, co znaczy słowo lukumon. Nie przeszkadzajcie nam swoją głupią gadaniną.

Ale wieśniacy mamrotali, a słowa ich szły z ust do ust:

— On przyszedł wraz z dobroczynnym deszczem. On przyszedł z przybierającym księżycem na dzień błogosławieństwa pól.

Ułamywali gałęzie z drzew, machali i wznieśli okrzyk powitalny: — Lukumon, lukumon jest tutaj!

Kapłan pioruna powiedział do mnie z irytacją:

— Wzbudzasz niepokój wśród ludu. To niedobrze. Jeśli jesteś lukumonem, musisz najpierw zostać wypróbowany i uznany. Nie może się to dokonać wcześniej jak w jesieni na świętym spotkaniu miast na wybrzeżu volsińskim. Do tego czasu najlepiej byłoby, żeby cię nie było ani widać, ani słysząc.

Ale już nadbiegli pierwsi mieszkańcy miasta, zadyszani w pośpiechu. Spiesznie odziali się od-

świętnie. Z nimi przyszli augurowie z krzywymi laskami i kapłanami ofiarni z wątrokami z brązu albo wypalanej gliny, z wrytymi na nich strofami i imionami bogów. Tłum zrobił im miejsce, podeszli do mnie przyglądając mi się bystro. Niebo zasnuło się chmurami i padł na nas cień, choć stożek bogów wciąż jeszcze promieniał po drugiej stronie doliny, jasno oświetlony słońcem.

269

Kapłani znaleźli się w trudnym położeniu, zdałem sobie z tego sprawę dopiero potem. Wprawdzie najstarsi z nich byli wtajemniczeni i wiedzieli, że mam przyjść, ale także pośród wtajemniczonych spierano się, czy rzeczywiście jestem lukumonem, czy też tylko synem Larsa Porsenny, co i tak już samo w sobie stanowiło powód radości dla mego miasta i ludu. Same znaki i wróżby nie wystarczały, by udowodnić, że jestem lukumonem, dopóki sam się nie podałem za lukumona i nie zostałem za takiego uznany. A mogli to uczynić tylko dwaj jedyni żyjący lukumonowie.

Nowe czasy sprawiły, że oświecona część ludności, zwłaszcza w miastach nadmorskich, zwątpiła w istnienie lukumonów. Uważano to za grecką zarazę. Gorący wiatr zwątpienia wiał od Jonii przez lądy i morza.

Kapłani najchętniej wzięliby mnie na stronę i pomówili ze mną na osobności, ale teraz tłoczył się przed nimi tłum ludzi. Z radością, śmiejąc się, ludzie biegli ścieżką pod górę z lektyką boga.

Młodzieńcy i dziewice z własnej inicjatywy przynieśli ją ze świątyni i umaili mirtem, fiołkami i bluszczem. Lekarze dęli w trąbki, święci tancerze wymachiwali grzechotkami i bili w cymbałki.

Nie okazując żadnego lęku podeszli, złapali mnie i zmusili, bym usiadł w lektyce boga na podwójnej poduszce.

Gdy jednak chcieli podnieść lektykę na barki, opamiętałem się, rozgniewałem i wyszedłem z niej, odpychając ich na boki. Flety i bębny umilkły. Młodzieńcy patrzyli na mnie przestraszeni, trąc ramiona, jak gdyby mocno się potłukli, choć tylko odsunąłem ich na bok. Na własnych nogach podszedłem do świętych schodów. Na własnych nogach zszedłem po nich. W tejże chwili słońce znowu wyszło zza chmur, świecąc prosto na mnie i oświetlając swoim blaskiem święte schody. Gdy promienie słoneczne zabłyśły na moich włosach, tłum wzniósł nowy żywy okrzyk:

— Lukumon, lukumon jest tutaj! — Nie było już w tym okrzyku igraszki i radości, tylko nabożna cześć.

Kapłani poszli za mną. Za nimi kroczył lud cicho i z szacunkiem, wcale się nie tłocząc. Tak zszedłem po schodach, tak przeszedłem przez dolinę, tak kroczyłem pod górę drogą po drugiej stronie, tak wszedłem przez sklepioną bramę do mego miasta. Przez całą drogę słońce świeciło na moją głowę, a

ciepły wiatr pieścił mi miękko twarz.

To piękne lato spędziłem w ciszy i odosobnieniu w domu, który ojcowie miasta oddali na mój użytek. Cisi służący doglądali moich potrzeb. Badałem siebie samego. Wsłuchiwałem się w siebie.

Wtajemniczeni kapłani opowiadali mi to, co potrzebowałem, wiedzieć. Ale mówili też:

— Wiedza mieszka w tobie, jeśli jesteś lukumonem. Nie w nas.

To lato było najszcześniejszym w moim życiu i pełen przeczuć szukałem drzwi do mego wnętrza. Wtajemniczeni opowiadali mi o moim urodzeniu, że przyszedłem na świat z twarzą przesłoniętą błoną. Także inne znaki pokazały się i starcy wróżyli bez ogródek memu ojcu, że wyrosnę na lukumona. Ale on mówił:

— Sam, mimo pokusy, nigdy nie nazwałem się lukumonem, dlatego że nie jestem lukumonem.

Rozum, odwaga i prawość to wystarczające wytyczne dla człowieka. Miej współczucie dla tego, kto cierpi, wspieraj słabego, zamknij usta bezczelnemu, ulży mieszkowi chciwca, pozwól ora-czowi posiadać ziemię, którą orze, chroń swój lud przed rabusiami i sobkami. To mi wystarczy jako wytyczne dla władzy. By je zrozumieć, nie trzeba być lukumonem. Jeśli mój syn jest rzeczywiście lukumonem, musi sam odnaleźć siebie i swoje miasto. Tak czynili lukumonowie dawniej.

Nikt nie jest prawdziwym lukumonem tylko z powodu swego pochodzenia. Dopiero około czterdziestki lukumon może poznać siebie samego i zostać uznanym przez innych. I dlatego muszę wyrzec się mego syna.

W roku, kiedy ukończyłem siedem lat, ojciec mój zabrał mnie z sobą do Sybaris, najbardziej rozwiniętego kulturalnie miasta greckiego w Italii i powierzył mnie godnemu zaufania przyjacielowi, zakazując mu stanowczo, by mi opowiedział coś o moim pochodzeniu. Musiało mu być 270

ciężko tak postąpić, gdyż byłem jego jedynym synem. Moja matka zmarła, kiedy miałem trzy lata, i nie chciał potem zawrzeć nowego małżeństwa. Ale uważał za powinność wobec swego ludu, by mnie poświęcić, gdyż nie chciał, żebym został fałszywym lukumonem.

Przypuszczalnie zamiarem jego było z odległości śledzić moje wzrastanie i opiekować się mną, ale potem przyszła nieoczekiwanie wojna z Krotoną i Sybaris zostało tak doszczętnie zniszczone, jak żadne miasto przedtem. Z czterystu rodzin w Sybaris uratowały się tylko kobiety i dzieci na statkach do Jonii i Miletu. Przyjaciel mego ojca z pewnością uważał za swój obowiązek wysłać mnie z nimi, ponieważ nie mógł mnie uratować drogą lądową do Etrurii, i nie chciał też, aby Krotończycy sprzedali mnie na niewolnika. Sam pozostał w mieście i walczył w jego obronie. Tak uczynili wszyscy mężczyźni z czterystu rodzin w Sybaris, mimo że mówiono, iż byli zniewieściali od rozkoszy i życia w nadmiernym dostatku.

I przyjaciel Larsa Porsenny nie uważał nawet w tej skrajnej niedoli, że może złamać przysięgę daną mojemu ojcu i wyjawić moje pochodzenie tym, którzy mieli zabrać mnie z sobą do Jonii.

Mieli oni ponadto swoje własne zmartwienia. Po pewnym okresie żałoby z powodu zniszczenia Sybaris uratowani Sybaryci stali się w Milecie nędznymi uchodźcami, których wypychano z miasta do miasta. Tymczasem ojciec mój nieoczekiwanie umarł, gdy zraniony dzik obalił go i poszarpał szablami tak, że ojciec wyzionął ducha z upływu krwi. Był zdrowy i silny, i nie osiągnął

jeszcze pięćdziesięciu lat. Ale jego sława żyła i myślę, że żyć będzie wiecznie, dopóki lud etruski istnieć będzie na ziemi.

Siostry mego ojca przyszły też, aby mnie spotkać, ale mnie nie uściśniły, a dzieci ich przyglądały mi się wielkimi oczami. Zapewniły mnie, że chętnie podzielią się ze mną spuścizną po ojcu i wszystkimi jego skarbami, nie żądając żadnych dowodów mego pochodzenia. Ale kiedy oświadczyłem, że nie przyszedłem, by pytać o spadek, odeszły z ulgą. I byłoby im też trudno przekonać swoich dostojnych małżonków, by zgodzili się na nowy podział spadku, choć jest zwyczajem wśród nas, że kobieta posiada swe mienie i dziedziczy na równi z mężczyzną. Jest ona tak samo-dzielna, że mężczyzna dumny ze swego pochodzenia zawsze wymienia imię matki obok imienia ojca. I tak dowiedziałem się, że moje właściwe imię brzmi Lars Turms Larkhna Porsenna, ponieważ matka moja pochodziła z prastarego rodu Larkhna.

Mówiono o niej, że była bardzo piękną, lecz zamkniętą kobietą, gdyż członkowie najstarszych rodów etruskich mają skłonność do melancholii. Ojciec był z młodszego i mocniejszego rodu.

Dopiero gdy zdobył sławę i skarby na wojnie, mógł wystąpić jako starający się, ale mówiono też, że moja matka jeszcze jako dziecko rzuciła do niego jabłko podczas igraszek dziewczęcych nad rzeką.

Moi krewni, z którymi powinienem być czuć się związany więzami krwi, pozostali dla mnie obcy. Nie odgradzili się ode mnie, ale nie przemawiali za mną więcej niż inni. Zachowali się bez-stronnie i czekali na dzień próby.

W lecie młodzieńcy z miasta ćwiczyli żywo do jesiennych świętych gier współzawodnictwa.

Wybierano spośród nich najpiękniejszego i najmocniejszego, by walczył za Kluzjum na igrzyskach, gdzie wybierano według starego zwyczaju przodujące miasto związku na jeden rok. Wień-

czono go i dostawał świętą okrągłą tarczę miasta i święty miecz w posiadanie, by przyzwyczaić się do ich używania. Ale wtajemniczeni mówili, że wynik walki od setek lat nie miał żadnego politycznego znaczenia. Zwycięzca dostawał ofiarną dziewczę, która uwolnił, a jego miasto miejsce honorowe w Radzie na rok następny.

Mało słuchałem tych opowiadań o dawnych obyczajach i o zwyczaju ofiarnym miasta. Miałem dość trosk z sobą samym, by się odnaleźć, nie jako człowiek, lecz jako ktoś lepszy od człowieka.

Mieszkałem w chłodnych cichych komnatach wśród pięknych przedmiotów i posągów. Spałem na miękkim łożu. Piłem wino i jadłem dobrze przyrządzone potrawy. Niczego mi nie brakowało, 271

jeśli idzie o radość i wygodę. Ale we mnie samym brak było czegoś, nie wiedziałem czego. Wciąż jeszcze na próżno pukałem do wrót mego serca.

Czasem zapalał się jakiś przelotny błysk zrozumienia we mnie samym i wtedy byłem szczęśliwy. Potem znów czułem ciężar mego ciała i moich członków. W nocie pełni księżyca nawiedzała mnie we śnie szalona i nieobliczalna bogini dziewica. Miała twarz wąską i groźną. Także Zrodzona z piany morskiej przychodziła i kusiała mnie swymi złotymi włosami i śnieżnobiałymi członkami, bym znów związał się z ziemią i zadowolił losem człowieka.

Było to jednak moje najszcześniejsze lato. Dopiero gdy zbliżała się jesień, ogarnęło mnie głębokie przygnębienie i nie czułem już żadnej radości. Pewnego dnia po pełni księżyca wyruszyłem, by udać się do świętego jeziora volsińskiego w towarzystwie posłów z mojego miasta. Ale nie wolno mi już było iść pieszo ani jechać na koniu lub ośle. Zawieziono mnie tam w krytym wozie, ciągniętym przez białe woły. Ich czoła przystrojone były czerwonymi frędzlami, a ciężkie zasłony kryły mnie przed ludzkim wzrokiem.

W tym samym wozie, w taki sam sposób, zabrano w tych dniach oba białe stożki z świątyni zmienności mego miasta. Jeszcze jeden raz mam spoczywać na łożu bogów i kosztować posiłku bogów, gdy śmiertelny pot występuje mi na czoło. Dlatego spieszę, ja, Turms, zakończyć to pisanie, żeby zdążyć wypełnić wszystko, czego nie chciałbym zostawić nie spełnionego.

## **KSIĘGA OSTATNIA**

### **Uczta bogów**

1

Na święto jesienne zebrało się wielu ludzi z różnych miast, mimo że tylko posłom miast i ich towarzyszom wolno było wstępować na świętą ziemię i mieszkać w świętych szałasach. Miasto nieświęte, potężne i bogate Volsinii, wznosiło się na górze o pół dnia drogi od jeziora. Było ono słynne ze swego rzemiosła i towarów, i ciągnęło korzyści z jesienno-go święta. Ale w świętym Volsinii nad brzegiem jeziora nie wolno było prowadzić żadnego handlu.

Pierwszego dnia święta zaprowadzono mnie do domu Rady, gdzie zebrali się posłowie dwunastu miast. Tylko dwaj z nich byli lukumonami, pięciu innych nazywało siebie tak, jeden był

wybrany przez lud królem, a czterech pozostałych reprezentowało Radę swego miasta. Wśród nich był poseł z Kluzjum. Kilku z nich było młodych wiekiem, jak Lars Arnth Velthuru z Tarkwinii, który przybył tam zamiast ojca, ale wszyscy byli odziani w święty płaszcz swego miasta i przyglądali mi się ciekawie. Nie mieli żadnych stopni. Siedzieli lub stali, jak chcieli, nie okazując sobie nawzajem czci.

Obnażyłem przykrytą dotąd połą płaszczą głowę, wiedząc, że była to pierwsza i najlżejsza próba. Kiedy wzrok mój wędrował od męża do męża, każdy z nich próbował dać mi jakiś znak, skrzywieniem palca, mrugnięciem, uśmiechem, albo zmarszczeniem czoła. Swoje płaszcze odwrócili na lewą stronę, żeby nie mógł odgadnąć z różnych godeł miast. Mimo to wiedziałem

natychmiast, którzy dwaj są lukumonami. Nie umiem wytłumaczyć, w jaki sposób to poznałem, ale ogarnęła mnie tak bezwarunkowa pewność, że uśmiechnąłem się z dziecinady tej gry.

272

Podszedłem i pochyliłem głowę najpierw przed starym mężczyzną z Volsinii, następnie zaś pozdrowiłem smagłego lukumona z wiecznie zimnej Volterry. Był to mocno zbudowany mężczyzna, nie ukończył jeszcze pięćdziesięciu lat. Może poznałem go po spojrzeniu, może po zmarszczkach na czole. Promieniował surową powagą, starzec zaś uśmiechniętą łagodnością. Tylko skinieniem głowy przywitałem pozostałych zebranych.

Obaj lukumonowie wymienili spojrzenia i wystąpili naprzód. Stary powiedział:

— Znam cię, Larsie Turms. Poruszaj się swobodnie w czasie tych dni dokąd i jak chcesz, po świętych albo nieświętych miejscach. Bierz udział w ofiarach, jeśli chcesz. Oglądaj igrzyska.

Żadne drzwi nie będą przed tobą zamknięte. Żadnych drzwi nie będziesz zmuszony otwierać.

Lukumon z Volterry dotknął przyjaźnie mego ramienia.

— Przygotuj się, jeśli chcesz, Turmsie — powiedział. — Nikt cię do tego nie zmusza. Dlaczego prawdziwy lukumon miałby tego potrzebować. Ale przygotowanie pomoże ci przyjmować i doznawać tego, czego nie doznałeś przedtem.

— Jak mam się przygotować, ojcze? Jak mam się przygotować, bracie? — zapytałem ich.

Starzec zaśmiał się i rzekł:

— Jak sam chcesz, Turmsie. Niektórzy szukają samotności w górach, inni samego siebie w ludzkim zgiełku. Jest wiele ścieżek, ale wszystkie prowadzą do jednego celu. Możesz w te dni czuwać i pościć. Czuwanie pomaga zwykłemu człowiekowi zobaczyć to, czego inaczej nie widzi.

Ale możesz też pić wino do upojenia, aż kolana ugną się pod tobą, i pić znowu, gdy zbudzisz się i wyrzucisz z siebie poprzednie wino. Możesz kochać kobiety i zaspokajać zmysły do wyczerpania. Także wtedy przyjdą właściwe sny i zjawy. W moim wieku mogę tylko żałować, że sam nie próbowałem tej drogi. Teraz jest już za późno.

Mężczyzna z Volterry powiedział:

— Zmysły pieszczą człowieka do najmilszego zmęczenia. Pomagają nam znosić to życie, ba, wychwalać je. Ale pamiętaj też, Turmsie, że także głód, także pragnienie i pożądanie zmieniają się w rozkosz, jeśli się je doprowadzi do granicy zjawy. Nie twierdzę, że są to szlachetniejsze rozkosze niż upojenie lub nasycenie. Każdy ma swoją drogę. Nie mogę ci doradzić twojej, tylko opowiedzieć o mojej własnej.

Nie powiedział nic więcej, ale z ich spojrzeń i aury, którą roztaczali, zrozumiałem, że w głębi serc już mnie uznali. Jako lukumonowie nie potrzebowali żadnego dowodu, że ja, Turms, jestem tym, kim

jestem. Ale zwyczaj nakazywał, żeby mnie wypróbowali, że sam powinienem znaleźć siebie samego. To był najcięższy obowiązek lukumonów.

Tego dnia widziałem, jak wbijają nowy i błyszczący miedziany gwóźdź w poszarzałą od starości kolumnę w świątyni losu. Była ona pokryta gwoździami, jeden przy drugim, a najstarsze główki gwoździ były niezdarnie wykute i zielone od śniedzi. Na kolumnie było jednak wciąż jeszcze dużo miejsca. Jeszcze odmierzali bogowie czas dla ludu i miast Etrusków.

Następnie przez trzy dni radzili o sprawach zagranicznych i o wojnie Vejentów przeciwko Rzymowi. Caere i Tarkwinia zobowiązały się poprzeć Veji bronią i ludźmi. Mówiono także o Grekach i Lars Arnth usiłował z pomocą Populonii i Vetulonii wykazać, że wcześniej czy później musi dojść do wojny z Grekami. Ale słowa jego nie wzbudziły oddźwięku. Żaden z lukumonów nie brał udziału w rozmowach o wojnie, ponieważ lukumon akceptuje wojnę tylko jako obronę swego miasta w skrajnej potrzebie. Nawet wtedy traci on swoją siłę. Ale starzec z Volsinii szeptał

mi do ucha, podczas gdy inni się spierali:

— Niech walczą z Rzymem, jeśli chcą, Rzymu nie pokonają. Wiesz dobrze, że Rzym jest miastem twego ojca, związanym z twoim własnym miastem tajnymi znakami. Jeśli Rzym zginie, zginie także Kluzjum.

Potrząsnąłem głową i powiedziałem:

273

— Wiele jest rzeczy, o których nie wiem, a wtajemniczeni w Kluzjum nie mówili mi o niczym takim.

Położył mi rękę na szyi i szeptał:

— Jaki ty jesteś silny i piękny, Turmsie. Szczęśliwy jestem, że mogłem cię zobaczyć, nim umrę. Sama twoja bliskość rozgrzewa moją starość. Nie wierz zbyt wiele wtajemniczonych.

Muszą oni uczyć się swej mądrości na pamięć i kształcić się w zaklęciach i ofiarach. Nic więcej nie wiedzą. I może nie powinienem jeszcze odsłaniać przed tobą tak tajemnych spraw, ale innym razem mogę zapomnieć powiedzieć ci o tym, co może być dla ciebie pożyteczne. Twój ojciec zdobył Rzym i spędził tam parę lat, żeby uporządkować sprawy tego miasta. Powinien był oddać miasto Larsowi Tarkhonowi albo jego synowi, ale Rzymianie przekonali go, że wola rządzić się sami, niż znosić samowolę fałszywego króla. Usiłowali go nawet zamordować. W świętej grocie Egerii spotkał najstarszą Westalkę. Odczytała mu i wytłumaczyła wróżby. Twój ojciec uwierzył

i zrezygnował dobrowolnie z Rzymu. Ale z powodu znaków, które otrzymał, związał los Rzymu z losem Kluzjum. Gdyby jakieś niebezpieczeństwo groziło kiedyś Kluzjum, Rzym musi ratować Kluzjum. Jest to zapisane w świętych księgach Rzymu i potwierdzone ucztą bogów. Lars Porsenna uważał to porozumienie za ważniejsze i bardziej zobowiązujące niż układ państwowy, który każdy może złamać, gdy lud rządzi się sam. Dla dumy Rzymu najlepiej byłoby, żeby ta sprawa nie stała się powszechnie znana. Ale stare rody znają ją i przechowują tę wiedzę z ojca na syna.



— I to jeszcze musisz wiedzieć — ciągnął — że Kluzjum nie wolno nigdy wziąć udziału w wojnie z Rzymem, i Kluzjum musi wstawiać się za Rzymem, gdyby rozgoryczeni sąsiedzi chcieli go zniszczyć. Mogą oni i powinni karać Rzym, Rzym potrzebuje cięgów, by dorósć. Ale gdyby groziło mu całkowite zniszczenie ze strony Etrusków, wtedy Kluzjum musi bić się w obronie Rzymu, a nie przeciw Rzymowi, ze względu na swoją własną przyszłość. Jest to tak wiążąca i święta sprawa, że sami bogowie zstąpili na ziemię, żeby ją potwierdzić. Ale jedynym zewnętrznym znakiem na przypomnienie tego jest porozumienie, że żaden publiczny handel nie może być zawarty w Rzymie bez słów: „To jest ziemia Porsenny” albo „to jest dom Porsenny” albo „to jest własność Porsenny”. Cały Rzym z nieruchomościami i ruchomościami należał kiedyś do Larsa Porsenny.

Przypomniałem sobie, że sam dziwiłem się z powodu tego dziwnego zwyczaju, którego zawierający handel w Rzymie musieli przestrzegać, by nadać zawartemu kupnu moc prawną. Zrozumiałem też, dlaczego moje stopy tak nieodparcie zawiodły mnie do świętej grotty i dlaczego ją rozpoznałem i spryskałem się wodą ze źródła. Poszedłem śladami mego ojca. Dlatego też najstarsza Westalka poznała mnie i zobaczyła, że jestem jego synem.

Przez siedem dni posłowie miast radzili o sprawach wewnętrznych i rozstrzygali spory graniczne. Z dnia na dzień robiło mi się lżej na duchu. Obracałem się wśród ludzi. Zwiedzałem miejsca święte i nieświęte. Śmiałem się i krzychałem wraz z innymi widzami, oglądając zwyczajowe igrzyska. Ale gdy mnie rozpoznano, robiło się nagle pusto wokół mnie w największym tłoku i ludzie rzucali mi nieśmiałe spojrzenia. Dlatego zacząłem raczej szukać samotności i jasności.

Budziłem się na szczycie góry pod gwiazdami. Nie czułem głodu ani pragnienia. Radość zrodziła się we mnie i żadne troski nie przygniatały mnie już. Jedno jedyne spojrzenie albo dotknięcie, albo przyjazne słowo któregoś z lukumonów wystarczało, by przegnać wszelkie cienie z mojej duszy i niebo mojego serca znowu świeciło jasno.

Potem zaczęły się ofiary z połączonymi z nimi igrzyskami. Ofiary składano w świątyniach, ale święte walki staczano w ogrodzeniu z kamieni. Lukumonowie i posłowie miast siedzieli na dwunastu świętych głazach, przykrytych jednak miękkimi poduszkami, a wszyscy, którym wolno było wejść na poświęcone pole, stali w licznych grupach za posłami swoich miast. Reszta ludu zgromadziła się na zboczach górskich i na dachach domów, i nieświęte Volsinii opróżniło się z 274

ludności tak, że cała okolica była kolorowa od ludzi. Żaden zgiełk ani okrzyki uznania nie były dozwolone i walki odbywały się w głębokiej ciszy.

Ja sam wziąłem udział w ofierze pioruna i wyznaczony zostałem, by złożyć ofiarę na kamiennym stole bogów. Ściąłem włosy, złowiłem siecią małe rybki w jeziorze, a cebule wygrzebałem z ziemi własnymi rękami. Modlitwy wygłosił kapłan pioruna z Volsinii, ponieważ ja ich nie umia-

łem. Następnie powiadomił różne miasta o znakach, jakie zauważono w świątyni na wyspie w minionym roku. Tylko Veji otrzymały znaki w postaci jaskrawo czerwonych piorunów w przynoszącej nieszczęście strefie pogody. Inne miasta nie musiały się obawiać żadnych poważniejszych nieszczęść.

W dniu boga Turmsa przypadło mi w udziale wybranie ofiarnej maciorki z dużego stada owiec.

Owce były piękne, czyste i zdrowe. Maciorka, którą wybrałem, poszła za mną potulnie aż do ołtarza i nie opierała się nawet, kiedy krzemienny nóż kapłana przeciął jej żyły na szyi. Gdy krew wypłynęła do czarek ofiarnych, kapłan rozciął maciorkę i wyjął wątrobę. Kolor był prawidłowy i wątroba była bez wady, ale o połowę większa niż normalnie. Wykładacz wątroby nie ogłosił jej znaków, tylko on i jego bracia po urzędzie patrzyli na mnie innymi niż dotąd oczyma, usunęli się na bok i skłonili przede mną głowy. Zrozumiałem z tego, że w oparciu o swoją szczególną wiedzę uznali mnie jako lukumona.

Następnego dnia stary volsiński lukumon kazał wezwać mnie do swego domu. Gdy wszedłem pomiędzy osiem kolumn, nie było go w przedsionku, siedział tam mężczyzna pochylony do przodu, jakby w napiętym oczekiwaniu, i wpatrywał się przed siebie szklanymi oczyma ślepeca. Usłyszawszy moje kroki, powiedział:

— Czy to ty, dawco darów? Połóż dłonie na moich oczach, uzdrowicielu.

Odparłem, że nie jestem uzdrowicielem, tylko przypadkowym gościem w tym domu. Ale ślepiec mi nie wierzył. Powtarzał usilnie prośbę, aż z czystego współczucia położyłem dłonie na jego oczach. Uchwycił mnie mocno za przeguby i trzymał długo moje ręce. Było mi tak, jakby coś przepływało ze mnie do niego i czułem się z każdą chwilą słabszy, aż zakręciło mi się w głowie.

W końcu oderwałem dłonie. Westchnął głęboko z zamkniętymi mocno oczyma i podziękował mi.

W komnacie lukumona leżała na łożu blada jak trup dziewczynka. Była jeszcze niemal dzieckiem i ogrzewała sobie dłonie przy misce z żarem. Przyglądała mi się z nieufnością i podejrzliwością. Gdy zapytałem ją, gdzie jest lukumon, odparła, że wnet przyjdzie, i prosiła, żebym usiadł

na brzegu łoża i czekał.

— Jesteś chora? — zapytałem.

Odsunęła kołdrę i pokazała mi nogi. Zobaczyłem, że łydki są skurczone i chude jak piszczele, choć poza tym była ładną dziewczynką mimo bladości. Opowiedziała, że zbódl ją i stratował byk, kiedy miała siedem lat. Rany i złamania były wyleczone, ale od tej pory nie mogła chodzić. Bez żadnego wstydu pokazała mi blizny, które zostały na jej barkach po rogach byka. A po chwili szepnęła wystraszona:

— Jesteś dobry i piękny, dawco darów. Rozetrzyj mi stopy. Zaczęły mnie boleć, gdy tylko wszedłeś do komnaty.

Nie byłem biegłym masażystą, ale jako młodzieniec nauczyłem się naturalnie właściwych chwytów, by złagodzić obolałość moich mięśni po ćwiczeniach cielesnych. Także po walce zwyczajem było, że towarzysze pomagali sobie nawzajem masować stwardniałe mięśnie i rozluźnić je. Ale choć usiłowałem rozcierać łydki dziewczyny jak najostrożniej, jęczała z bólu za każdym razem, kiedy jej dotknąłem. Zapytałem, czy mam skończyć, ale ona odparła: — Nie, nie, to mnie nie boli. — Ogarniał mnie coraz większy zawrót głowy.

Wreszcie przyszedł stary lukumon, zgarbiony, i zapytał:

— Co robisz, Turmsie? Czemu dręczysz tę biedną chorą dziewczynkę?

275

Broniłem się:

— Sama mnie o to prosiła.

— Czy pomagasz każdemu, kto cię o to poprosi? — zapytał surowo. — Czy dajesz każdemu, kto żebrze? Są dobrzy i źli proszący. Ludzie cierpią za swoje winy i tacy, którzy cierpią niewinnie.

Czy nie potrafisz ich rozróżniać?

Zastanowiłem się i odparłem:

— Ta dziewczynka nie cierpi z własnej winy. A gdy widzę człowieka cierpiącego, nie sędzę, bym robił różnicę między złym i dobrym, między winnym i niewinnym, i pomagam każdemu, jeśli mogę. Także słońce świeci równie ciepło na złych i na dobrych. Nie przypisuję sobie większego rozsądku jak ono.

Skinął głową, lecz prychnął, jak gdyby chciał zrobić jakieś zastrzeżenia. Potem usiadł, uderzył

w brązowy talerz i kazał przynieść wina, mówiąc:

— Jesteś całkiem blady. Czy czujesz się słabo?

Kręciło mi się w głowie i członki mi drżały z wyczerpania, ale z grzeczności zapewniłem go, jak umiałem, że nic mi nie brakuje. Był to wielki zaszczyt, że wezwał mnie do własnego domu.

Nie chciałem tej radości zepsuć skargami.

Napiliśmy się wina i przyszedłem do siebie. Cały czas przyglądał się uważnie dziewczynce leżącej na łożu, a ona wpatrywała się w niego nieprzerwanie, jak gdyby na coś czekała. Wszedł

teraz ciemnoskóry lukumon z Volterry i przywitał się krótko z nami. Starzec nalał mu własnoręcznie wina do czarnego glinianego pucharka. Gdy tamten podnosił puchar do ust, starzec wskazał nagle na dziewczynkę i nakazał jakby od niechcenia:

— Wstań, moje dziecko, i idź!

Ku memu niewypowiedzianemu zdumieniu, dziewczynka uśmiechnęła się w odpowiedzi i zaczęła ostrożnie poruszać stopami, usiadła, opierając się obiema rękami o łożo, ale zaraz wstała, chwiejąc się na nogach. Chciałem podejść, by ją podeprzeć, ale starzec powstrzymał mnie bez słowa i siedzieliśmy wszyscy trzej bez ruchu, patrząc na dziewczynkę. Zrobiła niepewny krok, potem jeszcze jeden, a potem szła z kąta do kąta, opierając się o drewnianą malowaną ścianę.

Płacząc i śmiejąc się wykrzyknęła: — Mogę chodzić, przecież ja mogę chodzić! — Potem wy-

ciągnęła do mnie ręce i chwiejnie podeszła przez komnatę, nie szukając oparcia o ściany, osunęła się na podłogę i całowała raz po raz moje kolana. — Lukumon — szeptała nabożnie — ty jesteś lukumonem.

Byłem równie jak ona zdumiony z powodu jej nagłego ozdrowienia, dotknąłem z niewiarą wyschniętych mięśni na jej łydkach i powiedziałem, potrząsając głową: — To cud!

Stary lukumon roześmiał się dobrodusznie i odparł:

— To ty go dokonałeś, siła pochodzi od ciebie, lukumonie.

Ale ja zasłoniłem się obiema rękami:

— Nie, nie, nie natrząsaj się ze mnie.

Stary skinął głową ku lukumonowi z Volterry. Tamten podeszedł do drzwi i rzekł: — Wejdz i pokaż swoje oczy, ty, który wierzysz!

Mężczyzna ze szklanymi oczami, który siedział w przedsionku, wszedł, zasłaniając rękami twarz. Raz po raz je opuszczał, rozglądał się dokoła i ukrywał w nich twarz na nowo. — Widzę

— powiedział w końcu. Ogarnięty pokorną czią skłonił się przede mną i podniósł rękę do boskiego pozdrowienia. — Dokonałeś tego lukumonie! — wykrzyknął. — Mogę widzieć! Widzę ciebie i światło wokół twojej głowy.

Stary lukumon rzekł:

276

— Ten człowiek był ślepy od czterech lat. Bronił swego statku przeciw piratom. A potem jakiś brodaty olbrzym uderzył go w głowę. Broda zaciemniła całe niebo. Od tej pory nie mógł już nic widzieć.

Spojrzałem zmieszany wokoło i poczułem się lekko upojony winem.

— Natrząsacie się ze mnie — rzekłem z wyrzutem. — Niczego nie dokonałem.

Obaj lukumonowie powiedzieli jednym tchem:

— Moc i siła mieszkają w tobie i są twoje, jeśli tylko zechcesz. Pora, żebyś przyznał przed sobą, że jesteś urodzonym lukumonem. Nie wątpimy w to.

Wciąż jeszcze trudno mi było to zrozumieć. Patrzyłem na zachwyconą twarz dziewczynki.

Patrzyłem na oczy, które niedawno jeszcze były ślepe. — Nie, nie — powtarzałem raz po raz. —

Takiej mocy, takiej siły nie pragnę. Lękam się jej. Jestem tylko człowiekiem.

Starzec powiedział do obojga uleczonych: — Idźcie i złożcie bogom ofiary dziękczynne. To, co uczynicie innym, spotka was samych. — Z roztargnieniem wyciągnął dłoń i pobłogosławił

ich. Odeszli, dziewczynka chwiejąc się na nogach, a widzący, podpierając ją.

Lukumon zwrócił się do mnie:

— Jesteś zrodzony w ludzkiej postaci — powiedział — dlatego jesteś człowiekiem. Ale równocześnie jesteś lukumonem, jeśli tylko odważysz się przyznać to przed sobą. Chwila nadeszła.

Nie lękaj się. Nie buntuj się już dłużej, nie uciekaj przed samym sobą. Twoje błąkanie skończyło się.

Młodszy lukumon dodał:

— Rana zamyka się i krew przestaje płynąć, kiedy dotykasz rany, ty, któryś powrócił i jeszcze raz kiedyś powrócisz. Uznaj siebie samego, nazwij się tym, kim jesteś.

Starzec powiedział:

— Lukumon może nawet na chwilę albo na dzień zbudzić do życia zmarłego, jeśli zna siebie samego i wierzy w swoją siłę. Ale takie działanie skraca jego własne życie i wpędza zmarłego w okrutny lęk, gdy duch zmuszony jest powrócić do cuchnącego ciała. Nie czyn tego. Duchy możesz przywoływać, jeśli chcesz, i nadawać im postać, tak aby mogły mówić i opowiadać ci.

Ale to dla nich udręka. Nie czyn tego, jeśli nie musisz. Nie dręcz duchów, ażebyś sam nie był dręczony.

Z obu nich promieniowała tak bezgraniczna ufność i pewność, że słuchałem ich jak we śnie, nie mogąc sprzeciwić się im w głębi serca. Przypomniałem sobie, jak kiedyś pomagałem Mikonowi opatrywać rannych. Rany, które opatrzyłem, goiły się szybko, a przecięta żyła przestawała broczyć, gdy przycisnąłem ją palcem. Ale Mikon zajął się tymi rannymi, gdy tylko znalazł na to czas, i nigdy nie pomyślałem, że mogłem mieć jakiś udział w wyleczeniu.

Stary lukumon zdawał sobie sprawę, że waham się między pewnością a zwątpieniem, i rzekł:

— Nie rozumiesz może, co miałem na myśli, mówiąc o nadawaniu postaci. — Wziął kawałek drewna, podsunął mi przed oczy i rzekł: — Spójrz na to. — Potem rzucił drewnienko na podłogę i powiedział: — Widzisz, to żaba.

Przed moimi oczami drewnienko odbiło się od podłogi i w tejże samej chwili stało się żabą, która zrobiła kilka wystraszonych skoków, a potem usiadła nieruchomo, wpatrując się nabożnie we mnie okrągłymi guzikami oczu.

— Weź ją do ręki i dotknij — powiedział stary lukumon i roześmiał się wesoło, spostrzegłszy, jak nieufnie przyglądam się żyjącej istocie, którą stworzył. Wstydzilem się, ale podniosłem żabę i poczułem jej chłód i gładkość. Żywa żaba miotała mi się w ręku.

— Puść ją — nakazał starzec. Pozwoliłem zabie wyskoczyć z mojej dłoni. Gdy dotknęła po-dłogi, zmieniła się znowu przed moimi oczyma w suchy kawałek drewna. Lukumon z Volterry 277

wziął go z kolei, pokazał mi i rzekł: — Wzywam nie to, co podziemne, ale to, co ziemskie. Spójrz, jak cielak staje się bykiem.

Rzucił drewnienko na podłogę. Przed moimi oczami urosło i stało się nowo narodzonym cielęciem. Wciąż jeszcze mokry cielaczek wstał, chwiejąc się na cienkich nogach. Potem zaczął

nabrzmiwać. Urosły mu piękne spiczaste rogi. W końcu zrobił się tak duży, że wypełnił całą komnatę i nie zmieściłby się przez drzwi. Czuję woń byka, widziałem niebieskie iskierki w je-go oczach. Był to straszny byk.

Lukumon strzepnął palcami, jakby znudził się tą zabawą. Byk znikł, a na podłodze leżało tak jak poprzednio, szare drewnienko.

— Możesz uczynić to samo, jeśli zechcesz — powiedział stary lukumon. — Bądź dzielny.

Podnieś drewnienko. Powiedz, co chcesz stworzyć, a to się stanie.

Jak we śnie schyliłem się po drewnienko i obracałem je w ręce. Był to zwykły, wytarty do po-

łysku, poszarzały kawałek drewna. — Nie wzywam rzeczy podziemnych ani też ziemskich, lecz nadziemskie, i gołąb jest moim ptakiem — powiedziałem powoli patrząc na drewnienko. W tej samej chwili poczułem już pióra, puszyste ciepło ptaka i szybkie łomotanie jego serca. Śnieżnobiały gołąb wyfrunął z mojej dłoni, okrążył komnatę i trzepocąc skrzydłami wrócił tam lekki jak powiew, tak że czułem na palcu lekkie suche dotknięcie pazurków.

Lukumon z Volterry pogładził gołębia i rzekł:

— Jakże pięknego ptaka stworzyłeś! To ptak bogini. Jest śnieżnobiały.

Starzec zapytał: — Wierzysz teraz, Turmsie? — Gołąb zniknął i znow trzymałem w dłoni tylko szary kawałek drewna.

Minę miałem zapewne tak zdumioną, że obaj wybuchnęli śmiechem i powiedzieli:

— Rozumiesz teraz z pewnością, Turmsie, dlaczego najlepiej jest, gdy lukumon odnajdzie się i uzna siebie samego dopiero koło czterdziestki. Gdybyś był młodzieńcem i dowiedział się o twoim darze, kusiłoby cię, by zacząć igrac i stwarzać niezliczone postaci, straszyć ludzi wokół siebie, i może ośmieliłbyś się sam współzawodniczyć z tym, co zmienne, tworząc postaci, które nigdy nie istniały. To dręczenie bogów. Nie sprawiaj im kłopotu, ażebyś nigdy sam nie został przez nich nawiedzony. Jeśli wróg w złych zamiarach zaskoczy cię, możesz rzucić mu do stóp różdżkę i przemienić ją w węża. To dozwolone. Jeśli jesteś samotny i przygnębiony, możesz stworzyć sobie ulubione zwierzę, które będzie spać w nogach twego łóża albo ogrzeje cię swym ciałem. Ale czyn to tylko wtedy, kiedy jesteś sam, i nie pokazuj tego nigdy nikomu.

Ogarnął mnie zawrót głowy. Siła przenikała moje serce. W każdej części ciała poczułem nagle moją moc. — A człowiek? — zapytałem. — Czy mogę stworzyć człowieka przyjaciela?

Spojrzeli na siebie, a potem na mnie, potrząsnęli przecząco głowami i odparli:

— Nie, Turmsie, nie, człowieka nie możesz stworzyć. Możesz tylko zbudować na chwilę przelotną postać i wezwać ducha, by w niej zamieszkał i odpowiadał na twoje pytania. Ale są dobre i złe duchy. Zły może zdążyć pierwszy i zaprowadzić cię na manowce. Nie jesteś wszystko-wiedzący, Turmsie, nie poznałeś jeszcze wszystkiego. Pamiętaj zawsze, że zostałeś urodzony w ludzkiej postaci. To cię wiąże i wytycza granice twojej wiedzy. Naucz się poznać mury twego więzienia. To śmierć je obali i uwolni cię, dopóki nie narodzisz się na nowo. W innej epoce, w innym miejscu. Ale tymczasem odpoczynek twój będzie głęboki.

— Turmsie, jesteś lukumonem — mówili. — Uznaj sam siebie, uwierz w samego siebie.

Te ich słowa sprawiły, że drżałem na całym ciele. Jeszcze raz zasłoniłem się rękami i wykrzyknąłem: — Nie, nie, miałebym być nieśmiertelnym, ja, Turms?!

Z głębokim nabożeństwem odrzekli obaj:

278

— Tak jest, Turmsie, jesteś lukumonem. Jesteś nieśmiertelny, jeśli odważysz się przyznać to przed samym sobą. Zerwij wreszcie przepaskę z oczu i nazwij swoją rzeczywistość jej właściwym imieniem.

Mówili:

— W każdym człowieku złożone jest ziarenko nieśmiertelności. Ale większa część ludzi zadowala się ziemią. Ziarenko nie kiełkuje nigdy i nie daje owocu. Szkoda człowieka, ale los, którym się zadowala, musi go spotkać. Po cóż narzucać nieśmiertelność komuś, kto o nią nie prosi i nie wie nawet, co miałby z nią uczynić. Czemuż dawać nieśmiertelność jako udrękę człowiekowi, który, gdy chodzi beczynn timer przez jeden dzień, czuje wokół siebie pustkę i nie wie, co ma po-czać w swej samotności. Ach, ci ludzie!

Ale mówili także:

— Nasza wiedza jest ograniczona, gdyż jesteśmy zrodzeni w ludzkiej postaci. Wierzymy, że to ziarenko nieśmiertelności odróżnia człowieka od zwierzęcia. Ale nie wiemy tego na pewno.

Wszystko, co żyje, jest postacią tego, co ziemskie. I nie możemy nawet z całą pewnością odróż-

nić tego, co żyje, od tego, co jest bez życia. W twoich najjaśniejszych chwilach będziesz czuł, jak twardy kamień zadrży w twojej dłoni. Tak, nasza wiedza jest niepełna, nawet jeśli urodziliśmy się jako lukumonie.

Potem ostrzegli mnie, mówiąc:

— Gdy uznasz już siebie samego, nie będziesz żył tylko dla siebie, lecz dla dobra twego ludu i twego miasta. Jesteś dawcą darów. Ale to nie ty i twoja siła sprawiać będą, że pola zrodzą plony, a ziemia da owoce. Wszystko dzieje się tylko za twoim pośrednictwem. Nie ulegaj pokusie. Nie czyń nic dla przypodobania się ludziom, tylko wyłącznie dla ich dobra. Nie krępuj się mało waż-

nymi sprawami. Do tego są prawa i zwyczaje, sędziowie, kapłani, wróżbici i namiestnicy. Zamknij się raczej w samotności. Nie odmawiaj sobie niepotrzebnie niczego, co ci sprawia przyjemność i przynosi rozrywkę w życiu. Wystarczająco ciężko jest urodzić się w więzieniu ciała. Nie urażaj bogów, żeby oni nie urazili ciebie. Jesteś najwyższym kapłanem twego ludu, jego najwyższym prawodawcą, a także jego najwyższym sędzią, ponieważ jesteś lukumonem. Ale im mniej będą do ciebie apelować, tym lepiej. Ludy i miasta muszą się nauczyć żyć bez lukumonów. Nadchodzą złe czasy. Zbliżają się czasy okrutne. Ty powrócisz pewnego dnia, ale twój lud nie powróci nigdy, gdy upłynie jego odmierzony czas.

Tak pouczali mnie ze współczuciem, wiedząc dobrze z własnego doświadczenia, jakie miazdzące brzemie wkładali na moje barki.

2

Dwunastego dnia odbyła się przepisana od wieków święta walka. Rozstrzygała ona o wyborze najważniejszego miasta Związku na najbliższy rok. Był jasny dzień jesienny z ciepłym słońcem nad świętym jeziorem i niebieskimi górami. Lukumonowie i inni posłowie z dwunastu miast zajęli miejsca na dwunastu świętych kamieniach. Ja sam stałem w grupie ludzi za kamieniem Kluzjum, gdyż nie byłem jeszcze publicznie uznany za lukumona i nie włożono na moje barki świętego płaszcza. Ale wśród tłoku pusto było wokół mnie i nikt mnie nie dotykał, ani nawet nie musnął moich szat.

Najpierw przyszedł najstarszy z augurów z wytartą do połysku zakrzywioną laską. Za nim szło dwunastu młodzieńców z dwunastu miast. Byli nadzy i mieli tylko purpurowe przepaski na czołach, każdy niósł okrągłą tarczę swego miasta i święty miecz. Ich kolejność określona została losowaniem, ponieważ żadne etruskie miasto nie było lepsze od innego. Ale w kamiennym kręgu ustawili się każdy przed posłem swego miasta.

279

Augur podszedł teraz do osłoniętej lektyki po młodą dziewczynę, którą zaprowadził do kamiennego łoża pośrodku areny. I ona była naga, ale miała świętą przepaskę mocno zawiązaną na oczach. Była to zgrabna, nietknięta młoda dziewczuszka. Augur rozwiązał jej przepaskę na karku i odsłonił twarz. Przestraszona dziewczyna rozejrzała się wokoło czerwieniejąc i zasłoniła swoją nagość rękami. Młodzieńcy wyprężyli się zobaczywszy ją i w oczach ich zapaliła się chęć walki.

Do głębi poruszony zobaczyłem, że dziewczyną tą jest Misme, choć nie chciałem wierzyć świadectwu moich własnych oczu.

Wiedziałem, że najpiękniejszą i najszlachetniejszą dziewicę etruską wybierano co roku na ofiarę, i że wybór ten uważano za największą chwałę, jaką może zdobyć młoda dziewczyna. Ale gdzie oni



znaleźli Misme i dlatego to ona właśnie została wybrana, nie rozumiałem. Jej wstydlivy gest i przestraszona twarz wywołały we mnie podejrzenie, że nie zgodziła się dobrowolnie zostać złożoną w ofierze.

Panowała głęboka cisza, jak nakazywał obyczaj. Ale oporna ofiara jest bezwartościowa. Dlatego też augur uspokoił Misme gestami, dopóki dumnie nie podniosła głowy, nie przyznała się do swej młodości i piękności, nie wytrzymała spojrzeń młodzieńców i nie pozwoliła augurowi zwi-

zać sobie ręk wełnianą przepaską.

Wtedy nie mogłem już dłużej wytrzymać, ogarnęła mnie rozpacz i uczyniłem gwałtowny ruch. Spotkałem badawcze spojrzenia obu lukumonów i innych posłów, przypatrujących mi się równie ciekawie, jak patrzyli na Misme. Bez tłumaczenia wiedziałem, że i to było próbą. Sądzieli, że Misme jest moją córką i chcieli widzieć, czy wedle świętego etruskiego obyczaju gotów jestem poświęcić własną córkę w dowód na to, że jestem lukumonem.

Nie wiedziałem, jak ma się odbyć ta ofiara, ale wiedziałem, że święte kamienne łoże pośrodku areny jest ołtarzem ofiarnym i że młodzieńcy mają bić się ze sobą na miecze. Tylko ten, który odniósł ranę i wystąpił z kręgu areny, ocalał życie. Ale augur mógł także podnieść laskę w obronie takiego, który upadł na ziemię ciężko zraniony, lecz mimo to nie wypuścił miecza z dłoni.

Stałem w milczeniu, i nagle spotkałem spojrzenie Misme. Uśmiechała się do mnie jasnymi oczami, które miały taki sam nieprzepraczone figlarny i czarujący wyraz, że poznałem w niej przeblysłk Arsinoe. Nie dorównywała piękności Arsinoe i jej prosta figura była wciąż jeszcze dziewczęca i nierozwinięta. Ale jej piersi były jak para dzikich żrebiątek, włosy pięknie ułożone w loki, nogi smukłe, a biodra uwodzicielsko krągłe, i nie była już nieśmiała i zawstydzona. Przeciwnie, wyczytałem w przekornym błysku jej oczu, że dobrze świadoma była uczuć, jakie jej widok wzbudza w dwunastu młodzieńcach.

Nie, o Misme nie musiałem się niepokoić. Była córką swojej matki i wiedziała, w jaką grę się wdaje. Uspokoilem się znowu. Bez względu na to, jak wpadła w ręce Etrusków, była tu z wolnej i nieprzymuszonej woli. Widząc, jak wypiękniała w ciągu kilku krótkich lat, czułem się z niej dumny. Nagle spotkałem wzrok Larsa Arntha, który siedział na świętym głazie Tarkwinii. Przyglądał się on Misme z takim samym oczarowaniem jak dwunastu młodzieńców. Teraz spojrział

nagle na mnie i zmrużył oczy, jak gdyby chciał mnie o coś zapytać. Nie zastanawiając się, skinąłem głową potakująco.

Lars Arnth podniósł się z dostojną powolnością, rozpiął płaszcz i narzucił go na barki tarkwińskiego młodzieńca, stojącego przed nim z mieczem i tarczą tego miasta. Potem zdjął przez głowę kaftan, zdjął naszyjnik z szyi i bransolety z ramion, upuścił je na ziemię, a w końcu zsunął

także złoty pierścień z kciuka. Jako rzecz całkiem oczywistą wziął od młodzieńca tarczę i miecz, stanął sam na jego miejscu i kazał mu usiąść na świętym głazie. Był to tak wielki zaszczyt dla młodzieńca, że złagodziło to jego zawód.

Augur rozejrzał się wokoło, by zapytać, czy ktoś nie ma zastrzeżeń do tej wymiany wojowników. Potem dotknął laską Larsa Arntha, by pokazać, że sam go też zaakceptował. Lars Arnth był szczuplejszy niż inni młodzieńcy i nie taki opalony, miał skórę białą jak u kobiety. Ale był

280

sprężysty i piękny w swej nagości, i nie wyglądał na starszego od innych wojowników. Z ustami na pół otwartymi z oczekiwania wpatrywał się w Misme, a Misme ciekawie i ze zdumieniem odpowiadała mu spojrzeniem na spojrzenie. Łatwo było wyczytać w jej żywej twarzy, jak bardzo przemawiał do jej dziewczęcej próżności fakt, że zastępca władcy w jednym z najpotężniejszych miast etruskich chce ryzykować życie, by ją uwolnić i zdobyć.

A ja mogłem tylko uśmiechnąć się i ogarnięty niewypowiedzianą ulgą zrozumiałem, że wszystko to było uśmiechniętym żartem bogów, żeby wykazać mi, jak ślepy może być najbardziej przenikliwy człowiek i jak próżne jest uważanie czegokolwiek na ziemi za ważne. Czytałem w myślach Larsa Arntha jak w rozwiniętym zwoju rękopisu. Bez wątpienia widok Misme oczarował go, ale w tejże samej chwili zdał on sobie także sprawę, ile może zyskać, gdyby wyszedł jako zwycięzca w świętym boju. Poniósł porażkę w naradach o sprawach zagranicznych. Jego mir zmniejszył się w Tarkwinii po nieszczęsnej wyprawie do Himery. Stary Aruns żył wciąż jeszcze i wpływy jego pozostały nienaruszone, ale wcale nie było rzeczą pewną, że Arnth zostanie wybrany władcą w Tarkwinii po śmierci ojca, nawet gdyby ten sam wyznaczył syna na swoje miejsce. Stanowcza polityka Larsa Arntha była dalekowzrocza i odpowiadała wymaganiom czasu, ale nie przemawiała ani do starszych, ani do greckich popleczników.

Gdyby udało mu się wyjść zwycięzcą z świętej walki, zdobyłby osobistym wkładem dla Tarkwinii godność przodującego miasta na rok naprzód. W zamierzonych, dawno już zapomnianych czasach władcy miast sami wstępowali do kamiennego kręgu, by walczyć o przodujące miejsce.

Teraz było to czymś niesłychanym, by poseł narażał życie za swoje miasto. Gdyby Lars Arnth zwyciężył, przodujące miejsce Tarkwinii nie byłoby już tylko pustą formą i wyrazem czci, ale tłumaczono by to jako znak. I równocześnie zdobyłby też córkę lukumona, a w dodatku wnuczkę Larsa Porsenny, i uzyskałby swoją część publicznego wzburzenia wokół odkrycia nowego lukumona i część nieprzemijającej sławy i chwały Larsa Porsenny.

Bogowie uśmiechali się i ja uśmiechałem się z bogami, bo wszystko było kłamstwem. Misme nie była przecież moją własną córką. Ale wszyscy w to wierzyli. Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, zrozumiałem równocześnie, że prawda i kłamstwo nie mają wielkiego znaczenia w świecie ludzi. Wszystko zależy od tego, co człowiek uważa za prawdę. Bogowie stoją pomiędzy prawdą i kłamstwem, słusznym i niesłusznym. W głębi serca postanowiłem uznać Misme jako swoją córkę i zakazać jej kiedykolwiek wyjawienia tego, że nie jestem jej prawdziwym ojcem. Wystarczyło, że my oboje wiedzieliśmy o tym.

Augur włożył teraz przepisany czarny skórzany kołnierz na barki Misme i zmusił ją, by usiadła na brzegu kamiennego łoża z przegubami związanymi wełnianą przepaską. Potem dał znak zakrzywioną laską i bojownicy rzucili się na siebie tak gwałtownie i szybko, że pierwsze starcie wyglądało dla mnie jak jeden błyskawiczny zamęt. Szybciej niż oko zdołało to uchwycić, dwóch zakrwawionych

młodzieńców leżało już na ziemi, wypuściwszy miecze.

Wedle odziedziczonego zwyczaju w pierwszym starciu obróciło się sześcioro z nich przeciwko sześcioro, miasta nadmorskie przeciw miastom wewnątrz lądu, uzgodniwszy wprawdzie, że żaden tym razem nie zada drugiemu stojącemu obok ciosu w plecy albo w bok. Teraz wszyscy zatrzymali się na chwilę, by ocenić nową sytuację, a potem rzuciło się pięcioro na pięcioro, miecze miały błyski, a tarcze ścierały się z trzaskiem. Słyszeliśmy krzyk i jęki, i równie szybko oddzieliło się teraz czterech nieuszkodzonych młodzieńców, zwartych w sobie, zdyszanych i czujnych. Z pozosta-

łych jeden stracił równowagę i wypadł z kręgu, dwóch czołgało się na czworakach, zostawiając ślady krwi na trawie, jeden utracił i miecz i palce, jeden leżał na plecach charcząc jasnoróżową pianą z przebitego gardła, a jednego ochroniła laska augura, choć klęczał na ziemi i wciąż jeszcze usiłował podnieść miecz.

Nie zwracając uwagi na rannych, czterej ostatni zmierzli się szybkimi spojrzeniami. Misme siedziała skulona z napięcia i dysząc patrzyła na nich. Lars Arnth był jednym z nich i zaciskał

mocno złożone na krzyż dłonie w nadziei, że wytrzyma i przynajmniej zachowa życie. Przez krótką chwilę stali na skraju kręgu, mając świętą granicę jako osłonę dla pleców. Potem najniecierpliwszy stracił panowanie nad sobą i runął z podniesioną tarczą na najbliższego przeciwnika.

Ten odparł jego tarczę swoją i wbił mu miecz w podbrzusze. Trzeci wojownik wykorzystał sprzyjający moment i rzucił się, by zadać cios tamtemu w odsłonięty grzbiet, nie żeby go zabić, tylko zranić, tak żeby ten musiał wycofać się z walki.

Wszystko dokonało się nieoczekiwanie szybko i dziesięciu spośród najdorodniejszych i najpiękniejszych młodzieńców etruskich wypadło już z gry, część z nich śmiertelnie zraniona, a jeden bez palców na całe życie. Tylko Lars Arnth i bojownik z Veji pozostali na placu. Prawdziwa walka mogła się zacząć. Teraz nie rządził już przypadek i szczęście bojowe, lecz tylko zręczność w fechtunku, wytrzymałość i opanowanie.

Pospiech nie przydawał się już na nic. Rozumieli to obydwaj, gdy skradając się wzdłuż brzegów kręgu, pilnowali się nawzajem. Obaj zdążyli rzucić spojrzenia na Misme, która wpatrywała się w nich wzrokiem błyszczącym z napięcia. Potem Vejent rzucił się do natarcia, tarcze starły się z sobą z głuchym dźwiękiem, a ostrza mieczów skrzeszały jaskrawe iskry. Ale obaj walczący byli równie biegli i wazyli tyle samo. Żaden nie zdołał zepchnąć drugiego w tył. Po błyskawicznej wymianie dziesiątki coraz mocniejszych ciosów, cofnęli się obaj równocześnie, by nabrać tchu.

Krew spływała z uda Larsa Arntha, on jednak potrząsnął tylko gwałtownie głową, gdy augur zamierzał podnieść swoją laskę. Czujność Vejenta na chwilę osłabła. W tejże samej chwili Lars Arnth zaatakował z pochyloną głową i wbił miecz pod jego tarczę. Młodzieniec osunął się na jedno kolano, ale trzymał tarczę w górze i bronił się tak zajadle i zręcznie mieczem, że Lars Arnth musiał się cofnąć. Vejent otrzymał głębokie pchnięcie w pachwinę i nie mógł się już podnieść na nogi. Opierając się jednym kolaniem o ziemię, odtrącił z wściekłością mieczem laskę augura na bok i wpatrywał się w Arntha.

Lars Arnth zmuszony był kontynuować natarcie, czy chciał, czy nie chciał. Zdawał sobie sprawę, że Vejent jest lepiej wyćwiczony i dlatego wytrzymałszy niż on. Toteż musiał zakończyć walkę, zanim ramiona odmówią mu posłuszeństwa. Ruszył do natarcia, trzymając tarczę tak nisko, jak mógł, by chronić miękkie podbrzusze. Młodzieniec z Veji odparował jego cios i wypuściwszy na przelotny moment miecz z ręki, zgarnął z ziemi garść piachu i cisnął mocno w twarz Larsa Arntha, żeby go oślepić. W tej samej chwili uchwycił znowu miecz i skierował ostrze ku nie osłoniętej piersi Larsa Arntha, wkładając w ten cios całą swoją siłę, tak że sam upadł na twarz. Lars Arnth zdołał niemal na ślepo odparować cięcie, tak że miecz zadał mu tylko niegroźną ranę w bok i ześliznął się ku żebrom. Lars mógł być teraz pchnąć Vejenta w kark brzegiem tarczy albo też odciąć mu palce na rękoności miecza, ale zadowolili się tylko postawieniem stopy na rękę przeciwnika i przyciśnięciem mu tarczą twarzy do ziemi, nie raniąc go. Było to szlachetne, ponieważ sam przed chwilą znajdował się w śmiertelnym niebezpieczeństwie i uratował się tylko dzięki swemu szczęściu.

Vejent był nieustraszonym młodzieńcem i usiłował jeszcze raz się wyrwać. Dopiero potem uznał się za pokonanego i zaszlochał z rozczarowania. Wypuścił broń z ręki, a Lars Arnth schylił się, pochwycił miecz i wyrzucił go z kręgu, aż zaświszczał w powietrzu. Szlachetnie wyciągnął potem rękę do swego przeciwnika i pomógł mu wstać na nogi, choć oczy miał wciąż jeszcze na wpół oślepione piaskiem, a na twarzy pasy brudu.

Następnie Lars Arnth uczynił coś, co z pewnością nie wydarzyło się nigdy przedtem. Wciąż jeszcze dysząc po wysiłku, z potem perlącym się na skórze, rozejrzał się, szukając czegoś wokoło, podszedł potem do augura i zerwał mu z barków szeroki płaszcz, tak że najstarszy z augurów został w samym tylko kaftanie zaskoczony, ukazując obnażone chude nogi. Z płaszczem augura pod pachą Lars Arnth podszedł do Misme, przeciął mieczem świętą przepaskę na jej przegubach, schylił się z szacunkiem i dotknął ustami jej ust, po czym położył się na kamiennym łożu i zam-

knął Misme w ramionach, a równocześnie przykrył się wraz z nią płaszczem augura, tak że leżeli ukryci przed oczyma wszystkich.

Było to tak niespodziewane, że nawet najświętszy odziedziczony obyczaj nie mógł nam przeszkodzić w tym, byśmy dali wyraz naszym uczuciom. Na widok miny zaskoczonego augura wybuchliśmy wszyscy śmiechem, a nasz śmiech wzmógł się jeszcze bardziej, gdy Misme wysunęła spod płaszcza nagą stopę kurcząc palce. Obaj lukumonowie śmieli się tak, że łzy im płynęły z oczu, a wielu innych stało zgiętych we dwoje bijąc się po kolanach zaciśniętymi pięściami. I nawet młody Vejent śmiał się, gdy kuśtykając wychodził z kręgu i trzymał się oburącz za pachwinę, podczas gdy krew ciekła mu między palcami.

Z ulgą śmieliśmy się z powodu nieoczekiwanej delikatności Larsa Arntha i nie sądzę, by ko-muś się to nie podobało. Przeciwnie, wszyscy mówili potem, że stało się najlepiej, jak stać się mo-gło, i że nie wypadało szlachetnie urodzonemu jak Lars Arnth i wnuczce Larsa Porsenny spełniać nakazaną zwyczajem ofiarę przed wybałuszonymi oczami wszystkich. I myślę, że także Misme i Lars Arnth śmieli się z ulgą, obejmując się nawzajem pod osłoną płaszcza augura, i odłożyli ofiarę na odpowiedniejszą chwilę.

Gdy burza śmiechu w końcu zaczęła przygasać, Lars Arnth odrzucił przykrycie. Wstali oboje ramię przy ramieniu, trzymając się za ręce, z głowami wzniesionymi i wzrokiem głęboko zato-pionym w swoich oczach. Była to dorodna para. Rozzłoszczony augur porwał płaszcz, owinał się nim i stuknął ich oboje w głowę zakrzywioną laską mocniej niż to było potrzebne, ogłaszając, że są teraz mężem i żoną, a Tarkwinia przodującym z miast etruskich na następny rok. Trzymając się za ręce, wyszli z kręgu. Misme dostała weselny płaszcz do okrycia się i wianek mirtowy na głowę, Lars Arnth włożył własne szaty, a ja pospieszyłem uścisnąć Misme jako swoją córkę.

— Jak mogłaś mnie tak nastraszyć — wyrzucałem jej.

Ale Misme odrzuciła głowę, zaśmiała się głośno i zapytała w odpowiedzi: — Wierzysz już teraz, że potrafię dawać sobie radę, Turmsie?

Patrząc na Larsa Arntha szepnąłem jej do ucha, że odtąd powinna mnie nazywać ojcem, okazywać mi należny szacunek i pamiętać, że sama jest wnuczką Larsa Porsenny. Ona z kolei opowiedziała mi, że Bracia Pól starali się osłaniać ją i moją zagrodę na Janikulum, ale rozsierzony tłum spalił jej dom, rozkradł bydło i podeptał łany, gdy moja ucieczka wyszła na jaw. Ona i starzy niewolnicy ukryli się i uratowali życie. Tego samego wieczora wykopała głowę wołu, odrąbała od niej rogi i dała jeden z nich parze niewolników, drugi zaś młodzieńcowi, który był u mnie pas-tuchem, a potem został moim zarządcą, ażeby w imieniu Misme wykupił oboje staruszków.

Ale ledwie zdążyła zakopać głowę wołu na nowo, gdy przez granicę wjechała do kraju zwa-biona łuną pożaru gromada vejenckich szperaczy i zabrała Misme ze sobą. Traktowali ją jednak z szacunkiem, choć ten, który niedawno walczył w kręgu, ścisnął ją na siodle za mocno.

— Ale to nie było dla mnie tak zupełnie nowe i nie bałam się — zapewniała Misme. — Nasz zarządca był przecież zakochany we mnie w ostatnim czasie i chciał mnie nieustannie ścisnąć i całować, tak że nabrałam większej pewności siebie i nie wierzyłam już, że jestem brzydka. Nauczyłam się trzymać go w ryzach i z pewnością, najlepsze dla niego było to, co się stało. Ale dlaczego nigdy mi nie mówiłeś, jak piękne i szlachetne jest życie Etrusków — ciągnęła patrząc na mnie z wymówką. — Nauczyłabym się wtedy wcześniej ich trudnego języka. Czy zamierzałeś zostawić mnie w Rzymie na zawsze, mój ojcze, Turmsie? Nie kocham Rzymu. Same tylko dobre i piękne chwile przeżyłam wśród Etrusków, zarówno w Veji jak i tu w Volsinii, choć zrazu sądzi-

łam, że jestem jeńcem i zostanę sprzedana jako niewolnica. Ale ich piękne kobiety nauczyły mnie kąpieli i dbania o cerę i układania włosów, i mówią, że jestem piękna i że to bezprzykładna chwa-

ła zostać wybraną na dziewicę w świętej walce.

283

Spochmurniała i rzekła: — Myślałam najpierw, że wybrano mnie ze względu na mnie samą.

Ale zdaje mi się, że wybrali mnie ze względu na ciebie, żeby okazać ci szacunek. Słyszałam o tobie to i owo.

Byłem szczęśliwy ze względu na Misme, a także i ze względu na Larsa Arntha byłem rad, gdyż znałem go i uważałem, że zasługuje na wszelkie ludzkie szczęście, w miarę tego jak córka Arsinoe mogła przynieść komuś więcej szczęścia niż zmartwienia. Misme przysięgła jednak, że będzie mądrzejsza od matki i pozostanie wierna mężowi, gdyż w całym kraju Etrusków nie można znaleźć nikogo, kto byłby piękniejszy od niego i bardziej jej się podobał. Tak całkiem nie mogłem jej wierzyć, ponieważ uznała za konieczne złożyć taką przysięgę. Gdy patrzyłem jej w oczy, zda-

łem sobie sprawę, że Lars Arnth nie może się spodziewać monotonnego życia jako małżonek Misme.

3

Jezioro było niezmacone jak lustro. Gdy zachód słońca zaczął zabarwiać na czerwono jego ciemną powierzchnię i niebieskie góry na drugim brzegu, kapłani wzniesli święty namiot bogów.

Przed nim kobiety kręciły ręczne młynki, by upiec chleb bogów z nowego zbioru. Sieci były wyło-

zone, by złowić czerwonoookie ryby bogów. Złożono w ofierze i poświęcono bogom cielę, koźlą i proszę. Ogniska kuchenne płonęły pod gołym niebem. Kapłani naradzali się ze sobą i powtarzali święte wersety, by chleby zamieszono i okraszono, a potrawy przyrządzono w sposób od dawna przepisany. Uczty bogów nie było już od wielu lat.

Czułem chłód jeziora, ociągające się ciepło ziemi i zapach wędniejącej trawy, woń dobrych potraw, świeżego chleba i korzeni. Wreszcie przyszli obaj lukumonowie. Włożyli święte płaszcze.

Za nimi niesiono święte naczynia bogów.

— Oczyszczyłeś się? — zapytali.

— Oczyszczyłem się — odparłem. — Moje oczy są czyste. Moje usta są czyste. Moje uszy są czyste. Moje nozdrza są czyste. Wszystkie otwory mego ciała są czyste. Moja głowa jest umyta.

Moje dłonie i stopy są umyte. Całe moje ciało jest wyszorowane do czysta i odziane w nowy kaftan z najczystszej wełny.

Uśmiechnęli się i powiedzieli:

— Dziś wieczorem jesteś gospodarzem uczty, Turmsie. Jesteś dawcą darów. Dwoje bogów masz prawo zaprosić, by wzięli udział w naszej uczcie. Kogo zapraszasz?

Nie wahałem się. — Jestem winien ucztę bogini — rzekłem. — Ją zapraszam, uwieńczoną bluszczem. Turan jest jej święte imię.

Stary lukumon udał zdziwienie i rzekł podstępnie:

— Sam mi opowiadałeś, jak bogini Artemis sprzyjała ci i w postaci Hekate doglądała twojej ziemskiej pomyślności. Winien jesteś także Zrodzonej z piany, którą czci się w Eryksie równocześnie jako Afrodytę i jako Isztar, jak mi opowiadałeś.

Odparłem:

— One są jedną i tą samą boginią, choć objawia się ona w różnych postaciach, w różnych miejscach i różnym ludom. Turan jest jej właściwym imieniem, a księżyc jest jej znakiem. Zrozumiałem to. Ją wybieram. Ją zapraszam.

— A twój drugi gość? — zapytali.

— Zapraszam ją samą zmienną, Voltumnę zapraszam. Nie znałem jej. Nie rozumiałem jej.

Teraz chcę nareszcie ją poznać. Przez nią koń morski był święty już w zaraniu czasów, przed Faliskami, przed Etruskami, przed Grekami. Jej znakiem jest słońce. Jej symbolem chimera.

284

Uśmiech zgasł na ich ustach, spojrzeli na siebie i zapytali ostrzegawczo: — Czy wiesz sam, czego chcesz, na co się ważysz?

Ale ogarnięty świętą radością wołałem: — Ją wybieram, ją zapraszam, Voltumnę!

Rozsunęli święte zasłony namiotu. W jasnym blasku nie dających dymu pochodni ujrzałem wysokie łoże bogów z licznymi poduszkami, a na podwójnych poduszkach łoża spoczywały oba święte kamienne stożki. Każdy z nas trzech miał swoje niskie łoże. Niskie stoły czekały. Siedzenia czekały. Wino było zmieszane. Ujrzałem wiązki kłosów. Ujrzałem płody ziemi. Ujrzałem wieńce.

Lukumonowie powiedzieli: — Uwieńcz twoich niebiańskich gości!

Wybrałem wieniec z bluszczu i włożyłem na jeden z białych stożków ze słowami: — Dla ciebie, Turan, ty jako bogini, ja jako człowiek.

Ogarnęła mnie lekkość i radość, wziąłem wieniec z dzikiej róży i uwieńczyłem drugi stożek, mówiąc: — Dla ciebie, Voltumno, tobie należy się wieniec, jaki zechcesz. Weź ten wieniec z dzikich róż, ty jako bogini, ja jako nieśmiertelny.

W tej chwili wyznałem wreszcie swoją nieśmiertelność. Dlaczego tak się stało i dlaczego wybrałem właśnie wieniec z dzikiej róży, nie wiem. Ale wszelkie moje wątpliwości rozproszyły się jak mgła i niebo mojego serca rozjaśniło się blaskiem nieśmiertelności.

Spoczęliśmy na łożach przy stole. Włożono mi na szyję grube wieńce z jesiennych kwiatów, jagód i liści. Fletniści ujęli swoje lekkie podwójne flety, rozbrzmiały dźwięki strun, a tancerki i tancerze w świętych strojach wykonali przed namiotem tańce bogów. Podano nam potrawy na prastarych czarnych półmiskach i jedliśmy prastarymi krzemiennymi nożami, mając każdy do pomocy rozdwojony widelec. Obu świętym stożkom podano półmiski, które potem znowu zabrano ze stołu. Każdy z nich otrzymał swój krzemienny nóż i złoty widelec. Jedliśmy kraby morskie, kawałki kałamarnicy i ociekające oliwą sardynki. Jedliśmy czerwonookie ryby z jeziora, smażone i pozbawione ości. Jedliśmy cielęcinę i mięso jagnięce, i wieprzowinę, gotowane i smażone, z kwaśnym sosem i słodkim sosem.

Flety i struny rozbrzmiewały coraz gwałtowniej. Tancerze odtńczyli taniec ziemi, taniec morza, taniec nieba. Potem tańczyli taniec bogini jako taniec miłości, taniec psa, taniec wołu i jeszcze dodatkowo taniec konia. Obłoki pachnideł unosiły się wokół nas z wysokich kadzideł. Wino rozgrzało nasze ciała i poszło nam do głowy. Ale im dłużej trwała uczta, tym bardziej czułem się zawiedziony, za każdym razem, gdy patrzyłem na oba nieruchome kamienne stożki na wysokim łożu bogów.

Stary lukumon leżał na prawo ode mnie. Spozrzegł moje spojrzenia i pocieszył mnie, śmiejąc się:

— Nie bądź niecierpliwy, Turmsie, noc jest długa. Może bogowie przygotowują się na spotkanie z nami, tak jak my przygotowaliśmy się na spotkanie z nimi. Może w tej chwili właśnie panuje pośpiech i krzątania w wysokich siedzibach bogów, spieszą podawać naszym gościom uroczyste szaty, naoliwiają i splatają ich włosy. Kto wie?

— Nie drwij ze mnie — odparłem gwałtownie.

Wyciągnął swoją starą dłoń i dotknął ostrzegawczo mojego ramienia. — To największa noc w twoim życiu, Turmsie — powiedział. — Ale także lud musi dostać swoje. Mogą oglądać stożki kamienne, które uwieńczyłeś. Mogą widzieć, jak jemy i pijemy w ich towarzystwie. Mogą patrzeć na święte tańce i cieszyć się muzyką. Dopiero potem zostaniemy my trzej sami, zasłony zostaną zaciągnięte i twoi goście przybędą.

W ciemności przed namiotem, mając jako dach gwiazdziste sklepienie niebieskie, stała zebra-na-wielotysięczna milcząca masa ludzka i wpatrywała się w oświetlony namiot. Stali gęsto stłocze-285

ni i można było wyczuć ich oddech, ale nie można było usłyszeć najmniejszego dźwięku. Unikali każdego szelestu i prawie nie wazyli się szurać stopami.

Potem zgasły ogniska pod kuchniami. Służący odeszli, jeden za drugim. Tancerze znikli. Muzyka ustała. Wszystko ucichło. Oba białe kamienne stożki wznosiły się aż pod pułap namiotu na swym wysokim łożu. Ostatni służący postawił na stole przede mną czarkę z przykrywką. Spozrzegłem, że obaj lukumonowie unieśli się na łóżach i przyglądali mi się z napięciem. Służący podniósł pokrywkę, poczułem mocny zapach korzennych ziół, zobaczyłem kawałki mięsa w tłustym rosole, podniosłem widelec i wziąłem kęs do ust. Nie smakował źle, o ile mogłem poczuć jego smak, gdyż nie mogłem ani pożuć, ani przełknąć. Musiałem go wypluć. W tejże chwili zasłony zostały zasunięte z lekkim szumem. Służący pospiesznie wyszedł z namiotu, zostawiając na niskim stole przede mną otwartą czarkę, aby uleciała z niej para. Przeplukałem usta winem i wyplułem wino. Obaj lukumonowie przypatrywali mi się z wyczekiwaniem.

— Czemu nie jesz, Turmsie? — zapytali.

Potrząsnąłem głową. — Nie mogę — odparłem.

Skinęli głowami i przyznali: — Tak, my także nie możemy tego jeść. To strawa bogów.

Zamieszałem widelcem kawałeczki mięsiwa. Nie wyglądały odpychająco. Zapach, który unosił się z



czarki, był dobry.

— Więc co to jest? — zapytałem.

— To jeż — odpowiedzieli. — Jeż jest najstarszym z wszystkich zwierząt. Gdy przychodzi zima, jeż zwija się i zapomina o czasie. Na wiosnę budzi się znowu. Dlatego stanowi strawę bogów.

Stary lukumon wziął ugotowane i obrane jajko i podniósł je przed naszymi oczami. — Jajo jest początkiem wszystkiego — powiedział. — Jajo jest symbolem narodzin i powrotu. Jajo jest symbolem nieśmiertelności.

Włożył jajo w płaski puchar ofiarny. Młodszy lukumon i ja postąpiliśmy tak samo. Lukumon z Volterry wstał, wziął szczelnie zamkniętą gliniana amforę, wyjął krzemiennym nożem korek i woskową pieczęć i nalał do ofiarnych pucharów gorzkiego, ziołowego wina.

— Nadeszła chwila — powiedział. — Bogowie przychodzą. Wypijmy napój nieśmiertelności, ażeby nasze oczy mogły znieść ich blask.

Wychyliłem mój puchar ofiarny tak, jak widziałem, że to robią oni obaj. Trunek zapiekł mnie w gardle i sprawił, że żołądek mi zdrętwiał. Potem idąc za ich przykładem, zjadłem obrane z łu-pinki jajo. Stary lukumon powiedział cichym głosem:

— Wypiłeś z nami trunek nieśmiertelności, Turmsie. Zjadłeś z nami jajo nieśmiertelności, Turmsie. Bądź teraz cicho. Bogowie przychodzą.

Wszyscy trzej leżeliśmy ogarnięci lękiem i wpatrywaliśmy się w oba białe kamienne stożki.

Zaczęły rosnać przed naszymi oczyma. Jasne płomienie nie wydających dymu pochodni jakby przygasły. Stożki kamienne zaczęły błyszczeć jeszcze silniejszym blaskiem. Potem nagle znikły i zobaczyłem ją, boginię, jak przybiera postać i zniża się, by spocząć na łożu piękniej niż ziemskie kobiety. Uśmiechnęła się, aby nas nie przestraszyć. Jej wąskie oczy promieniały. A jej loki wiły się jakby żywe, na skroniach nosiła wzbudzającą strach bluszczową koronę.

Potem przyszła tamta, ta zmienna. Najpierw żartowała z nami. Poczuliśmy ją jak zimny powiew wiatru i pochodnie zamigotały gwałtownie. Potem czuliśmy jej obecność jak wodę i miotaliśmy się jak tonący, by zaczerpnąć tchu, a niewidzialna woda wdzierwała się nam przez usta i nos do gardeł. Potem dotykała naszych członków jak ogień i myśleliśmy, że zostaniemy upieczeni na śmierć. Ale żaden ślad nie pozostał na skórze i ochłodziła nas znowu, tak że zdawało nam się, iż zostaliśmy namaszczeni maścią miętową. Niczym ogromny koń morski unosił się jej cień w po-286

wietrze nad nami. W końcu bogini zmęczyła się i wyciągnęła dłoń z wezwaniem. Voltumna uspokoiła się i opadła w olśniewającej świetlistej postaci przy jej boku, by udawać, że jest człowiekiem, tak jak my.

Nie musiałem wstawać, by częstować je jedzeniem, gdyż potrawa z jeża sama opadała i znikła, dopóki czarki się nie opróżniły. Ale jak jadły, nie wiem. Opadał także brzeg wina w kraterze, dopóki nie znikła ostatnia kropla i krater nie osuszył się wewnątrz. Nie były głodne, gdyż bogowie nie

odczuwają ani głodu, ani pragnienia jak ludzie, a jeśli ktoś mówi inaczej, są to tylko bajki. Ale skoro już przyszły do nas w gościnę i objawiły się nam w sposób dla nas zrozumiały, okazały nam swoją życzliwość, spożywając święty posiłek i wypijając święte wino.

Może przypadło im ziemskie jedzenie do smaku i może poszło im to ziemskie wino do głowy, jak to zwykle bywa na ucztach, gdyż bogini uśmiechnęła się zagadkowo i przyglądała mi się ku-sząco, położywszy z roztargnieniem rękę na szyi Voltumny. Ona, ta zmienna, patrzyła na mnie uważnie, tak jakby z chęcią chciała mnie wypróbować.

— Ach, wy lukumonowie — rzekła potem — może jesteście nieśmiertelni, ale wieczni nie jesteście. — Jej głos huczał jak z beczki i szumiał jak burza. Dźwięczał w nim jednak ton zawiści.

Poczułem nagle smukłe palce z ognia, które powoli dotykały mego barku jakby ku przestro-dze. Gdy odwróciłem się zdziwiony, zobaczyłem, że uskrzydłona świetlana postać mego geniusza usiadła za mną na skraju łoża. Po raz drugi w życiu mój geniusz pojawił mi się i bez żadnego tłumaczenia wiedziałem, że właśnie w tej chwili muszę się strzec bardziej niż kiedykolwiek. Gdy zatem znów ujrzałem tę postać, wiedziałem, że w głębi serca tęskniłem za nią bardziej niż za czymkolwiek innym na świecie. A kiedy rozejrzałem się wokoło, spostrzegłem, że także świetlane postaci geniuszów obu lukumonów przybyły, by ich ochraniać swymi promiennymi skrzydłami.

Voltumna wyciągnęła władczo rękę i powiedziała:

— Ach, wy lukumonowie, jacy z was ostrożni gospodarze, skoro wzywacie na ucztę swoją straż przyboczną. Czego się obawiacie?

Także Turan powiedziała:

— Obrażacie i ranicie mnie jako boginię, gdy wolicie raczej spoczywać na łożu w towarzystwie swych świetlanych zjaw niż zbliżyć się do mnie. To przecież wy mnie zaprosiliście, a nie ja was. Przynajmniej ty, Turmsie, możesz odesłać swego ducha opiekuńczego. Może wtedy wycią-

gnę się przy twoim boku na chwilę i dotknę twojej szyi.

Skrzydła mojej opiekunki zadrżały z gniewu i zauważyłem, że jest ona wściekła. Bogini Turan przyglądała się jej krytycznie, jak kobiety patrzą nawzajem na siebie i powiedziała:

— Piękna jest bez wątpienia twoja uskrzydłona przyjaciółka. Ale nie myślisz chyba, że może współzawodniczyć ze mną. Jestem boginią i jestem wieczna jak ziemia. Ona zaś jest tylko nie-

śmiertelna tak jak ty sam.

Poczułem się źle na duchu, ale gdy rzuciłem spojrzenie na promienne oblicze mego ducha opiekuńczego, odparłem zaraz: — Ona przybyła tu, choć jej nie wzywałem, i nie mogę jej odesłać. — W tejże chwili zrozumienie zrodziło się w mojej duszy jak błyskawica i głos mi zadrzał:

— Być może przysłał ją ktoś, kto stoi ponad wami. — I zanim mogłem doprowadzić myśl do końca, wyrosła w namiocie nieruchoma postać, wyższa niż wszyscy ludzie i bogowie. Otulał ją zimny

płaszcz światła, przepaski zasłaniały jej oblicze i czyniły ją niewidoczną. Był to ten, które-go nawet bogowie nie znają, on, którego wielu imion i liczb nie zna nikt, ani ludzie, ani bogowie, którzy są związani z ziemią. Gdy obie ziemskie boginie spostrzegły jego nieruchomą postać, znikły jak cienie na swoim łożu, a moja uskrzydłona opiekunka otuliła mnie skrzydłami, jakby chcąc pokazać, że jesteśmy jednym, ona i ja.

Potem poczułem smak żelaza na języku, jak gdybym był już martwy, huk burzy zahuczał w moich uszach, lodowaty powiew wdarł mi się do nosa i ognista luna oślepiła mój wzrok. Przy-287

szedłem do zmysłów znowu na moim niskim łożu. Pochodnie zgasły. Wino było rozlane. Kłosa puste. Oba kamienne stożki stały białe jak widma na podwójnych poduszkach na wysokim łożu bogów i zdałem sobie sprawę, że oświeca je szary brzask poranka. Ich wieńce zwiędły i poczerniały jakby opalone ogniem. Ja też byłem cały odrętwiały i sztywny z zimna.

Zdaje mi się, że wszyscy wróciliśmy do przytomności równocześnie i było to tak, jak zbudzić się na kamiennej ławie w komorze grobowej. Tak twarde wydały mi się poduszki łoża, tak straszliwie ciężkie jak ołów było moje ciało. Usiedliśmy trzymając głowy w dłoniach i patrzyliśmy na siebie nawzajem.

— Czy śniłem? — zapytałem.

Starzec potrząsnął głową i odparł:

— Nie, nie śniłeś. Albo też wszyscy mieliśmy taki sam sen.

Lukumon z Volterry powiedział:

— Widzieliśmy osłoniętego welonem boga. Jak to możliwe, że jeszcze żyjemy?

— To znaczy, że epoka dobiega końca — rzekł starzec. — Nowa epoka nadejdzie. Być może jesteśmy ostatnimi lukumonami.

Tamten uchylił zasłonę i wyjrzał na dwór. — Niebo jest pochmurne — oznajmił. — Ranek jest zimny.

Weszli służący z parującym gorącym mlekiem z miodem. Przynieśli też wodę, żebyśmy mogli umyć twarze, ręce i stopy. Spostrzegłem, że mój kaftan był poplamiony i że musiałem krwawić z nosa.

Potem służący rozsunęli zasłony. Pod chmurnym niebem zobaczyłem tysiąc milczących twarzy tłumu. Zawiał podmuch wiatru i sprawił, że płótno namiotu załopotało. Włożyłem kaftan i wyszedłem z namiotu. Przykląknęłam i pocałowałam ziemię. Potem podniosłem się i wyciągnąłem ramiona ku niebu. Pokrywa chmur pękła. Słońce wyszło olśniewające i oblało mnie swym ciepłem. Jeśli jeszcze wciąż wątpiłem w siebie, od tej chwili już nie mógłbym wątpić. Niebiosa, mój ojciec, uznały mnie za syna. Słońce, mój brat, objęło mnie czule. Stał się cud.

Silniej niż szalejący wiatr wybuchnęły okrzyki z tłumu: — Lukumon, lukumon jest tutaj! —

Zielone gałęzie chwiały się jak las przed moimi oczyma. Ludzie wymachiwali płaszczami i krzyczeli. Obaj pozostali lukumonowie, moi przewodnicy, wyszli teraz z namiotu i narzucili mi święty płaszcz na barki. Z tym płaszczem przyszedł miłosierny spokój i radość, które sprawiły, że serce moje zmiękło. Nie byłem już pusty. Nie byłem już nagi. Nie marłem już.

4

I nie mam nic więcej do opowiedzenia. Kamyczek po kamyczku trzymałem w dłoni moją przeszłość i włożyłem te kamyczki z powrotem do prostej czarnej czarki przed posągami bogini.

Po nich będę wiedział kim jestem, gdy pewnego dnia powrócę, gdy pewnego dnia wyjdę na górę po schodach grobu i wezmę je znów do ręki. I wtedy będzie dął wiatr.

Taka jest moja wiara. Ręce mi się trzęsą. Mój oddech chrypi. Moje ostatnie dziesięć lat wnet przeminie. Ale mój lud żyje w dobrobycie, bydło się pomnożyło, pola dają dobre plony, kobiety rodzą zdrowe dzieci. Wychowałem ich, by żyli uczciwie nawet po tym, jak mnie już nie będzie.

Jeśli prosili mnie o znaki, mówiłem im:

— Macie do tego augurów, wróżących z wątroby i kapłanów piorunów. Wierzcie im. Nie przeszkadzajcie mi bagatelkami.

288

Prawa kazałem ustanawiać Radzie i zatwierdzać ludowi. Sędziowie musieli sądzić według sumienia i sprawiedliwości. Moim jedynym ostrzeżeniem było: — Prawo ma chronić słabych przed silnymi. Silni nie potrzebują opiekunów.

Ale powiedziawszy to, pomyślałem o Hannie, która mnie kochała, i o moim nie urodzonym dziecku, które zabrała ze sobą. Byli słabi, a ja nie zdołałem ich obronić. Gdy tylko mogłem, kaza-

łem szukać ich wszędzie, aż hen, w Fenicji. Ale nie pozostał po nich żaden ślad.

Czułem pieczenie mojej winy i modliłem się:

— Ty, który stoisz najwyżej ponad ziemskimi bogami, ty, który przykrywasz oblicze, ty nieruchomy. Jesteś jedynym, który masz moc zatrzeć moją zbrodnię. Możesz przywołać czas z powrotem. Możesz zbudzić umarłych nawet z dna morza. Napraw mój zły uczynek i daj mi pokój. Dla siebie nie pragnę niczego. Reszta mego życia należy do mego ludu. Nawet gdybym znużył się więzieniem, jakim jest moje ciało, ślubuje ci, że wykupię sobie od bogów dozwolone dziesięć lat łaski dla dobra mego ludu. Ale okaż mi miłosierdzie, aby nic złego nie stało się Hannie i dziecku z powodu mego tchórzostwa.

I stał się cud. Przez wiele lat żyłem jako lukumon wśród mego ludu, gdy pewnego dnia dwoje skromnych wędrowców poprosiło o posłuchanie. Zjawili się bez ostrzeżenia, całkiem nieoczekiwanie. Zobaczyłem przed sobą Hannę żywą i od razu ją poznałem, choć pokornie schyliła głowę przede mną, podobnie jak mężczyzna u jej boku. Była piękną wieśniaczką w kwiecie wieku.

Ale oczy jej były smutne, gdy spotkały się z moim wzrokiem.

Jej małżonek miał twarz dobrą i otwartą. Trzymali się mocno za ręce i wyglądało, jakby się mnie bali. Odbyli długą drogę z mojego powodu. Powiedzieli: — Turmsie, lukumonie, jesteśmy biednymi ludźmi, ale coś gnało nas, żeby ciebie odwiedzić i prosić cię o wielki dar.

Hanna opowiedziała potem, że nocą wyskoczyła za burtę z fenickiego statku niewolników w pobliżu greckiej Posejdonii. Woląла raczej utopić się niż poddać losowi, który przeznaczyła dla niej Arsinoe. Ale fale zniosły ją przyjaźnie na ląd i spotkała tam pasterza, który wziął ją w opiekę i ukrył, choć była zbiegiem. — Kiedy twój syn się urodził — mówiła Hanna — pozostałam tam i pasłam mu bydło, a on zaopiekował się chłopcem i nie uraził mnie. Przywiązałam się do niego z powodu jego dobroci i kocham go już od dawna. Chłopczyk przyniósł nam szczęście i mamy dom, pole i winnicę w bezpiecznej okolicy. Ale więcej dzieci nie mieliśmy, mamy tylko twego syna, Turmsie.

Jej mąż patrzył na mnie pokornie i powiedział:

— Chłopak sądzi, że jestem jego ojcem, czuje się u nas dobrze i kocha ziemię, którą uprawiamy. Sam nauczył się grać na flecie i układa piosenki. Nie ma w jego duszy jednej złej myśli.

Ale martwiliśmy się z powodu niego i nie wiedzieliśmy, jak mamy postąpić. Nie mogliśmy się z nim rozstać. Gdy ukończył piętnaście lat, nie wytrzymaliśmy już dłużej. Musieliśmy ciebie odwiedzić i oddać sprawę w twoje ręce. Czy żadasz od nas twego syna, czy też pozwolisz go nam zatrzymać?

Hanna rzekła: — Jesteś lukumonem. Wiesz lepiej niż my, co będzie dla niego szczęściem.

Ze ściśniętym sercem, osłabły ze wzruszenia, zapytałem:

— Gdzie on jest, gdzie jest mój syn?

Poszedłem z nimi i zobaczyłem kędzierzawego chłopca, który siedział i grał na flecie na targowisku. Tak pięknie grał, że ludzie zebrali się, by go posłuchać. Miał smagłą cerę i duże marzy-cielskie oczy. Był bosi, odziany w płaszcz z prostego samodziału. Był piękny, piękny! Tych troje należało do siebie. Moja prośba została wysłuchana. Jakżeż mógłbym ich rozdzielić? Zły uczynek Arsinoe wyszedł na dobre Hannie. Jakżeż mógłbym chcieć przysporzyć jej smutku?

Patrzyłem długo na mego syna, żeby zapamiętać każdy rys jego twarzy. Potem wróciłem do samotności w moim domu. Podziękowałem Hannie i jej mężowi za to, że przyszli, dałem im od-289

powiednie dary i uznałem chłopca za ich syna. Nie miałem do niego żadnego prawa. Prosiłem ich, żeby bez obawy zwracali się do mnie, gdyby im czegoś brakowało. Ale nigdy tego nie uczynili. Posyłałem im czasem skromne dary, dopóki nie uciekli przed Grekami i nie zmienili miejsca zamieszkania, nie zostawiając żadnej wiadomości, dokąd się przenieśli. Hanna miała słuszość.

Tak było najlepiej dla niej i dla chłopca.

Przez tak niezgłębioną łaskę uwolniony zostałem od swojej winy. Od tej pory żyłem dla dobra mego ludu. Ludowi wystarcza, że żyję wśród niego jako lukumon.

Ale jestem znudzony więzieniem mego ciała i dzień, który świta, jest dniem mego wyzwolenia. Przed grobami na świętej górze wzniesiono namiot bogów. Święte stożki stoją już na łożu bogów. W powietrzu unosi się zapach jesieni. Ma ono smak świeżej mąki i młodego wina. Ptaki wodne zbierają się w stada. Kobiety śpiewają, kręcąc swoje ręczne młynki i mielą mąkę na chleb dla bogów z tegorocznych plonów.

To jeszcze przetrwam. Z śmiertelnym potem na czole, z czarnymi płatkami śmierci latającymi mi przed oczyma będę przyglądał się tańcom bogów i dzielił posiłek z bogami na oczach mego ludu. Potem spadnie zasłona. Samotnie spotkam bogów i wypiję wino nieśmiertelności.

Po raz ostatni poczuję smak życia w praśnym chlebie i w winie zmieszanym ze świeżą wodą.

Potem niech przyjdą bogowie. Ale bardziej niż do nich tęsknię do mojej uskrzydłonej opiekunki.

W świetlanej postaci, w ognistej postaci otuli mnie ona swoimi skrzydłami i pocałunkiem zabierze oddech z moich ust. W tej chwili szepnie mi wreszcie swoje imię do ucha i poznam ją.

Dlatego wiem, że umrę szczęśliwy, nareszcie obejmując ją z żarem młodzieńca. Jej silne skrzydła uniosą mnie do nieśmiertelności. Potem przyjdzie odpoczynek i zapomnienie, rozkoszne, rozkoszne zapomnienie. Na sto lat, na tysiąc lat, to dla mnie obojętne. Kiedyś powrócę, ja, Turms, który jestem nieśmiertelny.

290

## SPIS TREŚCI

### KSIĘGA PIERWSZA

Delfy.....2

### KSIĘGA DRUGA

Dionizjos z Fokai.....17

### KSIĘGA TRZECIA

Himera.....41

### KSIĘGA CZWARTA

Bogini w Eryksie.....72

### KSIĘGA PIĄTA

Ofiara ludzka.....104

### KSIĘGA SZÓSTA

Dorieus.....	142
KSIĘGA SIÓDMA	
Sikanowie.....	170
KSIĘGA ÓSMA	
Znaki.....	198
KSIĘGA DZIEWIĄTA	
Lukumon.....	234
KSIĘGA OSTATNIA	
Uczta bogów.....	272

# Table of Contents

\*



# Table of Contents

\*